



Michael Judith

Posiadanie

Katherine Fraser przeżyła szok: nagle, po dziesięciu latach małżeństwa, opuścił ją mąż. Została sama z dwojgiem dzieci, bez pieniędzy.

Katherine, chcąc zerwać z przeszłością, decyduje się na przeprowadzkę do San Francisco. Zawiera tu przyjaźń z rodziną miejscowych notabli i dzięki nim zaczyna prowadzić życie, o jakim dawniej mogłaby tylko marzyć. Przeszłość jednak nie da o sobie zapomnieć: zagrozi wszystkiemu, co Katherine zdołała osiągnąć...

CZEŚĆ 1

Rozdział pierwszy

Katherine! — słychać było w jasno oświetlonych pokojach. — Co za wspaniałe przyjęcie!... fantastyczne jedzenie!... cieszę się, że tu jestem!...

Wymieniając uwagi między sobą, goście nie ściszyli głosu:

— Nie wiedziałem, że urządza się tutaj takie przyjęcia, a ty? Przekrzykiwali płynącą z gramofonu muzykę i słychać ich było

w całym domu, a nawet na tarasie, gdzie w ciepłą czerwcową noc kilka par tańczyło, a inni stali na niskim murku, przyglądając się widocznym na tle nieba zabudowaniom Vancouver po drugiej stronie zatoki. Katherine zaś z pomocą Jennifer i Todda otwierała przy niewielkim barku wciąż nowe butelki i kursowała między kuchnią a jadalnią, donosząc do suto zastawionego stołu tace z zimnymi przekąskami i parujące zapiekanki.

— Jako gość honorowy wznoszę toast na cześć naszej wspaniałej gospodyni — powiedziała Leslie McAlister unosząc kieliszek. — A także — dodała skłaniając lekko głowę — na cześć Jennifer i Todda. Wasza mama powinna wypożyczyć was znajomym, kiedy będą przyjmować gości. — Otoczyła Katherine ramieniem. — Czuję się zaszczycona, że dla mnie wydałaś to przyjęcie. Szkoda, że nie

powiedziałaś, iż potrafisz urządzić tak wspaniałe imprezy. Gdybym wiedziała, na pewno nie czekałabym z wizytą trzy lata. Prawdę mówiąc, to mogłabyś przyjechać do San Francisco, żebym teraz ja mogła zorganizować bal na twoją cześć.

— Rzeczywiście powinnaś była odwiedzić mnie wcześniej — przyznała Katherine. Mocowała się właśnie z korkiem od szampana. — Craig nie ma z tym żadnego kłopotu, a mnie jakoś...

— Pozwól, że ja spróbuje. — Leslie wzięła butelkę. — To jedna z tych rzeczy, których samotne kobiety uczą się w pierwszej kolejności.

Lekko okręcając korek popchnęła go jednocześnie kciukiem do góry, cały czas dyskretnie obserwując Katherine i porównując ją do tej skromnej, nieśmiałej kobiety, którą w ciągu ostatnich dziesięciu lat widywała tylko sporadycznie. Katherine Fraser wciąż była nieśmiała — trochę wystraszona hucznym przyjęciem i zdziwiona pochwałami gości, ale na pewno ładniejsza, zwłaszcza teraz, gdy podekscytowanie przyjęciem sprawiło, że jej brązowe oczy błyszczały, a blada skóra nabrała rumieńców. Wzrostem dorównywała przyjaciółce, lecz była szczuplejsza i Leslie pomyślała z zazdrością, że Katherine nie musi martwić się o swoje biodra.

A jednak doświadczone oko Leslie zauważyło, że Katherine mogłaby się prezentować jeszcze bardziej atrakcyjnie. Jej gęste ciemne włosy przytrzymywała z tyłu ciasna elastyczna opaska rozciągająca skórę na skroniach, odcień szminki nie pasował do jej karnacji, a sukienka była zbyt prosta jak na figurę wymagającą podkreślenia. Leslie, która sama starała się wyglądać olśniewająco i oryginalnie, która szczyciła się swymi kręconymi, rudymi włosami oraz cieszyła mocno zarysowaną szczęką, aż świerzbiły ręce, żeby nieco „przerobić” Katherine. W duchu zaśmiała się z samej siebie. Nigdy nie miała dosyć — jako kierowniczka ekskluzywnego domu towarowego poświęcała całe dni na zaspokajanie zachcianek bogatych klientów, a teraz nie mogła się doczekać, by zabrać się do pracy nad przyjaciółką, która wydawała się w pełni z siebie zadowolona.

Korek gładko wyskoczył z butelki, uwalniając delikatną parującą mgiełkę.

— Brawo! — krzyknęła Sara Murphy, niska, okrągłutka dziewczyna o czarnych czujnych oczach. — Mężczyźni zwykle zalewają

wszystko dokoła, a ty zrobiłaś to tak delikatnie. Chyba często przyjmujesz gości. W przeciwieństwie do Katherine — żartobliwie poklepała przyjaciółkę po ramieniu — która nigdy tego nie robi, a teraz ni stąd, ni zowąd urządziła wspaniałe przyjęcie. I w dodatku bez pomocy męża. A gdzie właściwie jest Craig, kochanie? Zwykle widzę go każdego ranka, jak wychodzi do pracy — można by według niego regulować zegarek, ale nie widziałam go już od wtorku.

— Musiał pojechać do Toronto...

— Mimo zaplanowanego przyjęcia? To chyba coś strasznie ważnego, skoro tak sobie wyjechał i zostawił cię z...

— Z tłumem gości — dokończyła szybko Leslie. — Ale czyż Katherine nie jest godna podziwu? Ktoś zawistny pewnie by jej pozazdrościł. — Leslie uśmiechnęła się słodko. — Wreszcie pogadałyśmy sobie z Katherine i nadrobiłyśmy trochę zaległości; mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli będę ją okupować jeszcze przez chwilę, bo zaraz muszę jechać na lotnisko.

— Ależ skąd! — zapewniła Sara. — Nie przejmuj się, Katherine nie mogła się doczekać spotkania z tobą...

Sara, której usta się nie zamykały, szła za nimi, dopóki nie schowały się za grupką gości stojących przy pianinie. Wtedy wybuchnęły śmiechem, który zatracił się w ogólnym gwarze.

— Dzięki — powiedziała Katherine. — Sara jest cudowną sąsiadką i zrobiłaby wszystko, żeby nam pomóc, gdybyśmy tego potrzebowali, ale trochę trudno się jej pozbyć.

— Ona uwielbia owijać w bawełnę — dodała szyderczo Leslie. — A ja nie znoszę ludzi, którzy nie mają dość odwagi, żeby wprost o coś zapytać.

— Albo w ogóle zrobić cokolwiek otwarcie — dorzuciła Katherine, gdy przez szklane drzwi wychodziły na taras. — Ty nigdy nie lubiłaś obłudników.

— Dlatego właśnie tak się zaprzyjaźniłyśmy, obie byłyśmy nieprzejednane, gdy chodzi o prawdę. Jak to się właściwie stało, że tak rzadko się teraz widzimy?

Z salonu dobiegł czyjś podniesiony głos przekrzykujący gwar.

— Ty sukinsynu, trzeba udzielić pożyczki Quebekańczykom.

— Pożyczki Francuzom?! — padła pełna wściekłości odpowiedź, — Jesteśmy już po uszy obłożeni podatkami, żeby jeszcze za nich płacić. Nasze pieniądze powinny zostać na Zachodzie...

— A wiec o to ci chodzi? Zrobiłbyś wszystko, żeby uniknąć płacenia podatków!
Na twarzy Katherine odmalowała się panika.

— Tylko tego brakuje, żeby się pobili; zepsuliby całe przyjęcie.

— Śmiało rzucasz oskarżenia, Doerner! — Oburzony głos zabrzmiał jeszcze donośniej. — Wszyscy to wiedzą. A do tego oskarżasz fałszywie!

— Do diabła! Słuchaj, ty draniu, to było dwa lata temu. Kiedy się przekonałem, że nie miałem racji, pokryłem wszelkie koszty i sprawa została zakończona. Za kogo ty siebie uważasz...

— Do jasnej cholery! — odezwał się poirytowany głos. — Czy wy dwaj musicie się awanturować na każdym przyjęciu?

Leslie popatrzyła na Katherine i zaproponowała:

— Może spróbuję to załagodzić? Czasem komuś obcemu łatwiej jest odwrócić uwagę.

Katherine potrząsnęła głową.

— Sama muszę ich uspokoić. Do diabła, szkoda, że nie ma Craiga! On by wiedział, co zrobić; jeden z tych facetów jest jego współnikiem. No cóż... — Wprostowała się. — Zaraz wracam.

Katherine przecisnęła się przez tłum otaczający dwóch mężczyzn — twarze mieli wykrzywione złością, a goście trzymali ich z dala od siebie. Wzięła głęboki oddech i przywołując na usta uśmiech odezwała się głośno:

— Scena jak z westernu. Brakuje jeszcze tylko saloonu i piaszczystej ulicy, żebyście mogli stanąć do pojedynku. — Rozległ się gromki śmiech; obaj mężczyźni też się uśmiechnęli, aczkolwiek półgębkiem. Katherine położyła dłonie na ich ramionach. — Ale bar mamy, może więc zamiast guzów mogłabym zaproponować wam drinka?

— Rzeczywiście to bardziej cywilizowane rozwiązanie — odezwał się jeden z mężczyzn. — Przepraszam, pani Fraser. Niektórzy lubują się w rzucaniu oskarżeń...

— Do baru! Do baru! Drinki zamiast guzów! — krzyknęli goście. Jakaś niska, siwowłosa kobieta szepnęła coś przepaszająco do

Katherine, po czym wzięła pod rękę drugiego z mężczyzn i pociągnęła go do baru.

Katherine szybko wyslizgnęła się z tłumy i wróciła na taras. Leslie obserwowała całą scenę stojąc w drzwiach.

— Jesteś wspaniałą panią domu — rzekła z podziwem. — Zdawało mi się, że nieczęsto wydajesz przyjęcia.

— Właściwie w ogóle ich nie urządzamy. Kiedyś owszem, ale to było całe lata temu; od pewnego czasu Craig nie lubi przyjmować gości. — Katherine drżała jeszcze, lecz przepelniała ją duma. — Udało mi się załagodzić sytuację, prawda?

— Jasne. I to nikogo nie urażając. A tak przy okazji, kim są ci dwaj?

— Jeden to Carl Doerner, wspólnik Craiga z Vancouver Construction, natomiast kim jest ten drugi, nie mam pojęcia. Pełno tu ludzi, których nie znam.

— Katherine! Chyba nie mówisz poważnie.

— Jak najpoważniej. Nie mamy wielu przyjaciół, a chciałam zrobić na tobie wrażenie. Dlatego zaprosiliśmy znajomych Craiga z pracy i parę osób, które poznałam w szkole Jennifer i Todda.

— Ale przyszli na twoje przyjęcie.

— Bo chcieli poznać moją przyjaciółkę, wiceprezesa domu towarowego „Heath” z San Francisco. Jesteś wielką osobistością.

— Jeśli tak, to po raz pierwszy w życiu. Ale nie ja zorganizowałam to wspaniałe przyjęcie, tylko ty.

— Jeśli mi się udało, to też po raz pierwszy.

Obie się roześmiały. Jak dobrze jest mieć przy sobie Leslie, pomyślała Katherine. Była jedyną bliską jej osobą w czasach liceum i przez dwa lata studiów, dopóki Katherine nie poznała Craiga. Śmiała i wszystkiego ciekawa Leslie pomogła Katherine przełamać nieśmiałość i przekonać się, że potrafi być dobrą przyjaciółką. Kiedy pojechały razem na wakacje do Kolumbii Brytyjskiej, Katherine poznała Craiga Frasera i po miesiącu wyszła za niego za mąż. A Leslie po weselu wróciła do San Francisco z postanowieniem, że jako pierwsza kobieta w historii domu towarowego „Heath” obejmie stanowisko wiceprezesa.

— Nawet nie wiem, kiedy minęły te wszystkie lata — powiedziała Katherine sięgając pamięcią wstecz i nawiązując do pytania Leslie, dlaczego tak rzadko się widują. — Nie przyjeżdżałaś do nas zbyt często.

— I ty to mówisz! — oburzyła się Leslie.— Ani razu nie pojawiłaś się w San Francisco. Przez dziesięć lat ani razu mnie nie odwiedziłaś.

— Craig nie chciał jechać. Prosiłam go wielokrotnie, ale on

zawsze odmawiał i nie życzył sobie rozmawiać na ten temat. — Katherine spojrzała w stronę świateł na moście Lions Gate, łączącym zachodni Vancouver z rozświetloną drugą jego częścią po przeciwnej stronie zatoki. — Pamiętasz, jak kiedyś zadzwoniłam do ciebie, bo czułam się strasznie samotna? Byłam wtedy trzy lata po ślubie, miałam tylko dwie znajome, Craig rozkręcał interes z Carlem Doernerem, a ja siedziałam sama z dziećmi; ty akurat zerwałeś z tym jak-mu-tam i obie wyplakiwałyśmy się w telefon. Jak on się właściwie nazywał?

— Nie mam pojęcia. To było siedem lat temu, jak mogłabym pamiętać?!

— Byłaś taka przygnębiona. Myślałam, że to miłość do grobowej deski.

— Wtedy pewnie tak było. Ale nie zaznałam jeszcze trwałej miłości. Zresztą dokoła siebie też nie widuję wielu takich przypadków. Ty i Craig, parę innych... Ale nie wydaje ci się, że mogłabyś znaleźć sobie kogoś innego, gdyby Craig nagie... Przepraszam, bzdury gadam.

— Owszem, ale chyba każdy bierze pod uwagę taką sytuację. Przypuszczam, że mogłabym pokochać kogoś innego, gdyby coś stało się Craigowi. — Uśmiechnęła się do Jennifer, która weszła akurat na taras z dwoma talerzami gorących krewetek. — Dziękuję ci, kochanie. Może poszlibyście już z Toddem na górę? Teraz już dam sobie radę; napracowaliście się obydwójcie i robi się późno.

— Todd i tak już się objija — odparła Jennifer z rezygnacją. — Rozmawia o grach Atari z jakimś panem od komputerów. Ale mnie podoba się rola gospodyni. To na razie, mamó.

— Wygląda na to, że ktoś poczuł się w tej roli — zauważyła rozbawiona Leslie. — A skoro mowa o komputerach, to mój szalony braciszek stał się ostatnio ich fanem. Nawet zatrudniłam go niedawno, bo uznałam, że dobra praca może zrobić z niego porządnego obywatela. Odpukać w nie malowane, ale jak dotąd wszystko idzie mu dobrze. — Przerwała na chwilę. — Tobie chyba też. Sprawiasz wrażenie szczęśliwej, Katherine.

— Bo jestem.

Przez otwarte drzwi Katherine słyszała fragmenty rozmów i stare ludowe piosenki śpiewane przez grupkę przy pianinie. Wydawało jej się, że unosi się w powietrzu pośród jasnych lamp

w barwnie urządzonej wnętrzach swego pięknego domu, i żałowała, że nie ma przy niej Craiga, by mógł dzielić z nią to wspaniałe uczucie. Pomyślała, że powinni przestać tak się izolować, zdobyć więcej przyjaciół i częściej urządzać przyjęcia.

— Szkoda, że nie spotkałam Craiga — odezwała się Leslie, jakby odgadując myśli przyjaciółki.

— Ja też żałuję. Nie mam pojęcia, dlaczego do tej pory nie wrócił; obiecał, że pomoże mi zabawić gości. A może zostaniesz na noc? Pewnie zjawi się tu zaraz po twoim wyjściu.

— Naprawdę nie mogę. W pracy mam parę spraw i muszę się nimi zająć, żeby zapracować na pensję. Gdyby nie fakt, że ty tu jesteś, nie przyjechałabym nawet na konferencję. Musisz odwiedzić mnie z całą rodziną w San Francisco.

— Przyjadę. Nie wiem, dlaczego Craig nie chce, ale...

— Katherine. — W drzwiach stanął Carl Doerner. — Czy mogę cię prosić na słówko?

— Przyniosę trochę wina — powiedziała Leslie i wyszła.

— Chciałem cię przeprosić — zaczął Carl. — Zachowałem się jak dzieciak, nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Ostatnio gonię już resztkami sił, sporo mam na głowie, ale i tak... Katherine, czy miałaś jakieś wieści od Craiga?

— Nie, a ty? Powinien już dzisiaj być z powrotem.

— Przed chwilą dzwoniłem do niego do hotelu Boynton. Nie ma go tam.

— To oczywiste. Jest w drodze do Vancouver.

— Nie mają go na liście gości.

— To niemożliwe, przecież tam się zatrzymał. Ale jakie to ma znaczenie? Na pewno wraca już do domu.

— Katherine, czy on dzwonił do ciebie w tym tygodniu?

— Nie, pewnie był zajęty. Ja zresztą też, przygotowywałam przyjęcie.

— Czy Craig zatrzymuje się czasem w innych hotelach Toronto?

— Nie. Carl, o co ci chodzi? Craig jest w drodze do domu. Nie widzę w tym nic dziwnego.

— Pewnie masz rację. Ale czy mogłabyś poprosić, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko wróci? Od razu?

Było coś w głosie Carla, co w końcu zaniepokoiło Katherine.

— Martwisz się o Craiga? — spytała.

— Oczywiście że nie. Po prostu chciałbym, żeby do mnie zadzwonił. Dobrze?
Katherine skinęła głową i zmarszczywszy czoło popatrzyła za odchodzącym. Za sobą usłyszała czyjś głos.

— Masz przepiękny dom, Katherine. Tyle tu miejsca.

— Sami go zbudowaliśmy — odparła. — Trzy lata temu. Prawda, że jest śliczny? Craig i architekt zaprojektowali każdy centymetr.

Co to właściwie znaczy, że nie mają go w hotelowym rejestrze? — pytała w myślach samą siebie.

— Zdolny facet, on i Doerner zbudowali też nasz biurowiec.

— I ten nowy motel w Burnaby? Chyba to oni, prawda? Ależ musiał być w rejestrze. Carl się niecierpliwił i nie poczekał, aż sprawdzą.

— Mamusiu! — Katherine spojrzała na chytrze uśmiechającego się Todda. — W kuchni jest duży kawał tortu czekoladowego. To dla nas, prawda?

Uśmiechnęła się i ona.

— Ile zjadłeś?

— Tylko spróbowałem. Jennifer powiedziała, żebym lepiej ciebie zapytał.

— A ile spróbowałaś?

— Hm... dwa i pół kawałka. Jennifer zjadła dwa.

— Rzeczywiście tylko spróbowałaś — pocałowała go w czoło. — Możesz zjeść jeszcze jeden mały, naprawdę mały kawałek. I nie zapomnij umyć zęby przed pójściem do łóżka.

— Dobrze. A kiedy tata wróci?

— Myślę, że jutro. Pewnie zadzwoni i da nam znać. Powiadomiłby mnie, gdyby zatrzymał się w innym hotelu, snuła przypuszczenia Katherine.

— Obiecał mi model samolotu.

— Więc ci go przywiezie. Dobranoc, Todd. Kolorowych snów. Chyba że zmienił plany w ostatniej chwili.

— Miły chłopak. Bardzo podobny do ojca.

Ale zawsze, kiedy zmieniał plany, powiadamiał mnie o tym, myślała Katherine.

— Katherine — Leslie trzymała w ręku torbę. — Muszę już iść, bo spóźnię się na samolot.

Szły do frontowych drzwi, a Leslie uważnie przyglądała się przyjaciółce.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Dlaczego tak myślisz?

— Marszczysz czoło i jesteś zamyślona. Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie, to nic poważnego. Po prostu czegoś nie rozumiem. Szkoda że nie możesz zostać dłużej.

— Może następnym razem. Albo ty przyjedziesz na dłużej do San Francisco. Bo odwiedziś mnie, prawda? Obiecujesz?

— Obiecuję. Przyjedziemy, jak tylko Craig będzie mógł się wyrwać.

— Nie czekaj z tym zbyt długo. Naprawdę brakuje mi naszych pogaduszek.

— Mnie też. Aż do dzisiaj nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

— Ale przecież możesz odwiedzić mnie sama.

— Tak. Owszem. Ale wolałabym przyjechać z rodziną. Zresztą, chyba i ty byś tego chciała.

— Naturalnie. A więc czekam na was. Będę twoją przewodniczką po mieście. — Objęły się. — Tak cudownie było znowu cię spotkać. Listy i telefony to nie to samo. Dlaczegoż, do diabła, tak się zamknęłyśmy każda we własnym świecie...

Mówiąc to Leslie wsiadła do taksówki i pomachała jeszcze ręką.

Dokładnie tak jak Craig, kiedy we wtorek odjeżdżał na lotnisko, skojarzyła sobie Katherine.

To było trzy dni temu. We wtorek rano. Przytulił ją do siebie, gdy taksówka podjechała pod bramę, ale patrzył gdzieś w przestrzeń, myśląc już pewnie o Toronto. Pocałował ją, powiedział, że ją kocha i pomachał z okna odjeżdżającej taksówki. Zwyczajna służbowa podróż, taka jak dziesiątki innych, które odbywał każdego roku, by spotkać się z dostawcami, architektami i różnymi kontrahentami. Przy śniadaniu obiecał, że wróci w piątek i pomoże w organizacji przyjęcia. Zwyczajny wyjazd. Ale dlaczego nie zameldował się w hotelu Boynton?

Radość Katherine prysła. Przyjęcie nie było już takie samo. Wprawdzie goście wciąż śmiali się i rozmawiali z ożywieniem, lecz gwar i wesołość jakby przygasły, niczym przesłonięte kurtyną. Muszę sama się przekonać, pomyślała Katherine i pobiegła na górę, żeby zadzwonić do hotelu.

— Nie, pani Fraser — odparł urzędnik. — Nie moglibyśmy nie pamiętać jednego z naszych stałych klientów. To samo powiedziałem panu Doernerowi, kiedy do nas zadzwonił. Gdyby nie był taki zdenerwowany i nie rzucił słuchawką, to powiadomiłbym go jeszcze, że pan Fraser miał u nas rezerwację, lecz nie przyjechał. Pomyśleliśmy, że zmienił plany. Bardzo chciałbym pani jakoś pomóc, lecz nie potrafię. Niestety, pani Fraser, nie ma u nas pani męża i nie było go w tym tygodniu.

Nie ma u nas pani męża. Nie było go w tym tygodniu. Katherine usiadła na łóżku i popatrzyła na ścianę. Nie było go w tym tygodniu. Z dołu dochodził śmiech, brzęk szkła, a chórek przy pianinie śpiewał *The Big Rock Candy Mountain*, lecz dźwięki wydawały się jakieś odległe, a atmosfera ponura. Nie ma u nas pani męża. Nie było go w tym tygodniu.

Rozdział drugi

W sobotę rano całe mieszkanie wyglądało jak pobożowisko. Katherine siedziała w kuchni przy telefonie i patrzyła na dzieci sprzątające jadalnię.

— Przydałaby nam się pokojówka—marudził Todd, ustawiając talerze w niebezpieczny stos na podłodze.

— My jesteśmy pokojówką — odparła Jennifer.

— Gdyby tata był w domu—ciągnął Todd — mama sprzątałaby z nami tak jak zawsze.

— Czeka na telefon od tatusia — stwierdziła Jennifer. — Bardzo się martwi.

Todd spojrzął na siostrę znad stosu talerzy.

— Nie mówiła, że się martwi. Powiedziała tylko, że tata przyjedzie później, bo ma dużo pracy w Toronto.

— Ale przecież tata zawsze dzwoni, prawda? — upierała się Jennifer. — Zwykle w środku tygodnia i wtedy, gdy wie, że się spóźni, a tym razem nie dzwonił ani razu.

— Mamo! — krzyknął Todd. — Czy tatusiowi coś się stało? Katherine podeszła do drzwi. Ledwo trzymała się na nogach,

oczy ją szczypały, bo całą noc nie spała — czekając na męża, patrzyła, jak jaskrawa lampka na ganku błednie w świetle wscho-

dzącego słońca. Była zbyt zmęczona, żeby kłamać przekonująco, a dzieci zawsze zauważały, kiedy usiłowała coś ukryć; zresztą, pomyślała, mają prawo wiedzieć, co się dzieje.

— Nie wiem, gdzie jest tata, Todd. Pewnie załatwia jakieś interesy i zadzwoni do nas, jak tylko będzie mógł.

— Ale gdzie jest? — naciskał chłopiec.

— Mówiłam, że nie wiem — ucięła Katherine. A delikatniej już dodała: — Czekam na telefon od taty.

Gdy to mówiła zadźwięczał dzwonek i Katherine rzuciła się do aparatu w kuchni.

— Miałaś od niego jakąś wiadomość? — spytał Carl Doerner bez żadnych wstępów.

— Nie. — Była tak rozczarowana, że nogi się pod nią ugięły i musiała usiąść na stołku przy kuchennym blacie. — Ale jeśli naprawdę jest zajęty... Może nagle w ostatniej chwili wyskoczyło mu coś ważnego? Coś w innym mieście?

~~ Chyba wie, że istnieje coś takiego jak telefon? Katherine, powiedz mi prawdę: naprawdę nie wiesz, gdzie on jest?

— Dlaczego miałabym cię okłamywać? Carl, boję się. Craig zawsze dzwoni z podróży służbowych i obiecał, że wróci w piątek. Zamierzam zatelefonować na policję w Toronto.

— Zaczekaj, nie spiesz się. Craig jest dorosłym mężczyzną. Nie możemy wpadać w panikę tylko dlatego, że nie wiemy, gdzie jest. Może rzeczywiście wyskoczyło coś nagłego. W końcu Craig może się pojawić w każdej chwili i głupio byśmy się czuli alarmując pół Kanady.

— Pół Kanady? Ja powiedziałam tylko...

— Wiem, wiem, ale moim zdaniem powinnaś poczekać. Zobaczysz, przybiegnie do ciebie w podskokach cały i zdrowy dziwiąc się, po co to całe zamieszanie. Myślę, że powinniśmy spokojnie poczekać, aż załatwi sprawy służbowe i wróci do domu. Ale jak tylko się zjawi, poproś, żeby do mnie zadzwonił, dobrze?

— Co powiedział? — spytała stojąca obok Jennifer.

— Że niepotrzebnie się martwimy. — Katherine podpałała gaz pod czajnikiem. — I ma rację; tatuś sam potrafi się o siebie zatroszczyć. Myślę, że czas zabrać się do pracy. Pomyślcie, co by powiedział, gdyby zobaczył, że dom wygląda, jakby przeszedł przez niego huragan?

Cały dzień aż do wieczora Katherine sprzątała z dziećmi, lecz myślała jedynie o Craigu wyobrażając sobie, że leży gdzieś na ulicy napadnięty i obrabowany albo potrącony przez samochód, albo umierający na atak serca. Ale gdyby coś takiego się wydarzyło, chyba ktoś by go znalazł i powiadomił ją? A może nie, przecież napady rabunkowe były na porządku dziennym. Lepiej więc zadzwonić na policję.

Nieważne, że zdaniem Carla nie powinna tego robić.

Wstrzymała się jednak, dopóki Jennifer i Todd nie pójną spać.

— Mamo, obudź nas, jak tata wróci — poprosiła Jennifer.

— Oboje was zbudzimy — zapewniła. — Przecież tata też nie może się doczekać, żeby was zobaczyć.

Kiedy jednak zadzwoniła na policję w Toronto, nie mogła wykrztusić ani słowa. Było jej wstyd, bo czuła się tak, jakby uznała Craiga za przestępcę — poszukiwanego, tropionego, którego nazwisko szargają obcy. Nieznajomy policjant po tamtej stronie powtarzał w kółko: „Słucham? Halo? Słucham?” i Katherine, wiedząc, że musi to zrobić, wydusiła wreszcie:

— Mój mąż zaginął.

— Słucham panią — odezwał się policjant tak spokojnie, że Katherine zaczęła się zastanawiać, ile zgłoszeń o zaginionych mężach otrzymuje każdego dnia. — Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— We wtorek rano, gdy...

— Wybierał się tutaj? Do Toronto?

— Tak, często tam jeździ służbowo i...

— Jakimi liniami leciał?

— Jakimi liniami? Nie wiem, nie mówił mi. Pewnie Air Canada.

— A w którym hotelu miał się zatrzymać?

— Zawsze zatrzymuje się w Boynton, ale już tam dzwoniłam i...

— Czy miał rezerwację?

— Tak, ale on... on się tam nie pojawił.

— A więc nie zjawił się w hotelu. Kiedy miał wrócić do domu?

— W piątek. To jest wczoraj po południu. Urządzaliśmy przyjęcie na cześć mojej przyjaciółki z San Francisco...

— Czy dzwonił do pani albo pisał?

— Nie! Gdyby to zrobił, nie dzwoniłabym na policję!

— W porządku, proszę pani, wiem, że się pani martwi, ale

proszę spróbować się uspokoić. Muszę zadawać takie pytania, na tym polega moja praca. Proszę teraz podać mi rysopis męża.

Katherine przywołała na myśl obraz Craiga siedzącego przy biurku, układającego dokumenty w równe st osiki i przewiązującego je sznurkiem lub gumką.

— Metr osiemdziesiąt wzrostu — zaczęła. — Włosy ciemnoblon, oczy piwne, ma brodę...

— A waga?

Katherine zawahała się. Nigdy się tym nie interesowała.

— Nie wiem.

— Chociaż w przybliżeniu...

— Chyba... około osiemdziesięciu kilogramów. Nosi swetry rozmiar czterdzieści.

— Jakież blizny albo znaki szczególne?

— Ma bliznę przy prawej brwi, niewielką, ale widoczną. On jest naprawdę... nie wyróżnia się specjalnie, po prostu jest przystojny.

— Numer obuwia?

— Nie wiem. — Pewnie myśli, jaka to z niej okropna żona, skoro nie wie takich rzeczy. — Nigdy nie kupowałam mu butów.

— Rozumiem.

Policjant długo jeszcze wypytywał o ludzi, z którymi Craigmiał się spotkać, o firmy, banki, a Katherine powtarzała „Nie wiem, naprawdę nie wiem”. Na koniec oficer spytał o numery kart kredytowych i Katherine mu je odczytała.

— To wszystko, pani Fraser. Skontaktujemy się z panią, jak tylko coś będziemy wiedzieli.

— Jeszcze dzisiaj?

— Albo jutro rano. Niech pani się nie martwi; potrzebujemy trochę czasu, żeby wszystko sprawdzić.

Kolejna koszmar na noc, a Katherine siedziała skulona w rogu sofy i popijała herbatę nasłuchując, czy w zamku nie zazgrzyta klucz. W ciemności dom skrzypiał i zdawał się przechylać pod naporem hulającego wiatru, a ona tkwiła nieruchomo bojąc się sprawdzić, skąd dochodzą różne dźwięki. O świcie położyła głowę na oparciu, żeby rozluźnić trochę obolałą szyję, i zasnęła, lecz dwie godziny później obudziły ją szepty Jennifer i Todda.

— Pewnie tata dzwonił — upierał się Todd. — I dlatego mama czeka na niego tutaj zamiast położyć się do łóżka.

Jennifer przygryzła palce.

— Mama powiedziała, że obudzi nas, jeśli tata zadzwoni. A siedzi tutaj, bo nie lubi spać sama. Żadne z nich tego nie lubi.

— Założę się, że tata dzwonił i jest już w drodze do domu razem z moim samolotem.

— Ciebie obchodzą tylko prezenty! Ja chcę, żeby tata wrócił! Wszyscy tego chcemy, pomyślała Katherine nie otwierając oczu.

Ale on nie dzwonił. Jest już niedzielny rano i Craig się nie odezwał. W końcu otworzyła oczy i wstała, lecz bolało ją całe ciało, tak jakby wcale nie spała.

— Wszyscy chcemy, żeby tata wrócił — powtórzyła głośno. — I jest nam ciężko, bo nie wiemy, co się z nim dzieje. Myślę, że jak tylko przyjedzie do domu, poprosimy go, żeby następnym razem bardziej liczył się z naszymi uczuciami.

Todd jęknął.

— Może potrafiła go ciężarówka. Albo wpadł pod pociąg. Albo uderzył go meteoryt.

— Meteoryty nie spadają na Toronto — odparowała Jennifer.

— Ależ tak. Spadają wszędzie. Na Vancouver też. Jeden z nich mógłby rozwalić nasz dom i zabić nas.

— Wesoła perspektywa.

Katherine uśmiechnęła się. Przez jedną krótką chwilę wszystko wydawało się takie jak zawsze — Todd i Jennifer, poranne słońce zagładające do ich jasnego salonu, ot zwyczajny piękny dzień czerwcowy. Zaraz wejdzie Craig, tak jak przewidywał Carl, i przeprosi ich, że zapomniał zadzwonić, bo był bardzo zajęty, wyjaśni, dlaczego zmienił hotel, i powie, że Katherine powinna rozsądnie pomyśleć zamiast się martwić — on przecież potrafi się o siebie zatroszczyć równie dobrze jak o swoją rodzinę.

— Chyba jednak wiedzielibyśmy, gdyby na Toronto spadł meteoryt — powiedziała. — Słuchajcie, zamierzam teraz wziąć prysznic, a wy powinniście zrobić to samo. Macie przecież dzisiaj ten piknik w Grouse Mountain. O której po was przyjadą?

— Nie jedziemy—oświadczyła Jennifer. —Zostaniemy w domu i poczekamy na tatusia.

— Pojedziecie — zdecydowała Katherine. — Jeśli tata wróci do domu przed wami, to znajdziemy was. No a teraz lećcie się przygotować. Todd? Jennifer? Szybciutko.

A jednak nie było tak jak zawsze i gdy tylko dzieci wyszły, Katherine pobiegła do telefonu, by ponownie zadzwonić na policję. Stała już przy aparacie, kiedy rozległ się dzwonek.

— Słucham? — krzyknęła. — Craig?

— Nie, pani Fraser — odezwał się policjant. — Przykro mi. I przepraszam, że nie zadzwoniliśmy wcześniej, ale chcieliśmy mieć pewność...

— Pewność?

— Że nigdzie nie ma najmniejszego śladu po pani mężu. Nie znaleźliśmy go w żadnym tutejszym szpitalu, nie ma go w więzieniu ani w kostnicy. Nie zameldował się, nie tylko w Boynton, ale w żadnym innym hotelu. Nie jadł w restauracjach ani nie wypożyczał samochodu. Pani Fraser... — Policjant odchrząknął. — Prawdopodobnie pani mąż nawet nie dojechał do Toronto. Sprawdziliśmy na lotnisku. Żaden mężczyzna o takim nazwisku nie przyleciał do Toronto we wtorek.

— Ale to niemożliwe! Katherine czuła ucisk w gardle.

— Nie odnotowano...

— Ależ poleciał do Toronto. — Podniosła głos. — Widziałam, jak we wtorek rano jechał na lotnisko.

— Pani Fraser, pani chyba nie rozumie. Pani mąż nie wykorzystał biletu. Albo coś mu się stało w Vancouver w drodze na lotnisko, albo w ogóle nie zamierzał wsiadać do samolotu.

— Jak pan śmie! Jakim prawem sugeruje pan, że mój mąż mnie okłamał! Za kogo pan siebie ma... — Odsunęła słuchawkę, próbując złapać oddech. Słyszała, jak policjant ją woła, ale głos w słuchawce wydawał się taki słaby i odległy, jakby nie był skierowany do niej. Przerwała połączenie.

Chwilę potem, zdenerwowana i zniecierpliwiona, wykręciła numer policji w Vancouver. Craig nigdy jej nie okłamał. Musiało mu się przytrafić coś strasznego i jeśli ten policjant z Toronto mówił prawdę, to stało się to w Vancouver. Tak blisko, a ona przez cały tydzień nie miała o tym pojęcia. Była taka szczęśliwa i zajęta przygotowaniami do przyjęcia, że o Craigu myślała tylko wtedy, gdy złościła się na niego za to, że nie ma go przy niej, by jej pomóc. A on tymczasem był chory albo ranny, a może nawet już nie żył. Powinnam się domyślić, pomyślała. Przecież nie zadzwonił.

— Mój mąż zaginął — wydusiła przez zaciśnięte gardło, gdy oficer dyżurny podniósł słuchawkę, a potem nerwowo chodząc po pokoju czekała na przyjazd funkcjonariuszy.

Zjawili się dwóch oficerów z notesami i formularzami. Odczytywali poszczególne pytania i starannie wypełniali rubryki, a Katherine już po raz drugi w odstępie paru godzin podawała rysopis męża. Potem poprosili o aktualne zdjęcie Craiga, a gdy je dostali, zadawali kolejne pytania i zapisywali odpowiedzi. Gdy Katherine powtórzyła im to, co policjant z Toronto powiedział o nie wykorzystanym bilecie, zauważyła, że wymienili między sobą spojrzenia.

— O co chodzi? — spytała. — Czy coś przede mną ukrywacie?...

— Nie, proszę pani — zapewnił jeden z nich. — Zastanawiamy się natomiast, czy to pani czegoś przed nami nie ukrywa.

Katherine potrząsnęła głową.

— Nie, niczego nie ukrywam.

Poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie po dwóch nie przespanych nocach i zamknęła oczy. Gdyby mogła tak po prostu położyć się do łóżka i o wszystkim zapomnieć... Policjanci jednak kręcili się niecierpliwie, więc zmusiła się, by otworzyć oczy.

— Cóż miałabym ukrywać?

— A... czy pani mąż miał przyjaciółki? To znaczy, czy wie pani o jakichś kobietach? Mnóstwo żon nie ma o tym pojęcia, więc nie musi się pani czuć zawstydzona, jeśli... — Policjant, urwał czując na sobie spojrzenie Katherine.

— Chcemy tylko powiedzieć — pospieszył z pomocą drugi — że mężowie nie znikają tak po prostu. Mają ku temu jakieś powody. Niekoniecznie musi chodzić o przyjaciółkę. Sama pani rozumie... — Katherine widziała, że policjant stara się jej nie urazić, a jednocześnie jest bardzo zakłopotany; dlaczegóż do takiego zadania posyłają młodych chłopców? — ...my niczego nie sugerujemy. Może mieli państwo jakieś problemy? Może mąż pani lubił hazard i uzbierało mu się za dużo długów? Czy był ostatnio przygnębiony? Nie znalazła pani listu zawiadamiającego o samobójstwie? Kiedy mężowie znikają, mają ku temu powody, pani Fraser, to wszystko. Nie przyszliśmy tu po to, żeby krytykować panią albo jej męża, ale po prostu takie rzeczy się zdarzają.

— Ale nie nam — powiedziała Katherine zaciskając usta, zbyt

zmęczona, żeby się oburzać, tak jak to zrobiła podczas rozmowy z policjantem z Toronto. — Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat i wiem, że mój mąż wróciłby do domu, gdyby to od niego zależało. Wy po prostu nic o nim nie wiecie i nie macie pojęcia, co się z nim stało.

— To prawda, proszę pani. Ale czy pani mąż lubił kobiety? Zadzwoił telefon i Katherine z bijącym sercem rzuciła się do kuchni.

— Cześć, kochanie. — W głosie Sary Murphy słychać było ciekawość. — Wszystko w porządku? Wyglądałam właśnie przez okno i zobaczyłam radiowóz. Katherine skuliła się.

— Saro, nie mogę teraz rozmawiać.

— Mam nadzieję, że to nie atak serca? Mam na myśli Craiga. Katherine? Czy Craigowi nic się nie stało?

— Craig nie ma w domu. Słuchaj, Saro, muszę iść...

— Ale wrócił, prawda?

— Saro, porozmawiamy później.

— Tak, musisz wracać do policjantów. Ale pamiętaj, Katherine, że jestem w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała.

— Dobrze...

— Zawsze możesz przyjść, zawsze ci pomogę.

— Wiem. Zadzwoię później, Saro. Policjanci stali już w drzwiach.

— Ogłosimy komunikat w sprawie pani męża, pani Fraser, i damy pani znać, jeśli się czegoś dowiemy. Ale naprawdę powinna pani zastanowić się nad powodem zniknięcia męża; bardzo by nam to pomogło w poszukiwaniach.

Czy oni zdają sobie sprawę z tego, że mój mąż może już nie żyć? — myślała. Patrzyła, jak funkcjonariusze przechodzą obok grządek z kwiatami i znikają za ogrodzeniem. Zaraz potem, nim sama się spostrzegła, siadła przy biurku Craiga. Nie po to, żeby szukać jakichś śladów — jej zdaniem to był nedorzeczny pomysł. Ale może Craig zostawił grafik spotkań, jakiś adres, pod który mogłaby zadzwonić? Niczego więcej nie szukała. Ale czuła się, jakby wkroczyła na cudzy teren. To biurko należało do Craiga i ona sama nigdy przy nim nie siadała. Z zabobonnym strachem pomyślała, że skoro teraz to zrobiła, to bardziej prawdopodobne jest, że Craig nie żyje.

— Nie bądź idiotką — powiedziała do siebie na głos i szybko wysunęła wszystkie szuflady.

Poczucie winy stopniowo mijało, a rosło zaintrygowanie. Przeszukując szuflady i przegródki, ostrożnie oglądając równe stosiki dokumentów i folderów, znalazła notatki Craiga na temat budynków wzniesionych przez Vancouver Construction, szkice drewnianych rzeźb, które sporządzał w wolnym czasie, kopie rozliczeń z delegacji — sporo było kwitów z Calgary (nigdy nie mówił Katherine, że ma tam jakiś większy kontrakt), nieważne już zawiadomienia z prywatnego klubu, do którego należał, plik nie zapłaconych rachunków z różnych sklepów i notatniki zapisane jakimś cyframi — dodawane, odejmowane, mnożone, gwałtownie przekreślane, cyfry te powtarzały się w innych kombinacjach.

Katherine zastanowiła się: Craig zawsze płacił rachunki i nigdy ani słowem nie wspomniał o długach. Postanowiła, że porozmawia z nim na ten temat, jak tylko wróci do domu. Potem w najniższej szufladzie, za pudełkiem z wizytówkami, znalazła niewielkie zdjęcie najwyraźniej oddarte od jakiegoś większego. Skonsternowana popatrzyła na uśmiechającą się śliczną dziewczynę, której nigdy nie widziała. Nie miałam pojęcia, że Craig przechowuje zdjęcie swej dawnej miłości, pomyślała. Następna rzecz, o której mi nie powiedział.

— Mamo! — krzyknął Todd gwałtownie otwierając drzwi. — Pani Murphy mówiła, że była u nas policja. Co się stało tatusiowi? Nie umarł, prawda?

Jennifer szturchnęła brata.

— Nawet nie wypowiadaj tego słowa — spojrzała na matkę. — Czego oni chcieli?

— Prosiłam, żeby sprawdzili, czy tatuś nie miał jakiegoś wypadku — Katherine starała się mówić spokojnym głosem. — Im znacznie łatwiej niż nam sprawdzić wszystkie szpitale. Tym właśnie się zajmują. Jak się udał piknik? Zrobimy kolację i opowiecie mi wszystko.

Dzieci były trochę przygaszone, lecz opowiadały o zabawie i, jak każdego wieczoru, pomagały przy kolacji — znów przez kilka błogich chwil Katherine miała wrażenie, że wszystko będzie dobrze, bo jak mogłoby się stać coś złego, skoro atmosfera w domu wydawała się zupełnie normalna? Wtedy właśnie otworzyły się

frontowe drzwi i dzieci, a tuż za nimi Katherine, z krzykiem rzuciły się w ich kierunku, przebiegając jadalnię i salon. Ale to nie był Craig... przyszedł Carl Doerner.

— Drzwi były otwarte — powiedział przepraszająco, wchodząc do środka. — Nie miałem wiadomości od Craiga. Zapomniałaś poprosić, żeby do mnie zadzwonił? — Zatrzymał się dopiero na środku salonu; stojąca z tyłu Katherine nie odzywała się, westchnął więc głośno i odwrócił się do niej. — Nic? Ani słowa?

Odpowiedziała przeczącym gestem.

— Cholera, niech to diabli. — Potrząsnął dużą głową o gęstych, siwych włosach. — Przykro mi, Katherine. Miałem nadzieję, że to nieprawda.

Zaniepokojona zwróciła się do Jermifer i Todda.

— Nakryjcie do stołu. Zaraz do was dołączę.

Jennifer prychnęła niezadowolona, ale wraz z bratem wyszła z pokoju.

— Co masz na myśli? — spytała Katherine.

— On zwiął. Wolałbym ci tego oszczędzić, ale...

— O czym ty mówisz! Zwiął? Chcesz powiedzieć, że uciekł? Przecież nie miał przed czym uciekać. Zresztą i tak nie zrobiłby czegoś takiego. Znasz go, Carl, on nie należy do ludzi, którzy przed czymś uciekają.

— Katherine, przykro mi — Doerner zaczął nerwowo chodzić po pokoju, odsuwając sobie z drogi fotele. Katherine pomyślała, że Carl nie pasuje do jej jasnego salonu, do foteli w kwieciste wzory, że wygląda jak słoń w składzie porcelany. — Przykro mi — powtórzył cichym, poważnym głosem. — Przez ostatnie dwa lata Craig przywłaszczał sobie fundusze firmy.

— Przywłaszczał sobie?! Carl, czyś ty oszalał?

— Prawie siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Nasz księgowy to odkrył; rozmawiałem o tym z Craigiem i do wszystkiego się przyznał. Wymyślał jakieś fikcyjne firmy, sprzedawał im nie istniejące materiały i wystawiał rachunki płatne na siebie — to bardzo skomplikowane, ale jeśli chcesz, pokażę ci, jak to robił. Chciał, żebym dał mu tydzień...

— To nieprawda!

— Poprosił, żebym dał mu tydzień na zebranie pieniędzy. Uwierzyłem i dlatego nie poszedłem z tym na policję.

— Nie wierzę! Przecież...

Doerner wyciągnął z kieszeni grubą kopertę i podał ją Katherine.

— Tu są zeznania księgowych, radców prawnych... — Katherine nawet nie drgnęła, więc cofnął rękę. — Do diabła, Katherine, po cóż miałbym to sobie wymyślać? Traktowałem Craiga bardziej jak syna niż wspólnika. Za jakieś dwa lata zamierzałem odsprzedać mu firmę i przejść na emeryturę. Co ja, do cholery, mam teraz zrobić?

— Craig kradł? — drętwo spytała Katherine. — Okradał firmę?

— Tak właśnie było.

— A więc się mylisz. Skąd ta pewność, że on to zrobił? Dlaczego zwalasz winę na niego?...

— Nie zwałam na niego winy, sam się przyznał. Powiedział, że wasz dom kosztował go więcej, niż przypuszczał, i że chodziło jeszcze o parę innych rzeczy, nie chciał mówić jakich, ale zobowiązał się, że wszystko spłaci, co do centa. A ja mu zaufałem! I pozwoliłem mu wyjechać!

— Kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy rozmawialiście o... o tych pieniądzach?

— W poniedziałek. Tak, w zeszły poniedziałek. Powiedział, że część pieniędzy zdobędzie do piątku i że ma już plan, jak spłacić resztę. Rozpłakał się przy mnie. Cholera, i ja też. A teraz co ja, u diabła, mam zrobić? Nie chciałbym oskarżać go o defraudację!

— Zaraz, pozwól mi zebrać myśli.

Katherine kręciło się w głowie. Doerner poprzesuwał kilka foteli i miała wrażenie, że pokój kołysze się jak pokład statku w czasie burzy. A więc w poniedziałek. A we wtorek pośpiesznie wyjechał do Toronto, mimo iż prosiła, by w tym tygodniu został w domu.

Pocałował mnie na pożegnanie, przypomniała sobie, i powiedział: „Przykro mi, kocham cię”.

Katherine splotła dłonie.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała.

— Ja dotrzymałem słowa — burknął Doerner. — Ale, do jasnej cholery, on mnie oszukał. Nie rozumiesz, że muszę zgłosić to na policję? Zbyt wiele osób wie o tej sprawie: firma ubezpieczeniowa, nasz radca prawny, księgowy, nie mam wyboru; muszę iść na policję!

Niczym pocisk armatni Todd przeleciał przez pokój i rzucił się na Doenera.

— Ty draniu, nie możesz donieść na policję o moim tacie. Jesteś kłamcą!

— Todd! — Katherine odciągnęła chłopca, który pięściami okładał Doernera, i przytuliła go do siebie. Dzieciak przylgnął twarzą do jej ramienia i zaniósł się płaczem, a Jennifer spoglądała na nią kamiennym wzrokiem.

— Zaraz wracam — powiedziała do Doernera i poprowadziła dzieci na górę. — Obiecuję, że za chwilę o tym porozmawiamy. — Głos jej drżał, więc odchrząknęła. — Ale macie zostać na górze. Nie chcę was widzieć w salonie. Jasne?

Gdy pokiwali głowami patrząc na nią szeroko otwartymi, nie rozumiejącymi oczyma, zeszła powoli do salonu. Doerner wciąż stał na środku.

— Oszukał nawet swoje dzieciaki. — Twarz miał ponurą. — A to sukinsyn. Zawiódł mnie, ale żeby jeszcze ciebie i dzieci... jak mi Bóg miły, zasługuje na cięgi! Traktowałem go jak syna, ale teraz mi zapłaci!...

— Carl, nie chodź na policję. Proszę. Nie możesz trochę poczekać? Tylko jeden dzień, do jutra. Pewnie stało mu się coś w drodze do domu... zachorował albo ktoś go napadł... nigdy nie wiadomo! Gdyby rzeczywiście ukradł te pieniądze, to na pewno by nie uciekł. Zwróciłby ci je. Oboje byśmy ci je zwrócili. Proszę cię, Carl. Skoro już tyle czekałeś... proszę.

Doerner rozłożył ręce.

— A niech to. Jeszcze jeden dzień. Jutro jest poniedziałek, zadzwonię do ciebie w południe. To ostateczny termin.

— Dobrze — Katherine skinęła głową. Doerner westchnął.

— Zostawił cię na łaskę losu. Gdyby był jakiś sposób... — odczekał chwilę, lecz Katherine się nie odezwała. — No cóż... — powiedział i wyszedł przechodząc pod palącą się trzecią noc z rzędu lampą na ganku.

Craig zyskał jeszcze parę godzin, pomyślała Katherine. Nawet nie wiem, czy ich potrzebuje. Czy w ogóle czegoś potrzebuje. Czuli się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Przypomniała sobie o kolacji, którą przygotowała wcześniej z dziećmi, ale wiedziała, że nie zdoła przełknąć ani kęsa.

Dzieci też tylko dłużyły widelcem, gdy relacjonowała im rozmowę z Doernerem.

— Na razie znamy jedynie jego wersje wydarzeń — podsumowała starając się nie myśleć o kopercie, którą Carl chciał jej pokazać; w końcu mogło być w niej cokolwiek. — Dopiero kiedy tata wróci, dowiemy się prawdy. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Może dostaniemy jakieś wieści z policji albo po prostu tatuś przyjdzie i wszystko wyjaśni.

— Tatuś by nie uciekł — oświadczyła Jennifer.

— Oczywiście że nie.

Katherine przypomniała sobie anegdoty o żonach, które wolały myśleć, że jeśli ich mąż się spóźnia, to spowodował to wypadek raczej niż niewierność. Zastanawiała się czy wolałaby, by Craig uległ wypadkowi czy też by okazał się przestępcą uciekającym przed karą?

Ta myśl nie dała jej zasnąć przez kolejną noc, którą marznąc spędziła w ich wspólnym łóżku. Craig, chcąc, żebyś wrócił do domu, szlochała. Proszę cię, wróć. Chcę mieć cię całego i zdrowego, i żeby wszystko było jak dawniej. Następnego dnia Doerner zadzwonił dokładnie w południe, a ona nie miała mu nic do powiedzenia. Zawiadomił więc policję.

Godzinę później zapukało do drzwi dwóch policjantów — tym razem nie były to już młokosy, zadawali inne pytania, uważniej też przyglądali się Katherine i całemu domowi.

— Ładnie tu — zauważył jeden z nich przechadzając się po salonie i podziwiając widok rozciągający się za dużymi oknami.

— Moja żona — wtrącił drugi — zawsze chciała mieszkać w zachodniej części Vancouver. Ale dla nas jest tu za drogo... jak zresztą dla większości ludzi.

Katherine nic nie odpowiedziała, usiedli więc i zaczęli ją wypytywać: gdzie jej mąż najchętniej robił zakupy, dokąd jeździł, czy miał długi, czy uprawiał hazard, czy lubił kobiety, jakie kupował prezenty, czy lubił alkohol, narkotyki... Ale Katherine odpowiadała bardzo wstrzemięźliwie. Nie wspomniała o nie zapłaconych rachunkach, które znalazła w biurku Craiga, ani o rozliczeniach, ani o zawiadomieniach z banku sygnalizujących przekroczenie konta. Powiedziała natomiast, że przez dziesięć lat ich małżeństwa mąż wcale się nie zmienił, że zawsze był hojny dla swej rodziny, choć nie szastał pieniędzmi, że nie uprawiał hazardu, pił bardzo mało, ubierał się w sposób niewyszukany i nie zażywał narkotyków.

Po godzinie policjanci wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Pani Fraser, musimy dowiedzieć się jak najwięcej o prywatnym życiu pani męża. Mamy nakaz jego aresztowania i jeśli tylko żyje, na pewno go znajdziemy. Byłoby jednak dużo łatwiej, zwłaszcza dla pani i dzieci, gdyby podała nam pani nazwiska jego przyjaciół.

— Chodzi wam o kobiety?

— Zwykle do tego sprawy się sprowadzają.

— Nie ma w jego życiu żadnych kobiet — oświadczyła spokojnie.

Sprawiła wrażenie pozbawionej wszelkich emocji. Niczym automat zaprzeczała wszelkim zarzutom. Co chwila patrzyła na swe dłonie i czuła, że ogarnia ją senność, a pokój zaczyna odpływać.

— No cóż, musimy już iść — stwierdzili w końcu policjanci. — Chyba że chciałaby pani jeszcze coś dodać. — Katherine nie poruszyła się. — Gdyby coś się pani przypomniało, to wie pani, gdzie nas szukać. — Skinęła głową. — Cóż, skontaktujemy się z panią. I, pani Fraser... — Policjant zawiesił głos, co sprawiło, że Katherine spojrzała na niego. — Bylibyśmy wdzięczni, gdyby nie opuszczała pani miasta.

Niecałą godzinę później pojawił się pierwszy dziennikarz i Katherine, wystraszona niczym zaszczute zwierzę, otworzyła drzwi, lecz ie wpuściła nieznanego do środka.

— Nie mam nic do powiedzenia — oświadczyła. Dziennikarz zaczął wymachiwać ołówkiem, niczym dyrygent batutą.

— Pani Fraser, czy pokłóciła się pani z mężem? Czy mieliście jakieś ...hmm... problemy natury intymnej? Czy mąż kupował pani biżuterię? A może dawał prezenty przyjaciółkom? Czy często podróżował? Gdzie się wtedy zatrzymywał? W hotelach, czy... hmm... u przyjaciółki?

Kurczowo zaciskając palce na kłamce, Katherine kręciła głową.

— To nie pański interes — odparła w końcu, zatraskując mu drzwi przed nosem.

Jednak we wtorek rano na pierwszej stronie „Vancouver News” zobaczyła zdjęcie swego męża — patrzył na nią z tym swoim

nikłym, smutnym uśmiechem na ustach. „Policja poszukuje Craiga Frasera, współwłaściciela Vancouver Construction — firmy, która wybudowała wiele dużych obiektów w Vancouver — w celu przesłuchania go w związku z defraudacją siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów będących własnością przedsiębiorstwa. Ostatni raz widziano go w ubiegły wtorek, kiedy to — jak zeznała policji jego żona — wyjechał służbowo do Toronto. Pani Fraser odmawia udzielania wywiadów dziennikarzom. Policja poszukuje Frasera w całej Kanadzie i przygranicznych miastach Stanów Zjednoczonych. Oczekuje się, że wkrótce go odnajdzie i zaaresztuje.”

Zdjęcie Craiga w gazecie i mocne słowa czyniące z niego człowieka poszukiwanego przez policję spadły na Katherine niczym grom z jasnego nieba. Po raz pierwszy dopuściła do świadomości myśl, że Craig nie wróci do domu.

Rozdział trzeci

Ross Hayward odłożył gazetę i wyjrzał przez okno z kołującego nad Vancouver samolotu. Miasto z dwóch stron otoczone było wodą, a drapacze chmur zdawały się drgać w blasku porannego słońca. Z dala na horyzoncie rysowały się przysłonięte mgiełką góry. Widok ten przypominał Rossowi miasto, z którego przyleciał — tak, ktoś pochodzący z San Francisco mógł czuć się w Vancouver jak w domu. Jeszcze raz spojrzął na leżącą na kolanach gazetę. Kilkakrotnie czytał artykuł o defraudacji i ucieczce podejrzanego, ale jego uwagę od dwóch dni przykuwała przede wszystkim fotografia brodatego mężczyzny o nikłym, smutnym uśmiechu.

— Być może — mruknął. — Ale pewnie nie, to zbyt niewiarygodne...

Na lotnisku Ross zajrzał do książki telefonicznej i odnalazł adres Craiga Frasera. Nie zamierzał dzwonić — musiał zaskoczyć żonę Craiga, zobaczyć jej reakcję, w przeciwnym razie jego przyjazd nie miałby żadnego sensu.

— Musisz tam pojechać — oświadczyła Victoria poprzedniego dnia. — Telefon na nic się tu nie zda.

Niczym burza wpadła na salę konferencyjną, nie zważając na protestującą sekretarkę i przerywając wypowiedź asystenta do spraw kadr w biurze burmistrza San Francisco.

— Ross! Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.

Włosy Victorii były lekko potargane, a jedwabna apaszka przekrzywiona. Po raz pierwszy od trzydziestu pięciu lat Ross zobaczył babcię nie tak wymuskaną jak zawsze i w dodatku publicznie okazującą swe emocje.

Wstał ze swego miejsca u szczytu stołu.

— Wszyscy chyba znacie moją babcię — powiedział świadom faktu, że z większością tych ludzi Victoria jest po imieniu, spotyka się z nimi na kolacjach i posiedzeniach Rady Dyrektorów, a także zaprasza ich do swego domu. Victoria przywitała się zdawkowo, a Ross ujął ją pod ramię. — Przepraszę was teraz na chwilę, pod moją nieobecność macie okazję swobodnie skrytykować moje plany.

— Nie omówiliśmy jeszcze sprawy czynszów — zgłosił dyrektor do spraw planowania.

— Dane znajdziecie na stronie czterdziestej. Przejrzyjcie je. Zaraz wracam.

Ross wprowadził Victorię do swego biura, zostawiając w sali konferencyjnej najważniejszych w San Francisco oficjeli, którzy od miesiący już omawiali jego plany architektoniczne. I pewnie miało upłynąć jeszcze następnych parę miesięcy, zanim zatwierdzą wszystkie szczegóły wartego trzysta milionów projektu pod nazwą „BayBridge Plaża” i pozwolą na rozpoczęcie prac budowlanych. Ross chciał uczestniczyć w posiedzeniu, żeby bronić swych pomysłów i przyspieszać proces zatwierdzania, lecz babka koniecznie chciała mu o czymś powiedzieć. Usiadł obok niej na sofie.

— Co się stało? — spytał.

— Popatrz — drżącą rękę podała mu „Vancouver News”. — Tobiasz zauważył to na stoisku z zagranicznymi gazetami. Jest tu zdjęcie Craiga...

Głos jej się załamał, gdy wypowiedziała to imię. Ross popatrzył na fotografię, przeczytał artykuł, ponownie spojrzął na zdjęcie i przywołał w myśli obraz Craiga. Potem powoli potrząsnął głową.

Z gazety patrzyła na niego obca puciołowata twarz o wysokim czole i głębokich znikających gdzieś w bujnej brodzie bruzdach. Craig miał szczupłą, chłopięcą twarz, włosy opadały mu na czoło, a w policzkach miał dołki. Ale było coś znajomego w tym uśmiechu i przykuwającym uwagę smutku w oczach.

— Naturalnie teraz ma brodę — skomentowała Victoria. — No i jest starszy. Ale te oczy! I uśmiech! Ross? Czyż to nie Craig?

Ross potrząsnął głową:

— Wątpię. Jest pewne podobieństwo, ale bardzo znikome. To ciekawa sugestia, lecz... — bardzo chciał wrócić na zebranie.

— Ciekawa! Co z tobą? — Siedziała prosto gromiąc go wzrokiem. — Uważasz, że nie potrafisz rozpoznać własnego wnuka? A nawet gdybym miała jakąś drobną wątpliwość, to sądziłam, że mogę liczyć na twoją dociekliwość i upór, a ty po prostu zbywasz wszystko stwierdzeniem, że dostrzegasz znikome podobieństwo. Na miłość boską, czy coś z tobą nie w porządku? — Zauważyła, że zerknął w kierunku drzwi prowadzących na salę. — Widzę, że chcesz już tam wracać. To dlaczego nie powiesz, że zrobisz o co cię proszę? Zaraz bym sobie poszła.

Ross roześmiał się i delikatnie poprawił apaszkę na szyi swej babki.

— No dobrze — czego więc ode mnie oczekujesz?

— Że tam pojedziesz. Przekonaj się, czy to prawda.

— Do Vancouver? Babciu, nie mogę przecież rzucić wszystkiego i szukać kogoś obcego tylko dlatego, że trochę przypomina człowieka, którego nie widziałas piętnaście lat.

— Może przestałbyś wreszcie być taki rozważny? Wcale nie uważam, że to ktoś obcy, i chcę, żebyś to dla mnie sprawdził. Na miłość boską, kogo mam prosić?

— Na przykład Tobiasza — zaproponował Ross. — Albo Claude'a...

— Gdyby chodziło o coś innego. Ale nie w tym przypadku. Ross, ja m u s z ę wiedzieć.

Ross ponownie zaczął czytać artykuł.

— Ale tu piszą, że zniknął. Nie będę więc mógł z mm porozmawiać.

— Jest przecież jego żona. I dzieci. Mają zdjęcia. Dobry Boże, chłopcze, chcesz, żebym cię błagała?

— Nie — Ross uśmiechnął się i ujął dłoń babki. Z całej rodziny

ona była mu najbliższa. Nie umiałby jej odmówić. — Ale trudno mi się wyrwać w tym tygodniu... — Przerwał mu dzwonek jego prywatnego telefonu; przeprosił Victorię i podniósł słuchawkę. Usłyszał natarczywy głos swego brata.

— Ktoś mi przed chwilą powiedział, że we wczorajszym wydaniu „Vancouver News” jest zdjęcie Craiga.

Ross słuchał z nipieciem.

— Trudno mieć pewność.

— Widziałeś je?

— Owszem. Dostrzegłem pewne zastanawiające podobieństwo. Ale nic poza tym.

— Wybieram się tam, żeby wszystko sprawdzić. Przeczytaj mi artykuł; muszę znać całą sprawę.

— Chwileczkę, Derek. Ja już poczyniłem przygotowania do wyjazdu i nie ma sensu, żebyśmy obaj tam jechali. Zadzwoń do ciebie po powrocie.

— Ty jedziesz do Vancouver? Żeby poszperać i sprawdzić, czy to Craig?

— Tak, jadę...

— A po kiego diabła? Nic ci nie da, jeśli on...

— Zadzwoń do ciebie po powrocie.

Gdy odkładał słuchawkę, na twarzy Victorii pojawił się pogodny uśmiech. Poprawiła apaszkę i przyczesła szczotką swe białe włosy.

— Dziękuję ci. Sprytnie postąpiłeś trzymając Dereka z dala od tej sprawy. On by tylko nabałagał.

Ross schylił się i cmoknął babkę w policzek.

— I tak bym tam pojechał. Ze względu na ciebie.

— Nigdy w to nie wątpiłam, mój drogi. Kiedy lecisz?

— Jutro.

Jadąc przez miasto i most Lions Gate w kierunku przedmieścia w zachodniej części Vancouver, Ross zauważył wiele nowych budynków, które pojawiły się tu od czasów jego ostatniej wizyty w tym mieście przed sześcioma laty. Założył wtedy własną firmę w San Francisco i prowadził rozmowy z architektami z Vancouver w sprawie renowacji niszczonej dzielnic. Dzień zakończył wów-

czas w europejskich sklepach na ulicy Robsonstrasse kupując prezenty dla Melanii i dzieci. Czy to możliwe, że Craig już wtedy tu mieszkał, a może nawet minął się z nim na ulicy? Ależ skąd, oczywiście, że to niemożliwe. Craig nie żyje od piętnastu lat, a on na darmo tu przyjechał.

Domy w zachodnim Vancouver wznosiły się na zalesionych wzgórzach. Stały daleko od drogi, z której widać było budynki z drewna i kamienia o szerokich oknach i terasowatych podwórkach. Kiedy Ross otworzył okno, żeby wpuścić do wnętrza taksówki woń czerwcowego powietrza, samochód zatrzymał się przed bukszpanowym ogrodzeniem. Za nim na szczycie łagodnego wzgórza stał dom, mniejszy niż inne, lecz tak pomysłowo zaprojektowany, że dzięki wykorzystaniu ukształtowania terenu wydawał się większy, niż był w rzeczywistości. Dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec, nadbiegło od strony domu i zatrzymało się niedaleko ogrodzenia przyglądając się Rossowi, który właśnie płacił za kurs. Ross popatrzył na chłopca i dech mu zapało. Świat przestał istnieć: widział tylko tego drobnego, przyglądającego mu się z zaciekawieniem chłopca o szczupłej twarzy i jasnych włosach, które niecierpliwym ruchem odsuwał z jasnobrązowych oczu.

— Chyba nie jest pan detektywem — osądził chłopiec. — Oni mają samochody. Nie jest pan też policjantem. A więc kim?

Zdaniem Rossa mały miał jakieś osiem lat, a podobieństwo mogło być zupełnie przypadkowe.

— Kim pan jest? — dopytywał się chłopiec.

— Na pewno nie detektywem — odparł Ross. — A czy oni tu przychodzili?

— Na razie nie, chyba nie, ale tata miał wrócić w piątek i mnóstwo ludzi go szuka...

— Nie odpowiadamy na pytania obcych — przerwała dziewczynka.

— Ale je zadajecie — rzekł Ross uśmiechając się. Dziewczynka mogła mieć około dziewięciu lat, tyle co jego syn,

i zapowiadała się na prawdziwą piękność — miała gęste ciemne włosy i delikatną twarz o wystających kościach policzkowych. Usta świadczyły o tym, że była znacznie bardziej stanowcza niż brat, a wielkie orzechowe oczy patrzyły zuchwale. Po raz pierwszy Ross pomyślał z ciekawością o matce tych dzieci.

— To nasz dom — oznajmiła dziewczynka zdecydowanie. — Mamy prawo zadawać pytania. Założę się, że pan też wypytuje obcych, kiedy przychodzą do pańskiego domu.

Znów się uśmiechnął — polubił tę małą i chciał zdobyć jej sympatię.

— Masz rację. Wypytuje obcych. Zwłaszcza kiedy się nie przedstawiają. Nazywam się Ross Hayward. Jestem architektem, mieszkam w San Francisco i przyjechałem, żeby porozmawiać z waszą mamą o tacie. Chciałbym wam pomóc — dodał, choć wcale nie zamierzał tego powiedzieć. — Jeśli to możliwe.

Ośloniwszy oczy przed słońcem, dzieci przyglądały mu się przez chwilę. Decyzję podjęła dziewczynka.

— Nazywam się Jennifer Fraser. A to mój brat Todd. Mama jest w domu i myślę, że może pan wejść do środka. Proszę pójść z nami.

— Dziękuję — odparł Ross i ruszył za dziećmi po wijącej się ścieżce, a w uszach brzmiało jedno słowo Jennifer". Na imię ma Jennifer, powtarzał. Zatrzymał się, gdy podeszli do drzwi frontowych. Dzieci zostawiły je otwarte i przez jedną ulotną chwilę Ross miał wrażenie, że znalazł się przed wejściem do tajemniczej jaskini.

— Proszę bardzo — powiedziała Jennifer niecierpliwie. — Powiedziałam, że może pan wejść do środka. Zaraz przyprowadzę mamę. — Kiedy Jennifer pobiegła po matkę, Todd poprowadził Rossa przez łukowe drzwi do salonu.

Promieniejący światłem pokój ostro kontrastował z pogrążonym w cieniu holem. Z ogromnych wyglądających na zachód i południe okien roztaczał się widok na ciemnoniebieskie wody zatoki, na zabudowania Vancouver i na wyspę. Mimo iż dom zbudowano zaledwie siedem metrów nad poziomem morza, rozległy widok stwarzał wrażenie znacznie większej wysokości, a salon wydawał się dwukrotnie obszerniejszy. Ross popatrzył na pokój okiem architekta i budowniczego i przesunął dłoń po okiennej framudze.

— Doskonała robota — mruknął podziwiając projekt kolegi po fachu.

— Przepraszam, nie dosłyszałam — przemówił jakiś głos za jego plecami; odwrócił się i zobaczył Jennifer wraz z matką.

— Właśnie podziwiałem okna — odparł. — Są naprawdę wspaniałe.

— Zaprojektował je mój mąż. — Katherine zatrzymała się w przeciwległym krańcu pokoju. — Mam zaufanie do intuicji Jennifer, ale obecnie nie jestem w nastroju do przyjmowania gości, więc gdyby mógł mi pan wyjaśnić, co pana tu sprowadza...

Ross podszedł do niej i wyciągnął rękę.

— Ross Hayward — przedstawił się obserwując uważnie jej reakcję, gdy podawała mu dłoń, lecz nie dostrzegł niczego szczególnego — albo to nazwisko nic jej nie mówiło, albo była zbyt wyczerpana, by okazywać zainteresowanie.

Ross widział, że jest przemęczona — ogromne znużenie malowało się na jej twarzy, cała oparta o drzwi postać chwiała się leciutko, a szyja wydawała się z trudem utrzymywać głowę w pozycji pionowej. Wyczulony jednak na piękno Ross, dostrzegł pod zmęczoną, bladą cerą delikatne rysy twarzy — wystające kości policzkowe, szerokie jasne czoło, długie rzęsy okalające oczy, które w kącikach wznosiły się leciutko ku górze, i pełne usta. Jej ciemne włosy ściągnięte były do tyłu, ale kilka pasemek wyslizgnęło się spod elastycznej opaski i spływało wzdłuż policzków. Rossowi przyszło na myśl, że w innych okolicznościach ta kobieta mogłaby wyglądać pięknie i nagle zapragnął jej pomóc, usunąć zmęczenie z jej twarzy i zobaczyć, jak się uśmiecha.

Ale ona zmarszczyła czoło i na jego taksujące spojrzenie odpowiedziała zdziwionym wzrokiem. Dwukrotnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniała zamiar. W końcu przemówiła.

— Pytałam, co pana tu sprowadza. Jeśli mi pan tego nie wyjaśni, poproszę o opuszczenie mego domu.

— Pani Fraser — zaczął. — Czy moje nazwisko coś pani mówi?

— Pańskie nazwisko?

— Hayward. Potrząsnęła głową.

— A powinno?

— Czy pani mąż nigdy go nie wspominał? — Znowu potrząsnęła głową i Ross, przyglądając jej się uważnie, dodał: — Czy mąż nigdy go... nie używał?

— Oczywiście, że nie. Po cóż miałby to robić? Ma przecież własne nazwisko. Ross skinął głową. Popatrzył na Jennifer i Todda stojących za matką.

— Myślę... — zaczął ostrożnie.

— To niesprawiedliwe! — krzyknęła Jennifer wiedząc, czego ma się spodziewać.

— To my pana tu wpuściliśmy. Nie może pan teraz kazać nam wyjść z pokoju!

Katherine coś tknęło.

— Być może powinniście jednak wyjść — powiedziała powoli. — Nie wiem, o co chodzi, ale może poczekałabyś z Toddem w ogrodzie? Zawołam was, jak tylko pan Hayward ujawni swoje sekrety.

— Mamo, to nie fair!

— Wiem. Ale mimo to zróbcie, o co proszę.

Jennifer z ponurą miną wzruszyła ramionami. Wzięła Todda za rękę i powiedziała:

— Chodź. Nikt nas tu nie chce.

Ross i Katherine odprowadzili dzieci wzrokiem.

— Polubiłem je — wyznał. — Też mam dwoje mniej więcej w ich wieku...

— Tak? — odparła Katherine obojętnie, a Ross natychmiast umilkł czując, że ta uwaga nie była zbyt zręczna. Katherine obchodził wyłącznie powód jego wizyty, a nie szczegóły jego życia.

— Czy moglibyśmy usiąść? — spytał kierując się jednocześnie w stronę sofy: usadowili się na przeciwległych krańcach.

Katherine nie mogła oderwać wzroku od Rossa. Był wysoki, szeroki w barach, swobodnie się poruszał, a jego szczupła, opalona twarz była poważna i spokojna, ale rozpromieniała się natychmiast, gdy tylko Ross się uśmiechał. Jego ciemne oczy były głęboko osadzone pod szerokimi brwiami i niesfornymi ciemnoblond włosami. Ubierał się i poruszał jak człowiek przyzwyczajony do bogactwa. Miał w sobie wszystko to, czego nie miał Craig, a jednak im dłużej Katherine mu się przyglądała, tym bardziej przypominał jej męża.

— Przepraszam — powiedziała odwracając wzrok i podnosząc jakąś nitkę z dywanu. — Wiem, że nieładnie się tak gapić, ale jest pan podobny... jest w panu coś, co przypomina mi mojego męża. Nawet nie wiem, co to takiego... jest pan zupełnie inny niż Craig, lecz coś... — Głos jej się urwał. — Wiem, to absurdalne; pewnie jestem gotowa wszędzie dojrzeć Craiga teraz, kiedy... — Znów przerwała i wzięła głęboki oddech. — Co pana tu sprowadza?

Ross otworzył walizeczkę i wyjął z niej gazetę ze zdjęciem, któremu przyglądał się w samolocie.

— Zobaczyłem to wczoraj w San Francisco.

Wyciągnął gazetę w stronę Katherine, lecz ona wiedząc, co tam jest, nie sięgnęła po nią. Z lekkim zażenowaniem Ross położył „Vancouver News” na sofie,

— Mam kuzyna — zaczął. — Albo go miałem. Nazywał się Craig Hayward. — Z wewnętrznej kieszonki wyjął małą fotografię i położył ją obok gazety. — To zdjęcie zrobiono w roku 1965, kiedy Craig miał dwadzieścia dwa lata. Przyjechał właśnie z college’u na wakacje do San Francisco. Miesiąc później zginął w wypadku. A przynajmniej tak sądziliśmy. Kiedy jednak znaleźliśmy to zdjęcie w gazecie, pomyśleliśmy, że dobrze byłoby z panią porozmawiać.

Zapadła cisza.

— Tak? — odezwała się w końcu Katherine. Ledwie rzuciła okiem na zdjęcie, lecz odczuła dużą ulgę. Ten mężczyzna nie przyszedł z żadną istotną sprawą. — Wciąż jednak nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

— Niektórzy członkowie mojej rodziny — podjął Ross ostrożnie — są zdania, że obydwa te zdjęcia przedstawiają tę samą osobę.

Katherine zmarszczyła brwi.

— Zdawało mi się, że pan powiedział, iż pański kuzyn nie żyje.

— Myśleliśmy, że tak jest.

— Zresztą to nie ma znaczenia. Mój mąż nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Nosi inne nazwisko, pochodzi z Vancouver, a nie z San Francisco i wcale nie jest podobny do tego człowieka na zdjęciu. A nawet gdyby był, to co by to oznaczało? Na świecie mnóstwo jest ludzi podobnych do siebie i nikt nie robi z tego wielkiej sprawy. Przykro mi, że przyjechał pan tu na darmo, ale naprawdę traci pan czas, nie tylko swój, ale i mój, więc byłabym wdzięczna, gdyby pan opuścił mój dom...

— Pewnie ma pani rację — zgodził się Ross, lecz nie ruszył się z miejsca, przenosząc wzrok z gazety na fotografię, a potem rozglądając się po salonie. — Skoro jednak już tu jestem, to byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani odpowiedzieć mi na kilka pytań. Jeśli nie ma pani nic przeciwko.

— Owszem, mam. — Także w jego głosie było coś, co przypominało jej Craiga, i ogarnął ją niepokój.

— Pani Fraser — zaczął Ross spokojnie. — Czy jest pani pewna, że mąż wszystko pani o sobie opowiedział? Może miał przed panią jakieś tajemnice, coś, co zatrzymał tylko dla siebie?

— Nie! — Katherine gwałtownie podniosła się z sofy, wściekła na Rossa, bo przez niego musiała skłamać. — To całkowicie niemożliwe i to nie pański interes! W ogóle nic nie powinno tu pana obchodzić!

Ross siedział spokojnie spoglądając na nią,

— Chcę tylko zadać pani kilka pytań. Zaraz potem odejdę. Jeśli zechce mi pani pomóc, to wkrótce mnie tu nie będzie.

— Ale ja nie potrafię pomóc! Nie rozumie pan? Przecież nic mnie nie obchodzi pan ani pański kuzyn? Sam pan przyznał, że prawdopodobnie nie ma żadnego związku między obiema sprawami, więc czego pan chce? Zjawia się pan tu ni stąd, ni zowąd i oskarża mego męża, że nie jest tym, za kogo się podaje, co jest całkiem nedorzeczne. Pokazuje mi pan zdjęcie mężczyzny, który ani trochę nie jest podobny do mego męża, i oczekuje, że będę wysłuchiwać jego insynuacji. Mam inne sprawy na głowie i życzę sobie, żeby zostawił mnie pan w spokoju. Nie mam pojęcia, po co pan tu przyjechał i dlaczego chce mnie pan zdenerwować...

— Nie chciałem pani denerwować. Przyjechałem, bo prosiła mnie o to moja babka.

To wyznanie było tak nieoczekiwane, że Katherine zaniemówiła. Próbowała sobie wyobrazić babkę Rossa — musiała być już staruszką! — wysyłającą wnuka z misją z góry skazaną na niepowodzenie. Ross pochylił się nieco do przodu.

— Widzi pani, Victoria jest absolutnie pewna, że ten człowiek z gazety to jej Craig, jej własny wnuk, i prosiła mnie... właściwie poleciła mi... — dodał z uśmiechem, w którym było tyle delikatności, że przez chwilę Katherine poczuła do niego sympatię. — Poleciła mi rzucić wszystko i przyjechać do Vancouver, żeby się o tym upewnić.

— A gdyby pan się przekonał, że chodzi o dwie różne osoby?

— Powiedziałbym jej to i ona by się z tym pogodziła. W końcu już raz go straciła.

— Straciła...

Po raz pierwszy Katherine wzięła do ręki fotografię i uważnie się jej przyjrzała. Zobaczyła stojącego z przechyloną głową szczupłego, młodego mężczyznę o gładko ogolonej twarzy, w rozpiętej

pod szyją sportowej koszuli, którego uśmiech zabarwiony był smutkiem, jakby niepokoila go jakaś myśl czy wspomnienie. Drząc lekko Katherine usiadła. Oczy tego mężczyzny podobne były do oczu Craiga, a twarz miał zupełnie taką jak Todd.

— Teraz widzi pani, dlaczego chciałem z panią porozmawiać — rzekł Ross przyglądając się jej.

— Co to znaczy, że go straciła? — spytała Katherine wymijająco próbując zebrać myśli.

— On zniknął. W zatoce San Francisco doszło do wypadku na łodzi i od tamtej pory nie widzieliśmy Craiga. Zakładaliśmy, że utonął, a ciało zniosły prądy. Niedaleko mostu Golden Gate, gdzie zdarzył się wypadek, są szczególnie silne. Craig był jednak bardzo wysportowany, zarówno w liceum, jak i w college'u był mistrzem w biegach długodystansowych. Całkiem możliwe, że zdołał dopłynąć do brzegu. A potem po prostu do nas nie wrócił.

— Ale dlaczego miałby coś takiego zrobić?

— Nie wiem. Może był pod wpływem szoku. Wskoczył do wody, żeby ratować siostrę, kiedy wypadła za burtę.

— I uratował?

Ross potrząsnął głową.

— Nie. Umarła.

— To... straszne. Ale...

— Miała na imię Jennifer.

— Ooch! — Z ust Katherine wyrwało się westchnienie.

— A Craig nigdy nie potrafił zmierzyć się z własnymi problemami. On zawsze od nich uciekał.

Zupełnie tak, jak zrobił twój mąż, dopowiedziała sobie w myśli. Te nie wypowiedziane słowa zawisły w ciszy pokoju. Ale przecież nie mamy pewności, tłumaczyła sobie w myślach Katherine; nie wiadomo nawet, czy tamten Craig żyje. Szybko przedstawiła swój pogląd Rossowi.

— Pańska babka się myli. Widzę tu tylko zwykłe podobieństwo, nic więcej. Mój mąż nigdy nie miał babki, a przynajmniej żadnej nie znał. On w ogóle nie miał rodziny; był sierotą, zupełnie jak ja. Często rozmawialiśmy o tym, jak bardzo chcielibyśmy mieć rodzinę.

— Nie miał rodziny? A kto go wychował?

— Przybrani rodzice, ale my marzyliśmy o prawdziwej kochającej się rodzinie. Państwo Driscoll żywili go i ubierali, lecz nie...

— Państwo Driscoll? Czy takie podał pani nazwisko? Ton jego głosu sprawił, że zawahała się.

— Zna ich pan?

— Razem z moim kuzynem bawiliśmy się w taką grę: udawaliśmy, że nas porwano, i tak bardzo dokuczaliśmy porywaczom, że gotowi byli nam zapłacić, byle się nas pozbyć. Pomysł tej zabawy zaczerpnęliśmy z opowiadania O'Henry'ego *Okup Czerwonego Wodza*, które bardzo lubiliśmy. Jeden z porywaczy, zarówno w tym opowiadaniu, jak i w naszej zabawie, nazywał się Driscoll.

Zapadło milczenie; Katherine czuła, jak wali jej serce. Pewnie dlatego, że on jest tak strasznie poważny, pomyślała; ta powaga sprawia, że zwykłe zbiegi okoliczności wydają się bardziej znaczące, niż są w rzeczywistości.

— Nie jestem ciekawa, w co bawiliście się w dzieciństwie — powiedziała prostując się lekko, jakby chciała wstać. — Jeśli tylko tyle miał mi pan do powiedzenia, to zmuszona jestem pana pożegnać. Mam wiele spraw do załatwienia...

— Wcale nie, pozostało pani jedynie czekać — powiedział Ross chłodnym głosem. — Do licha, proszę zrozumieć, że i ja nie jestem tym wszystkim zachwycony. Nie miałem najmniejszej ochoty tu przyjeżdżać, bo uważałem to za stratę czasu. Ale teraz mam silne przeczucie, że to wcale nie był daremny trud. Jest w tej sprawie sporo szczegółów, których nie potrafię wyjaśnić, ale staram się zawsze doprowadzić rzecz do końca. Myślę, że pani także. Proszę powiedzieć, czy nie chciałaby pani poznać prawdy? Potrzebuję pani pomocy; każda informacja może się przydać...

— Nie mam dla pana żadnych informacji!

— Jakies zdjęcia. Listy. Może pamiętnik. Czy mąż pani miał swoje biurko? Craig zawsze miał w domu własne biurko i wszystko w nim było posegregowane, starannie poukładane w małe stosiki ściśnięte gumką albo przewiązane sznurkiem. Zawsze trzymał zapas sznurka.

— I co z tego? — krzyknęła Katherine. — Miliony ludzi układają przedmioty w biurkach w taki właśnie sposób!

— To nie wszystko — ciągnął Ross nie spuszczać wzroku z Katherine. — Czy mam zgadnąć, o kim pani pomyślała patrząc na to zdjęcie? O swoim synu! Mam rację? Myślę, że tak. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Todda, miałem wrażenie, że widzę Craiga

z czasów, kiedy był w wieku pani syna. Craig i ja wychowaliśmy się razem; był ode mnie tylko dwa lata starszy — a to znaczy, że teraz miałby trzydzieści siedem lat; czy w tym wieku jest pani mąż? W dodatku byliśmy sobie bardzo bliscy, całkiem jak bracia, pewnie dlatego, że żaden z nas nie lubił Dereka, mojego prawdziwego brata. Derek jest ode mnie o rok starszy. Tak więc wszyscy naraz spieszyliśmy się na ten świat, jak zwykła mawiać Victoria. Jennifer też urodziła się w tym samym mniej więcej czasie — gdyby żyła, miałaby teraz trzydzieści trzy lata. A Todd wygląda dokładnie jak Craig, gdy miał siedem czy osiem lat. A ile ma?

— Co ile?

— Ile lat ma Todd? Siedem czy osiem?

— Osiem.

Katherine podeszła do łuku drzwiowego prowadzącego do holu. Przez otwarte drzwi frontowe widziała Todda i Jennifer — siedzieli na trawie po turecku. Nie rozmawiali, nawet się nie poruszali. Po prostu czekali. Na ojca, na wieści o nim, na to, że coś się zdarzy. Katherine zadrżała. Coś jednak zaczynało się dziać. Z powrotem odwróciła się do Rossa i pomyślała, że podoba jej się jego twarz, wyraziste rysy, spokojne, pełne uwagi spojrzenie i uśmiech, który pojawiał się na jego ustach, gdy mówił o babce. Przez moment Katherine zapragnęła zaprzyjaźnić się z tym człowiekiem, bo nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Odkąd ukazał się w gazecie ten artykuł o defraudacji, nikt do niej nie dzwonił i nikt jej nie odwiedził, nawet Sara Murphy. Ale przyjaźń z Rossem była niemożliwa.

— Proszę już iść — powiedziała ponownie. Widziała jego sylwetkę na tle ogromnych okien, lecz nie mogła dostrzec twarzy. Gdy się nie odezwał, ciągnęła dalej: — Już usłyszałam pańską opowieść, tę idiotyczną historyjkę, w którą tak niewzruszenie pan wierzy, niezależnie od tego, co ja o niej sędzę. A więc sama powiem panu, co myślę. Na pewno żył kiedyś jakiś Craig Hayward podobny do mojego syna, ale to jest tylko zbieg okoliczności, i to już pański problem, nie mój. Ja poślubiłam Craiga Frasera, przeżyłam z nim dziesięć lat i znam go dobrze. Jak pan może tak po prostu przyjść tu i wmawiać mi, że nie znam własnego męża i że trzymał w tajemnicy przede mną swoją przeszłość w San Francisco, istnienie swej babki i całej rodziny. Za kogo pan mnie ma, za dziecko?

Przykro mi, że jest pan zawiedziony, ale ani jedno pańskie słowo nie jest zgodne z prawdą... to znaczy, wierze, że ma pan kuzyna o imieniu Craig, albo miał pan takiego, ale nic poza tym nie jest prawdą, nic, nic...

Słowa Katherine rozplynęły się w ciszy pokoju. Ross podszedł do niej. Zauważyła ze zdziwieniem, że jego twarz wyraża surowość, ale oczy są łagodne. Kiedy się odezwał, głos miał tak spokojny, że dopiero po chwili dotarło do Katherine znaczenie jego słów.

— Mój kuzyn Craig Hayward, jego siostra Jennifer, mój brat Derek i ja wychowaliśmy się w San Francisco niedaleko Sea Cliff, a weekendy spędzaliśmy pływając, żeglując po morzu albo wędrując po górach. Craig zawsze mówił, że pewnego dnia zbuduje dom na wzgórzu, dom o ogromnych oknach z widokiem na góry albo na morze.

Katherine spojrzała odruchowo w głąb pokoju, w kierunku okien, za którymi widać było zalaną słońcem zatokę u stóp wzgórza.

— Craig dużo czytał — ciągnął Ross. — Głównie powieści szpiegowskie i książki historyczne. Miał zdolności manualne i lubił rzeźbić w drewnie, zwłaszcza postacie ludzi. Ale szczególnie podobały mu się figurki ze steatytu robione przez Eskimosów. Takie jak ta. — Mówiąc to Ross wziął do ręki dwudziestocentymetrowego czarnego wieloryba, którego przed rokiem Craig kupił od Hanka Aylmera; Aylmer był jego kolegą i kupował rzeźby od Eskimosów, by je potem sprzedawać w Stanach.

Katherine zamknęła oczy pragnąc, by Ross poszedł sobie wreszcie. Ale on nie odchodził i w trudnej do zniesienia ciszy Katherine podwójnie mocno odczuła, jak bardzo ciąży jej nieobecność Craiga. Do tej pory była zbyt oszołomiona, zbyt zajęta wydzwanianiem i rozmowami z policją oraz tłumaczeniem wszystkiego Jennifer i Toddowi. Dopiero teraz tak naprawdę uświadomiła sobie, że jest oto we własnym domu, lecz nie ma w nim Craiga. Czuła wszędzie obecność męża, lecz jego samego nie było. I wcale nie chodziło o to, że nie ma go w salonie czy w jadalni, albo nawet w Vancouver. Czuła się tak, jakby sama przed sobą musiała przyznać, że Craiga w ogóle nie ma.

Czy ten człowiek nie rozumie, że ona właśnie o tym musi pomyśleć? Dlaczego tak bezlitośnie zalewają informacjami, podczas gdy ona potrzebuje czasu, by oswoić się z myślą, że Craig odszedł?

Otworzyła oczy, żeby mu to powiedzieć, ale Ross natychmiast zaczął snuć dalej swą opowieść.

— Mój kuzyn interesował się budownictwem. Zresztą wszyscy się tym zajmowaliśmy — nasz dziadek Hugh, który zmarł w 1964; jego synowie Jason i Curt; i my trzej — Craig, syn Jasona, oraz Derek i ja, synowie Curta. W każde wakacje pracowaliśmy w rodzinnej firmie; przyzwyczajaliśmy się do tej pracy od dziecka: najpierw zamiataliśmy biuro, biegaliśmy na posyłki, towarzyszyliśmy rodzicom w rozmaitych inspekcjach budynków, a potem pomagaliśmy przy projektowaniu. Craig to uwielbiał; nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie skończy studia i zacznie pracować. Tego lata, kiedy Jennifer zginęła w wypadku, a on zaginął, też pracował razem z moim ojcem. Czy w tamtym pokoju w biurku są jakieś zdjęcia?

Katherine cała się trzęsła, więc splotła ramiona, żeby jakoś powstrzymać drżenie. Właściwie nic nie musiała mówić temu człowiekowi. Gdyby go nie słuchała, wreszcie by sobie poszedł, a ona nigdy by już o nim nie usłyszała i mogłaby zapomnieć, że kiedykolwiek tu był.

Wiedziała jednak, że na to jest już za późno. Ross Hayward miał rację — Katherine chciała znać prawdę. Wyminęła go, weszła do gabinetu i z górnej szuflady biurka wyjęła zdjęcie, które wcześniej znalazła. Bez słowa wręczyła je Rossowi i przez chwilę razem patrzyli na śmiejącą się w słońcu śliczną dziewczynę.

— Dobry Boże — westchnął Ross głęboko.

Ponownie otworzył walizeczkę i wyjął z niej inne zdjęcie przedstawiające cztery osoby na żaglówce: Rossa wciągającego żagiel, Craiga przy sterze — takiego samego jak na poprzednim zdjęciu — jakiegoś przystojnego, ale pełnego rezerwy nieznajomego w kabinie, a obok niego śliczną dziewczynę osłaniającą oczy przed słońcem i patrzącą na sunący w górę żagiel.

— To Jennifer — powiedział Ross. — Siostra Craiga.

Rozdział czwarty

Derek Hayward dolał sobie whisky swej ulubionej marki — babka zawsze trzymała ją w barku specjalnie dla niego — i przyjrzał się uważnie stojącej po przeciwnej stronie pokoju kobiecie, której towarzystwo narzucił rodzinie jego brat; była to zwyczajna kanadyjska gospodyni domowa wyglądająca w eleganckich salonach Victorii jak polna mysz wśród orchidei. A więc to jest właśnie Katherine Fraser, żona Craiga Fradera, który, jeśli Ross rzetelnie wszystko sprawdził, jest w rzeczywistości ich kuzynem Craigiem Haywardem. Tym, który odszedł przed wielu laty i o którym dawno zapomniano. A przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

Ale po cóż, u diabła, Ross tak się spieszył z przywiezieniem tutaj tej kobiety? Nie dając rodzinie szansy na omówienie tej sprawy lub choćby na przywyknięcie do myśli, że ta kobieta naprawdę istnieje, sam uznał za stosowne zaprosić ją i jej dzieci do San Francisco. A Victoria zaakceptowała to posunięcie bez słowa protestu. Tak więc zebrali się wszyscy na rodzinnej kolacji. Nawet Jason i Anna porzucili swą kryjówkę w Maine i przybyli, by poznać Katherine Fraser i dowiedzieć się czegoś o swym synu, o swym złotym chłopcu, który jednak nie utonął piętnaście

lat temu, tylko uciekł. A teraz wyglądało na to, że zrobił to powtórnie.

Derek uśmiechnął się lekko. Można mieć pewność, pomyślał, że Craig zawsze będzie sobą. Obracając w dłoni szklaneczkę szkockiej, Derek obserwował Katherine, która rozmawiała z kimś z rodziny, i zastanawiał, co ukrywa pod tą szarą i bezbarwną powierzchownością. Pewien był, że to, co widzi, to nie wszystko, bo Craig zawsze lubił przystojne kobiety. Ta jednak nie miała w sobie ani odrobiny elegancji, blasku, nie potrafiła nawet trzymać się prosto i nie była piękna... chociaż, może trochę. Miała ładne rysy twarzy i niezwykle oczy i gdyby o siebie zadbała, nie garbiła się i nie robiła ponurych min, mogłaby okazać się interesująca. Derek wzruszył ramionami. W końcu co za różnica, pomyślał? Jeśli rzeczywiście jest żoną kuzyna Craiga — a fotografia, którą pokazała Rossowi zdaje się nie pozostawiać w tej kwestii wątpliwości — to liczy się jedynie fakt, że niejako reprezentuje tu swego męża, oni zaś powinni dowiedzieć się od niej, co naprawdę wie o Craigu i czego od nich oczekuje.

Cała rodzina skupiła się wokół Katherine w przeciwległym końcu salonu. Minęło już prawie piętnaście lat, odkąd wszyscy zgromadzili się pod jednym dachem, a mimo to bardziej interesowali się żoną Craiga niż sobą nawzajem. Ten sukinsyn zdołał skupić na sobie uwagę wszystkich, mimo iż był nieobecny. Zawsze to potrafił.

Derek rozejrzał się po pokoju pobieżnie, lecz uważnie — czynił tak podczas każdej wizyty u babki, by upewnić się, że Victoria w niczym nie obniża standardu tego domu. Wart był obecnie fortunę, znacznie więcej niż wydał na niego dziadek, gdy dwadzieścia pięć lat temu kupił i urządził dwa górne piętra budynku. Derek pomyślał, że staruszek był prawdziwym geniuszem. Na długo przed tym, jak renowacja starych przedmiotów weszła w modę, sprawił, że Haywardowie zasłynęli z tego, iż po mistrzowsku — choć wiele to kosztowało — odnawiali na zamówienie antyki. Wszystkie swe umiejętności dziadek wykorzystał na urządzenie domu — każdy detal był jego dziełem, poczynając od najmniejszego rzeźbionego gzymsu, poprzez ogromne marmurowe kominki, aż po wysokie pod sam sufit okno w stylu Tiffany'ego. Perfekcja. Ta zasada przyświecała wszystkiemu, czego wnukowie nauczyli się od Hugh'a Haywarda, wciąż ją pamiętali i stosowali w swej pracy, nawet jeśli

używali nowoczesnego szkła i stali, a więc materiałów, które Derek lubił najbardziej. A przynajmniej, uściślił w myślach, ja ciągle tę zasadę pamiętam i Ross chyba też. Kto wie, o czym pamięta Craig?

I znów Craig. Bez przerwy tu jest, wtrąca się we wszystko. W głębi pokoju pomiędzy Rossem i Yictorią stoi ta jego kanadyjska żona, przypominając całej rodzinie, że Craig żyje i w każdej chwili może się tu zjawić. Wprawdzie bardziej prawdopodobne, że pojawi się w Vancouver, ale teraz, po tym jak Ross przywiózł jego żonę do San Francisco, równie dobrze może wrócić na łono rodziny i do firmy budowlanej, którą Derek samodzielnie zarządzał przez te wszystkie lata.

— Cóż to za przerażająco sroga mina — skomentowała wesoło Melania podchodząc do Dereka. — Któż tym razem jest ofiarą tego spojrzenia? — Podążyła za jego wzrokiem. — Ach! Nowa zabawka Rossa.

Przez chwilę patrzył z aprobatą na elegancko ubraną Melanię i wodził oczyma po okrągłościach obciążniętych jedwabną suknią, po czym spytał obojętnie:

— Co o niej sądzisz? Zacisnęła usta.

— Dobra żona nigdy nie wypowiada się na temat zabawek swego męża.

— Kochana Melanio, przecież doskonale wiesz, że mój brat nie zajmuje się kolekcjonowaniem kobiet. Ani nie zabawia się z nimi, — Przekładając szklaneczkę do drugiej ręki, musnął delikatnie nagie ramię Melanii. — Jeśli szukasz powodu, by się rozwieść, to musisz rozejrzeć się za jakimś *innym*.

— A jeśli taki znajdę?

— Wszystkich by nas to zadziwiło.

Derek patrzył, jak Ross podaje Katherine kieliszek wina.

— Zadziwiłoby cię! Czyż nie powtarzałam ci tyle razy...

— Tyle razy... — uśmiechnął się. — Wniosek z tego, że bardzo łatwo jest uskarżać się na męża, nie rezygnując z jego konta.

— Derek, Melanio — usłyszeli za sobą głos Tobiasza. — Co tam knujecie?

— Wymieniamy przepisy kulinarne — odparł bez zająknięcia Derek. — Jak się masz, Tobiaszu? Jak zdrówko? Ciągłe piszesz jeszcze tę swoją książkę... o czym to było? O kanibalizmie?

— O miłości — poprawił go Tobiasz wesoło. — Chyba mylą ci się oba te pojęcia. — W jego dużych niebieskich oczach malowała się prostoduszność, a równo przystrzyżona biała broda poruszała się, gdy mówił. — No i naturalnie piszę jeszcze historię naszej rodziny, jak sam zresztą wiesz. Zastanawiam się nawet, czy nie powinienem przeprowadzić z tobą wywiadu, by zdobyć materiał do obu tych książek. Twój oryginalny punkt widzenia...

— Chyba Victoria cię szuka — przerwał mu Derek widząc, że babka rozgląda się po pokoju. — Zdaje się, że jak przystało na dobrego brata pomagasz jej, pełniąc funkcję gospodarza tego szumnego przyjęcia?

Tobiasz wbił w niego wzrok — przez chwilę przyglądał się Derekowi bardzo uważnie, po czym jego spojrzenie znów stało się miękkie, prostoduszne i spokojne.

— Victorii pomaga Claude, bo bardzo to lubi, a ja mogę dzięki temu dreptać dokoła i słuchać, co ludzie mówią, a mnie właśnie to sprawia przyjemność. Dlaczego ty i Melania nie przyłączyliście się do rozmowy o nowym członku naszej rodziny?

— Przepraszam — rzuciła nagle Melania i przeszła przez pokój dołączając do Katherine i Rossa. — Jeszcze nie miałyśmy okazji porozmawiać — przerwała im bez ogródek zwracając się do Katherine. — Rozumiem, że wszyscy chcą cię poznać, ale w końcu to właśnie mój mąż cię znalazł, więc należy mi się chwila rozmowy, prawda?

Katherine odniosła wrażenie, że nagle rozbłysło przy niej światło i wystawiło na widok publiczny wszystkie jej niedociągnięcia. Przy niebieskiej jedwabnej sukience Melanii jej lniany kostium wydawał się bezbarwny i pognieciony; w porównaniu z błyszczącymi, hebanów oczarnymi włosami żony Rossa jej własne były matowe, a blada skóra wyglądała jak sprana, kiedy patrzyło się na złocistą opaleniznę Melanii. Prostując się Katherine miała też świadomość, że pełen gracji chód Melanii wynika z bezpieczeństwa, jakie daje bogactwo, i poczucia pewności siebie, którego ona nie potrafiła nawet udawać. W luksusowym wnętrzu apartamentów Victorii, wśród tych bogatych ludzi, Katherine czuła się tak obco i niezręcznie, jakby nagle wylądowała na innej planecie.

A jednak znajdowała się w centrum uwagi. Ross uprzedził ją o tym, zapraszając do tego domu.

— To także twoja rodzina — powiedział wtedy. — Powinnaś ich poznać i dać im szansę, by poznali ciebie i oswoili się z myślą, że ty i dzieci naprawdę istniejecie. W końcu... — przez moment wyglądał na rozbawionego, bo znów uświadomił sobie, jak wielka to zmiana w życiu całej rodziny — dowiedzieć się nagle po piętnastu latach, że ktoś, kogo się kochało, nie tylko nie umarł, ale ma żonę i dzieci...

— Ale może... on już nie żyje — powiedziała Katherine.

— Ja zakładam, że żyje. A nawet jeśli nie, to masz rodzinę w San Francisco i wszyscy mają sporo zaległości do nadrobienia.

W jego ustach wydawało się to takie proste. Przez dwa dni poprzedzające przyjazd do San Francisco Katherine próbowała wyobrazić sobie tę nieznaną rodzinę i ekscytowała się perspektywą spotkania. Nawet Jennifer i Todd, początkowo zupełnie zdezorientowani, poczuli się w końcu zaintrygowani faktem, że ni stąd, ni zowąd mają dziadków i że wkrótce odbędą pierwszą w życiu podróż samolotem.

— Wciąż jednak nie rozumiem — stwierdziła Jennifer, gdy znajdowali się już wysoko nad ziemią, a jej nie można było odciągnąć od okna — dlaczego tata nigdy nie powiedział nam, że ma rodzinę.

— Zadajesz to pytanie bez końca — mruknął Todd, który przegrał w rzucie monetą i miejsce przy oknie miał zająć dopiero w drodze powrotnej.

— Ciebie może to nie obchodzić, ale ja chciałabym wiedzieć — odcięła się Jennifer.

— Może ich nie lubił — snuł domysły Todd. — To, że ktoś należy do twojej rodziny, nie oznacza, że musisz go lubić. Nam pewnie też się nie spodobają. Zresztą założę się, że nawet nie są z tatą spokrewnieni, to pewnie jakaś idiotyczna pomyłka. Wolałbym, żebyśmy tam nie jechali.

— Ja też — przyznała się Jennifer. — Boję się. Gdybyśmy rzeczywiście mieli dziadków, to tata by nam powiedział. Po co właściwie oni nas zaprosili? Trzeba było zostać w domu.

— Może chcą nas porwać — zasugerował Todd. — I będą nas trzymać dla okupu.

— A kto zapłaci okup? — chciała wiedzieć Jennifer.

— Tatusz, oczywiście — odparł Todd. — Tylko że jego tu nie

ma — przypomniał sobie. — A więc nikt nie zapłaci i oni nigdy nas nie wypuszczą, i będą nas więzić do końca życia.

— Przestańcie — przerwała Katherine trochę zmęczona, lecz i rozbawiona. — Wygląda na to, że Haywardowie naprawdę są rodziną taty, a więc i naszą, i jestem pewna, że nie musimy się ich obawiać. Ross powiedział, że chcą nas poznać i może razem łatwiej będzie nam zgadnąć, dlaczego tata nigdy nam o nich nie powiedział. W przeciwnym razie przyjdzie nam czekać, aż tata wróci i sam wszystko wyjaśni. Ale skończcie już z domysłami, dobrze? Wyobraźcie sobie raczej, jak to miło nagle otrzymać w darze od losu rodzinę, która nam pomoże.

Nagle otrzymać w darze rodzinę. Która czeka teraz na nich. W pewnym sensie Jennifer miała rację — Katherine też się bała. Na razie jednak siedząc we wnętrzu ogromnego samolotu i obserwując swe dzieci oglądające zawinięte w serwetki sztuczce i maleńkie pojemniczki z jedzeniem, Katherine poczuła przypływ dobrego humoru i optymizmu. Dzięki Haywardom zyska w kimś oparcie — będą jak skała, która ochroni ją i dzieci, gdy wszystko dokoła wydaje się walić. No i będzie mogła porozmawiać z kimś o Craigu. Nie miała już nikogo; próbowała dzwonić do Leslie, ale gdzieś wyjechała. Z Haywardami nie będzie już więcej sama.

Radość i napięcie malowało się na jej twarzy, gdy Ross odbierał ich z lotniska. Kiedy samochód zatrzymał się przed domem Victorii, radość udzieliła się Jennifer i Toddowi. W windzie kurczowo trzymali się Katherine, ale gdy Ross wprowadził ich do apartamentu Victorii, gdzie oczekiwała grupka ludzi, zostali nieco z tyłu.

— To rodzina Craiga — powiedział cicho Ross.

Katherine poczuła na sobie przeszywające, taksujące ją spojrzenia. Rodzina Craiga. To nie może być prawda. Jednak nikt nie zaprzeczył słowom Rossa. To rodzina mojego męża. A ja nawet nie miałam pojęcia, że istnieje.

— Victoria Hayward, babka Craiga. A to Katherine Fraser — przedstawił je sobie Ross, przerywając ciszę.

Stały naprzeciwko siebie. Osiemdziesięcioletnia Victoria była tego samego wzrostu co Katherine i równie szczupła jak ona. Miała delikatną pergaminową skórę i krótkie, bieluteńkie loczki wokół twarzy — wyglądała jak królowa. Choć Katherine zachowała pozorny spokój, zmieszała się i poczuła bardzo młoda i niedoświadczona.

Gdy witała się z Victorią, dłoń starszej pani była sucha, chłodna i zaskakująco silna.

— Witaj, moja droga — rzekła z nikłym uśmiechem. — Jesteś dla nas prawdziwą niespodzianką.

— A to Jennifer i Todd Fraser — powiedział Ross podprowadzając dzieci. Victoria spojrzała na nie i zamarła. Stojąca za nią kobieta głośno westchnęła. Victoria dotknęła jasnych włosów Todda i powiedziała:

— A więc to jest twój syn. A córce dałaś na imię Jennifer.

— Tata wybrał mi imię — wtrąciła dziewczynka. — Mówił, że to jego ulubione.

— Tak — mruknęła Victoria. Todd popatrzył na nią ciekawie.

— Czy to pani jest naszą babcią?

— Nie do wiary — szepnęła Victoria. — Nawet głos...

— Ja nią jestem — niewysoka, lekko pochylona kobieta podeszła do dzieci z wyciągniętymi ramionami. — Jestem waszą babcią. — Wzruszona uśmiechnęła się do Katherine. — Nazywam się Anna Hayward. Jestem matką Craiga. A to Jason... — Gestem wskazała wysokiego mężczyznę o ogorzalej twarzy. — Ojciec Craiga. — To właśnie Anna tak głośno westchnęła na widok Todda, a teraz objęła go cała rozpromieniona. — Aż trudno uwierzyć, Jasonie, prawda? Takie podobieństwo...

Todd zarumienił się zakłopotany tą sceną, lecz Katherine przyglądała się Jasonowi, który nawet nie drgnął. Twarz miał zupełnie obojętną.

— Tak — przyznał. — Kiedyś Craig tak właśnie wyglądał. Ross zaczął przedstawiać kolejne osoby.

— To jest Tobiasz Wheatley, brat Victorii; moja żona, Melania; to nasze dzieci, Jon i Carrie; a to Claude Fleming, przyjaciel rodziny. I mój brat, Derek Hayward.

Derek skinął głową. Katherine pamiętała go ze zdjęcia — to ten przystojny, pełen rezerwy nieznajomy stojący w kabinie łodzi. Teraz też zachowywał się powściągliwie i nie brał udziału w rozmowie, która, jak zacinający się silnik, to zaczynała się, to znów cichła.

— W bibliotece mamy mnóstwo gier komputerowych — powiedział do Todda Jon Hayward. Był od niego o rok straszny i miał głęboko osadzone, ciemne oczy swego ojca. — Może chciałbyś

zagrać? Wy też możecie — rzucił wspaniałomyślnie do Jennifer i Carrie.

— Pokonamy ich — głośno szepnęła do Jennifer i Carrie, mała, energiczna blondyneczka, wspinając się na palce. — Jon zwykle szybko się niecierpliwi i zaczyna grać jak oszalały.

— Mamo — spytał Todd — możemy?

Katherine zawahała się przez moment, bo nie chciała zostać sama. Widząc to Jennifer powiedziała:

— Ja wolę zostać tutaj.

Katherine potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że to zostało zaplanowane i Ross poinstruował dzieci, by zabrały małych gości z pokoju.

— Oczywiście, idźcie — przyzwoliła wreszcie. — I bawcie się dobrze.

Patrzyła, jak cała czwórka wybiega z pokoju, po czym przeszła z rodziną do salonu. Ledwie jednak przekroczyła próg tego pokoju, a stanęła jak wryta, onieśmielona jaskrawym wystrojem: zobaczyła ściany obite morelowym jedwabiem, sofy i fotele z bladej żółtej aksamitu i grube perskie dywany. Żłocistoczerwone promienie zachodzącego słońca wpadały do pokoju przez wysokie okna i zalewały go blaskiem — wyglądał jak rozświetlony od wewnątrz i Katherine spoglądała na to cudowne miejsce z prawdziwą przyjemnością.

— To najpiękniejszy pokój, jaki kiedykolwiek widziałam — powiedziała miękko.

— Owszem — przyznała zadowolona Victoria,

Usiadła w dużym fotelu tuż obok otwartych drzwi balkonowych, a inni tymczasem zaczęli przygotowywać sobie drinki, nakładać na talerzyki przekąski ze stojącego przy pianinie stołu i zasypywać Katherine pytaniami. Tylko Derek trzymał się z boku. Od czasu do czasu Katherine zerknęła w jego stronę, bo intrygowała ją jego rezerwa i niejasno uświadamiała sobie, że to jego izolowanie się wywiera na nią silny wpływ; Derek należał do ludzi, którym inni pragną zaimponować i których niewzruszony, chłodny spokój starają się choćby odrobinę naruszyć.

— Jak wygląda Craig? — dopytywała się Anna. — Na tych zdjęciach w gazecie trudno się czegoś dopatrzeć; są takie zamazane.

— Przywiozłam trochę zdjęć — powiedziała Katherine wyjmując

z torebki plik fotografii i podając je Annie. Anna natychmiast przekazała je Victorii. Katherine zarumieniała się. Zauważyła, że najważniejszą osobą w rodzinie jest właśnie Victoria. Ross mówił mi o tym, przypomniawszy sobie, że powinnam była pamiętać.

Victoria powoli przeglądała zdjęcia, podając Annie te, które już obejrzała. Była bardzo blada, a usta jej drżały, lecz nie odezwała się ani razu, a gdy skończyła oglądać fotografie, utkwiała wzrok w przestrzeni za szklanymi drzwiami.

— Czy Craig wciąż lubił wędrowki po górach? — spytała Anna widząc całą rodzinę w wagoniku kolejki górskiej w Górach Grouse. — Czy miał jakichś podwładnych? — zaciekała się na widok Craiga i Carla Doernera pracujących przy biurkach. — Wciąż przechowuję jego trofea, które zdobył w biegach długodystansowych — oznajmiła trzymając w dłoni zdjęcie Craiga na rowerze. — Jeśli chcesz, to chętnie ci je prześlę.

Tobiasz także oglądał fotografie, komentując je kolejno i podając innym, którzy też dorzucali swoje uwagi. Głos Tobiasza, wyraźny i smutny, wybił się ponad ogólny harmider:

— ...i zastanawiam się cały czas, jakim obcym człowiekiem byłby teraz dla mnie. Zapadła cisza.

— Ale nie dla mnie — przerwała ją Katherine drżącym głosem. — Dla mnie nigdy nie będzie obcy.

— O mój Boże — zmartwił się Tobiasz. — Bardzo cię przepraszam, nie chciałem sprawić ci przykrości. Cytowałem tylko pewnego poety, Wilfrida Gibsona. Mam zwyczaj wtrącania tu i ówdzie rozmaitych cytatów, których niestety moja rodzina zupełnie nie zna. Kiedy wykładałem na uniwersytecie, moi studenci musieli ich słuchać, bo po prostu nie mieli innego wyjścia. Teraz bardzo mi tego brakuje. Nie powinnaś, Katherine, brać tego do siebie. Mimo, że, jak sama rozumiesz, Craig jest teraz kimś obcym dla nas.

Jason przeszedł obok Tobiasza i stanął przy Katherine. Był wysoki i szczupły, miał silne dłonie o guzowatych kłykciach świadczące o pracy w ogródku, a oczy niespokojne, cały czas lustrujące pokój.

— Ross mówił, że twój mąż zajmuje się budownictwem. Czy ma własną firmę?

— Jest jej współwłaścicielem.

— Jaka część należy do niego?

— Jedna czwarta.

— Jedna czwarta?

— Zamierzał zwiększyć swój udział — Katherine pospieszyła z obroną męża. — Właściwie to Carl planował przekazać firmę Craigowi po przejściu na emeryturę.

— Jakie były zyski?

— Nie wiem. — Katherine miała się na baczności. — Wszystko zależało od ilości zleceń w ciągu roku, a Craig nie lubił rozmawiać o pieniądzach. Zresztą nigdy nam ich nie brakowało.

— Cóż... — odezwał się Jason.

Katherine wstrzymała oddech pewna, że za chwilę ktoś powie: „Nigdy nie brakowało skradzionych pieniędzy. Przecież on przywłaszczył sobie mienie firmy”. Nikt jednak tego nie powiedział. Pewnie nie chcą poruszać tego tematu, pomyślała. Nagle uświadomiła sobie, że choć wszyscy ją wypytują, to jednak nikt tak naprawdę nie rozmawia z nią o Craigu.

W dodatku i ona sama, i Jason mówili o nim w czasie przeszłym. Tak jakby już nie żył.

Katherine rozejrzała się po pokoju. Zauważyła, że Derek się jej przygląda — jego szczupła twarz i głęboko osadzone oczy wyrażały największe skupienie, tak jakby nie dostrzegały niczego poza jej osobą. Zdenerwowana spojrzała w innym kierunku, na Claude'a Fleminga, który na razie nie odezwał się jeszcze ani słowem, i na Rossa, teraz znacznie bardziej powściągliwego niż w Vancouver, a potem w dal, w przestrzeń za szklanymi drzwiami.

Z okien budynku stojącego na szczycie wzgórz Pacific Heights rozciągał się widok na San Francisco i dalej, aż po przysłonięte mgiełką wody zatoki. Krajobraz odbijał się w lustrach i stapał z wiszącymi na jedwabnych różowych ścianach gobelinami, tak że granice pomiędzy pokojem, niebem i leżącym w dole miastem jakby ulegały zatarciu. Goście Victorii zdawali się zawieszeni nad ziemią w złocistym świetle zachodzącego słońca. Katherine pomyślała, że znajduje się w jakimś zaczarowanym miejscu i zastanawiała się, czy Craig czuł się podobnie, kiedy przebywał w tym pokoju.

Kiedy był w tym pokoju. Przecież to tutaj, wśród tych właśnie ludzi dorastał. Trudno jej było to zrozumieć. Gdzie teraz jesteś? Katherine zdusiła szloch. To twoja rodzina; nie powinnam była przyjeżdżać tu bez ciebie, powinniśmy być tu razem...

— Katherine — Victoria dała znak, by usiadła przy niej. — Opowiedz mi o swojej rodzinie.

W paru zdaniach Katherine opowiedziała o rodzicach, o ich sklepiku z artykułami spożywczymi, o mieszkaniu nad sklepem, które było ich domem, dopóki nie skończyła trzech lat, bo potem rodzice umarli w odstępie kilku miesięcy zaledwie, a nią zajęła się ciotka.

— Wychowałaś się w Vancouver?

— Nie. W San Francisco,

— W San Fransisco! Ross! Wiedziałaś o tym?

— Nie — Ross spojrział na Katherine. — Nie wspominałaś...

— Pytałaś tylko o Craiga.

— Powinnaś była sama mu powiedzieć — oświadczyła Victoria. — A gdzie studiowałaś?

A więc to egzamin, uznała Katherine. I pewnie go oblałam, bo wychowałam się nad sklepem spożywczym.

— Studiowałam w San Francisco State College przez dwa lata. Potem musiałam podjąć pracę.

Prowadząc to przesłuchanie Victoria porównuje mnie do tych kobiet, które mężczyźni z rodu Haywardów zwykle wybierają na żony, pomyślała Katherine. Tamte są bogatsze, inteligentniejsze, piękniejsze.

Ross przyniósł Katherine kieliszek wina, a Claude Fleming spytał:

— A gdzie pani pracowała?

— W sklepie jubilerskim jako urzędniczka. Chciałam nauczyć się projektować i wykonywać biżuterię.

— I nauczyła się pani?

— Zrobiłam parę drobiazgów.

— Sprzedała je pani?

— Nie. Podarowałam znajomym.

Wiem, o co tu chodzi, pomyślała. Jestem jak kandydatka na pannę młodą, którą rodzina narzeczonego dokładnie sprawdza. Tylko że pana młodego tu nie ma. Ale choć niewidzialny, Craig był tutaj jednak i nagle Katherine za nim zatęskniła, tak bardzo, że poczuła, iż łzy napływają jej do oczu. Gdzie jesteś?, płakała bezgłośnie. I kim ty właściwie jesteś? Pragnęła Craiga, tego, którego знаła, pragnęła wrócić do domu, chciała, by wszyscy czworo znów byli razem, tam gdzie ich miejsce.

— Pani Fraser — Claude Fleming stał przy krześle Victorii. — Czy pani mąż ma jakieś znaki szczególne? Jakaś bliznę na przykład? Może utyka na jedną nogę?

Nadzieja wstąpiła w Katherine. A więc oni nie byli całkowicie pewni, że chodzi o tego samego człowieka. Może Todd miał rację i to wszystko jest jedną wielką pomyłką. I ona też miałaby wtedy rację myśląc, że dobrze zna Craiga — przecież nie zataiłby przed nią tak ważnej sprawy.

Ross przez chwilę obserwował Melanię i Dereka — stali bardzo blisko siebie, dopóki Tobiasz nie zaszedł ich od tyłu. Wtedy Ross odwrócił wzrok.

— Claude, pamiętaj o fotografii, którą Katherine znalazła w biurku Craiga — powiedział.

— A jego syn? — wtrąciła Victoria. — Wiem, że chcesz nam pomóc, Claude, ale ten chłopiec to przecież skóra zdjęta z Craiga. I dziewczynka, która ma na imię Jennifer. Wszystkich nas to zaszokowało.

— Prawnik opiera się na dowodach, nie na emocjach — odparł Claude.

— Prawnik? — zdziwiła się Katherine.

— Jestem prawnikiem i przyjacielem rodziny w jednej osobie. A więc czy mąż pani miał jakieś znaki szczególne?

— Owszem, bliznę — wyjaśniła Katherine dziwiąc się, że Haywardowie poprosili prawnika o pomoc w rozmowie z nią. — Tuż obok prawej brwi.

— Tak jak Craig — stwierdziła z westchnieniem Victoria. — Po jednym z tych cyrkowych rzutów podkową, jakie Derek uwielbiał.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — zawyrokował Claude. — Ale na razie wystarczy. Pani Fraser, co mąż powiedział pani o Haywardach?

— Co mi powiedział?... Nic. Już mówiłam, że nigdy nie słyszałam o Haywardach, dopóki Ross nie zjawił się w Vancouver.

— A więc przez piętnaście lat — ciągnął sarkastycznie Claude — mąż ani razu nie rozmawia z żoną o własnej rodzinie. O rodzicach. O dziadkach. O siostrze. O dwóch kuzynach. Trochę trudno w to uwierzyć, nie wydaje się pani?

Katherine zarumieniała się.

— Nie jestem pewna, co panu się wydaje...

Ross uspokajająco dotknął jej dłoni.

— Myślę, Claude, że on trzymał nasze istnienie w tajemnicy — rzekł cicho.

— A więc co, do diabła, pani powiedział? — żądał odpowiedzi Claude.

— Że jest sierotą. To nas, jak mi się wydawało, łączyło. Mówił, że wychował się w Vancouver w domu przybranych rodziców i że zawsze pragnął mieć rodzinę... — głos Katherine zamarł.

— To niedorzeczne — mruknął Claude. — Idiotyczne. Wtedy właśnie Melania przeszła przez pokój i wcisnęła się

między Rossa i Katherine mówiąc: „Jeszcze nie miałyśmy okazji porozmawiać”. Stojąc blisko niej Katherine poczuła, że wygląda bezbarwnie i nie pasuje do tego miejsca.

— O — odezwała się Victoria z ulgą w głosie, widząc lokaja przy wejściu do jadalni. — Czas na kolację. Ross, możesz mi pomóc? Derek, jak do tej pory unikałeś nas, poprowadź więc Katherine do stołu. Claude, ty pójdziesz z Melanią. A Jason chyba z Anną. Tobiaszu, mój drogi, niestety nie mamy nikogo dla ciebie do pary.

— Jest jeszcze lokaj — odparł wesoło Tobiasz i ruszył do stołu, zajmując miejsce na wprost Victorii siedzącej u szczytu.

Derek zasiadł po prawej ręce babki, a Katherine po lewej. Nie była to jednak rodzinna kolacja w ciepłej atmosferze, jak to sobie wyobrażała. Na błyszczącym mahoniowym stole, który swobodnie mógł pomieścić osiemnaście osób, przygotowano dla dziewięciorga biesiadników uroczyście wyglądające nakrycia na ręcznie zdobionych serwetkach.

W tej samej chwili, kiedy Katherine uświadomiła sobie, że nie ma tu miejsca dla dzieci, Victoria powiedziała:

— Dzieciom podano do stołu w bibliotece. Jak wynika z mojego doświadczenia, znacznie lepiej się czują w swoim towarzystwie niż z dorosłymi. Jeśli jednak wolałabyś mieć je przy sobie, to możemy przenieść tu nakrycia.

— Nie trzeba — Katherine znów poczuła, że łzy napływają jej do oczu. — Jestem pewna, że lepiej im w bibliotece.

Osamotniona i zakłopotana, Katherine patrzyła, jak lokaj nalewa do kieliszków czerwone wino, a pokojówka podaje bladozieloną zupę w miseczkach z delikatnej porcelany. Poza Derekiem wszyscy

nastawieni byli do niej przyjaźnie i nie powiedzieli złego słowa na Craiga. Coś jednak nie grało i Katherine starała się odgadnąć,

o co chodzi, podczas gdy jadła zupę i przysłuchiwała się rozmowom na temat biurowca wzniesionego przez Hayward Corporation oraz złożenia oferty na wybudowanie wiaduktu nad autostradą pod San Jose.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Ross podniósł kieliszek.

— Proponuję toast za nowego członka naszej rodziny.

— Tak — poparła go Victoria. — Witaj w rodzinie, Katherine. Mamy nadzieję...

Starsza pani przerwała i zapadła cisza. Nadzieję na co?, zastanawiała się Katherine trochę zirytowana. Mamy nadzieję, że Craig nie umarł ani nie leży ranny gdzieś w zapomnieniu? Że jeśli żyje, to jednak nie jest winien defraudacji? Że wróci do żony i dzieci i ureguluje sprawy finansowe? A może, że po piętnastu latach okłamywania wszystkich wróci do Haywardów? Że wreszcie wyzna żonie prawdę? Że Katherine potrafi znaleźć jakieś wyjście z sytuacji?

— Mamy nadzieję, że Craig powróci do nas wszystkich — zrećźnie dokończył toast Ross. — Katherine, czy zechciałabyś opowiedzieć o swoim domu? Jest wspaniały, zwłaszcza okna.

Katherine zaczęła opowiadać, ale prawie natychmiast Ross jej przerwał i sam wyjaśnił, że usytuowanie domu i ogromne okna zharmonizowane są z kształtem zalesionego wzgórza, a widok rozciąga się na południe na panoramę Zatoki Angielskiej, miasto i wyspę Vancouver.

— Ale jak to jest z tym widokiem? — zaciekał się Tobiasz. — Czy nie zasłaniają go te wszystkie drzewa?

— Rzeczywiście są bardzo wysokie — odparła Katherine obojętnie, zajęta własnymi myślami. — Ale można patrzeć pomiędzy nimi. Wyglądają jak filary podpierające niebo.

Derek podniósł wzrok zaskoczony. Tobiasz również sprawiał wrażenie zdziwionego tym, że Katherine powiedziała coś interesującego.

— Ciekawe skojarzenie — mruknął.

— Lubisz drzewa? — spytała Anna. — Nasz dom w Maine stoi na skraju lasu.

— Craig pomagał je karczować pod budowę domu — dodała Katherine pamiętając pełen triumfu uśmiech na twarzy męża, gdy

on i jego ludzie wyrwali z korzeniami ogromne drzewo, martwe już, ale wciąż mocno trzymające się ziemi. — Craig lubił... lubi ciężką pracę.

— Czy nie masz już dość tego lasu? — Tobiasz zwrócił się do Anny. — Piętnaście lat ciszy i spokoju to chyba wystarczy. Dlaczego nie przeprowadzicie się tutaj z powrotem? — Oczy mu zabłyśły. — Jason mógłby wrócić do firmy i znów bylibyśmy razem.

Derek powoli obrócił się na krześle.

— Czy zająłeś się planowaniem życia całej rodziny, Tobiaszu? — spytał beznamiętnym głosem.

Melania roześmiała się. Tobiasz zrobił wesołą minę, Claude zmienił temat i wtedy właśnie Katherine zrozumiała, co nie gra tego wieczoru. Nikt nie był zainteresowany Craigiem. Jason wydawał się wręcz wrogo do niego usposobiony, a inni — nawet Victoria i Anna, dla których fakt, że Craig żyje, zdawał się wiele znaczyć — byli tak powściągliwi, jakby w ogóle nic do niego nie czuli. Owszem, zadawali pytania — wszyscy z wyjątkiem Dereka — ale przy stole zachowywali się tak, jakby zebrali się tu na zwyczajnej codziennej kolacji, a nie z powodu jakiejś szczególnej okazji.

Katherine odchrząknęła. Serce jej waliło, bo bała się, że wszystkich rozzłości. W końcu jednak przyjechała tu, żeby dowiedzieć się czegoś o własnym mężu.

— Dlaczego Craig zniknął piętnaście lat temu? — przerwała toczące się rozmowy.

Zapadło milczenie. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Victorii. Pierwsza odezwała się Melania.

— Dlaczego? — zaczęła cedząc słowa. — Pewnie z tego samego powodu, dla którego uciekł od ciebie.

— Zamilcz, Melanio — ucięła Victoria. — Sama nie wiesz, co mówisz.

— Widzisz, oni wtedy nie byli jeszcze małżeństwem — wyjaśnił Tobiasz. — Mam na myśli Rossa i Melanię. Dlatego Melania nigdy nie poznała Craiga.

— Wspaniały rostbef — delectując się powiedział Derek do Victorii. — Słabo wysmażony. Czy zatrudniłaś nowego szefa kuchni? Rzadko się trafia coś tak doskonałego.

— Ja go zatrudniłem — odparł Tobiasz. — Ale znalazł go Claude.

— Znalazłem też tę orchideę — dodał Claude, dotykając stojącego na środku stołu kwiatu, którego łukowate łodyżki zakończone białymi kwiatami odbijały się w mahoniowej powierzchni niczym w lustrze. — Podobnie jak w przypadku kucharza rzadko się trafia na coś tak doskonałego.

— Czy może hodujesz kwiaty? — Victoria zwróciła się do Katherine. — Albo warzywa? Muszę przyznać, że nie wiem, jaki klimat panuje w Vancouver.

Katherine odłożyła widelec. Była wprawdzie gościem Victorii i rzucało się w oczy, że nie dorównuje tym bogatym, pewnym siebie ludziom, ale ogromnie chciała dowiedzieć się czegoś o Craigu. Z oczyma utkwionymi w orchideę powiedziała:

— Próbowałam dowiedzieć się, dlaczego Craig uciekł piętnaście lat temu. Myślałam, że mi w tym pomożecie, że...

— Dacie mi pieniądze — dokończyła zadowolona z siebie Melania. — Wszyscy chyba wiedzieliśmy, że o to chodzi. A mówiłeś, że nie mam racji — zwróciła się do Rossa. — No i co, kto był w błędzie? Jak tylko przekonała się, że jej mąż pochodzi z bogatej rodziny...

— Nie — uciał Ross. — To ja zaprosiłem Katherine tutaj, a ona przyjechała...

— Żeby odebrać swoją część — Melania nie spuszczała oczu z wpatrzonej w stół Katherine. — Zgadza się? Niczym rentę dla weteranów. A może Craig miał ochotę wrócić na łono rodziny, choćby po to, by cieszyć się jej towarzystwem, i sprytnie wymyślił, żeby wysłać najpierw słodką żonkę w celu zbadania sytuacji?

Victoria przyglądała się gościowi. Tak po prostu pozwala Melanii wygłaszać te wstrętne oskarżenia, myślała Katherine.

— „Dmij, dmij, zimowy wietrze!” — zacytował Tobiasz. — Melanio, od twoich słów wieje chłodem, są bardzo nieprzyjemne.

— Albo — ciągnęła Melania — może nie chodzi o pieniądze. Może ona chce, żebyśmy zatuszowali ten skandal wokół osoby Craiga i wszelkie inne jego sprawy z ostatnich...

— Do jasnej cholery! — zaklął Ross wstając gwałtownie.

— Nikt z nas nie wie, dlaczego Craig zniknął — Tobiasz jakby zaczął usprawiedliwiać obecnych. — To było piętnaście lat temu. Trudno nam teraz o tym mówić — dodał. — Także dlatego, że nie potrafimy tego wyjaśnić. Claude rozmawiał wtedy z policją...

— Myśleliśmy, że nie żyje — Claude mówił patrząc na Katherine. — Nigdy nikomu nie przyszło do głowy, że on chciał zniknąć.

— Zastanawialiśmy się nad tym wiele razy... — dodała Anna.

— Brak informacji... — zaczął Tobiasz.

— Zaufania! — przerwał Jason. — To był brak zaufania! Gdyby ten głupi młokos zwrócił się do nas i powiedział, co się stało...

— A co się stało? — spytała Katherine.

— On wcale nie był głupi! — sprzeciwiła się Anna. — Craig był mądry, kochany i delikatny...

Właśnie taki, pomyślała Katherine.

— Złoty chłopak — mruknął Derek.

— Który nie został bohaterem — wtrącił Jason. — Dlatego uciekł, bo nie potrafił spojrzeć nam w twarz.

— Bardziej prawdopodobne — powiedział cicho Ross — że uciekł, bo nie mógł spojrzeć w twarz samemu sobie.

— Ale dlaczego? — w głosie Katherine słychać było rozdrażnienie.

— Z powodu tchórzostwa! — krzyknął Jason.

— Umarł próbując... — zaszlochała Anna, a donośny opanowany głos Claude'a sprostował:

— Wygląda na to, że wcale nie umarł.

— Dość tego! — Victoria podniosła się od stołu, a oczy jej ciskały błyskawice. — Przepraszam cię — zwróciła się do Katherine — moja rodzina zachowuje się jak rozkrzyczany tłum. — Zmierzyła wszystkich wzrokiem. — To niewybaczalne!

Gestem zatrzymała lokaja, który właśnie pojawił się w drzwiach, pchając przed sobą wózek. W pokoju zapadła cisza. Victoria powoli usiadła, po czym skinęła na lokaja. Zaczął okrążyć stół oferując desery, a pokojówka nalewała kawę. Kiedy wszyscy już zostali obsłużeni, Victoria zwróciła się do Katherine:

— Ross nic ci nie powiedział o wypadku na jachcie? Katherine odparła niepewnie:

— Wspomniał tylko, że doszło do wypadku. Victoria pokiwała głową.

— Rzeczywiście trudno jest nam na ten temat rozmawiać. Mimo iż upłynęło tyle lat. Zwłaszcza teraz gdy... zakończenie tej historii trochę się zmieniło. Ale poznasz ją. — Upiła łyżeczek kawy i rozejrzała się po zebranych. — Claude ci ją opowie.

— Proszę bardzo — przytaknął ochoczo prawnik.

Ciekawe dlaczego on, zastanawiała się Katherine. Przecież jego tam nie było. Ross mówił, że byli tylko we czwórce.

— Cała czwórka — zaczął Claude — Craig, Jennifer, Derek i Ross, płynęła przez zatokę do domu. Zmierzchało się już. Zatoka często jest zdradliwa, zwłaszcza o tej porze dnia i w pobliżu Golden Gate; mówiono mi, że trzeba bardzo uważać, żeby przepłynąć tamtędy bezpiecznie. A oni wracali z przyjęcia w Sau-salito, gdzie trochę sobie popili, i żadne z nich nie było w stanie skupić się na żeglowaniu. Nagle wiatr zmienił kierunek i bom na łodzi przechylił się. Uderzył Jennifer, która straciła przytomność i wypadła za burtę. Craig natychmiast za nią wyskoczył. Ross i Derek natomiast — choć wówczas nie byli jeszcze doświadczonymi żeglarzami — zdołali zawrócić łódź, po czym dopłynęli do miejsca, gdzie wypadła Jennifer. Ale ona już nie żyła. A Craig zniknął.

W pokoju ponownie zapadła cisza. Katherine zerknęła na ściągnięte twarze Jasona i Anny, próbując sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby jednego dnia straciła obydwójce dzieci. To jednak przekraczało możliwości jej wyobraźni — odpychała od siebie już samą tę myśl i zastanawiała się, czy właśnie dlatego Jason i Anna wyjechali do Maine.

— Dziwne — odezwał się zadumany Tobiasz. — Myślałem, że chodziło o coś więcej. Wprawdzie mieszkałem wówczas w Bostonie, ale przypominam sobie, że doszły mnie wtedy słuchy, iż przyczyną wypadku był nie tylko wiatr, lecz i jakieś nieporozumienie, można by nawet rzec kłótnia, która odciągnęła...

— Doszły cię słuchy, Tobiaszu? — przerwał zimno Derek. — Nigdy nie mówiłeś nam, że słyszysz jakieś głosy. Czy miewasz również wizje?

— Katherine powinna poznać całą prawdę o tym wypadku — upierał się Tobiasz.

— Craig się pokłócił? — zaciekawiała się Katherine. — O co?

— Wszyscy byli wtedy po kieliszku — wyjaśnił Claude. — Mieli sprzeczne opinie na temat sposobu kierowania łodzią i chyba nie mogli dojść do porozumienia. Z jakiegoś powodu po wypadku zrodziły się plotki o kłótni, a nawet bójce; nikt jednak nie wie dlaczego. Myślę, że po tylu latach nie ma sensu przypominać plotek.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Melania nerwowo stuknęła paznokciem w kieliszek.

— Bardzo cię proszę — powiedziała Victoria i palec Melanii znieruchomiał.

— Tak więc — podjął Claude — wygląda na to, że Craig pojechał wtedy do Vancouver. Najprawdopodobniej autostopem. Pani Fraser, czy on kiedykolwiek opowiadał pani o tym?

— Co pan sobie wyobraża? — rzuciła ostro Katherine. — Mówiłam panu, że nigdy nie mówił o...

— Tak, wciąż o tym zapominam. Skąd wziął to nazwisko: Fraser?

Popatrzyła na niego tępo.

— Nie mam pojęcia.

— Może to jakieś przedmieście Vancouver? W południowej części miasta?

— O nazwie Fraser? — spytał Ross. — Rzeczywiście takie przedmieście istnieje, Claude?

— To całkiem niedaleko od granicy ze Stanami. Znalazłem je na mapie. Przypuszczam, że Craig był tam przejazdem,

— Czy Craig nie zarzucił rzeźbienia? — spytał Katherine Tobiasz. — Zawsze podobały mi się te małe ludziki, które robił, były takie realistyczne.

— Wyobraź sobie — wtrąciła Anna — że przez pewien czas chciał nawet zawodowo zająć się rzeźbiarstwem.

— Mnie się to w głowie nie mieści — stwierdził Tobiasz. — Myślałem, że nigdy nie mógł się doczekać, żeby pracować w firmie razem z Jasonem i Curtem. Nie do wiary! Więc nie tylko Ross chciał pójść swoją drogą.

I znowu to samo, pomyślała Katherine, znów zaczęli salonową konwersację.

— Chce pan powiedzieć — zwróciła się do Tobiasza — że Craig odszedł, żeby pójść swoją drogą? Proszę mnie zrozumieć, ja próbuję zrozumieć, jakiego rodzaju człowiekiem był... jest Craig.

— Przecież wyszłaś za niego — wtrąciła słodko Melania. — Musiałaś wiedzieć, jaki on był.

— Czy Craig rzeczywiście zmarł? — spytał Tobiasz. — Nie wiedziałem, że zdecydowaliśmy się uznać go za zmarłego.

— Nie! — krzyknęła Katherine.

— W przypadku Craiga — snuł domysły Derek — trudno cokolwiek powiedzieć.

— Nie my o tym będziemy decydować — przerwała Victoria. Przez cały wieczór podtrzymywała rozmowę, obserwując wszystkich zebranych przy stole. Katherine uświadomiła sobie, że tylko jeden raz Victoria zaangażowała się w to, co mówiła — by uciąć dyskusję, która mogłaby ujawnić część prawdy o Craigu. — Przejdźmy do salonu na kieliszek porto i koniaku — dodała wstając.

Nie wszyscy jeszcze skończyli kawę i deser. Katherine zrozumiała, że starsza pani chce przyspieszyć koniec kolacji. Chce, żebym już sobie poszła, uznała w myśli. To takie proste i oczywiste. Dlaczego zrozumienie tego zajęło jej tyle czasu? Oto Ross poprosił Victorię, by wydała kolację, a ona to zrobiła, lecz wcale nie dlatego, że sama tego chciała. Nikt z całej rodziny nie pragnął tego spotkania; nikt nie chciał, żeby Katherine była na nim obecna. Nikt nie chciał rozmawiać o Craigu.

Może zresztą chcieli, ale nie umieli spojrzeć prawdzie prosto w oczy i pogodzić się z tym, że przez te wszystkie lata Craig żył. A ponieważ w obecności Katherine nie mogli tego faktu zignorować, więc uznali ją za intruza. Craiga zresztą też. Mimo iż nie był tu z nią.

Co on takiego zrobił, że własna rodzina nie cieszy się, że jednak żyje?

Tak wyraźnie jakby siedział obok niej, Katherine usłyszała głos Craiga: „Większość rodzin jest wewnętrznie skłócona”. Często to powtarzał na początku małżeństwa dodając, że ich rodzina będzie zupełnie inna. Teraz Katherine miała wrażenie, iż Craig jest tak blisko, że może go dotknąć. Wewnętrznie skłócona — ponownie usłyszała jego głos.

— Chwileczkę — przemówiła głośno, ściągając na siebie spojrzenia, bo wszyscy już odsuwali krzesła. — Proszę, zaczekajcie chwilę.

— Powiesz nam w salonie — oświadczyła Victoria.

— Nie, proszę — nalegała Katherine wiedząc, że dopóki cała rodzina jest razem przy stole, to istnieje szansa, że jej wysłuchają. — Nie rozumiem was. Chciałam porozmawiać o życiu Craiga z czasów, zanim go poznałam, i myślałam, że wy również pragniecie się dowiedzieć, co się z nim działo przez ostatnich piętnaście lat. Miałam nadzieję, że podzielimy się ze sobą tym, co o nim wiemy,

bo on sam nigdy nie złożył obu części swego życia w jedną całość; ściśle je rozdzielił...

— Tylko tego chcesz? — spytał Claude. — Mimo iż wiesz, kim jest rodzina Haywardów i jaką firmę...

— Niczego o Haywardach nie wiem! Nie rozumiecie, że tak naprawdę nie znałam człowieka, którego poślubiłam? Prawie nic nie wiem o jego rodzinie; sama już nie wiem, w co mam wierzyć; nie jestem nawet pewna, czy rozumiem samą siebie. Nie widzicie tego? — Nikt jej nie odpowiedział. — Cóż, jest coś jeszcze. Myślałam, że będziecie tacy szczęśliwi z faktu, że Craig żyje, iż zrobicie wszystko, co w waszej mocy, żeby go odnaleźć. Macie pieniądze i władzę — Katherine zignorowała triumfujące spojrzenie Melanii skierowane do Rossa — myślałam, że wynajmiecie detektywów, że zamieścicie ogłoszenia w gazetach, że obdzwonicie znajomych z innych miast, w których Craig mógł się ukryć... Myślałam, że pomożecie mi go szukać. Wydawało mi się też, że może jest jakieś powiązanie między tym jego zniknięciem a poprzednim. Gdyby udało nam się to odkryć, to razem znaleźlibyśmy go pewnie szybciej, niż gdybym szukała go sama.

Nikt się nie odezwał. Patrzyli w okno, na Katherine, na białą orchideę odbijającą się w ciemnym mahoniowym stole. Z biblioteki dobiegał cichy śmiech, lecz w salonie panowała cisza.

Katherine wstała. Czowała, że nie może się skoncentrować, a w głowie jej się kręci, ale była jakoś dziwnie podekscytowana. Musiała sama dać sobie radę, bez pomocy Craiga. A jeśli ich rozzłości i odwróci się do niej plecami, to i z tym sobie poradzi.

— Miałam też nadzieję, że pomożecie mnie i dzieciom, że pożyczycie nam trochę pieniędzy, dopóki Craig nie wróci. Nie mam zbyt wiele oszczędności i jeszcze nie wiem, co mam dalej robić. Chodziło mi wyłącznie o pożyczkę, nie o darowiznę; wykorzystałabym te pieniądze między innymi na wynajęcie detektywa, by odnalazł Craiga. Musimy go znaleźć i pomóc mu. — Zrobiła krótką przerwę. — O ile w ogóle możemy... jeśli jeszcze żyje. Nie wiem, co mu się przytrafiło, może ma jakieś kłopoty, może jest ranny, a wy zachowujecie się tak, jakby to on was zranił i obraził, tylko dlatego że... — Znów przerwała. Do tej pory nikt nie wspomniał o defraudacji, więc nie chciała być tą, która robi to pierwsza. — On był... on jest wspaniałym mężem i cudownym

ojcem... kocham go i nie odwrócę się od niego, nawet jeśli wy to zrobicie, i nie rozumiem, jak możecie rozmawiać o ogródkach, o rzeźbach z drewna i orchideach, kiedy Craig... Victoria władczo uniosła dłoń.

— Nie potrzebujemy twoich pouczeń w kwestii zachowania. Bardzo niewiele o nas wiesz...

— Wiedziałybyśmy więcej, gdybyście mi o sobie opowiedzieli!

— Nie przerywaj mi! Otworzyliśmy przed tobą i dziećmi drzwi naszego domu. Nie masz powodu, by nas krytykować.

— Wcale nie zamierzałam tego robić — oczy Katherine zaszyły łzami. — Ale mam wrażenie, że wolelibyście nic nie wiedzieć o Craigu Fraserze.

— Katherine — odezwał się Tobiasz strofującym tonem na widok zaciśniętych ust Victorii. — Już zbyt wiele powiedziałaś. I nie mów więcej, niż będziemy w stanie zapomnieć.

— Wcale nas tu nie chcecie — ciągnęła z uporem. — Nie chcecie ani mnie, ani Craiga. Ale oczywiście bardzo to miło z waszej strony, że mnie tu zaprosiliście. — Zawahała się chwilę, po czym ruszyła do wyjścia.

— Młoda damo! — zatrzymał ją lodowaty głos Victorii. Uszu Katherine dobiegł pełen zgorznienia lament Tobiasza: „O, Katherine”, pomruki Melanii: „Coś podobnego; nikt nie wychodzi w środku...”, a po chwili głos Victorii: — Jak śmiesz odwracać się do mnie plecami! I dokąd zamierzasz pójść? Poza nami nie masz nikogo, kto mógłby ci pomóc.

Katherine odwróciła się bokiem do Victorii — starsza pani wyglądała bardzo pięknie w tym królewskim wybuchu gniewu i wydawało się, nic nie jest w stanie jej dotknąć.

— Wy nie chcecie mi pomóc, a ja was nie potrzebuję. Przez dziesięć lat razem z Craigiem sami dawaliśmy sobie radę, nie istnieliście dla nas, dlatego więc niby teraz miałabym do was przychodzić? Znajdę go... i znów wszystko będzie w porządku. — Szybko opuściła pokój tak roztrzęsiona, że obawiała się upaść.

Nagle poczuła, że Ross obejmuje ją ramieniem.

— Myślę, że powinnaś zostać — tłumaczył. — To, co powiedziałaś o nas, jest po części prawdą, ale Victoria miała rację: jest mnóstwo rzeczy, których o nas nie wiesz. A to, że pomożemy ci

finansowo, nie ulega żadnej wątpliwości. Bardzo cię przepraszam za insynuacje mojej żony...

— Nie masz za co przepraszać. Ale nie chcę pomocy od twojej rodziny. Pragnę tylko wrócić już do domu, bo tam jest moje miejsce, i odnaleźć męża.

Ross już miał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie. Weszli właśnie do biblioteki. Cała czwórka wpatrzona była w ekran i pochłonięta komputerowym wyścigiem, w którym Jennifer i Carrie współzawodniczyły z Toddem i Jonem. Dobrych kilka minut zajęło Katherine odciągnięcie dzieci od gry.

— Oni mają milion gier, mamó! — mówił zachwycony Todd, gdy szli wzdłuż długiej galerii.

— Te gry nie należą do nas — wyjaśnił Jon. — Należą do prababci, ale ona pozwala nam się bawić, kiedy tylko chcemy. Jak przyjedziecie następnym razem...

— A przyjedziemy? — spytała Jennifer, zerkając na matkę i próbując odczytać coś z jej twarzy.

— Nie... — zaczęła Katherine, a to jedno słowo zabrzmiało głośniejszym, niż chciała, i to w chwili, gdy znaleźli się w holu, gdzie już czekali na nich Victoria i Tobiasz.

Tobiasz ujął rękę Katherine w swoje dłonie.

— Wszyscy zachowaliśmy się bardzo nieładnie — powiedział. — Wstyd mi za nas. Ale wierzę, że jeszcze nas odwiedzisz; to chyba oczywiste, skoro się już poznaliśmy i uważamy cię za członka rodziny...

Było jednak jasne, że Tobiasz nie zachęca ich do pozostania. Katherine zrobiła krok do tyłu i zwróciła się do Victorii:

— Do widzenia. Przykro mi.

— Mnie też — odparła niespodziewanie Victoria. A zaraz potem spytała Rossa: — Czy odwieziesz ich na lotnisko?

Jeśli Katherine miała jeszcze jakiegokolwiek obawy, że rozzłości Haywardów, uleciały one bez śladu.

— To nie jest konieczne — rzekła ostro. — Poradzimy sobie. Nie chcielibyśmy burzyć porządku waszego życia, to znaczy kolacji, w większym stopniu, niż już to zrobiliśmy. Todd, nie zapomniałeś kurtki? Jennifer? — Katherine otworzyła rzeźbione drzwi z drewna orzechowego i poleciła dzieciom wyjść do małego przedsionka. — Złapiemy taksówkę na lotnisko. Jedziemy do domu — dodała.

Gdy wciskała przycisk przywołujący windę, zauważyła, że Ross gestem dał znać Victorii i Tobiaszowi, by zostali w holu. Sam natomiast ruszył za nią.

— Wasz bagaż odesłano do hotelu Fairmont — powiedział.

— Odbierzemy go po drodze na lotnisko.

— Może już nie być dziś lotu do Vancouver.

— Zobaczmy. — Winda nadjechała i ubrany w liberię windziarz otworzył przed nimi drzwi. Katherine podała Rossowi rękę na pożegnanie. — Jeszcze raz dziękuję. Czy chciałbyś, żebym dała ci znać, gdy Craig wróci do domu?

Ross zawahał się przez króciutką chwilę.

— Oczywiście — odparł. — Zadzwoń do was za dzień lub dwa, żeby dowiedzieć się, jak się macie.

— Twojej rodzinie to by się nie podobało.

Katherine poczuła, że wyczerpał się jej zapas odwagi, więc wprowadziła dzieci do windy i skinęła do windziarza. Gdy ten zasunął żelazną kratę i winda zaczęła zjeżdżać, Katherine zobaczyła jeszcze Rossa, jak na znak sprzeciwu potrząsa głową, oraz Carrie i Jona, którzy podbiegli do windy i wykrzykiwali słowa pożegnania do Jennifer i Todda.

Rozdział piąty

W porównaniu z przepychem wewnątrz apartamentu Victorii dom w Vancouver wydawał się zimnym i prostym schronieniem. Ledwie jednak Katherine przekroczyła próg, wrażenie to prysło. Całą drogę z lotniska słuchała, jak Todd i Jennifer wyobrażają sobie, że ojciec na nich czeka, i niemal sama w to uwierzyła, lecz gdy weszli do domu i Todd krzyknął: „Tato! Jesteśmy!”, przywitała ich tylko chłodna pustka ciemnych pokojów. Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zostawili — żaden szczegół nie uległ zmianie, żaden przedmiot nie zmienił swego miejsca. „Niech to wszyscy diabli!”, wrzasnął Todd kiedy już przeszukał sypialnię i schodził ciężko po schodach. Katherine nie skarciła go. Lepiej dać upust emocjom niż dusić je w sobie.

Następnego ranka nie miała już tyle cierpliwości.

— Jedźcie na piknik — zdecydowała, gdy po śniadaniu włączyli się po mieszkaniu, a ona chciała być sama. — Jeśli tata ma wrócić, to zjawi się tu niezależnie od tego, czy będziecie w domu, czy na pikniku. Musimy normalnie żyć; nie możemy tak po prostu stać w miejscu, jak samochód bez paliwa, i czekać, aż tata wróci i doleje benzyny.

To porównanie rozbawiło dzieci i Katherine udało się wyprawić je z domu w porę, by zdążyły na szkolny autobus.

W całym mieszkaniu dostrzegała ślady Craiga — tu i ówdzie leżały kartki zapisane jego pismem, na ścianach obrazy powieszono jego rękoma, poręcz przy schodach, którą sam wypolerował i pokrył lakierem, aż stała się gładka jak jedwab, wkleśnięty zlewozmywak, w który — w chwili wściekłości — rzucił kubkiem do kawy. Dlaczego on się wtedy tak rozzłościł? Katherine nie mogła sobie przypomnieć. Może zrobiła wówczas coś, co przywołało wspomnienia Haywardów.

Jeśli rzeczywiście o to chodziło, to była teraz w stanie zrozumieć jego złość. Zamknięty prywatny klub, ci Haywardowie. Jeśli Craig czuł się wśród nich równie źle jak ona, to nic dziwnego, że od nich odszedł.

Wciąż jednak Katherine nie wiedziała, dlaczego tak postąpił. Siedząc przy biurku Craiga, uświadomiła sobie, że tamtego wieczoru w San Francisco wszystko popsuka. Zabrakło jej sprytu, żeby zbliżyć się do Haywardów, i straciła jedyną szansę na dowiedzenie się czegoś więcej o własnym mężu.

Wstrząsnął nią dreszcz na samą myśl o tym, jak bardzo dali jej odczuć jej niższość. Zapomnij o nich, nakazała samej sobie. Pomyśl o chwili obecnej. Zwłaszcza o pieniądzach. Całe biurko zarzucone było rachunkami za naprawy dachu, za benzynę, za letnie ubrania dla nich wszystkich, za światło, gaz i wodę oraz różnymi zaległymi rachunkami, wśród nich tymi z ostatecznym terminem płatności; była też prośba o datki, rata za dom i co najmniej tuzin innych rachunków do zapłacenia przed pierwszym lipca. A pierwszy lipca wypadał nazajutrz.

Craig zawsze pilnował płacenia rachunków. Czasem Katherine drażniła się z nim pytając, jakież to mroczne tajemnice każą mu być tak zapobiegliwym. Teraz już wiedziała. Zastanawiała się, od jak dawna Craig manipulował kontami tak, żeby zapobiec ich likwidacji. „Z powodu tego domu zadłużył się bardziej, niż się spodziewał”, powiedział Carl Doerner. Dlaczego nawet słowem mi o tym nie wspomniałeś?, zwróciła się w myślach do Craiga. Nie miałeś do mnie zaufania?

Nie myśl o Craigu; skup się na rachunkach. Dwa tysiące dolarów na spłatę domu płatne do pierwszego. Do tego pozostałe

rachunki na sumę tysiąca pięciuset dolarów do uregulowania w tym samym terminie. Gotówka do dyspozycji — czterysta dolarów na koncie i tysiąc z oszczędności. O tym trzeba teraz pomyśleć. Trzy i pół tysiąca długu do spłacenia, a tylko tysiąc czterysta dolarów w kieszeni.

Chociaż właściwie to nawet tego Katherine nie mogła być pewna. Ile Craig zabrał ze sobą? Szybko podniosła słuchawkę i zadzwoniła do banku. Powiedziano jej, że na koncie ma pięć tysięcy dolarów.

— Ile? — zapytała powtarzając numer konta.

— Pięć tysięcy czterysta trzynaście dolarów, pani Fraser — wyrecytował szczebiotliwy głosik. — Dokładnie szesnastego czerwca o wpół do jedenastej rano dokonano wpłaty na konto w naszym oddziale przy Park Royal. Czy przesłać pani duplikat kwitu?

— Nie. Dziękuję.

Szesnastego czerwca. To było dwa tygodnie temu, tego samego dnia, w którym kwadrans po dziesiątej Craig całował ją na pożeganie przed odjazdem na lotnisko. Tylko że wcale nie pojechał prosto na lotnisko. Wstąpił do banku w centrum handlowym przy Park Royal i wpłacił pieniądze. Żeby przez jakiś czas jego rodzina miała z czego żyć.

On w ogóle nie zamierzał wrócić do nas w piątek.

A więc nie umarł; i nie dzieje mu się krzywda. Chciał jakoś zdobyć pieniądze, by spłacić dług Carlowi. To o to chodziło — nie było młodziutkiej, seksownej dziewczyny, nie napadnięto go ani nie zamordowano, nie dostał ataku serca. Odszedł, bo w jego odczuciu sprawy zbyt się skomplikowały, i wróci, kiedy zdoła je uporządkować. A to nie powinno potrwać długo. Wie przecież, że tych pieniędzy starczy na nie więcej niż dwa miesiące. Zostawiając na koncie pięć tysięcy dolarów, dawał jej do zrozumienia, że wróci przed upływem tego czasu.

Chyba że uznał, iż potem Katherine będzie w stanie radzić sobie sama.

Albo tylko tyle mógł jej zostawić.

Zadzwęczał telefon i Katherine chwyciła słuchawkę. Dzwonił policjant, który chciał się dowiedzieć, czy Katherine miała jakieś wieści od męża.

— Nie — odparła.

— A może słyszała pani o nim cokolwiek?

— Owszem.

I opowiedziała policjantowi o Haywardach — teraz wszystkie tajemnice Craiga wychodziły na jaw.

— No cóż, proszę pani — w jego głosie brzmiało powątpiewanie. — To bardzo dziwna historia. Ale porozumiemy się z policją w San Francisco. I proszę, żeby pani była z nami w kontakcie; niech pani o nas pamięta, gdy tylko czegoś się pani dowie.

Niech pani o nas pamięta. Co za idioci, pomyślała Katherine rzucając słuchawkę. Wszyscy — Carl Doerner, policja, Haywardowie — wszyscy oni traktowali zniknięcie Craiga jako osobistą obrazę albo wyzwanie. Nikogo nie obchodziło, co ona czuje odkrywając prawdę o własnym mężu — o tym, że nie ufał jej na tyle, by dzielić się z nią swymi problemami czy myślami. A Craig po prostu zniknął i zostawił ją samą z całym tym bałaganem do uprzątnięcia.

Jej los nikogo nie obchodził. Kilkoro znajomych zadzwoniło do niej, lecz raczej tylko dla zachowania pozorów, z poczucia obowiązku, i wcale jej nie współczuli (w końcu gazety nazwały Craiga „przestępcą”); oferowali za to pomoc: „Pomogę ci, Katherine, jeśli będziesz w trudnej sytuacji...” Zastanawiała się, jak „trudną sytuację” mieli na myśli.

Po raz pierwszy Katherine uświadomiła sobie, jak bardzo powierzchowne były jej przyjaźnie z ostatnich dziesięciu lat. Craig trzymał wszystkich na dystans twierdząc, że poza sobą nawzajem nikogo nie potrzebują. Katherine dostosowała się do niego. Jedyne Leslie wciąż była jej powierniczką, więc pisywała do niej i dzwoniła. Wszyscy jej znajomi z Vancouver byli wprawdzie mili i sympatyczni, ale tak naprawdę, to z nikim się nie zaprzyjaźniła.

Konsekwencje takiej sytuacji były obecnie dla Katherine bardzo bolesne. Większość ludzi odsuwa się od tych, którzy mają kłopoty, jakby w obawie, że się nimi zarażą, gdy podejda zbyt blisko, a znajomi Katherine i Craiga nie byli im bliscy na tyle, by w potrzebie wyciągnąć do nich pomocną dłoń. Cóż, myślała Katherine, obejdę się bez nich; nie są mi potrzebni. Nie potrzebowała

też ani Haywardów, ani nikogo z sąsiadów, których starała się zresztą unikać, bo zaczęła się wstydzić, że jest żoną Craiga Frasera.

Carl Doerner także nie był jej potrzebny. Powinien przecież wiedzieć, że Craig ma kłopoty w firmie, i jakoś mu pomóc. Tak czy owak Doerner wyjechał z miasta na dwa tygodnie, jak dowiedziała się Katherine od sekretarki.

— W ostateczności mogę rozmawiać sama ze sobą — powiedziała Katherine głośno, lecz słysząc swój głos w pustym domu poczuła się jeszcze bardziej samotna, włączyła więc radio i tak długo kręciła pokrętłem, aż przyjemny baryton spikera wypełnił dom. Mając go za towarzystwo, Katherine zasiadła za biurkiem Craiga i uregulowała najpilniejsze rachunki, a pozostałe odłożyła na bok. Podpisując czeki poczuła, jak ogarnia ją uczucie zadowolenia z siebie, ale trwało to tylko, dopóki nie podliczyła stanu konta. Jakim sposobem tak szybko się ono skurczyło? Może nawet zabraknąć pieniędzy na następny miesiąc. Jeden nagły i konieczny wydatek, a nie starczy im na chleb.

Katherine znieruchomiała, trzymając nad kopertą znaczek, który miała do niej przykleić. On nie miał prawa zrobić nam tego, pomyślała.

Szybko odsunęła od siebie tę myśl i wszystkie inne, z którymi nie potrafiła sobie poradzić, a kiedy Todd i Jennifer wrócili do domu, mogła już swobodnie pomyśleć o przygotowaniu kolacji.

— Znowu to samo! — marudził Todd, gdy wyjęła z lodówki wędlinę i ser. Rzucił plecak na podłogę. — Nie moglibyśmy dostać kotletów baranich albo mielonych, albo innego konkretnego jedzenia, jak kiedyś?

— Nie chce ci się gotować tylko dla nas trojga, prawda? — spytała Jennifer. — Kiedy tata wyjeżdżał, nigdy nie robiłaś gorącej kolacji.

— Macie rację — przyznała. — Rzeczywiście nie bardzo się wysilałam.

Schowała wędlinę i ser z powrotem do lodówki. Kiedy Craiga nie było w domu, miała wrażenie, że nie są prawdziwą rodziną, i zwykle dojadali wtedy resztki albo przyrządzała jakieś kanapki. Tylko że Craiga nie było już od dwóch tygodni. Teraz my tworzymy rodzinę, pomyślała. Czas już zacząć gotować dla trzech osób.

— Może poszlibyśmy dzisiaj na hamburgery? — zaproponowała. — A jutro zrobimy zakupy na cały tydzień.

— Kupimy to, co lubi tata — powiedziała Jennifer. — Żeby, kiedy wróci do domu, nie pomyślał, że wszystko zmieniliśmy, gdy go nie było.

Katherine odwróciła się. Przecież odkąd Craig wyjechał, każdego dnia coś się zmieniało — początkowo były to małe zmiany, ledwie zauważalne, a potem coraz większe, jak choćby ta, że dziś sama zapłaciła rachunki. Im dłużej Craig był nieobecny, tym bardziej zmieniał się ich dom; było tak, jakby codziennie ubywało z niego trochę więcej Craiga.

— Ale za co kupimy hamburgery i wszelkie inne produkty? — spytał Todd. — Przecież tata ma wszystkie pieniądze.

— Nie bądź głupi — ofuknęła brata Jennifer. — Mama co tydzień robi zakupy.

— Ale pieniądze dostaje od taty — upierał się Todd. — A skoro teraz go nie ma, to i pieniędzy też.

— Nie mamy żadnych pieniędzy? — spytała trochę niepewnie Jennifer.

— Kto będzie się nami opiekował? — dodał Todd.

Zegar na ścianie cykał, lodówka pracowała, a spryskiwaczka zraszała róże na tarasie. Cały dom żył — ich własny, taki sam jak zawsze. Ale dzieci zaczęły się bać, tak jakby powiał silny wiatr i zachwiał budynkiem. Katherine pomyślała, że ona też się boi, lecz i tej myśli musiała się pozbyć.

— Sami będziemy się sobą opiekować — rzekła stanowczo. — Mamy pieniądze, ale musimy wydawać je oszczędnie.

— Ale jak długo tak będzie? — chciała wiedzieć Jennifer.

— Dopóki nie zacznę zarabiać.

Te słowa same popłynęły jej z ust. Katherine powtórzyła je w myślach zastanawiając się, kiedy zdecydowała się podjąć pracę. Chyba wtedy, gdy podpisywałałam czeki, pomyślała, bo kiedyż by indziej? To była kolejna zmiana w ich życiu — jak dotąd, największa.

— Zamierzam znaleźć pracę — powiedziała do dzieci. — Jako projektantka biżuterii.

W święto Dominion Day pierwszego lipca zadzwoniła Anna Hay ward.

— Chcielibyśmy spotkać się z tobą, Katherine, zanim wrócimy do Maine.

Moglibyśmy być u ciebie dziś po południu.

— U mnie? — zdziwiła się. — Po co?

— Żeby cię przeprosić, oczywiście. Tamten wieczór był okropny i chociaż trudno kogokolwiek winić...

Ależ tak, jest kogo winić, pomyślała Katherine.

— Przykro mi, ale jestem zajęta — odpowiedziała. — Obiecałam dzieciom, że zabiorę je na paradę, a potem na pokaz sztucznych ogni.

— Dzisiaj?

Myśli, że kłamie, bo nie chce się z nią zobaczyć — przyszło jej do głowy, ale głośno wyjaśniła:

— Mamy Dominion Day. To coś w rodzaju święta Czwartego Lipca, ale niezupełnie...

— To pójdziemy z wami. Katherine, my chcielibyśmy cię poznać. Tamtego wieczoru nie mieliśmy ku temu okazji.

Katherine zawahała się. W końcu Anna i Jason byli dziadkami Jennifer i Todda. Natychmiast jednak przypomniała sobie, jak ostro potraktował ją Jason.

— Czy Jason też chce przyjechać? Po chwili przerwy Anna odparła:

— Prawdopodobnie będę sama. On musi wracać do domu; widzisz, mamy sklep z ceramiką i tego typu rzeczami. — Pospiesznie szukała właściwych słów. — A poza tym musi upłynąć trochę czasu, zanim Jason przyzwyczai się do myśli, że Craig żyje.

— Ten fakt uszczęśliwiłby większość ojców — stwierdziła zimno Katherine.

— Tak. Oczywiście. Ale jemu trudno jest pogodzić się z faktem, że Craig nas opuścił, że pozwolił, byśmy go oplakiwali... To naprawdę niełatwe. Znów odżyły stare kłótnie, sprzeczamy się, czy to Victoria zanadto rozpieściła Craiga, czy może Jason zbyt wiele po nim oczekiwał... Ale nie o tym zamierzałam rozmawiać. Po prostu chcę spotkać się z tobą i jestem pewna, że Jason nie będzie miał nic przeciwko, żebym przyjechała sama.

— Może innym razem — odparła Katherine, nie chciała mieć nic wspólnego z tą rodziną.

— Ale teraz jesteśmy w Kalifornii — naciskała Anna. — To znacznie bliżej, niż gdybym jechała z Maine. Poza tym będę reprezentować całą rodzinę.

— Może innym razem. Obiecałam Jennifer i Toddowi, że spędzę z nimi cały dzień.

— Katherine, nie możesz mi odmówić prawa do widywania moich wnuków!

Przez moment Katherine miała ochotę zgodzić się i udawać, że Anna jest matką, której nigdy nie miała, a ona córką, którą Anna utraciła; chciała pozwolić Annie rozpieszczać dzieci, były przecież jej jedynymi wnukami, no i chciała móc z kimś porozmawiać. Ale nie mogła tego zrobić. Anna należała do prywatnego klubu Haywardów i podporządkowując się mężowi oraz rodzinie milczała, kiedy Katherine prosiła o pomoc.

— Przykro mi — rzekła Katherine z niechęcią w głosie. — Może innym razem.

— No cóż — westchnęła Anna. — Skoro odrzucasz moją przyjaźń... — Katherine milczała. — Posłałam ci trochę pieniędzy. Nie jest to dużo, ale jak tylko porozmawiam z Jasonem, wyślę ci więcej.

— Nie potrzebuję ich. Radzimy sobie i nie potrzebujemy twoich pieniędzy.

— Już je wysłałam. Katherine, mogłabyś być dla nas trochę miłsza; nie jesteśmy tacy źli, jak ci się wydaje, a naprawdę możemy pomóc tobie i dzieciom. To prawda, tamtego wieczoru byliśmy trochę skołowani całą tą sytuacją, ale nie mieliśmy czasu przywyknąć do myśli, że...

Katherine ponownie wysłuchała tego, co Anna przed chwilą już raz powiedziała, lecz tamtego dnia w domu Yictorii zrozumiała, że ma własne życie — życie swoje, Craiga i dzieci—i że sama musi sobie poradzić, dopóki Craig nie wróci do domu; nie bardzo wiedziała dlaczego, lecz była pewna, że to ważne. Jedyne, co Katherine zdołała obiecać Annie, to to, że nie porwie czeku, kiedy go otrzyma.

Dwa tygodnie później Katherine wyjęła czek z szuflady, gdzie schowała go zaraz po otrzymaniu, i zdeponowała w banku.

Ręka jej się trzęsła, kiedy go indosowała i kiedy pisała do Anny

krótki liścik zobowiązując się, że spłaci dług, jak tylko znajdzie pracę i zacznie sama zarabiać. Cały kłopot polegał na tym, że na razie nie miała ani pieniędzy, ani pracy, ani żadnych perspektyw na znalezienie jakiegoś zajęcia.

„Przykro mi, ale może kiedy indziej — słyszała w większości sklepów jubilerskich, do których się zgłaszała. — Towaru mamy aż nadto. Niech pani spróbuje za jakieś sześć, siedem miesięcy, może po Bożym Narodzeniu.”

Inni prosili, by przysłała szkice albo kolorowe zdjęcia wykonanej przez nią biżuterii. „Niestety — mówili jednak — rzadko kupujemy od nikomu nie znanych projektantów”. Wprawdzie trzech jubilerów zgodziło się z nią spotkać, ale odprawili ją z kwitkiem. Po obejrzeniu przyniesionego przez nią naszyjnika i kolczyków mniej lub bardziej jasno wyrazili dezaprobatę: „Brakuje tu wprawnej ręki profesjonalisty. Pani zajmuje się tym dla przyjemności, prawda? To widać. Pani technika jest bardzo prosta, nie ma tu nic wyrafinowanego ani oryginalnego; nie czuć tu ręki artysty. Na widok naprawdę wspaniałej biżuterii aż chce się powiedzieć: «To cacko nie byłoby takie piękne, gdyby pomysł, materiał i technikę wykorzystano w jakiś inny sposób.» O pani wyrobach nie da się powiedzieć, że są piękne. Niech pani spojrzy na ten naszyjnik...” Niczym nauczyciel w szkole każdy z jubilerów ocenił jej prace, znajdując w nich jakieś wady. Żaden nie zaproponował, żeby przyszła innym razem. Odprawili ją i zajęli się czymś innym, zanim jeszcze zdążyła opuścić sklep.

"Nie widać tu ręki artysty." Katherine skuliła się w rogu kanapy, na której co wieczór czekała na Craiga, wpatrzona w cienie rzucane przez palące się na ganku światło. „Pani robi to dla przyjemności, prawda? To widać...” Craig mówił, że jest w tym dobra. Wszyscy tak twierdzili: „Jesteś taka zdolna, Katherine; masz talent”. Ale to nie była prawda; mówili tak, by zrobić jej przyjemność.

Nie jestem ani utalentowana, ani zdolna, myślała. Nawet nie jestem w tym dobra.

Zerwał się wiatr i zaczął trzaskać drzwiami prowadzącymi na taras. Po ścianach salonu przesuwwały się cienie, tworząc wciąż nowe kształty. Wszystko wokół się zmieniało, lecz Katherine miała

wrażenie, że tkwi w miejscu. Ludzie poświęcają całe lata na to, żeby **20stać** projektantami biżuterii, a ja, myślała, chciałam wejść do sklepu i od razu znaleźć klientów, zarobić pieniądze — tak po prostu przyjść na gotowe. Wydawało mi się, że skoro lubię projektować, to reszta nie powinna stanowić problemu. Ale nie dostaje się pieniędzy za zrobienie czegoś tylko dlatego, że lubi się to robić. Trzeba jeszcze być w tym dobrym; trzeba być profesjonalistą. A o mnie nie można tego powiedzieć.

Prawdopodobnie Leslie podsunęłaby jej jakiś pomysł, lecz jak dotąd Katherine nie udało się z nią skontaktować. Zresztą nie miała pewności, czy naprawdę chce porozmawiać z przyjaciółką. Wystarczy porównać moje przegrane z jej sukcesami. Nie, nie będę dzwonić, poradzę sobie sama. Obok przesuwających się po ścianie cieni podeszła do biurka Craiga i włożyła swe szkice i gotową biżuterię do dolnej szuflady. A następnego dnia wyruszyła na poszukiwanie pracy.

„Niestety.... nie ma pani żadnego doświadczenia, pani Fraser — słyszała z ust każdego kierownika kadr, do którego zgłosiła się z podaniem. — Widzę, że pracowała pani jako urzędniczka w sklepie jubilerskim, ale to było dziesięć lat temu. A od tamtej pory... nic?”

Zajmowałam się tylko prowadzeniem domu, odpowiadała w myśli. Wychowywałam dwójkę dzieci. Byłam żoną.

„A co pani umie, pani Fraser? — Na jej podanie ledwie rzucali okiem. — Nie pisze pani na maszynie. Nie stenografuje. Nie zna komputerowych baz danych. W ogóle nie miała pani do czynienia z komputerem? — Katherine zaprzeczała ruchem głowy. — Nie zna się pani na księgowości. Nie ma pani nawet doświadczenia biurowego. Nigdy nie pracowała pani w biurze? — Znów potrząsała głową. — Ani w handlu nieruchomościami? — Nie — mówiła. — Niestety, nic nie mogę pani zaoferować — każdy wzruszał ramionami. — Nic pani nie umie i nie pracowała pani przez dziesięć lat. Nie ma pani żadnych osiągnięć. Panuje recesja, jak sama pani wie, więc redukuje się etaty. Mógłbym zatrudnić jedynie kogoś z doświadczeniem. Przykro mi. Życzę pani powodzenia.”

Powodzenia. A zamykali przed nią wszystkie drzwi.

Wieczorami Katherine siadywała na sofie coraz bardziej skulona. Co ja zrobię, jeśli nie uda mi się znaleźć pracy? Może wezmę

pożyczkę pod zastaw domu. Nie, nie mając pracy, nie mogę tego zrobić. A zresztą z czego bym ją spłaciła? Co zrobimy, jeśli nie znajdę pracy? Poczula, jak ogarnia ją strach. Ależ na pewno dostanę jakąś pracę. Muszę tylko być cierpliwa. Znajdę coś jutro.

Dwa dni później Katherine przełknęła dumę i zadzwoniła do znajomych — którzy oferowali jej pomoc w trudnej sytuacji — pytając, czy nie słyszeli o jakiejś wolnej posadzie. Większość z jej koleżanek zatrudniona była w biurze, a wszystkie miały pracujących mężów. Niezmiennie jednak słyszała: „Och, Katherine, nic z tych rzeczy. Sama wiesz, jaką mamy sytuację, nigdzie nie zatrudniają nowych pracowników. Ale jestem pewna, że coś znajdziesz; masz przecież takie zręczne ręce. A w ogóle to musimy umówić się na lunch. Może jeszcze nie w tym tygodniu ani nie w następnym — strasznie jestem na razie zajęta — ale któregoś dnia na pewno się spotkamy”.

Nikt ze znajomych słowem nie wspomniał o Craigu. Ostatnią osobą, do której Katherine zdecydowała się zadzwonić, była Frances Doerner. Przywitała ją równie przyjaźnie jak zawsze.

— Naturalnie, porozmawiam z Carlem; na pewno coś dla ciebie znajdzie, przecież w każdej firmie potrzebni są dobrzy pracownicy. Nie wrócił jeszcze z podróży, ale jak tylko zadzwoni, porozmawiam z nim i odezwę się do ciebie.

Mimo wszystko nie rozmawiała z nią tak przyjaźnie jak zwykle, uznała Katherine odkładając słuchawkę. Kiedyś od razu zaprosiłaby nas na kolację. Ale jakie to ma znaczenie. Carl na pewno znajdzie mi pracę.

Bez względu jednak na to, ile zdoła zarobić, to i tak będzie to mniej niż pensja Craiga. A skoro wtedy wydawali na życie więcej niż mieli, to jak dadzą sobie radę teraz? Usiadła przy biurku i zabrała się do rachunków, dodając i odejmując różne sumy na tysiąc najrozmaitszych sposobów, ale nic z tego nie wyszło. Nie dostrzegając żadnego sensownego rozwiązania, choć wiele ją to kosztowało, następnego ranka przy śniadaniu przedstawiła dzieciom sytuację finansową — tak realnie jak tylko potrafiła.

— Dlatego — podsumowała — musimy sprzedać dom — i ni stąd, ni zowąd rozplakała się.

Siedząc sztywno na krzesłach, dzieci wpatrywały się w nią.

— Nie możemy sprzedać domu — odezwała się Jennifer. — Mieszkamy tu i musimy tu być, kiedy tata wróci.

— Nie możemy go sprzedać, nie możemy — przyłączył się do siostry Todd. — Tatuś nas nie znajdzie i pomyśli sobie, że o nim zapomnieliśmy i już go nie chcemy.

— Tata potrafi nas znaleźć — zapewniła Katherine. Otarła łzy z oczu i przełknęła ślinę, — Wynajmiemy mieszkanie w Vancouver; tata zadzwoni do informacji i dowie się, jaki jest nasz nowy adres i numer telefonu.

— Jakie mieszkanie? — spytały dzieci.

— To, które jutro znajdziemy. Sporządzimy listę dzielnic, które nam się podobają...

— Ja nie biorę w tym udziału — zaprotestowała Jennifer. — I nie mam zamiaru się wyprowadzać. Zostanę tu i zaczekam na tatusia.

— Ja też — poparł siostrę Todd. — Zostaję z Jennifer.

— Zrobicie to, co wam każe! — Katherine podniosła głos. — Sprzedam dom, bo nie możemy sobie na niego pozwolić, bo tata nie zostawił mi wystarczająco dużo pieniędzy, a ponieważ nie macie pojęcia o tych sprawach, siedźcie cicho i róbcie, co każe!

Jennifer i Todd wybuchnęli płaczem.

— Dlaczego tata odszedł? — szlochał chłopiec. — Czy przestał nas kochać?

— Jeśli go czymś zdenerwowaliśmy... — mówiła Jennifer urywanym głosem.

— Powiedziałyby nam o tym — stwierdził Todd. — A przynajmniej.... chybaby powiedział?

Katherine nie bardzo rozumiała.

— Powiedział o czym? — spytała.

— Co takiego zrobiliśmy, że tak się na nas wściekł! — krzyknął Todd. Spojrzał ponuro na Katherine. — Może na przykład rozzłościł się na mnie tak bardzo, że nie chciał mnie więcej widzieć.

— Albo mnie — dodała Jennifer.

— Może mógłbym to jakoś naprawić — ciągnął Todd. — Albo chociaż przeprosić, zrobić cokolwiek, byle tylko do nas wrócił. Musimy go znaleźć i powiedzieć o tym, a jeśli nie dowiemy się, gdzie jest...

— Mimo wszystko nie przestaliby nas kochać — oświadczyła Jennifer. — Prawda? I nie zostawiłby nas? Bo przecież nigdy wcześniej nie zniknął, chociaż był na mnie zły wiele razy, więc nie rozumiem dlaczego...

— Chwileczkę. Powoli. — Katherine potrząsnęła głową. Skąd im przyszedł do głowy taki pomysł? zastanawiała się. Pochyliła się i objęła obydwój, mając poczucie winy za ból malujący się w ich oczach. Dzieci chciały wierzyć, że świat jest uporządkowany i nic nie dzieje się bez powodu, lecz w tym wypadku ona nie potrafiła podać im jakiegokolwiek przyczyny. — Słuchajcie. Tata nie odszedł z waszego powodu. To skomplikowana sprawa, ale wy nie ponosicie żadnej winy. On was kocha.

Jennifer potrząsnęła głową ani trochę nie pocieszona.

— To o co chodzi? Todd zmarszczył brwi.

— Może tata gdzieś się schował, żeby poddać nas próbie. A my musimy go odszukać. Jak w tej bajce o księciu, który musiał wspiąć się na tysiąc gór, zabić czarownicę i smoka i zerwać czarodziejski kwiat, żeby móc zostać królem. Albo coś w tym rodzaju.

— To głupie — rzekła cicho Jennifer wiedząc, że Todd chce ją pocieszyć. — Jeśli to nie nasza wina — zwróciła się do matki — to czy tata odszedł z powodu tego, o czym mówił pan Doerner?

— Nie! — krzyknął Todd.

— Możliwe — przyznała Katherine ostrożnie. — Na razie nikt nie zna prawdy, więc nie możemy wydawać żadnych sądów.

— Ale założmy, że tata wściekł się na nas — ciągnęła Jennifer — i spotkał jakąś inną rodzinę, którą polubił bardziej, i oni nie robią nic, co by go zdenerwowało...

— Dość tego! — Katherine zaczęła tracić panowanie nad sobą. — Tata nie zezłościł się na was i nie znalazł sobie innej rodziny. Sam wam o tym powie, jak tylko wróci.

Potem ponagliła dzieci, by szybko zjadły śniadanie, i wyprawiła je z domu na piknik. Zanim zaczęła się zastanawiać, czy odpowiednio postąpiła, zadzwoniła do pośrednika handlu nieruchomościami i umówiła się z nim na popołudnie.

Gdy otworzyła mu drzwi, od razu zachowywał się jak wścibski terier.

— Dzień dobry, pani Fraser. Miło, że pani o nas pomyślała. Zobaczmy, co też tu mamy, dobrze?

Z notatnikiem w reku obszedł cały dom mamrocząc coś pod nosem i sporządzając pospieszne notatki.

— Ładne widoki, dużo światła; och, bardzo ładna kuchnia. A te drzwi prowadzą do?... Aha, garaż, trochę tu bałaganu, ale dzieci mogą się tym zająć, a co tu mamy.... hmm, piwnicę, ojej, trzeba będzie ją nieco uporządkować, bo nie widać tego... aha, to podgrzewacz wody. Zresztą, proszę wybaczyć szczerłość, ale całemu domowi przydałoby się gruntowne sprzątnięcie. Rozumiem naturalnie, że — jeśli wierzyć w to, co piszą gazety — ma pani inne rzeczy na głowie, ale chyba chce pani, żeby dom lśnił i pachniał, klienci zawsze płacą więcej za wesoly, radosny dom niż za ponury. Niech pani zagoni dzieci do sprzątnięcia garażu i piwnicy; dobrze im to zrobi, a przy okazji będą miały swój udział w sprzedaży domu.

Katherine patrzyła, jak lustrując pokoje z nie wyrażającą żadnych uczuć miną pośrednik bezlitośnie wylicza wszystkie ich wady, a ignoruje fakt, że kiedyś musiały rozbrzmiewać śmiechem i radością. Do niedawna ten dom był dla nich schronieniem, a teraz musiała godzić się z tym, by jacyś intruzi wtykali nos w każdy kąt i by kupił go ktoś, kogo nic nie będzie obchodziło, jakie życie prowadzili poprzedni mieszkańcy.

Nie chcę go sprzedawać; nie chcę stąd odchodzić, powtarzała sobie w myśli. Weszła za pośrednikiem do salonu. Czy nie mogę z tym trochę poczekać? Tydzień, może dwa, a może miesiąc... Ale ryzykowałabym, że stracę wszystko, pomyślała. Przecież nie jestem w stanie regulować opłat. Zacisnąwszy dłonie, wsunęła je do kieszeni spódnicy i powiedziała:

— Zastanawiałam się, ile mogłabym za niego dostać i jak szybko.

— Cóż, trudno powiedzieć. Koniunktura jest raczej zła; zresztą w ogóle sytuacja ekonomiczna nie wygląda najlepiej, wszyscy na tym tracimy. Wiem, że musi pani sprzedać ten dom, a tak przy okazji, to bardzo pani współczuję; w niezręcznej znalazła się pani sytuacji, co? Czy coś się stało? Dobrze się pani czuje?

Ni to śmiejąc się, ni to płacząc Katherine rozkaszała się.

Niezręczna sytuacja, powtórzyła w myśli. Rzeczywiście — niezręcznie jest być porzuconym. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

— Myślałam o jakichś dwustu dwudziestu tysiącach. Dobrze obliczyłam? Tyle dostali nasi sąsiedzi dwa lata temu.

— Dwa lata temu, pani Fraser, sytuacja na rynku była zupełnie inna. Jak na dzień dzisiejszy, ta cena jest zbyt wysoka. Poza tym dom jest raczej mały. Ale możemy wyjść od tej sumy i stopniowo ją obniżać. Jaka jest dolna granica?

— Właściwie nie wiem. Ta okolica...

— Należy do najlepszych. Ale w dzisiejszych czasach ludzie zmuszeni są często wybierać inne dzielnice. Niech pani posłucha, pani Fraser. Proszę zdać się na mnie. Pani wysprząta dom, a dzieci niech się zajmą garażem i piwnicą — uporządkowane sprawią wrażenie większych. Jak się pani z tym upora, przyślę pani mnóstwo klientów. Ani się pani obejrzy, jak dostaniemy konkretną ofertę, a ja gwarantuję, że będzie pani usatysfakcjonowana.

Pośrednik podał jej rękę, na pożegnanie uśmiechnął się od ucha do ucha i wyszedł.

Wprawdzie ze smutkiem, ale też i z ulgą przyjęli fakt, że mają coś konkretnego do zrobienia. Jennifer i Todd pomogli Katherine sprzątać dom i zaczęli się oswajać z myślą, że trzeba go sprzedać.

— Pewnego dnia zbudujemy nowy — mówił Todd. — Taki sam jak ten. Tylko jeszcze z boiskiem do koszykówki.

Potem zjawili się kupujący — przechodzili z pokoju do pokoju, otwierali szafki, zaglądali do sekretarzyków. Zniknęła wtedy jedna z ulubionych eskimoskich rzeźb Craiga. Po dwóch tygodniach Katherine odebrała telefon od pośrednika, który zawiadamiał ją, że wpłynęła już oferta.

— Nie jest tak korzystna, jak byśmy chcieli — powiedział. — Gdyby nie recesja, w ogóle nie wzięlibyśmy jej pod uwagę; w końcu chodzi o dom w zachodnim Vancouver. Ale skoro zależy pani na czasie...

— Ile? — spytała Katherine podtrzymując słuchawkę brodą i sięgając po ołówek.

— Sto siedemdziesiąt.

— Chwileczkę.

Szybko wykonała działanie. Po odjęciu od stu siedemdziesięciu prowizji pośrednika zostaje sto sześćdziesiąt. Kredyt do spłacenia — sto pięćdziesiąt dwa. Zostaje...

— Wiem, że nie tego się pani spodziewała, pani Fraser, ale... Zostaje osiem tysięcy dolarów.

— ...teraz nie są najlepsze czasy na sprzedawanie domu, zwłaszcza jeśli komuś się spieszy. Jestem pewien, że gdyby pani poczekała kilka miesięcy, może rok, to dostalibyśmy korzystniejszą cenę, ale biorąc pod uwagę, jak się rzeczy mają, proponuję, żeby pani przyjęła tę ofertę.

Osiem tysięcy dolarów. Za ich cudowny dom.

— Zadzwońię do pana później — zakończyła rozmowę Katherine.

Powoli przeszła przez dom, przesuwając dłonią po ścianach, klamkach i oknach; na chwilę przykucnęła na obudowie kamiennego kominka, gdzie w czasie stawiania domu siadywała wieczorami z Craigiem — patrząc na wznoszące się wokół nich belki i rusztowania oboje wyobrażali sobie, jak będą wyglądać pokoje. To nasz dom, pomyślała Katherine. Marzyliśmy o nim przez całe lata, patrzyliśmy, jak powstaje, sami wykonaliśmy wszelkie prace wykończeniowe — malowanie, lakierowanie, układanie kafelków — żeby tylko zaoszczędzić pieniądze. To my go zbudowaliśmy. To nasz dom. Jak teraz mogę sprzedawać go sama, bez Craiga? To tak, jakbym odcięła się od niego, jakbym rozwiązała nasze małżeństwo.

Miała wrażenie, że coś się w niej zmieniło, zupełnie jakby obrus zsunął się ze stołu, odsłaniając jego porysowaną powierzchnię. To wszystko przez Craiga.

W przedsionku znalazła leżącą pod drzwiami pocztę: kolejne rachunki, zawiadomienie o wyprzedaży w sklepie Eaton, jakiś list i dwie szare koperty ze sklepów jubilerskich. Katherine machinalnie je otworzyła. To już ostatnie, pomyślała. Wysypały się z nich szkice i zdjęcia, które bardzo starannie przygotowała i wysłała do jubilerów; dołączone były do nich uprzejme liściki.

„Szanowna pani Fraser. Dziękujemy za przesłanie nam pani projektów. Z przykrością musimy stwierdzić, że obecnie nie mamy na nie zapotrzebowania, lecz życzymy pani sukcesów w pracy.”

Jak mam odnieść sukces, mruknęła, skoro nawet nie mogę

zacząć pracować? Potem otworzyła list; była tam krótka notka od firmy ubezpieczeniowej, w której złożyła podanie o pracę w recepcji. Firma zatrudniła już kogoś z większym doświadczeniem, ale życzyła Katherine powodzenia. Jakież to miłe z ich strony, pomyślała, wszyscy życzą mi sukcesów.

Zadzwoił telefon, więc rzuciła się do aparatu, jak zwykle myśląc, że tym razem to na pewno Craig. Ale to nie był on.

— Katherine — w słuchawce zabrzmiał głos Rossa. — Byłem ciekaw, co u ciebie słychać.

To idiotyczne, ale poczuła, że serce zabiło jej mocniej. Dopiero gdy usłyszała jego głęboki głos i przypomniała sobie jego uśmiech, zdała sobie sprawę, jak bardzo czuje się osamotniona. Zaraz jednak "uświadomiła sobie, że minęło już pięć tygodni, odkąd Ross obiecał zadzwonić, by spytać o wieści.

— Byłem bardzo zajęty — mówił Ross. — Właśnie dlatego dzwonię dopiero teraz. Wciąż jestem ci winien przeprosiny za to nieudane przyjęcie u Victorii, zwłaszcza że to ja cię w to wpakowałem. Jesteśmy dużo sympatyczniejsi, niż można by sądzić po tamtym wieczorze, a przynajmniej niektórzy z nas. Mam nadzieję, że sama się o tym przekonasz. A teraz powiedz, co u ciebie? Dowiedziałaś się czegoś?

— Nic. — Bardzo chciała opowiedzieć mu o wszystkim, ale nie mogła; Ross należał do tamtej rodziny i prawdopodobnie pomyślał o niej tylko dlatego, że ciekaw był wieści o Craigu. Chyba nie jest człowiekiem, na którego można by liczyć. — Wciąż czekamy. Ale postanowiłam sprzedać dom i przenieść się do jakiegoś tańszego mieszkania.

— Sprzedać?... Czy aby nie zbyt pochopnie podjęłaś decyzję? Ile masz pieniędzy?

— Wystarczy mi — odparła wymijająco. — Ale nie tyle, żeby zostać w tym domu.

— Ale mógłbym... nie sprzedałaś go jeszcze, prawda?

— Jeszcze nie.

— Posłuchaj, pewnie sobie pomyślisz, że to nie mój interes, ale ile za niego dostaniesz na czysto?

— Osiem tysięcy dolarów. To nie,...

— Osiem tysięcy! Za taki dom? Katherine, nie bądź głupia. To bardzo cenna nieruchomość.

— Za kogo ty siebie uważasz? — krzyknęła. Ross był równie arogancki i niesympatyczny jak reszta rodziny. — Domy przestały być tutaj w cenie, a ja mam nóż na gardle; nie mam z czego płacić...

— Ja mógłbym płacić. Przynajmniej dopóki nie uzyskasz lepszej ceny.

— Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy.

— Do licha, moglibyśmy zawrzeć umowę. Chodzi o ochronę twojej własności.

Chciałabym, żeby mnie ktoś chronił, pomyślała kwaśno, ale na głos powiedziała:

— Nie chcę popadać w długi.

— Zwłaszcza u Haywardów. Nie odpowiedziała.

— Moglibyśmy ci pomóc, gdybyś nam na to pozwoliła. — Odczekał chwilę. — Katherine, przecież sama mówiłaś, że liczysz na pożyczkę. — Wciąż się nie odzywała. Ross westchnął głośno. — Biorąc pod uwagę odległość, choć tyle możemy dla ciebie zrobić. Gdybyś była tutaj, moglibyśmy... — przerwał na chwilę. — Katherine, co ty na to? Skoro jest aż tak źle, to dlaczego nie przeprowadzisz się do San Francisco?

Tak bardzo ją to zaskoczyło, że aż siadła z wrażenia na kuchennym taborecie.

— Przeprowadzić się?

— Tutaj się wychowałam, znasz miasto, a gdybyś była blisko nas, mielibyśmy szansę jakoś ci pomóc. Zapomnij o tamtym przyjęciu u Victorii, to był tylko jeden wieczór i dawno minął. Gdybyś mieszkała w San Francisco, moje dzieci pomogłyby twoim zaaklimatyzować się, a Melania poznałaby cię ze swoimi przyjaciółmi...

Melania. Wymuskana, elegancka, wyniosła.

— Ross, pomyśl, ile przyjaciółek Melanii ma kłopoty finansowe? Ile z nich pracuje?

— Z tego, co wiem, żadna — przyznał. — Ale miałybyś tu rodzinę...

Dlaczego on to robi? — zastanawiała się.

— Ja nie mam rodziny. Oni nie chcą nie tylko mnie, ale nawet Craiga. Poza tym nie widzę możliwości wyjazdu z Vancouver. —

Rozległ się dzwonek u drzwi. — Muszę już kończyć. Dziękuję, że zadzwoniłeś i że o mnie pamiętałeś. W drzwiach stał policjant.

— Znaleźliście go — powiedziała słabym głosem.

— Nie, proszę pani. Po prostu przechodziłem i pomyślałem, że ipytam, czy miała pani jakieś wieści.

Odetchnęła. A więc jeszcze nie.

— Nie, żadnych.

— Nie dawał znaku życia? Nie dzwonił?

— Nie.

Zwykle, kiedy rozmawiam z kimś o Craigu, pomyślała Katherine, najczęściej pada słowo „nie”

- Telefon znów zadzwonił. Kiedy Katherine podniosła słuchawkę, Frances Doerner wyrzuciła z siebie:

— Jak się masz, Katherine? Nie mogę teraz rozmawiać, bo już jestem spóźniona do fryzjera, ale chciałam ci powiedzieć, że niestety myliłam się, co do tej pracy w firmie Carla. Strasznie mi przykro.

W firmie Carla. Jeszcze kilka dni temu to była firma Carla i Craiga, przemknęło Katherine przez myśl.

— Widzisz, nie ma żadnej wolnej posady, a na pewno nie chciałabyś, żeby kogoś wylali. Tak mi przykro, że wprowadziłam cię w błąd; Carl był bardzo niezadowolony, kiedy mu powiedziałam, co zrobiłam. Tak więc, kochanie, nic się nie da zrobić. Carl nie chce zwiększać kosztów własnych firmy i nic nie udało mi się u niego wskórać. Naprawdę bardzo mi przykro; jeśli mogłabym ci jakoś pomóc...

— Nie — odparła Katherine. — Ale dzięki, że próbowałaś. Do widzenia, Frances...

— Aha... jeszcze jedno, Katherine... Carl prosił, żebym ci powiedziała, że samochód jest mu potrzebny.

— Jaki samochód?

— Ten, z którego korzystał Craig. Należy do firmy i Carl prosił, abym ci powiedziała, że go potrzebuje. Przykro mi...

— Nie ma sprawy. Nawet nie wiedziałam, że to nie nasz samochód. Odstawię go jutro.

— To cudownie z twojej strony, że tak to przyjmujesz...

— Do widzenia, Frances.

Katherine stanęły przed oczyma wszystkie rachunki: długi, które musi uregulować za dwa tygodnie, a ma tylko trzy tysiące dolarów. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej czek od Anny Hayward. Wprawdzie odmówiła Rossowi, ale to jest zupełnie inna sprawa: tylko jeden czek i w dodatku trzyma go w ręku. Tysiąc dolarów. Plus te trzy tysiące w banku. Do tego osiem tysięcy ze sprzedaży domu. Wystarczy na wynajęcie mieszkania i na przeżycie, dopóki nie znajdzie jakiejś pracy.

Nie myśl o tym; po prostu zrób to, powiedziała sobie szybko. Zadzwoiła do pośrednika. Ross powiedział, że jest głupia, nie, powiedział: „nie bądź głupia”. Ale nie zadeklarował spłaty kredytu; wspomniał tylko, że mógłby to zrobić. Zresztą i tak by na to nie poszła. Poradzi sobie sama, nawet jeśli przyjdzie jej sprzedać dom.

Kiedy jednak wyraziła zgodę, by pośrednik przyjął ofertę kupna, poczuła się, jakby popełniła straszny błąd. Działała zbyt pochopnie, tak jak powiedział Ross. Ale też niczego jej nie doradził; tylko nazwał ją głupią.

— Craig, potrzebuję cię — odezwała się na głos. — Brakuje mi ciebie. Proszę, zadzwoń, wróć.

Rozpłakała się. Ostatnio wszystko stawało się powodem do płaczu i była już tym strasznie zmęczona, ale łez jakby ciągle w niej przybywało i co chwila tryskały jej z oczu.

Obróciła się w krzesło Craiga — popatrzyła w stronę salonu i dalej w głąb domu, na jadalnię i kuchnię, i z ogromnym żalem pomyślała, że właściwie już do niej nie należą. Za oknem wysokie drzewa — niczym strażnicy — stały pośród krzewów i kwiatów, które sama zasadziła, ale i one nie były już jej własnością.

Nie powinnaś była sprzedawać domu. W myślach słyszała oskarżający głos Craiga. Powinnaś poczekać. W pokoju nie było nikogo poza nią, lecz słyszała jego głos. Pieniądze, które miałaś, starczyłyby ci na dwa miesiące.

Nie mogłam czekać, polemizowała z Craigem w myślach. Nie wierzę, że wrócisz za dwa miesiące. A co by się ze mną stało, gdybym nie znalazła innego kupca? Craig, ja musiałam sama o tym zdecydować. — On jednak jej nie odpowiedział.

Katherine spojrzała przez okno i zobaczyła, że Jennifer i Todd wysiedli z autobusu i biegną już do drzwi. Todd miał potargane włosy i brudną twarz, a Jennifer podartą bluzkę. Co mogło się stać?

Przecież zwykle nie wdawali się w bójkę z innymi dziećmi. Gdy podbiegli bliżej, Katherine dostrzegła łzy na ich policzkach i ruszyła im naprzeciw.

— Co się stało? — krzyknęła, gdy przytuliły się do niej.

— Nieważne — odparła Jennifer gwałtownie. — I tak się stąd wyprowadzamy, a na piknik więcej nie pojedziemy. Nigdy już tam nie pójde. Nie chcę więcej widzieć tych dzieciaków.

— To kłamcy — oświadczył Todd. — Pobiłem Eddiego, a Maćkowi rozwaliłbym głowę, gdyby mnie nie powstrzymali. Wszystkich bym pozabijał.

— Ale dlaczego się biliście? — spytała Katherine, choć w duchu wiedziała dlaczego.

— Oni mówili, że tata ukradł jakieś pieniądze — wyjaśnił Todd. — I że potem uciekł, żeby nie pójść do więzienia. Dlatego pobiłem...

Jennifer tupnęła nogą.

— Do końca życia nie chcemy widzieć tych dzieciaków! Niech ich diabli, pomyślała Katherine z wściekłością, dzieci

potrafią być okrutne. I niech diabli wezmą ich rodziców za to, że przy nich rozmawiali o naszej rodzinie. To dlatego te smarkacze wyzywają się teraz na moich dzieciach.

— Powiedźcie mi — spytała siadając z nimi na sofie. — Jak się z was naśmiewali?

— Och... — Jennifer chciała wyrzucić to z siebie jednym tchem. — Powiedzieli, że powinniśmy uwiązać tatę na smyczy, żeby nauczył się siedzieć w domu jak inne psy... — Resztę słów stłumił szloch i dziewczynka wtuliła twarz w ramię Katherine.

— Mówili, że ich ojcowie są w domu — mruknął Todd. — I że powinniśmy się nauczyć trzymać naszego w domu, żeby nie kradł. Ale oni kłamali, prawda? Pan Doerner też. Powiedz mamie, że te bękarty kłamią. Pieprzone bękarty, cholerne dranie...

— Todd! — krzyknęła na niego Katherine. — Przeklinanie na nic się nie zda.

— Owszem, tak. To są dranie, mamie. Skłamali! Obejmując przytulone do niej dzieci, Katherine zwróciła się do

Craiga z niemą, daremną przecież prośbą. Co ja mam im powiedzieć, pytała. Jeśli zamierzasz wrócić, to mogłabym coś wymyślić, ale jeśli nie, to co mam zrobić? Każdego dnia muszę umieć patrzeć im

prosto w twarz i odpowiadać na pytania. To nie są niemowlęta, zasługują na to, by znać prawdę.

— Rozmawialiśmy już o tym — zaczęła; czuła, jak Jennifer czeka w napięciu, wstrzymując oddech. — Pamiętacie? Powiedziałam wam wtedy, że jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wiemy. Myślę, że te dzieci są obrzydliwe. Są głupie, okrutne i powinniśmy całkowicie je zignorować. Ale to, co mówiły... to dość skomplikowana sprawa, bo chyba jednak tata rzeczywiście wziął te pieniądze z kasy firmy.

— Nie — zaprzeczyła Jennifer przytłumionym głosem.

— Wygląda na to, że wziął. Ale zamierzał je zwrócić. Dlatego właśnie wyjechał: żeby zdobyć pieniądze i zwrócić dług. Nie wiem, dlaczego nie wrócił do domu. Może zdobycie pieniędzy okazało się trudniejsze, niż myślał. Tego po prostu nie wiemy. I dopóki nie wróci i nie wyjaśni nam...

— Jeśli jeszcze żyje — Jennifer usiadła i otarła oczy wierzchem dłoni. — Tego przecież także nie wiemy, prawda?

— Nie mamy pewności. — Ciekawe, co psychologzy radziliby powiedzieć dzieciom, zastanawiała się Katherine. Czy prawda jest dla nich dobra czy zła? Nie miała jednak czasu, żeby konsultować się z kimkolwiek; sama musiała podjąć decyzję. No proszę, ni stąd, ni zowąd pojawiło się tyle rzeczy, o których musi zdecydować sama. — Nie pozostaje nam nic innego jak mieć nadzieję, że tata żyje i zadzwoni do nas albo że zawiadomi nas o jego losie ktoś inny, jeśli tata miał wypadek...

Po raz kolejny tego dnia zadzwonił telefon i Todd rzucił się do aparatu.

— Oczywiście — powiedział ponuro. — To do ciebie, mamó. Dzwoni ta pani, dla której urządziłaś przyjęcie.

To Leslie. Katherine chwyciła słuchawkę, jakby to było koło ratunkowe.

— Jak to cudownie, że zadzwoniłaś! — mówiła śmiejąc się, ale głos jej drżał. — I to w samą porę.

— O mój Boże! — odezwała się Leslie. — O co chodzi? Czy coś się stało?

— Próbowałam się z tobą skontaktować... — Katherine usiadła i wyrzuciła z siebie potok słów; opowiedziała wszystko: zaczęła od pytania, które Carl Doerner zadał jej na przyjęciu, potem mówiła

o sprzedaży domu, o bójce, jaką dzieci stoczyły na pikniku, aż w końcu rozpląkała się, bo tak jej ulżyło, że wreszcie może się wygadać.

— Chryste — powiedziała Leslie, kiedy Katherine skończyła mówić. — Wpadłaś w niezłe bagno... Poczekaj chwilę, niech pomyślę. — W głosie przyjaciółki było tyle energii, że Katherine poczuła się podbudowana i rozluźniła się nieco. — Na razie pominiemy fakt, że nie poprosiłaś mnie o pomoc i czuję się z tego powodu niepotrzebna...

— Dzwoniłam do ciebie, ale wyjechałaś. A potem co chwila spadało na mnie coś nowego...

— ...Pomówimy o tym, jak mam ci teraz pomóc. Ile pieniędzy potrzebujesz?

— Leslie, ja nie mogę pozwolić sobie na pożyczanie pieniędzy. — Katherine zerknęła w stronę siedzących w salonie dzieci i ściszyła głos. — Craig pożyczył już wystarczająco dużo.

— Ja nie patrzę na to w taki sposób, ale rozumiem cię. Więc skąd bierzesz pieniądze? Masz jakąś pracę?

— Tylko w marzeniach. A możesz mi coś zaproponować?

— Pewnie. Ale nie w Vancouver. Katherine, chcesz powiedzieć, że nie możesz znaleźć pracy?

— Na razie nie.

— Nie wspomniała o tym wcześniej, bo wstyd jej było przyznać się do tego przed osobą, która sama zapracowała na sukces, podczas gdy ona poświęciła się mężowi... a ten ją opuścił. Teraz jednak zrelacjonowała Leslie swe starania o pracę projektantki biżuterii lub urzędniczki.

— Wszędzie to samo: nikt nie chciał mnie zatrudnić. W ogóle trudno jest obecnie o pracę, więc dlaczego ktoś miałby ryzykować, przyjmując osobę bez żadnego doświadczenia?

— Bo jesteś energiczna, inteligentna i można na tobie polegać.

— Byłaby ze mnie dobra harcerka.

— Może, ale ja jestem gotowa zatrudnić cię od zaraz. Mam tu coś w sam raz dla ciebie; byłabyś asystentką faceta, który u nas projektuje wystawy. Wprawdzie to osioł, ale wszystko ma swoje wady i zalety. Co ty na to?

— Leslie, ale ja mieszkam w Vancouver.

— Wiem — powiedziała ze zrozumieniem. — Ale czy musisz?

Przecież mogłabyś razem z dziećmi przyjechać tutaj. Naprawdę możesz mieć tę pracę; załatwię ci ją. Poszukałabym ci też mieszkania, żebyś miała gdzie się wprowadzić po przyjeździe. Znowu mogłybyśmy plotkować, pojadając czekoladki — całkiem jak za dawnych czasów. Do licha, Katherine, od dawna nie miałam tak dobrego pomysłu! Katherine? Jesteś tam?

— Tak.

— Najpierw Ross, a teraz Leslie. Różnica jest taka, że Ross tylko jej to zasugerował, a Leslie organizowała jej nowe życie.

Plotki i czekoladki. Przez całą szkołę, studia i kiedy już zaczęły pracować, spotykały się w pokoju Leslie i nieraz całe noce spędzały, pojadając słodkości i narzekając na nudnych nauczycieli, niedojrzałość chłopców i szarość własnego życia.

Ale co je łączyło teraz? Leslie pracowała na kierowniczym stanowisku i miała pieniądze; była niezależna, atrakcyjna, obyta i bez trudu dawała sobie radę w świecie profesjonalistów. Katherine zawsze była żoną i zajmowała się prowadzeniem domu — tylko że teraz straciła męża i sprzedała dom, więc nie bardzo wiedziała, kim jest.

— Sama nie wiem — powiedziała. — Mieszkamy tutaj; tu jest nasze miejsce.

— Wasze miejsce! Posłuchaj, moja panno, z tego, co mi powiedziałaś, wnioskuję, że znajdujecie się na wrogim terytorium. Nie masz pracy ani przyjaciół, a twoje dzieci biją się z jakimiś okropnymi smarkaczami. Nie masz już nawet domu. Co ty nazywasz swoim miejscem? A czym jest dla ciebie San Francisco? Przecież przeżyłaś tu więcej lat niż w Vancouver; pewnie pamiętasz jeszcze każdy znak drogowy. Zgadza się?

Leslie miała rację. Katherine pomyślała, że tamtego dnia, kiedy poleciała do San Francisco i Ross odebrał ich z lotniska, czuła się, jakby wróciła do domu, a kiedy jechali przez miasto, odżywało coraz więcej wspomnień. Moje miejsce. Tam są moje korzenie i moje wspomnienia. A teraz mogę tam mieć jeszcze pracę, mieszkanie i przyjaciółkę.

— Ale Craig... — zaczęła.

— Craig — powtórzyła Leslie. — Nie widzę problemu. Po pierwsze, dopóki nie znajdzie wam mieszkania, zostawicie mój adres i numer telefonu policji i sąsiadom, jeśli znajdziesz wogóle kogoś

życzliwego. Craig będzie mógł więc odszukać cię przeze mnie. Po drugie, całkiem możliwe, że wróci do San Francisco zamiast do Vancouver. Do swej pierwszej rodziny, że tak powiem. Skoro i ty tu będziesz, to znajdzie wszystkich w jednym miejscu i za jednym zamachem wszystko wyjaśni i rozwiąże swoje problemy. Świetnie się to dla niego składa, nie sądzisz?

Dla mnie też by się świetnie złożyło, pomyślała Katherine. Tęskniła za Craigiem i ich wspólnym życiem. On chyba też tęskni — jeśli żyje. Rodzina tak wiele dla niego znaczyła. Wróci do nas — jeśli żyje. Odnajdzie nas, gdziekolwiek będziemy. Wszystko inne przecież zawiodło. Przypomniała sobie, ile drzwi zamknęło się przed nią w ciągu ostatniego miesiąca. Cóż jeszcze zostało?, myślała.

— Zastanowię się nad tym — powiedziała, ale ton jej głosu zmienił się i Leslie to wyczuła.

— To dobrze — odparła wesoło — Zadzwoń, jak będziesz gotowa. Wynajmę orkiestrę na wasze powitanie.

— Nie — rzuciła Katherine z roztargnieniem, wybiegając już myślą w przyszłość. — Niepotrzebna mi orkiestra. Tylko jakieś mieszkanie i dobra szkoła dla Jennifer i Todda...

Gdy usłyszała śmiech Leslie, poczuła, że podjęła ostateczną decyzję.

CZESC 2

Rozdział szósty

Grube czerwone liny mostu Golden Gate opadały w dół, po czym wznosiły się ku szczytowi czteropoziomowego filara, pod którym Catherine zaparkowała wynajętą ciężarówkę.

— To nasze ostatnie chwile w roli turystów — zażartowała. — Potem będzie to już nasze miasto.

— San Francisco nigdy nie stanie się naszym miastem — orzekła ponuro Jennifer powłócząc nogami, podczas gdy Katherine i Todd wyskoczyli z szoferki. — Jest nim Vancouver.

— Jennifer — Katherine starała się mówić z naciskiem, ale delikatnie. — Chodź tutaj i popatrz; tu jest naprawdę pięknie.

— O rety! — zachwycił się Todd i aż obrócił się na pięcie. Znajdowali się poniżej północnego krańca ogromnego mostu, tuż przy małej, osłoniętej zatoczce, gdzie kilku rybaków zarzucało wędki; gdy wszyscy troje spojrzeli w górę, mieli nad sobą most — zdawał się frunąć przez rzekę, by po jej drugiej stronie opaść w gęsto porośnięty drzewami park, za którym rozciągało się San Francisco. — Jest o wiele większy niż most Lions Gate.

— Wcale nie — zgasiła brata Jennifer, lecz wkrótce i ją urzekł widok na drugim brzegu rzeki.

Leżało tam miasto na wzgórzach, gdzie białe i pastelowe, wyblakłe od słońca domy wznosiły się na pochyłych zboczach, tworząc jakby biegnące w górę i w dół schodki, a kilka stojących blisko siebie drapaczy chmur przypominało szepczących coś przyjaciół; iskrząca się w słońcu woda zdawała się być wszędzie, tak jakby oblewała dokoła całe miasto razem z jego wzgórzami i domami.

— Trochę przypomina to Vancouver — powiedział Todd starając się pocieszyć siostrę, ale ona odparła:

— Vancouver jest tysiąc mil stąd.

Do Katherine ledwie docierały słowa dzieci. Wiele oczekiwała po przyjeździe do San Francisco. Wszystko będzie dobrze, mówiła sobie, znam tu każdy kąt. To nie jest dla nas obce miasto. Budynek po drugiej stronie rzeki błyszczały w słońcu i pod wpływem nagłego impulsu Katherine powiedziała:

— San Francisco czeka na nas.

— Vancouver też — mruknęła Jennifer, odwracając się tyłem do lśniącej panoramy miasta, jakby w obawie, że urzeczenie pięknym widokiem weźmie górę nad jej niechęcią.

— Spójrzcie tam! — krzyknął Todd, idąc brzegiem małej zatoczki w kierunku podobnych do igieł skałek i piaszczystej plaży, na której dalekim krańcu wznosiła się latarnia morska. — Możemy tam pójść, mamó?

— Nie dzisiaj — odparła Katherine. — Jesteśmy umówieni z pośrednikiem w sprawie mieszkania, zapomnieliście już? Ale przyjedziemy tu. — Przez chwilę patrzyli na wysunięty w wodę cypel i stojącą na nim latarnię morską.

— To Lime Point — wtrącił jeden z rybaków. — Fantastyczne miejsce. Kiedy się stoi na koniuszku tego cypla, ma się wrażenie, że dokoła jest tylko woda. A tam... — wskazał na lewo — jest Alcatraz.

— Alcatraz!... — powtórzył przejęty Todd.

— Pojedziemy tam innym razem — oświadczyła stanowczo Katherine. — Dziś jesteśmy zajęci.

Wsiedli do ciężarówki i ruszyli z powrotem małą uliczką w kierunku autostrady, po czym wjechali na most i pomiędzy ogromnymi łukami z czerwonych lin pomknęli na spotkanie zbliżającego się miasta. Jennifer z ponurą miną wyglądała przez okno; pragnęła, by mama przestała silić się na wesołość, przecież

z każdą chwilą oddalali się od taty. To niesprawiedliwe, pomyślała; mama wcale nie zapytała, czy mają ochotę przenieść się do San Francisco; sama podjęła decyzję, a potem wszystko stało się tak nagle. Przydzieliła im różne prace związane z pakowaniem i wynajęła ciężarówkę — kto by pomyślał, że sama będzie ją prowadzić! — na którą załadowała połowę mebli, a resztę zostawiła w przechowalni. Patrzyli, jak dom coraz bardziej pustoszeje, a kiedy rozejrzeli się po nim po raz ostatni, obydwójce wybuchnęli płaczem; mama też płakała, ale jakoś tak cichutko. Bo też był to okropny widok — pokoje świeciły pustkami, a kroki odbijały się echem na gołej podłodze, okna bez firanek wyglądały nago i smutno, a drzwi przypominały czarne dziury w pustych ścianach. Gdyby tata wrócił, też pewnie by się rozplakał. Dlaczego nie zadzwoniłeś do nas, tato, bezgłośnie żaliła się Jennifer. Czekaliśmy i czekaliśmy aż do ostatniej chwili, ale ty się nie odezwałeś i dlatego teraz siedzimy w tej okropnej ciężarówce tysiąc mil od domu.

Zatrzymawszy się na czerwonym świetle tuż za gęstym parkiem Presidio, Katherine spojrzała na Jennifer — zbuntowana dziewczynka wyglądała przez okno. Wiedziała, że powinna jakoś ją pocieszyć, ale nie potrafiła. Odkąd siadła za kierownicą ciężarówki i wyjechała z podjazdu, oładnęły nią własne myśli i nie miała cierpliwości wysłuchiwać zachcianek dzieci. Siedząc w wysoko zawieszonym samochodzie czuła, jak stopniowo łagodnieje ból po rozstaniu z domem, a rośnie radość z tego, czego sama dokonała: wszystko zorganizowała, spakowała rzeczy i odjechała zgodnie z planem. Własnoręcznie zamknęła drzwi domu. To tak jakbym zamknęła jakiś etap w moim życiu, pomyślała czując, jak przechodzi ją zimny dreszcz; zaraz jednak o tym zapomniała, stając u progu przygody, po którą, pierwszy raz od czasu spotkania Craiga, wyruszyła samodzielnie. Po dwóch miesiącach pełnych strachu, niepowodzeń i samotności rozklekotana ciężarówka wydała się Katherine rydwanem wiozącym ich ku zwycięstwu, bo chociaż bała się przyszłości, to po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuła, że sama zadecyduje o jej kształcie.

Pośrednik poprowadził ich w okolice ulic Czterdziestej Szóstej i Irving. Katherine jak przez mgłę pamiętała dzielnicę Sunset, ale zdążyła już zapomnieć, jak bardzo jest zatłoczona — wzdłuż każdej

uliczki ciągnęły się tu domy tak ciasno skupione, że tworzyły niemal nieprzerwany mur opadający lekko w dół ku oceanowi. Mieszkając w przestronnym zachodnim Vancouver tutaj poczuła się osaczona, a gdy zobaczyła budynek, który wskazał pośrednik, serce jej zamarło. W mieście, w którym nawet najmniejszy, najzwyczajniejszy domek pomalowany był na niebiesko, różowo, żółto albo oślepiająco biało, akurat ten ozdobiony sztukaterią budynek był szary i wyglądał równie wesoło jak więzienie.

— Niedaleko stąd do oceanu — poinformował ich z ożywieniem pośrednik. — Zaledwie kilka bloków dalej; dojrzycie go z własnego mieszkania. No i oczywiście tylko dwa kroki stąd jest park Golden Gate. Ale wejdźmy do środka.

— To ma być dom? — spytał Todd z niedowierzaniem, zaglądnąwszy do dwóch pokoi i kuchni.

— Tu jest brzydko — podsumowała Jennifer i wyszła na zewnątrz. Usiadła na kępcę trawy i z zachmurzoną miną popatrzyła na ulicę.

Pośrednik bezradnie rozłożył ręce.

— Panna McAlister powiedziała, że mam znaleźć mieszkanie w granicach czterystu dolarów. Niewiele domów można wynająć w Sunset za takie małe pieniądze. A to całkiem przyjemna dzielnica dla rodziny z dziećmi; mnóstwo ludzi szuka tu domów. W pobliżu jest dobra szkoła, a budynek czysty. — Katherine przytaknęła. — Ale panna McAlister przysyła nam sporo klientów — dodał szybko — i nie chciałbym, żeby pani była niezadowolona. Może podrzucę trochę farby i razem z dziećmi rozweseli pani trochę ten domek? A czynsz policzymy dopiero od września. Dam pani dwa tygodnie za darmo.

Katherine rozejrzała się.

— A więc czynsz wynosi czterysta dolarów miesięcznie?

— Zgadza się. — Przyjrzał jej się uważnie. — Myślałem, że panna McAlister uprzedziła panią o tym.

— Powiedziała mi, że rozejrzy się za czymś w granicach trzystu — czterystu...

— Pani Fraser, chyba nie mówi pani poważnie. Za trzysta dolarów nie znajdzie pani niczego w Sunset. Chyba że slumsy!

Katherine weszła do obskurnej sypialni. Czterysta dolarów stanowiło połowę jej pensji w sklepie „Heath”, na posadzie, którą

Leslie jej załatwiła. Pomyślała, że nie powinna wynajmować tego mieszkania. Mogliby zatrzymać się w hotelu na kilka dni, dopóki nie znajdzie czegoś tańszego. Nie знаła jednak zbyt dobrze wszystkich dzielnic, a tę Leslie jej poleciła. Stała na środku, niezdecydowana, czując, jak ulatuje z niej radość, którą czuła w czasie podróży. Oto gdzie trafiła, samodzielnie kształtując przyszłość — do dwóch pokoi z kuchnią za czterysta dolarów miesięcznie.

— Niech będzie — zgodziła się.

Zostaną tutaj, ale rozejrzy się trochę sama. Zabrała się do wypisywania czeku za wrześnieowy czynsz.

— Należy się tysiąc dwieście — podsumował pośrednik wyjmując pokwitowanie.

— Tysiąc dwieście?...

— Za pierwszy i ostatni miesiąc plus depozyt. Musimy się jakoś zabezpieczać — dodał widząc malujące się na twarzy Katherine osłupienie. — Nie uwierzyłyby pani, jak często ludzie uciekają albo niszczą mieszkania.

Odrętwiała Katherine wypisała czek. Gdy tylko wydawało jej się, że wie, na czym stoi w kwestii finansów, nagle zdarzało się coś, co wywracało wszelkie rachuby do góry nogami.

— Kanadyjski bank — mruknął pośrednik kręcąc głową. — Takie dolary warte są tutaj około osiemdziesięciu pięciu centów.

A więc jeszcze kurs dolara. Kolejna rzecz, której nie wzięła pod uwagę.

— Czy mogłabym uregulować różnicę nieco później? — spytała starając się mówić spokojnym głosem. — Jak tylko otworzę rachunek w tutejszym banku?

Po chwili milczenia pośrednik skinął głową.

— Myślę, że mogę pani zaufać. Może dopłaci pani resztę razem z październikowym czynszem?

— Świetnie.

Gdy tylko pośrednik wyszedł, odwróciła się plecami do mieszkania. Zaledwie salon, sypialnia, kuchnia, łazienka. Po tym wszystkim, co mieli w Vancouver! Czuła się przytłoczona ogromem tej zmiany — porzuciła przestronny, jasny, cudowny dom z tarasem i widokiem na Vancouver, swój ogródek różany i wysokie drzewa, i duży dziedziniec. Potrząsnęła głową. Porzuciła to wszystko, żeby... przyjechać tutaj. Jak mogła to zrobić?

— Mój Boże, Katherine, w co ja cię wpakowałam?

Leslie stała w drzwiach i znad toreb z zakupami, które trzymała w obu rękach, spoglądała na przyjaciółkę.

— Do licha, Katherine! Nie miałam pojęcia. Pośrednik powiedział mi, że dom jest w sam raz dla trzyosobowej rodziny i że za czterysta dolarów lepszego nie znajdzie...

— W porządku, Leslie. Przyzwyczajmy się. Gdy pomalujemy ściany, zrobi się tu o wiele weselej.

— Ale powinniście mieć więcej przestrzeni.

— Nie mogę sobie na to pozwolić.

W jak różnej sytuacji finansowej się znajdowały, pomyślała każda z nich.

— W takim razie... — zaczęła Leslie stawiając torby na podłodze — ...witaj w San Francisco.

Katherine roześmiała się i obie uściskały się serdecznie.

— Dziękuję — powiedziała. — I dzięki za to, że przyszedłeś; tak miło jest zobaczyć jakąś przyjazną twarz.

— Zwłaszcza w takim miejscu jak to — przyznała Leslie i rozejrzała się po mieszkaniu kręcąc głową. — Cóż... — nagle zaczęła mówić jak kobieta interesu — oto plan dnia. Wykonam jeden telefon i zjawi się tu ekipa muskularnych chłopaków i rozładuje twoją ciężarówkę. Oni...

— Leslie, nie mogę pozwolić sobie na żadną ekipę. W Vancouver wynajęłam do tej roboty chłopca ze średniej szkoły i tutaj planowałam zrobić to samo.

— Ale to nie są ludzie z firmy zajmującej się przeprowadzkami; pracują w dziale technicznym jednego z naszych sklepów. Potraktuj ich jako pakiet powitalny. Zrobią wszystko, co im każesz, więc przypilnuj, żeby ustawili meble dokładnie tak, jak chcesz. A potem zabieram waszą trójkę na kolację. I przestań kręcić głową. To część pakietu powitalnego. Od jutra będziesz radzić sobie sama, ale na początek potrzebujesz czegoś specjalnego, dlatego idziemy do restauracji „Henry” na ostatnim piętrze Hiltona, z cudowną panoramą, przyzwoitym jedzeniem, a dla dorosłych jakieś dobre wino. Co ty na to?

— A ja na to jak na lato.

— Ściągnęłam was tu, więc muszę się starać, żebyście byli zadowoleni. A skoro już o tym mowa, to przyniosłam ci prezent. — Wyjęła coś z jednej z toreb. — Domyślasz się, co to takiego?

— Wygląda jak jakieś szmaty.

— Bo to są szmaty. To najcenniejszy prezent, jaki można dać komuś, kto właśnie się sprowadził do nowego mieszkania. No dobrze, teraz pójde do automatu i sprowadzę tych muskularnych chłopaków, a potem pomogę ci doczyścić kuchnię, bo pewnie lepi się od brudu. Jennifer i Todd też chyba powinni się włączyć, co? Bo siedzą przed domem i wyglądają, jakby świat się zawalił.

— Oczywiście. Wiesz, dziwne, ale sama zupełnie nie pomyślałam o ścierkach.

Kiedy Leslie objęła dowodzenie, mieszkanie ożyło. Dwóch młodych mężczyzn — tak silnych jak to zapowiadała — rozładowało ciężarówkę, a Leslie, Katherine i marudzące pod nosem dzieci wymyły kuchnię, łazienkę fwszystkie podłogi. Wprawdzie w trzech małych pokoikach nieustannie na siebie wpadali, ale Leslie żartowała sobie z tego, a Katherine, słysząc wokół śmiech i widząc, jak jej własne meble wypełniają nowe kąty, znów poczuła radosny nastrój nadziei, który towarzyszył jej rano.

— Sama widzisz — podsumowała Leslie wieczorem, już w restauracji — wszystko zależy od właściwego zorganizowania pracy.

— Albo od nasilenia desperacji — rzuciła Katherine wesoło. Młode kobiety usiadły przy stoliku tuż przy oknie, podczas gdy

Jennifer i Todd obeszli salę dokoła podziwiając widoki i zgodnie przyznali, że rzeczywiście robią wrażenie. Katherine popatrzyła na rozciągające się w dole rozjarzone miasto i na światła Oakland, Berkeley i innych miasteczek po drugiej stronie zatoki i przez jedną krótką chwilę czuła się naprawdę szczęśliwa. Oto jadła kolację z przyjaciółką, dzieci już nie narzekały, a rozmawiały zadowolone, czekał na nią dom z jej własnymi meblami i ciepłym światłem lamp, a za dwa tygodnie, kiedy Jennifer i Todd zaczną szkołę, ona pójdzie do pracy, będzie zarabiać pieniądze i zacznie nowe życie. Znaleźliśmy dla siebie miejsce, pomyślała, gdy kelner przyniósł przystawkę z krewetek i krabów i dzieci zabrały się do jedzenia. Dopóki Craig nie wróci, mamy schronienie.

Zwykle nie zauważa się drobnych czynności życia codziennego, dopóki nie ulegną one zmianie. Katherine zmieniła niemal wszystko w czasie pierwszych dwóch tygodni pobytu w San Francisco.

Założyła w domu telefon i wysłała numer wraz z adresem na policję w Vancouver, do Carla Doernera i do dwóch sąsiadów, z którymi Craig mógł się skontaktować, gdyby wrócił i zastał w domu obcych ludzi. Leslie poradziła jej, żeby na wszelki wypadek zorientowała się, gdzie ma najbliżej do lekarza, i by sporządziła listę niedrogich sklepów, do których mogła dojechać autobusem. W banku niedaleko domu towarowego „Heath” otworzyła rachunek rozliczeniowy i oszczędnościowy, złożyła podanie o możliwość regulowania opłat czekiem w pobliskim sklepie spożywczym, a któregoś ranka, pożyczwszy samochód Leslie, pojechała ubiegać się o kalifornijskie prawo jazdy i była pierwsza w kolejce. Wszystkie jej rachunki kredytowe wystawione były na Craiga, więc otworzyła własne w sklepie „Macy’s” i „Sear’s”. W domu towarowym „Heath” miała rachunek pracowniczy. Zapisując dzieci do szkoły uświadomiła sobie, że nie zabrała z Vancouver ich świadectw, więc napisała do starej szkoły z prośbą o przysłanie wyników i do lekarza o dostarczenie kart zdrowia. Jeden z poranków poświęciła na zlokalizowanie najbliższej apteki, zapoznanie się z właścicielem stoiska mięsnego w supermarkecie i sklepu rybnego przy końcu ulicy.

Ale najważniejsze było to, że Jennifer i Todd poznali Annie, która mieszkała po drugiej stronie korytarza, i przyprowadzili ją do domu. Była to wysoka, chuda szesnastoletnia blondynka, o wesołym usposobieniu i poważnym podejściu do nauki, a ponieważ miała bzika na punkcie strojów, wciąż rozglądała się za sposobem zarobienia dodatkowych pieniędzy, na przykład opiekując się Jennifer i Toddem, w czasie kiedy Katherine będzie w pracy.

— Strasznie lubię pani dzieci — powiedziała do Katherine szczerze. — Chętnie zajęłabym się nimi za darmo, w charakterze sąsiedzkiej pomocy, ale... sama pani wie, wszystko tyle kosztuje...

Katherine wiedziała. Wiedziała też, że ponieważ Annie mieszka po drugiej stronie korytarza, może siedząc u siebie — przynajmniej czasami — pisać na maszynie czy słuchać płyt, a jednak zarabiać w tym czasie pieniądze: wystarczyło, by drzwi do mieszkania jej i Katherine były otwarte. Gdy obie uznały, że im się to opłaca, ustaliły wysokość sumy i godziny, w których Annie miała pilnować dzieci po szkole i wieczorami.

Wprawdzie Katherine nie zamierzała spędzać wieczorów poza domem, ale chciała mieć pewność, że gdyby coś jej wypadło, to

Annie dopilnuje dzieci. Szczególnie zależało jej na zapewnieniu im opieki popołudniami. W Vancouver zawsze była w domu, kiedy Jennifer i Todd wracali ze szkoły, więc myśl, że będą sami włóczyć się po okolicy, w czasie gdy ona będzie w pracy, napełniała ją strachem. Teraz nie musiała się już o to martwić.

A więc kolejna sprawa załatwiona, pomyślała. Człowiek jest taki zabiegany i załatwany, zanim się zdomowi w nowym miejscu. A sporo mieli jeszcze przed sobą, wybrali się więc na zwiedzanie miasta.

Katherine chciała zaimponować dzieciom; wynajęła więc samochód i któregoś ranka, bardzo wcześnie, pojechali do Muir Woods. Kierując się na północ przejechali przez tunel, którego wjazd zdobił tęczowy łuk. Kiedy na ten widok Jennifer roześmiała się radośnie, Katherine pomyślała, że to dobry znak, a gdy chwilę później cała trójka w niemym zachwycie stała zapatrzona w wyniośle wznoszące się ku niebu sekwoje, wszelkie narzekania dzieci ustały, skończyły się też niekorzystne dla San Francisco porównania z Vancouver. Przynajmniej na razie.

Kolejnych kilka dni wypełnionych było całkowicie odkrywaniem nowych zakątków San Francisco — odwiedzali muzea i parki, obejrzeliby stary, wyłączony już z żeglugi statek, centrum handlowe urządzone w starej fabryce czekolady i zoo, gdzie obejrzeliby „Świat Goryli” i odbyli wycieczkę kolejką. Ale dla Jennifer i Todda najwspanialsza była jazda samochodem po San Francisco: uwielbiali to dziwne uczucie jakby oderwania się od ziemi, kiedy wjeżdżali pod górę jednego z wielu wzgórz, na których leżało miasto, i przed sobą mieli tylko niebo, bo nie widać było niczego po drugiej stronie wzniesienia, a gdy w końcu znaleźli się na szczycie, aż piszczeli z zachwyty, bo nagle samochód zaczynał się staczać po stromym zboczu, a widok przed oczami zapierał dech w piersiach — mogli sięgnąć okiem hen daleko za następną przecnicę i jeszcze za następną, i wciąż dalej i dalej — aż po sam ocean. Wtedy oddychali głęboko z uczuciem ulgi, lecz już za chwilę pytali: „Mamo, kiedy znów będziemy jechać pod górę?”

Pod koniec tygodnia, kiedy początek szkoły dla dzieci, a pracy dla Katherine był już tuż-tuż, wspólnie sporządzili listę miejsc, które zaplanowali zwiedzić w późniejszym terminie. Rzeczywiście, człowiek musi się nabiegać, zanim przywyknie do nowego miejsca, pomyślała pogodnie Katherine. Ale początek wypadł naprawdę dobrze.

Imponująca marmurowa fasada głównego domu towarowego sieci „Heath” wychodzi na plac Union Square. Z czterech ogromnych okien wystawowych dumnie manekiny spoglądają na przechodniów i zatrzymujących się ludzi — na siedzące w trawie i trzymające się za ręce pary, śpiących na ławkach biedaków, nawołujących do odnowy religijnej pieśniarzy, przyglądają się zapalonym mówcom, którzy z kamiennej platformy przemawiają do każdego, kto zechce ich słuchać, i urzędnikom biurowym biegnącym do pracy na skróty przez wydeptane między kwiatami, żywopłotami i wysokimi kolczastymi palmami ścieżki. W jednym z tych okien stała Katherine z jedwabnym szalem i torebką w rękę, czekając aż Gil Lister o nie poprosi. Lister już od dwudziestu lat projektował wystawy „Heatha” i zarządzał swym małym królestwem twardą ręką i ciętym językiem, a Katherine przyjął na asystentkę bardzo niechętnie. Był niski, okrągłutki, miał drgające wargi i gładko ogoloną twarz i już pierwszego dnia dał Katherine do zrozumienia, że on tu rządzi.

— Stań tam, moja droga, nie, trochę bardziej na prawo; kiedy poproszę o szal, podnieś go do góry, o tak, i czekaj aż go od ciebie wezmę. Nie rzucaj nim we mnie i nigdzie się nie wałęsaj, bo cały czas muszę wiedzieć, gdzie jesteś. Masz być jak asystentka chirurga, zawsze gotowa na wezwanie i dbająca o to, żebym przy minimum wysiłku osiągnął maksimum możliwości. Rozumiemy się? Nie będzie to dla ciebie zbyt trudne, moja droga? No to spróbujmy. Stań tam... nie, trochę bardziej na lewo...

Kiedy Katherine nie trzymała akurat czegoś wysoko nad głową — dokładnie tak jak chciał Lister — czując, jak ręce jej omdlewają, siadała przy małym biurku w rogu jego pracowni i kopiowała szkice wystaw, zamawiała nowe manekiny, a stare wysyłała do naprawy, wypisywała zamówienia na rekwizyty i makiety i porządkowała dokumentację projektów Listera i tych, które podpatrzył u projektantów w innych sklepach.

— Nie robię im w ten sposób żadnej krzywdy — tłumaczył Katherine. — Nie zabieram im klientów i stać mnie na znacznie bardziej oryginalne pomysły, ale sama widzisz, moja droga, jak bardzo jestem zajęty; to straszne, że czas tak szybko ucieka i przede wszystkim cierpi na tym sztuka; tak, sama się o tym przekonasz, że sztuka cierpi, kiedy brakuje czasu, by się zastanowić i zrealizować

własne pomysły. Nie chcielibyśmy jednak denerwować konkurentów prezentowaniem ich projekcików w naszych oknach, więc upiększamy je i dopracowujemy, by klienci „Heatha” widzieli, że to naprawdę elegancki sklep. Podaj mi ten stolik, moja droga, zamiast w przedpokoju umieścimy go w salonie.

Katherine na zmianę to śmiała się ze sztuczek Listera, który koniecznie chciał zrobić wrażenie, to znów ogarniała ją wściekłość — że taki z niego despota, ale każdego dnia nie mogła się doczekać zakończenia pracy o wpół do szóstej, a pod koniec pierwszego tygodnia była zupełnie wypompowana. Gdy jednak w piątkowe popołudnie wysiadła z autobusu, uświadomiła sobie, że przez cały tydzień nie martwiła się o Craiga — była zbyt zajęta, zbyt zmęczona. To dobrze czy źle, zastanawiała się. Nie mogę dopuścić, żeby wydał mi się zbyt daleki; bardzo wiele od niego zależy. Gdyby był tu teraz ze mną, pamiętałby, że dziś są moje urodziny, i nie byłoby mi tak przykro.

Katherine skręciła za róg, zostawiając za sobą hałaśliwą i zatłoczoną ulicę Irving Street pełną samochodów, sklepów i restauracji serwujących potrawy kilkunastu różnych krajów. Blżej domu poczuła się lepiej. Okolica przypominała małą wioskę: było tu cicho i przyjemnie, a wzdłuż całej uliczki stały identyczne małe domki — każdy z garażem, nad którym widniało wykuszowe okienko, z małym trawnikiem od frontu, maleńkim ogródkiem, paroma drzewkami i krzaczkami.

Za następną taką samą ulicą mieścił się park Golden Gate obrośnięty wokół splątanymi krzaczkami. Kryły się w nim muzea i ogrody, wiatraki i jeziora, boiska, gaiki, restauracje i niezliczone ścieżki, które dopiero mieli odkryć. Na skraju parku Katherine zauważyła Annie i dzieci; czekali właśnie na zmianę świateł, by przejść na drugą stronę Lincoln Way, i pomachali do niej. Kiedy Jennifer i Todd w końcu do niej podbiegli, Katherine wydało się, że mają tajemnicze miny.

— Wreszcie nadeszła farba — oznajmił Todd, gdy Annie poszła do siebie zająć się lekcjami. — Biała i żółta. Ale jakaś zszarzała.

— Te właśnie kolory zamówiłam — wyjaśniła Katherine. — Cóż to, nie przywitacie się ze mną?

Cmoknęli ją lekko w policzek.

— Co dzisiaj na obiad?

— Na miłość boską! — krzyknęła Katherine. — Czy możecie dać mi chwilę odpocząć, zanim zabiorę się do gotowania?

— Ależ mammo! — zdziwił się Todd i zrobiwszy krok w tył popatrzył na nią uważnie — Nigdy tak do nas nie mówiłaś.

A niech to diabli, pomyślała Katherine i nachyliła się, by ucałować dzieci.

— Przepraszam. To nie był lekki tydzień, sami wiecie. — Zauważyła, że wymienili spojrzenia. — No dobrze, bierzmy się za obiad. Sprawdziliście, czy razem z farbą przysłali też pędzle i wałki?

Rozmawiali o szkole i malowaniu mieszkania, a gdy kończyli już jeść, Katherine powiedziała:

— Nie mówiliście mi jeszcze, co robiliście po szkole. Wymienili konspiracyjne spojrzenia i wzruszyli ramionami.

— Spacerowaliśmy z Annie.

— Gdzie?

— Po parku. Po ulicy Irving Street. No wiesz.

— Tylko spacerowaliście?

— No, niezupełnie...

— Wiec co robiliście? — dopytywała się Katherine zniecierpliwiona.

— To! — krzyknął Todd i zza krzesła wyciągnął małą paczuszkę owiniętą w papier. — Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!

Jennifer jednym susem znalazła się przy matce i ucałowała ją.

— Zwykle tata kupował z nami prezent, więc sami nie bardzo wiedzieliśmy, co wybrać, ale mamy nadzieję, że ci się spodoba. — Oczy Katherine napełniły się łzami, a Jennifer mocno ją objęła. — Bardzo cię kochamy, mammo. Na następne urodziny znów pójdziemy po zakupy z tatusiem i wszystko będzie jak zawsze.

Katherine próbowała się uśmiechnąć. Przez cały dzień wspominała, jak uroczyście obchodzili jej urodziny — Craig dawał jej kwiaty i kosztowne prezenty, z najlepszej cukierni w Vancouver przynosił pięknie zdobiony tort i razem z Jennifer i Toddem śpiewał „Sto lat”, fałszywie bo fałszywie, lecz gromko. A teraz, kiedy dzieci postawiły przed nią talerz lukrowanych i naszpikowanych świeczkami paczków, mogła tylko się uśmiechać starając się jakoś powstrzymać napływające do oczu łzy. „Sto lat”, śpiewali myśląc w duchu, że cienko im to wychodzi bez Craiga. Potem Katherine zdmuchnęła świeczki i pod wyczekującym spojrzeniem dzieci zaczęła otwierać paczuszkę.

— Och! — wyrwało jej się, a gdy ochłonęła powiedziała: — Cudownie. Bardzo mi się przyda; skąd wiedzieliście, że tego potrzebuję?

Ich twarze promieniały.

— Jennifer wpadła na ten pomysł — odparł Todd. — Ja nigdy nawet nie słyszałem o różu.

Katherine obróciła w dłoni małe plastikowe pudełeczko, otworzyła je i obejrzała lusterko, sprasowany róż i mały pędzelek, po czym zamknęła wieczko i przesunęła palcem po oprawie ze skorupy żółwia.

— Codziennie będę go używać — powiedziała przytulając dzieci. — Bardzo wam dziękuję, za prezent i za pamięć.

Gdy potem zmywała naczynia, zastanawiała się, czy kupując róż, Jennifer chciała jej w ten sposób zasugerować, by bardziej o siebie zadbała. Odczuła zażenowanie i wywieraną na nią presję, bo jakoś nie potrafiła się zmusić, by troszczyć się o własny wygląd. Każdego ranka, gdy szykowała się do pracy, wiedziała, że powinna coś ze sobą zrobić, ale natychmiast ogarniało ją znużenie i rezygnowała. Wyglądam czysto i schludnie, myślała, to w zupełności wystarczy. Może któregoś dnia zadbam trochę o siebie. Jeśli... kiedy wróci Craig, zacznę mi na tym zależeć. A na razie...

Katherine wsunęła pudełeczko do torebki. Pomyślała, że podobnie jak ona i dzieci, zaczeka ono tam do powrotu Craiga.

W sobotę rano, kiedy Katherine otwierała pierwszą puszkę farby, zjawiała się Leslie.

— Oczom nie wierzę — zdziwiła się Katherine. — Doskonale wyczucie czasu. Właściwie zbyt doskonale. Co cię do nas sprowadza?

Leslie westchnęła głęboko.

— Przyszłam w porę, a ty masz pretensje.

— Leslie. Co się stało?

— To długa historia. Przechodziłam tędy rano, kiedy robiłaś zakupy, i słyszałam, jak dzieci opowiadały Annie, że wczoraj na nie wrzasnęłaś i martwią się, że może jesteś chora. Powiedziały mi też, że zamierzasz dzisiaj malować dom, więc pomyślałam, że się przyłączę. Jesteś chora?

— Oczywiście że nie. A więc opowiedziały o tym Annie? Musiało być im bardziej przykro, niż mi się wydawało. Zresztą

mnie też było przykro. Nie miałam pojęcia, że one po prostu nie mogły się doczekać, żeby po obiedzie dać mi prezent...

— Prezent?

— Wczoraj były moje urodziny.

— Do licha, dziewczyno, dlaczego nic nie powiedziałaś? Mogłyśmy urządzić jakąś uroczystość. Które to, trzydzieste piąte?

— Tak.

— To smutna rocznica, jeśli obchodzi się ją w samotności. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Chyba nie miałam ochoty na żadną uroczystość. — Katherine zaczęła mieszać farbę. — Nie przyszło mi nawet do głowy, że Jennifer i Todd będą pamiętać.

— Dobre dzieciaki — stwierdziła Leslie. — A to mi przypomina, że... gdzie one są?

— W sklepie. Poszły kupić pędzle. Leslie, wcale nie musisz mi pomagać w malowaniu...

— Wiem, że nie. I dlatego właśnie to robię. Nie sprzeczasz się ze mną. Przy czwórce malarzy pracy jest dwa razy mniej, a uciechy dwa razy więcej.

Rzeczywiście tak było. Kiedy dzieci wróciły, pozbierali wszystkie pędzle, wałki, farby i szmaty i hałaśliwie się sprzecząc ustalili w końcu, gdzie przesunąć meble; podzielili pracę i wkrótce małe mieszkanko rozbrzmiewało śmiechem. Pracowali non stop, robiąc sobie tylko jedną przerwę na kanapkę w południe, i około trzeciej prawie już kończyli malowanie.

— Jak ci się układa z Gilem Listerem? — spytała Leslie ze szczytu drabiny.

— W porządku, dopóki zachowuję się jak posłuszny piesek.

— Przykro mi to słyszeć. Uprzedzałam cię, że to osioł, ale wydawało mi się, że twojej artystycznej duszy spodoba się urządzenie wystaw.

— Podobałoby mi się.

— Ale Gil nawet nie chce słyszeć o twoich pomysłach? Może gdybyś była czarującym młodym chłopcem lubiącym pederastów...

— A co to jest pederasta? — spytała Jennifer, która przyszła właśnie z sypialni.

— To otyły ekscentryk — odparła szybko Leslie. — Chyba nie spotkałaś do tej pory żadnego takiego.

— Chyba to słowo znaczy całkiem co innego — rzekła rezolutnie Jennifer. — Później zapytam mamę; ona nie uważa, że moja wiedza powinna przechodzić przez cenzurę.

— O Boże — jęknęła Leslie. — Ale mnie usadziła.

— Jennifer! — wrzasnął Todd. — Chyba coś rozlałem!

— To nie jesteś pewien? — krzyknęła rozdrażniona. — Zaczekaj, już idę.

Gdy dziewczynka wyszła, Leslie uśmiechnęła się do przyjaciółki.

— Czuję się teraz idiotycznie. Czy ona zawsze jest taka sprytna i dojrzała?

— Wystarczająco często, żeby mnie wprawić w zakłopotanie.

— Mnie by to przeraziło. Ilekroć pomyślę, że czas już, bym miała własne dziecko, spotykam jedno z tych genialnych dzieciątek i dochodzę do wniosku, że nie byłabym w stanie sobie z nim poradzić.

— Wydaje mi się, że Jennifer nie różni się od innych dzieci. Ale co kryje się za stwierdzeniem, że myślisz o dziecku? Czyżbyś potajemnie wyszła za mąż?

— Nie. I nie mam żadnych perspektyw. Ale to przecież nie jest warunek posiadania dziecka.

Katherine uniosła brew.

— Brak męża to co najmniej utrudnienie.

— Nie zawsze. — Leslie machnęła pędzlem. — W ogóle niekoniecznie. Ileż to kobiet odchodzi od złych mężów, na długo zanim choćby podchowają dzieci? Iluż to mężów zostawia żony same z dziećmi... o cholera, Katherine, tak mi przykro. Jestem skończona świnią. Tak się przejęłam swoją przemową, że zapomniałam, do kogo ją wygłaszam.

— Nie ma sprawy — powiedziała Katherine obojętnie. Przerwała malowanie lamperii i spojrzała dokoła zastanawiając

się, dlaczego tak nagle poczuła się nieswojo. Z miejsca, gdzie stała, widziała wszystkie trzy pomieszczenia — jasno pomalowane wyglądały teraz na większe i weselsze. To było jej własne mieszkanie.

Niesamowite. Jej mieszkanie, jej dom. Miała tu swoje rzeczy, swoje dzieci i towarzystwo. Coś jednak nie grało.

Jasno pomalowane mieszkanie przypominało domek dla lalki — była tu mała sypialnia dla Jennifer i Todda, dwie wąskie szafy, salon z rozkładaną sofą dla Katherine, kuchnia, w której ledwie

zmieścił się ich dębowy stół i krzesła. Po chwili Katherine wiedziała już, co ją zaniepokoiło: nie było tu miejsca dla Craiga. Urządziła dom dla siebie i dzieci, ale nie dla Craiga.

Kiedy Melania Hayward przychodziła do salonu Empire Room u „Heatha”, życzyła sobie, by obsługiwała ją Wilma; twierdziła, że to jedyna sprzedawczyni, która ją rozumie i która zawsze potrafi dobrać jej ubrania tak, jakby były szyte właśnie na nią. Fakt, że Wilma lubiła sobie poplotkować na temat rozwodów, romansów i małżeńskich sprzeczek swoich klientek, ale wystarczyło jedno słowo Melanii i nie odzywała się więcej. A Melania uciszała ją dopiero wtedy, gdy poznała nowe ploteczki o swych znajomych.

— ...zaczęła kręcić z Ivanem Jakimstam — opowiadała Wilma pomagając Melanii włożyć jedwabną suknię z szyfonowym szalem. — Chyba nazywa się Macklin, tak, Ivan Macklin; widziano ich razem w Carmel i Las Vegas, a mąż powiedział jej, że albo z nim zerwie, albo może się wynosić. „Mój dom to nie motel — mówił. — Albo ty...”

— Trudno mi uwierzyć — wtrąciła Melania — że użył takich słów.

— No cóż, może nie — zgodziła się Wilma wesołym głosem. — Ten szal może pani okręcić wokół szyi albo przewiesić przez ramię...

Tego popołudnia Melania wydała prawie sześć tysięcy dolarów na pięć kreacji, które sprawiła sobie na zimę, poznała trzy historyjki o swych przyjaciółkach i poleciła Wilmie, by znalazła dla niej coś specjalnego na wielkie przyjęcie, jakie zamierza wydać w kwietniu w Fairmont. Nucąc cicho przeszła wzdłuż sklepu i nagle zatrzymała się przy wyjściu na Union Square. Przez otwarte drzwi zauważyła parę ubierającą manekina w wieczorową suknię z aksamitu. „Podaj mi torebkę, moja droga”, rzucił gniewnym głosem mężczyzna, a kobieta wyciągnęła w jego stronę torebkę. O, do diabła, pomyślała Melania przypominając sobie, że widziała już tę kobiety — blada i ubrana w pognieciony kostium, szykowała się do ucieczki z jadalni Victorii. Co, do diabła, ona tutaj robi? Ross nie wspomniał o tym ani słowem.

Melania przyglądała się, jak wkładają w dłoń manekina kieliszek do szampana i zabierają się do ubrania drugiej figury w suknię

z koronki i satyny. Teraz nie wygląda już tak blado, pomyślała Melania, i nie ma tego przerażenia w oczach. A jednak jest w niej jakiś smutek, gdy tak stoi gotowa spełnić polecenia małego człowieczka, gdy posłusznie podaje mu ubrania i rekwizyty: raz nawet ukradkiem spojrzała na zegarek. Dobrze jej tak, pomyślała Melania, w końcu chciała się wkraść do naszej rodziny.

Tylko dlaczego pracuje u „Heatha”? Ta myśl nie dawała Melanii spokoju, kiedy jechała przez most Golden Gate do domu. I co ona w ogóle robi w San Francisco? Kiedy zdecyduje się złożyć im wizytę i oznajmić, że jest gotowa zostać członkiem rodziny Haywardów i dzielić z nimi ich bogactwo?

A może już to zrobiła? Może wszyscy o tym wiedzą, tylko jej — Melanii — nie powiadomili? Zmuszona jechać wolniej z powodu korków, Melania mocno ścisnęła kierownicę. Na pewno, myślała, biedna Katherine zadzwoniła do Rossa zaraz po przyjeździe do San Francisco. A on zatrzymał to w tajemnicy. Melania skręciła w drogę na Tiburon, przejechała jeszcze milę i znalazła się u stóp wzgórza, na którym stał ich dom. Tam wrzuciła jedynekę i pojechała, może nieco za szybko, aż na szczyt stromego wzniesienia. Zastanawiała się, czy Ross powiedział Derekowi. Albo Victorii. A może reszcie rodziny. A niech to diabli, złościła się, dlaczego dowiaduje się ostatnia?

— Widziałam dzisiaj twoją myszowatą przyjaciółczkę — poinformowała Rossa przy kolacji. — Pracuje u „Heatha”,

Ross oderwał zamyślony wzrok od butelki wina.

— Kogo?

— Wiesz doskonale. Tę twoją pozbawioną gustu kanadyjską protegowaną, która tak na nas nakrzyczała u Victorii.

— Katherine? W San Francisco?

— Nie odstawiaj przede mną komedii. Myślisz, że nie wiem, że to twoja sprawka?

— U „Heatha”, mówisz? O Boże, odważna kobieta. Jest sprzedawczynią?

— Powiedziałam, żebyś nie grał komedii. Świetnie wiesz, że nie jest sprzedawczynią. Sam pewnie załatwiłeś jej tę pracę. I jakieś mieszkanie. I nawet słowem mi o tym nie wspomniałeś. Komu więc mówiłeś? Victorii? Derekowi?

— Nic o tym nie wiedziałem. — Siedzieli z Melanią po

przeciwnych stronach stołu. Carrie i Jon jak zwykle zjedli kolację wcześniej — w kuchni, z pokojówką i kucharką — a Ross i Melania, też jak zwykle, siedzieli przy stole sami, nie mając nikogo, kto przerwałby zapadające między nimi milczenie albo złagodził ostrą wymianę zdań. — Nie rozmawiałem z Katherine od wielu tygodni.

— Więc nie wiedziałeś, że przeniosła się do San Francisco?

— Nie. Fakt, że kiedyś rozmawialiśmy na ten temat; właściwie to ja ją do tego zachęcałem, ale ona nie chciała...

— Ty ją zachęcałeś?!

— Przecież wychowała się w tym mieście; no i ma tu bliską przyjaciółkę, jeśli rzeczywiście ktoś jej pomógł, to chyba właśnie ona. A poza tym Katherine jest tu blisko nas.

— Ona nie jest nam bliska. I nie ma z nami nic wspólnego. Gdybyś jej tu nie przyciągnął...

— Tym razem jej nie przyciągnąłem. Sama podjęła decyzję i nic mi o niej nie powiedziała. Co ona robi u „Heatha”?

— Pracuje przy dekoracji wystaw. Pomaga wstrętnemu małemu człowieczkowi, który traktuje ją jak popychadło. — Weszła pokojówka, by sprzątać nakrycia. — Jak spędziłeś dzień? — spytała Melania pogodnie.

Ross oparł się na krześle.

— Muszę przyznać, że był to dla mnie szczególny dzień. Chciałem ci o nim opowiedzieć.

— A co się stało?

— Burmistrz zaakceptował projekt BayBridge Plaża.

— Projekt czego?

— Melanio — powiedział delikatnie. — Chodzi o BayBridge Plaża. Przez ostatnie cztery lata, które poświęciłem na przygotowanie tego projektu, mówiłem ci o nim chyba ze sto razy. A akceptacją burmistrza to prawie ostatnia przeszkoda do pokonania. Jeszcze tylko kilka podpisów, może miesiąc negocjowania, i będziemy mogli zacząć realizację projektu.

— A tak, przypominam sobie. Mówiłeś, że to bardzo duży projekt. Kosztowny?

— Około trzystu milionów dolarów. Wytrzeszczyła oczy.

— A twoje honorarium to jakiś procent od tej sumy?

Ross wzruszył ramionami. Melania była monotematyczna — zawsze wiedział, co ją najbardziej zainteresuje.

— Ale moje wydatki też wzrosną. Wspominałem ci, że musiałem zatrudnić dodatkowo siedemdziesięciu ludzi; będę też korzystał z porad konsultantów spoza firmy... Poza tym muszę wykupić dzierżawę tego budynku na Mission Street, który kupiłem kilka lat temu. Uwzględniono go w projekcie BayBridge, lecz poprzedni właściciel wciąż go użytkuje. Ale chyba chce zrezygnować z dzierżawy; słyszałem któregoś dnia, jak mówił, że potrzebuje pieniędzy.

— Czy to ktoś z naszych znajomych? — spytała, gdy pokojówka stawiała na stole filiżanki i srebrny dzbanek z kawą.

— Ja go nie znam. Nazywa się Ivan Macklin; to on zbudował ten biurowiec. Nawet jest na nim jego nazwisko.

— Macklin? Chyba go znam. Albo tylko nazwisko obito mi się o uszy. Gdzie ja mogłam o nim słyszeć? — Zmarszczyła brwi i zabrała się do nalewania kawy. — Och. Od Wilmy.

— Kto to jest Wilma?

— Sprzedawczyni u „Heatha”. Słyszała, że Macklin ma jakiś romans. Pewnie dlatego potrzebuje pieniędzy. — Pokojówka postawiła jeszcze przed Melanią salaterkę z brzoskwiniami i bitą śmietaną, po czym wyszła. — Zadzwońisz do niej?

— Do kogo?

— Ross, nie udawaj. Do Katherine Fraser.

— Oczywiście.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił.

— Wiem.

Melania z zaciśniętymi ustami nałożyła deser do salaterki i jedną podała Rossowi.

— Zamierzasz wykupić Ivana Macklina?

— A obchodzi cię to?

— Nie bardzo. Właściwie wcale. Nie więcej niż ciebie obchodzi to, że ja nie chcę, byś dzwonił do tej kobiety.

— Obchodzi mnie. I przykro mi, że ci się to nie podoba. Tylko nie wiem dlaczego.

— Już ci mówiłam. Ona nie należy do rodziny, ona... ona tylko wszystko komplikuje.

— Masz na myśli sprawy finansowe.

— Nie tylko. — Zamieszała kawę, po czym krzyknęła: — Nie życzę sobie, żeby jakaś bezradna kobietka szukała u nas schronienia.

— Cóż, przynajmniej jesteś szczerą — Ross odsunął krzesło i wstał od stołu. — Ale wcale nie jestem pewien, czy ona jest taka bezradna. Kobieta, która wraz z rodziną przeprowadza się do miejsca odległego o tysiąc mil i która potrafi utrzymać siebie i dzieci, wydaje mi się całkiem zaradna. Właściwie to jedyną rzeczą, której może teraz potrzebować, jest czyjaś przyjaźń. — Ross uchylił drzwi. — Przykro mi, że ci się to nie podoba, ale właśnie przyjaźń zamierzam jej ofiarować.

Katherine wypisywała właśnie zlecenia na wywóz rekwizytów do magazynu, kiedy zadzwonił Ross. Przez trzy tygodnie od przyjazdu do San Francisco nosiła się z myślą, żeby do niego zatelefonować, lecz teraz gdy usłyszała jego głos w słuchawce, była tak zaskoczona, że aż zaniemówiła.

— Skąd wiedziałeś? — wyjąkała w końcu. — Myślałam, że nikt nie wie, że tu jesteśmy.

— Powiem ci w czasie lunchu. Możesz spotkać się ze mną o pierwszej?

— Dzisiaj?

— Jeśli nie jesteś zbyt zajęta. Katherine spojrzała na Listera.

— Mam tylko godzinę na lunch.

— Spróbujemy ją nieco przeciągnąć. A więc o pierwszej.

— Nie, nie mogę. To znaczy mogę wyjść tylko o dwunastej.

— O dwunastej. No dobrze. Przyjdź do „Compass Rose” przy ulicy Świętego Franciszka. Będę tam na ciebie czekał.

Restauracja, którą wybrał Ross, znajdowała się dokładnie na wprost sklepu „Heath” po przekątnej placu Union Square i Katherine zjawiała się w niej punktualnie w południe. O mój Boże, westchnęła patrząc na wyłożone chodnikiem schody, gdy wchodzili na piętro lokalu; oczom jej ukazało się krzykliwie urządzone wnętrze: jońskie kolumny, osiemnastowieczne posągi Murzynów, lampy w kształcie kobry, libańskie lustra i bar w stylu art deco z ogromnymi ślimacznicami z pleksiglasu w tyle i gryfonami w rogach tworzyły osobliwą mieszankę.

Ross poprowadził Katherine pomiędzy przesadnie zdobionymi

krzesłami i kanapami ustawionymi wokół marmurowych i szklanych stołów, przez niewielki parkiet do tańca aż do małej wnęki, w której obita zamszem kanapa stała przy chińskim parawanie z laki.

— Nie byłeś tu nigdy?

— Sama nie wiem, jak mogłam przeoczyć to miejsce — powiedziała. — Pasuje jak ulał do ludzi, którzy wychowują się w mieszkanku nad sklepem spożywczym.

Ross dusił się ze śmiechu, gdy składał zamówienie u kelnera; potem usiadł wygodnie i popatrzył na Katherine.

— Cieszę się, że cię widzę. Co słyhać?

— Nie najgorzej — odparła myśląc o swojej sytuacji. — Naprawdę nieźle. Nie mam już tego uczucia, że stoję nad przepaścią i zaraz spadnę.

— Ale czasami jeszcze tak się czujesz?

Zadumana popatrzyła na brązowy posąg bogini leżącej pod angielskimi lichtarzami z cyny.

— Brak mi poczucia stabilizacji, nie wiem, co zdarzy się jutro i pojutrze. Brak mi pewności, że każdy dzień potoczy się według określonego schematu, nie wiem, co będę robić, a czego nie będę, czego inni po mnie oczekują i czego mogę się spodziewać po tych, których kocham. Zdaję sobie sprawę, że to karmienie się złudzeniami, bo nic z tego, co miałam, nie było mi dane na zawsze, ale tak przyjemnie było myśleć, że wszystko mam zapewnione. I teraz bardzo mi tego brakuje. I brakuje mi Craiga, naszych wspólnych dni, naszego domu. Czuję się osamotniona. — Wyprostowała się. — Przepraszam. Nie zamierzałam się użalać.

— Wcale się nie użalasz. Samotność to fakt, a nie słowa skargi. — Katherine zauważyła jakąś dziwną nutę w jego głosie, ale Ross szybko zmienił temat. — Dlaczego musisz jeść lunch w południe?

— Bo człowiek, u którego pracuję, tak właśnie zarządził.

— Ale dlaczego?

— Tego mi nie powiedział. A ty nie ustalasz żadnych reguł dla swych pracowników?

— Tak mało jak to tylko możliwe. Ludzie pracują lepiej i chętniej, gdy sami mogą rozporządzać swoim czasem.

— To prawda. — Katherine patrzyła, jak kelner podaje małże z brązowym ryżem i dolewa im wina. — Ale Gil o tym nie wie.

— Gil?

Katherine opowiedziała o swojej pracy, starając się przedstawić Listera bardziej jako dziwaka niż kogoś, z kim trudno wytrzymać, a potem o przeprowadzce do San Francisco, bo Rossa bardzo to interesowało.

— I przez cały ten czas ani razu do mnie nie zadzwoniłaś?

— Myślałam o tym. Ale chciałam sama dać sobie radę. I przyzwyczyłam się do tego, że jestem sama.

— Ale swojej przyjaciółce pozwoliłaś, żeby ci pomogła.

— To zupełnie co innego.

— Być samą oznacza dla ciebie żyć bez mężczyzny. — Nie było to pytanie, a stwierdzenie i bardzo zdziwiło Katherine.

— Jakoś nie zastanawiałam się nad tym. Ale chyba rzeczywiście tak właśnie jest. Przynajmniej na razie.

Ross zerknął na zegarek.

— Coś na deser? — spytał.

Katherine potrząsnęła przecząco głową zastanawiając się, czy Ross poczuł się obrażony.

— Widzisz — zaczął z zadumą w głosie — nigdy dotąd nie udawałem kobiety, ale jeśli to warunek, by zostać twoim przyjacielem, to gotów jestem to przemyśleć.

Dopiero po chwili do Katherine dotarło znaczenie jego słów. Były wypowiedziane tak poważnie, a Ross miał tak spokojną twarz — przystojnego, zrelaksowanego człowieka sukcesu, że to, co powiedział, zdawało się nie mieć sensu. W końcu wybuchnęła śmiechem.

— Przecież to niedorzeczne.

— Tak samo jak niedorzeczne jest to, że nie chciałaś zadzwonić do przyjaciela.

Śmiejąc się popatrzyli sobie w oczy.

— Zmieniłaś się na korzyść — zauważył Ross myśląc o jej pięknych oczach i o tym, jak uśmiech zmienia wyraz jej twarzy. — To miasto dobrze na ciebie działa.

Katherine zarumieniła się i odwróciła wzrok.

— A jak się ma twoja żona? — spytała. — Co u Carrie i Jona?

— Wszystko w porządku. — Ciekaw był, dlaczego peszą ją

komplementy. — Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, gdzie mieszkasz i jak mógłbym ci pomóc.

— Mieszkam w dzielnicy Sunset.

— Ale gdzie w Sunset? Podała mu adres.

— Niczego nam nie potrzeba. Najtrudniej jest przyzwyczać się do mgły. Już zapomniałam, że im bliżej oceanu, tym częściej jest mgła. Todd i Jennifer pracują nad wynalezieniem wiatraka, który zawracałby ją w stronę oceanu,

— Polubili nową szkołę? — zaciekawiał się Ross.

— Nie aż tak, jakby mogli, gdyby chcieli. Ale oni boją się, że chodzenie tutaj do szkoły oznacza, iż na dobre zamieszkaliśmy w San Francisco i nigdy nie wrócimy do Vancouver albo... — Katherine odchrząknęła, bo głos zaczynał jej drżeć — ...albo, że nigdy już nie zobaczą Craiga.

No, i znów wracamy do Craiga, pomyślał Ross, zupełnie jakby cień kuzyna zjawił się między nimi, przywołany słowami Katherine.

— Miałaś jakieś wieści od niego? Albo o nim? Katherine potrząsnęła głową.

— Wszystkie moje codzienne sprawy: nowe mieszkanie, praca, przyjaciele, zdają się odsuwać go gdzieś na plan dalszy, a jednak on wciąż jest przy mnie. Tak jakby obserwował mnie chcąc się przekonać, czy dam sobie radę sama. Wiem, że to brzmi głupio, ale on wciąż tu jest.

Ross skinął na kelnera, by przyniósł kawę.

— To wcale nie jest głupie. Nam całe lata zabrało przyzwyczajenie się do myśli, że Craig i Jennifer nie żyją.

— Ale Craig nie umarł.

— Ale wtedy myśleliśmy, że umarł. Teraz też nie wiemy, czy żyje. Skoro odszedł od ciebie, jeśli nie wróci.,.

— Nie chcę o tym rozmawiać — przerwała Katherine. — Opowiedz mi o swojej pracy. Jak dotąd nic mi o sobie nie mówiłeś.

— A masz jeszcze pięć minut? Opowiem ci o pewnym miejscu, które sam zaprojektowałem, a nazywa się ono BayBridge Plaża.

— Wystarczy ci pięć minut?

— Przynajmniej zacznę. A przy następnym spotkaniu poświęcę na to co najmniej trzy godziny.

Katherine roześmiała się.

— No to proszę, zaczynaj.

— Wiesz, co to jest plan mieszany?

— Nie, ale przypuszczam, że chodzi o jakieś połączenie. Może biura i sklepy?

— Dokładnie, tylko że BayBridge Plaza łączy w sobie jeszcze więcej: domy mieszkalne, biurowce, sklepy, teatry, restauracje i mnóstwo wolnej przestrzeni, terenów rekreacyjnych, jak parki, atria, fontanny, ogrody, korty tenisowe, wszystko z myślą o ludziach. Bo to właśnie o nich w tym projekcie chodzi — żeby mogli poruszać się pieszo, nie jeździć w samochodach i żeby nie musieli wymijać pojazdów, chcąc gdzieś przejść. — Uśmiechnął się. — Budujemy dla pieszych. To nasze marzenie od długiego już czasu.

Nieco zdezorientowana Katherine zapytała:

— Kim są ci „my”?

— Moja firma. Założyłem ją sześć lat temu.

— A więc to twoje marzenie.

— Owszem, ale cały mój zespół składa się z ludzi, którzy myślą podobnie. Chcielibyśmy przebudować całe miasta, albo ich części, ale tak, żeby nie niszczyć tego, co już jest. Gdy Katherine zrobiła zdziwioną minę, zaczął wyjaśniać: — W projekcie BayBridge przewidujemy wzniesienie nowych lub odnowienie dużych rezydencji i zbudowanie mniejszych mieszkań w istniejących już magazynach. Tam, gdzie to możliwe, zachowaliśmy obecne zabudowania, a więc przeszłość miasta, ale przystosowaliśmy je do zamieszkania i to nie tylko w charakterze pamiątki z dawnych lat, ale też dla urozmaicenia. A poza tym zaprojektowaliśmy te domy tak różnorodnie pod względem kształtów, stylów, rozmiarów i cen, że będą atrakcyjne dla wszystkich grup społecznych — młodych małżeństw, ludzi samotnych, dla rodzin i emerytów. Prawdziwe życie to różnorodność, a nie upodabnianie się.

Ross spojrział na zegarek i skinął na kelnera.

— Budynki będą niskie, a między nimi trawniki i ścieżki. Nie przewiduję żadnych wież, konstrukcji betonowych czy ruchu pojazdów. Parkingi będą na peryferiach tego osiedla, osłonięte ławkami, drzewami i ściankami. Biurowce zgrupuje się na osobnym terenie, a za nimi będzie się ciągnąć aleja handlowa i centrum rekreacyjne. Aleja, łącznie z głównym dziedzińcem, zbudowana zostanie na wielu poziomach, żeby stworzyć wrażenie wydzielonych osiedli —

coś w rodzaju grup domów w małych wioskach. Brzmi to jak utopia, ale się uda; nawet jeśli będzie sto sklepów, to i tak w centrum uwagi znajdą się ludzie — kameralne, ciepłe, jasne wnętrza z miejscami do siedzenia w środku i na zewnątrz, z placami zabaw dla dzieci... Nie zdołam opowiedzieć ci wszystkiego naraz; zbyt dużo tego jest. W całym projekcie Plaża chodzi o to, żeby wszystkie zabudowania na danym terenie podporządkować ludziom, a nie sławie inżynierów, architektów i budowniczych posługujących się betonem i stalą... Przerwał.

— Przepraszam, Katherine. Kiedy trafię na dobrego słuchacza, to mogę mówić bez końca.

Fascynacja Rossa pobudziła wyobraźnię Katherine.

— BayBridge to małe miasteczko — podsumowała. — Prawda? To cała społeczność. A jeśli zbuduje się takich miasteczek dostatecznie dużo, to razem stworzą zwartą grupę, będą niczym ogniwa łańcucha w mieście nowej generacji.

Twarz Rossa rozpromienił uśmiech.

— Dziękuję ci, za to, że tak doskonale to rozumiesz i że wyraziłaś to *lepiej, niż mnie się* kiedykolwiek udało.

Katherine znów się zarumieniła.

— Muszę już wracać. Dziękuję za lunch i cieszę się, że opowiedziałeś mi o swojej pracy. To była cudowna godzina. Najlepsze antidotum na Gila.

— Poczekaj, odprowadzę cię. — Wziął ją pod rękę i razem opuścili restaurację. — Jak długo zamierzasz pracować u tego despoty?

— Dopóki nie znajdę innego źródła utrzymania. Ross pomyślał chwilę.

— Mówiłaś kiedyś, że zamierzasz projektować biżuterię.

— Nic z tego nie wyszło. Nie byłam jeszcze na to gotowa. Ale któregoś dnia chyba znowu spróbuję. Leslie zna jakiegoś projektanta biżuterii i poprosi go, by polecił kogoś, kto dawałby mi lekcje.

— Daj mi znać, jak już będziesz coś wiedziała. — Pożegnali się przy wejściu do sklepu. — Niedługo do ciebie zadzwonię; pójdziemy gdzieś na lunch. A któregoś wieczoru zjemy kolację u Victorii.

Ich oczy spotkały się.

— Chyba raczej nie. Ale chętnie zjem z tobą lunch.

Przewidując, że Gil będzie rozwścieczony, szybko pożegnała się z Rossem, weszła do sklepu i niemal biegiem ruszyła w stronę schodów. A gdy schodziła nimi w dół, uśmiechnęła się w myśli — tak miło im się gawędziło.

A więc mam jeszcze jednego przyjaciela.

Leslie McAlister i Marc Landau wyszli z teatru, mimo iż aktorów wciąż jeszcze wywoływano na scenę — chcieli uniknąć tłoku.

— Przygotowałem dla ciebie ucztę; czeka w piekarniku — obwieścił Marc w taksówce. — Dlatego dziś pojedziemy do mnie.

Leslie uśmiechnęła się.

— Będzie złoty pył w solniczce?

— To było w zeszłym miesiącu, żeby uczcić mój sukces. Dziś znajdziesz w solniczce tylko zwykłą sól. Myślisz, że stać mnie na takie gesty na każdej randce?

— To chyba zależy z kim ta randka.

— Ach! — Marc wykonał swą pulchną, zadbaną dłoń gest dający do zrozumienia, że niezwykle trudno jest znaleźć kobietę, która zasługiwałaby częściej na tak hojne prezenty.

Patrząc na krótkie i grube palce Marca Leslie nie mogła się nadziwić, że potrafiły być tak delikatne zarówno w warsztacie, w którym wykonywał swą wspaniałą biżuterię przynoszącą mu tyle sławy i bogactwa, jak i w łóżku. Dziwny z niego człowiek, pomyślała próbując ocenić Marca obiektywnie — łagodny i nudnawy, lecz bezwzględny, jeśli chodzi o interesy; szorstki, ale obyty, obojętny wobec często zmienianych partnerek, lecz czasem sympatyczny i wrażliwy. Leslie od dwóch lat już się z nim spotykała; uprawiali seks, wspólnie podróżowali, ale wciąż nie była pewna, ile on dla niej znaczy. Im więcej jednak lat jej przybywało, tym mniej spotykała mężczyzn inteligentnych i z poczuciem humoru, a Marc miał obydwie te cechy. W dodatku, pomyślała jadąc windą do mieszkania Marca, może okazać się pomocny dla Katherine.

— Skoro nie ma dzisiaj złotego pyłu, to może pomógłbyś mojej przyjaciółce?

— Kto wie, może pomogę.

— Niedawno przeprowadziła się tu z Vancouver. Chciałaby projektować biżuterię, ale musi popracować nad techniką i po-

ćwiczyć obróbkę różnych materiałów. Może mogłaby pracować z tobą? Ona już sporo umie, więc nie potrzebowałaby wielu lekcji.

— Prosisz, bym przed kimś obcym odkrył tajemnice technik, których wypracowanie zajęło mi wiele lat. Masz ochotę na szampana?

— Tak, poproszę. Katherine nie jest nikim obcym; to moja przyjaciółka. I wcale nie proszę, byś zdradzał jej swe sekrety, tylko nauczył ją obrabiać złoto, srebro i inne kruszce...

— A skąd weźmie pieniądze na zakup tych materiałów?

— Pracuje u „Heatha”.

— Moja kochana Leslie, jeśli ona pracuje, to kiedy zamierza się uczyć? I ile ona zarabia? Czy ty w ogóle wiesz, ile kosztuje złoto i srebro?

— Bardzo dużo. Ale tobie nie o to chodzi, prawda? — Leslie odstawiała kieliszek i popatrzyła na Marca badawczo. — Nie chcesz po prostu zawracać sobie tym głowy, tak? Sławny projektant nie ma czasu na takie rzeczy. Katherine jest moją przyjaciółką i proszę cię o przysługę, ale ty masz tysiąc cholernie ważnych powodów, żeby palcem nie kiwnąć w tej sprawie. Wiesz, Marc, straszny z ciebie samolub. Ale nieważne, poproszę kogoś innego. Masz jeszcze szampana?

— Zawsze mam szampana. A gdybym był samolubem, to ciebie by tu nie było. Co do twojej przyjaciółki, to znajdę kogoś, kto jej pomoże. Ja sam nie lubię przyjmować czeladników, ale znam faceta, który prowadzi niewielkie grupy; zorientuję się, czy ma wolne miejsca. A co do ciebie, moja droga, to mam wrażenie, że przekształcasz się w instytucję charytatywną. Najpierw chodziło o twego brata — a tak przy okazji, nadal pracuje u ciebie?

— Tak. Ale odnoszę wrażenie, że on mnie unika i martwię się z tego powodu...

— Oszczędź mi szczegółów. I uważaj, Leslie, żeby nie dawać innym zbyt wiele z siebie; wyszła z ciebie ostatnie soki, jeśli im na to pozwolisz. — Wziął do ręki butelkę szampana. — Może przeszlibyśmy teraz do kuchni? Muszę dopilnować tej eleganckiej kolacji, którą sam własnoręcznie przygotowałem specjalnie dla ciebie, a powinnaś wiedzieć, że po produkty stałem w kolejkach w czterech bardzo tłocznych i ekskluzywnych sklepach.

Leslie roześmiała się.

— Ale pomożesz Katherine?

— O mój Boże, już powiedziałem, że tak. Daj mi dzień lub dwa. A tymczasem... to... to... i to... — Zdjął z półki kilka książek. — Niech przeczyta te książki. I zostaw mi jej numer telefonu. A teraz, na resztę wieczoru, masz zapomnieć o dobrych uczynkach, Oczywiście z wyjątkiem tych, które robi się w łóżku. Ale to po kolacji.

W małym pokoiku nad sklepem przy Geary Street Katherine siedziała na drewnianym stołku przy warsztacie i z kawałka srebra wycinała listek. Gdy skończyła ogonek, niewiele grubsze od włosa ostrze pękło i Katherine z głośnym westchnieniem sięgnęła po następne. Przez cały dzień nosiła chińską porcelanę i srebrne sztuce, bo Lister urządzał scenę przedstawiającą ucztę, więc teraz ręce ją bolały i trzęsły się nieco — dlatego wycinając wyryty w miękkim srebrze kształt, złamała aż cztery ostrza.

— To się zdarza każdemu — pocieszył ją instruktor zerkając jej przez ramię. — Staraj się trzymać ostrze pionowo i tnij pewnym ruchem. Dobrze ci idzie. Zresztą prawie już skończyłaś.

Katherine przytaknęła mocując w oprawce nowe ostrze. Tym razem ciągnęła je gładko, równomiernie, jakby dostosowując swoje ruchy do niewielkiego oporu miękkiej srebrnej materii i po chwili leżał przed nią z grubsza wycięty listek. Następnie małym pilniczkiem Katherine wygładziła i pokarbowała brzegi nadając kawałkowi srebra wygląd klonowego liścia. Do pojemniczka na kolanach spadał przy tym srebrny pyłek i wiórki. Gdy listek nabrał już ostatecznego kształtu, umieściła go w obrotowym imadle i zaczęła przechylać i obracać, nacinając przy tym szydłem odpowiednie rysy — jedną wzdłuż przez sam środek i kilka krótszych odchodzących od niej promieniście. Kiedy listek miał już żyłki, Katherine włożyła go we wgłębienie w drewnianym klocek i zaczęła uderzać pokrytym niegarbowaną skórą młotkiem, tak by listek nieco się wygiął. Na koniec używając skóry do polerowania metali, nadała mu srebrzysty połysk.

Na dłoni Katherine błyszczał ukończony klonowy listek wygięty delikatnie, jakby uniósł go nieco wiatr. Dotknęła go palcem. Niby niczym nie różnił się od tych, które setki innych uczniów wykonywały na podobnych zajęciach, a jednak był inny. Marc Landau sugerował jej, by zaczęła naukę od podstaw, a na początek

zaserwował krótki kurs na temat metali i kamieni. Dlatego właśnie ten listek był inny — oznaczał punkt zwrotny. Katherine wiedziała, że to zajęcie nigdy już nie będzie dla niej tylko przyjemnym hobby wypełniającym wolny czas, ale stanie się zawodem, uczyni z niej projektantkę, artystkę. Zawsze nosiła teraz ze sobą szkicownik i gdy jakiś kształt naturalny czy element architektury wydał jej się godny odtworzenia w biżuterii, natychmiast go szkicowała. Każdej nocy, kiedy Jennifer i Todd poszli już spać, panującą ciszę zakłócało jedynie skrobanie ołówka po papierze, gdyż Katherine siadała przy stole w kąciku swego salonu i rysowała, poprawiała, wyrzucała szkice i... zaczynała od nowa.

Był wtedy przy niej Craig. Katherine powiększyła jego zdjęcie, oprawiła je w ramki i ustawiła na stoliku, tak że wciąż na nią patrzył. Fotografia przedstawiała go opartego o drzewo w Grouse Mountain, ubranego w spodnie koloru khaki i koszulę w szkocką kratę. Pojechali wtedy na piknik, tylko we dwójkę; był to jeden z nielicznych wyjazdów bez dzieci. Kiedy robiła zdjęcie, Craig powiedział jej, że Hank Aylmer obiecał, iż przy okazji następnej wizyty w wiosce Eskimosów zabierze ich ze sobą i wspólnie wybiorą *eskimoskie rzeźby*. Craig mówił, że zrobią sobie wtedy wakacje — powinni przecież trochę oderwać się od codzienności.

Był wtedy maj. Miesiąc później Craig zniknął.

I tak oparty o drzewo, przystojny, brodaty, uśmiechnięty Craig patrzył na pochyloną nad szkicami Katherine. Oskarżał ją o to, że opuściła Vancouver i urządziła nowy dom, w którym dla niego nie było już miejsca; zarzucał jej, że chce zdobyć zawód i sama radzić sobie w życiu. A co według ciebie miałam zrobić?, pytała Katherine podobiznę na zdjęciu. Załamać ręce i zapłakać się? Albo błagać o pomoc twoją rodzinę, o której nawet nie raczyłeś mi powiedzieć? No co miałam zrobić?

Katherine odczekała chwilę, jakby dając Craigowi czas, by odpowiedział na jej pytanie. Cóż, mruknęła i zabrała się z powrotem do pracy. Zauważyła, że w srebrnym listku odbiło się światło i wzięła go do ręki. Poczowała, jak ogarnia ją satysfakcja z wykonanej pracy, i zrobiło jej się tak ciepło na duszy, jakby siedziała na zalanej słońcem polance. Może gdzieś w pobliżu błakał się jakiś cień, który chciał przyćmić blask srebrnego listka, ale Katherine nie patrzyła w tamtą stronę, by sprawdzić, czy rzeczywiście się pojawił.

Rozdział siódmy

W połowie października nadeszły materiały do wystawy bożonarodzeniowej i Katherine przesiedziała z Listerem dwa dni w magazynie sprawdzając, czy są wszystkie zamówione stroje i rekwizyty. Właśnie rozpakowywała pościel przeznaczoną do sceny w dziecięcej sypialni, gdy zadzwonił telefon.

Wszystkie telefony odbierał Lister. Tym razem warknął: „Do ciebie” i rzucając Katherine piorunujące spojrzenie, podał jej słuchawkę. Wprawdzie Gil nie pozwalał na prywatne rozmowy w czasie pracy, ale z uwagi na dzieci i Craiga Katherine ignorowała ten zakaz.

— Słucham — odezwała się cicho stając tyłem do Gila.

— Mówi Derek Hayward. Spotkaliśmy się na kolacji...

— Pamiętam. — Usiadła. Derek?

— Pewnie jesteś zajęta, więc nie zabiorę ci dużo czasu. Chciałem tylko zapytać, czy zjesz ze mną kolację? Może jutro, jeśli nie masz innych planów.

— Nie — odparła bez zastanowienia. — Przykro mi, ale...

— No to w przyszłym tygodniu. Sama wybierz dzień.

— Przykro mi, ale... nie umawiam się na kolacje. Zapadła chwila milczenia.

— W takim razie bardzo cię przepraszam — odzyskał głos Derek. — Nie pomyślałem o tym. Może więc zjemy lunch? Jutro? To będzie lunch w interesach.

— W interesach? — Katherine odwróciła się i zobaczyła, że Lister ją obserwuje. — Nie bardzo mogę teraz rozmawiać i nie rozumiem, jakie...

— Rodzinne interesy — wtrącił Derek. — Chcę cię powitać. Powinna się tym zająć chyba więcej niż jedna osoba z rodziny. — Głos Dereka brzmiał równie ciepło i głęboko jak Rossa, a słowa, choć zdawkowe, były zdecydowane.

— Kto?... — zaczęła, ale zmieniła zdanie. — Jak mnie znalazłeś? Roześmiał się.

— Dzięki rodzinie. Odnalazłem cię, jakby to powiedzieć, podwójnie. Najpierw Melania powiadomiła mnie, że widziała cię u „Heatha”, a potem Ross powiedział Victorii, że zjadł z tobą lunch; Victoria wspomniała o tym Tobiaszowi, a on Melanii, która przekazała mi całą tę historyjkę. Zapamiętałaś wszystko? To są właśnie radości z posiadania dużej rodziny.

Katherine miała ochotę się roześmiać, lecz Derek nie żartował.

— Nigdy tego nie doświadczyłam — stwierdziła. Derek milczał. — Muszę już wracać do pracy — dodała. — A ten pomysł z lunchem, też chyba nie jest najlepszy. Zwykle przynoszę kanapki i zjadam je w biurze albo na trawniku po drugiej stronie ulicy.

— A więc tam się spotkamy — zdecydował szybko Derek. — Ja zorganizuję lunch. Masz jakąś ulubioną ławkę?

— Siadam na trawie.

— No to nie będę wkładał najlepszego garnituru. Do jutra. Ale kiedy Katherine zobaczyła go następnego dnia pod pomnikiem żołnierza na środku Union Square, miał na sobie garnitur.

— Właściwie mógłbym zdjąć krawat — stwierdził, gdy siadali na trawie w nasłonecznionym rogu utworzonym przez wysoki żywopłot. — Gdybym jednak w dzień roboczy nie włożył garnituru, zapomniałbym, kim jestem. Zresztą sama się przyznaj: co masz na sobie?

— Przyznaję się — odparła wesoło — To kostium.

Derek wydał jej się przystojniejszy, niż zapamiętała — miał

takie same riemnoblonde włosy i głęboko osadzone oczy jak Ross, ale był bardziej wytworny i wymuskany. Poza tym czymś jeszcze się różnili: Derek sprawiał, że Katherine czuła na sobie jego wzrok.

— To nasz lunch — obwieścił otwierając wiklinowy kosz. — Naturalnie miałem zbyt mało czasu, żeby należycie wszystko przygotować, ale myślę, że nawet to zasługuje przynajmniej na uprzejmą pochwałę.

Zdziwiona Katherine patrzyła, jak Derek wyjmuje z kosza drewniane pudełko, które po rozłożeniu okazało się stolikiem. Derek kilkakrotnie jeszcze sięgnął do koszyka i niczym czarujący widzów magik wyjął z niego dwa talerzyki z chińskiej porcelany, na których ułożył cienkie plasterki pieczonej wołowiny, posmarowane masłem okrągłe placuszki ryżowe oraz srebrne sztucce. Następnie do kryształowych kieliszków nalał rubinowe bordeaux i podał Katherine lnianą serwetkę.

Ona spodziewała się raczej kanapek i frytek w papierowej torbie.

— Kupiłeś to specjalnie na tę okazję?

— Powiedziałaś, że chcesz jeść na trawie, więc kupiłem lunch odpowiedni do zjedzenia na trawie. Ale oczywiście masz rację, powinniśmy ponownie wykorzystać ten kosz. Właściwie, gdyby spojrzeć na to z ekonomicznego punktu widzenia, którego — muszę przyznać — nie wziąłem do tej pory pod uwagę, możemy zamortyzować koszty i zredukować cenę jednego lunchu do marnych dziesięciu dolarów na osobę, jeśli będziemy jadać na trawie przez jakieś trzydzieści tygodni raz na tydzień. Możesz zorganizować sobie tyle wolnego czasu? W końcu żeby się tu znaleźć, musisz tylko wyjść ze swego biura czy gdzie tam przesiadujesz i przejść przez ulicę. A skoro już o tym mowa, to co właściwie robisz?

— Dekoruję wystawy. — Sześćset dolarów na piknik. Cena ją przerażała, ale jednocześnie Katherine była zafascynowana. — Przecież nie o to ci chodzi, prawda? Tak naprawdę chcesz wiedzieć, co robię w San Francisco.

Derek spojrział na nią uważnie. Oczywiście że o to mu chodziło, lecz nawet przez myśl mu nie przeszło, że ona tak od razu się zorientuje. Zaszła w niej zmiana i to na lepsze, pomyślał Derek — nie miała już w oczach tego przerażenia i nie kulila się, jakby w obawie przed ciosem. Ale dlaczego, do cholery, związała włosy

w kok i ubrała się w kostium, który nie tylko jest na nią za duży, ale jego kolor zupełnie nie harmonizuje z jej bladą cerą nie ożywioną nawet makijażem. Derek ze zdziwieniem uświadomił sobie, że Katherine jest naprawdę ładna. Ale zupełnie nie potrafi zadbać o swój wygląd. A to znaczy, że dla Craiga nie miało to znaczenia. Albo nawet tego nie zauważał.

— Chcę wiedzieć co u ciebie — powiedział Derek. — Zaczynaj od pracy, a potem opowiedz, gdzie mieszkasz.

Słuchał jej ze skupioną miną, a kiedy roześmiał się, gdy przedrzeźniała Gila Listera, Katherine sama się zdziwiła, że mogła wziąć Dereka za człowieka zimnego i pełnego rezerwy. Albo musiała się wcześniej pomylić, albo on odgrywał przed nią komedię. Tylko po co miałyby to robić? Jeśli czegoś od niej chciał, to przecież wystarczyło powiedzieć. Derek podobał jej się i świetnie się bawiła w jego towarzystwie, więc nie widziała powodu, by nie być wobec niego szczerą.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym, w końcu Katherine zerknęła na zegarek.

— Muszę zaraz wracać — stwierdziła. — A nie powiedziałam ci jeszcze, dlaczego przyjechałam do San Francisco, nie powiedziałam też ani słowa o Craigu — przecież to z jego powodu kupiłeś ten fantastyczny kosz.

Derek aż uniósł brwi. Znow jej nie docenił. Kiedy w czasach szkolnych umawiał się na randki, Victoria mówiła mu, że kobieta nie musi być prostytutką tylko dlatego, że nie wygląda olśniewająco. Katherine nie miała w sobie ani odrobiny czaru i blasku, a wcale nie była głupia.

— Kupiłem to wszystko, żeby zrobić na tobie wrażenie — odparł. — Ale oczywiście ciekaw jestem wieści o Craigu. Chciałem też cię zapytać, czy zamierzasz wrócić do Kanady, czy zostajesz w San Francisco. No i co zamierza zrobić wspólnik Craiga. Czy będzie próbował ściągnąć długi?

— Nie wiem. Pragnę tylko, żeby Craig wrócił do domu; nie jestem w stanie myśleć o Carlu. A więc to tego obawialiście się podczas tamtej kolacji — myśleliście, że będę chciała, żebyście spłacili długi Craiga.

— Raczej się nie baliśmy. — Na twarzy Dereka pojawił się blady uśmiech. — Chyba udałoby nam się wskrobać tyle z portfeli.

— A więc o co chodziło? Dlaczego nie chcieliście mnie zaakceptować?

— Zamierzasz wrócić do Vancouver?

— Nie! Przynajmniej dopóki nie dostanę jakichś wieści od Craiga, A jakie to ma znaczenie?

— Niektórzy z nas — zaczął obojętnym tonem — uważają, że mogłoby to mieć znaczenie przy podziale majątku Victorii.

— Ale Victoria żyje.

— Ma osiemdziesiąt jeden lat. I rodzi się pytanie, ile dostałby Craig, gdyby tu był.

— Masz na myśli pieniądze? Znow się uśmiechnął.

— Takie określenie byłoby uproszczeniem sprawy. Ale, oczywiście, idzie o pieniądze. Poza tym o pięćdziesiąt jeden procent udziałów Victorii w Hayward Corporation.

Katherine zaczynała rozumieć.

— A kto obecnie dziedziczy te pięćdziesiąt jeden procent?

— Z tego co wiem, Ross i ja.

W grę wchodzi pieniądze i zarządzanie korporacją, pomyślała Katherine. Ross i Derek.

— Z tego powodu Ross nie próbowałby nawet trzymać Craiga jak najdalej od Haywardów.

Twarz Dereka spoważniała, lecz głos pozostał bez troski.

— Ross podjąłby wszelkie niezbędne kroki, by zgromadzić w swych rękach tyle pieniędzy i władzy, żeby wykorzystać Hayward Corporation do swych własnych celów.

Katherine zadrżała na dźwięk jego ostrych słów wypowiedzianych tak miłym głosem. Nie wierzę w to, co on mówi, pomyślała. Popatrzyła w stronę ulicy, gdzie piesi czekali na zmianę świateł.

— Craiga nie ma już od czterech miesięcy. Skoro twoja rodzina niepokoi się tym, co mógłby zrobić, to dlaczego nie próbujecie go znaleźć?

— Claude wynajął detektywa. Popatrzyła na niego zdumiona.

— Nikt mi o tym nie mówił.

— Bo też nie było o czym. Facet niczego się nie dowiedział.

— Przecież mogłam udzielić mu informacji...

— Na pewno zadzwoni do ciebie, gdy będzie czegoś potrzebował.

— Ciągłe podejrzewacie, że wszystko to ukartowałam razem z Craigiem! Zgadza się? Ten wasz detektyw nie ufa...

Przerwała. Ten mężczyzna na rogu... brodaty, ciemnoblond włosy. Z kimś rozmawiał i Katherine nie widziała dobrze jego twarzy, ale trzymał głowę lekko przechyloną...

Zerwała się na nogi.

— Katherine! — krzyknął zaskoczony Derek.

Światła właśnie się zmieniły, brodaty mężczyzna zwrócił się twarzą w jej stronę i ruszył przez ulicę. To nie był Craig; nawet niepodobny. Ale Katherine wyraźnie odczuła obecność męża, jakby ściągnęła go tu myślami, miała wrażenie, że stoi tuż obok niej w blasku ciepłego popołudniowego słońca. Głos Dereka rozplynął się i zamarł. Katherine czuła na sobie wzrok męża, pełen zdziwienia i wyrzutu; wstyd jej się zrobiło, że śmiała się z Derekiem i cieszyła z niezwyklego lunchu, który dla niej przygotował. Nie była wcale lepsza od Haywardów; podobnie jak oni zepchnęła Craiga na plan dalszy — zapomniała, że on ma kłopoty, i myślała tylko o chwili obecnej.

Craig... pomyślała czując, jak bardzo jej go brak i jak wciąż cierpi, a wydawało jej się, że w natłoku wydarzeń ostatnich tygodni ból już osłabł. Wyciągnęła przed siebie rękę, ale trafiła na pustkę. To tylko słońce mnie mami, pomyślała oszołomiona. I wino. I to, że przez te szkice tak późno poszłam spać. Zamknęła oczy chroniąc je przed słonecznym blaskiem.

Uświadomiła sobie, że Derek swą silną, zimną dłoń trzyma ją za rękę.

— Usiądź. Przepraszam, nie chciałem sprawić ci przykrości. W rozświetlonej słońcem ciemności jego głos przypominał głos

Craiga. Wszystko jej go przypominało. W końcu otworzyła oczy.

— Nie zrobiłeś mi przykrości. Wydawało mi się, że widzę Craiga.

— Nie skończyłaś jeść.

— Już nie mogę. Przykro mi... — Zrobiła krok do tyłu. — Dziękuję ci... to naprawdę było wspaniałe... mam nadzieję, że jeszcze nieraz wykorzystasz ten kosz i zwrócą ci się koszty...

— Zaczekaj. Chciałbym się z tobą spotkać...

— Do widzenia, Derek.

Czuła się tak, jakby Craig pchał ją do przodu. Niemal biegnąc wmieszała się w tłum, przeszła na drugą stronę ulicy i po chwili była już znowu w sklepie, i zabrała się do pracy.

Dwa dni później, kiedy Jennifer i Todd już spali, w domu Katherine ni stąd, ni zowąd pojawił się Tobiasz.

— Wiem, że to niezbyt grzeczne — powiedział przepraszająco chyląc głowę, gdy prowadziła go do salonu. — Ale można by też powiedzieć, że to znak zażyłości. A mówiąc ogólnie — usiadł i z pogodną miną zaczął rozglądać się po pokoju — odwiedzić kogoś bez uprzedzenia oznacza, że uważamy tego kogoś za bliskiego. — W końcu popatrzył na Katherine. — Zgodzisz się ze mną?

— Czy przysłał cię Derek? — spytała. Tobiasz wyglądał na zbitego z tropu.

— Zwykle nikt i nigdzie mnie nie wysyła, ale nawet gdyby tak było, to co, na miłość boską, Derek miałby z tym wspólnego?

— Nie mówił ci, że zjedliśmy razem lunch?

— Lunch? — powtórzył Tobiasz.

— Na Union Square. Popatrzył na nią nie rozumiejąc.

— Tam nie ma żadnej restauracji.

— Jedliśmy na trawie. Derek przyniósł kosz zjedzeniem.

— Derek? Na trawie? To niemożliwe. — Tobiasz wyprostował się na brzegu kanapy, dłonie położył na kolanach i zamyślił się. — Życie nauczyło mnie wierzyć w rozmaite niewiarygodne historyjki dotyczące Dereka, ale nie w coś takiego. A w co był ubrany?

— W garnitur. Ale skoro nie powiedział ci o tym lunchu, to co cię do mnie sprowadza?

— Cóż... — Popatrzyli na siebie. Tobiasz ze swymi niebieskimi, niewinnymi jak u dziecka oczyma i szczerym uśmiechem nad białą bródką sprawiał wrażenie bardzo beztróskiego. Chwilami jednak zupełnie nieoczekiwanie niebieskie oczy nabierały ostrego wyrazu i nie były już tak niewinne, uśmiech przygasał, a na twarzy uwidaczniały się fałdy i bruzdy. Ma siedemdziesiąt pięć lat, przypomniawszy sobie Katherine, ale te zmarszczki przyniósł nie tylko wiek, świadczyły też o smutnych przeżyciach. — Cóż — powtórzył

i uśmiechnął się, jakby ukrywał miłą niespodziankę. Katherine zdała sobie sprawę, że odpowiedziała mu również uśmiechem, a nawet że lubi tego człowieka, chociaż w głębi ducha zadawała sobie pytanie, dlaczego następny Hayward się nią interesuje. — Słyszałem, że jesteś w mieście. Ross mówił Victorii, że zabrał cię na lunch...

— A Victoria powiedziała tobie — przerwała Katherine. — Ty natomiast wspomniałeś o tym Melanii, a ona Derekowi. Ale Melania sama widziała mnie wcześniej u „Heatha” i powiedziała o tym Rossowi, który zaprosił mnie na lunch. A dowiedziałam się o tym wszystkim od Dereka.

Tobiasz roześmiał się szczerze ubawiony.

— „Paplanina wisi w powietrzu.” To Szekspir — dodał. — Można by pomyśleć, że znalazł naszą rodzinę. Przyniosłem ci prezent do nowego mieszkania. — Mówiąc to wyjął z kieszeni płaszcz jakieś pudełko i podał je Katherine, która popatrzyła na niego zakłopotana. — Otwórz, otwórz! — zachęcał równie entuzjastycznie jak Jennifer i Todd, gdy przynieśli jej prezent urodzinowy. Kiedy Katherine odwinęła paczuszkę, znalazła w niej kryształowo-srebrną salaterkę na słodczyce.

— Jest śliczna — przyznała. — Dziękuję...

Tobiasz znów zaczął rozglądać się po pokoju. W zestawieniu z tamtym domem w Vancouver, o którym ona i Ross opowiadali, ten wyglądał jak chatka dla krasnoludków. Salon był zagracony; Katherine przywiozła tu zbyt dużo mebli. Były dobre jakościowo, choć odrobinę zniszczone; jego salaterka nie bardzo pasowała do tego wnętrza. Ale, jak zauważył, Katherine postarała się je rozweselić — ściany pomalowała na jasny kolor, zawiesiła olejny obraz, który z powodzeniem naśladował oryginał, a wokół abażuru okręciła jedwabny szalik, przez który światło przenikało niczym przez szkło witrażowe. Miała wycucie barwy i harmonii; urządziła ten pokój tak, że sprawiał wrażenie większego niż był w rzeczywistości. Ale w kącie stało coś dziwnego — mały stolik zarzucony ołówkami, guzikami, kawałkami sznurka, kartkami ze szkicownika, papierem do modelowania, nożykami i pustymi, spłaszczonymi tubkami po paście do zębów. Tobiasz spojrzął na Katherine pytająco.

— Odrabiam pracę domową — wyjaśniła i trochę wyzywająco dodała: — Uczę się projektowania biżuterii.

— Aha. — Skinął głową. — Ale po co ci tubki po paście?

— Do modelowania. Są tak miękkie, że dają się ciąć i kształtować całkiem jak srebro i złoto, których nie mam. Nie powiedziałeś jeszcze, co cię sprowadza.

— Chciałem dać ci prezent, cieszę się, że ci się podoba, no i porozmawiać z tobą. Ale powiedz mi, moja droga, czy masz tu coś do picia?

— Och — zaczęła zakłopotana — jeszcze nie zdążyłam zająć się barkiem...

Po prostu nie miała pieniędzy, pomyślał Tobiasz.

— Najbardziej lubię wodę z lodem — skłamał pogodnie. — Może być też kawa. Jeśli nie sprawi ci to kłopotu?...

Udał się za Katherine do kuchni, usiadł przy dębowym stole i mówił, gdy tymczasem ona robiła kawę.

— Pomyślałem sobie, że powinnaś czegoś się o nas dowiedzieć, skoro już jesteś w San Francisco, bo przecież tu jesteś, prawda? To znaczy na stałe. Mam rację? Nie wracasz do Kanady?

Jakbym słyszała Dereka, pomyślała. Wszyscy chcą koniecznie wiedzieć, kiedy wyjeżdżam.

— To zależy od Craiga.

— Od Craiga?

— Jak wróci, to zdecyduje. — Prowokująco spojrzała Tobiaszowi w oczy.

— Ale dopóki nie wróci — naciskał.

— Mieszkamy tutaj. Dzieci chodzą do tutejszej szkoły, a ja mam tu pracę. Jeśli chciałbyś się mnie pozbyć...

— Ależ nie, to niedorzeczne. Dlaczego mielibyśmy chcieć się ciebie pozbyć?

— Bo w grę wchodzi korporacja i majątek babki Craiga.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Derek powiedział, że niektórzy członkowie rodziny martwią się...

Tobiasz roześmiał się, aż jego spiczasta broda zaczęła drgać.

— Och Katherine, moja ty droga Katherine. Jak ci się wydaje, co Derek ma na myśli, kiedy mówi, że ktoś w rodzinie się niepokoi?

Katherine napełniła kawą dwa kubki i zaniósła je do salonu.

— Sam mi powiedział, co miał przez to na myśli.

— Tak, moja droga, ale w przypadku Dereka trzeba czytać

miedzy wierszami, żeby zgadnąć, o co mu chodzi. Pomyśl więc, komu najbardziej zależy na pieniądzach i władzy Haywardów?

Katherine wpatrywała się w unoszącą się z jej kubka parę. Derek wydawał jej się sympatyczny, zanim zaczął oskarżać Rossa. Do Tobiasza też czuła sympatię, dopóki nie usłyszała w jego głosie ostrej nuty, gdy mówił o Dereku.

— Czy w waszej rodzinie wszyscy się nawzajem oskarżają? — spytała. — Nie jest to zbyt miły zwyczaj.

— Ach. — Tobiasz również utkwiał wzrok w parze nad kawą. — Czy wiesz, w jaki sposób Hugh Hayward zbił majątek?

— Oczywiście. Zajmował się budownictwem, Hayward Corporation.

— O nie. Firma przynosiła całkiem skromne dochody, dopóki nie przejął jej Curt, jego syn, jak chyba wiesz, ojciec Dereka i Rossa; chociaż trzeba przyznać, iż Hugh sprawił, że firma zaczęła być znana z perfekcyjnego wykonawstwa. Duże pieniądze przyszły dopiero później, w latach dwudziestych, kiedy to Hugh szmuglował do Stanów alkohol z Europy i Kanady. Prohibicja, moja droga — w czasach pustego kieliszka dobra szkocka wielu przyniosła miliony. Nikt w rodzinie nie lubi o tym pamiętać, ale mnie się wydaje zabawne, że nasz przedsiębiorczy Hugh przemycił skrzynki szkockiej w tajemnicy przed czujnym okiem prawa, jednocześnie wraz z Victorią brał udział w balach dobroczynnych, a gazety zamieszczały ich fotografie w rubrykach poświęconych elicie towarzyskiej i pisały, że dają hojne datki na słuszne cele. „Każdy jest księżycem i ma w swoim życiu jakąś ciemną stronę, której nigdy nikomu nie pokazuje.”

— Ciemną stronę — powtórzyła Katherine. — Kto to napisał?

— Mark Twain. Do mężczyzn z rodu Haywardów ten cytat pasuje jak ulał. Począwszy od Hugh'a. — Westchnął i upił nieco kawy. — Naprawdę bardzo lubiłem Hugh'a. I wciąż mi go brakuje, mimo iż upłynęło już tyle czasu. To był potężny mężczyzna, przystojny, sprytny i dowcipny. A jak on uwielbiał Victorię. Zupełnie inaczej załatwiłby sprawę tego bałaganu na żaglówce, ale nie żył już od trzech lat, a Victoria wciąż go opłakiwała i odcięła się od wszystkiego; właściwie nie było wówczas prawdziwej głowy rodziny. Masz jeszcze trochę kawy?

Katherine napełniła mu kubek. To oczywiste, pomyślała. Przyszedł porozmawiać o Craigu.

— Chodzi ci o ten wypadek na żaglówce — upewniła się.

— Cóż, tak. — Tobiasz powiódł wzrokiem po pokoju i pokiwał głową. — Bo też był to prawdziwy bałagan. Wprawdzie nigdy nie słyszałem całej tej historii, ale myślę, że nadejdzie dzień, kiedy poznam prawdę. Profesorowie literatury są ekspertami w wyciąganiu na światło dzienne dawno zapomnianych zdarzeń. A ponieważ piszę historię rodziny, muszę poznać każdą sprawę od podszewki. Z powodu twego męża, moja droga, mam sporo kłopotów, bo nikt nie chce o nim rozmawiać. Dopiero ostatnio wszyscy o nim mówią, ale to dlatego, że ty tu jesteś i wspomnienia wróciły.

Upił trochę kawy.

— Derek i Craig pokłócib' się na tej łódce; właściwie doszło nawet do bójki. Ross mówi, że nie wie, o co poszło, Derek nabrał wody w usta, a Craig, jak się dowiedzieliśmy, uciekł z miejsca wypadku, więc nie mogę sprawy wyjaśnić. Ale teraz ty, moja droga, mogłabyś się sporo dowiedzieć; chyba nikt nie ma większego prawa, by zadawać pytania i domagać się odpowiedzi. — Popatrzył na nią swymi niewinnymi niebieskimi oczyma. — Mogłabyś zostać moją asystentką i pomagać mi w badaniach.

Katherine zateęskniła za Craigiem. On powiedziałby jej, czy można zaufać temu zabawnie wyglądającemu staruszkowi. Bardzo chciała poznać prawdę; pragnęła dowiedzieć się o Craigu jak najwięcej. Po to, żeby lepiej go zrozumieć — jego i samą siebie; no bo jak mogła przeżyć dziesięć lat z mężczyzną i nie podejrzewać nawet, że przez cały ten czas karmił ją kłamstwami. Jeśli jednak uda jej się odkryć coś z przeszłości Craiga, to dlaczego niby miałyby o tym mówić Tobiaszowi czy komukolwiek innemu z rodziny, której nie ufała?

Tobiasz westchnął i wstał.

— Nie zamierzam wywierać na ciebie nacisku, moja droga. Ale moglibyśmy sobie nawzajem bardzo pomóc, a wiesz chyba, że na mnie można polegać. Prawda, nie możesz tego jeszcze wiedzieć, lecz jak spędzisz z nami trochę czasu...

— Nie spędzę z wami trochę czasu — zaoponowała. — Nie chcę być z wami. Czekam na Craiga, a ponieważ nikogo z was on nie obchodzi, a przynajmniej nie tak jak mnie, to znaczy ze względu na niego samego, to nie potrzebuję nikogo z waszej rodziny.

— Może jednak ktoś by ci się przydał — rzekł łagodnie. —

Zastanów się, a ja zadzwonię za jakiś tydzień. Może wybralibyśmy się na lunch. Ale nie na Union Square. Moje kolana, sama wiesz... siedzenie na trawie... — Pokręcił głową i ruszył do drzwi. — Zmieniłaś się od tamtego wieczoru u Victorii, na korzyść. Ładnie wyglądasz i masz charakter; podoba mi się to. Craig byłby z ciebie dumny.

Spojrzała na niego zaskoczona. Tobiasz skinął głową zadowolony z siebie.

— Zastanów się. — Otworzył drzwi i wyszedł, lecz zaraz zawrócił i z uśmiechem w swych niebieskich oczach dodał: — Wiesz, byłby z nas niezły tandem — po czym zamknął za sobą drzwi.

— Po prostu czekaj — powiedziała Leslie, kiedy następnego dnia Katherine opowiedziała jej o wizycie Tobiasza i pokazała skrzynki wina i pudła orzeszków, sera i krakersów, które nadeszły rano. — Tylko patrzeć, jak zjawi się kolejny Hayward. Wygląda na to, że nagle zauważyli, że żyjesz.

Katherine wcale tego nie chciała. Miała wystarczająco problemów na głowie. Codziennie musiała znosić Gila Listera, a potem wracała do domu i dzieci, które były wiecznie niezadowolone i trudno było dać sobie z nimi radę. Noce też miała niespokojne — strasznie brakowało jej seksu i bliskości drugiej osoby. Dwa razy w tygodniu chodziła na kurs jublierski, przynajmniej raz na tydzień wpadała Leslie, by wspólnie zjeść kolację albo po prostu pogadać, ale poza tym nic się nie działo i Katherine miała mnóstwo czasu na rozmyślenia. Dwukrotnie zadzwonił do niej Ross z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuje, ale sprawiał wrażenie pochłoniętego problemami w pracy i chyba czymś jeszcze — jakąś prywatną sprawą, a ponieważ nie zaproponował jej lunchu, Katherine też nie poruszała tego tematu. Dość mam na razie Haywardów, myślała. Chyba że kiedyś później, jak już wypracuję sobie sposób postępowania z nimi...

Okazało się, że Leslie miała rację. Kilka dni po wizycie Tobiasza zadzwonił Claude; wprawdzie nie był Haywardem, ale jak sam wspomniał na kolacji u Victorii, prawie należał do rodziny.

— Na ostatnim piętrze hotelu Hyatt — powiedział, kiedy Katherine zgodziła się z nim spotkać następnego dnia po pracy. — To na wprost „Heatha”, po drugiej stronie placu.

Gdy Katherine przyszła na spotkanie, Claude już czekał — wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, o uważnym spojrzeniu, gładko przyczesanych siwych włosów i wysportowanej sylwetce w drogim garniturze. Kiedy zajęli miejsca przy stoliku — Katherine usiadła naprzeciwko Claude'a — prawnik wskazał jej widoczny z okna szczyt odległego wzgórza, na którym na tle złocistego popołudniowego nieba wznosił się łososiowego koloru budynek z balkonami.

— Poznajesz? — Katherine potrząsnęła głową. — To Pacific Heights. Dom Victorii. Byłaś tam na kolacji.

Kelnerka przyniosła wino dla Katherine, szkocką dla Claude'a i miseczkę prażonych płatków śniadaniowych z orzechami. Claude odstawił ją na bok.

— Ohydne jedzenie. Ale widok stąd jest wspaniały. Zdomowiałaś się już w nowym mieszkaniu? A jak praca, odpowiada ci? Dzieci polubiły szkołę?

Przez chwilę Katherine przypatrywała mu się.

— Może powinniśmy zorganizować spotkanie całej rodziny. Za jednym zamachem odpowiedziałabym na wszystkie wasze pytania i dowiedziałabym się, czego chcecie ode mnie.

Spojrzał na nią uważnie. Potem uśmiechnął się i uniósł szklaneczkę.

— Wypijmy za twoje nowe życie. Najwyraźniej będzie ciekawe. Katherine siedziała cała w pąsach. Nie była przyzwyczajona do

zwracania się do ludzi w taki sposób, zwłaszcza zaś do wytwornego starszego pana na stanowisku, przy którym czuła się jak dziecko. Żałowała, że przyszła na spotkanie. Przecież już wcześniej sobie obiecała, że nie zobaczy się z nikim z tej dziwacznej rodziny, która najpierw ją odrzuciła, a teraz nagle zaczęła szukać jej towarzystwa. Ci ludzie wprawiali ją w zdenerwowanie i zachowywała się przy nich w sposób, który zaskakiwał wszystkich łącznie z nią samą.

— ...Mam nadzieję, że będzie ciekawe — mówił Claude dając kelnerce znak, by przyniosła mu kolejnego drinka. — Wszyscy mamy taką nadzieję. Oczekujemy też, że będziemy mogli lepiej cię poznać.

— Ale po co? — spytała. — Żeby dowiedzieć się, dlaczego przeprowadziłam się do San Francisco i czy nie kłamię na temat Craiga? A może chcecie mieć na mnie oko, żeby, jak tylko Craig

wróci, oszacować, w jakim stopniu będzie chciał nadszarpnąć wasze konta?
Na twarzy Claude'a odmalowało się zaskoczenie.

— Czy to Derek nakładł ci do głowy takich głupstw? My chcemy ci po prostu pomóc. Skoro Craig cię porzucił...

— Nie porzucił!

— Założmy, że tak. Zresztą to nie byłby pierwszy raz. A od czterech miesięcy nie dał przecież znaku życia...

— Równie dobrze mógł mieć wypadek — upierała się Katheri-ne. — Albo zaszła jakaś inna nieprzewidziana sytuacja. Nie zamierzam wysłuchiwać twojej krytyki na temat Craiga, ani twojej, ani nikogo z was, nigdy go nie lubiliście; a teraz nawet nie chcecie dać mu szansy.

— Niektórzy z nas go lubili — rzekł cicho Claude.

— Ale nie cała rodzina. Uśmiechnął się.

— To zbyt wielkie oczekiwania w stosunku do każdej rodziny. Jednak niektórzy wręcz go uwielbiali. Craig miał w rodzinie dość szczególną pozycję, był pierwszym wnukiem. Widzisz, Victoria i Hugh mieli dwóch synów, Jasona i Curta — ci dwaj zawsze we wszystkim ze sobą współzawodniczyli — i to właśnie Jasonowi i Annie urodził się pierwszy wnuk Victorii, a dopiero rok później przyszedł na świat Derek, syn Curta i jego żony. Wprawdzie nie urządzali w tej sprawie konkursu, ale Victoria uwielbiała Craiga od dnia, w którym się urodził; i Anna też. A kiedy Jennifer dorosła, powiększyła damskie grono wielbicielek Craiga. Hugh chciał, żeby jego pierwszy wnuk był taki jak on sam — dominujący, pewny siebie, gotowy do podjęcia każdego wyzwania; Jason chciał, żeby jego syn stał się chodzącą legendą, podobnie jak Hugh Hayward; a Victoria i Anna nazywały Craiga swoim złotym chłopcem — miał być doskonały, najlepszy we wszystkim. Było mi go szczerze żal, bo w żaden sposób nie mógł sprostać tym wymaganiom. Curt, który obecnie jest już na emeryturze i przeniósł się do Phoenix, nigdy nie lubił Craiga; jego zdaniem chłopak był rozpieszczony i słabowity. Derek przejął tę niechęć ojca, tym bardziej że nie znosił ludzi postawionych na piedestale, zwłaszcza kiedy dotyczyło to kuzyna starszego od niego zaledwie o rok. Ross natomiast, który nie miał tak wielkich jak brat zapędów do rywalizacji, przyjaźnił się

z Craigiem. Chyba przyczynił się do tego jeszcze fakt, że Victoria kochała Rossa, ale nigdy nie zdołała polubić Dereka, który z kolei nie mógł jej tego wybaczyć. Cóż... — Claude rozłożył ręce. — Takie jest życie w rodzinie. Nawet w najlepszych toczą się jakieś wewnętrzne wojny. Ross poszedł własną drogą: wyjechał na studia do Nowego Jorku, ożenił się i znalazł sobie pracę. Właściwie to Curt mu ją załatwił poprzez swego przyjaciela w Nowym Jorku, który zatrudnił Rossa w swojej firmie. Derek został tutaj i prowadził korporację, na długo jeszcze zanim Curt przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Do chwili obecnej udało mu się podwoić dochody firmy — zaryzykował podpisując kilka kontraktów, które mogły przynieść klępkę, ale okazały się bardzo korzystne. Tak, Derek to prawdziwy hazardzista. No i nikt nie sprzeciwiał się jego decyzjom, nawet Victoria, która jest przecież głównym udziałowcem. Głową rodziny uczyniły go okoliczności — po śmierci Jennifer i Craiga... to znaczy po domniemanej śmierci Craiga Victoria odsunęła się w zasadzie od wszystkiego.

Katherine przypomniała sobie zdjęcie roześmianej dziewczyny.

— Jaka była Jennifer?

— Jennifer. — Claude skinął na kelnerkę zamawiając kolejnego drinka i spojrzał pytająco na Katherine, ale ona potrząsnęła głową. — Tobiasz mówił o niej „światło i cień”. Była śliczna i miała w sobie świeżość, która sprawiała, że w jej towarzystwie każdy czuł się młodszy. Jennifer szła przez życie tanecznym krokiem i niczego nie brała zbyt poważnie; dopiero przez kilka ostatnich miesięcy swego życia sprawiała wrażenie bardzo czymś przejętej. Tobiasz akurat przyjechał wtedy na Wielkanoc i Jennifer wydała mu się smutna. Myślę, że czymś się martwiła. Anna i Jason bardzo się niepokoiли. Jennifer zmieniła się; stała się powściągliwa i uparta... została przyjęta na studia w Radcliffe, ale potem ni stąd, ni zowąd oświadczyła, że nigdzie nie pojedzie. I nikt nie wiedział, jaki był tego powód.

Po chwili przerwy Katherine zapytała:

— A dlaczego Ross wrócił?

— Myślę, że chciał być blisko Victorii. Ale sam nigdy tego nie wyjaśnił, chociaż Derek aż ze skóry wychodził, żeby poznać prawdę. Powrót Rossa niczego nie zmienił. Założył własną firmę architektoniczną i całkiem niezależnie od tego, co dla Hayward Corporation

zrobili Hugh, Curt i Derek, zapewnił jej renome; no i wybudował dom w Tiburon i zamieszkał tam z Melanią. Właściwie nie było już wtedy rodziny — Craig i Jennifer odeszli na zawsze, Jason i Anna wyjechali do Maine, Derek wraz z ojcem prowadzili firmę, a Victoria najpierw szalała z żalu, a potem zaczęła coraz bardziej dziwaczeć. Dziewięć lat temu, kiedy Tobiasz przeszedł na emeryturę, Victoria oddała mu całe piętro w swoim domu. Wtedy już tylko on i Ross utrzymywali z nią bliższy kontakt. Rodzina rozpadła się, każdy poszedł swoją drogą mierząc życie według innej skali wartości. Katherine spodobały się te słowa.

— Co przez to rozumiesz? Mierząc życie?...

— Wszystko to, co posiadamy, czym jesteśmy, do czego dążymy. Derek na przykład mierzy życie ilością pieniędzy i władzy. No może jeszcze żon, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że miał ich trzy. Dla niego liczą się też przedmioty: gromadzi wszystko, od dzieł sztuki po różne gadżety.

Katherine przyszedł na myśl kosz piknikowy.

— A Ross? — spytała.

— Dla niego ważne są osiągnięcia, tak mi się przynajmniej wydaje. To, ile zdoła osiągnąć w kwestii przebudowy naszych miast. Ross nie marzy o drobiazgach. Przy okazji zarabia niezłe pieniądze; wprowadzić nie da się ich porównać z dochodami Dereka, ale Ross wcale się tym nie przejmuje; lecz też rozsądnie nimi gospodarzy, może dlatego, że Melania jest straszliwie rozrzutna. Jednak nigdy nie odniosłem wrażenia, żeby Ross mierzył życie dolarami. Ani władzą, choć musi zdawać sobie sprawę, że realizacja jego marzeń wymaga rozległych stosunków. To interesujący człowiek; czy ze względu na niego przeprowadziłaś się do San Francisco?

— O nie — zapewniła skonsternowana. — Nawet mu nie powiedziałam, że przyjeżdżam. — A poza tym widziałam go tylko raz, dodała w myśli. Sześć tygodni temu. — A jaką miarką mierzy swe życie Victoria?

— Kiedyś była nią rodzina. Victoria chciała utrzymać silne więzy rodzinne między wszystkimi członkami. Ale sytuacja zmieniła się po śmierci Jennifer i Craiga. To znaczy... no wiesz, co mam na myśli. A przez ostatnie dziesięć lat Victoria stara się być potrzebna. Jest członkinią zarządu Opery, Filharmonii, Muzeum Sztuki i kilku organizacji zajmujących się opieką społeczną i wszędzie ma ogromne

wpływy, bo naprawdę się udziela. To dzięki jej kontaktom Muzeum Sztuki otwiera w tym tygodniu wystawę peruwiańskich wyrobów ze złota. I bardzo ci ją polecam — jest wspaniała. A więc dlaczego przeprowadziłaś się do San Francisco?

— Nie rozumiem.

— Pytałem...

— A nie, słyszałam pytanie. Wychowałam się tutaj.

— To jedyny powód, dla którego przyjechałaś tu z Vancouver?

— Nie chodzi mi o pieniądze Haywardów.

— Mnie też się tak wydaje. — Wyglądał na rozbawionego. — Powtórzę to rodzinie. Sympatyczna młoda kobieta z ciebie; jesteś inteligentna i umiesz słuchać. Właściwie to doprowadziłaś do tego, że to ja opowiedziałem ci o rodzinie, chociaż miałem zamiar dowiedzieć się czegoś o tobie. To godne podziwu.

Katherine przyjrzała mu się uważnie.

— Nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł skłonić Claude'a Fleminga do mówienia, gdyby chciał słuchać. Myślę, że chciałeś opowiedzieć mi o rodzinie.

Prawnik podpisywał właśnie rachunek i ręka mu znieruchomiała. Uśmiechnął się.

— Dasz sobie radę w życiu — powiedział i dokończył pisać.

— A jakie twoim zdaniem stosuję kryterium wartości własnego życia? — spytała.

Przez chwilę przyglądał jej się zamyślony.

— Mierzysz je własną niezależnością — odparł obserwując twarz Katherine, na której wyraz zadowolenia ustąpił nagle zakłopotaniu.

— A Craig? — spytała.

— On... On ceni pieniądze, chce mieć przy sobie kilka wybranych osób, być podziwiany i wywijać się od problemów.

Katherine popatrzyła przez okno na ciemniejące niebo. Po raz pierwszy nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć w obronie swego męża.

Leslie przyniosła ze sobą butelkę wina i tort urodzinowy, a wszyscy razem nakryli do stołu.

— Ile lat kończysz? — zaciekawiał się Todd.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć — odparła Leslie. — Ale wszyscy

mówią, że nie wyglądam na tyle. A czasami nawet czuję się dużo młodsza. Katherine popatrzyła na przyjaciółkę.

— Coś się stało?

— Nic poważnego — zapewniła Leslie. — Po prostu dziś jest piątek. Mnóstwo rzeczy wygląda wtedy czarno, ale perspektywa dwóch wolnych dni jakoś cudownie je wybiela. A niech to diabli, zapomniałam, że ty jutro pracujesz.

— Wyobraź sobie, że nie. Gil powiedział, że jutro obejdziesz się beze mnie. Czuję się jak na wakaacjach.

— Gil? Taki wspaniałomyślny? To nie w jego stylu. Chyba coś knuje.

— No ile masz lat? — dopytywał się Todd.

— Trzydzieści sześć. — Leslie zmierzwiła mu czuprynę. — Czy wydają ci się bardzo stara?

— Nie aż tak, jak gdybyś miała dziewięćdziesiąt dziewięć. — Siadając popatrzył na swój talerz. — Mamo, co to za świętowanie?

— Nie bądź niegrzeczny — upomniała go Leslie. — Ponieważ dzisiaj są moje urodziny, to ja ustalałam menu i wybrałam ragout z wołowiny.

Todd skrzywił się.

— Nazywa się okropnie. Idę do McDonalda.

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedziała Katherine. — I zjesz kolację razem z nami. Nawet nie spróbowałaś tego dania.

— Bo mi się nie podoba i nie będę go jadł. Idę do McDonalda i już!

— Hej — odezwała się Leslie rzucając Katherine szybkie spojrzenie. — Chcesz zepsuć moje przyjęcie?

— Todd — wtrąciła Katherine. — Zostawiłam paczuszkę u Annie. Mógłbyś ją przynieść?

Ponuro wzruszył ramionami.

— Czemu nie.

Kiedy chłopiec wyszedł, Leslie spojrzała pytająco na Katherine.

— W Vancouver nie był taki.

— Wiem. Zmienił się, odkąd tu przyjechaliśmy. W szkole przeszkadza na lekcjach i nie odrabia prac domowych; zdaniem nauczycieli on w ten sposób daje znać, że coś go gryzie. Nie potrafię rozmawiać z nim o tym...

— O niczym z nami nie rozmawiasz — wtrąciła Jennifer. — Nawet nie zapytałaś, czy chcemy wyjechać z "Vancouver.

— Ależ Jennifer, to było dawno temu.

— My o tym nie zapomnieliśmy. I nie podoba nam się ani San Francisco, ani to mieszkanie, ani szkoła, ani twoja praca, ani w ogóle nic.

Katherine i Leslie wymieniły spojrzenia.

— Właśnie mnie olśniło — stwierdziła Leslie. — Wam dwojgu przyda się wycieczka do Exploratorium. Bądźcie gotowi w przyszłą sobotę w południe.

— Exploratorium! — krzyknął Todd, który wszedł właśnie z dużym pudełkiem w rękach. — Nie żartujesz? Mama już dwa razy nam to obiecała i dwa razy zawała.

— Musiałam iść do pracy — wtrąciła Katherine cicho.

— Todd, zachowujesz się jak skończony drań — ofuknęła go Leslie, a korzystając z zaskoczenia chłopca, który aż otworzył usta ze zdumienia, dodała: — Zjedz ragout, które, nawiasem mówiąc, jest doskonałe, a potem pomożecie mi wszyscy rozwiązać pewną zagadkę.

— Zagadkę? — Jennifer zrobiła podejrzliwą minę. — Wymyśliłaś coś, byśmy zapomnieli, że nam smutno?

— Nie, niczego nie wymyśliłam — odparła Leslie poważnie. — Myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym, że wam smutno. Ale to moje przyjęcie i nie chcę, żebyście zepsuli je zrządzeniem. W dodatku jeśli teraz Todd zgasi moje świece tym swoim prychnaniem i sapaniem, to nie spełni się moje życzenie.

Na twarzach dzieci pojawiły się uśmiechy.

— A więc co to za zagadka? — zaciekawiał się Todd.

— Mamy w sklepie nowe swetry z kolekcji Ralphi Laurena; cieszą się dużym zainteresowaniem i dobrze się sprzedają. Szybko znikają też z półek jedwabne bluzki Calvina Kleina po dwieście pięćdziesiąt dolarów za sztukę.

Jennifer aż dech zaparło.

— Za sztukę? Czy to jest ta zagadka? Dlaczego ludzie płać tyle za jedną bluzkę? Leslie roześmiała się.

— O nie! Problem polega na tym, że tych bluzek i swetrów ubywa z półek bardzo wiele, a sprzedawcy nie przypominają sobie, żeby sprzedali aż tyle. Jak byście to wyjaśnili?

— Ktoś je kradnie — zasugerowała szybko Jennifer.

— Też tak pomyślałam. Ale z rejestru komputerowego wynika, że te rzeczy zostały sprzedane.

— Sprzedawcy nie pamiętają — stwierdził Todd. — Cierpią na amnezję. Pytałaś ich, czy może któregoś dnia upadli i stracili przytomność?

— Nie, jeśli chodzi o ścisłość — odparła Leslie. — Ale pomyślę o tym.

— Może coś jest nie tak z komputerem — zgadywała dalej Jennifer.

— Komputery nie robią błędów — ofuknęła siostrę Todd.

— Nigdy? — miała wątpliwości Katherine. — A jeśli ktoś się pomyli i wyda komputerowi błędne instrukcje?

— Mam! — krzyknął Todd. — Rzeczywiście to sprawka komputera! Kiedy w pokoju było zimno, weszło do niego kilka myszy i zaczęły się o siebie ocierać, żeby było im cieplej i przez to pocieranie wytworzyły stały prąd, który wymazał część danych z pamięci komputera. Dlatego na ekranie pojawiają się złe informacje!

— Ciekawa hipoteza — roześmiała się Leslie. — W poniedziałek sprawdzę, czy są tam myszy.

— Leslie — odezwała się Katherine. — O co chodzi tak naprawdę? Bo chyba nie tylko o bluzki i swetry.

Leslie westchnęła.

— Przyjaciel zawsze potrafi odgadnąć prawdziwe myśli. Masz rację, chodzi o coś więcej. O moich kolegów wiceprezesów. Czterech męskich szowinistów nie może się doczekać, aż popełnię jakiś błąd, żeby mogli mnie wyrzucić ze swego męskiego terytorium. Nie mam pojęcia, co, u diabła, dzieje się z tymi bluzkami i swetrami, ale skoro tracimy towar, a tym samym pieniądze, oni zainteresują się, kto ponosi winę za niesprawną ochronę sklepu, a wtedy dobiørą się do mnie.

— Do ciebie? — zdziwił się Todd. — Za ochronę sklepu?

— Te sprawy podlegają działowi kadr. A ja jestem wiceprezesem do spraw kadr i płac. Rozumiesz teraz?

Jennifer przyglądała się Leslie zafascynowana.

— A czy prezes też jest męskim szowinistą i chce cię wyrzucić ze swego terytorium?

— On nie jest taki zły — odparła Leslie. — Chociaż, kto wie — dodała ponuro — co naprawdę chodzi po głowie wielkiemu szefowi? Ja chcę tylko w spokoju wykonywać swoją pracę i do tej pory on dawał mi tę możliwość, ale jeden większy błąd może wszystko zmienić... — Zadumała się na chwilę, po czym energicznie potrząsnęła głową. — No, dość już tego. Wspaniali z was słuchacze i podnieśliście mnie na duchu; bardzo was kocham. Ale teraz nie możemy zapomnieć o kluczowym punkcie programu. Czy mi się zdaje, czy widziałam w kuchni tort? Bo jak niby mam przełknąć te swoje trzydzieści sześć lat bez czekoladowego tortu na osłodę? A co z tym wielkim pudłem, które przytaszczył tu Todd? Czy to może dla mnie?

Katherine zajęła się zapalaniem świeczek na torcie, a Leslie tymczasem otworzyła paczkę, w której znalazła komplet uszytych wspólnie przez całą trójkę jaśków ozdobionych aplikacjami.

— Pamiętaliście o mnie! — powiedziała uszczęśliwiona. — Są wspaniałe, dokładnie takie, jakich szukałam.

Todd i Jennifer nie posiadali się z radości i jedno przez drugie zaczęli opowiadać Leslie, jak trudno było wykonać aplikacje.

— Ale świetnie się przy tym bawiliśmy — dodała Jennifer. — Nawet Toddowi podobało się to zajęcie.

— Ja zrobiłem ten miecz — chwalił się Todd. — I zabijałem potwory z tych jaskiń, bo chciały nas pożreć...

— On po prostu to wyszył — pospieszyła z wyjaśnieniem Jennifer.

— Tylko nie mów o tym chłopakom w szkole — ostrzegł Todd. — Pomyśleliby, że mam nie po kolei w głowie.

Katherine obserwowała tę scenę z pewnej odległości, niczym widz w teatrze. Oto jej dzieci i przyjaciółka siedziały na środku zagraconego salonu przy składanym stole nakrytym teraz odświętnie. Na małym stoliku w rogu w ciepłym świetle lamp pobłyskiwały wykonane przez nią bransoletki, naszyjniki i wisiorki. Duży stojący zegar wybijał godzinę dziewiątą. Nie byłoby tego wszystkiego w tym pokoju ani tych ludzi przy stole, gdyby nie ona. Przypomniała sobie, że gdy Claude wspomniał o niezależności, poczuła, jak ogarnia ją zadowolenie. Claude miał wówczas rację, a ona naprawdę się z tej niezależności cieszyła. Miało to wprawdzie trwać tylko przez chwilę, do powrotu Craiga, lecz teraz Katherine napawała się

radością — przecież wszystko to było jej własnym dziełem. Na zawsze zapamiętam to uczucie, pomyślała. Bo nigdy przedtem go nie zaznałam.

Kilka dni później zadzwonił Derek.

— Mam na dziś wieczór zaproszenie na prywatne otwarcie wystawy sztuki peruwiańskiej. Pomyślałem, że mogłoby cię to zainteresować, zwłaszcza kolekcja biżuterii. Po części oficjalnej przewidziana jest kolacja; podadzą pewnie kozę peruwiańską z grilla, ale jeśli okaże się niejadalna, możemy pójść gdzie indziej. Może wpadnę po ciebie do „Heatha”?

— Dobrze — odparła bez wahania.

Próbując usprawiedliwić się sama przed sobą za tę szybką odpowiedź, powiedziała sobie, że od Dereka może się więcej dowiedzieć na temat Haywardów i Craiga. Kiedy jednak zasiadła do wypisywania zleceń na odesłanie do magazynu rekwizytów wystawy z zeszłego tygodnia, przyszło jej do głowy jeszcze inne wytłumaczenie — złote wyroby starożytnych peruwiańskich artystów mogą okazać się źródłem pomysłów na jej własną biżuterię. A poza tym, uznała, dość się napracowała pomagając Listerowi rozmieścić na wystawie przygotowanej na święto Halloween wiedźmy i czarowników, dobrze jej więc zrobi wyrwanie się z domu na trochę; przecież Annie może popilnować Jennifer i Todda. Mimo to, kiedy pod koniec dnia Katherine popatrzyła na sceptyczny uśmiech wycięty w wydrążonej dyni, którą miała na biurku, przyznała w duchu, że przyjęła propozycję Dereka dlatego, że chciała go ponownie zobaczyć.

— Cieszę się, że przyszedłeś — powiedział, gdy po pracy wsiadła do jego samochodu, i od razu włączyli się w ruch na Geary Street. — Bałem się, że mi odmówisz.

W błyszczącym, nisko zawieszonym samochodzie Katherine dziwnie się czuła — siedziała ledwie parę centymetrów nad ziemią, przechodnie i inne pojazdy poruszały się gdzieś nad nią, a gdy Derek przemykał bardzo wąskim czasem skrawkiem jezdni, odwracała wzrok od szyby. Patrzyła wówczas na ładny profil Dereka i zastanawiała się, czy jakakolwiek kobieta odmówiła już Derekowi i czy rzeczywiście obawiał się kiedykolwiek, że któraś to zrobi.

— Dlaczego miałabym nie przyjąć twego zaproszenia?

— Bo jestem Haywardem. Pomyślałem, że możesz mieć nas dość po tym, jak nachodziliśmy cię przez ostatnich parę tygodni.

— Aha. — Zastanowiły ją te słowa. Czy w tej rodzinie zawsze każdy wiedział, co robią pozostali? — Nic się nie stało. To były interesujące spotkania.

— Interesujące? Dobry Boże, zobaczysz, co powie Tobiasz, gdy się o tym dowie.
— Derek wjechał do Civic Centre i znalazł wolne miejsce na parkingu przed Muzeum Sztuki. — Po zapoznaniu się z klanem Haywardów Katherine Fraser uznała, że to interesujący ludzie.

— Przepraszam. — Katherine oblała się rumieńcem i poczuła się tak głupia i nieciekawa, że nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzi przez resztę wieczoru.

— Przeżyjemy to. — Derek obszedł samochód i otworzył przed nią drzwiczki. — Kto wie, może nawet niektórzy z nas wydadzą ci się bardziej interesujący od innych. No a teraz zobaczymy, co tam się dzieje.

Derek podał jej ramię. Zupełnie nieoczekiwanie Katherine poczuła się podekscytowana. Już tak dawno nie spędzała wieczorów poza domem. I wcale nie chodziło o towarzystwo Dereka, powiedziała sobie; dobrze było oderwać się od domu i dzieci, od pracy i kłopotów finansowych, od tęsknoty za Craigiem, ciągłego rozmyślania o nim i niepokoju o to, co się z nim stało. Wsparta na ramieniu Dereka lekkim krokiem weszła do Muzeum.

Kiedy jednak znalazła się w środku i zobaczyła zgromadzony tam tłum, cała jej radość ulotniła się jak kamfora. Elegancy mężczyźni w czarnych krawatach i ciemnych garniturach, piękne kobiety w wieczorowych sukniach ozdobionych piórami, falbankami, perłami i klejnotami — wszyscy oni zmierzyli ją wzrokiem, w chwili gdy pojawiła się u boku Dereka. Dziesiątki oczu spojrzało na nią ze zdumieniem — poczuła się tak nijaka jak kilka miesięcy wcześniej, kiedy stała obok wykwintnie ubranej Melanii i miała wrażenie, że zepsuła ekskluzywne przyjęcie.

Derek albo był nieświadom jej odczuć, albo były mu one obojętne, bo od razu zaczął przedstawiać Katherine swoim znajomym, a ona witając się z nimi zadawała sobie pytanie, dlaczego właściwie nie przygotowała się odpowiednio na taką okazję. Przecież,

podobne sytuacje będą miały miejsce za każdym razem, gdy zechce wkroczyć w świat Haywardów. Wprawdzie Derek mógł ją uprzedzić, ale może nie wiedział, jak ona się czuje w swoim kostiumie z niebieskiej wełenki, białej bluzce i pojedynczym sznureczku pereł, które dostała od Craiga w dziesiątą rocznicę ślubu, gdy tymczasem wszystkie otaczające ją kobiety błyszczały bardziej niż peruwiańskie złoto w gablotach.

Nie będę się tu męczyć, pomyślała, i zaraz wyjdę. Derek nie będzie miał nic przeciwko; tutaj jest jego miejsce i nawet nie zauważy mojej nieobecności. A jednak nie zrobiła ani kroku w stronę wyjścia. Coś trzymało ją w miejscu i gdy odpowiadała na kurtuazyjne pytania przyjaciół Dereka, pomyślała: Craig uciekł. Ja tego nie zrobię.

Ale zaraz odsunęła od siebie te myśli, jakby ją parzyły, i powiedziała sobie co innego. Przeprowadzam rozeznanie. Chcę się zorientować, jaką biżuterię noszą bogate kobiety. Przecież pewnego dnia będę ją projektować właśnie dla nich.

— Biżuteria jest w tamtych gablotach pod ścianą — zwrócił się do niej Derek. — Skąd chcesz zacząć? Od czternastego wieku? I przepraszam cię za ten tłum; na prawdziwie prywatne przyjęcie można liczyć tylko wtedy, gdy samemu je się wydaje. Ale przy odrobinie szczęścia kolacja będzie bardziej kameralna.

Kolacja była bardziej kameralna. Przy każdym stoliku siedziało po dziesięć osób i początkowo rozmowa toczyła się wokół osoby Dereka. Po raz pierwszy Katherine dowiedziała się, jak szeroką działalność prowadzi Hayward Corporation w Kalifornii i na całym Zachodzie: buduje niemal wszystko począwszy od autostrad, mostów i akweduktów po biurowce i zakłady przemysłowe. Zaskoczył ją też ogrom kompetencji Dereka. Do tej pory wydawało jej się, że podobnie jak Craig buduje domy i biurowce i ledwie sobie radzi z powodu recesji. A okazało się, że sytuacja gospodarcza nie ma wielkiego wpływu na interesy Hayward Corporation. Wprawdzie mniej się teraz stawiało budynków biurowych i zakładów, ale kontrakty na budowę dróg, mostów i tam podpisano już przed wieloma laty i wciąż było ich wystarczająco dużo, by firma dobrze prosperowała. Katherine przypomniała sobie, jak Craig i Carl musieli zwalniać pracowników, bo nie mieli dla nich pracy, i gdy teraz słuchała o dalekosiężnych planach Dereka, doszła do wniosku,

że on żyje w innym świecie i problemy zwykłych ludzi po prostu dla niego nie istnieją.

Ale ludzie w ogóle zdawali się nie wywierać na nim żadnego wrażenia. Zwracali się do niego z poważaniem, często z głębokim szacunkiem, niektórzy nadskakiwali mu, inni dzielili się z nim rozmaitymi informacjami. Derek natomiast zachowywał się tak samo w stosunku do wszystkich. Powściągliwy, pełen rezerwy, kostyczny był uosobieniem władzy przykrytej płaszczykiem towarzyskiej ogłady i wydał się Katherine tak niedostępny i władczy jak nikt, kogo znała do tej pory.

— A teraz porozmawiajmy o tobie — powiedział do Katherine odwracając się do niej i ignorując resztę gości przy stole. — Chciałbym wiedzieć, co z projektowaniem biżuterii. Chodzisz na jakiś kurs?

Katherine udzieliła mu bardzo zwięzłej odpowiedzi, bo nie miała ochoty mówić o swojej pracy. Derek jednak tak długo drażył temat, aż opisała mu kilka ze swych szkiców.

— Chciałbym je zobaczyć — powiedział. Katherine potrząsnęła głową.

— Na razie nie znalazłam jeszcze własnego stylu.

— A co myślisz o tym? — spytał wskazując kobietę, której szyję ozdabiał naszyjnik z diamentów połyskujących przy każdym ruchu.

Przez chwilę Katherine się jej przyglądała.

— Wygląda jak latarnia morska ostrzegająca, by zbytnio się do niej nie zbliżać.

Obojętne spojrzenie Dereka spoczęło na Katherine tak jak wtedy na pikniku.

— Czasami potrafisz człowieka zadziwić — stwierdził. — I nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Zarumieniła się i od razu przycichła, w obawie że powie coś, co nie będzie zadziwiające. Po chwili Derek spytał ją o jakiś drobiazg dotyczący „Heatha” i przez resztę wieczoru rozmowa toczyła się gładko. Ale cały czas Katherine czuła, że on patrzy na nią tak poufale i tak pochłonięty jej osobą, jakby byli zupełnie sami. Przyjęcie dla trzystu osób przekształcił w wieczór dla dwojga.

Kiedy odwoził ją do domu, uświadomiła sobie, że nie zrobił żadnej uwagi na temat jej ubrania; zdawał się nawet w ogóle nie zwracać na nie uwagi. Sam jednak ubrany był bardzo elegancko.

Nie mógł więc nie dostrzec jej stroju. Będę musiała coś z tym zrobić, pomyślała, jeśli jeszcze się z nim spotkam.

— Zadzwoń do ciebie — powiedział, kiedy otwierała drzwi wejściowe. Wziął ją za rękę i pocałował w czoło. — Dziękuję, że poszłaś ze mną. Nawet nie myślałem, że wieczór w muzeum może być taki przyjemny.

Uśmiechała się patrząc, jak Derek wsiada do samochodu, uśmiechała się też wchodząc do mieszkania. Zastała tam Annie przykładającą palec do ust. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

— O co chodzi? Co się stało?

— Pewnie nic — szepnęła Annie. — Ale pomyślałam, że może wolałaby pani zobaczyć to, kiedy dzieci nie ma w pobliżu. — Podała Katherine kopertę. — To list z Kanady.

Serce Katherine zamarło. Na kopercie nie było adresu zwrotnego, a stempel pocztowy był zamazany. Nie, nie był; tylko oczy zaszły jej łzami. Zamrugła i odczytała nazwę nieznanego miejscowości w prowincji Saskatchewan. Co Craig robił w...

Annie poszła już do siebie. W salonie było pusto. Craig, Craig, Craig. Serce jej waliło, kiedy rozdzierała kopertę, by wyjąć kartkę papieru. Ale kartka była pusta. Nie było na niej ani słowa. Tylko coś wypadło na podłogę, gdy ją rozkładała. Schyliła się, żeby to podnieść. W ręku trzymała pięćset dolarów w nowiutkich studolarowych banknotach.

Rozdział ósmy

Ręka Victorii zdrząła, gdy nalewała herbatę.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała. Pieniądze leżały pomiędzy nimi na stoliku obok srebrnej tacy. Wzrok Katherine prześlizgnął po banknotach, gdy odbierała z ręki Victorii filiżankę. Przez trzy dni ten zwitek spoczywał na jej stole do pracy i pochłaniał całą jej uwagę. Próbowwała wyjaśnić dzieciom, co znaczą te pieniądze; mówiła im, że Craig ma się dobrze i wie, gdzie mieszkają, że z jakiegoś powodu nie może do nich wrócić, ale pragnie im pomóc i dlatego przysłał pieniądze. Nie było to zadowalające wyjaśnienie, ale nic lepszego nie potrafiła wymyślić. A potem, w piątek rano, gdy jedli śniadanie, zadzwoniła Victoria i zaprosiła ją na popołudniową herbatkę, a Katherine odruchowo włożyła pieniądze do portfela. Gdy tylko usiadły z Victorią przy stoliku, pokazała jej zwitek banknotów i opowiedziała, co się wydarzyło.

W ciszy zalanego słońcem pokoju Victoria westchnęła obracając w palcach pieniądze, jakby szukała na nich jakiejś wiadomości. Katherine obserwowała ją. Starsza pani siedziała wyprostowana w garsonce koloru burgunda z delikatnej welenki, a jej siwe kręcone włosy przycięte były na kształt czapeczki — wyglądała wyniośle

i niedostępnie niczym cesarzowa. Od czasu do czasu swą wypielegnowaną dłonią dotykała antycznego wisiora na złotym łańcuszku, ale poza tym siedziała nieruchomo jak posąg. W jej obecności chyba nawet bardziej niż przy kobietach na wystawie sztuki peruwiańskiej Katherine czuła się jak biedaczka i niezdara.

Gdy Victoria przyglądała się banknotom, twarz miała ściągniętą, a żyłka na jej szyi naprężyła się. Katherine odwróciła wzrok podziwiając pokój — był rozświetlony słonecznym blaskiem, a białe wiklinowe meble odcinały się jasno na tle ciemnozielonych fikusów, winorośli i rozłożystych, okrytych kwiatami roślin. Wszędzie widać tu było przepiękne pamiątki z licznych podróży Victorii — figurki ptaków z Meksyku, brązowy koń z Cejlonu, Japonki z jadeitu, hebanowe maski z Afryki. Pokój był śliczny, tak piękny i wytworny jak sama Victoria, ale sprawiał wrażenie miejsca, w którym brak kogoś, kto wniósłby w nie isierkę życia.

Victoria ponownie westchnęła.

— Mógł je przysłać jakiś przyjaciel.

— Nie. — Katherine patrzyła, jak Victoria ostrożnie kładzie pieniądze na stoliku. — Pochodzą od Craiga. Nie znam nikogo w tej miejscowości ani... — uśmiechnęła się lekko — ...w ogóle gdziekolwiek indziej, kto przysłałby nam pięćset dolarów, nie podając swego nazwiska. Nie wydaje się pani zdziwiona — dodała. — Ani zadowolona.

Victoria wzięła do ręki srebrny dzbanek i dołała herbaty do filiżanek.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — spytała ponownie, jakby nie słyszała komentarza.

— Czekać — odparła Katherine przygnębiona. Nie ma co spodziewać się w tym domu odpowiedzi, pomyślała. Ani pomocy. — Zawiadomiłam policję w Vancouver, a oni współpracują z policją w Saskatchewan...

— Miałam na myśli ciebie — dodała Victoria. — Teraz wiesz już, że nie jesteś wdową.

— Nigdy nie myślałam, że owdowiałam — odcięła się Katherine.

— Proszę cię — odezwała się chłodno Victoria. — Nie musisz podnosić głosu.

— Przepraszam — odrzekła odruchowo Katherine. Była bardzo rozdrażniona. Przymykała sobie, że nigdy więcej nie przyjdzie do

tego domu, a oto siedziała tu równie onieśmielona jak za pierwszym razem i jeszcze pogarszała sytuację niegrzecznie odpowiadając Victorii. — Przepraszam — powtórzyła i spokojnym głosem dodała: — Poczekam, aż Craig wróci.

Victoria znów sięgnęła ręką do swego wisiorka.

— Skoro mamy pewność, że żyje, można by powiedzieć, że my też czekamy na niego. Po tylu latach. Ale najwyraźniej Craig nie ma zamiaru do nas wracać. Wymazał nas już ze swojego życia.

Katherine skrzywiła się z bólu. Nas też wymazał ze swego życia. Popatrzyła na zwitek banknotów, żeby pozbyć się wątpliwości. Nie, nie zrobił tego. Przysłał nam pieniądze.

Victoria poruszyła się na krześle.

— Zaprosiłam cię tu, bo chciałam cię bliżej poznać. I zrobiłam to chyba jako ostatnia w rodzinie.

— Była pani na mnie zła, bo zachowałam się bardzo niegrzecznie. Przepraszam za tamten wieczór.

— I słusznie jest ci przykro. Jesteś agresywna w stosunku do ludzi, Katherine. A jednocześnie odsuwasz się od nich. Jesteś dość narwana. Musisz nauczyć się panować nad sobą. A gdybyś jeszcze przywykła do siedzenia prosto, wyglądałabyś jak kobieta, która się ceni, a nie jak skulona ze strachu mysz.

Na twarzy Katherine pojawił się uśmiech, ale Victoria go nie odwzajemniła. Nieśmiało wyprostowała więc plecy i ściągnęła ramiona. Głowę uniosła wyżej i jej spojrzenie napotkało wzrok Victorii.

— Teraz jest dużo lepiej. Jeśli wszystkiego uczysz się równie szybko, to świetnie dasz sobie radę w życiu. Ale wracajmy do tematu. Z tego, co słyszałam, z każdym z rodziny byłaś już na lunchu albo na koktajlu, a nawet — i to jest zupełnie niecodzienne zjawisko — na pikniku. Co o nas myślisz?

— Wydaje mi się, że czegoś ode mnie chcecie — odparła Katherine. — Każdy czego innego.

— Co poza tym?

— Nie zachowujecie się jak rodzina. Victoria dołała herbaty do filiżanek.

— Zjedz kawałek ciasta, moja droga; jesteś bardzo szczupła. Dlaczego twoim zdaniem nie zachowujemy się jak rodzina?

— Niezbyt się nawzajem lubicie.

Victoria zaśmiała się.

— To samo można powiedzieć o wielu rodzinach, Catherine. Ale niektórzy z nas naprawdę się lubią. I to bardzo. — Sącząc herbatę Victoria popatrzyła na srebrzący się na niebie samolot. — Może zresztą trochę przesadzasz. Może wydaje ci się, że my się nie lubimy, dlatego że ty nie lubisz nas.

— Ależ skąd! — Dlaczego Haywardowie każdą rozmowę przekształcają w spór, pomyślała i poruszyła neutralny temat. — Widziałam wystawę sztuki peruwiańskiej, jest cudowna.

Wreszcie Victoria uśmiechnęła się.

— Prawda, że piękna? Nie mogłam przyjść na otwarcie, ale słyszałam, że byłaś tam z Derekiem.

W tej rodzinie nie istnieją neutralne tematy, pomyślała.

— Derek mówił pani o tym?

— Derek niczego mi o sobie nie mówi. Moi przyjaciele opowiadali mi o kobiecie, która mu towarzyszyła. Nie mogłam nie rozpoznać w niej siebie.

— Czy ci przyjaciele dziwili się, że Derek był tam ze mną? Na twarzy Victorii znów pojawił się uśmiech.

— Rzeczywiście, byli nieco zaintrygowani.,, tak, Polk?

— Dzwoni pan Derek Hayward, proszę pani — obwieścił lokaj.

— Usłyszał, że o mm rozmawiamy. Powinnyśmy były go skrytykować. — Podnosząc słuchawkę Victoria miała minę rozbawionej dziewczynki, a Katherine tak była tym zaskoczona, że aż się roześmiała. — Słucham — powiedziała Victoria do słuchawki, gestem zachęcając Katherine do poczęstowania się ciastem.

Katherine zjadła kawałek, potem jeszcze jeden i uświadomiła sobie, że jest głodna jak wilk. Wkrótce Jennifer i Todd zasiądą do kolacji razem z Annie. Po posiłku zabrają się do lekcji, a Annie, zostawiając drzwi otwarte, pójdzie do swego mieszkania po przeciwnej stronie korytarza i też zajmie się nauką. A więc wszystko w porządku. Gdyby nie to, że umiera z głodu, wcale nie musiałyby spieszyć się do domu. Właściwie Victoria mogłaby zaprosić ją na kolację zamiast na popołudniową herbatę. Chyba że zanim ponownie usiądzie z nią do stołu, chce się jej dobrze przyjrzeć i zapoznać ją z obowiązującymi zasadami. Jak choćby tą, żeby siedzieć prosto. I nie być agresywną. I nie odsuwać się od ludzi.

— Odniosłam inne wrażenie — powiedziała Victoria. — Ale może masz rację. Katherine zauważyła, że rozmawiając z Derekiem Victoria mówi innym tonem — głos miała poważny, nawet pełen szacunku. Zdaniem Katherine powinna być raczej bezpośrednia i na luzie. Ale, jak wspomniał Claude, to Derek był głową rodziny. Został nią jakby mimochodem.

— Tak — odparła Victoria. — Ale może lepiej, żeby sama ci to powiedziała. Akurat jest u mnie... oczywiście, że możesz. — Podała Katherine słuchawkę.

Katherine ledwie zdążyła się przywitać, a już Derek zapytał:

— Miałaś wiadomość od Craiga?

— Przysłał mi trochę pieniędzy.

— A wyjaśnił coś?

— Nic.

— Ale co napisał?

— Nie było żadnego listu. W ogóle nic. Tylko pieniądze.

— Nie było listu. A więc przekaz pieniężny?

— Nie. Po prostu pięć studolarowych banknotów.

— Chryste! — Derek milczał przez chwilę. — A gdzie nadano tę przesyłkę?

— W jakimś małym miasteczku w Saskatchewan. Nigdy o nim nie słyszałam.

— Domyślałam się, że powiadomiłaś tamtejszą policję?

— Zadzwoiłam na komendę w Vancouver. Ich zdaniem jeśli pieniądze zostają przesłane gotówką, nie da się dotrzeć do adresata, ale wyślą zdjęcie Craiga na policję w Saskatchewan; tamci sprawdzą, czy ktoś go widział.

— A skąd Craig wiedział, gdzie jesteś?

— Nie mam pojęcia. Sama chciałabym to wiedzieć. Derek znów milczał przez chwilę.

— To niewiele. Ale trzeba od czegoś zacząć. — Chcąc jakby otrząsnąć się z zamyślenia, dodał: — Zamierzałem zadzwonić do ciebie dziś wieczorem. Jutro po południu wybieram się obejrzeć winnice w Napa. Masz ochotę na wspólną wycieczkę?

— Do winnicy?

— Mam udziały w kilku. Wprawdzie zbiory już się skończyły, ale wciąż mogłabyś zobaczyć, jak się robi wino. A może już widziałaś?

— Nic. I bardzo chciałabym zobaczyć. Czy moglibyśmy zabrać Jennifer i Todda? Nigdy nie widzieli winnicy.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Naprawdę myślisz, że podobałaby im się taka wycieczka? Na wieczór zaplanowałem kolację. Wrócimy późno, dla nich chyba nawet za późno.

— Może masz rację. — Idiotka ze mnie, pomyślała. Rodzinne wyprawy to nie w stylu Dereka. — Muszę się zastanowić i dam ci znać. Dobrze?

— Zadzwoń wieczorem — odparł obojętnie. — Może około jedenastej. Chyba, że to zbyt późno.

— Nie, w porządku.

— Kiedy się pożegnała i odłożyła słuchawkę, zobaczyła, że Victoria patrzy na nią figlarnie.

— Domyślałam się, że Derek nie był zachwycony perspektywą zabawiania twoich dzieci.

— Powinnam była mu odmówić. Tylko w weekendy mogę więcej czasu spędzić z dziećmi.

— Ale Derek jest atrakcyjnym mężczyzną.

— Nie, skąd. — Katherine zdenerwowała się. — To znaczy, oczywiście, jest atrakcyjny, ale ja jestem mężatką. Nie szukam... Szukam tylko przyjaciół.

— Craig cię zawiódł. — Ostry głos Victorii kontrastował z ciepłym światłem wieczoru. — Wszystkich nas zawiódł. Pamiętam... — dodała z zadumą — ...to było dawno temu, ale miałam zwyczaj liczyć wszystkich członków rodziny, żeby upewnić się, że nikt się gdzieś nie zapodział. Zwłaszcza kiedy nocą zrywała się burza, przypominałam sobie, gdzie kto akurat jest. Naturalnie rzadko wiedziałam dokładnie gdzie, ale kiedy to ustaliłam, kiedy miałam pewność, że nikomu nic się nie stało albo że przynajmniej ma jakiś dach nad głową, czułam się znacznie lepiej.

Katherine zdziwiła się i powiedziała:

— Robiłam to samo, gdy Craig był w delegacji albo dzieci spały u przyjaciół.

— No właśnie. A więc Craig znalazł sobie inną kobietę, by martwiła się o jego bezpieczeństwo w czasie burzy. Może dzięki temu łatwiej było mu o nas zapomnieć. On wiedział, że lubiłam mieć pewność, gdzie kto jest i że nic nikomu nie grozi. A jednak

pozwolił nam myśleć, że nie żyje, pozwolił, byśmy go opłakiwali, i nic go to nie obchodziło.

Oczami duszy Katherine zobaczyła Craiga z otwartą gazetą na kolanach, spokojnie wpatrującego się w przestrzeń — zupełnie jakby naprawdę siedział w wiklinowym fotelu Victorii. Często widywała go w takiej pozycji, zwłaszcza wieczorami; gdy po zmyciu naczyń po kolacji wchodziła do salonu, zastawała Craiga wpatrzonego w okno, za którym nic nie było widać. Teraz wiedziała, że spoglądał wtedy w przeszłość — na rodzinę, od której odszedł.

— Obchodziło — powiedziała. — Nie był zbyt szczęśliwy.

— Wystarczająco szczęśliwy, żeby zostać tam, gdzie był — odparła Victoria z nutą szyderstwa w głosie. — Szczęśliwy na tyle, żeby zapomnieć o istnieniu telefonu, telegrafu, poczty... samolotów do San Francisco.

— Ale nie na tyle szczęśliwy, żeby chcieć porozmawiać ze mną. — Katherine powiedziała to powoli i z dużym przejęciem, bo po wielu latach po raz pierwszy się do czegoś takiego przyznała. — On nigdy nie mówił o swoich uczuciach. O wielu rzeczach nie rozmawialiśmy... dzieliły nas przemilczane sprawy. Kiedyś powiedziałam, że sprawia wrażenie, jakby coś nie dawało mu spokoju, i potem zrobił się jeszcze bardziej zamknięty w sobie. Teraz wiem dlaczego, ale przez te wszystkie lata nie miałam o tym pojęcia. Wiedziałam tylko, że go kocham, a on nie chce ze mną rozmawiać, odwraca się ode mnie i nie dopuszcza do swoich przeżyć...

Oczy Katherine wypełniły się łzami.

— Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, nawet sama przed sobą nie chciałam się przyznać, że... dzieliło nas to zimne milczenie, że nie mogłam dotrzeć do własnego męża... nie, nie jestem pewna, czy to prawda. Może... może za mało się starałam. — Zmarszczyła czoło, czując na sobie uważny wzrok Victorii. — Chyba nie starałam się. Nie wiem dlaczego. Czekałam, aż się zmieni, aż sam do mnie przyjdzie i podzieli się ze mną swymi problemami... Pewnie powinnam była zachęcić go do rozmowy; jasne, że powinnam była to zrobić. Teraz to wydaje się takie oczywiste, ale mieliśmy wiele wspólnych radości i pewnie bałam się, że mogłabym zniszczyć to szczęście... A bariera, która nas dzieliła, coraz bardziej narastała i Craig wciąż był skryty... gdyby pani wiedziała, jak ja nienawidziłam tych jego sekretów...

Rozpłakała się. Victoria szybko obeszła stolik, stanęła obok Katherine i najpierw położyła jej rękę na głowie, a potem zaczęła ją gładzić po włosach. Delikatnie ucałowała ją w policzek.

— O tylu rzeczach musimy porozmawiać, kochanie. Tak długo czekałam, żeby móc porozmawiać...

— Z Craigiem? — Czując dłoń Victorii na swych włosach i jej policzek na swojej twarzy, poczuła przyjemny spokój i przestała płakać. — Brakowało pani Craiga?

— O nie — odparła cicho. — Przez tych piętnaście lat tęskniłam za rozmowami z Jennifer.

Ross wyłączył rzutnik i zapalił światło. Siedzący przy kwadratowym stole mężczyźni zamrugali porażeni nagłą jasnością i sięgnęli po ołówki i pióra; Ross tymczasem rozłożył duży rysunek, przyciskając zwijające się brzegi dzbankiem na wodę i trzema szklankami. Kiedy rozpoczął prelekcję, głos miał swobodny i rozluźniony. Ktoś nie znający sytuacji nigdy by się nie domyślił, że po czterech latach planowania, projektowania i negocjowania Ross wkroczył właśnie w ostatni etap przygotowań zmierzających do realizacji największego projektu jego życia.

— Przykro mi, że będę się powtarzał — zaczął. — Niektórzy z państwa dobrze już znają szczegóły...

— Ależ słuchamy, słuchamy — przerwał jeden z siedzących pod ścianą mężczyzn, którzy pracowali nad projektem BayBridge Plaża. — Wyjaśnięć nigdy nie za wiele, kiedy trzeba wyłożyć trzysta milionów dolarów.

Po twarzy Rossa przemknął wymuszony uśmiech, a reszta sali roześmiała się. Ostatnie dwa lata upłynęły właśnie na wyjaśnieniach — wszyscy uważali wtedy, że nie dość szczegółowo omówili projekt. Dotyczyło to zwłaszcza siedzących przy stole przedstawicieli burmistrza, Komisji Planowania, Rady Okręgowej, Stowarzyszenia Obywateli na rzecz Planowania Ekologicznego, Departamentu Budownictwa i kilku innych instytucji, którzy teraz patrzyli usatysfakcjonowani na Rossa i gotowi byli w końcu wyrazić zgodę na realizację projektu mającego zmienić wygląd dzielnicy o nazwie South of Market. Biorąc do ręki wskaźnik, Ross zastanawiał się, który z nich w ostatniej chwili wyrazi sprzeciw. Spodziewał się tego, bo nieraz już przez to przeszedł.

— Zdjęcia Quincy Market w Bostonie, Harborplace w Baltimore, Society Hill w Filadelfii i South Street Seaport Development w Nowym Jorku pokazałem ponownie dlatego, że przedstawiają rezultat pracy naszych poprzedników. Zawsze kiedy zagłębiamy się w rozważania i dyskusje na temat przepisów, pomaga świadomość, że inni też przez to przeszli, a nawet przeżyli.

Zgromadzeni przy stole ludzie znów wybuchnęli śmiechem.

— Będę się streszczał...

Ross zaczął mówić o projekcie, pomijając związane z nim subiektywne odczucia. Nie wspominał o tym, jak bardzo zapalił się do pracy, kiedy przed czterema laty planiści wybrali właśnie jego ze wszystkich architektów i powierzyli mu przygotowanie ogromnego przedsięwzięcia. Ani o swej frustracji spowodowanej ciągłym opóźnianiem prac („Małostkowość ludzka — powtarzał mu Tobiasz — rośnie tym bardziej, im większe pieniądze wchodzi w grę. Zwróć uwagę, że z jednej strony nie są w stanie wyobrazić sobie, że coś może kosztować milion dolarów, a z drugiej potrafią sprzeczać się, czy zakupić kontakt elektryczny za cztery czy za pięć dolarów!"). Nie powiedział też o tym, jak konieczność gwałtownego powiększenia firmy z piętnastu do osiemdziesięciu pięciu pracowników niezbędnych do uporania się z nawałem pracy przyprawiała go o taki stres, że budził się w nocy zlany potem. Ani o tym, że chwile tworzenia projektu, o jakim marzył, odkąd został architektem, stanowiły dla niego najprawdziwszą radość, w której potrafił się zatracić.

Na temat tych emocji nie padło ani jedno słowo w rzeczowej relacji Rossa, który wodząc wskaźnikiem po mapie czterdziesto ak-rowego terenu wyjaśniał, gdzie powstanie aleja ze sklepami, teatrami i restauracjami, i że trzydzieści pięć budynków zostanie wyburzonych, dwadzieścia pięć odrestaurowanych, dwanaście zbudowanych na nowo.

— Ponieważ żaden budynek nie będzie miał więcej niż osiem pięter, a niewielkie otwarte przestrzenie spoją w jedno tereny mieszkalne z centrum handlowym i urzędami, BayBridge upodobni się do małego miasteczka. — Zrobił krótką przerwę, bo przypomniał sobie, kto pierwszy określił tak BayBridge — Katherine w czasie ich wspólnego lunchu. — Stanie się ogniwem w łańcuchu małych miasteczek tworzących miasto — ciągnął wciąż powtarzając słowa Katherine. — A jednocześnie będzie odległe zaledwie o parę

kroków od handlowej ulicy Market Street i od Civic Centre, od przystanków autobusowych i dwóch stacji BART-a. Innymi słowy, to miejsce dla ludzi...

— Tak, ale co z ludźmi, którzy tam mieszkają — przerwał Ted Taylor poprawiając wciąż spadające mu z nosa okulary. Był przedstawicielem stowarzyszenia South of Market Neighbourhood i od chwili, kiedy dwa lata temu wybrano go na to stanowisko, cieszył się pełnią życia i władzą pozwalającą mu jednym słowem sprzeciwu czy nawet kiwnięciem palca zastopować projekt wart wiele milionów dolarów. Taylor żałował, że negocjacje dobiegają już końca; nieczęsto przecież tacy jak on zwyczajni śmiertelnicy mogą robić uwagi rządowym urzędnikom, bankierom i prowadzącym wielkie firmy biznesmenom. — Co się stanie z tymi ludźmi? Przecież mieszkają tam i pracują, a wy zamierzacie ich po prostu wyrzucić i zacząć prace budowlane?

— Omawialiśmy tę sprawę w zeszłym miesiącu — odparł cierpliwie Ross. — Wciąż mieszka tam dwudziestu ośmiu dzierżawców i dziewięćdziesięciu czterech lokatorów; ich dzierżawy wygasły przed miesiącem, ale przedłużyliśmy je o pół roku do kwietnia i pomagamy im znaleźć nowe domy. Kiedy to uzgadnialiśmy, nie protestował pan. Czy teraz ma pan inny pogląd na tę sprawę?

— Nie — powiedział z żalem.

Jednego mam z głowy, pomyślał Ross. Jeśli pozostali też oświadczą, że wyrażają zgodę...

— Przedstawię państwu kilka wykresów — kontynuował Ross rozwieszając na ścianie duży karton niczym ekran do projekcji filmów. — Po ukończeniu prac w BayBridge stanie sześćset domów, w których zamieszka około tysiąca pięciuset osób. Stworzone będzie dwa i pół tysiąca miejsc pracy w stu czterdziestu placówkach handlowych i następne dwa tysiące w biurach i sektorze usługowym. Przy budowie BayBridge znajdzie zatrudnienie tysiąc osób. Dochód z podatków od nieruchomości i obrotu towarami wzrośnie tak jak to pokazano na tym wykresie...

Ross rozłożył kolejną planszę. Dyrektor do spraw planowania pokiwał głową na znak, że dobrze orientuje się w omawianych szczegółach.

— To duży plus tego projektu i jeden z powodów, dla których BayBridge tak bardzo nam się podoba — powiedział.

A więc dwóch mam już z głowy, pomyślał Ross i ostrzegł się w duchu, by nie okazywać teraz zniecierpliwienia.

Tak naprawdę do realizacji projektu BayBridge przystąpiono z chwilą, gdy planiści zaczęli wykupywać tereny. Potem wybrali Rossa, zlecając mu przygotowanie planów zabudowy na obszarze czterdziestu akrów, i wynajęli firmę konsultingową, by oceniła te plany. Kiedy konsultanci zaaprobowali projekt, planiści wykupili resztę terenu, działka po działce, co zajęło im półtora roku. Następnie zgromadzili trzysta milionów dolarów na realizację projektu i zaczęli starać się o akceptację różnych agend rządowych. Rozpoczęli też poszukiwania dzierżawców sklepów i budynków biurowych.

Dwa lata później planiści podpisali z Rossem kontrakt na wykonanie szczegółowych planów architektonicznych całego kompleksu. Wtedy to Ross przeniósł się do nowego biura, w którym dość było miejsca dla sześciokrotnie większej liczby architektów, inżynierów, rysowników i informatyków.

Ostatnim etapem było wybranie wykonawcy. Jeden z planistów, Brock Galvez, krzepki, energiczny człowiek, który zwykł mówić o sobie, że dorobił się ogromnego majątku „pracą, modlitwą i szczęśliwym zrządzeniem losu, za którego sprawą jego nowo kupiona farma w Meksyku okazała się pływać po morzu ropy”, walczył o przyznanie kontraktu Hayward Corporation, lecz pozostali planiści sprzeciwiali się temu. „Ta firma należy do rodziny Rossa — mówili. — To tak jakbyśmy sami wystawiali się na ataki środków masowego przekazu, które nie omieszkają nas oskarżyć o nepotyzm.”

Ross nie brał udziału w tych sprzeczkach. Nikt go nie pytał, czy chciałby pracować ze swoim bratem, a gdy w końcu wybrano inną firmę i Ross zdawał się usatysfakcjonowany, wszyscy myśleli, że pogodził się z tym faktem. Nikomu nie przyszło do głowy, że Ross wcale nie miał ochoty pracować z Derekiem. I chociaż BayBridge był w San Fransisco projektem roku, Derek nigdy nie poprosił brata o pomoc w zdobyciu tego kontraktu. Wszystko odbyło się uczciwie.

Ale zebranie kompletu niezbędnych podpisów tak bardzo się przeciągało, że czasem Ross myślał, iż projekt nigdy nie zostanie zrealizowany.

— A tak wyglądają ostateczne poprawki, o które państwo prosiliście — oświadczył odwracając się od wykresów. Chcecie się targować, to macie, doda! w myśli, lecz bez cienia złośliwości. Każdy czegoś się obawia i każdy chce czuć, że ma na coś wpływ. Lokatorzy obawiają się wyższych czynszów i podatków, które na pewno pójda w górę, gdy podwyższymy standard tych terenów, więc uwzględniliśmy w projekcie basen publiczny. Komitet Ochrony Zabytków martwi się, czy renowacja zostanie przeprowadzona prawidłowo, więc dajemy im szczegółowy wykaz środków, które mają być w tym celu użyte. Drobnii handlowcy obawiają się konkurencji ze strony głównego centrum handlowego, które może im odebrać klientów, dlatego zaoferowano im lokale przy głównej ulicy i to po obniżonej cenie wynajmu przez pierwszych pięć lat. I tak dalej... —Prosiliście też o włączenie do projektu dodatkowego parkingu.

Prawdę mówiąc wszyscy na to nalegali, gdyż Ross chciał zamknąć dla ruchu część ulicy, która przecinałaby jeden z największych parków. Zastanawiał się, dlaczego ulice w mieście otaczane są niemal taką czcią jak katedry czy macierzyństwo. Siedem miesięcy zabrało mu uzyskanie pozwolenia na zamknięcie tej ulicy, lecz w zamian musiał zwiększyć ilość miejsc do parkowania.

— Zmieści się tu pięćdziesiąt pięć samochodów — wyjaśniał Ross. — Jednakże żeby zbudować ten parking, musieliśmy zrezygnować z baru przekąskowego, który miał być usytuowany tuż przy terenach rekreacyjnych...

— Odebraliście ludziom jedzenie, żeby zrobić miejsce dla samochodów? — spytał ktoś z niedowierzaniem.

Ross przytaknął i dodał dyplomatycznie:

— Wiadomo mi jednak, że kilku sprzedawców ubiega się o licencje na kioski z przekąskami, które stanęłyby przy głównej alei i w parku. — Zauważył, że wszyscy robią notatki. — Uwzględniając inne prośby zredukowaliśmy liczbę lokali klimatyzowanych i ogrzewanie centralne, wprawiając we wszystkich południowych oknach szkło pochłaniające energię słoneczną. Poza tym zgodnie z nowymi przepisami dotyczącymi zabezpieczenia przed skutkami trzęsienia ziemi wzmocniliśmy konstrukcję budynku numer dwadzieścia osiem. Jeśli chodzi o pozostałe budynki...

Ross wyjaśniał dalej — czuł, że każde słowo nie wzbudzające

niczyjej krytyki przybliża go do celu. Już prawie go osiągnąłem, myślał ciesząc się w duchu, choć głos miał spokojny i swobodny. Jestem już prawie u celu.

— A gdzie się podziała świetlica? — Młody mężczyzna, który bez przerwy notował, podniósł na chwilę wzrok znad kartki. — Zdaje mi się, że miała być na terenach rekreacyjnych koło sali gimnastycznej.

— A niech to diabli — narzekał ciemnowłosy przedsiębiorca po przeciwnej stronie stołu. — Przecież już to omawialiśmy. Obcięto dotacje rządowe. Jak tylko znajdą się pieniądze, powstanie świetlica.

— A kto stara się o pieniądze? — dociekał młody człowiek.

— Ja — odezwał się ktoś spośród siedzących pod ścianą inwestorów. — A ściśle mówiąc ktoś z mojego biura. Pracujemy nad tą sprawą. Jeśli ciekawi pana, czym się zajmujemy, to zapraszam do nas w każdej chwili.

— Na pewno przyjdę — zapewnił młody człowiek i znów coś zanotował w swym poliniowanym notesie.

— Cóż, podoba mi się ten projekt. — Przedstawiciel burmistrza wstał podciągając spodnie. — Ciekawie pomyślany, widać w nim dbałość o człowieka. Jest w zgodzie z naturą. Nasze biuro już go zaakceptowało i naprawdę nie wiem, po co, u diabła, czepiamy się szczegółów. Przecież wiemy, co robimy. Czy ktoś ma inne zdanie?

Nikt się nie odezwał. Rozmowa zeszła więc na temat harmonogramu i terminów i włączyli się do niej planiści. Brock Galvez powiedział, że rozpoczną prace w ciągu trzech miesięcy od zebrania wszystkich podpisów. Rossa ogarnęła szalona radość. Osiągnąłem cel, pomyślał. GaWez promieniał.

— Nie więcej jak trzy miesiące — mówił. — Już wystarczająco długo czekaliśmy. Baltimore, Filadelfia i Nowy Jork będą się mogły przy nas schować... Cała Ameryka dowie się o naszym osiedlu. Nigdy nie widziałem tak dobrego projektu.

Wszyscy stali i rozmawiali, jakby nie mieli ochoty wrócić do swoich zajęć. Ross, zupełnie już odprężony, gawędził z otaczającymi go ludźmi czując, jak rozpiera go radość. Po raz pierwszy miał zostać zrealizowany projekt, o którym marzył, projekt zakrojony na tak szeroką skalę, że przeobrazi część miasta. I nikt nie scharakteryzował go lepiej niż wychodzący już z sali przedstawiciel burmistrza. „Jest w zgodzie z naturą. Dbłość o człowieka.” Po raz pierwszy... cieszył się Ross. To już nie marzenia na papierze. To rzeczywistość.

Rozwahał, czy nie pójść do pracy na godzinę lub dwie, ale chciał z kimś porozmawiać. Nagromadziło się we mnie zbyt wiele emocji, pomyślał. Nie wystarczy przeżyć coś wspaniałego — trzeba jeszcze z kimś się tym podzielić, żeby odczuć prawdziwą radość.

Zdecydował, że wpadnie do sklepu Mettlera, kum' Melanii jakiś prezent, a potem zabierze ją na kolację. Zrobią sobie małą uroczystość, obiecują być dla siebie bardziej wyrozumiali i wyobrażą sobie, że znów jest tak jak na początku, kiedy potrafiли ze sobą rozmawiać, śmiać się, kochać.

Zatrzymał się na Post Street tuż przed znakiem zakazującym parkowania i szybkim krokiem wszedł do przestronnego sklepu o łukowatym sklepieniu. Przyszło mu do głowy, że znajduje się zaledwie parę kroków od „Heatha”, więc mógłby wpaść do Katherine. Dawno już do niej nie dzwonił — tygodnie wypełnione pokonywaniem przeszkód dzielących projekt od realizacji mijały niepostrzeżenie. Wiedział, że ma się dobrze, bo wszyscy w rodzinie już się z nią widzieli i zdali relacje Victorii, która z kolei miała zwyczaj dzwonić do Rossa dwa razy w tygodniu i dzielić się z nim nowinkami. Derek oczywiście jak zwykle nikomu nic nie mówił, ale zabrał Katherine na wystawę sztuki peruwiańskiej. Fakt ten nieco rozzłościł Rossa — bo dlaczego niby Katherine spędziła wieczór z Derekiem?

To jej prywatna sprawa, powiedział sobie przeglądając zawartość eleganckich szklanych gablot i mahoniowych kasetek. Miał co innego na głowie. Chciał pojechać do domu, do Melanii. Przepelniała go tak wielka radość z odniesionego sukcesu, że miał wrażenie, iż wszystko inne też ułoży się dobrze. Zauważył, że sprzedawca przygląda mu się i czeka na właściwą chwilę, by zaoferować pomoc. Może kupię jej szpilkę, pomyślał Ross; Melania je lubi. A potem kolacja. W restauracji Erniego. Albo w Blue Fox. Może w L'Etoile. Gdziekolwiek zechce. Porozmawiamy o nas, zastanowimy się, co nas różni, i przestaniemy wreszcie podchodzić do siebie z tą ciągłą podejrzliwością, jak pies do jeża.

— Pan Hayward, prawda? — spytał sprzedawca. — Obsługiwałem pana, kiedy był pan u nas ostatnio. Co chciałby pan dzisiaj obejrzeć?

— Szafiry — odparł Ross. — Czy macie może oprawione w srebro czy tylko w złoto?

— Mamy podobny do tego w srebrze... no i te... — powiedział kładąc na ladzie dwie kasetki, ale Ross niecierpliwie wskazał jakiś drobiazg:

— Proszę to. Bardzo się spieszę, więc gdyby mógł pan wypisać...

— Chwileczkę, sir. — Sprzedawca ruszył pospiesznie w stronę kręconych schodków prowadzących do biura. — Potrzebuję niebieskiego pudełka — szepnął sekretarce Hermana Mettlera. — Dla pana Haywarda.

Dziewczyna przechyliła głowę.

— W biurze szefa.

Sprzedawca wszedł do gabinetu, znalazł właściwe pudełko i zawrócił do drzwi.

— Panna McAlister! — krzyknął widząc Leslie, która stała oparta o biurko. — Długo tu pani czeka?

— Chwilę — odparła. — Marc sprzecza się z pańskim szefem na temat ceny złota czy czegoś równie mocno pachnącego groszem. O którym panu Haywardzie tak pan szeptał?

— O Rossie Haywardzie.

— A mógłby mi go pan pokazać?

— To ten, któremu będę wypisywał rachunek.

Z galerii na górze Leslie przyjrzała się wskazanemu klientowi pamiętając, jak błyszczały oczy Katherine, gdy opowiadała o lunchu w Compass Rose. Nie dziwię się jej, pomyślała widząc uśmiech Rossa. Tylko że żonaty. Zawsze tak jest. Patrzyła, jak idzie do drzwi. Otrzymał jakieś wieści, dobre albo złe, i idzie właśnie do kogoś, żeby o tym opowiedzieć. Z prezentem na pojednanie w rękę.

— Co tak przykuło twoją uwagę? — zainteresował się Marc Landau zerkając zza jej ramienia. — Czy mimo odległości dostrzegłaś w tych gablotach jakiś drobiazg, bez którego nie możesz się obejść? — Zauważył, że Leslie patrzy na wychodzącego Rossa. — Chyba raczej mężczyznę.

— To znajomy mojej przyjaciółki — odparła spokojnie Leslie. — Skończyłeś?

— Tak. Gdzie chciałabyś wybrać się na drinka?

— W jakieś ciche miejsce. Miałam okropny dzień. Zbyt wiele kłopotów naraz.

Marc milczał prowadząc samochód w górę Nob Hill. W końcu ostrożnie zapytał:

— Powiedziałaś: kłopoty?

— Nie przejmuj się, nie będę zawracać ci głowy moimi problemami. Zresztą nawet gdyby cię obchodziły, to i tak nie mogę o nich mówić, bo to poufne sprawy.

Popatrzył na nią.

— „Heath” popadł w kłopoty?

— Chyba ja w nie popadłam.

— Ale skoro to poufne, to musi dotyczyć sklepu. — Zaparkował na podjeździe przed hotelem Mark Hopkins. — Możemy o tym porozmawiać przy szklaneczce czegoś mocniejszego.

— Wiesz, Marc — zaczęła wsuwając rękę pod jego ramię — jedną z najcenniejszych twoich zalet jest szczerość. Bardziej interesuje cię to, że sprawa jest poufna, niż moje kłopoty. Lepiej zmieńmy temat. Mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę? Mógłbyś pogadać z Hermanem, żeby wiosną wystawił prace Katherine? Wciąż biega na zajęcia, ale przydałoby jej się coś na zachętę. Chodzi tylko o kilka drobiazgów, nie żadną wielką kolekcję. No powiedz, porozmawiasz z nim?

Siedzieli przy stoliku pod oknem i Marc stukał w blat srebrną papierośnicą.

— Czy nigdy nie będzie końca przysługom, których potrzebuje ta młoda dama? Czy nie ma w niej ducha walki? Czy fakt, że jest kobietą, znaczy, iż ma dojść do sławy i bogactwa po ścieżce usłanej różami?

Leslie przyjrzała mu się badawczo.

— Nie mówisz tego poważnie.

— Nie. — Powoli wypuścił powietrze z płuc i Leslie zrozumiała, że powiedział dokładnie to, co miał na myśli, ale nie chciał kłócić się z nią teraz.

— Katherine nie wie, że cię o to proszę. I nie chcę, żeby się dowiedziała. Naprawdę, Marc. A jeśli Herman da jej jakąś gablotę w tym swoim marmurowym pałacu, to też niech nie mówi jej, że maczałam w tym palce.

— A więc zakładasz... Nieważne. Porozmawiam z nim i każę przysiąc, że będzie milczał. Czy taka jest twoja cena ze wieści na temat „Heatha”?

— Do jasnej cholery, Marc, jak możesz tak myśleć?

— Założę się, że mam rację — wyglądał na rozbawionego — skoro tak zareagowałaś. Tak czy owak pomogę tej twojej przyja-

cióleczce. Możesz więc opowiedzieć mi o swoim sklepie tylko dlatego, że cię o to proszę.

W dole za oknem San Francisco zaczynało rozbłyskiwać światłami, które rozpraszają zapadający zmrok. Leslie patrzyła w przestrzeń, popijała wino i biła się z myślami.

— Nie. Bardzo bym chciała, ale nie mogę. — Bo nie mogę ci zaufać, dodała w myśli. Byłoby cudownie, gdybym mogła. Byłoby cudownie, gdybyś choć spróbował przekonać mnie, że mogę ci zaufać. — Może innym razem. Opowiedz mi o Hermanie. Podpisał z nim jakiś nowy kontrakt?

Marc poddał się z godnością — Leslie lubiła go za to — i zaczął mówić o wiosennej kolekcji biżuterii, na którą podpisał umowę z Mettlerem. Leslie słuchała podziwiając zdolność przyjaciela do zajmowania się sztuką i interesami jednocześnie. Reszta wieczoru upłynęła w tak przyjemnym nastroju, jaki tylko Marc mógł stworzyć, gdy się o to postarał. A potem Leslie poczuła się bardzo zmęczona i chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i spokojnie zastanowić, o czym to w tajemnicy przed nią mogli rozmawiać pozostali wiceprezesi. Postanowiła więc zakończyć wieczór na kolacji i tym razem również Marc poddał się z godnością.

To miło, pomyślała, gdy została sama w swoim niebiesko-białym salonie z widokiem na port, miło mieć kogoś, kto niczego od ciebie nie żąda. Chociaż — zgasiła światło, nastawiła płytę z nastrojową muzyką i usiadła przy oknie, patrząc na niewyraźne kształty żaglówek kołyszących się przy molo — milej byłoby mieć kogoś, kto potrafiłby coś więcej niż tylko prosić i poddawać się z godnością. Miło byłoby mieć kogoś, kogo by obchodziła twoja osoba.

W sobotę po zwiedzaniu winnicy Katherine po raz pierwszy zjadła kolację z Derekiem — odkryła wówczas, że ustalił menu wcześniej, gdy rezerwował stolik.

— Dzięki temu nie potrzebujesz karty — oznajmił. — Właściwie nie możesz jej nawet dostać. O wszystko się zatroszczyłem.

— Chciałabym sama za siebie zapłacić — sprzeciwiła się. Derek uśmiechnął się.

— Zawsze płacę, kiedy zapraszam kobietę na kolację. Czy widzisz jakieś wyjście z tego impasu?

Dzień upłynął im cudownie — było gorąco, sucho, niebo bezchmurne, a w rozciągającej się między niskimi wzgórzami winnicy panowała taka cisza, że aż brzęczało w uszach. Leslie tymczasem zabrała dzieci do Exploratorium, więc cały dzień był dla Katherine szczególny: wolny od zmartwień, zupełnie inny od zwykłej codzienności. Nie chciała go zepsuć sprzecząc się o to, kto zapłaci za kolację. Dlatego uśmiechnęła się do Dereka i powiedziała wesoło:

— Ale skoro nie wolno mi zobaczyć menu, to skąd mam wiedzieć, co tracę?

— Możesz być pewna, że niczego nie tracisz.

Od tego wieczoru Derek dzwonił do Katherine dwa razy w tygodniu i zapraszał ją na kolację albo do klubu nocnego. Czterokrotnie zgodziła się obiecując sobie za każdym razem, że więcej tego nie zrobi; uważała, że wieczory powinna poświęcać dzieciom albo projektowaniu biżuterii i w ogóle nie powinna pozwalać sobie na rozrywki, skoro nie ma przy niej Craiga. Jednakże przyjmowała zaproszenia Dereka, bo w jego obecności mogła się zrelaksować nawet po całodziennym wysłuchiowaniu obelg Gila Listera i narzekań coraz bardziej niezadowolonych dzieci. Mimo iż nie rozumiała, dlaczego Derek szuka jej towarzystwa, umawiała się z nim, bo fascynowała ją jego władza i bogactwo, urok osobisty i uprzedzająca grzeczność oraz to, że dawał jej odczuć, iż znajduje się w centrum jego uwagi, przez co czuła się młoda i zupełnie wyjątkowa. Poza tym spotykała się z Derekiem dlatego, że bardzo jej brakowało towarzystwa mężczyzny, a żaden inny do niej nie dzwonił.

W dniu poprzedzającym wycieczkę do winnicy w Napa Leslie opowiedziała Katherine, że widziała Rossa, jak kupował u Mettlera srebrno-szafirową szpilkę z kolekcji Landaua.

— Niesłychanie przystojny mężczyzna; może ma trochę surową minę, ale gdy się uśmiechnie, nie sposób go zapomnieć. — Zastanowiła się. — Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

— Bo jest zajęty własnym życiem — odparła Katherine. — Zresztą co miałabym mu powiedzieć? „Chciałam dać ci znać, że czuję się dobrze, chociaż od dawna o to nie pytałeś; i że dzieci też mają się dobrze, choć i o to nie pytałeś; i że dostałam przesyłkę od Craiga, mimo iż to też cię nie obchodzi...” Prawdopodobnie wie to wszystko od swojej rodziny, a gdyby chciał ze mną porozmawiać,

to sam by zadzwonił. Nie widzę powodu, żebym miała do niego telefonować.

— Jeśli ja chcę do kogoś zadzwonić, to zawsze znajduję jakiś pretekst — stwierdziła Leslie.

— Nigdy nie telefonowałam do mężczyzny. A zresztą jestem mężatką.

— A co jedno z drugim ma wspólnego?

— Pewnie nic. — Roześmiały się. — Ale i tak nie zadzwonię. Tak więc miała tylko Dereka, który zapoznawał ją z nocnym życiem San Francisco.

— To mój ulubiony lokal — powiedział kiedyś, gdy wybrali się do marokańskiej restauracji „Marrakesz” o nastrojowym, przyćmionym oświetleniu. Siedzieli tam na niskiej sofie przy rzeźbionym stoliku z mosiądzu i jedli bardzo pikantny gulasz z kurczaka nakładając go na kawałki chleba, potem jagnięcinę z miodem i migdałami oraz kuskus z warzywami. Kiedy po głównym posiłku kelnerka umyła im ręce wodą różaną, rozsiadli się wygodnie popijając herbatę, pogryzając owoce i rozmawiając leniwym, ociężałym głosem ludzi, którzy zjedli zbyt wiele i wiedzą, że nie są w stanie ruszyć się z miejsca co najmniej przez godzinę.

Derek opowiadał Katherine o tych gościach w restauracji, których znał. Jeden był na utrzymaniu bogatej ciotki, żeby odrobić straty poniesione w jakiejś wymianie towarowej; inny miał kochankę w Cancun; jakaś kobieta pisała książki, ale to jej mąż, który cieszył się sławą w telewizji, znany był jako ich autor.

— A tam — Derek wskazał hałaśliwą grupkę w kącie — siedzi siedmiu krasnoludków. To jedna wielka szczęśliwa rodzina bankierów, którzy nawzajem dbają o swoje interesy. Odpowiednią sumką łagodzą gniew mężów, którzy złapią swoje żony w łóżku z kuzynem Naiwniaczkiem; kopią w kostkę kuzyna Śpioszka, kiedy na przyjęciu obraża gospodynię chrapiąc przy kolacji; wysyłają kuzyna Wścibskiego, żeby wywachał, co dzieje się u konkurentów z branży; kuzyn Doktor lekczy Zwisa, który jak się pewnie domyślasz po jego przezwisku, ma kłopoty seksualne...

— Żaden Zwis nie istnieje — śmiała się Katherine.

— To prawda. Tego typu problemy ma Grumpy, ale imię Zwis jest bardziej obrazowe. A tam za stolikiem krasnoludków siedzi inna grupka... — Wodząc wzrokiem po knajpce Derek kontynuował

swą kostyczną i wnikliwą analizę, która z jednej strony wprawiała Katherine w zażenowanie, a z drugiej intrygowała ją, bo wielu z tych ludzi było znanymi osobistościami, a ich zdjęcia widywała w rubrykach towarzyskich gazet.

— W mojej pracy muszę mieć z nimi do czynienia — odparł, gdy Katherine spytała, skąd zna aż tylu ludzi — i umieć ugłaskać. Oni decydują w sprawach, które dla mnie są ważne, jak na przykład pozwolenia na budowę, rozdział terenów mieszkalnych i handlowych w mieście, standardy w budownictwie, fundusze na budowę autostrad, kredyty bankowe, a tym wszystkim żyje nasza firma. — Rozejrzał się po sali. — To sami nudziarze, ale nie da się bez nich żyć. Nie ma tu akurat moich ulubionych postaci, spotkamy je innym razem w innych lokalach... — Przerwał obserwując parę, która zajęła stolik w przeciwnym krańcu sali. — To idiotyczne — mruknął. — Akurat tutaj...

Katherine podążyła za jego wzrokiem.

— To chyba Melania?

— We własnej osobie — potwierdził sucho.

— Ale z kim ona jest?

— Z młodym, nawet bardzo młodym, tenisistą z Mili Valley Country Club. Na dużą przynętę Melanii złapała się kijanka. Myślę, że czas już na nas. Chyba że masz ochotę na jeszcze jedną herbatę?

— Nie. Nie zmieści mi się już ani kropla. W dodatku przesiedzieliśmy tu chyba całą wieczność.

— Jeśli chce się zjeść tutaj kolację, to trzeba przeznaczyć na nią cały wieczór. — Sprawiał wrażenie czymś zaabsorbowanego. — Gotowa?

Katherine wstała i włożyła podany jej przez Dereka żakiet.

— Nie wydaje ci się, że to nie my powinniśmy wymykać się chyłkiem?

Popatrzył na nią swymi ciemnymi oczyma, tak jak zawsze, gdy zrobiła na nim wrażenie — bardzo uważnie. Potem uśmiechnął się i podał jej ramię.

— Być może. Kiedyś ci to wyjaśnię. — Ruszył do wyjścia prowadząc Katherine między sofami i otomanami. Gdy czekali w drzwiach na samochód, powiedział: — Mój znajomy urządza w piątek przyjęcie. Czy masz jakąś wieczorową suknię?

— Nie — odparła szybko czując, że uleciał gdzieś senny, leniwy

nastrój tego wieczoru. Wiedziała, że nie może pozwolić sobie na nowe ubrania. — Craig i ja nigdzie nie chodziliśmy. Nie bardzo lubiłam wielkie wyjścia.

— Tyje uwielbiasz — stwierdził Derek bez namysłu. Przynajmniej raz jechał powoli i wybrał dłuższą drogę powrotną przez dzielnicę japońską i Golden Gate Park. — Tak więc to Craig musiał być domatorem.

— Ciężko pracował — broniła męża. — Lubił być w domu. Ilekroć wracał z delegacji i zamykał za sobą drzwi, mówił, że cudownie jest być u siebie, mieć spokój, czuć się bezpiecznym... — Głos jej zamarł. Craig witał ją zwykle pocałunkiem, potem ścisnął dzieci, a później opowiadał im o podróży i po kolei wręczał upominki drażniąc się przy tym, by myśleli, że nic dla nich nie ma; to było jak Boże Narodzenie w miniaturze.

— Spokój i poczucie bezpieczeństwa — powtórzył Derek. — Niczym w łonie matki. — Zjechał na bok i zatrzymał się przy stawach. Zamyślony wpatrywał się w oświetloną blaskiem lamp i księżycą wodę. — Albo w ramionach Victorii. Czy Anny. Po tylu latach wciąż ich potrzebował.

— Minęło piętnaście lat. Ale ty nic o nim nie wiesz.

— Znam go doskonale. Naprawdę sądzisz, że ludzie się zmieniają? Ale nieważne, bardziej interesuje mnie twoja osoba. Czy ty...

— Dlaczego? Dlaczego się mną interesujesz? Gdziekolwiek pójdziemy, spotykamy piękne kobiety, z niektórymi miałeś romanse...

— A skąd ty o tym wiesz?

— Poznaję po twoim głosie, kiedy opowiadasz o którejś z nich. Mówisz wtedy tak miękko i delikatnie, jakbyś wciąż trzymał ją w ramionach.

— Dobry Boże! — Potrząsnął głową. — W jednej chwili sprawiasz wrażenie bardzo nieśmiałej, a już w następnej zaskakujesz mnie czymś niecodziennym. Jak długo jeszcze zamierzasz się maskować? Rozważna, ostrożna, ubrana bez krzty gustu...

— Nie jestem niegustownie ubrana!

— Według moich kryteriów tak. I dobrze wiesz, co mam na myśli, bo uważnie przyglądasz się każdej kobiecie, kiedy jesteśmy gdzieś w lokalu. Dziewczyno, przecież mam kredyt w każdym sklepie; poświęć na to jeden dzień i ubierz się jak trzeba.

— Na twój rachunek? Chyba nie mówisz poważnie. Nie jestem twoją utrzymanką Derek, niczyją utrzymanką. Sama się o siebie troszczę. Jeśli nie podoba ci się mój sposób ubierania, to możesz umawiać się z kimś innym.

— Robię to.

— Aha!

Naturalnie. Przecież tydzień ma więcej wieczorów.

— Ale chcę spotykać się także z tobą.

— Dlaczego?

— Częściowo dlatego, że lubię kobiety bardziej skomplikowane, niż to się w pierwszej chwili wydaje. Reszty musisz sama się domyślić.

Katherine milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

— Derek, chcę wrócić do domu.

Włączył silnik, ruszył z miejsca i po kilku minutach zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieszkała Katherine. Objął ją ramieniem i pocałował.

— Chciałbym pomóc ci uwolnić się z tego więzienia, w którym zamknął cię Craig. Chyba nie zabrał ze sobą klucza. — Sięgnął do klamki po jej stronie i otworzył drzwiczki. — Pomyśl o nowych strojach. Będiesz się lepiej czuła na piątkowym przyjęciu.

— Jestem... zajęta w piątek.

— Posłuchaj. — Wciąż trzymał klamkę nie pozwalając Katherine ruszyć się z miejsca. — Oczekuję od ciebie szczerości. Jeśli nie chcesz spotkać się ze mną w piątek, to po prostu powiedz mi to. Jeśli w ogóle nie chcesz się ze mną widywać, to też mi o tym powiedz. Bo nie zamierzam tolerować zachowania jak u nastolatki, która nie potrafi pokierować nieskomplikowanym związkiem.

— Ani ten związek nie jest nieskomplikowany, ani ty — odcięła się. — Tobie tak łatwo jest zapomnieć o istnieniu Craiga...

— Wcale niełatwo — mruknął.

— ...a mnie nie i dlatego wiele sytuacji wprawia mnie w zakłopotanie, a żadna z nich nie jest wcale prosta. A teraz proszę, żebyś zabrał rękę.

Po chwili Derek wyprostował się na siedzeniu.

— Proszę, idź.

Katherine popchnęła drzwiczki i wysunęła nogi.

— Kolacja w „Marrakesz” była cudowna. Dziękuję.

— A co z piątkiem?

Popatrzyła na jego pociągłą twarz, dołki w policzkach pogłębione jeszcze w cieniu ulicznej lampy i prowokujący uśmiech.

— Obowiązują wieczorowe stroje? — spytała.

— Mężczyzn czarny krawat, dla kobiet nieco więcej luzu. Nieco luzu. Nie miała pieniędzy na ciekawą wieczorową kreację.

Już zamierzała odmówić, ale wstrzymała się. Bo dlaczego niby nie miałyby pójść z Derekiem na przyjęcie? Wszystko w nim ją pociągało — nawet złośliwe opisy znajomych w restauracji. To prawda, że tęskniła za Craigiem, że martwiła się o niego, że jego przesyłka tylko wytrąciła ją z równowagi i zupełnie nie wiedziała, co myśleć o całej tej sytuacji, ale przecież to on ją zostawił. Dlaczego miałyby odmawiać sobie radości i odprężenia, które czerpała z towarzystwa Dereka?

Problemem była suknia. Mogłabym poprosić Leslie, pomyślała. A może znajdę coś na wyprzedazy. Przerobię trochę, jeśli będzie trzeba. Mogę poświęcić na to Święto Dziękczynienia — cały dzień będę w domu. Bo dlaczego nie miałabym pójść? Lubię towarzystwo Dereka. Wprawdzie czekam na Craiga, ale nie muszę żyć jak w więzieniu, dopóki on nie wróci.

Dopiero gdy zgodziła się pójść z Derekiem na przyjęcie i z kluczem w rękę podeszła do drzwi swego mieszkania uświadomiła sobie, że podświadomie użyła słów Dereka — „więzienie, w którym zamknął cię Craig”.

Nadeszło Święto Dziękczynienia. Tego dnia Leslie i jej brat uratowali sytuację, osądziła później Katherine. Derek dyplomatycznie się wywinął umawiając się z nią na piątek. Victoria i Tobiasz wyjechali tydzień wcześniej do Peru zwiedzać muzea. Leslie zaproponowała, by poszli do restauracji, ale ten pomysł przeraził Jennifer i Todda. Dla nich Święto Dziękczynienia oznaczało rodzinną uroczystość w domu.

— No to ja coś ugotuję — oświadczyła Leslie. — Od czasu do czasu powinnam coś upichcić, żeby nie wyjść z wprawy. A Bruce robi niesamowity placek z dyni. Sami zobaczycie.

Bruce McAlister, dziesięć lat młodszy od siostry, miał marchewkowe włosy pofalowane jak żelazna wata i łuki brwiowe w tym

samym kolorze, wygięte tak ostro, że nadawały mu wygląd wiecznie zdziwionego. Należał do ludzi, którym usta nigdy się nie zamykają. Katherine uznała, że gdyby nie Bruce, który tak zaabsorbował dzieci, że nie miały czasu wspominać rodzinnych świąt w Kanadzie, ten wieczór okazałby się kompletną klęską.

— To wszystko zasługa burbona; nawet nie odmierzam jego ilości, po prostu wlewam — objaśniał, gdy Jennifer i Todd zabrali się do próbowania placka z dyni. Przez cały czas, gdy zajadali się upieczonym przez Leslie indykiem oraz sosem żurawinowym i warzywami przygotowanymi przez Katherine, Bruce zabawiał ich historyjkami z życia swych znajomych z Panhandle. — Kilka lat temu, kiedy żyliśmy dzięki zasiłkom dla bezrobotnych, skromnym racjom żywnościowym i miłości, to dopiero były czasy: wspaniałe gitary, wspaniała trawa i wspaniałe kobiety...

— Bruce — rzuciła ostrzegawczo Leslie.

— Co ty, dzieciaki orientują się w tych sprawach. — Roześmiany popatrzył na Jennifer i Todda. — No cóż, teraz wszystko jest inaczej; przygnębienie człowieka ogarnia, kiedy pomyśli, że nagle wszyscy zrobili się tacy porządni: poženili się, mają dzieci, kupują zmywarki do naczyń, Bóg wie po co, mają stałą pracę... Nawet ja — dodał ze smutkiem.

Todd jak urzeczony wpatrywał się w skaczące do góry czerwone brwi Bruce'a i jego gestykujące ręce.

— Ty też pracujesz? — spytał.

— Z wielkim wstydem muszę przyznać, że rzeczywiście przez pięć dni w tygodniu pracuję od ósmej trzydzieści do piątej, a moja pensja w tej wytwornej instytucji, myślę o domu towarowym „Heath”, jest niesamowicie zaniżona.

— Mama tam pracuje! — krzyknął Todd.

— Moja siostra także, zresztą to właśnie ona załatwiła mi tę pracę, bo któż inny zatrudniłby faceta z taką przeszłością? Tylko że ona przesiaduje na najwyższym piętrze, tam gdzie całe kierownictwo, a ja i wasza mama harujemy w piwnicy.

— Chyba nigdy cię tam nie widziałam — zauważyła Katherine.

— Nie mogłaś. Ani na krok nie ruszam się od komputerów. A wiesz, że potrafię zmusić komputer do zrobienia wszystkiego z wyjątkiem upieczenia placka z dyni?

Po takim wstępie Bruce zabrał się do krojenia deseru, a gdy

każdy dostał już kawałek i Katherine przełknęła pierwszy kęs, mogłaby przysiąc, że w placku jest zawartość całej butelki burbona lekko doprawionego dynią.

— Bruce — roześmiała się Leslie. — A gdzie masz drugi?

— Niestety, moja siostrzyczka za dobrze mnie zna, rzeczywiście tak się składa, że mam drugi. — Sięgnął pod stół i wyjął pudełko. — Cóż, sami rozumiecie, w tym jest tylko wanilia, ani grama burbona czy brandy, tylko to, czym raczyli się biedni pielgrzymi, nic dziwnego, że większość z nich nie przeżyła zimy.

Wszyscy się roześmieli i ochoczo zabrali do drugiego placka. Właściwie śmialiśmy się prawie przez cały wieczór, wspominała później Katherine. A kiedy się nie śmialiśmy, to śpiewaliśmy przy dźwiękach gitary Bruce'a, a potem wcześniej wróciliśmy do domu, przynosząc ze sobą radość i resztki indyka; nawet gdy już zostaliśmy sami, nie wspominaliśmy świąt w Kanadzie ani domu w Vancouver. Dzięki Bogu, że stworzył Bruce'a McAlistera, bo to on pomógł nam przetrwać ten dzień.

W piątek Katherine poprosiła Listera, by zwolnił ją godzinę wcześniej. Gil najpierw włożył na manekina kurtkę narciarską, zasunął suwak i dopiero potem rzucił przez ramię:

— A co, dzieci chore?

— Nie. Muszę coś załatwić.

— Sprawy osobiste?

— Tak. Ale przygotowałam już wszystkie faktury, a do trzeciej skończę pakować wystawę z zeszłego tygodnia...

— Załatwiało się trochę prywatnych telefonów w czasie pracy, co Katherine? I lunch przedłuży się czasem ponad godzinę...

— Tylko dwa razy! I to miesiąc temu.

— A bywało, że jak urządzaliśmy wystawę, ty stałaś nie tam, gdzie ci kazałem. Zauważyłem u ciebie niedbalstwo, Katherine. Jeśli ma to oznaczać, że jesteś niezadowolona, że wolałabyś robić co innego, to powinnaś odejść; nie mogę pracować, kiedy ktoś się krzywi, marudzi i zachowuje wrogo.

— Ja nie marudzę — odparła natychmiast. — A krzywię się rzadziej niż ty. Staram się być życzliwa i wcale nie uważam, że bym okazywała wrogość, ale czułabym się znacznie lepiej, gdybyś

pozwolił mi pomagać sobie w projektowaniu, a nie traktował mnie jak kretyнке albo wieszak na ubrania.

Lister zamarł na moment, po czym zaczął zapinać but narciarski. W końcu wstał i ugiął nogę manekina.

— Kijki.

Katherine wzięła głęboki oddech, potem wypuściła powietrze i bez słowa podała mu kijki. W milczeniu dokończyli scenę slalomu.

— Aha — mruknął Lister obrzucając spojrzeniem stok posypany styropianowymi płatkami, na którym manekiny okręzały zaznaczone chorągiewkami słupki, zostawiając za sobą ślad nart. Nagle odwrócił się w stronę Katherine. — A co byś tu zmieniła?

— Ożywiłabym tę scenę — palnęła bez ogródek. — Jest martwa. — Znajdę sobie inną pracę, pomyślała, nie muszę wysłuchiwać jego obelg. A na głos dodała: — Proponuję ustawić na stoku tylko dwóch narciarzy, trzeciego zaś umieścić na szczycie, tak jakby przygotowywał się do startu. Po bokach postawiłabym widzów, zwłaszcza dzieci i nastolatków. Teraz jeżdżą już trzyletnie maluchy, a u nas można dla takich kupić odpowiedni strój. Tam w rogu dałabym zegar cyfrowy, a na dole linię mety. No i jakieś góry w tle, widziałem takie w magazynie. Poza tym przy mecie ktoś powinien czekać z pucharem dla zwycięzcy.

— Tak uważasz.

Głos Listera przygasił ją nieco. Co właściwie ją napadło? Ile czasu zabrałoby jej znalezienie jakiejś innej pracy?

— Przepraszam cię, Gil — powiedziała. — Ta wystawa wygląda całkiem dobrze, spokojnie i kolorowo. Chcesz rozmieścić jeszcze ceny?

— Nie. — Tupiąc nogą Gil przyglądał się czterem narciarzom. — Widzisz, ja nigdy nie jeździłem na nartach. Pomysł jest ciekawy. Idź teraz na górę i spakuj rekwizyty z zeszłego tygodnia. Ale nie zaklejaj pudełek, chciałbym wszystko sprawdzić. I możesz wyjść pół godziny wcześniej, skoro to dla ciebie sprawa życia i śmierci.

— Dziękuję.

Katherine aż trzęsła się ze złości. Ani słowem nie odpowiedział na jej przeprosiny — ani ich nie przyjął, ani nie odrzucił. Ale to moja wina, pomyślała Katherine pakując do pudła jesienne liście. Wiedziała, że krytyka go rozzłości. Victoria miała rację: jestem

agresywna w stosunku do ludzi. To dlaczego Derek uważa, że jestem nieśmiała? Chciałabym wiedzieć, jaka naprawdę jestem.

Wyszła z pracy dokładnie pół godziny wcześniej i pobiegła do domu. Leslie wyszukała dla niej suknię i miała przyjść o ósmej, tuż przed Derekiem, żeby zobaczyć, jak przyjaciółka w niej wygląda. Katherine w pośpiechu zjadła kolację z dziećmi, które same też się spieszyły do szkoły na próbę bożonarodzeniowego przedstawienia i z tej okazji, choć raz, nie zalały matki potokiem skarg na szkołę, mgłę i częste jej nieobecności.

— Annie odbierze was po próbie, więc zaczekajcie na nią — powiedziała, gdy Jennifer i Todd już wychodzili.

— Jesteśmy na tyle dorośli, że możemy wrócić do domu samodzielnie — stwierdziła Jennifer. — Ale jeśli to dla ciebie takie ważne, to zaczekamy na Annie.

— Owszem, to ważne dla mnie — potwierdziła z uśmiechem. — Bawcie się dobrze.

— Ty też — powiedziała Jennifer. — Ale nie wracaj zbyt późno.

Katherine zastanawiała się, co córka miała na myśli, i zrelacjonowała tę rozmowę Leslie. Ale przyjaciółka wcale nie słuchała. Przechyliła głowę i uważnie przyglądała się Katherine.

— Nieźle, nieźle — osądziła w końcu. — Właściwie bardzo dobrze.

Kreacja, którą Leslie wyszukała w magazynie, pochodziła z zeszłorocznej kolekcji Empire Room; bardzo prosta, w stylu, który nigdy nie wychodzi z mody, kosztowała obecnie zaledwie jedną ósmą pierwotnej ceny. Była to, delikatna jak jedwab, czarna kaszmirowa suknia z długim rękawem, lekko rozszerzona u dołu, opinająca szczupłe ciało i ozdobiona maleńkimi muszelkami przy bardzo głębokim dekolcie w kształcie litery V. Całości dopełniała podwójna szarfa z czarnego jedwabiu podkreślająca talię i opadająca aż do ziemi.

Leslie wiedziała, że choć suknia jest bardzo elegancka, to większą uwagę przyciąga sama Katherine — jej promienne oczy, zarumieniona twarz, kiedy obserwowała się w lustrze, i cała sylwetka nieświadomie wyprostowana ze względu na fason sukni. Leslie patrzyła na delikatne rysy twarzy przyjaciółki ukryte do tej pory pod maską smutku i zmartwienia i na ładną figurę, której wcześniej nie było widać, gdyż Katherine chodziła przygarbiona, a za duże ubrania niemal wisiały na niej, odkąd schudła po odejściu Craiga.

— Cudownie — mruknęła Leslie. — Przynajmniej na początek. A co z biżuterią? Chyba zrobiłaś jakiś naszyjnik na tych swoich zajęciach?

Katherine potrząsnęła głową.

— Nie jestem gotowa na prezentowanie moich prac.

— No to został już tylko makijaż i fryzura.

— Nie! — Katherine cofnęła się o krok. — Nie teraz, Leslie. Tak wystarczy.

Nie potrzeba więcej zmian, pomyślała zdziwiona i zakłopotana tym, że już sama suknia tak ją odmieniła. Wyciągnęła rękę zasłaniając odbicie swej twarzy w lustrze i popatrzyła tylko na figurę — wyglądała równie wytwornie i zgrabnie jak Victoria. Potem opuściła rękę i zobaczyła w lustrze swe błyszczące, radosne oczy. Bardziej przypominała młodą dziewczynę, dopiero co wyruszającą w świat, niż trzydziestopięcioletnią pracującą kobietę z dwójką dzieci. I z mężem, sprostowała szybko. I z mężem.

Leslie obserwowała ją.

— Wystarczy tych zmian, jak na jeden dzień — powtórzyła Katherine. — W końcu idę tylko na przyjęcie. To nic ważnego.

Leslie już miała się sprzeciwić, lecz jedynie pokiwała głową.

— Uważam, że wyglądasz bardzo dobrze. Ale coś ci przyniosłam... — Otworzyła białe pudełko, które miała ze sobą. — To tylko na dzisiaj.

— Och, Leslie, nie mogę! — protestowała Katherine, gdy przyjaciółka wyjęła żakiet z srebrnych lisów i czarną wieczorową torebkę naszywaną perełkami.

— Owszem, możesz, moja damo, i nie sprzeczasz się ze mną. Pozwól mi czuć się jak dobra wróżka, skoro mam na to ochotę. Przyjdzie taki dzień, że pozwolisz mi do końca zająć się twoim wyglądem.

Katherine objęła ją.

— Mówisz, jakbym była jakimś meblem, ale bardzo ci dziękuję. — Zauważyła, że przed domem zatrzymał się samochód Dereka. — Dziękuję ci, Leslie, jesteś cudowna — powtórzyła zabierając żakiet i torebkę.

Wyszła, zanim Derek zdążył podejść do drzwi. Taką przyjęła zasadę: nie wpuści go do siebie. Widziała dom jego babki i słyszała niejedno o jego własnym. Wstydziła się przed nim, jak sama mieszka.

Norma Burton wydała przyjęcie dla najbliższych przyjaciół, by uczcić swój czwarty rozwód.

— Ilu ona ma najbliższych przyjaciół? — spytała Katherine.

— Dwustu albo trzystu — odparł Derek, który zdążył już przyjrzeć się zakietowi Katherine, a teraz obrzucał wzrokiem tłum. — Jeśli okaże ci sympatię przez więcej niż dziesięć minut, to znaczy, że wciągnęła cię na listę przyjaciół. Potrafi być wspaniałomyślna, lecz umie też okazywać lekceważenie, a w ogóle często zachowuje się jak dziecko. Pozwól, że ci się przyjrzę. — Wziął ją za rękę i popatrzył uważnie. — Czy wiesz, że jesteś piękną kobietą?

Cofnęła dłoń.

— Nie. Nigdy nie byłam piękna. Uroda to coś więcej niż nowa suknia...

— O wiele więcej. To świeża cera, sposób, w jaki stoisz i trzymasz głowę, oczy... Przeglądałaś się w lustrze?

— Tak...

— Patrzyłaś sobie w oczy?

— Tak. Może dołączylibyśmy do towarzystwa?

Znów wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i uniósł jej podbródek.

— Masz wspaniałe oczy, wielkie i błyszczące... — Zrobił krótką przerwę. — Ale teraz pojawił się w nich strach, jakbyś stanęła nad przepaścią. Czego się obawiasz? No chodź. — Wsunął jej rękę pod swoje ramię i poprowadził na salę balową. — Przedstawię cię teraz paczce przyjaciół Normy; w końcu to oni są atrakcją tego wieczoru.

Kiedy po kolacji wreszcie przyszedł czas na tańce, Katherine myliły się już twarze i nazwiska i rozplywały niczym falujące przed oczyma konfetti. Wszyscy przyglądali się jej i wcale nie kryjąc ciekawości wodzili wzrokiem po wsuniętej pod ramię Dereka ręce, sukni i twarzy. Pytali, skąd pochodzi, a gdy odpowiadała, że z Vancouver, chcieli wiedzieć, jak długo zostanie w San Francisco. Kobiety starały się dojrzeć, czy ma palcu obrączkę, a gdy ją dostrzegały, pytały, gdzie jest mąż. „W delegacji”, mówiła Katherine, a powtarzała to tyle razy, że sama zaczęła w to wierzyć. Wiele osób, chyba dość dobrze znających Dereka, wypytywało o jego nowe mieszkanie, a jedna z par chciała rozmawiać o centrum handlowym w Daly City i zachęcić Dereka, by wziął udział w przetargu.

— Będę w swoim biurze w poniedziałek — skwitował ich sugestie Derek.

— Masz nowe mieszkanie? — zaciekawiała się Katherine. — Jakoś to do mnie nie dotarło. Opowiadałeś o nim?

— Mam je od roku — odparł. — Dopiero co skończyłem się w nim urządzać. Zobaczysz je, gdy tylko stąd wyjdziemy.

Zadrżała. Poczowała się bardzo małeńka, odsunięta od własnego, dobrze jej znanego otoczenia, tak jakby nagle stała się drobinką polatującego w pokoju konfetti. Tańczyła z Derekiem i rozmawiała z jego przyjaciółmi, ale wszystko to wydawało się jakieś nierealne. Wprawdzie nie czuła się już szara i niezręczna, jak na wystawie sztuki peruwiańskiej, ale za każdym razem, gdy ktoś z przyjaciół Dereka lustrował ją dokładnie, nie była pewna, czy ta osoba w kaszmirowej sukni to naprawdę Katherine Fraser.

Przez cały wieczór bardzo mocno odczuwała bliskość Dereka — to on obejmował ją, gdy tańczyli, to jego oczy przyglądały jej się, gdy z kimś rozmawiała, to na jego ramieniu opierała się idąc przez salę. „Jest w delegacji”, odpowiadała dziesiątki razy, myśląc o Craigu, myślała też o nim, gdy kłamała na jego temat, gdy tańczyła z Derekiem, gdy powiedziała: „Tak, oczywiście”, kiedy Derek stwierdził, że czas już iść do domu.

W szatni natknęli się na wielkiego mężczyznę o trzech podbródkach, z łysiną na głowie, dołkami w policzkach i kręconymi szarymi bokobrodami, który przywitał się z Derekiem.

— Zdaje się, że mam przyjemność z Katherine Fraser — powiedział wyciągając ku niej rękę. — Jestem Herman Mettler. Słyszałem, że zajmuje się pani projektowaniem biżuterii.

Oczywiście Katherine zobaczyła sklep jubilerski, do którego zaglądała przy każdej okazji marząc, że w szklanych i mahoniowych gablotach leży jej biżuteria.

— Do pana należy sklep... — wyjąkała.

— Właśnie. — Jego głos dudnił na tle wysokich tonów dobiegających z sali. — Jest pani w mieście od niedawna? I pewnie chciałaby pani wystawić swe projekty?

— Tak, ale skąd?...

— Jeden z moich projektantów wspomniał mi o pani. Wciąż poszukujemy nowych talentów. Może uda mi się znaleźć trochę miejsca dla pani. Oczywiście ważne jest, co ma pani do zaoferowania.

— Rozumiem.

— Cóż, proszę więc przynieść mi kilka swoich wyrobów. Ale niech będzie po nich widać, co pani potrafi; nie zwykłem podejmować decyzji na podstawie paru drobiazgów i słownych zapewnień. Niech pani zadzwoni do mojej sekretarki i umówi się za dwa tygodnie. Miło cię widzieć, Derek; mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Pozdrów ode mnie śliczną Angełę, Pani Fraser, do zobaczenia wkrótce. — Pożegnawszy się odszedł.

Katherine, oszołomiona, wkładała żakiet podany jej przez Dereka. Znow przyszedł jej na myśl Craig. Ciekawe, co by powiedział, gdyby Mettler przyjął jej biżuterię? Czy dalej twierdziłby, że to tylko jej hobby?

— Katherine — zaczął Derek, gdy zjeżdżali windą.

— Co? Przepraszam, zamyśliłam się.

— Nie ufaj za bardzo Mettlerowi. Nie zawsze można na nim polegać.

— Ale on mi niczego nie obiecał — odparła. — Dlaczego więc miałabym od razu mu zaufać?

— Zaczełaś budować zamki na lodzie, moja mała, i dobrze o tym wiesz. Po prostu pamiętaj o tym.

— Dobrze. A kim jest Angela?

— Byłą żoną. ~ Czyją?

— Moją. Herman nie jest na bieżąco; rozwiodłem się z nią pół roku temu.

— A więc on myślał, że jesteś żonaty i mimo to przyszedłeś na przyjęcie ze mną? Derek milczał przez chwilę.

— Opowiem ci teraz o moim mieszkaniu — rzekł w końcu. — To jedno z najlepszych, jakie wybudowała Hayward Corporation,

Derek wypełnił opowiadaniem czas jazdy: dom jest częścią dużego kompleksu budynków, z których nie wszystkie są już ukończone, i wznosi się u stóp wzgórza Telegraph Hill przy Lombard Street, tuż za wyremontowanymi magazynami i nowymi blokami przy Levi Plaza. Gdy tylko jego firma dostała kontrakt, Derek wykupił całe najwyższe piętro budynku i wspólnie z architektem tak skorygował pierwotny plan, by zamiast dwóch mniejszych powstało tam jedno duże mieszkanie.

— Teraz jest tak wielkie, że całe murzyńskie plemię mogłoby tu odtńczyć rytualny taniec — powiedział oprowadzając Katherine po pokojach i zatrzymując się na chwilę w kuchni, by zabrać z lodówki butelkę szampana. — Ale są tu też przytulne zakątki. Na przykład...

Mówiąc to wprowadził ją do pokoju, którego trzy ściany pokrywały szklane żaluzje, na parkiecie leżały wschodnie dywaniki, a kanapy i fotele obite były pikowanym czerwonym aksamitem. Tu i ówdzie stały mosiężne lampy z abażurami zdobionymi falbankami. Pokój urządzony był jak salon z końca dziewiętnastego wieku — bardzo oficjalny i zagracony — a oryginalność pomysłu polegała na tym, iż Derek umieścił go w całkowicie nowoczesnym budynku.

— Angela powiedziała, że ten pokój przypomina burdel — ciągnął Derek. — Po prostu jej się marzyło.

— Dlaczego się z nią rozwiodłeś? — zaciękawiała się Katherine. Siedziała wygodnie oparta na kanapie, a światło lampy migotało

w bąbelkach jej szampana. Z tego, co wiedziała od Claude'a, Derek rozwodził się trzykrotnie. A ja, pomyślała, jestem. mężatką od jedenastu lat i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się rozwieść.

— Pomyliliśmy się co do siebie — odparł Derek. — Zwykle to właśnie prowadzi do rozwodu. Angela myślała, że potrafi mnie zmienić, a ja sądziłem, że jest jedyną kobietą, która niczego ode mnie nie chce. Żadne z nas nie miało racji. Angela jest bardzo podobna do Normy: wspaniałomyślna, impulsywna i dziecinna, Ale ty, moja słodka Katherine, stałaś się naprawdę kobietą.

Zdawał się nie poruszać, a jednak jego twarz znalazła się nagle tuż nad twarzą Katherine, zasłaniając światło. Derek odstawił jej kieliszek na stolik i musnął ustami wargi. Potem objął ją ramieniem i pocałował tak mocno i pożądliwie, że Katherine miała wrażenie, iż jakaś siła przyciska ją do aksamitnej kanapy.

Świat przestał istnieć. Strach o Craiga, bezsilna złość na Listera, niepokój o dzieci, o pieniądze i projekty biżuterii, nawet iskierka zazdrości, która zapalała się w niej, gdy Derek mówił o innych kobietach — wszystko to gdzieś zniknęło. Wiedziała tylko, że po wielu miesiącach bez mężczyzny, który by ją tulił i kochał się z nią, teraz czuła na sobie Dereka. Wiedziała też, że traci kontrolę nad swoim ciałem. Głęboki pocałunek Dereka wyzwolił pragnienia,

które od tak dawna w sobie tłumila. Objęła Dereka i przyłgnęła do niego biodrami.

W uszach miała ogłuszający szum, lecz głos Craiga się przezeń przedarł. Mówił niewyraźnie, ale to były te same słowa, które wypowiedział, kiedy kochali się po raz pierwszy, kiedy śmiali się i robili plany na przyszłość, bo wreszcie po długiej samotności i każde z nich znalazło kogoś bliskiego.

Kathrine wyrwała się Derekowi i usiadła, choć pragnęła go tak bardzo, że bliska była płaczu. Ale kiedy wstała i przeszła przez pokój, nie była pewna, czy płacze z tęsknoty za nim czy za Craigem. Stała plecami do Dereka próbując powstrzymać łzy. Gdy jej się to udało, odwróciła się.

Siedział w cieniu rzucanym przez zdobioną falbankami lampę i przyglądał się jej.
— Domyślam się, że zawitał do nas mój kuzyn — rzucił ironicznie.

Jego kuzyn. Od miesiący Katherine nie myślała o Craigu i Dereku jako kuzynach. Nie było dwóch mężczyzn bardziej różniących się od siebie.

Derek dolał szampana do kieliszków.

— Usiądź i napij się. Jak sama wiesz, on nas teraz nie widzi, a nawet gdyby widział, to przecież wolno ci od czasu do czasu wypić szampana w piątkowy wieczór, a właściwie w sobotni ranek dokładnie o pierwszej piętnaście.

Katherine uśmiechnęła się i wróciła na kanapę.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj. Zbyt często to robisz. Przyszło ci do głowy, że on może nie być wart twojej wierności?

— To na nic się nie zda, Derek. I tak jest mi ciężko, bo nie wiem, jak powinnam się zachowywać i muszę wymyślać sobie preteksty. Nie wiem, co się dzieje z Craigem, ale jest moim mężem i wolę wierzyć, że jest wart mojej wierności.

Derek wychylił kieliszek i powoli znów go nappełnił.

— Chcesz wiedzieć, co zaszło tamtego dnia piętnaście lat temu, kiedy po raz ostatni żeglowaliśmy wspólnie?

— Chyba Claude o tym opowiadał? W czerwcu?

— To była oficjalna wersja. On nie był na łodzi, a ja tak.

— Ale wtedy pozwoliłeś, żeby on mówił.

— Zawsze pozwalam Claude'owi opowiadać oficjalne wersje. A chcesz usłyszeć moją?

— Czy to znaczy, że twoja jest inna? W kwestii Craiga?

— W kwestii nas wszystkich — patrzył na nią wyczekująco.

— Oczywiście, chcę ją usłyszeć — powiedziała powoli wciąż drżąc z podniecenia i strachu, jaki wywołał w niej głos Craiga. Derek natomiast sprawiał wrażenie zupełnie niewzruszonego, był chłodny i obcy. — Zawsze chciałam poznać prawdę — dodała.

— Prawdę. — Uśmiechnął się i usiadł wygodniej na kanapie. — Żeglowaliśmy przez zatokę w stronę brzegu — zaczął bezbarwnym, niemal monotonnym głosem. — Wracaliśmy z przyjęcia w Sausalito bardzo znudzeni i Craig wybrał dłuższą drogę: mieliśmy najpierw wypłynąć za most Golden Gate, a potem zawrócić do portu. Ponieważ sam mianował się wtedy kapitanem, nikt nie protestował i porjłynęliśmy dłuższą trasą. Kiedy mu powiedziałem, że się spieszę, zgodził się pójść na kompromis i rozwinął spinaker; wiatr nam sprzyjał i płynęliśmy bardzo szybko. Ale potem Craig zmienił zdanie; zaczął się martwić o prądy i kazał nam założyć kamizelki ratunkowe. Ross był na dole w kabinie i Jennifer zeszła do niego z kamizelką. W końcu Craig powiedział, że musimy zwinąć spinaker. Ja się temu sprzeciwiłem i trochę się posprzeczaaliśmy. „Za bardzo dmucha — mówił. — Silny wiatr może rozerwać go na strzepy.” Kiedy się tak kłóciliśmy, Jennifer i Ross wyszli z kabiny; pamiętam, że opryskała ich woda, bo płynęliśmy z ogromną szybkością; łódź zaczęła się przechylać i woda przelewała się przez kabinę. Było fantastycznie — maksymalna prędkość przy wyjąłym wietrze, kropelki wody w powietrzu i fale rozbijające się o burty; objąłem wtedy Jennifer i powiedziałem, że obydwójce lubimy ryzyko i nikt poza samym kapitanem nie widzi powodu do obaw.

Oczywiście Craig nie mógł tego przełknąć — łódź była jego królestwem; tylko na niej czuł się lepszy ode mnie. A poza tym miał bzika na punkcie swej siostry; pilnował jej jak kwoka piskląt. Trzymał mocno ster i krzyknął, bym puścił Jennifer. Był tak wściekły, iż Ross chcąc go uspokoić powiedział, że sam zwinie spinaker. Ale Craig go nie słyszał, bo cały czas wrzeszczał na mnie — mówił, że jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki żegluję, to mogę popłynąć do brzegu wplaw, jeśli starczy mi odwagi zrobić to

na tych wodach. Tylko skończony idiota porwałby się na coś takiego, ale Craig traktował to jak wyzwanie, jak próbę mojej męskości czy coś w tym rodzaju. Kazałem mu się zamknąć i dowieźć nas do domu.

Craig miał wtedy dwadzieścia dwa lata, ja dwadzieścia jeden; tak się złożyło, że byliśmy rodziną, ale nie lubiliśmy się wzajemnie. Nigdy nie potrzebowaliśmy spegalnego pretekstu, żeby obsypać się obelgami, tak więc tamten dzień niczym nie różnił się od innych — poza tym, że była z nami Jennifer. Zawsze starała się uspokoić Craiga, zwłaszcza kiedy rzucał się na mnie, ale tym razem jej się nie udało; zresztą chyba sama była wystraszona — wiatr tak huczał, że musieliśmy krzyczeć. Przemokliśmy zupełnie, a Craig z trudem panował nad łodzią i samym sobą. Jennifer rozplakała się, więc Craig wściekł się jeszcze bardziej i zaczął obrzucać mnie wyzwiskami — a tak soczyście jeszcze nigdy mnie nie przeklinał — zerkał wciąż na Jennifer, żeby się upewnić, że to słyszy. A potem zaczął krytykować sposób, w jaki prowadziłem prace budowlane. Akurat kierowałem wtedy budową Macklin Building. Zanim dostałem tę pracę, Craig hardzo się starał przekonać rodzinę, że on umie więcej ode mnie, że jestem niekompetentny albo nieuczciwy, albo jedno i drugie. Tamtego dnia powinien był zdawać sobie sprawę z tego, co nam grozi — z trudem panował nad łodzią, ale koniecznie chciał zaimponować siostrze. Kiedy wysłał Rossa, by zwinął spinaker, próbowałem go uspokoić, lecz był tak wściekły, że myślał, iż go pouczam, i z wraskiem rzucił się na mnie.

Potem wszystko stało się naraz: Craig puścił ster i chwycił mnie za szyję, Jennifer krzyczała, żeby przestał, i odciągała mu rękę, i wtedy łódź zmieniła kierunek — zamiast płynąć z wiatrem obróciła się bokiem, bo nie miał kto trzymać kursu. Bom się przechylił i uderzył Jennifer w skroń. Widziałem to kątem oka, bo próbowałem wyrwać się Craigowi, ale wyraźnie słyszałem uderzenie, a sekundę później Jennifer wypadła przez burtę. Craig krzyknął i puścił mnie. Chwycił koło ratunkowe i boję i rzucił je do wody wrzeszcząc do Jennifer, żeby je złapała i przytrzymała się. Bardzo szybko oddalaliśmy się od niej i w pewnej chwili Craig wyskoczył za burtę, wołając Jennifer. Ross w tym czasie zwinął spinaker, a ja stanąłem przy sterze, ale nie miałem doświadczenia w żeglowaniu, więc zawrócenie łodzi zajęło mi jakieś dziesięć minut. Ross też nie

znal się wtedy na żeglowaniu — teraz jest ekspertem — więc stal przy burcie nawołując Craiga i Jennifer i próbując wypatrzeć ich w wodzie. A zaczęło się już ściemniać.

Płynąłem w kierunku światła na boi, którą Craig wrzucił do wody, i w końcu zauważyliśmy koło ratunkowe. Jennifer tkwiła w nim sztywna niczym lalka — już nie żyła. Myślę, że zdawaliśmy sobie z tego sprawę, jeszcze zanim do niej podpłynęliśmy. Ross zaczął wymiotować, a w końcu się rozplakał. Powiedziałem mu, żeby wziął się w garść i zaczął wołać Craiga — musiał być gdzieś w pobliżu, Ross na przemian to krzyczał, tak że aż zachryplł, to znów jęczał „Mój Boże, Jezus, oboje...”; w końcu musiałem go uderzyć, żeby się opanował. Kazałem mu utrzymywać łódź w miejscu, a sam zszedłem za burzę, obwiązałem Jennifer liną i z pomocą Rossa wciągnąłem ją na pokład. Nie mogłem wyczuć u niej pulsu.

Ross zawiadomił straż przybrzeżną. Zrobiło się już całkiem ciemno, ale znaleźliśmy w kabine reflektor i póki nie przyplłynęła pomoc, omiataliśmy światłem wodę, szukając Craiga. Ale oczywiście nigdzie nie było śladu po nim. Zniknął.

W pokoju zapanowała cisza; Katherine dygotała przerażona zimnym głosem Dereka; wydawało jej się, że nogi ma jak z waty. Derek ani razu się nie poruszył i nie podniósł głosu. Twarz też miał obojętną. Równie dobrze mógł opowiadać o kimś zupełnie obcym. Katherine splotła dłonie, by powstrzymać drżenie.

— A gdzie był Craig, gdy go szukaliście? Derek wzruszył ramionami.

— Jak powiedział Claude, prawdopodobnie popłynął do brzegu. Wokoło nie widzieliśmy innych łodzi, ale znajdowaliśmy się niedaleko Lime Point. Craig był bardzo silny i mógł tam dopłynąć. Teraz jest oczywiste, że mu się to udało.

— Co to jest Lime Point? — spytała próbując sobie przypomnieć.

— Mały cypel w pobliżu północnego krańca mostu Golden Gate. Jest tam latarnia morska.

Todd idący w stronę plaży i latarni. „Możemy tam pójść, mamo?” — „Nie dzisiaj; jesteśmy umówieni z pośrednikiem, pamiętasz? Ale wrócimy tu jeszcze.” — „To Lime Point — powiedział im wtedy rybak. — Wspaniałe miejsce. Człowiek czuje się tam, jakby był na środku morza.”

Katherine zadrzała.

— Może szampana — zaproponował Derek napełniając kieliszek i podając go jej.

— Dziękuję. — Miała wrażenie, że jej głos dobiega gdzieś z oddali. — Dlaczego Jennifer utonęła, skoro włożyła kamizelkę ratunkową?

— Nie włożyła. Nie wiadomo dlaczego nie włożyła jej, choć Craig kazał wszystkim to zrobić. Prawdopodobnie jednak ona nie utonęła. Zauważyliśmy później, że miała przebitą czaszkę; kiedy bom ją uderzył, jeden z kołków musiał wbić się jej w głowę. Możliwe że nie żyła, jeszcze zanim Craig do niej dopłynął. Babka nalegała, by nie przeprowadzać sekcji; pociągnęła za wszystkie sznureczki, żeby do tego nie dopuścić. Dla reszty rodziny nie miało to żadnego znaczenia; straciliśmy oboje w ciągu jednego dnia, więc nie byliśmy w stanie myśleć o czymkolwiek innym jak tylko o tym, że ich już nie ma.

— Ale... czegoś tu nie rozumiem. W jaki sposób Jennifer znalazła się w kole ratunkowym?

— Uznaliśmy, że to Craig nałożył jej koło; znalazł ją nieżywą i nałożył koło, nie wiedzieliśmy dlaczego, a potem był już tak wyczerpany, że zniósł go prąd i utonął. Teraz wiadomo, że nasza teoria była błędna. Ale wszyscy myśleliśmy o nim jak o bohaterze. Żeby ratować siostrę, wskoczył do wody bez kamizelki ratunkowej.

— A potem... odpłynął?

— A potem odpłynął.

— Ale dlaczego?

— Musiałabyś jego o to zapytać. — Katherine znów zadrzała. — Zrobię ci kawę.

— Nie. Chcę już wrócić do domu. Proszę. Skinął głową.

— Dobry pomysł. Mamy za sobą długi wieczór. — Objął ją w talii, gdy szli do drzwi. — Mam domek w Tahoe. Gdybyś miała ochotę oderwać się trochę, to moglibyśmy pojechać tam na weekend.

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Dziękuję za zaproszenie, ale zapominasz, że mam dwójkę dzieci. Poza tym chciałabym pobyć trochę sama. Możesz dać mi kilka dni?

— Kilka dni — przywołał windę.

Milczeli przez całą drogę do mieszkania Katherine.

— Zadzwoń w przyszłym tygodniu — przerwał ciszę Derek, gdy Katherine włożyła klucz do zamka. — Byłaś dzisiaj niezwykle podniecająca.

Potrząsnęła głową nawet na niego nie patrząc. Czuła się zupełnie wyczerpana i potrzebowała słowa pociechy, a to, co powiedział, było ostatnią rzeczą, jaką chciała usłyszeć.

Opowiadanie Dereka prześladowało Katherine przez cały weekend. W dzień zajmowała się Jennifer i Toddem, ale w nocy przypominała sobie wszystko od początku i choć Derek mówił zimnym, monotonnym głosem, cała sytuacja stawała jej przed oczyma jak żywa. Ale im bardziej wydawała się realna, tym mniej Katherine z niej rozumiała. Craig wściekły i tracący panowanie nad sobą? Craig rzucający się na kogoś z pięściami? Niemożliwe. Przecież on nigdy nawet nie podnosił głosu. Kiedy coś go zdenerwowało, zamykał się w sobie, nikogo do siebie nie dopuszczając. A po jakimś czasie znów zaczynał rozmawiać i śmiać się; był zrównoważony, nikt nie wiedział, o czym myślał, kiedy się nie odzywał, i w jaki sposób się rozluźnił. A poza tym nienawidził przemocy — nigdy nie podniósł na nikogo ręki.

A jeśli istniał inny Craig, zdolny popadać we wściekłość, obrzucać kogoś obelgami i nieprawdopodobnymi oskarżeniami, tracić nad sobą panowanie... Craig, który próbował nawet udusić własnego kuzyna?

A także zdefraudował pieniądze... i opuścił własną rodzinę.

Craig, jaki ty właściwie jesteś?

Dzieci już spały, a Katherine leżała na sofie, po której prześlizgiwały się czasem światła przejeżdżającego ulicą samochodu—wciąż na nowo przetrawiała opowiedzianą przez Dereka historię, starając się zrozumieć człowieka, którego poślubiła.

Ile razy jego milczenie spowodowane było wspomnieniem zmarłej siostry?

Ile skrywanych przed nią myśli dotyczyło Dereka i furii, nad którą nie potrafił zapanować?

Dlaczego nie rozmawiałeś o tym ze mną?, pytała w myślach Katherine.

Podeszła do okna i popatrzyła na spokojną uliczkę.

Poznała Craiga na otwarciu wystawy sztuki w Vancouver. Stała wtedy przed obrazem przedstawiającym człowieka pochylonego nad barem w nocnej restauracji, kiedy jakiś nieznajomy tuż obok niej zaczął mówić o wizji samotności zobrazowanej na tym i innych płótnach. Ciepłym, głębokim głosem scharakteryzował styl Edwarda Hoppera, który malował ludzi jakby w ramach — na tle okien, pokojów, drzwi — chcąc pokazać, że czują się zamknięci w pułapce, odcięci od świata; słuchając go Katherine zrozumiała, że mówi o samym sobie. Zawarli wtedy znajomość i zjedli razem kolację.

Craig wydawał się jej wtedy taki spokojny i silny, a ze swymi ciemnymi, smutnymi oczyma i bujną brodą wyglądał na więcej niż dwadzieścia sześć lat. Ani na moment Katherine nie przestała mu ufać i kochać go. Teraz stojąc w oknie swego mieszkania w San Francisco wspominała wyraz jego oczu, ciepły głos i podniecenie, jakie czuła, gdy dotknął jej skóry — pierwszy mężczyzna, który ją objął, pierwszy, który zobaczył ją nagą, pierwszy, który popatrzył na nią z pożądaniem.

— Craig — szepnęła czując drażący ją ból.

Ale potem pomyślała, że przecież to było dawno temu. Zawsze wierzyła, że bardzo się kochają, lecz przez te wszystkie lata, od dnia, w którym się poznali, on dusił w sobie tę straszną historię i nigdy się nią nie podzielił.

Jeśli to była autentyczna historia.

Ta myśl zrodziła się w niej nagle. „Prawda”, powiedział wtedy Derek z lekkim uśmiechem. Skąd miała mieć pewność? Od Claude'a słyszała oficjalną wersję, a od Dereka jego własną. A przecież Derek sam mówił, że nie lubił Craiga. Skąd więc mogła wiedzieć, że jego wersja była prawdziwa?

Jedynym człowiekiem, od którego mogła usłyszeć prawdę, był Ross. Dlatego zasypiając bardzo późno w niedzielną noc, postanowiła, że rano zadzwoni do Rossa.

Ale nie cały weekend zajęły jej przemyślenia i roztrząsanie wątpliwości. Dawno już obiecała Jennifer i Toddowi, że aby zrekompensować im swoje wieczorne nieobecności, poświęci im całe te dwa dni i spędzi je z nimi tak, jak sami zechcą — musiała więc czas, w którym chciałyby spokojnie się zastanowić, poświęcić na liczne wycieczki, na przemierzanie miasta wzdłuż i wszerz

autobusami i kolejką, zmuszając się przy tym do rozmowy, choć uwagę pochłaniały jej własne myśli.

— Patrz! — wołał Todd.

Było niedzielne popołudnie, końcówka wyczerpującego weekendu, i cała trójka zwiedzała Exploratorium — ogromne muzeum, w którym wszystkie eksponaty zrobione były tak, by można je poruszać, oglądać i bawić się nimi, zapoznając się jednocześnie z prawami przyrody, nauki i z funkcjonowaniem żywych organizmów. Jennifer pociągnęła Katherine do swych ulubionych eksponatów — żarówek zapalających się na klaśnięcie dłoni, lustra, w którym zdawała się unosić nad podłogą, oraz flesza, co sprawiał, że po wyłączeniu jeszcze przez jakiś czas zostawał na ekranie jej cień.

Potem Todd chciał coś pokazać matce.

— Patrz! — krzyknął pociągając Katherine do telewizora. Gdy przed nim stanął, na ekranie pokazała się jego twarz, ale elektronicznie rozbita na setki kwadracików różnej wielkości — były tam trzy części podbródka, jedno oko większe od drugiego, dwuczęściowy nos i dziwnie powyginana szczęka. — Fantastyczne, no nie? — Przechylił głowę, spojrzął przez ramię i pokazał język. — To ja, fajne, prawda?

— Och, Todd. — Katherine przyklękła na betonowej podłodze i objęła go.

— To fantastyczne, prawda? — powtarzał stojąc sztywno w jej ramionach.

— Jasne — odparła.

I tak myślała. Wreszcie po wielu tygodniach posępnego milczenia Todd dał jej do zrozumienia, co czuje.

— Czujesz się rozbity, prawda? — spytała nie podnosząc się. — Jakaś częśćka ciebie wciąż jest w Vancouver, a inna tu w San Francisco; chciałbyś, żeby tata wrócił do domu, a jednocześnie masz mu za de, że nas zostawił. I pewnie jesteś też zły na mnie, że sprzedałam dom, przywiozłam was tutaj i często zostawiam pod opieką Annie.

Todd patrzył na nią zdziwiony.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Sam mi to powiedziałeś pokazując na ekranie twoją twarz w kawałkach. Ale powiedz, Todd, czy jakaś częśćka ciebie kocha mnie?

— Pewnie.

Nie poruszył się jednak. Kiedyś przytuliłby się i ucałował ją. Mój syn już mi nie ufa, pomyślała Katherine.

— Cóż — powiedziała. — Będziemy musieli porozmawiać o tych kawałeczkach. Ale na razie... — Wstała i rozejrzała się. — Gdzie jest Jennifer?

Znaleźli ją przy drzwiach do innej sali.

— Poczekaj, a zaraz coś zobaczysz — powiedziała z uśmiechem i wbiegła do sali nie mówiąc, co jest w środku.

Katherine poczuła się jak Alicja w Krainie Czarów — zniknął gdzieś świat, który znała, bo nagle skurczyła się do wielkości małej dziewczynki, a Todd i Jennifer urosli przypominając olbrzymy.

— Cudowne, wspaniałe — podśpiewywała Jennifer tańcząc, a Todd biegał po sali i tylko na chwilę zatrzymał się, by ucałować Katherine w policzek.

— Tu chodzi o kąty! — krzyczał rozradowany. — Uczyliśmy się o tym w szkole. W tym pokoju nie ma żadnych kątów prostych i podłoga jest pochyła, i sufit też, i wszystko jest nienormalne, więc my też wyglądamy nienormalnie.

Katherine nic z tego nie rozumiała, ale najważniejsze było dla niej to, że Todd ją pocałował i że obydwójce znaleźli sposób, by powiedzieć jej, jak się czują.

Wieczorem, gdy jedli kolację, spytała:

— A więc chcecie mnie pomniejszyć, tak?

Jennifer podniosła wzrok znad szklanki z wodą sodową i spojrzała uważnie na matkę.

— Czy Todd ci to powiedział? My tylko tak żartowaliśmy.

— Nic nie mówiłem — oburzył się Todd.

— Oboje mi to powiedzieliście. Wtedy gdy zabraliście mnie do tej dziwacznej sali. To było bardzo sprytne, tak mnie zredukować. Ale skoro czujecie się nieszczęśliwi, to dlaczego nie porozmawiacie o tym ze mną? Czy musimy chodzić do Exploratorium, żebym mogła się domyślić, co was gnębi?

Dzieci wymieniły spojrzenia.

— Chodzi o to, że nie wiemy, co dalej z nami będzie — zaczęła Jennifer. — Inne dzieci robią plany na Boże Narodzenie i Wielkanoc i na wakacje, a my nie możemy. Nie możemy planować nawet przyszłego tygodnia.

— Owszem, możecie — odparła spokojnie Katherine. —

W przyszłym tygodniu wciąż tutaj będziemy; i jeszcze przez wiele tygodni.

— Skąd wiesz? — dopytywał się Todd.

— Ponieważ... — Wyjęła z torebki kopertę i podała ją dzieciom. — To przyszło wczoraj.

Jennifer obejrzała stempel pocztowy, po czym wyciągnęła z koperty czystą kartkę, w którą owinięte było pięć studolarowych banknotów.

— Tak samo jak poprzednim razem. Nie ma żadnego listu.

— Nie. Ale stempel na kopercie pochodzi z Manitoby. A to chyba znaczy, że tata często przemieszcza się z miejsca na miejsce i ciągle nie chce, żebyśmy wiedzieli, gdzie jest.

— To mech się odpieprzy — burknął Todd.

— Todd! Nie wyrażaj się tak o własnym ojcu! Słyszysz? Nie wolno ci mówić o nim w taki sposób! Nie wiemy, dlaczego tak się zachowuje. Do tej pory poznaliśmy tylko opinie innych ludzi; nie znamy wersji ojca. I dopóki jej nie poznamy, będziemy na niego czekać pamiętając, jak się o nas troszczył przez te wszystkie lata, i będziemy... — głos jej zadrżał — ...wierzyć w niego. Dlatego, że go kochamy.

— Za te pieniądze moglibyśmy wynająć większe mieszkanie — zauważyła Jennifer. — Miałabym swój własny pokój.

— Nie. Przykro mi, Jennifer, ale skorzystamy z tych pieniędzy tylko wtedy, gdy ty lub Todd będziecie potrzebować ubrań albo czegoś do szkoły, albo gdy trzeba będzie zapłacić Annie. Resztę zdeponujemy w banku.

— Ale tata przysłał te pieniądze dla nas wszystkich. Katherine wolno pokiwała głową.

— Wiem. Nielatwo mi wam to wyjaśnić. — Craig nie może tak łatwo się wykręcić, pomyślała. Jeśli chce nas utrzymywać, to musi podzielić się z nami swoim życiem. Gdy będzie gotów to zrobić, chętnie przyjmę od niego pieniądze. Ale nie wcześniej... — Powinniśmy starać się sami siebie utrzymać. Nie mamy żadnej pewności, że te pieniądze będą dalej przychodzić. A poza tym sędzę, że to bardzo ważne, byśmy czekając na tatę sami spróbowali zbudować nasze życie.

Jennifer spojrzała na matkę tym swoim przeszywającym wzrokiem, który zawsze wprawiał Katherine w zdenerwowanie.

— Czy dlatego właśnie cały czas spotykasz się z Derekiem Haywardem?

— Wcale nie spotykam się z nim cały czas — zaczęła się bronić Katherine, ale zaraz się zreflektowała. — Widuję się z Derekiem dla towarzystwa. Jest moim przyjacielem. Wy też macie przyjaciół w szkole. Wszyscy ich potrzebujemy. Powinniście zrozumieć... — Nie przeholuj, ostrzegła się w myśli. — Rozumiecie to przecież. A może opowiecie mi o koncercie planowanym z okazji Bożego Narodzenia?

Trochę zbici z tropu, bo śpiew w chórze był dla nich nowym doświadczeniem i bardzo byli tym przejęci, zaczęli opowiadać o piątkowej próbie, tak że gdy w końcu wychodzili z restauracji, nie skarżyli się już na to, że nie mogą spokojnie planować przyszłości. Nie robimy planów, pomyślała Katherine, ponieważ przyszłość tworzymy sami każdego dnia.

Ale później, gdy dzieci już spały, a ona stała przy oknie tęskniąc za Craigiem i po raz nie wiadomo który przypominając sobie opowiadanie Dereka, wyobrażając też sobie, jak Craig dusi własnego kuzyna i co jeszcze przed nią ukrywał, załamała ręce sfrustrowana.

Craig, jaki ty właściwie jesteś? — myślała.

Im więcej się o nim dowiadywała, tym mniej rozumiała. I nawet gdy już postanowiła, że zadzwoni do Rossa i skonfrontuje z nim wersję Dereka, nie była pewna, co jej to właściwie da. W miarę bowiem jak mijały tygodnie i miesiące, Craig stawał się wciąż innym człowiekiem. Ona zresztą też.

— Co byście powiedzieli — zagadnęła dzieci przy śniadaniu — gdybym zaczęła inaczej się czesać?

Obydwoje przechylili głowy, tak jak robił to Craig, i popatrzyli na nią uważnie.

— A jak? — spytał Todd.

— Nie wiem. Leslie miała jakiś pomysł. Pomyślałam, że poproszę ją o radę.

— A czy bardzo się zmienisz? — chciał wiedzieć Todd.

— Myślę, że nie. Przecież będę miała tę samą twarz.

— Więc po co chcesz to zrobić?

— Żeby jak najlepiej wyglądać, gdy spróbuję sprzedać moją biżuterię. — Ugryzła się w język i powiedziała prawdę. — Po prostu

po to, żeby wyglądać jak najładniej. — Uważała, że jej fryzura nie ma nic wspólnego z interesami. Chodzi tylko o zmianę.

— Chyba nic by się nie stało — orzekła Jennifer. — Jeśli oczywiście cię rozpoznamy.

— Bo jeśli nie — zagroził Todd — to odejdziemy z jakąś inną mamą, która okaże się wilkołakiem w przebraniu, szukającym ludzkich dzieci do pracy w piwnicy, żeby sprzątały kości ludzi, których już zjadła, i żeby stamtąd uciec, będziemy musieli zrobić z kości drabinę i wspiąć się po niej...

— Och, Todd! — przerwała bratu Jennifer zbierając ze stołu swoje podręczniki. — Rzeczywiście macie zamiar zmienić fryzurę, mamó? — spytała.

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

— Raczej nie.

— Więc chyba zmienię.

— Nareszcie! — krzyknęła Leslie tego wieczoru. — Lista gotowa: fryzjer, masażystka, manikiurzystka, masaż twarzy. Zaraz, jak nazywa się pani, która robi masaż twarzy? Twarzogniataczka? Ta, która konserwuje twarz?

Śmiejąc się Katherine powiedziała:

— Ależ, Leslie, ja miałam na myśli tylko nową fryzurę.

— Włosy nie są odseparowane od reszty ciała. Pomyśl, pomalowałabyś jedną nogę krzesła zostawiając pozostałe? Słuchaj, moja ty damo, wszystko już dla ciebie zaplanowałam. Cały zespół ekspertów czeka na twoje rozkazy i to w bardzo dogodnym miejscu, bo u „Heatha”, gdzie przecież przysługuje ci zniżka dla pracowników. Umówię cię na sobotę na dziewiątą. Przeznacz na to pół dnia. Dobrze?

— Dobrze — zgodziła się.

I na cały sobotni ranek zatopiła się w luksusie brzoskwiniowo--srebrnych gabinetów salonu „Heatha” niczym w bajkowej oranżerii, do której świat zewnętrzny nie ma dostępu. Przez cztery godziny pławiła się w pachnącej parze, w kremach i żelach, rozkoszowała muśnięciami miękkich gąbek, pędzelków i puszków i delikatnym dotykiem zręcznych rąk, które czesały jej włosy, malowały paznokcie i masowały ciało. Z odrobiną smutku pomyślała, że te ręce starły z niej ostatnie ślady Vancouver.

— Nic dodać, nic ująć — osądziła Leslie po południu, patrząc na stojącą przed lustrem Katherine. Nie posiadała się z radości. — Całkiem nowa kobieta. No i co, miałam rację? Nigdy się nie myłę w tych sprawach. Katherine; wyglądasz olśniewająco. Nie, nie jak typowa piękność z reklam pasty do zębów, nie tak. Lepiej. Znacznie lepiej. Całkiem nowa osoba.

— Nie jestem nową osobą — zaprotestowała Katherine, ale czuła się trochę nieswojo, bo zupełnie inaczej wyglądała w znanym sobie otoczeniu. A kiedy dzieci wbiegły do domu i w progu pokoju stanęły jak wryte z otwartymi ustami, uczucie zażenowania jeszcze się pogłębiło.

— Cześć — przywitała je. — Jak tam próba?

— W porządku. — Jennifer stała wpatrzona w matkę. — Mówiłaś, że twarz będziesz miała tę samą.

— Hej, hej — odezwała się Leslie. — Chyba nie powiecie, że to nie jest twarz waszej mamy.

— Wygląda jak księżniczka — zauważył Todd.

Katherine znów popatrzyła w lustro. Stała prosto, z wysoko podniesioną głową, dokładnie tak, jak uczyła ją Victoria, a ciemne gęste włosy, które do tej pory wiązała w kok, teraz okalały jej twarz i luźnymi lokami spływały na ramiona; skóra na buzi stała się jakby mniej napięta, a cała twarz robiła wrażenie pełniejszej; brązowe oczy wydawały się większe i szerzej rozstawione, a ich kąciki nieco bardziej uniesione do góry. Wystające kości policzkowe i delikatne cienie pod nimi podkreślały ciepłą barwę jej ust. Derek nazwał ją piękną kobietą. Teraz, kiedy przyjrzała się sobie w lustrze, stwierdziła, że miał rację.

— Czy zawsze będziesz tak wyglądać? — spytała nieśmiało Jennifer.

— Mam taki zamiar — odparła Katherine. — Nie wydaje ci się, że wszyscy moglibyśmy przyzwyczać się do tego nowego wyglądu?

— Gdyby tata mógł cię teraz zobaczyć — westchnął Todd — wróciłby natychmiast. — Katherine zarumieniła się. Nawet nie pomyślała o Craigu. — Możemy wysłać mu zdjęcie, mamó? Tam, skąd przyszły pieniądze? Do Manitoby?

— Przecież nie mamy adresu, głuptasie — powiedziała Jennifer. Cały czas przyglądała się Katherine.

Wróciłby natychmiast, powtórzyła w myśli Katherine. Spojrzała na stolik, na którym leżał nie ukończony jeszcze wisiorek. Pomyślała o czekach — cztery dni temu, dokładnie pierwszego dnia miesiąca, podpisała je własnym nazwiskiem płacąc w ten sposób rachunki zarobionymi przez siebie pieniędzmi. Popatrzyła w lustro na odbicie kobiety, której sama jeszcze nie знаła, wciąż przecież znajdowała się u progu nowych odkryć.

Wcale nie jestem pewna, czy chcę, żeby mnie teraz zobaczył, pomyślała. I natychmiast to sobie wyjaśniła: bo nie jestem wcale pewna, czy jeszcze chcę, żeby on wrócił.

Rozdział dziewiąty

List leżał na środku biurka. Ross ponownie rzucił na niego okiem, po czym przeszedł do stolika, na którym stała makieta BayBridge. Uśmiechając się do siebie, zdjął jeden z budynków i zastąpił go innym, nowocześniejszym. To był ostatni krok. Ivan Macklin napisał właśnie, że otrzymał czek Rossa za anulowanie umowy o dzierżawę i że wkrótce się wyprowadzi. Wreszcie Macklin Building opustoszeje i Ross będzie mógł nad nim popracować.

Jest częścią BayBridge, pomyślał siadając przy biurku. I co ważniejsze jest pusty. Nareszcie będzie można przeprowadzić tam inspekcję. Ross sięgnął po notes i zaczął zapisywać uwagi dla inżynierów. Słyszał, że zadzwonił telefon, lecz zajęty notowaniem dopiero po drugim dzwonku zdał sobie sprawę, że sekretarka wzięła wolne popołudnie na świąteczne zakupy.

— Słucham — odezwał się nie przerywając pisania. Ręka zatrzymała mu się, gdy usłyszał głos Katherine.

— Dzwoniłam do ciebie w zeszłym tygodniu — powiedziała. — Ale nie było cię w mieście.

Milczał. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ze sobą rozmawiali. Parę tygodni temu. A nie widział jej od tamtego

wspólnego lunchu. To był wczesny wrzesień — dzieci akurat zaczęły szkołę. Trzy miesiące temu. Milczenie w słuchawce uświadomiło mu, że Katherine czeka. Narysował na kartce ozdobne K.

— Jak się masz? — spytał.

— Dobrze. Wszystko w porządku. Tylko Jennifer i Todd mają zmienne nastroje, raz są zadowoleni z przyjaciół i szkoły, a zaraz potem snują się po domu i winią mnie za wszystko. Właściwie cały czas albo się sprzeczamy, albo godzimy. Ale poza tym... w porządku. Wiesz, że dostałam pieniądze od Craiga?

— Tak.

Ross miał na bieżąco informacje o Katherine. Wiedział, że nieźle daje sobie radę, a nawet odkłada większość pieniędzy, które dostaje pocztą. Słyszał też, jak czasami spędza wieczory.

— Tak myślałam, że ci powiedzą — oznajmiła. — A mówili o czymś jeszcze?

— Nie. Jak tam twoja praca?

Katherine zawahała się — po chłodnej uprzejmości Rossa poznała, że wie o wszystkim.

— Chyba zmienia się na lepsze. Czasem Gil pyta nawet o moje zdanie. Dwa tygodnie temu, gdy już poszłam do domu, wykorzystał moje pomysły ulepszenia wystawy z narciarzami i oczywiście zasługi przypisał sobie, kiedy prezes pochwalił gotową scenkę. Nie wiem, czy mogę to uznać za postęp w pracy.

— W pewnym sensie — odparł uśmiechając się. — Z tego, co wiem, widziałaś się kilka razy z Victorią.

— Dwukrotnie. Spotkałyśmy się na herbatce. Cudownie się czuję w jej towarzystwie; gdy potem wracam do domu, zawsze mi jej brakuje.

Nagle Rossowi zrobiło się żal Katherine, bo w jej głosie pojawiła się tęsknota.

— A co z twoją biżuterią? — spytał. — Chyba zamierzałaś coś sprzedać...

— Ciągłe się uczyć...

Ross wysłuchał opowiadania Katherine o tym, jak instruktor pożyczycza jej własne narzędzia i sprzęt, na którego kupno ona nie może sobie pozwolić. Zastanawiał go jej głos — znacznie piękniejszy niż ten, który pamiętał, łagodny teraz, wyraźny, z zauważalnym akcentem wesołości — wcześniej nie było w nim jej słycać. A więc

Kathcrine zmieniała się, może nawet bardziej niż mu mówiono. Przypomniiał sobie tę wystraszoną, zagubioną kobietę, którą poznał w Vancouver, a potem zaprosił na kolację u Victorii — polubił ją wtedy i podziwiał za to, że choć jej dotychczasowe życie rozpadło się w gruzy, ona okazała siłę ducha.

Ale, do cholery, pomyślał słuchając Katherine z ożywieniem opowiadającej o spotkaniu z Hermanem Mettlerem, jak ona może sypiać z Derekiem? Czekając na Craiga chciała obronić się przed samotnością, ale jak mogła ze wszystkich mężczyzn wybrać właśnie tego sukinsyna, który nie wie, co to współczucie i przyjaźń? I dlaczego właściwie Derek jest nią zainteresowany? On przecież nigdy nie robi niczego bez wyraźnego powodu, a zwraca uwagę wyłącznie na najpiękniejsze kobiety. A jednak plotkowano, że widuje się ich wszędzie, na przykład na wystawie sztuki peruwiańskiej w muzeum czy w restauracji „Marrakesz”, gdzie widziała ich Melania, gdy zaszła tam ze znajomymi z klubu tenisowego. Tak więc z jakiegoś powodu Derek użył swego czaru w stosunku do Katherine, a ona mu uległa; zresztą nie była pierwszą kobietą, której się wydawało, że Derek rzuca jej świat pod nogi. Oczywiście, tak właśnie musiało być. Ross nie wiedział, o co chodzi bratu, ale był w stanie zrozumieć, że samotna kobieta nie widząca przed sobą większych perspektyw może ulec bogatemu mężczyźnie, którego perspektywy wydają się nieograniczone.

Może mógłbym jej pomóc znaleźć kogoś bardziej dla niej odpowiedniego?, pomyślał. Ale zbyt wiele spraw odciągało jego myśli — Melania, to, co działo się z ich małżeństwem, praca. Fakt, że Katherine przynależy do rodziny jako żona Craiga, też nie ułatwiał sytuacji. Derek nie przejmował się takimi rzeczami; on po prostu wyciągał rękę i brał to, co chciał mieć.

Ross uświadomił sobie, że Katherine skończyła opowiadać.

— Zrobiłaś dobry początek — rzekł. — Nie mogłaś trafić lepiej, Mettler to firma.

— Jeśli spodobają mi się moje prace. Niczego mi nie obiecywał, a ja staram się nie robić sobie wielkich nadziei. — Przerwała na chwilę. — Ross, chciałabym cię o coś zapytać. W zeszły piątek Derek opowiedział mi o tym wypadku na żaglówce. Ale jest sporo szczegółów, których nie rozumiem, które jakoś mi nie pasują i chciałam z tobą porozmawiać...

Ross milczał. Nie miał ochoty rozmawiać o wypadku. Co do wydarzeń tamtego dnia wciąż miał z Derekiem rachunki do wyrównania, ale wolał zrobić to bezpośrednio z nim, nie przez Katherine. Zresztą i tak nie mógł jej powiedzieć nic, co zrobiliby z Craiga bohatera, więc uznał, że lepiej nie poruszać tego tematu.

Poza tym nie za wiele mógł jej pomóc w jakiegokolwiek sprawie. Katherine budowała własne życie, Dereka uczyniła jego częścią, on nie miał prawa się wtrącać. Ani rywalizować.

— Moim zdaniem powinnaś poprosić o wyjaśnienia Dereka — odparł w końcu. — Nie wydaje mi się, żebym mógł dodać coś znaczącego. — Powiedział to wbrew sobie, bo ją lubił i wolałby, żeby nie dzieliło ich tak wiele. — Przykro mi — dodał. — Może kiedyś...

Spojrzał na drzwi, w których pojawił się jeden z jego pracowników pokazując na zegarek, Ross przytaknął skinieniem.

— Przykro mi — powtórzył do słuchawki. — Spieszę się na zebranie. Życzę ci szczęścia u Mettlera; pewnie Victoria opowie mi jak ci poszło.

— Ross?...

— Naprawdę się spieszę. Do widzenia Katherine.

Wciąż słyszał jej głos. Siedząc na zebraniu cały czas pamiętał śpiewne, wesołe brzmienie jej słów na początku rozmowy i wyraźne zdziwienie, kiedy tuż przed odłożeniem słuchawki wypowiedziała jego imię w pytaniu, którego nie pozwolił jej dokończyć. To dlatego, że nie chciałem rozmawiać o wypadku, usprawiedliwiał się, wiedząc doskonale, że tak naprawdę nie chciał mówić o niej i o Dereku.

— Musimy zaplanować prace związane z Macklin Building — zwrócił się do swych podwładnych. — Właśnie dostałem od Macklina wiadomość o rezygnacji z dzierżawy. Zwolni budynek za dwa miesiące. To znaczy około połowy lutego, więc jeśli się sprężymy, możemy zacząć prace wiosną albo wczesnym latem. Trzeba jednak skoordynować je z planami dotyczącymi całości Bay Bridge.

Wszyscy wiedzieli, że Ross od pięciu lat jest właścicielem budynku, ale nie mógł nim rozporządzać, bo Ivan Macklin nalegał na sześcioletni okres dzierżawy, zanim zgodzi się opuścić biura. Ale nikomu Ross nie wyjaśnił, dlaczego kupił ten obiekt — w końcu

był to pojedynczy, zwyczajny blok usytuowany w miejscu, gdzie wszystko chyliło się ku upadkowi, i nikt nie mówił nawet o przebudowie, a w tamtym czasie pomysł BayBridge jeszcze nie istniał — miał się narodzić dopiero za rok. Teraz, kiedy projekt BayBridge stał się rzeczywistością, pracownicy uważali pewnie Rossa za jasnowidza, który wie, co i kiedy kupić i jak prowadzić negocjacje z planistami, żeby uwzględnili Macklin Building w projekcie. A niech sobie w to wierzą, pomyślał Ross z rozbawieniem. Któż nie chciałby, by jego podwładni myśleli, że ich szef ma nadludzkie zdolności?

— Jesteśmy w całości odpowiedzialni za renowację, ale im bardziej uda nam się zaangażować w to fachowców mających pracować przy projekcie BayBridge, tym mniejsze poniesiemy koszty. Potrzebny mi dokładny harmonogram prac. Chciałbym wiedzieć, kiedy możliwe będzie przeprowadzenie inspekcji budynku. Kiedy otrzymamy ostateczny plan arkady i renowacji górnych pięter? Kiedy możemy zaangażować firmę budowlaną? Jest pewien problem, tak, Donno?

— Ross, nie mogę znaleźć raportu inżynierów na temat tego budynku.

— Właśnie miałem o tym powiedzieć. Taki raport nie istnieje.

— To znaczy, że nie otrzymałeś żadnego, gdy kupowałeś ten blok?

— Ten budynek to zupełnie indywidualny przypadek. — Powiódł wzrokiem po zebranych: współpracownikach, przyjaciółach, ludziach, którym ufał. — Nie wiem, co stało się z raportem, po prostu go nie ma. Ale moim zdaniem istnieje prawdopodobieństwo, że Macklin Building ma słabe fundamenty. To tylko domysł, ale jeśli mam rację, to musimy przeprowadzić zarówno prace naprawcze, jak i renowacyjne.

— No cóż, przejrzymy plany architektoniczne — stwierdziła praktycznie Donna. Ross potrząsnął przecząco głową.

— To nie takie proste. Nie jestem pewien, czy rzeczywistość zgadza się z planami. A jeśli nie i jeśli fundamenty nie są zupełnie w porządku, to chcę je wzmocnić, włączając te prace w ogólne zabiegi renowacyjne.

Nikt nie spytał, dlaczego Ross spodziewa się kłopotów z fun-

damentami. Dla nich była to praca do wykonania; ufali Rossowi i wiedzieli, że on też im ufa. Donna zebrała swoje notatki.

— Dobrze. Potrzebujemy specjalisty od fundamentów, żeby sprawdził kolumny nośne i podłoże, w którym tkwią. Może chciałbyś zaangażować do tego jakiegoś konkretnego inżyniera, Ross?

— Później podam ci kilka nazwisk. A teraz zajmijmy się harmonogramem przebudowy Macklin Building i omówieniem waszych zadań w projekcie BayBridge.

Zabrali się do pracy. Byli to ci sami ludzie, których Ross zaangażował, gdy przed sześcioma laty tworzył swoją firmę, i wciąż czuli się ze sobą dobrze, znając nawzajem własne mocne i słabe strony. Całkiem jak rodzina, pomyślał Ross, gdy godzinę później się rozeszli. Ale gdy zamykał drzwi gabinetu, uświadomił sobie, że to nieprawda. Firma Ross Hayward Associates nie przypominała rodziny, bo Ross wybrał jej członków tak, by uzupełniali się i szanowali nawzajem i aby pracowali dobrze jako grupa. A więc nie są jak rodzina, poprawił się w myśli. A przynajmniej nie taka jak moja.

Kiedy wszedł do salonu, zastał w nim Melanię. Stała tyłem do rozsuwanych szklanych drzwi prowadzących na taras, skąd rozciągał się widok na gwiaździsty krąg utworzony przez światła wokół zatoki; ten wspaniały widok sprawiał, że chętni do kupna domu tłumnie zjeżdżali się na wzgórze Tiburon w przekonaniu, że w obliczu takiego piękna zniknęłyby wszystkie ich problemy. Ross jednak wiedział, że to złudne nadzieje. Każdy z nas, pomyślał, idzie przez życie z bagażem nagromadzonych przez lata żalów i trosk i najwspanialsze nawet widoki na świecie nie są w stanie choćby odsunąć ich na bok.

Melania nie patrzyła na zatokę. Wrzucała do martini kostki lodu i obserwowała, ile płynu każda z nich rozpryskuje na drogi dywan.

— Nie uprzedziłeś mnie, że wrócisz później. Czekałam na ciebie od godziny.

— Przepraszam. Miałem zebranie i straciłem poczucie czasu. Macklin się wyprowadza, Melanio; wreszcie będę mógł zająć się budynkiem. — Patrzył, jak Melania uważnie ogląda kostkę lodu,

po czym wkłada ją do szklaneczki. Krople trunku spadły na jej buty z krokodylowej skóry. Nazwał się w myśli głupcem, lecz uparcie ciągnął dalej: — Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? Tego wieczoru, kiedy przyniosłem ci spinę od Mettlera i poszliśmy na kolację...

— Dzisiaj jest przyjęcie u Wildingów. Wybierałam się na nie. W tym błękitno-złotym salonie stali bardzo blisko siebie, lecz dzieliła ich odległość nie do przebycia.

— To dlaczego nie idziesz? — spytał Ross.

— Bo wstydę się pokazać ludziom na oczy. Wszyscy, którzy tam będą, słyszeli o moim przyjęciu. Jak mam im teraz powiedzieć, że się nie odbędzie?

— Jakie przyjęcie?

— Jakie przyjęcie! Cholernie dobrze wiesz jakie! To, które odwołałeś!

— Nie odwołałem przyjęcia. Tylko nie chcę, żeby odbyło się w ogrodzie i sali balowej.

— Tylko! Tylko! A ja właśnie tam chciałam je urządzić. Bo gdzież mam pomieścić trzysta pięćdziesiąt osób? W naszym przytulnym saloniku? W twoim drogocennym Macklin Building? To miało być przyjęcie roku i gdybyś choć trochę się zastanowił, wiedziałbyś, że korzystnie wpłynie także na twoje interesy. Od tygodni je przygotowywałam — dekoracje, menu, zaproszenia, a ty uznałeś, i to bez uzgodnienia ze mną, ty draniu, że go sobie nie życzysz i jednym telefonem zniszczyłeś wszystko, co zrobiłam. Poniżyłeś mnie wobec ludzi z Fairmont i moich przyjaciół, takich rzeczy nie da się utrzymać w tajemnicy! Nie miałeś prawa tak mnie potraktować!

Ross podszedł do baru i nalał sobie szkockiej,

— Masz rację. Przepraszam.

— Co?

— Przepraszam. To było paskudne z mojej strony i bardzo mi przykro.

— A więc odkręć to, co zrobiłeś!

— Nie. — Wychylił szklaneczkę do dna, nalał sobie nową i zrobił parę kroków w stronę Melanii. — Nie przepraszam cię za to, że odwołałem przyjęcie w Fairmont. Przykro mi, że zrobiłem to w taki właśnie sposób. W tym roku urządziłaś już dwa przyjęcia,

z których każde kosztowało piętnaście tysięcy dolarów. Przez ostatnie pół roku wydałaś prawie czterdzieści tysięcy na stroje, rozrywki i podróże. Nie możemy sobie pozwolić na twój nowy bal. Nie przyszło ci do głowy, że to ja zarabiam pieniądze i że nie napływają one w coraz większych ilościach? Nie odchodź; mówię do ciebie!

Ignorując Rossa Melania podeszła do baru i nalała sobie martini z karafki. Patrząc na nią Ross uświadomił sobie nagle, że nigdy nie nosiła spinki, którą jej podarował. Zresztą tamtego wieczoru nie rozmawiali nawet ze sobą tak, jak miał nadzieję. Melania podziękowała za prezent całusem, a potem głównie ona opowiadała z rozbawieniem różne historyjki — potrafiła być taka, kiedy się postarała; tematem większości opowieści były dzieci.

Teraz wcale nie próbowała rozweselić Rossa; słuchając męża, z kamienną twarzą wrzucała do szklaneczki kostki lodu.

— Zamierzam wprowadzić kilka zmian — zaczął. — Od tej pory będziesz dostawać dwa tysiące dolarów miesięcznie na prowadzenie domu. Wliczam w to twoje szminki, pończochy i karmelki. Gdy będziesz chciała kupić jakieś stroje u Wilmy albo urządzić przyjęcie, musisz przyjść z tym do mnie i wspólnie podejmiemy decyzję. Czy wyrażam się jasno? Mam już dość wypisywania czeków dla żadnego pieniędzy dziecka, które jako kobieta nie daje mi nic — ani swego towarzystwa, ani seksu, ani nawet przyjaźni...

— Chcesz powiedzieć, że podpiszesz czek tylko wtedy, gdy na niego zapracuję? Będziesz płacił za moje usługi? Co dostanę, jak mnie raz przelecisz? Jedną parę butów? Czy jak cię wyszę, zarobię na torebkę do kompletu? A co muszę zrobić, żeby wydać przyjęcie w?...

— Zamknij się! — krzyknął. — Widzę, że zupełnie nic nie rozumiesz. Czy wiesz, że tamtego wieczoru zamierzałem pójść do Victorii, by podzielić się z nią swoimi odczuciami, ale jednak zdecydowałem przyjść do domu do mojej żony i z nią porozmawiać o sprawach, które mają dla mnie ogromne znaczenie. Pomyślałem, że dam jeszcze jedną szansę...

— Wiec jesteś głupcem.

— O, tak. To prawda. Ale skoro obydwójce już o tym wiemy, to czas najwyższy, żebym przestał nim być. Czy zrozumiałaś zasady, według których będziemy rozporządzać naszym budżetem?

— Na pewno nie będę prosić cię o pozwolenie na wydawanie pieniędzy.

— Będiesz prosić w kwestii każdego większego wydatku przekraczającego twój miesięczny budżet.

Melania z krzykiem rzuciła w Rossa szklankę. Uchylił się, a szklanka rozbiła się na olejnym obrazie, który kupił w Nowym Jorku tego roku, kiedy się pobrali.

— Gdy się uspokoisz — powiedział twardo — porozmawiamy o pieniądzach i innych sprawach, które trzeba uzgodnić.

— Nie życzę sobie rozmawiać z tobą! — wrzasnęła. — Ty sukinsynu, chcesz się na mnie odegrać za to, że Derek pomagał mi przygotować to przyjęcie...

— Derek?

— Dobrze wiedziałeś!

— Nie. Nie wiedziałem. Ale Derek nie ma nic wspólnego z...

— Kłamiesz. Bo dlaczego niby odwołałeś moje przyjęcie? Nigdy wcześniej nie zrobiłeś czegoś podobnego! Zawsze, gdy w grę wchodzi twój brat, stajesz się złośliwy. Jesteś zazdrosny, bo Curt od początku bardziej kochał jego niż ciebie... biedactwo nie kochane tak jak braciszek... ty nawet uciekłeś do Nowego Jorku, żeby być dalej od Dereka. A teraz zatruwasz mi życie tylko dlatego, że Derek jest moim przyjacielem. Wszyscy mają cię za takiego sympatycznego faceta! Boże, gdyby wiedzieli jaki jesteś naprawdę!

Ross ostrożnie odstawił szklaneczkę.

— Melanio, posłuchaj. Moja decyzja nie ma nic wspólnego z Derekiem. To sprawa wyłącznie między nami. Nie chcę zatruwać ci życia, nie chcę niczego niszczyć, chcę tylko odbudować coś, co było między nami dawno temu. Przeżyliśmy tyle cudownych chwil, zwłaszcza w Nowym Jorku...

— Ale już ich nie przeżywamy! I to od dawna! — mówiła zadyszana. — Byłam doskonałą żoną, robiłam wszystko, co chciałeś, nawet przeprowadziłam się tu z Nowego Jorku, chociaż wcale nie miałam na to ochoty, opuściłam moich przyjaciół i rodziców, a ty traktujesz mnie jak dziecko, jesteś zimny i.., bez serca! — Rozłożyła ręce na bok i niczym po linie przeszła między odłamkami szkła. — Powiem ci, co masz zrobić. Narysuj jeden z tych swoich ukochanych projektów i pokaż na nim, jak zamierzasz zrekompensować mi to,

że poniżyłeś mnie w oczach moich przyjaciół. Przejrzę go, jak wrócę. Może mi się spodoba, a może nie.

Błyskawicznie znalazła się przy drzwiach i wybiegła, zatrzasnąwszy je za sobą.

Ross przez chwilę stał nieruchomo, po czym schylił się i zaczął zbierać okruchy szkła. Przerwał mu jakiś dźwięk, więc podniósł wzrok. U szczytu schodów, bez ruchu niczym wykute z kamienia, siedziały jego dzieci — musiały wszystko słyszeć.

Wtorek dziesiątego grudnia był w kalendarzu Katherine zaznaczony obwódką z informacją: ósma rano u Mettlera. W miarę jak ten dzień się zbliżał, zarówno Katherine, jak i dzieci były coraz bardziej zdenerwowane.

— Na pewno powie, że są cudowne — orzekła Jennifer patrząc, jak Katherine poleruje wisiołek z malowanej na niebiesko stali; próbowała zastąpić nią srebro, na które nie było jej stać.

Todd wskoczył na kanapę i wygłosił z powagą:

— Droga pani Fräser, pani biżuteria jest tak piękna, że natychmiast trafi do Anglii, do samej królowej Elżbiety, a gdy ona ją zobaczy, od razu wsiądzie do concorde'a, przyleci do San Francisco i zeskoczy na spadochronie wprost przed pani drzwi — jeśli w ogóle znajdzie je w tej przebrzydłej mgle — da pani milion dolarów i zamówi biżuterię dla całej rodziny i przyjaciół, i wszystkich w tym, jak mu tam...

— Parlamencie — odpowiedziała Jennifer.

— Nie. W tej Izbie Pospólstwa czy coś w tym rodzaju... Katherine wybuchnęła śmiechem.

— W Izbie Gmin. Todd, jesteś wspaniały; mam nadzieję, że twoje słowa się spełnią.

— Naprawdę jestem wspaniały, mamo?

— Tak — odparła przyglądając się biżuterii.

— To dlaczego nikt tutaj nie zwraca na mnie żadnej uwagi?

— O mój Boże! — Katherine odłożyła wisiołek, obróciła się na krześle i rozłożyła ręce, a Todd zeskoczył z kanapy i podbiegi do niej. — Przepraszam, kochanie. Tyle mam jeszcze do zrobienia przed jutrzejszym porankiem.

— Wiem. — Popatrzył na nią uważnie. — Mamo, jeśli temu

facetowi spodobają się twoje ozdoby i kupi wszystko, i zarobisz furę pieniędzy...

— Tak?

— Wtedy nie będziesz już potrzebować taty, prawda? Obejmująca Todda Katherine zeszywniała. Popatrzyła na

stojącą w pobliżu i obserwującą ją Jennifer, która natychmiast przyszła z pomocą.

— Głupi jesteś, Todd. Czy twoim zdaniem potrzebujemy taty tylko dlatego, że zarabia dla nas pieniądze, czy dlatego, że go kochamy?

— Kochamy go, ale... — Todd zmarszczył czoło próbując przypomnieć sobie, co miał na myśli. Jednakże słowa Jennifer wprowadziły mu zamęt w głowie i nawet później, kiedy już położył się spać, nie bardzo wiedział, o co mu chodziło.

Katherine jednak wiedziała, że Todd przypomni to sobie i że znów zwróci się do niej z tym pytaniem. On i Jennifer zaczęli rozumieć, że drugiego człowieka można potrzebować z różnych względów. Któregoś dnia porozmawiam z nimi o tym, pomyślała. Jak już będę wiedziała, co im powiedzieć. Jak już będę wiedziała, ile znaczy dla mnie Craig.

A on wciąż na nią patrzył. Znad biżuterii i szkiców, które zamierzała zabrać do Hermana Mettlera, wpatrywały się w nią oczy z fotografii. Podparłszy brodę ręką Katherine spoglądała spokojnie na Craiga, przypominając sobie ciepłe chwile ich wspólnego życia. Gdy jednak spróbowała odnaleźć w sobie tę radość, którą zawsze czuła na wspomnienie dnia, kiedy Craig zabrał ją do pierwszego ich mieszkania w Vancouver i kochał się z nią na podłodze, bo nie przywieziono jeszcze mebli, stwierdziła, że niczego takiego już nie czuje. Radość przeminęła. A ona nie miała czasu, żeby odbudować w sobie to uczucie. Jakby wbrew niej jej wzrok ześlizgnął się z fotografii Craiga i spoczął na biżuterii i szkicach, a myśli wybiegły naprzód do spotkania z Mettlerem i skupiły się na jednym — co jeszcze mogłaby zrobić, żeby wizyta u jubilera zakończyła się sukcesem.

— Ach, tak. — Głos Hermana Mettlera zadudnił, gdy jubiler rozmieszczał na biurku, niczym literki na kompasie, cztery przyniesione przez Katherine sztuki biżuterii. Na wypolerowanym blacie

pod jego szeroko rozłożonymi palcami wydawały się maleńkie i szare. — Marc wspominał mi, że pracuje pani u Tony'ego. To silna indywidualność, ten Tony. Wywiera duży wpływ.

— Te rzeczy sama zaprojektowałam — powiedziała Katherine wręczając mu folder ze szkicami. — Te również.

— Wcale w to nie wątpię. Wcale nie wątpię. Ale czyjś wpływ jest jak zapach z odległej restauracji; zabierasz się do gotowania zupy cebulowej, nawet nie zdając sobie sprawy, że zainspirowała cię do tego wdychana wcześniej woń. Ale, ale. Spójrzmy, co tu pani ma. Mimo wszystko Tony jest lepszy niż zupa cebulowa.

Śmiejąc się z własnego dowcipu ułożył szkice w wachlarz, niczym karty do gry, obok biżuterii i uważnie się im przyjrzał. Katherine siedziała wyprostowana z rękoma splecionymi na kolanach. Do tej pory nikt poza Toddem i Jennifer nie oglądał jej wyrobów. W Vancouver znajomi zwykle wprowadzali ją w błąd, bo przesadnie ją chwalili, przez co łudziła się, że jest lepsza niż w rzeczywistości. Postanowiła, że nigdy więcej do tego nie dopuści. Dlatego nikomu nie pokazywała swych projektów — nawet Leslie. A teraz nie mogła niczego poznać po beznamietnej twarzy Mettlera, zaczęła się więc rozglądać po jego biurze. Na wyłożonych boazerią ścianach wisiały oprawione w ramki fotografie gwiazd filmowych, które własnym podpisem wyrażały wdzięczność Mettlerowi.

— To przyjaciele — odezwał się Mettler. Katherine zaskoczona odwróciła się i zobaczyła, że jubiler na nią patrzy. — Kobiety pamiętają tego, kto pomoże im podkreślić ich piękno. Pani prace wyglądają obiecująco. Zaczniemy od tuzina.

— Dwanaście sztuk? — spytała, szeroko otwierając oczy.

— Bransoletki, szpilki, naszyjniki. Ale żadnych kolczyków; tych, które mam, wystarczyłoby, żeby ozdobić wszystkie uszy na zachód od Gór Skalistych. — Dusząc się ze śmiechu patrzył na Katherine tak wyczekująco, aż w końcu zrozumiała, iż jubiler czeka, by roześmiała się z jego żartu. Uśmiechnęła się więc. — A więc do rzeczy. — Mettler oparł się wygodnie. — To, co mi się podoba, kupuję od razu; nie robię zamówień. Biorę te niebieskie stalowe wisioriki; te dwie rzeczy mnie nie interesują. Ile pani za nie chce?

Katherine zawahała się.

— Nie wyceniłam ich.

— Tak też myślałem. A to trzeba umieć, musi się pani zorientować. — Chwilę się zastanawiał. — Za tę mewę dam pani siedemdziesiąt, za węża dziewięćdziesiąt, a tak przy okazji, podoba mi się sposób, w jaki wykorzystywała pani kornalinę; i to, że skupiła się pani na środkowej części i na oku. Między innymi dlatego uznałem, że pani prace są obiecujące. Sekretarka wyśle pani czek na sześćdziesiąt cztery dolary.

— Sześćdziesiąt cztery?

— Pobieram czterdzieści procent prowizji. Normalnie oczywiście moja cena jest wyższa od sumy, której żąda projektant. Ale skoro pani nie wie, jak wycenić własne wyroby, zastosowałem odwrotną taktykę. Ma pani coś przeciwko?

— Nie. Tylko zdziwiło mnie to.

— A więc w porządku. Do końca lutego proszę mi dostarczyć jeszcze dziesięć sztuk; akurat na otwarcie wiosennego sezonu. Szeroko się reklamujemy, więc pani nazwisko stanie się dość znane, jeśli pani na to zasłuży. Niech pani używa barwników; niektórzy projektanci nieźle sobie radzą z czarnym, ale z pani prac nie wynika, czy pani to potrafi, czy nie, więc lepiej nie eksperymentować. Ten szkic i ten też są dobre, ale na pani miejscu wyluzowałbym trochę tę różę.

— Wyluzował?...

— Mocniej rozchyliłbym płatki. Innymi słowy, niech będzie bardziej rozwinięta. — Tym razem Mettler zaniósł się śmiechem, a Katherine nauczona doświadczeniem śmiała się razem z nim. Zaraz jednak wrócił do interesów. — Dobrze sprzedają się złoto, srebro, drogie kamienie, *cloisonne*. Ale pani niech nie używa emalii, chyba że w jakiś inny sposób niż tu.

— Tony'emu podobał się ten ptak — powiedziała zaskoczona.,

— Tony'emu może tak. Ja nie lubię rzeźbionej emalii. To rzecz gustu, pani Fraser. Jeśli chce pani, żebym pani nazwisko uczynił sławnym, to proszę robić, co mówię. Może paru oczywiście trzymać się Tony'ego, ale on nie jest w stanie nic dla pani zrobić. A teraz niech pani posłucha. — Zebrał biżuterię i szkice i popchnął w jej kierunku. — Dobrze się pani zapowiada. Na pewno ma pani jakiś talent, ale jak duży, dokładnie nie potrafię jeszcze osądzić i wątpię, żeby pani sama mogła to zrobić; okaże się, dopiero gdy popróbuje pani bardziej różnorodnych materiałów i stylów. Jeśli pani chce,

może dalej pracować z Tonym, ale byłoby lepiej dla pani nie wahać jego aromatów.

— Tony pozwala mi korzystać ze swoich narzędzi i sprzętu; na razie nie stać mnie na własne.

— Niech pani zatem pracuje u niego, ale nie dopuści, by jego cebulowa zupa inspirowała pani projekty. Nie kupuję Tony'ego; kupuję panią. Pokazała pani, że nieźle sobie radzi z barwioną stalą i miedzią, więc może się pani tego trzymać. Szkoda że nie stać pani na złoto, ale jeśli dobrze się pani spisze, to być może pomyślę o jakiejś zaliczce w lutym. Jeśli jubiler robi coś takiego, to z jego strony prawdziwy akt hojności.

Trzęsąc się ze śmiechu, Mettler wstał i podał Katherine rękę. Uścisnęła ją uświadamiając sobie, że sama też się śmieje. Teraz było łatwiej. Właśnie po raz pierwszy sprzedała swoje wyroby.

Aby uczcić tę okazję Leslie przyniosła butelkę wina — w sam raz do mielonych kotletów, które przygotowała Katherine.

— Mamy dzisiaj uroczystość — przypomniała Leslie Toddowi, gdy jedli deser.
— Czym się więc martwisz?

— Mamą — odparł ponuro. — Wygląda, jakby była milion kilometrów stąd; myśli tylko o swojej biżuterii.

Leslie uważnie przyjrzała się Katherine.

— To prawda. Jakież dobre czy złe myśli?

— Głównie niepokojące — rzekła Katherine ponuro.

— Wcale się nie dziwię. — Leslie popatrzyła na dzieci wynoszące naczynia do kuchni. — Mettler przycisnął cię do muru. Musisz porzucić swój ciepły bezpieczny kącik i słodkie marzenia o sukcesie. Masz teraz wykonać konkretną robotę, dostarczyć towar do sklepu i wtedy okaże się, czy kapryśni klienci kupią go czy pokręcą nosem. Jest się czego bać.

Katherine uśmiechnęła się.

— Jesteś niesamowita. Skąd wiesz, że takie właśnie rozterki przeżywam?

— Bo ja przeżywam coś podobnego każdego dnia. Może troszeczkę inaczej, ale mam świadomość, że każda moja sugestia czy decyzja może być w trzy sekundy obalona przez prezesa albo komitet wykonawczy. Parę takich trzysekundowych nokautów

i jestem na bruku, z perspektywą szukania nowej pracy. Cała różnica polega na tym, że mnie nikt nie zna, a ty musisz stać się znana, inaczej nie wyrobisz sobie odpowiedniej pozycji. To wystarczający powód do strachu. Marzenie o wielkości... — i myśli Leslie powędrowały w jakimś innym kierunku.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Katherine. — Masz jakieś kłopoty?

— Ja? Kłopoty? Dlaczego uważasz, że coś mnie martwi?

— Chodzi o Marca? Czy coś w pracy? Ja mówię ci o moich problemach; to nie fair, że ze swoich robisz tajemnicę.

— Cóż — Leslie rozłożyła ręce — zbieg okoliczności, że to akurat teraz. — Bawiła się okruszynką sernika, przesuwając ją po talerzu. — Pamiętasz, jak na moim przyjęciu urodzinowym opowiadałam o swetrach Ralpa Laurena?

— I o bluzkach Calvina Kleina. Wciąż próbujesz rozgryźć tę sprawę?

— Właściwie wiemy, co się z nimi stało. Ukradzono je. Może zresztą nie tylko te bluzki i swetry; na razie nie mamy pewności, ile rzeczy zniknęło. Parokrotnie zrobiliśmy nie zapowiedzianą inwentaryzację i okazało się, że w dziale bielizny brakuje całego pudełka biustonoszy firmy Simone. Było ich dwadzieścia cztery po siedemdziesiąt pięć dolarów sztuka.

Katherine zaraz wyobraziła sobie, że stać ją na stanik za siedemdziesiąt pięć dolarów. Szybko jednak wróciła myślami do Leslie.

— Ale jeśli je ukradzono, to czy?...

— Z rejestrów nic takiego nie wynika. Widzisz, nasz system komputerowy rejestruje każdy towar, który trafia do magazynu, a potem, gdy dany egzemplarz zostaje sprzedany i wpływają pieniądze, komputer również odnotowuje ten fakt. A obecnie z danych komputera wynika, że te z biustonoszy Simone, które nie zostały jeszcze sprzedane, wciąż są na półkach. Gdybyśmy nie przeliczyli wszystkich staników i kwitów ze sprzedaży, nie mielibyśmy pojęcia, że brakuje dwudziestu czterech sztuk. Jeszcze nie rozumiesz? W komputerze rachunki się zgadzają.

Po chwili przerwy Katherine powiedziała:

— A zatem chodzi o komputer, więc martwisz się o Bruce'a.

— Dokładnie tak. — Leslie westchnęła. — I o siebie też.

Załatwiłam mu pracę w tym dziale, nie ujawniając jego niechlubnej przeszłości. A teraz coś się tam dzieje: może to tylko człowiek przy komputerze robi jakieś głupie błędy, ale może chodzi o coś poważniejszego, a jeśli zamieszany jest w to mój brat, to ja też. Wyobraź sobie tych wszystkich wiceprezesów o krzaczastych brwiach, czekają tylko, żeby mi się noga powinęła.

Zapadła cisza; przerwał ją Todd, opowiadając o naczyniach, które musiały same się zmyć w pięć sekund, bo w przeciwnym razie groziło im samozniszczenie. Leslie potrząsnęła głową tak energicznie jak kucyk, który strząsa z grzywy krople deszczu.

— Musiałam z kimś porozmawiać, żeby sobie ulżyć, i bardzo jestem ci wdzięczna, ale w końcu mamy świętować twój sukces. Powiedz więc, co zamierzasz zrobić dla Jego Wysokości Hermana Mettlera?

Katherine podjęła decyzję w jednej chwili. Podeszła do stolika po szkice. Teraz czuła się już na tyle pewnie, że mogła opowiedzieć komuś o swoich pomysłach.

— Wspaniale! — wykrzyknęła Victoria widząc Katherine na tle gęstwiny kwiatów i zieleni okalającej wejście do sklepu „Podesta Baldocchi”. — Wybacz mi spóźnienie, moja droga, i pozwól, niech ci się przyjrę. Katherine, wyglądasz ślicznie. Wiedziałam, że tak będzie. Nigdy nie myślę się co do kobiet. Oczywiście co do mężczyzn także nie. A gdy się śmiejesz, naprawdę trudno nie zwrócić na ciebie uwagi.

Po usłyszeniu stanowczego sądu Victorii Katherine uśmiechając się ze szczęścia odwróciła się na ruchliwym chodniku i ucałowała starszą panią w policzek.

— O mój Boże — mruknęła Victoria. Zatrzymała się i rozejrzała, jakby nie była pewna, gdzie się znajduje. — Tak szybko zapominamy, a potem znów stajemy się zachłanni.

— Myśli pani o Jennifer — powiedziała Katherine, gdy szły w stronę Maiden Lane. Przez chwilę poczuła ukłucie zazdrości, ale tylko przez chwilę. Jennifer dawno nie żyła i to ją właśnie, Katherine promieniejącą radością, Victoria zaprosiła na bożonarodzeniowe zakupy i nawet szarość dżdżystego popołudnia nie była w stanie zniszczyć tego, co czuła, gdy Victoria nie szczędziła jej słów

pochwały — miała wrażenie, że znalazła zarówno matkę, jak i babkę, których nigdy nie знаła.

— Kiedyś porozmawiamy o Jennifer — odparła Victoria. — Ale nie dzisiaj. Zamierzam kupić sobie nową suknię na wigilijną kolację. Wiesz, że po raz pierwszy od wielu lat zjemy ją wszyscy razem w domu? — Weszły do sklepu Helgi Howie. — Zwykle wyjeżdżałam do Włoch albo gdzieś indziej, ale w tym roku pomyślałam, że dobrze byłoby zebrać całą rodzinę. Mam nadzieję, że nie staję się sentymentalna. W moim wieku oznaczałoby to zgrzybiałość. Czy może pani poprosić Renee? — zwróciła się do jednej ze sprzedawczyń i po chwili zjawiła się projektantka, którą Victoria przywitała jak starą przyjaciółkę.

Gdy Victoria ją przedstawiła, Katherine zaczęła przeglądać kreacje Helgi i te importowane z Europy, a starsza pani szybko i zdecydowanie wybrała trzy suknie z dzianiny.

— Załatwione — powiedziała, gdy wychodziły. — Nie lubię zakupów. To pochłania tyle energii. Nie chcę tego robić.

— Ale właśnie pani zrobiła — zauważyła Katherine.

— I wcale mnie to nie bawiło. Jedynym cywilizowanym sposobem robienia zakupów jest zamawianie wszystkiego do domu. Bo po co miałabym przymierzać ubrania w sklepie, skoro u siebie mam ku temu doskonałe warunki? Ale chciałam, żebyś poznała Renee. Przyjdzie dzień, kiedy u niej będziesz kupować swoje stroje.

Katherine roześmiała się.

— A wie pani, że te trzy suknie kosztowały tyle co moja dwumiesięczna pensja? Victoria zastanowiła się.

— Naprawdę? A mimo to nie wydajesz na własne potrzeby tych pieniędzy... które przychodzą co miesiąc?

— Nie. Opłacam z nich tylko to, co potrzebne dzieciom. Katherine przyszło na myśl, że Victoria unika wymawiania imienia Craiga.

— Cóż. Chciałabym, żebyś pomogła mi w zakupach. Przez ostatnich kilka lat dawałam wszystkim pieniądze, ale w tym roku chcę dać prezenty. To chyba kolejny sentymentalny pomysł. Ale i trudniejszy. Bo skąd mam wiedzieć, co oni chcieliby dostać?

— A skąd ja mam wiedzieć? — odparła Katherine. — Ledwie znam pani rodzinę.

— Nonsens. Z każdym z nas spędziłaś trochę czasu, a z Dere-kiem chyba nawet całkiem sporo.

Weszły do sklepu „Gumpa” i po raz pierwszy w życiu Katherine zobaczyła, jak cudownie jest robić zakupy, gdy ma się na to nieograniczone fundusze. A Victoria mówiła poważnie o tym, że będzie potrzebować jej pomocy — za każdym razem pytała o radę i najczęściej stosowała się do niej, a Katherine wybierała to, co jej się najbardziej podobało, nie patrząc na ceny. Przez dwie cudowne godziny obie przebierały w drogocennych skarbach kupując ręcznie robione chilijskie figurki z lazurytu, weneckie szkło opalizujące, porcelaną zdobioną złotem i kobaltem z Aynsley, zamszowe żakiety obszywane sobolowym futerkiem i torebki Hermesa dla Melami i Anny.

— Właściwie Bóg wie po co je kupuję — skomentowała Victoria. — W dzikich ostępach Maine Anna nie będzie nosić tej torebki. A Melania... cóż, Ross nie jest zbyt rozmowny w tej kwestii, ale moim zdaniem ich małżeństwo nie przetrwa następnego roku, a skoro tak, to po co ja kupuję tej egoistce takie skórzane cudo? Zresztą, jakie to ma znaczenie. Może je zabrać, gdy będzie odchodzić. Po podarunku dla dzieci wybierzemy się kiedy indziej; dla nich jeszcze za wcześnie na prezenty od „Gumpa”. Ale dla mnie nie jest już za wcześnie na herbatę. Chodź, zabiorę cię do mojego ulubionego lokalu.

Znajdował się bardzo blisko, po drugiej stronie Union Square.

— No jak? Podoba ci się? — spytała Victoria sadowiając się na aksamitnej sofie w „Compass Rose”.

— Jest niesamowity — odparła Katherine.

Nie powiedziała Victorii, że była tu z Rossem przed trzema miesiącami i że to wnętrze przypomina jej tamto pełne ciepła spotkanie, ani o tym, że gdy kilka dni temu rozmawiała z Rossem przez telefon, wydał jej się zupełnie inny. Nie zapytała nawet, co znaczyła ta uwaga o małżeństwie Rossa.

— Potrzebujesz takiego otoczenia jak to — oznajmiła Victoria zamówiwszy serek Brie, owoce oraz herbatę. — Dobrze ci zrobi odrobina ekscentryzmu. Zauważyłam u „Gumpa”, że masz doskonały gust, inaczej nie słuchałabym twoich rad. Ale, moja droga, zachowywać się tak poprawnie... w twoim wieku!

— Nie bardzo rozumiem. Myślałam...

— Myślałaś, że sprawiasz mi przyjemność. — Victoria zamilkła na chwilę utkwivszy wzrok w ścianie. — Coś ci opowiem. Pięćdziesiąt sześć lat temu, w roku 1925, pewna młoda kobieta odkryła, że pieniądze, z których żyją ona i jej mąż, pochodzą z przemytu alkoholu.

— Prohibicja...

— Właśnie. Mąż tej młodej kobiety był współwłaścicielem niewielkiej firmy budowlanej należącej do jego ojca i zrobiłby wszystko, by wykiwać rząd federalny. Nie będziemy się teraz wdawać w dyskusje na temat tego, czy prohibicja była słuszna, czy nie; faktem jest, że ten człowiek łamał prawo ryzykując więzienie i zaprzestał swej działalności, dopiero gdy Kongres zniósł prohibicję. A to stało się w roku 1933.

Katherine skinęła głową potakująco. Wiedziała, że chodzi o Hugh'a Haywarda. Tobiasz mówił jej o tym. Ale wspominał też, że Victoria nigdy na ten temat nie rozmawiała.

— Ojciec tego człowieka zmarł w roku 1930 zostawiając synowi swoje przedsiębiorstwo. Ale ten był tak zafascynowany szmuglowaniem, że zaniedbał firmę. Kiedy zniesiono prohibicję, chyliła się już ku upadkowi. Wtedy tym człowiekiem owładnęła nowa pasja — uratować firmę, na której szyldzie widniało nazwisko jego ojca. To wcale nie było łatwe zadanie. W kraju panowała recesja, a firmy budowlane padały jedna po drugiej, bez względu na to ile starań wkładano w ich utrzymanie. — Victoria upiła nieco herbaty, patrząc w wielkie drzwi prowadzące do ruchliwego hotelowego holu. — W 1934, kiedy wszystko wskazywało już na to, że nie uda mu się odbudować firmy, podobnie jak cały kraj pogrążył się w depresji. Całymi dniami siedział w swym pokoju patrząc w okno i obserwując toczące się za nim życie. Szkoda że go wtedy nie widziałas, Katherine — wysoki, niezwykle przystojny, a gdy się uśmiechał, przyciągał spojrzenia ludzi, jak światło w ciemności. Kiedy Ross się uśmiecha, wygląda dokładnie tak samo. Był szeroki w barach i gdy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, automatycznie narzucał swą obecność przez sam fakt, że nazywał się Hugh Hayward. Pokażę ci jego zdjęcia, ale one nie dadzą ci pojęcia o urodzie tego mężczyzny, bo trzeba było być w jego towarzystwie, żeby poczuć magnetyzm tej niezwyklej osobowości. A teraz wyobraź sobie tego człowieka przygarbionego na krześle, wpat-

rzzonego w okno i skubiącego palcami spodnie na udach — przez cały dzień tak je skubał — a usta poruszały mu się jakby coś mówił, ale nie wydawał żadnego dźwięku... To było tak straszne, że musiałam odejść. Musiałam wydostać się z tego domu.

Katherine wiedziała, że herbata już jej wystygła, ale bała się najdrobniejszym ruchem przerwać zadumę Victorii.

— Jesienią 1934 roku weszłam do biura Hayward Corporation i zasiadłam w fotelu Hugh'a. Nie miałam pojęcia, za co się wziąć, wiedziałam tylko, że firma budowlana musi coś budować. Tak więc zwołałam zebranie ludzi, z którymi Hugh zajmował się szmuglem, i powiedziałam, że zbuduję im nowe domy. Podkpiwali sobie ze mnie i pukali się w czoło. Nigdy nie pozwól, moja droga, żeby jakiś mężczyzna tak się wobec ciebie zachowywał — to znaczy, że ma zamiar trzymać cię w ryzach albo cię splawić. Ale koledzy Hugh'a byli głupcami. Pisywali wcześniej listy, których tematem były często ich interesy i życie seksualne — wyobrażasz to sobie? Opisywali to wszystko! No i Hugh zatrzymał te listy, a ja je znalazłam. W szufladzie pod skarpetkami. Naturalnie ci koledzy nie chcieli, żebym ujawniła treść, więc przestali pukać się przy mnie w czoło i pod moim kierownictwem oraz z pomocą dwóch porządnych ludzi, którzy pracowali jeszcze dla ojca Hugh'a, Hayward Corporation wybudowała kilka bardzo drogich domów na Tiburonie, w Sausalito i w Berkeley — och, ziemia była wtedy taka tania! — a ja trzymałam listy w sejfie.

Victoria dała znak kelnerowi, by przyniósł dzbanek świeżej herbaty.

— I trochę owoców — uzupełniła zamówienie. — Katherine? Masz jeszcze ochotę na brie?

Katherine potrząsnęła głową.

— Proszę mówić dalej. Victoria uśmiechnęła się.

— Z pomocą, choć w sposób pośredni, przyszły nam inwestycje rządowe. Kiedy powstawały szkoły, autostrady, a nawet urzędy pocztowe, ludzie w ich sąsiedztwie zaczęli myśleć o rozbudowie czy naprawie własnych domostw. Mogliśmy udzielać im kredytów, bo mieliśmy pieniądze pochodzące ze szmuglu. Kiedyś odnawialiśmy blok mieszkalny w Oakland. Musieliśmy zerwać dębowe podłogi, poręcze, przesunąć ściany, założyć nowe gzymsy, a nawet wstawić

nowe szyby w drzwiach i oknach. Zajęło nam to półtora roku. Skończyliśmy dwudziestego pierwszego marca 1938.

Kelner ustawił przed nimi tacę z winogronami i gruszkami i nalał świeżej herbaty.

— Zastanawiasz się pewnie, dlaczego tak pamiętam tę datę. Utkwiła mi w pamięci, bo tamtego dnia Hugh obudził się, ubrał i poszedł do pracy jak gdyby nigdy nic. Stało się to po czterech latach bezczynności i on zdawał sobie z tego sprawę, ale depresja minęła — poszedł do biura, zasiadł w swym fotelu i zaczął kierować firmą.

Katherine przyglądała się twarzy Victorii, nie malowały się jednak na niej żadne szczególne uczucia.

— Ale to nie była jego firma. To pani nią kierowała.

— To była firma Hugh'a. Był tam tylko jeden gabinet, który należał do niego, i tylko jedno biurko — też jego. Podziękował mi za to, co zrobiłam dla firmy, i odesłał do domu, żebym zajęła się synami.

— Ale oni... Ile mieli lat?

— Curt dwadzieścia, a Jason dziewiętnaście. Oczy ich spotkały się i obie się roześmiały.

— To wcale nie jest śmieszne — orzekła Katherine. — Raczej ' smutne.

— Masz rację. Hugh był geniuszem i ja o tym wiedziałam. Wprawdzie to ja nie dopuściłam, by firma upadła, ale on uczynił z niej jedną z największych i najbardziej uznawanych w całym kraju. I niezależnie od tego, że podejmował się realizacji wielkich projektów, które zaczęły się mnożyć po wojnie — drogi, mosty, tamy, centra handlowe — Hugh wciąż zajmował się renowacją i rozwinął tę część działalności bardziej niż ja w marzeniach. A skoro zadbał o to i zajmował się tym tak dobrze, a to przecież fakt, to nie ma znaczenia, że ja odeszłam. Widzisz, Katherine, Hugh przejął ode mnie małą firmę. Mnie nigdy by się nie udało zejść tak daleko jak jemu.

Milczały przez chwilę. Przy sąsiednich stolikach to rozbrzmiewały, to znów urywały się rozmowy i dyskretne szepty, czasami pobrzękiwały srebrne łyżeczki.

— Przejął od pani więcej niż tylko firmę — sprzeciwiła się Katherine. — Zajął pani miejsce. A ono wiele dla pani znaczyło.

— To prawda.

— I potem bardzo pani tego brakowało.

— O tak.

Katherine zadumała się.

— Czy może mi pani powiedzieć — spytała z wahaniem — co Jennifer zamierzała studiować?

— Ach! — W oczach Victorii pojawiły się isierki. — Wiedziałam, że zrozumiesz. Mówiłam, że znam się na kobietach. I na mężczyznach, oczywiście. Jennifer chciała zostać inżynierem.

— I pracować w Hayward Corporation?

— Właściwie planowałyśmy, że dam jej pieniądze na założenie własnej firmy.

Żeby skończyć, to sama zaczęłaś, pomyślała Katherine. Chciałaś, żeby Jennifer prowadziła takie życie, jakiego Hugh pozbawił ciebie. Mogłabyś wtedy doświadczyć wszystkiego poprzez nią.

Victoria westchnęła.

— Zrobiło się późno, a jeszcze nie rozmawialiśmy o tobie. Teraz kiedy Mettler złożył u ciebie zamówienie, musimy wszystko dokładnie zaplanować. Przyjdź do mnie na herbatę, to spokojnie porozmawiamy.

Victoria podpisała rachunek, włożyła futrzaną kurteczkę i ucałowała Katherine w oba policzki. Razem zeszły po wyłożonych chodnikiem schodach wprost do zatłoczonego holu, gdzie na widok królewskiej postaci Victorii i jej zdecydowanego kroku ludzie rozstępowali się, by zrobić jej przejście.

Tego wieczoru bardzo późno zadzwonił Derek. Katherine nie widziała się z nim ani nawet nie rozmawiała od dwóch tygodni, odkąd opowiedział jej historię wypadku.

— Z tego, co słyszałem, ty i moja babka wykupiłyście dzisiaj pół „Gumpa”.

Katherine uśmiechnęła się do siebie.

— Chyba to ty wspominałeś coś o uciechach wynikających z posiadania dużej rodziny?

— Owszem. Ale czasem dobrze jest mieć najświeższe wieści. Obudziłem cię?

— Nie, dlaczego?

— Bo masz trochę zmęczony głos, a jest już po północy.

— Pracuję nad nowym projektem.

— I?

— Nie powinnam tak się cieszyć z twojego telefonu.

— Victoria mówiła mi, że zupełnie się zmieniłaś. Ale najwyraźniej wciąż mówisz to, co myślisz.

Katherine wzięła do ręki ołówek i zaczęła cieniować szkic bransoletki.

— Jesteś tam? — spytał.

— Tak, oczywiście.

— Właśnie przeglądam plik zaproszeń na przyjęcia; terminy od dzisiaj do Nowego Roku. Większość będzie nudna. Kilka może okazać się interesujących, jeśli się ze raną wybierzesz. Masz czas aż do Nowego Roku?

— Derek, mamy zaledwie połowę grudnia.

— A co to ma wspólnego z przyjęciami?

— Jeszcze nie wiem, co będę robić. Muszę poświęcić trochę czasu dzieciom i muszę popracować po nocach. A, prawda, ty jeszcze nie wiesz; dostałam zamówienie od Hermmana Mettlera...

— Mówił mi o tym.

— Mówił ci?

— Tak, kiedy byłem niedawno w jego sklepie. Katherine, mam przed sobą zaproszenia na dwa koktajle, trzy kolacje i na sylwestra. Przyjmę je, jeśli pójdziesz ze mną. Terminy są następujące...

Katherine słuchając wyliczanki Dereka automatycznie zanotowała daty obok szkicu bransoletki.

— Derek, to zamówienie od Mettlera jest dla mnie bardzo ważne.

— Naturalnie. — Głos Dereka zmienił zabarwienie, tak jakby on sam podszedł do niej bliżej. — Powinienem ci pogratulować. Na ile sztuk?

— Dwanaście.

— Dobry początek. Kiedy będą w sprzedaży?

— Powiedział, że wiosną. Jeśli mu się spodobają.

— Wie, jakie będą, widział przecież parę twoich wyrobów i szkice. Nie martwiłbym się na twoim miejscu. Możemy się umówić na wpół do szóstej we wtorek przed „Heathem”? Będzie koktajl i kolacja w Portola Valley; o tej porze dojazd zajmie nam ponad godzinę.

Głos Dereka przypominał jej fale oceanu, która zmywa wszystko co napotka przed sobą, Katherine zakreśliła daty, które Derek jej podyktował, odwróciła wzrok od zdjęcia Craiga i powiedziała, że pójdzie na te przyjęcia.

Katherine miała tylko swoją czarną suknię. Nasiępnego dnia wykorzystała przerwę na lunch, by pojechać do reklamowanego sklepu z nie najnowszymi wprawdzie, ale doskonałej jakości ubraniami, i kupiła w nim koronkową bluzkę ze stójką, śliczną kamizelkę z aksamitnych i jedwabnych łątek, której brakowało kilka guzików, białą luźno tkaną tunikę z delikatnej wełenki, pasek z połączonych ze sobą medalionów z brązu, szal z frędzlami w kolorze żurawiny i długi niczym tren błękitno-różowy szal z przezroczystego jedwabiu. A u „Heatha” w dziale dla młodzieży wypatrzyła ciemnozieloną aksamitną spódnicę sięgającą jej do kostek. We wtorek po pracy przebrała się w łazience w zieloną spódnicę, koronkową bluzkę i kamizelkę z łątek, do której doszyła wcześniej guziki z masy perłowej.

Czesząc włosy przed lustrem, myślała o dzieciach, mających tylko ją, o swojej biżuterii, której wyrobem pewnego dnia zacznie zarabiać na życie, o Victorii darzącej ją przyjaźnią i o Dereku, dzięki któremu cieszyć się będzie grudniowymi balami. Ze sklepu wyszła z wysoko podniesioną głową i to nie tylko dlatego, że była elegancko ubrana, uczesana i umalowana, ale dlatego, że zaczynała w siebie wierzyć.

Derek odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, gdy wsiadła do samochodu.

— Victoria bardzo skromnie cię opisała — powiedział ujmując jej dłoń, ale kakofonia przeraźliwych klaksonów i okrzyków zmusiła go do zajęcia się prowadzeniem samochodu. Przy najbliższych czerwonych światłach przyjrzał jej się dokładnie. — Jesteś olśniewająca. Nauczyłaś się robić wrażenie. Gdybyś wyglądała tak dziesięć lat temu, mój biedny kuzyn byłby zbyt onieśmielony, żeby do ciebie podejść, a cóż dopiero oświadczyć cię. A gdyby jakimś cudem zdołał to zrobić, ty przeszłabyś obok niego rozglądając się za kimś lepszym.

Twarz Katherine zachmurzyła się, gdy Derek odwrócił wzrok

zmieniając biegi. Wygładziła aksamitną spódnicę czując jak całodzienna pełna wyczekiwania radość gaśnie, przytłumiona pogardliwym komentarzem Dereka.

— Derek, odwieź mnie do domu — powiedziała napiętym głosem. — Przykro mi, ale mimo wszystko nie chcę nigdzie iść.

Derek przez chwilę nie odzywał się, po czym podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód.

— Dlatego że wyraziłem się niepochlebnie o moim kuzynie?

— Dlatego że mówiłeś z pogardą o moim mężu.

Na moment na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, lecz zaraz zniknęło.

— Nigdy nie ukrywałem, że ja i Craig nie byliśmy przyjaciółmi. Masz dość romantyczne pojęcie o rodzinie, ale chyba nie myślisz poważnie, że wspólne nazwisko jest synonimem miłości. Czy twoim zdaniem powinienem udawać, że byliśmy z Craigiem oddanymi sobie przyjaciółmi, pełnymi wzajemnego szacunku i podziwu, o wspólnych zainteresowaniach, skoro to nieprawda? A może powinienem powiedzieć ci wprost, że nigdy się nie lubiliśmy, a teraz, kiedy wiem, że piętnaście lat temu uciekł od nas, a w zeszłym roku zostawił ciebie i dzieci, szanse na to, bym miał o nim dobre zdanie, są mniejsze niż kiedykolwiek? Którą odpowiedź wolałabyś usłyszeć?

— Ani jedną, ani drugą — odparła ledwo słyszalnie.

— Właśnie. Bo ani jedna, ani druga ci się nie podoba. Ale nie podobałby ci się też powrót teraz do domu. Pozwól, że coś ci zaproponuję... — ujął ją pod brodę i pochylając się w jej stronę pocałował ją lekko — ...obiecuję, że nie będę mówił więcej o Craigu; pojedziemy teraz na tę imprezę w Portola, a jeśli źle będziesz się czuła ze mną albo jeśli ktoś sprawi ci przykrość wspominając Craiga, wyjdziemy natychmiast. Zgoda?

Ciężar spadł jej z serca. Skoro niczego od niej nie żądał i nie zmuszał do wyboru pomiędzy lojalnością w stosunku do Craiga a swoim towarzystwem mogła się rozluźnić.

— Zgoda — odparła. — Dziękuję ci.

Derek dotrzymał obietnicy nie tylko tego wieczoru, ale i kilka dni później, gdy wybrali się na przyjęcie w Russian Hill, gdzie po raz pierwszy Katherine czuła się naprawdę swobodnie w wielkim świecie. Tym razem nikt nie okazywał zadziwienia, gdy Derek ją

przedstawiał; wręcz przeciwnie, tu i ówdzie słyhać było pełne podziwu uwagi.

— Ach, Vancouver — odezwał się ktoś przy kolacji. — Byłem tam kiedyś.

Przyjemne miasto. Chociaż nie bardzo kosmopolityczne, jeśli wiecie, co mam na myśli. Może dlatego, że nie ma tam naszych uroczych domów na wzgórzach.

— Ależ są — sprostowała poważnie Katherine. — W każdym mieście są ludzie, którym do szczęścia potrzebne jest to, żeby inni musieli zadzierać głowy, by ich dojrzeć.

Po króciutkiej przerwie wszyscy z wyjątkiem krytyka Vancouver wybuchnęli gromkim śmiechem. Katherine zarumieniła się, a Derek obserwował ją uważnie, podczas gdy goście prześcigali się w próbach zwrócenia na siebie jej uwagi. Kiedy po kolacji zaczęły się tańce, Katherine czuła się całkowicie odprężona, jakby wielka, leniwa fala głosu Dereka nagle nabrała siły i zmyła wszystkie jej codzienne problemy. Nic nie wydawało jej się zbyt trudne. Nawet cień Craiga nie był już tak wyrazisty, bo przyćmił go otaczający ją blask i rosnąca pewność siebie. Katherine miała wrażenie, że oderwała się od ziemi; świadoma była tylko tego, że wokół niej rozbrzmiewają czyjeś głosy i śmiech, że tu i ówdzie w blasku świec i diamentów chwyta czyjeś pełne podziwu spojrzenie, a wymuskany, pełen rezerwy Derek pochłaniają oczyma, trzymając dłoń na jej ramieniu. Straciła poczucie czasu i wszystko wydawało jej się możliwe.

Dwa dni później na kolacji w Mill Valley ściągnięto ją brutalnie na ziemię.

Po posiłku zabawił gości magik, który pokazywał sztuczki i przepowiadał przyszłość. Snuł się po pokoju, aż wreszcie podszedł do Katherine.

— Wiele przeżyłaś — huknął złowrogo. — Ale spotka cię też radość. Będiesz trzymać w swych rękach złoto i srebro, a z daleka przyjdzie mężczyzna, który będzie cię błagał, byś go kochała i pozwoliła zostać przy sobie.

Wszyscy wokół roześmieli się, ale Katherine usiadła oszołomiona. To nic nie znaczy, mówiła sobie. On mógł to powiedzieć każdemu, lecz nikt nie bierze takich rzeczy poważnie. Jednak mimo wszystko czuła się nieswojo. Popatrzyła na Dereka, który uśmiechnął się do niej.

— Taki z niego magik — mruknął — jak z ciebie zakonnica.

Katherine siedziała spięta.

— Do diabła! — wybuchnął Derek. — Czy musisz czuć się winna za każdym razem gdy?... — Przerwał i ujął jej dłoń. — Porozmawiamy później.

Jego dotyk tak podniecił Katherine, jakby Derek całe jej ciało obsypał pocałunkami. Ale magik przywołał myśli o Craigu, zmusił ją do powrotu ku wspomnieniom i Katherine siedziała nieruchomo, niemal nie oddychając, tak długo aż fala pożądania opadła. A gdy wyszli z przyjęcia, Craig wyszedł wraz z nimi; ledwie powiedziała Derekowi „do widzenia”, bo natarczywa obecność Craiga bardzo jej przeszkadzała. Zamknęła za sobą drzwi i skuliła się na sofie. Co ja zrobię, jeśli on padnie mi do stóp i zacznie błagać, bym go kochała i pozwoliła mu żyć ze sobą, myślała.

Zwykle sami przygotowywali gwiazdkowe prezenty. Craig lubił je kupować, ale dzieci wykonywały upominki na zajęciach w szkole, a Katherine robiła coś z biżuterii albo dziergała swetry. Tym razem wszyscy musieli własnoręcznie przygotować jakieś upominki, bo nie mieli pieniędzy, by kupić je w sklepie, a Jennifer i Todd marudzili, że choinka nawet w połowie nie jest tak wysoka jak ta, którą mieli w Vancouver.

— Ale ten pokój jest dwa razy mniejszy od salonu w Vancouver — perswadowała Katherine. — Poza tym byłoby miło, gdybyście przestali na wszystko narzekać. — Otworzyła pudełko z choinkowymi ozdobami, które przywieźli z Kanady. — Macie takie miny, jakbyście chcieli mi kupić futro z norek, tyle że sytuacja na to nie pozwala.

— Kto wie, może bym ci kupił — odparł Todd buńczucznie. — Albo coś w tym rodzaju. Tata zawsze kupował ci coś zbytkownego.

O tak, pomyślała Katherine. Raz strzyżone futro, potem kaszmirową suknię, a jeszcze innym razem antyczną serwantkę ze srebra najlepszej próby zdobionego emalią.

— Nie potrzebuję żadnych luksusów — powiedziała do Tod-da. — Chcę tylko, żebyśmy byli razem.

Todd marudząc wieszał ozdoby na niewielkiej choince.

— Chciałbym, żeby tata był z nami! — wybuchnął w końcu. — Dlaczego nie ma go tutaj?

Katherine przytuliła syna.

— Sama chciałabym wiedzieć.

Wróciła myślą do tych wszystkich świąt, kiedy swym gromkim głosem Craig śpiewał kolędy, kiedy ustawiał w salonie ogromną choinkę, na drzwiach wieszał stroiki, a przy kominku mocował dwumetrowe skarpety. Mówił wtedy, że w czasie świąt Bożego Narodzenia każdy może poczuć się jak dziecko i cieszyć się, że ma rodzinę — najcenniejszą wartość. Święta są czasem miłości.

— Czekałam na niego cały dzień — powiedziała Jennifer. Na czubku drzewka zawiesiła ostrożnie ostatniego roześmianego aniołka. — Myślałam sobie: zaraz zapuka do drzwi.

— Ja też — przyznał Todd siadając na kanapie i skubiąc nerwowo strupek na ramieniu. — Za każdym razem, gdy słyszałem jakieś kroki na zewnątrz, myślałem, że to tata. — Oczy napełniły mu się łzami. — Czyż ludzie nie wracają zawsze do domu na Boże Narodzenie? Przecież chyba o to chodzi w święta?

Jennifer usiadła obok brata.

— W ogóle nie powinniśmy obchodzić Bożego Narodzenia — stwierdziła. — Bez taty to nie są prawdziwe święta.

— To w ogóle nie jest Wigilia — dodał Todd — kiedy nie można robić z mamą ciastek i przygotowywać wszystkiego, bo nie ma jej w domu.

— Byłam przecież w pracy — usprawiedliwiła się. — Nie miałam wyboru. Już wam to tłumaczyłam. Próbowałam wziąć wolny dzień, ale nie mogłam.

— Dlatego razem z Toddem musieliśmy wszystko zrobić sami — powiedziała Jennifer ze wzrokiem utkwionym w sufit, jakby tam spodziewała się znaleźć współczucie. — Tylko Annie pomogła nam upiec ciasteczka. I sami będziemy musieli przeczytać opowiadanie. — Wyciągnęła książkę spod poduszki. — Zaskoczyłam cię? — spytała patrząc na Katherine z wojowniczą miną. — Myślałaś, że zapomnimy? — Nie czekając na odpowiedź otworzyła książkę na pierwszej stronie i zaczęła głośno czytać: „Na początek zmarł Marley. Nie było co do tego wątpliwości”.

Ale już dwie strony dalej wybuchnęła płaczem.

— Nie mogę! — krzyknęła rzucając książkę w kąt. — Nienawidzę jej i już nigdy nie będę jej czytać!

Katherine schyliła się, podniosła książkę i wygładziła pogięte

kartki *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa. Craig czytał ją na głos w każdą Wigilię. A potem jedli kolację i otwierali prezenty.

— Kiedyś mieliśmy tradycję — chlipała Jennifer. — A teraz już żadnej nie mamy.

— Na razie — przyznała cicho Katherine. — Teraz nie mamy. — Przysiadła obok dzieci na kanapie. — Ale nasze życie wciąż się zmienia. Zaczęło być inne, kiedy tata odszedł z domu, i będzie takie, dopóki znów do nas nie wróci. My też się zmieniamy tak jak wszyscy ludzie. I nie możemy nic na to poradzić, bo jesteśmy żyjącymi istotami. Gdybyśmy nie prowadzili normalnego życia, nie pracowali, nie zawierali nowych przyjaźni, to tak, jakbyśmy umarli.

— A jeśli zmienimy się za bardzo? — spytała Jennifer.

— Wciąż będziemy sobą. Gdy tata wróci, niektóre nasze nowe zwyczaje zachowamy, z innych zrezygnujemy, ale ciągle będziemy tymi samymi ludźmi. Rozumiecie? — Popatrzyli na nią niepewnie. — No cóż, pomyślcie o tym. Przecież nie możemy siedzieć i zapłakiwać się na śmierć, bo twarze pomarszczą nam się jak suszone śliwki i jak wtedy tata nas pozna?

W Todda wstąpił nowy duch.

— Śliwki! — Jego smutną twarz rozjaśnił uśmiech. — Tata wejdzie do domu i spyta: „Kto to? Myślałem, że tu mieszka Katherine Fraser i Jennifer Fraser, i Todd Fraser, a kogo ja tu widzę?” A ja powiem: „To ja jestem Todd”. A on: „O nie, Todd ma sto czterdzieści pięć centymetrów wzrostu i wygląda jak chłopiec. Właściwie jest podobny do mnie”. Wtedy mu odpowiem: „Ja jestem Todd mówiąca śliwka. Mam tylko dwadzieścia pięć centymetrów, bo wypłakałem wszystkie moje soki”. A tata...

— Zamknij się! — krzyknęła Jennifer. — Kogo obchodzą twoje idiotyczne historyjki! Tata już nigdy nie wróci do domu, a ty powinieneś zamienić się w śliwkę i wylądować w koszu na śmieci, bo nie ma wcale z czego żartować!

— Jennifer! — Katherine starała się mówić stanowczo, bez cienia wahania w głosie. — Wasz ojciec wróci do domu tak szybko, jak będzie mógł, a póki to nie nastąpi, masz się zachowywać jak należy i pomagać Toddowi zamiast krzyczeć na niego. A teraz zamierzam otworzyć moje gwiazdkowe prezenty, chcę też zobaczyć, jak oglądacie swoje, a potem pójdziemy na kolację do Victorii. I bez względu na to, co stanie się w przyszłości, nie życzę sobie

słyszeć, jak wrzeszczysz na swego brata albo na mnie, bo staramy się wszyscy jak możemy. Czy to jasne?

Jennifer z otwartymi ustami gapiła się na matkę.

— Nigdy wcześniej nie mówiłaś takim tonem.

— Staram się panować nad sytuacją, w której się znajdujemy — odparła bez ogródek. — I chciałabym, żebyście choć trochę mi pomogli, bym nie musiała co chwila staczać bojów. Nie tylko wy jesteście nieszczęśliwi, chyba wiecie o tym.

— My nie chodzimy ciągle na przyjęcia — odpaliła Jennifer.

— Nie, ale... — Przypomniała sobie, jak Derek zapytał, czy za każdym razem musi czuć się winna. — Macie rację; nie chodźcie nigdzie, a ja byłam na paru przyjęciach. Ale dziś wieczór idziemy razem i założę się, że czeka tam na nas góra prezentów. Może więc wreszcie otworzymy nasze paczuszki? Czy zaczekamy z tym do jutra?

— Nie! — wrzasnął Todd i rzucił się do choinki, pod którą leżało kilka pudełek.

Jennifer trochę wolniej poszła za bratem, ale nie zdążyli jeszcze rozłożyć zapinanych na suwak swetrów, które Katherine dla nich wydziergała w czasie przerw na lunch, gdy na twarzy Jennifer pojawił się nikły uśmiech. Katherine wydała okrzyk zachwytu na widok rzeźbionych świeczników, które na zajęciach warsztatowych Jennifer zrobiła z drewna i polakierowała na orzechowo, i przycisku do papieru w kształcie mostu Golden Gate, który Todd zrobił z gliny i pomalował na jaskrawopomarańczowy kolor. Przyjaźń znów zawitała do rodziny.

Pod choinką były też prezenty od Leslie i Bruce'a, którzy wcześniej je tam zostawili. Na Todda i Jennifer czekało pudełko książeczek o smokach i jaskiniach. Todd położył się na brzuchu, pochłonięty nimi zupełnie.

— A to dla ciebie — powiedziała Jennifer patrząc, jak Katherine w milczeniu otwiera duże pudełko. Na karteczce w środku widniały słowa: „To na sylwestra. Z pozdrowieniami od „Heatha”, Leslie i Bruce'a. Baw się dobrze”.

— Och — westchnęła głęboko Jennifer, gdy Katherine wyjęła z pudła suknię z wysoką stójką: szeroki dół uszyty był z białej tafty, a góra z czarnej koronki; rękawy zakończone były szerokimi na pięć centymetrów koronkowymi mankietami.

— To oznacza kolejne przyjęcia — orzekła Jennifer, ale nie

potrafiła ukryć podziwu. — Jest przepiękna! Zachowasz ją, mamó, dla mnie na przyszłość?

— Oczywiście — zapewniła. — Ale wtedy będziesz miała własne śliczne suknie.

Katherine przyłożyła suknię do siebie i wyobraziła sobie, że ubrana w nią tańczy. Potem delikatnie zapakowała kreację do pudła, myśląc już o sylwestrze. Z Derekiem.

To jej coś przypomniało. Nowy rok. Obietnice i postanowienia. Bez Craiga.

— Powinniśmy już iść! — rzuciła w końcu prostując się energicznie. — Będzie tam cała rodzina, a Victoria nie lubi, żeby się spóźnić na jej przyjęcia!

Zaczęli się spieszyć. Myślami Jennifer i Todd byli już przy górze prezentów, ale Katherine, dumając o nowym roku, uświadomiła sobie, że okłamała dzieci. Bo jak niby wszystko miałyby być znów takie samo? Gdyby Craig zjawił się dziś, jutro czy pojutrze, to czy mogliby wrócić do dawnego życia i zachowywać się tak jak kiedyś? Nie potrafiliby; oczywiście że nie. Okłamała i siebie, i dzieci.

Przez moment owładnęła nią panika. Zbyt się zmieniliśmy, pomyślała. Nie moglibyśmy już wrócić do tego, co było; musielibyśmy zaczynać od początku. Poczula znajomy ucisk w żołądku, jak zawsze, gdy pewien etap życia się kończył; przez cały czas aż do tej pory myślała, że wystarczy wrócić do starych nawyków z okresu życia w Vancouver i wszystko będzie jak dawniej, ale to przekonanie też odeszło już w przeszłość. Jedyne, co mogła zrobić, to iść naprzód. Katherine znów miała wrażenie, że zabłądziła i musi znaleźć jakiś drogowskaz i pomocną dłoń.

Ale w autobusie wytłumaczyła sobie, że tym razem sytuacja jest inna. Katherine zaczęła już uczyć się ustawiania własnych drogowskazów. A co do pomocnej dłoni — jeśli tylko będzie jej potrzebować, to czeka na nią więcej niż jedna. A wszystkie spotka na rodzinnej kolacji wigilijnej u Victorii.

Drzwi otworzyła pani domu. Miała na sobie długą suknię ze srebrnoniebieskiego włoskiego jedwabiu i przywitała Katherine tak gorąco, że w myśli wszyscy porównali je do chłodnego powitania sprzed pół roku. Następnie podszedł do Katherine Derek i ujął jej dłoń tak poufale, że poczuła się podekscytowana, ale i zakłopotana. Todd i Jennifer zniknęli w jednej chwili, porwani przez Carrie

i Jona, którzy chcieli im pokazać swój nowy pociąg rozstawiony w gabinecie, a Katherine, podobnie jak przed paroma miesiącami, stanęła oko w oko z całą rodziną. Zaczęła się wymiana pozdrowień i uścisków.

— Nie do wiary! — zachwycał się Tobiasz całując Katherine w oba policzki. — „Piękna dama odziana w blask swej własnej urody.” To Shelley, kochanie, a ty jesteś marzeniem poety. Czy mogę podać ci szampana?

Ale Derek go uprzedził. Przyniósł Katherine napelniony po brzegi kieliszek, a do tego talerzyk ostróg z selerem.

— Jeśli nie gawędzisz z Tobiaszem, to może dokończylibyśmy naszą dyskusję sprzed paru dni?

— Derek — ofuknął go Tobiasz. — Jesteś niezwykle taktowny! Ale pójdę sobie; muszę poszukać książki.

— Odrobinę arogancki — skomentowała beztrąsko Katherine, — A może przesadzam? — Zauważyła, że Ross przygląda jej się marszcząc czoło, ale Derek już ujął jej dłoń.

— Tylko ociupinkę. Dokończymy tę rozmowę?

Melania stała samotnie przy pianinie. Gdy Katherine na nią spojrzała, ich oczy spotkały się.

— Derek — zaczęła Victoria podchodząc do nich. — Czy mógłbyś pomóc Tobiaszowi w bibliotece? Nie może znaleźć Dickensa.

— Dickensa? — powtórzyła Katherine.

Derek wzruszył ramionami, przez moment mocniej ścisnął rękę Katherine, po czym odszedł.

— To rodzinny zwyczaj; dziś zamierzamy do niego powrócić — wyjaśniła Victoria. — Kiedy Craig i Jennifer, Ross i Derek byli jeszcze dziećmi, zwykle zaczynaliśmy kolację wigilijną czytaniem *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Czy coś nie tak, Katherine?

— Nie. — Właściwie nie powinnam być zaskoczona, pomyślała. Korzenie Craiga są w tej rodzinie. — Zawsze w Wigilię Craig czytał dzieciom to opowiadanie.

— A więc nie zapomniał o nas tak całkowicie. — Po chwili Victoria skinęła w stronę Rossa. — Craig podtrzymywał naszą tradycję wigilijnego czytania.

— A czy też czytał z podziałem na role? — Ross zwrócił się do Katherine.

— O tak. Był w tym bardzo dobry.

— Tobiasz także — odparł Ross.

— Tobiasz czyta w sposób, który pozostawia niezapomniane wrażenia — powiedziała Victoria. — Przeczyta opowiadanie po kolacji dla wszystkich, którzy będą chcieli słuchać. Jeśli miałabyś ochotę...

— Chyba będę miała.

Victoria skinęła głową i odeszła. Ross uważnie obserwował twarz Katherine.

— Wyglądasz wspaniale — skomentował. — Cieszę się, że tak dobrze sobie radzisz. — Wyciągnął rękę, jakby prosił o wybaczenie.

Nagle z boku pojawiła się Melania.

— Claude cię szuka — poinformowała męża.

Ross zawahał się na chwilę, po czym przeprosił i odszedł. Melania i Katherine stanęły oko w oko. Tym razem nie było przyćmiewającego blasku z jednej strony; tym razem Katherine też błyszczała. A Melania wcale nie wyglądała najlepiej. Pod przesadnym makijażem twarz miała ściągniętą, powieki opadające, a jej długa pomarańczowa suknia, w zestawieniu z czarną kreacją Katherine, wydawała się zbyt jaskrawa. Jednak Melania uśmiechnęła się tak wesoło, że Katherine odpowiedziała tym samym.

— Nieźle wyglądasz — rzuciła. — Zdumiewasz mnie. Z trudem cię rozpoznałam. — Katherine musiała natężyć słuch, żeby usłyszeć jej dalsze słowa. — Nie wiem, czy to zasługa mgły? Czy może seksu? Z tego co wiem i jedno, i drugie dobrze robi na cerę, ale twoja tak się poprawiła, że musisz chyba sobie bardzo urozmaicać pobyt w łóżku.

Uśmiech zniknął z twarzy Katherine. Poczowała ucisk w skroniach. Co oni mówią o mnie między sobą?, myślała. Po drugiej stronie pokoju jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Victoria dotknęła dłonią włosów, a gdy Katherine popatrzyła w jej stronę — mrugnęła. Katherine osłupiała. Ta poważna, pełna królewskiej godności Victoria, pani w wyłożonym gobelinami pałacu, mrugnęła do niej. Katherine otrząsnęła się — uśmiechnęła się do Victorii z wdzięcznością i zwróciła do Melanii.

— Doświadczyłam pomocy prawdziwych przyjaciół — rzekła miłym głosem. — Nie napadały na mnie zza krzaków wystraszone kobiety.

— Ty mała suko! — Twarz Melanii stężała. — Jeśli ci się

wydaje, że wolno ci tak mówić tylko dlatego, że Derek się z tobą prowadzi i pilnuje, by przypadkiem nie umknęło mu, gdzie się podziewa twój mąż...

— Co takiego?

— Przestań. Nie wygłupiaj się. Chyba nie sądzisz, że Derek spotyka się z tobą dla twego czaru i dowcipu. On miałby to robić? On, który może mieć każdą kobietę, jakiej zapragnie?! Doskonale znam Dereka; gdybyś nie miała błakającego się męża, którym trzeba będzie się zająć, gdy wróci, Derek miałby problem z zapamiętaniem twojego imienia.

Katherine wypła swego szampana.

— Być może Derek spotyka się ze mną po to, żeby odpocząć od krewnych, którzy znają go tak dobrze. A teraz wybac — dodała lodowato i ruszyła przez pokój po nową porcję szampana.

— Co powiedziałaś Melanii? — zainteresował się Derek. Ujął Katherine pod rękę tak władczo, że przeszyl ją dreszcz podniecenia. Zauważyła, że zarówno Melania, jak i Ross obserwują ją, więc cofnęła rękę. — I czego się boisz? — dodał.

— Tego, że nie znam prawdy. Derek, dlaczego ty?... — przerwała. Teraz nie była odpowiednia pora, żeby go o to pytać. — Gdzie są dzieci? Czy cały czas mają być w innym pokoju?

— Obawiam się, że nie. Victoria i Tobiasz zamierzają nasłać je na tę górę prezentów pod choinką. Może poszukamy jakiegoś cichego zakątka, bo tutaj zaczną się zaraz wyścigi i wrzaski.

— Wolałabym zostać; chcę to zobaczyć.

— Skoro taka twoja wola — mruknął. — I tak zaraz byśmy wrócili. Chcę zobaczyć, jak będziesz otwierać prezenty.

Na twarzy Katherine odmalował się niepokój.

— Ale po co, Derek? Nie przynieśliśmy niczego nadzwyczajnego.

— No to odeślemy cię do domu — powiedział wesoło. — Podoba mi się sposób, w jaki zawiązałaś ten szal.

Katherine owinęła go wokół szyi tak, by końce z frędzlami zwisały jej na plecach, ożywiając czarną kaszmirową suknię.

— Cieszę się — odparła. — Bałam się, że czerń jest na dzisiaj trochę za smutna. Nikt poza mną nie jest tak ubrany.

— I nikt nie wygląda tak jak ty. Co powiedziałaś Melanii?

— Nieważne.

— Ważne, skoro o to pytam.

— No to będę musiała przygotować sobie różne odpowiedzi. Dziękuję, Tobiaszu — powiedziała, gdy Tobiasz podszedł od tyłu i cmoknął ją w policzek.

— Dziękujesz mi za buziaka? — spytał. — Czy za to, że uratowałem cię przed koniecznością udzielenia Derekowi odpowiedzi?

— Ty przynajmniej na wszystko masz gotową odpowiedź — zauważył Derek, — To musi być strasznie nudne. Katherine, siedzimy obok siebie przy kolacji. To na razie.

Derek odszedł, a po chwili Katherine zobaczyła, jak pod oknem rozmawia z Melanią. Na moment zamknęła oczy. W ciągu pół godziny rodzina owinęła ją swymi mackami.

— Rozmawiałem z Rossem — zaczął Tobiasz. — „Zaczynamy wrzeć w różnej temperaturze.”

— Cytat z kogo?

— Z Ralpa Walda Emersona, ale chodziło mi o to, że gdybym był tak wściekły jak Ross, to już dawno bym wykopiał. Ale Ross jest bardzo opanowany. Rodzi się jednak pytanie: co jest powodem jego zdenerwowania?

— Myślę, że to nie moja sprawa.

— A moja tak, bo jestem biografem tej rodziny. Czy doszły cię pogłoski na temat zbliżającego się rozvodu?

Katherine przypomniała sobie uwagi Victorii.

— Nie — odparła.

— Nie umiesz kłamać, Katherine — westchnął Tobiasz. — Wiesz, że William Congreve napisał: „Przez małżeństwo mężczyzna i kobieta stają się jednym ciałem, lecz wciąż pozostają parą głupców”?

Katherine roześmiała się.

— Nie znam tego. Ale chyba miał rację. Przynajmniej czasami.

— Częściej tak niż nie. Przy kolacji będę siedział na wprost ciebie. Myślisz, że będziemy mogli porozmawiać?

— Dlaczegoż by nie?

— Derek może nikogo do ciebie nie dopuścić. No, no, popatrz; mimo wszystko przyszedł.

Katherine podążyła za jego wzrokiem. Do pokoju wchodzili właśnie Jason i Anna, a za nimi wysoki, przystojny mężczyzna o szczupłej sylwetce i śniadej cerze, wyglądający zupełnie jak

przypróśzeni siwizną Ross i Derek; ignorując wszystkich nieznajomy podszedł wprost do Katherine.

— Jestem Curt Hay ward — przedstawił się. — Mój syn opowiadał mi o tobie; inni zresztą też. — Wciąż trzymając ją za ręce, zrobił krok do tyłu i przyjrzał jej się uważnie. — Śliczna. Wywołałaś w tej rodzinie konsternację, ale niektórzy bardzo cię lubią. Z tego co wiem, Craig przysyła ci pieniądze, ale nie ujawnia miejsca swego pobytu.

Curt bardziej przypominał Dereka niż Rossa — był elegancki, wymuskany, pełen rezerwy i słodkiego czaru.

— Jest w Kanadzie — odparła Katherine.

— To ogromny kraj. O, jest Jason! Porozmawiamy później, Katherine. Ale chciałbym, abyś wiedziała, że bardzo się cieszę, ze względu na was oboje, iż Derek wykazał tyle zdrowego rozsądku, by wkroczyć tam, gdzie dostrzegał pustkę. Wesołych świąt, Jason.

Zszokowana Katherine wyciągnęła rękę chcąc zatrzymać Curta, ale Anna objęła ją, mówiąc jak bardzo się cieszy na jej widok. Katherine ledwie ją słyszała. On uważa, że sypiam z Derekiem, pomyślała. Czy wszyscy inni też tak myślą?

Jason i Curt uścisnęli sobie ręce; choć bracia, prawie wcale nie byli do siebie podobni.

— W ciągu ostatnich piętnastu lat widzieli się zaledwie trzy razy — szepnęła jej do ucha Anna. — Nigdy nie byli sobie bliscy. Są braćmi, lecz nie przyjaciółmi. Ale to już wina ich ojca, Hugh zawsze faworyzował Curta. A Jason nigdy mu tego nie wybaczył. Nie uważasz, że ojcowie nie powinni okazywać większych względów swym starszym synom? Zadają w ten sposób rany, które nigdy się nie zablźniają.

Mimowolnie Katherine spojrzała na Rossa, potem na Dereka — akurat w chwili gdy Victoria stanąwszy przy choince klasnęła w dłonie.

— Rozdamy teraz prezenty. Polk, proszę, przyprowadź dzieci. — Niepewnie popatrzyła na górę paczuszek. — Derek, czy mógłbyś się tym zająć? Tobiasz i Ross pomogą ci. Ja sobie popatrzę.

Następną godzinę wypełniło gorączkowe rozrywanie papieru i wstążek oraz okrzyki radości. Dzieci dostały rozmaite upominki, poczynając od książek poprzez ubrania, a na zestawach do składania i nartach kończąc. Jennifer i Todd na widok swego prezentu

oniemieli; był to domowy komputer z całym zestawem dyskietek, gier, programów do nauki i drukarką. Jennifer na głos odczytała treść karteczki: „Od Dereka”.

— To zbyt wiele — powiedziała Katherine Derekowi. — Nie możemy tego przyjąć...

— Głos jej zamarł. Gdyby Derek ją uprzedził, nie przyjęłaby tego prezentu, ale teraz, widząc twarze swych dzieci przypominające dwa roześmiane słońca, nie potrafiła odmówić.

— Mamo! — Zerwali się na nogi i podbiegli do niej. — Chodź, popatrz! Możemy grać w różne gry, uczyć się matematyki, pisać wypracowania, rozwiązywać zagadki...

— Może tak byście podziękowali? — zwróciła im uwagę Katherine.

— Tak, ale komu? Na kartce jest napisane, że to od Dereka. Ale kto to?

— Nie wiesz, kochanie? — słodkim głosem spytała zdziwiona Melania. — Czy to znaczy, że nie znasz Dereka, bliskiego przyjaciela swojej matki? Stoi tuż obok ciebie.

Katherine oblała się rumieńcem.

— Spotkaliście się w czerwcu, kiedy byliśmy tu pierwszy raz. Todd popatrzył na Dereka.

— To z panem mama chodzi na przyjęcia? I to pan kupił nam komputer?

Derek podał mu rękę.

— Miło cię poznać. Tak, to ja go kupiłem.

— Może nie rrowinniśmy go przyjąć — wtrąciła Jennifer; w jej głosie brzmiała niechęć. — To strasznie kosztowny prezent od kogoś, kto nawet nie wchodzi do domu, gdy przyjeżdża po mamę.

— Jennifer! — krzyknęła Katherine.

— Słuszna uwaga — skomentował z lekkim uśmiechem Derek. — Od tej pory będę wchodził do domu jak należy. Za twoim pozwoleniem.

— Nie mnie powinien pan prosić! — sprzeciwiła się Jennifer. — To nie moja sprawa.

— Może mógłby pan pomóc nam przy komputerze — zaproponował Todd. — Pokazać nam, jak się programuje i tego typu rzeczy.

— Nie — twarz Dereka nie wyrażała niczego szczególnego, ale

po raz pierwszy Katherine uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała, żeby się śmiał. — Ale jeśli nie poradzicie sobie z pomocą instrukcji, to skontaktuję was z kimś z mojej firmy, kto wam pomoże.

Todd zawiedziony zrobił krok w tył. Już po chwili jednak twarz mu się rozjaśniła.

— Bruce! Przecież on pracuje na głównym komputerze u „Heatha”! Jego poproszę!

— Todd — upomniała syna Katherine.

— Aaa... Tak. Strasznie dziękuję. Naprawdę strasznie dziękuję!

— Dziękuję — powiedziała Jennifer uprzejmie. — Jeśli chciałby pan czasem z niego skorzystać, to proszę bardzo.

— No dobrze — odezwała się Victoria. — Dzieci już się nacieszyły, a ja nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co Katherine mi przyniosła. — Odwinęła małą okrągłą paczuszkę i podniosła na dłoni słoik obwiązany czerwoną wstążką z napisem „Konfitura z imbiru”. — Moja droga — odezwała się po chwili — czy sama to zrobiłaś?

Katherine skinęła potakująco, bo nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wiedziała, że jej konfitury, dżemy i galaretki znikną w blasku innych prezentów, ale nie stać jej było na inne podarki dla całej rodziny. Początkowo myślała, żeby zrobić coś z biżuterii, ale porzuciła ten pomysł. Najpierw chciała wyrobić sobie pozycję u Mettlera albo gdzieś indziej. A kiedy, gdy w domu na stoliku ustawiła kolorowe słoiczki i przewiązała je różnobarwnymi wstążkami, wyglądały tak ładnie i odświeżenie, że wydały jej się zupełnie w sam raz na prezenty.

Gdy jednak zobaczyła, jak słoiczek, który Victoria trzyma na dłoni, jest maleńki i jak nijako się prezentuje, zrozumiała, że tej rodzinie jej prezenty wydadzą się zbyt ubogie, i serce jej zamarło. Musiała chyba śnić, kiedy sądziła, iż pasuje do ludzi, którzy mają tyle pieniędzy, że mogą kupić, co zechcą.

Ale Victoria podeszła do Katherine, delikatnie ją objęła i ucałowała w policzek.

— Skąd wiedziałaś, że najbardziej lubię konfiturę z imbiru? — Głos starszej pani był na tyle donośny, by wszyscy mogli go usłyszeć. — Czasem ktoś mi ją kupował, ale nikt do tej pory nie zadał sobie trudu, by ją dla mnie zrobić. A Tobiasz akurat znalazł niedawno doskonały przepis na kurczaka z konfiturą imbirową.

Musisz przyjść do nas na kolację, z wielkim apetytem zjemy wszystko we trójkę i z nikim się nie podzielimy. Bardzo ci dziękuję, moja droga. A teraz otwórz swój prezent.

Katherine wolałaby jeszcze tego nie robić, ale Tobiasz wziął ją za rękę i poprowadził w stronę sterty pudeł.

— Ale które z nich jest dla mnie? — spytała.

— Wszystkie! — wykrzyknął Tobiasz ucieszony. — To od nas wszystkich: od Victorii, Rossa, Anny, Jasona i mnie. No otwórz! Otwórz już!

Ale nie od Dereka, pomyślała Katherine. Ani od Melanii. Nieśmiało przyklękła i otworzyła pierwsze pudełko. Oczom jej ukazał się zestaw symetrycznie ułożonych amerykańskich i szwedzkich pilników do metali — owalny i kwadratowy, nożowy, rombony, baretowy, półokrągły i soczewkowy, rozmaitej długości i o siedmiu stopniach miałości. Obok pilników leżał zestaw uchwytów. Niemal ze strachem Katherine dotknęła błyszczących narzędzi.

— Nie złamię się, nie ma obawy! — krzyknął Tobiasz prawie tańcząc z radości. — A teraz otwórz resztę pudełek!

Domyśliła się, co zawierają. Szybko zerwała opakowania i po chwili klęczała otoczona kartonami, w których były kleszcze, matryce do tłoczenia, punce cyzelerskie, materiały do piaskowania, piłka i zestawy brzeszczotów oraz dwie małe polerki z napędem. Katherine podniosła się z podłogi i stojąc wśród jubilerskich narzędzi, na których kupno nie mogła sobie pozwolić, patrzyła na rodzinę, a na jej twarzy malowała się taka radość, że Derekowi aż dech zapało; a Victoria i Tobiasz podeszli do niej i objęli ją ramionami.

— Nie otworzyłaś mojego prezentu — powiedział Derek podając jej wąskie pudełko. Katherine zdjęła opakowanie i wyjęła pasek złota — dwuipółcentymetrowej szerokości, a długości dwudziestu pięciu centymetrów. Zdumiona spojrzała w jego bacznie ją obserwujące oczy. — Mettler lubi złoto — dodał.

— Złoto! — krzyknęła Melania. — Przecież to musiało kosztować...

— Pewnie około tysiąca — dokończył Curt z aprobatą.

— Prostackie komentarze są w Wigilię niedopuszczalne — oświadczyła Victoria. — Dotyczy to zresztą każdego innego dnia. Derek, czy możesz wrócić do rozdawania prezentów?

— Jeszcze wam nie podziękowałam — powiedziała Katherine. Z paskiem złota w dłoni stała wśród błyszczących na dywanie narzędzi. — Dzięki wam stałam się niezależna w mojej pracy. Nie muszę już pożyczać; mogę pracować we własnym domu, w dzień albo w nocy; mogę wypróbować różne style i techniki, bo mam odpowiednie narzędzia. Czy zdajecie sobie sprawę, ile to dla mnie znaczy? — Do oczu napłynęły jej łzy. — To tak, jakbyście dali mi życie. Narzędzia do kształtowania mojego życia. Nie potrafię wyrazić...

— Świetnie to ujęłaś — skomentowała słodko Melania. Stała obok Dereka. — Cenisz sobie swoją wolność. Ciekawe, czy ta twoja historia o zniknięciu Craiga jest prawdziwa.

Zapadła przerażająca cisza; pierwszy oprzytomniał Tobiasz. Wyprostował się i krzyknął:

— „Żegnaj, żegnaj, stary nosorożcu! Witaj, witaj, nowy jednorożcu!”

Czwórka dzieci skupiona wokół komputera wybuchnęła śmiechem. Dołączyli do nich Jason, Anna i Curt. Victoria stała z zaciśniętymi ustami, Ross zachichotał, ale zaraz się uspokoił, a Derek uśmiechnął się obserwując Katherine. Ona sama odwróciła się zażenowana; najpierw się roześmiała, lecz potem spoważniała widząc w oczach Melanii bezsilną wściekłość. Dzieci turlały się po dywanie, powtarzając „nosorożec — jednorożec”, aż w końcu Victoria dała znak lokajowi, by pomógł im przenieść ich prezenty do biblioteki.

— Jesteśmy winni Katherine przeprosiny — oznajmiła, ale Katherine energicznie potrząsnęła głową. — Potem dokończymy rozdawanie prezentów i pójdziemy na kolację. Ross, myślałam, że ty i Derek macie nad wszystkim pieczę. Gdzie byliście, kiedy Tobiasz się wygłupiał?

— Bardzo nas ubawił — odparł cicho Ross, po czym przyklęknął, żeby rozdać resztę upominków.

Tylko w Boże Narodzenie Victoria pozwalała dzieciom jeść razem z dorosłymi. Tak więc wszyscy zasiedli przy długim stole udekorowanym jagodowymi gałązkami i chryzantemami zatkniętymi między białe świece w kryształowych lichtarzach. Jedli gęś i kaczkę, świeże żurawiny ze skórką pomarańczową i największą babkę drożdżową, jaką Katherine kiedykolwiek widziała. Gdy podano kawę, dzieci wraz z Tobiaszem wymknęły się do biblioteki. Victoria

i Katherine wkrótce za nimi podążyły. Przy świetle tańczącego w kominku płomienia Tobiasz czytał *Opowieść wigilijną*, skracając ją nieco, gdyż późno zaczęli. Siadając i przykucając, podskakując i tańcząc po pokoju wcielał się w różne role, przy każdej zmieniając głos. Zerknąwszy na dzieci Katherine dostrzegła łzy na ich zamyślonych twarzyczkach i poczuła, że jej oczy również zwilgotniały na wspomnienie głosu Craiga czytającego w czasie ich rodzinnych świąt w Vancouver te same słowa, które teraz czytał Tobiasz. Nie miałaś prawa odchodzić, powiedziała gniewnie w myśli. Stała w półmroku pozwalając, by łzy spływały jej po policzkach. Zauważyła, że Ross cichutko przysiadł przy drzwiach. Godzinę później, gdy Tobiasz odczytał ostatnie słowa Małego Tima: „Boże, błogosław nas wszystkich!”, spojrzała w jego stronę, lecz już go nie było.

— Melania ma wiele zalet — powiedział Derek przez telefon. — Ale zdrowy rozsądek, spostrzegawczość i dyskrecja do nich nie należą. Craig nie ma nic wspólnego z tym, że chcę się z tobą spotykać.

— Zupełnie nic?

— A nawet gdyby miał, to co to za różnica? Kiedy cię poznałem, intrygowałaś mnie; teraz nie mogę ci się oprzeć. A ty jesteś zbyt inteligentna, żeby brać poważnie to, co mówi Melania. Zaplanowaliśmy, że wspólnie przywitamy Nowy Rok. A więc o dziewiątej?

— Dobrze.

Miesiąc wcześniej w jego mieszkaniu Katherine pragnęła go i zdawała sobie z tego sprawę; nie zapomniała tego uczucia, kiedy przyszedł po nią w sylwestra. Derek przypomniał Jennifer, że zjawił się po jej matkę, jak należy", dał też znak Toddowi, że słucha, gdy ten opowiedział mu coś o komputerze, jednak ani na chwilę nie spuścił wzroku z Katherine. Ona patrzyła na niego widząc, że on przygląda się jej, i jakby bawiąc się tymi spojrzeniami mówiła mu, że go pragnie, a on podziwiał i pieścił jej ciało ubrane w biel i czerń, w koronkę i tafetę, dotykał jej delikatnej twarzy, która pozbawiona wreszcie wyrazu rozpacz i poczucia niższości, promieniała zniewalającym pięknem. W końcu Derek wziął głęboki oddech.

— Chyba jednak nie będę kochał się z tobą przy twoich dzieciach — szepnął i wyprowadził ją z domu.

W samochodzie pocałowali się. W jednej chwili, zanim jeszcze Derek włączył silnik i ruszył z miejsca, całe ciało Katherine ogarnęło pożądanie. Odchyliła głowę do tyłu na oparcie siedzenia i nie ruszała się, gdy mknęli po świątecznie przystrojonych ulicach w kierunku białego domu rozświetlonego świecami i lampami.

Wszystkie trzy jego piętra zostały przemienione w miejsca rozrywki. Tłumy gości sprawdzały swe umiejętności w strzelaniu, rzucaniu piłką baseballową i strzałkami, grały w kręgle i łowiły w balii delfinki z czystego srebra; inni w namiotach ustawionych na trzecim piętrze oglądali striptiz, pokazy akrobatów albo tresowane psy, które wykonywały obliczenia matematyczne i wyszcze kiwały kolędy grane na trąbce przez przytupującego nogą kłowna.

— Trochę tego wszystkiego za dużo — osądził Derek sucho. — Ale gospodarze bali się, że nikt ich nie zauważy w tłumie bogaczy.

— A doprowadzili do tego, że nie zauważa się gości — dodała Katherine, gdy przechadzali się po pokojach.

— Mój Boże, Derek! — wykrzyknął jakiś chudy młodzieniec z wąsami. — Jak to się stało, że odkryłeś tę piękność przede mną? Myślałem, że zawsze wyprzedzam cię o krok.

— Nikt nigdy nie wyprzedzi Dereka — odezwał się tęgi, ciemnowłosy mężczyzna, który pochylił się nad ręką Katherine. — Jestem Brock Galvez. Bardzo mi miło. Derek... — Uścisnęli sobie dłonie. — Byłeś już na górze? Jakiś szalencie nauczył psy szczekać *Wśród nocnej ciszy*.

Derek spojrzał na Katherine.

— Darujemy je sobie? — spytał. — Czy może chciałabyś zacząć od góry i potem zejść na dół?

— Po obejrzeniu tych psów można już chyba tylko piąć się w górę — odparła Katherine.

Galvez roześmiał się, a oni wymienili uśmiechy.

— Co chciałabyś robić? — zapytał Derek.

— To, co ty wybierzesz.

Przysuwając się do niego i patrząc mu prosto w oczy, Katherine wyprostowała się jak struna. Tafta i koronka delikatnie muskające jej skórę, nie ukrywany podziw wszystkich dokoła i rozlegająca się

wokół muzyka i gwar rozmów sprawiły, że Katherine dała się ponieść czarowi tego wieczoru i puściła wodze fantazji. Była teraz wolna od obowiązków, od ograniczeń i od Craiga. Była tylko z Derekiem.

O północy powitali Nowy Rok toastem i delikatnym pocałunkiem, a potem zjedli kolację z przyjaciółmi Dereka, prawnikami. Gdy wychodzili o wpół do drugiej, Katherine zauważyła, że wraz z nimi do mieszkania Dereka udaje się tłum gości.

— Zmęczyliśmy się tymi psami — powiedział jakiś rudzielec. — Sylwester wśród psów wyszczekujących kolędy nie ma w sobie nic z romantyzmu. Właściwie jest cholernie nieroman-tyczny.

Wszyscy usadowili się w salonie Dereka wśród mebli ze skóry, chromu i szkła. Drzwi do pokoiku w stylu wiktoriańskim były zamknięte.

— Katherine — zwróciła się do niej kobieta, która niczym szalem owinęła swoje długie czarne warkocze wokół szyi. — Czy mogłabym dostać dżin z tonikiem?

Katherine poszukała Dereka, ale zajęty był wybieraniem kaset magnetofonowych. Tak więc została panią domu — chodziła między gośćmi pomagając im przyrządzać koktajle albo wskazując drogę do łazienki. Gdy zadzwonił telefon, ruszyła w jego kierunku, by podnieść słuchawkę, ale powstrzymała się. W końcu to nie był jej dom. Kiedy jednak około wpół do czwartej wyszedł ostatni gość, delikatnie przynaglany przez Dereka do opuszczenia domu, Katherine czuła się w nim niemal jak u siebie.

— Świetnie sobie radziłaś — pochwalił. — Byłaś wspaniała. Uniosła wyżej głowę.

— Czy to był sprawdzian?

— Tylko przez pierwszych pięć minut. Chodź.

Derek otworzył wiktoriański pokój, a Katherine ruszyła za nim w stronę aksamitnej czerwonej sofy.

— Derek — zaczęła. — Czy ty ze wszystkiego robisz przedstawienie?

— Tylko wtedy, gdy ktoś potrafi odegrać swoją rolę. Masz ochotę na drinka?

— Nie.

Przysunęła się do niego lekko, ale nagle przestraszona ogarniającym ją pożądaniem znieruchomiała. Wtedy Derek objął ją mocno, zaczął całować wciskając ją w sofę. Katherine odpowiedziała głębokim pocałunkiem, a gdy poczuła jego dłoń na swojej piersi, przyłgnęła do Dereka jeszcze mocniej.

W pewnej chwili nie mogła już oddychać, więc umknęła jego ustom.

— Poczekaj — szepnęła. — Ja nie...

— Ależ tak. Chcesz tego, tęskniłaś za tym i przez cały wieczór wiedziałaś, że dzisiaj będziesz się ze mną kochać. Byłaś fantastyczna; nieczęsto udaje się komuś zadziwić mnie, ale ty... — I znów ją całował błędząc językiem w jej ustach. — Moja ty rozkoszna istotko — mruknął.

Niczym chwila ciszy w czasie burzy pożądanie przygasło na moment. Wyraźnie słyszała w myślach słowa Dereka. Moja istotka. Moja własność. O nie, pomyślała. Ale wciąż żywe były w niej wrażenia całego wieczoru, a gdy Derek rozsunął suwak i czarna koronkowa bluzka niczym mgiełka opadła w dół, niepokojące myśli zniknęły; wiedziała tylko jedno: że przez pół roku umierała z głodu, a teraz trzyma w swych ramionach... najlepsze delicje.

Derek zsunął z niej halkę i obiema dłońmi ujął jej piersi; pochylił się i zaczął delikatnie muskać językiem najpierw jeden sutek, a potem drugi. Z ust Katherine wyrwało się głębokie westchnienie, gdy dreszcz rozkoszy, ciepły jak jego głos, przebiegł jej ciało.

— O Boże — szepnął. W głosie Dereka było coś, co powiedziało Katherine, że na żadną kobietę nie czekał tak długo.

— Dlaczego?... — mruknęła, ale Derek już prowadził ją do sypialni i pytanie gdzieś się rozplynęło. Położył ją na łóżku, pochylił się i całując namiętnie, muskając językiem jej język, zaczął zsuwać spódnice. Odgłosy świata zewnętrznego wydawały się ciche niczym szum potoku tłumiony przez burzę szalejącą w uszach Katherine. W końcu jednak przedarły się przez nią i rozległ się dzwonek telefonu. Derek nie ruszył się.

— Derek — szepnęła tuż przy jego ustach.

— Niech sobie dzwoni.

Wyrwała mu się i usiadła. Już wcześniej telefon dzwonił, a ona

go zignorowała. Teraz ten natarczywy dźwięk rozwił resztki czaru sylwestrowej nocy. — Proszę cię, odbierz.

— Nie mam zamiaru. Zwariowałaś?

— Więc ja odbiorę. Przyglądał jej się spokojnie.

— Już za pierwszym razem powinnam go odebrać. Zostawiłam ten numer Annie. Może coś się stało w domu.

Derek bez słowa sięgnął w kierunku nocnej szafki i z dolnej półki zdjął telefon podając go Katherine. Podniosła słuchawkę, gdy zaczynał się kolejny dzwonek.

— Słucham — zabrzmiało to jak szept, więc odchrząknęła. — Słucham.

— Mamusiu! — krzyknęła Jennifer. Jej słowa zadudniły Katherine w głowie. — Szybko przyjedź do domu! Jest z nami tatuś!

Rozdział dziesiąty

Mijając wracających do domu biesiadników Derek w milczeniu prowadził samochód; jego twarz przypominała maskę. Od czasu do czasu chichotał nerwowo.

Zaczął się śmiać jeszcze w domu, kiedy usłyszał przejmujący głos Jennifer. W jednej chwili zerwał się z łóżka i chodząc po pokoju dusił śmiech, aż w końcu roześmiał się w głos.

— Na Boga, znów to zrobił! Po piętnastu latach ten sukinsyn znowu psuje mi szyki. Ciągle tak jest, jakby w ogóle nie odszedł. Właściwie to niezwykle budujące, kiedy człowiek pomyśli, że świat prawie się nie zmienia. No chodź; pewnie chcesz jak najszybciej wrócić na łono rodziny.

Katherine już wciągała spódnice.

— Nie musisz mnie odwozić. — Słowa Dereka i jego śmiech w połączeniu z budzącym się w niej poczuciem winy sprawiły, że zrobiło jej się słabo. Chciała zostać sama. — Wezmę taksówkę.

— Odwiozę cię.

W milczeniu śmigali po ulicach, prawie nie zwalniając na czerwonych światłach i przemykając przed nosem innym kierowcom, aż w końcu znaleźli się w Sunset, gdzie sąsiedzi Katherine dawno

już spali i tylko w jej mieszkaniu paliło się światło. Przed domem Derek ostro zahamował i uśmiechnął się blado.

— Pozdrów go ode mnie.

Katherine otworzyła drzwiczki samochodu, ale nagle uświadomiła sobie, że nie bardzo ma ochotę wysiąść.

— Dziękuję ci za... — Zabrzmiało to słabo i obojętnie. Nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. — Za przyjęcie — dokończyła i wysunęła nogę na zewnątrz.

Derek podniósł jej dłoń do ust.

— Katherine, byłaś wspaniała. Na przyjęciu, w moim domu i przy mnie. — Zadrzała. — I życzę ci radosnego spotkania z mężem.

— Nie wiem... — zaczęła. Wysiadła jednak z samochodu i gdy tylko zatrzasnęła drzwiczki, Derek wcisnął gaz i gwałtownie ruszył z miejsca, zostawiając ją Craigowi.

Katherine weszła do domu, a tam powitała ją cisza. Nikt nie wyszedł jej na spotkanie, nikt nie wyciągnął do niej rąk. Pokój był pusty. Nie, nie pusty — Jennifer i Todd leżeli skuleni na sofie i spali. Katherine miała mętlik w głowie, dosłowną gonitwę myśli. Gdzie on się podział? Przeszła przez pokój i zajrzała do kuchni — pusta. Przeszył ją dreszcz niepokoju. Teraz sypialnia. Mąż czekałby na żonę w łóżku. Spódnica zaszeleściła, gdy zrobiła trzy energiczne kroki i pchnęła drzwi. Ale obydwa starannie zasłane łóżka były nietknięte.

— Jennifer — szepnęła przykłękając przy sofie. — Jennifer. '

— Mamusia! — Dziewczynka usiadła wyprostowana i mrużąc oczy od światła rozejrzała się po pokoju. — Gdzie jest tatuś?

— Nie ma go tu. Jennifer, jesteś pewna, że tu był? Może tylko miałaś bardzo realistyczny sen?

— On jest tutaj! Jest! Jest z nami od północy! Todd i ja czekaliśmy na Nowy Rok i wtedy przyszedł tata i zadzwoniliśmy do ciebie. Dzwoniliśmy i dzwoniliśmy, lecz nikt nie odbierał i tata powiedział, że musi już iść, ale w końcu się odezwałaś, więc tata powiedział, że my rx>wirimśmy się już położyć, bo jest bardzo późno, a on posiedzi przy nas i zaczeka na ciebie. Nie mógł odejść! Obiecał, że poczeka! Dlaczego tyle czasu zabrał ci powrót do domu?

— Byłam na drugim końcu miasta. Todd obudził się przecierając oczy.

— Tato?

— Odszedł! — krzyczała Jennifer. — I nic nam nie powiedział! — Zacisnęła pięści i uważnie popatrzyła na matkę. — Tata nie lubi Dereka, prawda?

A więc zamierzają zrzucić winę na mnie, pomyślała Katherine.

— Tak powiedział? — spytała.

— Nie, ale mówił, że czuł się samotny i że dzwonił do nas do Vancouver w październiku, ale telefon był odłączony, więc poprosił kogoś, żeby sprawdził nasz nowy adres na pocztę i dzięki temu wiedział, dokąd wysyłać pieniądze. A potem spytał, gdzie jesteś, a my powiedzieliśmy, że poszłaś na sylwestra z Derekiem. Todd dodał jeszcze, że często spotykasz się z Derekiem, a kiedy odebrałaś telefon w jego mieszkaniu, tata kazał nam iść spać. — Popatrzyła matce w oczy wzrokiem dorosłej kobiety. — Wtedy mógł wyjść po cichu. Zupełnie tak jak poprzednio.

— Ponosi cię wyobraźnia — ucięła Katherine ostro. — Opowiedz mi, co się stało. A wiec przyszedł o północy?

— Zapukał do drzwi — odparł Todd. — Wtedy wyrząłem przez okno, tak jak nam kazałaś, gdy jesteśmy sami, a Annie jest u siebie. No i stał tam! Taki sam jak zawsze!

— Chudszy — osądziła Jennifer. Skrzywiła się. — Obiecał, że poczeka na ciebie!

— Cały czas nas przytulał — ciągnął Todd. — Obejrzał kuchnię i sypialnię i łazienkę, wszystko. Otworzył też każdą szufladę i szafkę, a potem spytał, gdzie jest jego duże biurko...

— Chciał wiedzieć, czy je sprzedaliśmy! — głośno krzyknęła Jennifer. — A tak w ogóle, to co on sobie o nas myśli? Powiedzieliśmy mu, że biurko czeka na niego w Vancouver w przechowalni, bo tutaj nie ma na nie miejsca.

— A co było potem? — spytała Katherine.

Z pochyloną głową siedziała na jaśku obejmując kolana ramionami. Miała wrażenie, że głosy dzieci dobiegają do niej gdzieś z daleka. Spróbowała wyobrazić sobie Jennifer i Todda razem z Craigiem, lecz zamiast tego widziała w myślach kogoś obcego wężącego po jej domu.

— Obejrzał twój warsztat — mówił dalej Todd. — Wziął też do ręki swoje zdjęcie, popatrzył na nie i ostrożnie odstawił na miejsce; powiedział, że był pewien, że o nim nie zapomnisz. A później usiedliśmy na sofie i tata dał nam prezenty gwiazdkowe. Tylko że...

— Tylko że co?

Todd otworzył pudełko i wyjął z niego sweter. Przyłożył go do siebie.

— Nie pasuje na mnie.

— Jest za mały — dodała Jennifer pogardliwie. — Mój zresztą też — stwierdziła trzymając sweter za rękaw i próbując rozczarowanie przemienić w złość. — Czy tata nie wie, że urosiliśmy? Nawet nie przyszło mu to do głowy! Udawał, że wszystko jest dokładnie takie samo jak w dniu, kiedy odszedł!

— Widocznie nie pomyślał o tym — tłumaczyła Katherine. Zebrała miękkie wełniane swetry i ukryła w nich twarz czując, jak łyzy pieką jej oczy. — Ale starał się.

— Powiedział, że Boże Narodzenie miał okropne — ponuro mówił Todd. — Był strasznie samotny i tęsknił za domem i za nami...

— Co jeszcze mówił?

— Opowiadał nam o Alasce; pracuje tam, ale nie powiedział, co robi. Może buduje jakiś rurociąg. Albo coś innego. Właściwie nie mówił nic konkretnego.

— I to na żaden temat. — Jennifer znów uważnie przyjrzała się matce tym samym poważnym wzrokiem kobiety, jak dziecko, które dorasta zbyt szybko. — Trudno z nim się rozmawiało. Było tak, jakby nie chciał zdradzić żadnego swojego sekretu, i im więcej zadawaliśmy pytań, tym robił się bardziej milczący. Ciągłe zmieniał temat, dokładnie tak jak ty to robisz, kiedy nie chcesz o czymś mówić. Zapytał, jak nam idzie w szkole i tego typu rzeczy. No i o ciebie pytał. Głównie o ciebie.

— A co chciał o mnie wiedzieć?

— Wszystko...

— A jak się zdziwił! — wtrącił Todd. — Opowiadaliśmy mu o świętach i o tym, że Carrie i Jon mają kolejkę i gry Atari w bibliotece, i pokazaliśmy mu komputer i twoje narzędzia. A on cały czas pytał: „Od kogo to? Od kogo?“, całkiem jak płyta, która się zacięła. — Todd roześmiał się, ale zaraz dostał czkawki i oczy zaszyły mu łzami. — Mamo, tata był bardzo smutny.

Chłopiec wdrapał się Katherine na kolana nie zważając na swetry, a ona przytuliła go do siebie.

— Jennifer — zwróciła się do córki. — Co powiedziałaś tacie?

— Nie wiedział, że znamy Haywardów. Ani nawet tego, że

wiemy, że są jego rodziną. Pamiętasz, mamó, tę historię o Ripie Van Winkle, człowieku, który spał dwadzieścia lat, a kiedy się zbudził, nie mógł zrozumieć, dlaczego wszystko się zmieniło? Tatuś też niczego nie rozumiał. Strasznie się dziwił i ciągle kręcił głową. Opowiedzieliśmy mu o tym, jak sprzedaliśmy dom i przeprowadziliśmy się tutaj, jak Leslie pomogła ci znaleźć pracę w domu towarowym „Heath” i jak dostałaś zamówienie na biżuterię, dzięki której będziesz sławna, a Todd jeszcze powiedział, że teraz wyglądasz całkiem inaczej, jak księżniczka, i zaczął mówić o kolacji u prababci...

— A tata wtedy bardzo głośno spytał: „U kogo?” — przerwał siostrze Todd. — A ja wyjaśniłem, że oczywiście u prababci Victorii.

— Tata zaczął bardzo kręcić głową, a my powiedzieliśmy, że Victoria tak właśnie kazała się nazywać i że przecież jest naszą prababcią. A Todd mówił jeszcze o Tobiaszu i o nosorożcu — jednorożcu i...

— I o Dereku.

— Pewnie. O wszystkich. A wtedy ty odebrałaś nasz telefon i tata powiedział coś, ale tak cicho, że nic nie słyszeliśmy, a potem kazał nam iść spać obiecując, że zaczeka na ciebie. Wcale nie chciałam kłaść się do łóżka, mamó, ale strasznie byłam zmęczona. A ty tak długo nie przyjeżdżałaś.

— Tobie też tata przyniósł prezent — odezwał się Todd podnosząc z podłogi małe pudełeczko. — O, jest też list. Nie widziałem go wcześniej.

Katherine powoli otworzyła paczuszkę. Na wyściółce z waty leżała bransoletka z kości słoniowej rzeźbiona w ptaki. Po wewnętrznej stronie wygrawerowano napis „Kocham cię”.

— Ale piękna — westchnęła Jennifer.

— Wiec możesz ją nosić — oświadczyła Katherine — skoro sweter na ciebie nie pasuje. No, przymierz.

— Za duża. — Jennifer okręcała bransoletkę na swym wąskim przegubie.

— Wcale nie, jest w sam raz. Nie może być ciasna. Zatrzymaj ją na specjalne okazje.

Jennifer wnikliwie popatrzyła na matkę.

— A ty kiedy będziesz ją nosić?

— Może kiedyś. Zapomniałaś, że teraz sama robisz biżuterię?

Todd tymczasem już otworzył kopertę.

— Tu jest napisane „Najdroższe dzieci”, ale nie mogę nic więcej odczytać. —
Podał list siostrze.

— „Przykro mi — czytała Jennifer — ale nie mogę... nie mogę czekać na...” —
Potrzęsnęła głową. — Bardzo niewyraźne pismo — orzekła podając list Katherine.
— Przeczytaj, mamó. Zresztą i tak pewnie jest do ciebie.

— „Najdroższe dzieci — zaczęła Katherine odczytywać kreślone w pośpiechu
bazgroły Craiga. — Przykro mi, że jednak nie mogę zaczekać na waszą mamę; jest
już późno i muszę wracać. Ale obiecuję wam, że pewnego dnia znów będziemy
wszyscy razem tak jak kiedyś, już na zawsze. Pamiętajcie, co wam powiedziałem —
że czasem spadają na nas problemy, na które nic nie możemy poradzić, i trzeba
wtedy odejść. Kocham was i waszą mamę i wcale nie chciałem od was odchodzić,
ale musiałem. Proszę, uwierzcie mi. Może uda mi się wytłumaczyć wam to
wszystko, gdy wrócę do domu, a zrobię to, gdy tylko wszystko sobie poukładam.
Cały czas nad tym pracuję. Powiedzcie o tym mamie; ona w to uwierzy, bo ufa mi i
kocha mnie, a dopóki mam pewność, że czeka na mnie, wiem, że mogę rozwiązać
wszystkie problemy i znów będziemy szczęśliwi. Zobaczymy się, jak wrócę.
Opiekujcie się mamą; powiedzcie jej, że kocham ją. I was też kocham, i bardzo za
wami tęsknię. Tatuś.”

Przez cały tydzień list Craiga leżał na stoliku do pracy, a Katherine próbowała
rozszyfrować wykreślone z niego słowa. Pierwszym na pewno było „Derek”.
Pozostałe zostały tak mocno zamazane, że aż papier się podarł. „Opiekujcie się
mamą; powiedzcie jej, że Derek...” Co Derek? Powiedzcie, że Derek nie lubi jej
męża? Derek wcale tego przed nią nie ukrywał. Powiedzcie, że Derek zechce pójść z
nią do łóżka? Sama o tym wie i sama też tego chciała. Powiedzcie, że Derek rządzi w
rodzinie? Żadna nowina. Powiedzcie, że Derek potrafi być okrutny? Jest tego
świadoma. Powiedzcie, że Derek pokłócił się z Craigiem na łódce piętnaście lat
temu? To już wie; wszystko to wie. „Powiedzcie, że...” co?

Każdego wieczoru, kiedy Jennifer i Todd leżeli już w łóżkach, wpatrywała się w
list tak uporczywie, że w końcu zaczynała ją nosić. Prosiła wtedy Annie, żeby
uchyliła drzwi na korytarz, i robiła sobie spacer do pobliskiego oceanu. Tam
słuchając miarowych

uderzeń fal rozbijających się o brzeg czuła, że wzbiera w niej gniew. Craig wciąż miał przed nią tajemnice. Te zamazane wyrazy w jego Uście przypominały przemilczane słowa w ich małżeństwie.

Ale napisał, że wróci, powtarzała sobie w myśli, i że wszystko nam wyjaśni. Opowie, co się z nim działo, o czym myślał...

Niby jak to zrobi, skoro nie potrafił nawet stanąć ze mną twarzą w twarz albo napisać, co chodzi mu po głowie?

Może by potrafił, szepnął jej jakiś złośliwy głosik, gdybyś nie była wtedy u Dereka.

Nie mogę mieć takiej pewności, pomyślała ze złością. Nie mam pojęcia, dlaczego odszedł. Nie wiem, dlaczego zamazał słowa, które napisał.

Łzy na jej policzkach mieszały się ze słonawą mgiełką znad oceanu. Skąd mogę wiedzieć, czy kiedykolwiek poznam myśli Craiga, jeśli on wciąż się przede mną zamyka? Nigdy nie dowiem się, kim jest, pomyślała z rozpaczą, jeśli ciągle będzie przede mną uciekał. „Powiedźcie mamie, że...”

Do cholery, sam mi to powiedz!

Nie miała z kim porozmawiać. Victoria i Tobiasz wyjechali na miesiąc do Włoch; Leslie знаła rodzinę Haywardów tylko z opowiadań Katherine; Ross najwyraźniej nie miał czasu z nią rozmawiać; a Derek — jak miałaby zapytać Dereka, co jego zdaniem mógł napisać Craig? A zresztą Derek nie dzwonił.

— Więc sama do niego zadzwoń — poradziła Leslie, gdy spotkały się tydzień po sylwestrze. — Czasy się zmieniły, chyba to zauważyłaś; kobiety już nie czatują omdlałe przy telefonie i nie usychają z tęsknoty za głosem pana i władcy.

Ale Katherine potrząsnęła przecząco głową. Okręcała wokół przegubu kawałek miękkiego drutu wyobrażając sobie, że to złoto.

— Nie chcę do niego dzwonić. Nie chodzi o to, że jestem na to zbyt dumna, ale po tym, co zrobiliśmy...

Leslie usadowiła się wygodniej na sofie.

— Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz? Miałaś po prostu ochotę pójść z nim do łóżka; to nie było nic... no dobrze, przepraszam, nie patrz na mnie, jakbym mówiła coś gorszego. Nie jest ci przykro, że go nie widzisz? Że nie ma go w pobliżu?

— Nie.

— Nie do wiary — pokpiwała Leslie śmiejąc się. — Co za zmiana!

Katherine zdjęła z ręki drucianą bransoletkę i położyła ją obok szkicu przedstawiającego pierścionek, z którym tworzyła komplet.

— Czasem mi go brakuje, a czasem nie. Latem byłam przerażona perspektywą radzenia sobie bez Craiga. W pewnym sensie wciąż się boję, dlatego że nie rozumiem samej siebie. Pomyśl sama: jaka kobieta żyje z mężem dziesięć lat i wciąż go nie zna? Czuję się jak pusta tablica, którą dopiero trzeba zapisać. Nie mam nawet nazwiska. Przecież Craig nie nazywa się Fraser, więc ja też nie.

— Ale używałaś tego nazwiska przez dziesięć lat, jest twoje. A widzi się to, co pragnie się zobaczyć. Wiedziałaś, że Craig miał przed tobą jakieś tajemnice, ale nie przeszkadzało ci to, dlatego nie namawiałaś go do zwierzeń. Myślę, że gdybyś go teraz poznała, postępowałabyś inaczej. Stałaś się bardziej wymagająca. I nie potrzebujesz już, żeby ktoś cię ochraniał. Gdybyś się nie zmieniła, zadzwoniłabyś teraz do Dereka.

Katherine roześmiała się i wzięła do ręki pasek złota.

— Jak ci się wydaje, czy złoto od niego może mi go zastąpić?

— Spróbuj się o tym przekonać. Znam wielu mężczyzn, którzy kochają je bardziej niż seks.

Roześmiały się obie, ale rzeczywiście przez następne dwa tygodnie Katherine nie przestawała o tym złocie myśleć. Bała się, że po powtórnym zniknięciu Craiga Jennifer i Todd znów popadną w ponury nastrój, ale o dziwo obydwójce byli weseli i po świątecznej przerwie bardzo zajęci w szkole. Kiedy Katherine próbowała rozmawiać z nimi o Craigu, odpowiadali uprzejmie, ale widać było, że martwi ich to, czego dowiedzieli się o ojcu — że owszem żyje i odwiedził ich, że, jak sam powiedział, kocha ich i matkę też, że przysyła im pieniądze... ale nie zamierza z nimi zostać.

Była to prawda, której nie potrafili zrozumieć i która ich przerażała, więc wyparli ją ze świadomości.

— Nie ma już Vancouver — oświadczył któregoś dnia Todd. — Sto delfinów przypląnęło do brzegu i połknęło całe miasto. Czasem, kiedy im się odbeknie, kawałek naszego starego domu może wydostać się z ich paszczy, ale Vancouver już nie ma.

— Przecież wiesz, Todd, że wciąż istnieje — powiedziała Katherine ostrożnie.

— Ale nie dla nas — upierał się przy swoim Todd, więc Katherine nie drażyła już tego tematu.

W pewnym sensie zresztą Todd miał rację — dla nich Vancouver już nie istniało. Będzie jeszcze czas na przywrócenie go do życia, jeśli przyjdzie im tam wrócić. A teraz najważniejsze dla Katherine było to, że cała trójka miała pełne ręce roboty i wszyscy patrzyli w przyszłość zamiast oglądać się w przeszłość.

Każdego dnia Katherine zabierała ze sobą książki o sztuce, projektowaniu, folklorze i archeologii, by czytać je w autobusie oraz w czasie przerw na lunch. Wieczorami, także w czasie weekendów, siadywała przy swoim stoliku i pracowała do dwunastej albo nawet do pierwszej w nocy, tak że w drugiej połowie stycznia skończyła szkice i modele. W dniu, w którym miała napocząć pasek złota otrzymany od Dereka, przyszła Leslie.

— To bardzo ważna chwila; nie chciałam, by mnie ominęła. Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko, żebym sobie popatrzyła. — Pochylona nad pracą Katherine pokiwała przecząco głową. Leslie rozejrzała się wokół z nieco zdziwioną miną. — Coś tu się zmieniło.

— Zrobiłam małe przemeblowanie — odparła Katherine nacinając złoto. — Potrzebowałam więcej miejsca.

— Chyba tak — mruknęła Leslie.

Ścianę nad stolikiem zakrywały teraz półki, na których leżały pudełka z nowymi narzędziami. Część przyborów zawieszona była na haczykach albo leżała na stolikach, bo Katherine dostawiła jeszcze mały składany stolik do gry w karty. Na podłodze, wypełnione drutami, sznurkiem, cyną i innymi materiałami, stały pudełka po butach z „Heatha”. Zniknęło też zdjęcie Craiga.

— Przeniosłam je do pokoju dzieci — wyjaśniła Katherine, gdy Leslie wpatrywała się w miejsce, gdzie stało od sierpnia. Znowu pochyliła się nad miękkim złotem, w którym rysami zaznaczała miejsca cięć.

Leslie obserwowała ją w milczeniu. Gdy Katherine wyjęła jedną ze swych nowych piłek i umocowała w niej ostrze, Leslie zapytała:

— To ma ci zastąpić Dereka, prawda? I może Craiga? Mam na myśli sposób, w jaki obchodzisz się z tym złotem.

Katherine roześmiała się.

— Nie, to nie jest żaden środek zastępczy. Ale jeśli nie ma się w życiu miłości, to trzeba mieć pracę, którą się kocha.

— Gdzieś to czytałam — stwierdziła Leslie. — Że w życiu nie możemy się obejść bez dwóch rzeczy: miłości i pracy. Wiele bym

dała, żebym nie musiała bez przerwy staczać bojów u „Heatha”. Skoro miłość nie związała mnie swym słodkim węzłem z Markiem czy kimkolwiek innym, to przynajmniej mogłabym mieć radość z pracy. To wszystko, czego pragnę.

— Bardzo gorąco ci tego życzę — powiedziała Katherine, po czym znów zajęła się złotem.

Ale później, gdy Leslie już poszła, przypomniała sobie jej słowa. Miłość i praca. Ogarnęła wzrokiem zestaw błyszczących narzędzi, szkicownik i wszystkie materiały, które przygotowała po to, by własnoręcznie nadać im kształt. Craig był gdzieś w tle; Derek zniknął. Mam pracę, pomyślała. I w dodatku jestem nią obłożona, przynajmniej na razie.

W ciągu sześciu miesięcy licząc do połowy stycznia zyski „Heatha” spadły. Nawet szal bożonarodzeniowych zakupów nie wpłynął korzystnie na liczby — procent zysku był niższy, niż być powinien. Kogoś należało tym obciążyć i na wtorkowym zebraniu zarządu wszystkie palce wytknęły Leslie McAlister, wiceprezesa do spraw kadr i płac.

— Komputer i ja to właściwie to samo — powiedziała do Marca, opadając znużona na kanapę w restauracji kilka pięter nad Union Square. — Namówiłam ich, żeby kupili ten komputer, i teraz muszę udowodnić, że to był dobry pomysł.

— Po co się tym martwić?

— Mogłeś wybrać jakieś inne miejsce, z którego nie byłoby widać „Heatha” — powiedziała patrząc przez okno ze skrzywioną miną.

— Sięgnij wzrokiem dalej.

— Mam to rozumieć dosłownie? Marc wzruszył ramionami.

— Wszędzie mogłabyś dostać pracę. Skoro oni mają ci za złe zrealizowanie twego ulubionego projektu, to po co tracisz dla nich czas?

— Bo wczoraj przeprowadziliśmy inwentaryzację i wyszły nam jakieś idiotyczne wyniki; możliwe, że mój ulubiony projekt nie wypalił.

Popatrzył na nią przenikliwie, lecz ta skupiona mina jakoś nie pasowała do jego pulchnej twarzy.

— Ulubiony projekt czy ulubiony programista?

— I jeden, i drugi — odparła wzdychając. — Czasami Bruce mnie przeraża; jest tak cholernie beztroski, że nie jestem pewna, co uważa za żart. Może na przykład wprowadzenie fałszywych informacji do komputera.

— Jakich fałszywych informacji?

— Że wskaźnik kradzieży wynosi tylko półtora procent... — Przerwała niespodziewanie. — Nie widzę przed sobą drinka. Czy wszyscy tu zastrajkowali?

— O, przepraszam. To co zwykle? — Leslie przytaknęła skinieniem i Marc zamówił drinki. — Leslie, kochanie, możesz swobodnie ze mną rozmawiać.

— To poufna sprawa. Dobrze o tym wiesz.

— Wiec pozwól, że sam zgadnę. Według danych komputera wskaźnik kradzieży wynosi półtora procenta. To znacznie poniżej przeciętnej. Większość sklepów cieszyłaby się z takich wyników. Dlaczego więc martwi się nimi Leslie McAlister? Ponieważ podejrzewa, że ktoś wprowadza do komputera fałszywe dane, wynik obliczeń zatem też jest mylny. A jeśli ten ktoś zadaje sobie tyle trudu, to rzeczywisty wskaźnik musi być dużo wyższy. — Marc wyjął pióro i zaczął coś obliczać na papierowej serwetce. — Sklepy detaliczne.... — mruczał pod nosem. — Średni wskaźnik kradzieży... Roczne obroty „Heatha” około stu milionów dolarów... dodatkowa strata... — Popatrzył na Leslie. — Zdaje mi się, że Leslie McAlister martwi się tym, że ktoś kradnie towar „Heatha” o wartości około miliona dolarów i tak manewruje jej pupilkiem komputerem, że wszystkie rachunki się zgadzają i nie wykazują kradzieży. No jak, ciepło?

Leslie rozłożyła ręce i opuściła je bezradnie.

— Gorąco.

Marc z satysfakcją pokiwał głową.

— A ty proponujesz wszcząć dochodzenie w sprawie zaginięcia miliona dolarów i jednocześnie chcesz utrzymać to w tajemnicy?

— Ja niczego nie proponuję; tylko mam nadzieję i staram się. Marc, na tym polega moja praca; cokolwiek się teraz stanie, ja będę za to odpowiedzialna. Jeden z moich współpracowników z zarządu przypomniał mi dziś nawet, że to ja załatwiłam memu bratu pracę w charakterze programisty. Bez względu na to, jak na tę sprawę spojrzysz czy oni spojrzą, to ja ponoszę odpowiedzialność.

— Ale nie za komputery, na miłość boską. Nikt nie jest w stanie nawet ich zrozumieć, a co dopiero wziąć za nie odpowiedzialności. Zrzuć winę na diabła. Albo na pływy morskie. Może na czarne plamy na słońcu. Czy nawet na samego Boga. On pewnie też nie rozumie komputerów, ale przynajmniej jest na tyle potężny, by wziąć za nie odpowiedzialność na swe barki.

Leslie roześmiała się.

— Dzięki, Marc. Ty naprawdę umiesz pokazać problem w innym świetle. I owszem, chociaż mnie o to nie pytałeś, mam ochotę na jeszcze jedno martini z wódką. A to co?

— Co takiego? — Marc złożył zamówienie patrząc, jak Leslie wygląda przez okno. — Cóż tam przykuło twoją uwagę?

— Sportowy samochód, który wydaje mi się znajomy. I wsiadająca do niego kobieta. Chyba poznaję jej płaszcz.

— Co to za kobieta?

— Nieważne. — Odwróciła się do Marca i w zamyśleniu powiodła palcem po brzegu szklaneczki, którą kelner zdążył już przed nią postawić. — Po prostu nie wiedziałam, że znów się spotykają. Mieli... małe nieporozumienie w sylwestra i myślałam, że jeśli się pogodzą, to ona mi o tym powie. Chyba po prostu czuję się odsunięta; coś się dzieje, a ja nic o tym nie wiem. — Pociągnęła łyk ze swej szklaneczki i zauważyła, że Marc się zasepił. — Domyślam się, że za dużo mówię o sobie. Przepraszam. Teraz twoja kolej.

— Nie o to chodzi. Tylko nie mam ochoty spędzać wieczoru w towarzystwie znerwicowanej kobiety. Chcę, żebyś była tak urocza, jak tylko potrafisz, albo nie potrzebuję twojego towarzystwa. Więc powiedz mi — tak naprawdę nie boisz się tych idiotów z „Heatha”.

— Wyobraź sobie, do cholery, że się boję. Jestem przerażona, po prostu sparaliżowana. Marc, czy ty nie rozumiesz, że od tych, jak ich nazywasz, idiotów, zależy moja przyszłość?

— Nigdy nie powinnaś pozwolić, żeby twoja przyszłość zależała od kogokolwiek. Zmień pracę.

— Nie chcę zmieniać pracy. Chcę zostać u „Heatha”. Od dziesięciu lat to jest całe moje życie; zbudowałam tam sobie małą ostoję i nie chcę sama jej porzucić ani pozwolić, by ktoś mi ją odebrał. — Popatrzyła na swoje dłonie. — Jeśli chodzi o uzależnienie od kogokolwiek, to masz rację, nie podoba mi się to. Ale to nieodłączna część mojej pracy i potrafię z tym żyć. Gdybyśmy

wzięli pod uwagę moje życie prywatne, to sytuacja okazałaby się chyba inna.

— Moja kochana Leslie, czy mam to rozumieć jako oświadczyzny?

— Boże uchronaj! — Roześmiała się. — Nie chcę wyjść za ciebie, Marc, podobnie jak ty nie masz ochoty zenić się ze mną. Ale ostatnio rozmyślałam... — Przez chwilę sączyła swego drinka, po czym powiedziała ostrożnie: — W moim życiu nie ma... celu. Ani sensu. Poza tym oczywiście, że dążę do powiększenia zysków „Heatha”. Potrzebuję czegoś więcej.

— Jakiegoś hobby? Leslie, jeśli myślisz o projektowaniu biżuterii...

— Nie; dobry Boże, nie. Myślę o dziecku.

— Przepraszam, czy możesz powtórzyć?

— Nie rób takiej przerażonej miny. Kobiety zazwyczaj chcą mieć dzieci. Jeśli są mężatkami, to nie ma problemu; gorzej, jeśli są samotne. Długo nad tym myślałam, zastanawiałam się, czego naprawdę potrzebuję, i doszłam do wniosku, że chcę czuć się za kogoś odpowiedzialna. Teraz najczęściej myślę tylko o sobie. A to dość... ograniczony sposób na życie. Może uświadomiła mi to obecność Katherine i jej dzieci. Zresztą nieważne co, ale chcę w życiu czegoś więcej.

Marc pokiwał głową.

— Rozumiem. Tylko dlaczego mnie o tym mówisz?

— Bo nie jestem już pierwszej młodości. Decyzję muszę podjąć jak najszybciej, a nie znam wielu mężczyzn, których lubię na tyle, by ich o coś takiego prosić. Marc, jeśli zdecyduję się mieć dziecko, to czy zgodzisz się być jego ojcem?

Patrzył na nią osłupiały.

— Myślałem, że nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. — Leslie czekała. — A do czego byłbym zobowiązany? — spytał.

— Do niczego. To byłoby moje dziecko, moja mała rodzina, sama bym się o nas troszczyła, sama zarabiała na utrzymanie. Chodzi mi tylko o twoje nasienie, a nie o żaden kontrakt małżeński.

— Ale chyba rozumiesz, że to by wszystko zmieniło. Nie porzuciłbym swoich zwyczajów tylko ze względu na dziecko. Nie moglibyśmy się już spotykać tak jak do tej pory.

— To oczywiste.

— No cóż — zaczął pojednawczo. — Jeśli naprawdę nie wysuwałabyś wobec mnie żadnych roszczeń i jeśli zagwarantowałabyś mi to na piśmie, to mogę się nad tym zastanowić.

— Jasne. — Nakryła jego dłoń swoją. — Porozmawiajmy o czymś innym. Chcę, żebyś mnie rozśmieszył, żebyś sprawił, że zapomnę o pieniądzach, komputerach i moim zaawansowanym wieku. Opowiedz mi o jubilerstwie.

— Dobrze prosperuje. Bez względu na to, w jakim stanie znajduje się gospodarka, zawsze są ludzie, którzy mają wystarczająco dużo pieniędzy, by je wydawać, zwłaszcza na biżuterię. Mettler mówił mi, że zegarki po dwadzieścia tysięcy dolarów idą jak woda. Sprzedał też dwa naszyjniki po ćwierć miliona każdy w niecały tydzień po ich wystawieniu. Jedni martwią się o to, co włożyć do garnka, a inni o to, jak zaspokoić chciwość żon, utrzymanek czy kochanek. Ja na szczęście mam do czynienia z tą drugą grupą.

— Bogacze nas nie opuszczają.

— 1 dzięki Bogu. Ty ich potrzebujesz tak samo jak ja. Bo jak przetrwałby bez nich „Heath”?

— Nie przetrwałby. Marc, co się dzisiaj stało z kelnerami?

— Kelnerzy są dokładnie tacy jak zwykle, tylko ty stałaś się niecierpliwa. A poza tym od kiedy przed kolacją pijesz więcej niż dwa drinki?

— Piję, gdy ich potrzebuję. Przez cały tydzień pracowałam do późnego wieczora, a wczoraj po inwentaryzacji siedziałam do trzeciej nad ranem i przygotowywałam wstępne sprawozdania.

— Boże, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? W ogóle nie powinnaś siedzieć w restauracji. Chodź. Idziemy do domu.

— Do czyjego domu?

— Do mojego. Zrobię ci masaż i zajrzemy do sauny. Potem podam szampana, żeby wyrzucić z głowy niepotrzebne myśli, a następnie kolację. No i pójdziemy do łóżka. Jeśli będziesz miała ochotę.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Wiesz, Marc, jak na takiego egoistycznego drania, jakim jesteś, potrafisz być naprawdę troskliwy.

— Mój ty śliczny głuptasku — powiedział wstając. — Inaczej by cię tu nie było. Powiedz, ilu mężczyzn rozumie, że nawet bystre,

przedsiębiorcze kobiety potrzebują trochę troski? Sama mówiłaś, że niewielu jest takich jak ja. I zgadzam się z tą opinią. — Mówiąc to pomógł jej włożyć palto.

Derek jak zwykle jechał szybko, zwalniając jedynie na krótkich krętych uliczkach. Gdy zatrzymał się na wypielegnowanym dziedzińcu przed pokrytym sztukaterią domem, Katherine usłyszała szum oceanu.

— To Sea Cliff—powiedział otwierając jej drzwiczki. — Nasza czwórka wychowywała się tuż obok.

Z ogromnych okien tego domu roztaczał się widok na stalowo-szare wody oceanu i zachodzące nad nimi słońce. Katherine dostrzegła znajome twarze wśród gości, lecz gdy tylko przywitali się z gospodynią, Derek poprowadził ją do ukrytego w głębokiej niszy stolika pod oknem.

— Potrzebujemy nieco intymności. Wprawdzie muszę pokazywać się co roku na jednym z tych przyjęć karnawałowych, ale to nie znaczy, że nie możemy poszukać sobie na nim jakiegoś spokojnego kąta. Tym bardziej że później, na wyścigach, nie będzie łatwo porozmawiać.

— O czym?

— Dlaczego przyszłaś tu ze mną — odparł. — Po tym jak zdecydowałaś więcej się ze mną nie widywać.

Kelnerka właśnie przyniosła otwartą butelkę wina i dwa kieliszki. Derek napełnił je, po czym wyprostował się na krześle patrząc, jak Katherine stara się ukryć zdziwienie. Szybko się uczy, pomyślał. Jeszcze kilka miesięcy i z każdym da sobie radę — jest tak samo piękna i starannie ubrana, równie dobrze panuje nad swymi emocjami i ma podobnie ostry dowcip. Ma nawet coś więcej: robi wrażenie delikatnej, co sprawia, że inni chcą jej pomóc. Sprytna kobieta. Oczywiście zakładając, że celowo stwarza takie wrażenie.

— No więc dlaczego tu jestem, twoim zdaniem? — spytała. — Skoro postanowiłam więcej cię nie widywać?

— Bo jesteś we mnie zakochana; bo od dawna się z nikim nie kochałaś, a wiesz, że ja potrafię cię zaspokoić; bo dzięki mnie coś się w twoim życiu dzieje i poznajesz ludzi, którzy są ważni dla twojej kariery zawodowej.

Trzymając kieliszek z winem przyglądała mu się i zobaczyła innego człowieka niż ten, którego tak pożądała w sylwestra — bardziej brutalnego, naprawdę zdolnego do okrucieństwa; lecz jego urok osobisty nie zmalął ani trochę, a siła przyciągania jego osobowości była tak silna, że Katherine z przerażeniem uświadomiła sobie, iż wciąż ją pociąga.

— Czy to wszystko? — zapytała. Derek uśmiechnął się.

— Jeśli chodzi o powód mojej tu obecności, chociaż o to nie zapytałaś, wyjaśnienie jest proste: pragnę cię. Poza tym spodziewałem się, że zadzwonisz do mnie po naszym wspólnym sylwestrze i ciekaw byłem, dlaczego tego nie zrobiłaś.

— Pomiñałeś coś — zauważyła Katherine. — Nie powiedziałeś, że chcesz zranić Craiga idąc do łóżka z jego żoną.

— A niech to jasna cholera! — Przechodząca obok kelnerka zwolniła, chcąc zapewne usłyszeć coś więcej. Derek, rozbawiony tym, czekał jednak cierpliwie, dopóki nie odeszła, a zrobiła to bardzo niechętnie. — Ciekawy pomysł — zaczął wtedy. — Nie spodziewałem się, że wpadniesz na coś takiego. A może ktoś inny ci to podsunął?

Głos Katherine stał się tak samo zimny jak głos Yictorii.

— Staram się nie polegać na opiniach innych, lecz mieć swoje własne. Kiedy zadzwoniła Jennifer, sam się przyznałeś.

— Mówiąc, że Craig wszedł nam w drogę? Takie określenie wydało mi się właściwe. Craig często robił coś takiego, gdy byliśmy dziećmi: uśmiechał się chytrze, niektórzy mówili, że słodko, szedł do Victorii, Anny czy kogoś innego z dorosłych i mówił, że byłoby cudownie, gdyby mógł mieć coś tam. Nigdy nie jęczał, nie skarżył się i prawie wcale nie prosił wprost. Po prostu uświadamiał wszystkim, że on, Craig, nieśmiałe niewiniątko, byłby szczęśliwy, gdyby... Kiedy to nie skutkowało, odchodził. Albo uciekał. To właśnie było w jego stylu: uciekać od wszelkiej konfrontacji, od trudności. Powinnaś już chyba umieć rozpoznać tę taktykę na kilometr. Tak — dodał momentalnie zmieniając ton głosu, gdy zbliżył się kelner.

— Bufet jest w jadalni, lecz jeśli państwo sobie życzą, przyniosę państwu coś tutaj.

— Katherine?

— Wszystko mi jedno.

Popatrzyła na ocean. Było jej wstyd, zupełnie jakby pogarda Dereka dotyczyła nie tylko Craiga, lecz i jej samej — poczuła się przytłoczona, stłamszona i miała ochotę uciec. Wiedziała, jakby Craig sam jej o tym powiedział, że tak właśnie się czuł, kiedy nie potrafił poradzić sobie z jakimś problemem. Craig nienawidził, kiedy ktoś próbował go rozgryźć. Trzymał swoje myśli wyłącznie dla siebie i pogardzał ludźmi, którzy twierdzili, że potrafią przewidzieć jego zachowanie, bo go znają. Przyszło jej do głowy, że Craig gardziłby Derekiem.

Najwyraźniej tak było. I najwyraźniej było to uczucie odwzajemnione.

— Posłuchaj — zwrócił się do niej Derek, gdy kelner odszedł. — Nie oszukuję kobiet. Pragnę cię. Wcale nie dlatego, że jesteś żoną Craiga albo dlatego, że przywiózł cię tu Ross...

— Co ma z tym wspólnego Ross? Zmrużył oczy.

— Zupełnie nic. Ani nikt inny. Jestem tobą oczarowany i intrygujesz mnie; gdybyś знаła mnie lepiej, wiedziałabyś, że kobiecie, która tak na mnie działa, nie potrafię się oprzeć. Tylko o to chodzi. Powiedziałem ci — nie oszukuję kobiet.

A jednak mnie okłamujesz, pomyślała Katherine. Jednocześnie miała świadomość, że to dla niej bez znaczenia. Ona też kłamała za każdym razem, gdy udawała, że jest niezależna. Wcale nie była wolna — wciąż zależna była od Craiga, prześladowana samym jego istnieniem i nie wypowiedzianymi słowami z czasów ich małżeństwa. Wcześniej, kiedy Derek zadzwonił i zaprosił ją na to przyjęcie, mogła myśleć tylko o tym, że nie widziała go już trzy tygodnie i że bardzo chce się z nim spotkać. Teraz, patrząc na jego pociągłą twarz, jasne włosy i nie zdradzające myśli oczy, przypomniła sobie chwile, kiedy tak wspaniale pieścił jej piersi, i uświadomiła sobie, że jej ciało wciąż go pożąda, mimo iż ona sama nie lubi go już tak bardzo jak kiedyś. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Nie była wolna i nie mogła pójść z Derekiem do łóżka.

— Myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi — powiedziała spokojnie.

Derek zamrugał oczami.

— Przyjaciółmi — powtórzył.

Skinęła potakująco głową.

— A nie kochankami. — Gdy wypowiedziała te słowa, pomimo požądania, jakie czuła, miała wrażenie, że ciężar spadł jej z piersi.

Derek wznosił toast.

— W takim razie — powiedział z tym słabym uśmiechem, który znaczył, że myśli jego pobiegły już w innym kierunku ~— za przyjaźń. — Delikatnie stuknął kieliszkiem w jej kieliszek.

Biżuteria błyszczała w świetle lampy — naszyjniki, spinki łańcuszkowe bransoletki. W sumie dziesięć sztuk, gotowych, by zanieść je do sklepu. W ciszy pokoju, którą zakłócało jedynie bębnienie kropel deszczu o szyby i głucho uderzenia młotka, Katherine zadowolona pracowała nad dziesiątym drobiazgiem. Miękkie złoto zdawało się żyć pod jej palcami, przybierając kształt, który nadawały mu jej myśli — zupełnie jakby kruszec był częścią jej samej.

Nigdy dotąd Katherine nie używała złota i teraz kształtując połyskujący zmysłowo pasek czuła radość formowania tego, co złotnicy nazywają królem metali. Od wieków ludzie poszukiwali złota i z jego powodu dokonywali podbojów, lecz tu w pokoju Katherine oznaczało ono coś innego — fakt, że weszła do grona profesjonalistów.

Katherine poświęciła swe oszczędności na zakup srebra, tak aby pasek żółtego metalu starczył jej na dłużej, ale obecnie nawet kłopoty finansowe nie mogły zniszczyć jej radości. Oto własnoręcznie wykonywała piękne drobiazgi, które miały zostać sprzedane w jednym z najlepszych sklepów w mieście; w sąsiednim pokoju spały jej dzieci, a wcześniej wspólnie we trójkę spędzili miły wieczór czytając i śmiejąc się; często widywała Leslie, a raz czy dwa razy w tygodniu Derek zabierał ją na przyjęcie albo kolację. Zachowanie dystansu nie zawsze było łatwe, przyznawała się do tego. Derek był czarujący, poprawny i niczego od niej nie żądał, lecz choć rozum mówił jej jedno, to ciało wciąż pragnęło Dereka i czasem myślała, że może łatwiej byłoby przestać go widywać. Ale to oznaczałoby rezygnację z cudownych wieczorów, które jej ofiarowywał. Zastanawiała się nieraz, czy Derek nierozłącznie kojarzy jej się z takimi wieczorami. Pewnie tak. Gdyby skończyła z jednym, nie potrzebowałaby już drugiego.

Katherine ułożyła złotą bransoletkę w wyściełanym ligniną pudełku, a obok niej, do kompletu, naszyjnik z delikatnych złotych krążków. Osiem pozostałych klejnotów leżało w oddzielnych pudełeczkach. Katherine stanęła przy stoliku wpatrując się w nie i słuchając uderzającego o szyby deszczu. Wiedziała, że są naprawdę piękne; a jutro usłyszy opinię Mettlera. Jutro, powtórzyła w myśli, jutro.

Rano deszcz wciąż padał, zalewając chodniki strugami wody. Katherine słyszała go jeszcze wchodząc do sklepu; potem szum ucichł. W biurze Hermana Mettlera burzowe odgłosy słychać było tylko wtedy, gdy on sam był ich źródłem.

— Są bardzo dobre — osądził Mettler obracając w rozłożonych palcach wyroby Katherine, jakby oglądał owoce szukając na nich plamek zgnilizny. — Znakomita technika. Doskonała technika. Widzę tu znacznie więcej, niż nauczył panią Tony, tu i ówdzie da się zauważyć piętno indywidualności, tak, bardzo dobre, świetna technika.

— Dziękuję — odparła Katherine poprawiając się na krześle.

— Przywiązuję ogromną wagę do techniki — ciągnął Mettler podparłszy brodę na złożonych dłoniach, zupełnie jakby się modlił. — Nawet najlepszy projekt na świecie można zniszczyć kiepską techniką.

Katherine przytaknęła; była tak napięta czekając, aż zacznie mówić o jej projektach, iż obawiała się, że już dłużej nie wytrzyma.

— Ale ta zasada działa także w drugą stronę. Nawet najlepsza technika nie jest w stanie ukryć słabego projektu.

Katherine siedziała na brzeжку krzesła, sztywno wyprostowana. Wciąż podpierając brodę na dłoniach złożonych jak do modlitwy Mettler popatrzył na pudełka z biżuterią, które porozrzucił po stole.

— A jeśli chodzi o te drobiazgi... Technika jest doskonała. Jestem pod wrażeniem. Ale projekty, obawiam się, pozostawiają wiele do życzenia. — Przerwał na chwilę i popatrzył na nią w ten sam chłodny sposób, w jaki spoglądał na klejnoty. — Mówiąc szczerze dziwię się, że kobieta tak atrakcyjna jak pani jest jednocześnie tak bardzo ostrożna. Piękne kobiety mogą sobie pozwolić na ekstrawagancję, której inne ryzykować nie mogą. Dlaczego więc przynosi mi pani takie klasyczne wzory, jakie można spotkać w każdym sklepie? — Oparł się wygodnie w swym krześle. — Klienci

kupują technikę tylko wtedy, gdy płacąc wysoką cenę dostają jednocześnie coś oryginalnego. Czy wyraziłem się jasno? Te dziewięć drobiazgów jest naprawdę ładnych i znakomicie wykonanych. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że zdołam je sprzedać, i zamierzam to zrobić, choć raczej nie umieszczę ich we frontowej gablocie, a z tyłu. Bo w moim sklepie klienci oczekują niepowtarzalności. I chętnie za nią zapłacą. A tutaj nie widzę nic, co byłoby choć trochę unikatowe.

Katherine aż kipiała ze złości, dlatego przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć. W końcu mógł skrytykować ją nieco łagodniej. Ale nagle usłyszała w myśli głos Victorii: „Przydałoby ci się trochę ekscentryzmu. A ty jesteś taka poprawna... i to w twoim wieku...”

Mettler czekał, żeby się odezwała. Pospiesznie więc powiedziała:

— Obawiałam się, że nie zechce pan kupić czegoś oryginalnego od początkującej projektantki...

— Ależ skąd; to nonsens. Oglądała pani nasze gabloty? Musiała pani zauważyć, jak bardzo cenię sobie awangardę. Doskonałą awangardę oczywiście, bo nie interesuje mnie tania sensacja. A pani projekty nie są ani jednym, ani drugim. Są po prostu... zwyczajne. Tak czy owak... — Podwinął mankiet, by spojrzeć na zegarek, i od razu zaczął się spieszyć. — Jak już powiedziałem, zamierzam sprzedać te drobiazgi. Widzę, że przyniosła pani cennik. To dobrze. — Przeglądając jej listę notował jakieś sumy na kartce. — Sto za bransoletkę... niewiele za tyle pracy. Muszę sprzedać ją za pięćset; konkurencja wyrzuciłaby mnie z interesu, gdybym wziął mniej. A za to chce pani pięćdziesiąt... — Jeszcze przez chwilę mówił do samego siebie. — W porządku. Zgadza się z sumą, jaką pani podała. Tysiąc dwieście za dziesięć sztuk. Mogę przyjąć od pani następne dwanaście, nawet jeśli będą podobne do tych. Zawsze znajdują się nabywcy na to, co już sprawdzone. Proszę przynieść je do czerwca; wystawię je w jesiennej kolekcji. Dziękuję, pani Fraser. Jestem pewien, że współpraca będzie nam się dobrze układać.

— Ale...

W drzwiach ukazała się sekretarka, którą wezwał w jakiś niewidzialny sposób. A więc następny tuzin za cztery miesiące. To nie wystarczy, żeby rzucić pracę u „Heatha”, ani żeby wyrobić sobie nazwisko. Wszystkie jej marzenia pozostały w sferze marzeń.

Nie chciała jednak, żeby dowiedział się o tym Mettler, który znów zerkał na zegarek. Nieoczekiwanie wyciągnęła do niego rękę, zmuszając go tym samym, by podał jej swoją.

— Dziękuję — powiedziała zdecydowanym głosem. — Przyniosę je panu tak szybko jak to możliwe.

Na dole pokręciła się jeszcze przy frontowych gablotach, przysięgając sobie w myśli, że jej następna kolekcja tu właśnie będzie wystawiona. Znajdę jakiś sposób, myślała wracając do pracy — gdzie, jak wiedziała, przywita ją pełne sarkazmu gniewne spojrzenie Listera — żeby w czerwcu Herman Mettler uważniej przyjrzał się mojej biżuterii.

Kilka dni po powrocie z Włoch Victoria i Tobiasz zadzwonili, każde osobno, do Katherine i zaprosili ją na kolację w następnym tygodniu. Wypadało to na początku marca i tego dnia rozszalała się burza. Kiedy Katherine zjawiała się u Victorii, lokaj poprowadził ją do biblioteki, gdzie gospodarze i Ross siedzieli przed kominkiem.

— Witaj, kochanie! — wykrzyknęła Victoria wstając, by się z nią przywitać.

Ross spojrzał w jej stronę równie zaskoczony jak ona sama. W migającym blasku ognia wydało jej się w pierwszej chwili, że to Derek, ale zaraz zauważyła, mgliście zdając sobie sprawę z tego, że przeprowadza takie porównanie, iż kości policzkowe tego mężczyzny nie są tak ostro zarysowane jak u Dereka, dołki w policzkach nie tak głębokie, a usta — mimo iż się nie uśmiechają — są wydatniejsze, pełniejsze. Twarz Rossa była łagodniejsza niż Dereka, lecz wcale nie delikatna. Później siedząc pomiędzy Victorią i Tobiaszem, Katherine doszła do wniosku, że Ross wygląda równie surowo jak wtedy w Vancouver, gdy przekonywał ją, by zaakceptowała prawdę o Craigu.

Ross wstał, przywitał się z Katherine w sposób bardzo oficjalny i napomknął o noworocznej wizycie Craiga.

— Słyszałem o tym od Victorii i Tobiasza. Wygląda na to, że on znów nie chce dać ci szansy.

Łzy napłynęły do oczu Katherine. Ross był jedynym człowiekiem, który rozumiał, dlaczego ona czuje się tak bardzo zraniona i dotknięta.

Potem spytał ją o dzieci.

— Jon i Carrie cieszyli się, że w Wigilię spotkali Jennifer i Todda.

— Możemy przecież zorganizować im następne spotkania — zaproponowała.

— Możemy.

Zapadło milczenie. Victoria i Tobiasz obserwowali ich z zainteresowaniem. Po chwili Ross zapytał Katherine o jej nowe narzędzia, a ona o jego projekt BayBridge, po czym znów zapadła cisza.

— Właśnie zbierałem się do wyjścia — odezwał się w końcu Ross. — Czekają na mnie w domu. Wpadłem tylko na moment, żeby przywitać się z naszymi podróżnikami. Przykro mi... — Przerwał na chwilę. — Przykro mi, że tak rzadko się widzimy.

— Mnie też — odparła Katherine niepewna, co oznacza napięcie w jego głosie.

— Ale wiem, jak bardzo jesteś zajęty. Ja zresztą też byłam ostatnio zapracowana...

Skinął przytakująco głową.

— Tak, słyszałem. — Oczy ich spotkały się i Ross wciąż ociągał się z wyjściem. W końcu odwrócił się nagle w stronę Victorii i nachylając się pocałował ją w policzek. — A więc jemy lunch w piątek. Pamiętaj. Katherine... miło było cię spotkać. Tobiaszu, chciałbym zasięgnąć twojej rady w kwestii kilku książek, które zamierzam kupić.

Tobiasz wzruszył ramionami gestem przepraszając Katherine i wyszedł z Rossem. Victoria wyglądała na zdziwioną.

— Normalnie Ross nie jest taki oschły. Ale on bardzo się o ciebie niepokoi, sama wiesz.

— Wątpię — odparła Katherine.

— Ależ tak — zapewniła ją Victoria podając jej kieliszek sherry. — Wszyscy się przejmujemy.

Katherine zrobiła niepewną minę.

— Ale przecież nie wiecie jeszcze, jak mi poszło u Mettlera.

— U Mettlera? A co nowego? Chociaż nie, poczekaj; Tobiasz też chciałby usłyszeć. Chodzi o to, że martwimy się o ciebie i Dereka.

— O Dereka?

— Cóż, kochanie; minęły cztery miesiące. Ludzie plotkują, kiedy widują Dereka w towarzystwie pięknej kobiety przez miesiąc,

a cóż dopiero przez cztery. Słyszałam o tym i Tobiasz także, właśnie na ten temat rozmawialiśmy, gdy przyszedł Ross.

— Ale jakie znaczenie ma to, że spotykam się z Derekiem?

— Żadnego, jeśli się w nim nie zakochasz. — Katherine milczała. — Kochasz go, Katherine?

— Nie. I nie zamierzam się w nim zakochiwać. Jestem mężatką, wie pani przecież.

— A od kiedy to przeszkadza?... Tak czy inaczej nie widziałaś swego męża od prawie dziewięciu miesięcy. Jest rzeczą normalną, że masz ochotę spotykać się z innymi mężczyznami. Ale Derek nie powinien znaleźć się wśród nich.

Popijając sherry Katherine patrzyła w płomienie na kominku.

— To niecodzienny sposób wyrażania się o własnym wnuku.

— Mówię tylko, że on nie jest dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Czy to dziwne, że uprzedzam o tym własną wnuczkę?

Katherine poczuła ciepło czyjejs miłości. Ktoś nazwał ją wnuczką.

— Dziękuję — odparła. — Sprawia pani, że czuję się tak, jakbym należała do rodziny.

— Oczywiście, że do niej należysz — zapewnił ją pogodnym głosem Tobiasz, zajmując swoje miejsce i dolewając sherry do kieliszków. — Choć przyznaję, że ociągaliśmy się z zauważeniem tego faktu. Powiedz, co się u ciebie działo, kiedy my wożaliśmy po Włoszech?

— Chyba coś nie tak z Mettlerem — wtrąciła Victoria, a kiedy lokaj nakrywał do stołu, Katherine opowiedziała, co zdarzyło się w ubiegłym tygodniu.

— Żeby go ręka Boska pokarała! — zagrzmiał Tobiasz.

— Myślę, Katherine — zaczęła Victoria, gdy siadali do stołu — że musisz zdecydować się na jakiś określony styl i jeden materiał. Złoto byłoby najlepsze, klienci powinni bez trudu rozpoznawać twoje wyroby. Zastanawiałam się trochę nad twoją karierą, kochanie, i doszłam do wniosku, że powinnaś wykorzystać w niej to, że jesteś tak czarująco staroświecka; przyznam, że mnie tym ujęłaś.

— Staroświecka? — powtórzyła Katherine.

— Moja droga, może jestem już starą babcią, ale wiem, że jeśli w dzisiejszych czasach kobieta mówi, że nie zakocha się w mężczyźnie, dlatego że jest mężatką, to na pewno można to nazwać

staroświeckim poglądem. Dla mnie to czarujące. I dla większości ludzi chyba też, nawet jeśli nie przyznają się do tego otwarcie, bo tęsknią za przeszłością, która wydawała im się mniej skomplikowana niż terażniejszość. Jeśli na przykład projektując swoją biżuterię będziesz się wzorować na moich starych klejnotach, to kobiety na pewno ją kupią.

— A mężczyźni nie? — zaciekał się Tobiasz.

— Niektórzy tak, lecz biżuterię noszą przeważnie kobiety, jak zapewne zauważyłeś, Tobiaszu. Ty sam nie wkładasz żadnych ozdób.

— A kto najczęściej kupuje klejnoty?

— Aha. — Victoria wyprostowała się na krześle, pozwalając lokajowi sprzątnąć talerz po zupie. — Więc twoim zdaniem biżuteria powinna trafiać w gusta mężczyzn. Możliwe. Masz na myśli jakieś męskie fantazje?

— „Wcielenia nadziei i obaw i fantazje o zmierzchu” — zacytował Tobiasz.

Coś w tych słowach uderzyło Katherine.

— Kto to napisał? — spytała.

— Shelley. — Tobiasz uśmiechnął się ucieszony, że ma słuchacza. — To cytat z *Adonisa*. Chciałabyś usłyszeć dalszy ciąg? — I nie czekając na odpowiedź cytował dalej: — „Pragnienie i uwielbienie... jasność i mrok, i migoczące wcielenia nadziei i obaw, i fantazje o zmierzchu; i smutek z całą swą rodziną westchnień”.

— Dobrze, dobrze — odezwała się nagle Victoria spoglądając swym przenikliwym wzrokiem w poważne oczy Katherine. — Ale myślałam, że rozmawiamy o karierze Katherine. Pamiętaj, kochanie, zanim podejmiesz jakąś decyzję, porozmawiaj z innymi znanymi jubilerami w mieście. Herman Mettler może uważać się za jedyne w branży, ale ja często kupuję u „Xaviera” czy „Laykin Et Cie”. Zadzwoń do nich i powiem, że się do nich wybierasz. Weź ze sobą szkice. Szkoda że nie masz już niczego gotowego; całkiem możliwe, że nikt nie zgodziłby się ze zdaniem Mettlera. Zwłaszcza że nawet on sam tak bardzo podkreślał twoją znakomitą technikę. — Nagle uderzyła pięścią w stół. — A to drań! Najpierw chwali technikę, a zaraz potem nazywa twoją biżuterię zwyczajną! Jeszcze pamiętam, jak w czasie recesji handlował sztucznymi perłami. Już nic więcej od niego nie kupię. A właściwie napiszę do niego list. Niech sobie nie myśli, że może mówić w ten sposób do mojej wnuczki...

— Nie, proszę tego nie robić. — Katherine wyglądała na zakłopotaną. — Sama muszę sobie poradzić. Początkowo byłam do tego zmuszona odejściem Craiga, lecz teraz i mnie na tym zależy. — Uśmiechnęła się. — Sama pani powiedziała, że przydałaby mi się odrobina ekscentryzmu. A biżuteria, którą zrobiłam, rzeczywiście nie była niezwykła. To znaczy, wiedziałam, że jest piękna, ale projektując ją nie starałam się być inna...

— Wcale nie musisz być inna — oświadczyła Victoria. — Po prostu bądź sobą i nikim innym.

— Może kimś w rodzaju młodej, odnoszącej sukcesy Victorii? — spytał Tobiasz i w pokoju zapadła na chwilę cisza: słychać było jedynie ogień buzujący w kominku.

— Nawet nie próbuję nakłaniać Katherine do czegokolwiek — stwierdziła w końcu Victoria. — Nie musi odnosić sukcesów ze względu na mnie. Ale... — popatrzyła na nią spod na wpół przymkniętych powiek — z jednej strony chcesz gdzieś przynależeć, a z drugiej iść własną drogą.

— Odnaleźć własną drogę — sprostowała cicho Katherine. — Potrzebuję jednak poczucia przynależności, potrzebuję waszej pomocy czy przynajmniej waszej troski i zainteresowania... no i...

— Miłości? — podpowiedział Tobiasz.

— Miłości — powtórzyła jak echo Katherine. — Czuję się cudownie, kiedy tak przeklinacie Mettlera, ale nie chciałabym, żebyście poszli do niego i powiedzieli, co o nim myślicie. Zależy mi na tym, żeby zdobyć jego uznanie dzięki własnej pracy. W przeciwnym razie nigdy się nie dowiem, ile jestem naprawdę warta.

— Nawet jeśli w ten sposób poniesiesz klęskę? — wtrącił Tobiasz.

— Tak. Przykro mi — powiedziała do Victorii. — Wiem, że chce pani, aby mi się powiodło, ale ja muszę wiedzieć.

Po chwili Victoria ujęła jej dłoń.

— Pamiętaj, masz mi powiedzieć, gdy tylko Mettler wystawi twoją kolekcję. Pierwsza coś kupię.

Od miesiąca już wśród personelu „Heatha” krążyły plotki. Mówiono, że interesy źle idą, że cała sieć sklepów zostanie sprzedana albo że ktoś tam na piątym piętrze robi niezły żart primaaprilisowy.

Nie wiadomo, ile było w tym prawdy, ale ludzie wiedzieli, że zatrudniono księgowych z niezależnej firmy, którzy sprawdzali obroty we wszystkich działach i wybiórczo, bez uprzedzenia przeprowadzali inwentaryzacje.

Gdy tylko zarządzono spis inwentarza w dziale reklam, Gil Lister wpadł w szal.

— Zajmij się oknami! — polecił Katherine, w chwili gdy zamykano sklep. — Spisz wszystko! Towar, stojaki, każdą cholerną butelkę szampana na tym weselu! Skoro zachciało im się inwentaryzacji, to klęę się na Boga, że mojego spisu nigdy nie zapomną!

Katherine stała w dziwnych, osłoniętych od ulicy oknach przypominających jaskinie i patrzyła na weselne przyjęcie, które wywołało w niej wspomnienia. Czowała obejmujące ją ramię Craiga, gdy stali w Urzędzie Stanu Cywilnego, i widziała Leslie i żonę urzędnika, które były ich świadkami. W kącie wpatrzona w sufit siedziała szmaciana lalka Anna. Craig nie chciał nikogo zapraszać, więc na nową drogę życia wstąpili w obcym miejscu, a jedynym związkiem z dotychczasowym życiem Katherine była Leslie.

Katherine chodziła wśród blado uśmiechniętych manekinów i zapisywała na kartce numery sukien, męskich marynarek, butów, torebek, rękawiczek, kieliszków i butelek szampana, tacek z plastikowymi przekąskami oraz jedwabnych i papierowych kwiatów. Kiedyś dawno temu ona i Craig urządzali przyjęcia, choć nawet wtedy nie zdarzało się to zbyt często, lecz potem zupełnie tego zaniechali. Katherine uwielbiała wszystko, co wiązało się z przyjmowaniem gości — planowanie, gotowanie i sprzątanie, co zajmowało jej kilka dni — i zawsze była Craigowi wdzięczna, mimo że on niezbyt dobrze się czuł wśród gości, a wyjście ostatniego wywoływało u niego westchnienie ulgi.

Stojąc tak w witrynie obok młodej pary, Katherine zdała sobie sprawę, że zawsze bywała Craigowi za coś wdzięczna. Najpierw za to, że ją pokochał i się z nią ożenił, potem za to, że stworzyli rodzinę, że się nią opiekował, że był kochającym ojcem dla Jennifer i Todda, że zbudował ich piękny dom i zachęcał ją, by urządziła go tak, jak ma na to ochotę. Popatrzyła na pusty uśmiech pana młodego. Uświadomiła sobie, że była wdzięczna Craigowi nawet za własne orgazmy — jeśli w ogóle je miała, bo przeważnie nie. Przez

ostatnie dwa lata, kiedy Craig był taki zabiegany i zapracowany, nie przeżyła chyba ani jednego.

Ale on nie miał o tym pojęcia. Poczuli się zraniony, gdyby mu powiedziała, że nie zaznała satysfakcji. Nagle, gdy tak patrzyła na gapiącego się w nią pana młodego, przyszło jej do głowy, że wcale nie — Craig nic takiego by nie odczuł. Nie byłby zraniony ani trochę. Jakoś by sobie wytłumaczył, że ona sama jest temu winna. On by po prostu uciekł od tego problemu.

Katherine poczuła się tak, jakby skreśliła za róg i z innej perspektywy zobaczyła znane sobie miejsce.

— Muszę z tym skończyć — powiedziała głośno do samej siebie. — Zaczynam myśleć jak Derek. Pospiesznie przeszła przez pozostałe wystawy notując numery wszystkich przedmiotów. Potem jeszcze raz obrzuciła wszystko wzrokiem i weszła do sklepu; panował w nim nieprzyjemny nastrój, było zupełnie pusto, a gdy schodziła do podziemia, jej kroki odbijały się echem.

W magazynie też nikogo nie było.

— Gil? — zawołała.

Nie usłyszała odpowiedzi, więc położyła kartki na jego biurku i przez chwilę stała niepewna, czy może już iść do domu, czy też czeka ją jeszcze jakaś praca. Na swoim biurku nie znalazła niczego do zrobienia, ale pod ścianą stały pudła wypełnione rekwizytami zdjętymi wczoraj z poprzedniej wystawy. Może te rzeczy także miała spisać. Wprawdzie powinny były trafić do przechowalni jeszcze tego ranka, ale kierowca zachorował i chociaż zaproponowano Listerowi kogoś w zastępstwie, oświadczył, że zaczeka na swego kierowcę.

Lepiej spiszę i to, pomyślała Katherine, bo Gil znów będzie sztydził ze mnie, że tak mi spieszo do wyjścia.

Na równo poskładanych dresach i szortach leżały rakiety tenisowe i sprzęt rajdowy; Katherine bez trudu szybko to przejrzała i odhaczyła na swej liście. Ale w drugim pudełku natrafiła na plastikową torbę z sześcioma swetrami firmy Perry Ellis, których nie wykorzystywano w dekoracji wystaw. A niech to diabli, pomyślała. Jeśli w dziale odbioru ktoś pomieszał nowy towar z naszym, to wieki zajmie rozdzielenie tego wszystkiego.

Spokojnie, jedno po drugim, zaczęła opróżniać pudełka. W kolejnych czterech znalazła towar, który nie pochodził z wystaw ani z wystawowego składu; były tam suknie firmy Francesca of Damon,

bluzki Anny Klein, dziesięć paczek z jedwabnymi krawatami Hermesa. Zabierała się właśnie za piąty karton, gdy wszedł Lister. Na jej widok stanął jak wryty, z pączkiem tuż przy ustach.

— Co ty robisz do jasnej cholery? — wrzasnął. — Kto ci kazał?... Wynoś się stąd! Katherine skoczyła na równe nogi.

— Przepraszam, Gil; nie wiedziałam, że już to spisano, i myślałam...

— Myślałaś! Myślałaś! Nie jesteś tu po to, żeby myśleć! Masz robić, co ci każe, a ja poleciłem ci spisać to, co jest na wystawach!

— Spisałam! A kiedy skończyłam...

— Nie zaczekałaś na moje polecenia! Ileż to razy mówiłem, że wolno ci robić tylko to, co każe? No ile? Sto? Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Ale tobie nigdy się to nie podobało, cudowałaś tylko z jakimiś nowymi fryzurami i chodziłaś dumna jak królowa Saby... i wydziwiałaś coś o sztuce, projektowaniu i dekoracji wystaw... możesz sobie myśleć, co chcesz, ale tutaj ja jestem szefem i nic ci nie pomoże podlizywanie się pewnej osobie na piątym piętrze...

— Dość tego! — zbuntowała się Katherine, odważnie przechodząc przez pomieszczenie. W oczach Listera błysnął strach. Dekorator zaczął cofać się, aż plecami oparł się o biurko. — Leslie jest moją przyjaciółką — powiedziała Katherine ostro. — Nigdy jednak nie wykorzystywałam tej przyjaźni w mojej pracy i dobrze o tym wiesz. Wysłuchiwałam twoich obelg, chamskich uwag i obraźliwych żarcików i nikomu o nich nie mówiłam. Nigdy też nie zdradziłam, jak często wykorzystujesz w swych wystawach projekty z innych sklepów. Nigdy nikomu nie powiedziałam, ile wykorzystales moich pomysłów podając je za swoje. Nie robiłam tego, bo potrzebowałam tej pracy. — O mój Boże, pomyślała, przecież wciąż jest mi potrzebna. Ale było już za późno; wszystkie urazy i złość tłumione przez ostatnich kilka miesięcy wylały się z niej strugą, która zatopiła inne uczucia. — Jesteś nędznym prostakiem, który odgrywa ważniaka niszcząc innych. Najczęściej mnie, bo zawsze byłam pod ręką, ale ty potrafiłeś zatruć życie każdemu, kto kiedykolwiek miał z tobą do czynienia. Nie masz w ogóle wyczucia piękna ani nawet odrobiny talentu, dzięki której można tolerować takich parszywców. Nie masz za grosz wyobraźni, umiesz tylko kopiować pomysły innych i nic poza tym, a jesteś taki nadęty.

— Mam tego dosyć! Dość już! — Lister odepchnął się od biurka, jakby to była trampolina, i popędził w drugi koniec magazynu, gdzie zasiadł w swym skórzanym fotelu i rzucił Katherine wściekłe spojrzenie. — Ani słowa więcej! Wiedziałem, że pewnego razu posuniesz się za daleko! No i zrobiłaś to! Zrobiłaś! Przebrałaś miarę! Wcisnęli mi tu ciebie jako pomoc, a ty wiecznie wisiłaś na telefonie, prowadząc jakieś prywatne rozmowy i ciągle chodziłaś na obiady...

— To kłamstwo!

— Nie nazywaj mnie kłamcą! Od pierwszej chwili wiedziałem, że jesteś snobką, wichrzycielką i oszustką, a teraz masz jeszcze czelność krytykować mój talent artystyczny, dzięki któremu zdobyłem wiele nagród...

— Ostatnią dostałeś za wystawę, którą ja zaprojektowałam. Lister zaczął już bełkotać z wściekłości.

— Myślisz, że możesz się kryć za plecami tej McAlister... wydaje ci się, że taka jesteś mądra... a ty jesteś niegodną zaufania, upartą, nieposłuszną suką i masz się stąd wynieść! W tej chwili! Wynoś się!

Katherine otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się. Nerwowo zaczęła szukać w myśli odpowiednich słów, ale przychodziły jej do głowy jedynie błagalne, a do błagania nie potrafiła się zniżyć.

— Słyszałaś, co powiedziałem? Masz się stąd wynieść! — wrzeszczał, gdy Katherine patrzyła na niego odrętwiała. — Ogluchłaś?

— A więc wyrzucasz mnie.

— Boże, nareszcie to do niej dotarło! Tak, tak i jeszcze raz tak. Wyrzucam cię. Jesteś zwolniona. Wylana. Już dość czasu na ciebie zmarnowałem; ciebie nie da się wyszkolić! Wynoś się! Słyszysz? Wynoś się! Won!

Gdy otępiała szła przez korytarz, słyszała jeszcze za sobą wściekły krzyk Gila: „Wynoś się stąd!”

Rozdział jedenasty

O siódmej rano kolejka przed budynkiem ciągnęła się wzdłuż całej Mission Street i skręcała za róg. Ludzie przed i za Katherine znali się nawzajem i rozmawiali ze sobą, porównując założenia państwowego programu walki z bezrobociem z własnymi doświadczeniami. Kolejka w ślimaczym tempie posuwała się do przodu. Katherine próbowała sobie wmówić, że to tylko zły sen, lecz w miarę upływu czasu — gdy mgła ustępowała słonecznemu blaskowi i szyderczo wręcz błękitnemu niebu — gdy nogi bolały ją coraz bardziej, a około południa poznała już imiona wszystkich dokoła, przyznała sama przed sobą, że to wszystko dzieje się naprawdę. Bez pracy i niemal bez grosza przy duszy stała w kolejce, by prosić władze stanu Kalifornia o pomoc.

Podjęcie tej decyzji zajęło jej tydzień. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła zaraz następnego dnia po tym, jak popędzana wrzaskiem Listera opuściła sklep „Heatha”, było zatelefonowanie do Leslie i powiadomienie jej, że została wyrzucona z pracy. Leslie bardzo się zdenerwowała, ale i zdziwiła.

— Cholera, a to piekielny dupek... Ale jakoś radziłaś sobie z nim, Katherine. Co się tak nagle stało?

— Nie wiem; już nawet nie pamiętam, od czego to się zaczęło. Wrzasnął na mnie z jakiegoś powodu, był chyba jeszcze bardziej chamski niż zazwyczaj, a ja nie wytrzymałam i odpysknęłam mu. No i wtedy mnie wylał. Myślę, że on tylko czekał na okazję, żeby to zrobić. Powiedział, że był pewien, iż któregoś dnia posunę się za daleko. Oskarżył mnie nawet o to, że wykorzystuję naszą przyjaźń w celach zawodowych.

— Aż tak?

— Leslie? Co się stało?

— Mam problem z pracą i moim tajemniczym braciszkiem. Ale porozmawiajmy lepiej o twojej...

— Nie, poczekaj chwilę. — Katherine wyczuła niepokój w głosie przyjaciółki. — Dlaczego jest tajemniczy?

— A skąd mam wiedzieć? Zawsze sili się na oryginalność, ale tym razem chodzi o coś innego. Ilekroć próbuję porozmawiać z nim o pracy, on natychmiast zmyka. Dosłownie.

— Może ma coś na sumieniu?

— Waśnie tego się obawiam. Katherine, strasznie mi przykro z powodu Gila; co chciałabyś, żebym zrobiła? Dam ci dobre referencje i podzwonię do znajomych w innych sklepach...

— A u „Heatha”? Nie znajdzie się jakaś inna praca? Mogłabym robić wszystko, Leslie.

— Aktualnie nie ma nic. Cholera, dopiero co przyjęliśmy kogoś do księgowości.

— I tak nie znam się na księgowaniu.

— Katherine, mogę zadzwonić do ciebie później? Teraz tkwię po uszy w problemach, ale za dzień lub dwa...

— Leslie, nie myślisz chyba, że Bruce dopuścił się jakiegoś przestępstwa.

— Wolałabym tak nie myśleć, ale kiedy patrzę na dowody...

— A masz pewne dowody? Niezbite? Leslie, on nie może być przestępcą, Jennifer i Todd przepadają za nim.

Leslie roześmiała się.

— Powołamy ich na świadków. A co do dowodów, to nie, nie są niezbite. Jednak sytuacja jest cholernie nieprzyjemna.

— Ale skoro w niego wierzysz... Bo przecież wierzyłaś w niego, prawda? Wtedy gdy go zatrudniałaś?

— I wtedy, i potem. Dopóki nie zaczęła się ta sprawa z kradzieżami.

— Dlaczego miałabyś zmieniać o nim zdanie? Skoro mu ufałaś, to musiałaś mieć do tego powody. Myślisz, że pomyliłaś się co do niego czy że on się zmienił?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Ani jedno, ani drugie. On po prostu zrobił się tajemniczy.

— Ale Bruce zawsze taki jest, nie sądzisz? Znow zapadła cisza, lecz w końcu Leslie odparła:

— Rzeczywiście jest taki.

— No widzisz. Skoro więc uważasz, że nie pomyliłaś się co do niego, gdy go zatrudniałaś, to nie powinnaś się teraz o niego martwić.

— I dalej być lojalna, i ufać mu, jak na starszą siostrę przystało?

— A co masz przeciwko lojalności i zaufaniu? Znow zapadła cisza, bo obie się zamyśliły.

— Nic; wszystko w porządku — odparła wreszcie Leslie. — Chyba tylko z moją głową coś nie tak. Jesteś wspaniała, Katherine, i powinnam była już dawno z tobą porozmawiać. Ale wróćmy do tematu, musimy poszukać ci pracy.

— Spróbuję sama coś znaleźć; ty masz teraz wystarczająco dużo problemów. Ale poproszę cię o referencje, bo Gil nie da mi żadnych.

— A przynajmniej nie takie, które mogłabyś wykorzystać. Podzwonię trochę, Katherine, i odezwę się za parę dni. Daj mi znać, jak coś znajdziesz.

Tak więc w nastroju nieco podobnym do tego, w którym była w Vancouver, Katherine zaczęła przeglądać ogłoszenia w dziale „Dam pracę”.

— Poszukują urzędniczki do przeprowadzania inwentaryzacji — powiedziała Tobiaszowi przez telefon kilka dni później. — To jedyna praca biurowa, jakiej się nauczyłam. Złożyłam podanie do firmy w Oakland; odpowiedź dostanę jutro.

— Długa, żmudna praca i niskie zarobki — skomentował Tobiasz. — Jak wtedy znajdziesz czas na projektowanie biżuterii?

— Będę to robić nocami; tak jak dotychczas.

— Pewnie. A jeśli znow nie odniesiesz sukcesu, to będziesz miała świetną wymówkę.

— Tobiaszu!

— „Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie sami.”

— Och, Tobiaszu, nie zasypuj mnie teraz cytatami. Jeśli tylko po to dzwonisz...

— Nie, nie, kochanie. Chciałem ci tylko przypomnieć, że już pięćset lat przed Chrystusem Ajschylos głosił, iż każdy z nas ma obowiązek pomagać samemu sobie. A teraz przyznaj się: czy kiedykolwiek włożyłaś w swoją pracę maksimum wysiłku?

— Chyba zapomniałaś, że ja muszę zarabiać na życie.

— Stale o tym pamiętam. Rozmawialiśmy z Victorią i chcielibyśmy zaoferować ci pewną sumkę, dopóki nie skończysz tego zamówienia dla Mettlera; wystarczyłoby na opłacenie rachunków i zakup niezbędnych materiałów. Zdeponowalibyśmy ją bezpośrednio...

— Tobiaszu!

— Tak, kochanie?

— Bardzo bym chciała móc ją przyjąć... — Pokusa była tak silna, że Katherine niemal czuła smak niezależności, którą oferował jej Tobiasz. Tylko co to za wolność, skoro ona, Katherine, zawsze jest od kogoś zależna, wiecznie musi być komuś wdzięczna? Leslie znalazła jej pracę, Haywardowie podarowali narzędzia, Derek dał jej złoto. Kiedy wreszcie przestanie przyjmować jałmużnę? — ...ale nie mogę. Doceniam to, co dla mnie robicie, kocham was za to, ale nie mogę tego przyjąć.

Jednakże Katherine wzięła sobie do serca zachętę Tobiasza, by maksymalnie skupić się na pracy. Oczywiście miał rację; wiedziała, że nigdy nie przyłożyła się jak należy do projektowania. Zawsze znalazło się coś ważniejszego. A przecież ludzie odnosili sukcesy nie inaczej jak ciężką pracą, harując cały dzień, nawet w nocy, ile trzeba.

Mogłabym popróbować przez parę miesięcy, pomyślała. No i znalazła się w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych.

Gdy po sześciu godzinach czekania Katherine znalazła się wreszcie w biurze, ogonek za nią wciąż był długi. Ale jednocześnie odkryła, że tu dopiero wszystko się zaczyna.

— Proszę wypełnić ten formularz — wyrecytowała umęczonym głosem młoda kobieta podając Katherine pakiet dokumentów. — Potem niech pani pokaże go komukolwiek z nas do sprawdzenia. Kto następny?

Kiedy Katherine wypełniła kwestionariusz, jakaś inna, równie zmęczona kobieta, przejrzała go.

— Jest chyba w porządku — osądziła. — Przez ostatni rok zarobiła pani więcej niż dziewięćset dolarów... ostatnie miejsce pracy... a, nie odeszła pani stamtąd; wyrzucili panią... Powinna pani to przeczytać. — Szybko podała Katherine regulamin, który nakazywał jej szukać pracy i składać w urzędzie zeznania o pieniądzach zarobionych w czasie otrzymywania zasiłku. — Jakież pytania? Niech pani przejrzy tę broszurkę w pakiecie, tam wszystko jest wyjaśnione. Wpiszę panią na spotkanie za dwa tygodnie... — Urzędniczka zaczęła przewracać kartki kalendarza.

— Za dwa tygodnie? — powtórzyła Katherine z niedowierzaniem.

— Wysyłamy ten formularz do Sacramento — odparła kobieta wypisując nazwisko Katherine na papierowej teczce. — Tam komputer sprawdzi pani zarobki i to, czy wyrzucili panią za złe sprawowanie. To trwa jakieś dwa tygodnie, więc umówię panią na...

— Złe sprawowanie — powtórzyła przypominając sobie, jak Lister powiedział, że nie można na niej polegać i że jest nieposłuszna. — Co to znaczy złe zachowanie?

— Nie wiem; oni tam mają taką listę.

— A jeśli taki rzeczywiście był powód... jeśli kogoś wyrzucono za złe sprawowanie...

— To nie kwalifikuje się do zasiłku — odparła kobieta. — Zwykle tak jest. Chociaż to zależy od okoliczności. No to umówię panią. Na dwudziestego siódmego kwietnia. To równo za dwa tygodnie. Do tej pory ustalą, czy należy się pani zasiłek, a jeśli tak, to ile. I potem po jakichś dwu tygodniach zacznie pani dostawać czeki.

A więc dopiero za miesiąc, pomyślała Katherine zapisując sobie datę spotkania. Jeśli ktoś tam nie uzna, że straciłam pracę z powodu złego sprawowania.

Wtedy zaczęły ją kusić pieniądze otrzymywane od Craiga — wszystkie, jakie miała na rachunku. Pokusa była zbyt silna, nie mogła się jej oprzeć.

— A dlaczegoż by nie? — zgodził się z nią Tobiasz krojąc sobie kolejny kawałek ciasta czekoladowego i ostrożnie nakładając je na talerz. — Gdyby nie chciał, żebyś z nich korzystała, toby ich nie przysyłał.

— Ale ja nie miałam zamiaru wydawać tych pieniędzy na siebie, dopóki Craig do mnie nie wróci. Chcę, żebyśmy mieli ze sobą coś więcej wspólnego niż tylko pieniądze.

— W porządku. Bardzo słuszne podejście. Ale co teraz?

— Teraz będę z nich korzystała, dopóki nie zarobię na życie projektowaniem biżuterii... albo nie znajdę innej pracy.

Tobiasz przechylił głowę i zrobił kpiarską minę. Sam wprosił się do Katherine na niedzielną kolację, lecz przyniósł ze sobą steki i karczochy, a jej zostawił tylko zrobienie deseru. Za oknem padał deszcz, a oni we dwójkę siedzieli przy stole w kuchni. Jennifer i Todd oglądali telewizję w salonie. Całkiem jak normalna rodzina, skomentowała w myśli Katherine. I w pewnym sensie tak było naprawdę, bo w tej akurat chwili Katherine nie miała ochoty na towarzystwo żadnego innego mężczyzny jak tylko Tobiasza, który uśmiechał się do niej, a jego biała bródka falowała.

— A dlaczego teraz skorzystasz z tych pieniędzy? — zaciekał się.

— Ze względu na Jennifer i Todda. Oboje byli przerażeni, gdy im powiedziałam, że straciłam pracę. Wiedziałam, że pomyśleli sobie wtedy: no tak, najpierw tata, teraz mama, kto będzie się nami opiekował? Dopóki jestem za nich odpowiedzialna, nie powinnam była pozwolić sobie na zwracanie się do Gila w taki sposób. Wiesz, że teraz nie jestem nawet ubezpieczona na wypadek choroby? Bo ubezpieczenie przysługuje tylko osobom pracującym? Jutro rano muszę jakieś wykupić, a na to potrzebne są dodatkowe pieniądze. Rozumiesz? Nie miałam prawa postawić nas w takiej sytuacji. — Niespokojnie poruszyła się na krześle. — Cały czas rozmyślam o Craigu. On musiał się czuć podobnie, gdy zaczął brać pieniądze z kasy firmy. Cała nasza trójka polegała tylko na nim i oczekiwała, że co dwa tygodnie przyniesie do domu czek na pokaźną sumkę, więc jakoś musiał go przynosić. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo człowiek staje się słaby, jeśli inni są od niego zależni. — Roześmiała się i wstała, by napełnić filiżanki kawą. — Nie bardzo dobrze czuję się w tej roli.

— W roli odpowiedzialnej za Jennifer i Todda?

— W roli osoby słabej.

— To to samo. Doskonałe ciasto; zjeść trzeci kawałek? Nie. — Z przykrością odstawił talerzyk. — Nawet teraz po siedemdziesięciu

latach słyszę śmiech moich kolegów z gimnazjum, tak ich bawił mój kaczy chód. Mimo iż potem schudłem, to przez całe życie ten śmiech powstrzymywał mnie od zjedzenia trzeciej porcji czekoladowego ciasta. O tak, przeszłość nas prześladowuje! Oczywiście, moja droga, Craig nienawidził uzależnienia. Nie chciał czuć się odpowiedzialny za szczęście Victorii i swoich rodziców, bo to z kolei zależne było od tego, czy on będzie taki, jakim oni chcą go widzieć — a więc znakomitym biegaczem długodystansowym, najlepszym studentem, posłusznym synem i wnukiem... Czy komukolwiek zresztą by się to podobało? Jediną osobą, za którą Craig najwyraźniej lubił czuć się odpowiedzialny, była Jennifer, a to dlatego, że ona oczekiwała od niego tylko przywiązania i towarzysztwa i w zamian dawała to samo. Myślę, że ona i Ross byli jedynymi przyjaciółmi Craiga. Powinnaś była widzieć, jak we dwójkę mkną po falach na łódce. Czasami jeździł z nimi Ross; obserwował i uczył się od nich i mówił potem, że tych dwoje na wodzie stanowi bardzo zgrany zespół. Ale to chyba było szczęście w nieszczęściu.

Katherine patrzyła, jak zmienia się wyraz twarzy Tobiasza, gdy myślami wracał do przeszłości. Broda przestała mu się trząść, a bruzdy wokół ust pogłębiły się.

— Dlaczego? — spytała.

— Bo kiedy Jennifer zainteresowała się Derekiem, nie tylko Jason i Anna byli z tego powodu niezadowoleni. Craig niemal oszalał. Ależ narobili bigosu!

— Jennifer i Derek?

Tobiasz rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Tak. Nie wiedziałaś o tym? A powinnaś, bo to jeden z rozdziałów naszej rodzinnej historii. Miałaś mi pomóc zbierać do mej materiały, pamiętasz?

— Co to znaczy, że Jennifer zainteresowała się Derekiem?

— Widzisz, właściwie to nie jestem całkiem pewien. Mieszkałem wtedy w Bostonie i docierały do mnie wieści z drugiej ręki. Victoria mówiła, że zdaniem Anny siedemnastoletnia dziewczyna powinna spotykać się z chłopcami w swoim wieku, ale Derek miał wkońcu też tylko dwadzieścia jeden lat, więc to pewnie konkretnie o niego, a nie o jego wiek chodziło Annie. Widzisz, już wtedy Derek był dość przebojowym chłopakiem. Mnie na pewno potrafił przestraszyć tym swoim spojrzeniem, które szło mi w pięty. Ale potem zapuściłem

brodę, dzięki której zyskałem magiczną moc, i zarówno pogarda, jak i urok osobisty Dereka nie miały na mnie żadnego wpływu. A może to dlatego, że nie mieszkałem tu przez cztery lata. Do San Francisco przyjechałem na pogrzeb Jennifer. Biedne dziecko, nie miała żadnych czarodziejskich mocy. Victoria mówi, że Jennifer uwielbiała Dereka. Właściwie to zjem jeszcze jeden mały kawałek ciasta... A ty?

— Co? Ach. Nie dziękuję. Czy Derek ją kochał?

— Wątpię. Ale nie byłem jego powiernikiem, ani nikogo innego zresztą. Jeśli zwierzał się Jennifer, to ona nikomu o tym nie mówiła. Ale z tego, co wiem od Victorii, Jennifer bardzo opuściła się w nauce i jakieś dwa, trzy miesiące przed końcem szkoły Jason i Anna zabronili jej widywać Dereka. Moim zdaniem popełnili błąd. Życie nauczyło mnie, że zakazy i nakazy są źródłem dziwnych reakcji chemicznych, które zachodzą w organizmach młodych ludzi i czynią ich całkowicie głuchymi na słowa dorosłych. Takiej właśnie przemianie uległa Jennifer. Wciąż widywała się z Derekiem wieczorami i w czasie weekendów, udając przed rodzicami, że spędza ten czas z koleżankami. Naturalnie Jason i Anna dowiedzieli się o tym i powiadomili Curta, który powiedział Derekowi, że powinien zerwać z Jennifer. Derek też wtedy ogłuchł. Ta metoda nigdy nie zawodzi.

— Derek odmówił...

— Zignorował ich wszystkich. Dziewczyny pchały się do niego drzwiami i oknami, bo cokolwiek by o nim myśleć, to trzeba przyznać, że przystojny z niego chłopak, ale on chciał tylko Jennifer. A ona była śliczną istotką, roześmianą i pełną życia. Często się zastanawiałem, czy to nie o Jennifer Derek i Craig pokłócili się wtedy na łódce. Ross mówi, że nie słyszał, o co poszło, a Derek nabiera wody w usta, gdy go o to pytam.

— Sprzeczekali się o budynek, nad którym wtedy pracowali.

— Tak? Derek ci to powiedział? — Skinęła głową. — Cóż, to może opowiesz mi, co wiesz na ten temat. Mimo wszystko jednak jako badacz staram się czytać pomiędzy wierszami. Moim zdaniem chodziło o coś więcej. Nie sądzisz?

— Nie wiem. Im więcej dowiaduję się o waszej rodzinie, tym mniej rozumiem.

— Albo tym mniej ją lubisz?

Oparłszy brodę na dłoni patrzyła uważnie na Tobiasza. Zauważyła okrusek czekoladowego ciasta w jego białej brodzie. Sięgnęła po mego ręką.

— Ciebie lubię — powiedziała.

— Zamknij za sobą drzwi — rzuciła Leslie, gdy Bruce wszedł do pokoju. Potem wcisnęła guzik interkomu. — Proszę nie łączyć teraz żadnych rozmów. — Wyjęła z szuflady biurka papierową teczkę i podała ją bratu. — Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

— Już się robi, siostruniu — odparł biorąc od niej teczkę. — A cóż takiego się stało, że nie możesz ucałować kochanego braciszka? — Przejrzał papiery w tezcze i jęknął. — Skąd to, do diabła, masz?

— Czy to twoje?

— Pewnie, ale trzymałem to w biurku... jak u licha?...

— Co to jest?

— Prowadzisz jakieś śledztwo czy co, siostrzyczko? Dostanę adwokata?

— Nie wygłupiaj się, Bruce. Co to za papiery?

— Moje notatki. Mówiłem ci, że mam pewien pomysł, pamiętasz? Przyszło mi do głowy, że można by wykorzystać komputer do okradania sklepu, i miałem zamiar napisać odpowiedni program, żeby zobaczyć, jak to zrobić. A to są właśnie moje notatki — chciałem zobaczyć, czy można by na przykład kraść dobrze sprzedający się towar i tak sprytnie fałszować wykazy na komputerze, żeby nikt tego nie zauważył, rozumiesz, o czym mówię? Przyznasz chyba, że tylko geniusz mógł wpaść na coś takiego.

— Jesteś skończonym głupcem. Podejrzewamy, że już od dłuższego czasu właśnie coś takiego ma miejsce w naszym sklepie, a ty chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałeś?

Oszołomiony Bruce w milczeniu wpatrywał się w siostrę.

— No tak, te wyrywkowe inwentaryzacje! — krzyknął olśniony. — Ktoś to zrobił!? Ktoś okrada sklep?

— Ciszej, do cholery. Nie rozumiesz, że właśnie w twoim biurku znaleziono plan kradzieży?

— Chwileczkę, siostrzyczko, w trzydziestu wymarłych językach przysięgam uroczyście, że nic nie wiedziałem o żadnych kradzieżach

i że nie napisałem tego programu. Zrobiłem tylko trochę notatek jeszcze latem, ale mówiłem ci, że zamierzam go napisać. Przyjrzała mu się uważnie.

— Nie wierzę ci.

— Na rany Chrystusa, własna siostra!...

— Posłuchaj: prosiłeś, żebym załatwiła ci pracę w sekcji informatycznej; powiedziałeś mi potem, że pracujesz nad nowym systemem, a ja, biję się w piersi, zachęcałam cię sama, żebyś sprawdził, czy mógłby być wykorzystany do okradania sklepu; miałeś zamknąć wszelkie ku temu furtki. I w niecały rok po tej rozmowie zyski sklepu spadają, a wyniki inwentaryzacji nie pokrywają się z rejestrem sprzedaży w komputerze; przed chwilą sam powiedziałeś, że wpadłeś na pomysł sfałszowania wykazów, tak by nikt tego nie zauważył; a w twoim biurku znaleziono odręczne notatki na ten właśnie temat. Na jakiej więc podstawie mam ci wierzyć?

— Możesz zrobić u mnie rewizję, choć brzmi to trochę upiornie. A jeśli przysięgnę na własny honor, że tego nie zrobiłem? Do cholery, siostrzyczko, nawet nie wiesz, jak sam się zdziwiłem, kiedy mnie olśniło, że po burzliwych przeżyciach młodości polubiłem pracę. Naprawdę lubię tu pracować i nie ukradłbym jakichś pieprzonych skarpetek, bo nie chcę, żeby mnie stąd wylali, a nawet gdybym to zrobił, to po co, do ciężkiej cholery, no po co miałbym zostawiać notatki w biurku, gdzie ktoś mógłby je znaleźć?

— Nie wiem — westchnęła Leslie patrząc, jak brat nerwowo przemierza pokój.

— Po co chciałeś napisać ten program?

— Leslie, co z tobą? Chciałem po prostu zobaczyć, czy coś takiego da się zrobić, a jeśli tak, to mógłbym napisać program, który by to uniemożliwił!

— Bruce, nie napisałeś tamtego programu?

— Przysięgam na świętą boginię Mary Jane, że tego nie zrobiłem.

— Wiec kto jeszcze mógł to zrobić?

— Tylko parę osób w naszym dziale... — Przez chwilę myślał, po czym nagle energicznym ruchem poprawił spodnie. — Czas zabawić się w detektywa.

— Nie. Przykro mi, Bruce, ale zamierzam na jakiś czas wysłać cię na urlop. Bezpłatny niestety.

— Co do diabła!...

— Posłuchaj. Znalazłeś się w kłopotliwej sytuacji. Twój szef pokazał te notatki mojemu szefowi i teraz wszyscy myślą, że jesteś członkiem jakiegoś złodziejskiego gangu. Dlatego na razie nie możesz pracować.

— Ale...

— Nie sprzeczasz się ze mną! Robię, co mogę, ale sama też mam kłopoty i nie umiem ci inaczej pomóc. Ukrywasz swoje fantastyczne zdolności pod maską idioty... wyprowadzasz mnie z równowagi, więc wynieś się stąd na razie, a ja zrobię, co się da, żeby uratować nas oboje. Zapisz się na uniwersytet, zrób jakieś komputerowe kursy, może nawet dyplom.

— Sam mógłbym uczyć!

— Pewnie to prawda. Więc pójdz na jakieś inne kursy. Albo poszukaj pracy. Wszystko, tylko trzymaj się z dala od kłopotów.

— Skoro jest tak źle, to dlaczego jeszcze policja nie zakuła mnie w kajdanki?

— Bo na razie staramy się zachować sprawę w tajemnicy i samodzielnie ją rozwiązać. Mam nadzieję, że się przed nikim nie wygadasz. To część naszej umowy. Jeśli dowiem się, że rozpowiadałeś o tym, to już nie wrócisz tu do pracy.

— Po cóż miałbym paplać, przecież by mnie zamknęli. Chryste, dopiero co zacząłem ucziwie pracować i coś takiego mi się przytrafia. Od razu widać, co człowieka spotyka, kiedy się stara być w porządku.

— Spotyka go dobra siostra, która mu pomoże i zatrzyma dla niego tę pracę. No idź już, mam dużo roboty. Uważaj na siebie i przyjdź na obiad w niedzielę.

Bruce wysunął dolną wargę i popatrzył na Leslie z ukosa. Przygarbił się nieco.

— Ty tu jesteś szefem, siostrzyczko. Do zobaczenia w niedzielę. Leslie patrzyła, jak powłócząc nogami wychodzi z gabinetu. Po

raz pierwszy nie wykonałam polecenia prezesa, pomyślała. A rada nadzorcza już próbuje zerwać mój kontrakt i wyrzucić mnie stąd. Chyba przydałby mi się prawnik. Zdaje się, że oboje z Bruce'em potrzebujemy prawnika. Przez chwilę szukała czegoś w myślach. Katherine, powiedziała do siebie. Ona zna jednego z najlepszych prawników w mieście. Właściwie to nawet członek rodziny Haywar-dów. Szybko odwróciła się i sięgnęła po telefon.

Kosz wypełniały pogniecione papiery, a na stoliku piętrzyły się notatki, szkice, pokreślone rysunki, sznurek oraz powykręcany i połamany drut. Nic nie było skończone. Ani nawet zaczęte, pomyślała sfrustrowana. Odkąd Tobiasz zachęcił ją, by zajęła się tylko projektowaniem, minęły już trzy tygodnie, a ona nie przygotowała ani jednego projektu, który nadawałby się do realizacji. Zupełnie jakby coś się w niej zablokowało. Zmuszała się do myślenia o wygięciach, zwojach i kątach, o złocie, srebrze i drogich kamieniach, a zamiast tego wciąż na nowo przeżywała zawód wywołany chłodną oceną Mettlera, wybuch wściekłości Listera i poczucie winy, które się w niej zrodziło, gdy zaczęła korzystać z pieniędzy Craiga — czuła, że jeszcze nie stanęła na własnych nogach, bo ciągle nie była w stanie sama zarobić na życie.

Gdy zadzwonił Derek, ucieszyła się, że ma jakiś pretekst, by odejść od stolika.

— W piątek wieczorem muszę się pokazać na benefisie na Ghirardelli Square — powiedział. — Nie musimy długo tam być; poza tym jazzowe trio...

— Przykro mi, Derek, ale jestem zajęta w piątek.

— Zajęta?

— Wyobraź sobie, że mam również własne życie — odparła zdenerwowana.

— Przepraszam — odparł uprzejmie. — Ale spodziewałem się, że w niektóre dni znajdziesz dla mnie czas. Piątkowy wieczór właśnie do nich należy.

— Przykro mi, ale nie mogę zmienić swoich planów. Spodziewałem się, że znajdziesz dla mnie czas, powtórzyła

w myśli jego słowa. Pewnie chciał przez to powiedzieć, że jestem mu coś winna za to, że toleruje moją seksualną abstynencję. Tylko że abstynencja była ich wspólnym problemem — nie tylko Derek miał ochotę pójść do łóżka. Wcześniej wydawało jej się, że będzie jej łatwiej, gdy jasno sobie postanowi, czego chce, ale wcale tak nie było; im bardziej Derek stawał się uprzejmy i pełen rezerwy, tym bardziej go pożądała. Ilekroć jednak jej postanowienie zaczynało słabnąć, zdarzało się coś, co przypominało jej o innych cechach charakteru Dereka — o jego uszczypliwych komentarzach i pogardzie dla ludzi, o tym, że z właściwą sobie obojętnością założył, iż ona jest w pewnym sensie jego własnością i powinna używać mu

swego towarzystwa w zamian za okazaną jej tolerancję i wprowadzenie w wielki świat, w którym mogła poznać swoje potencjalne klientki. Przyszło jej teraz na myśl opowiadanie Tobiasza o Jennifer. Katherine starała się nawiązywać do tego tematu, ale ostatnio Derek w ogóle nie chciał rozmawiać o wypadku i na najmniejszą o nim wzmiankę natychmiast zmieniał temat.

Katherine czuła, iż Derek ma na nią tak duży wpływ, że z prawdziwą ulgą odmówiła spędzenia z nim piątkowego wieczoru, choć jednocześnie rezygnowała przecież ze spotkania wielu znajomych, których zaczynała już rozpoznawać z nazwiska. Tak się jednak złożyło, że tego wieczoru znalazła się na Ghirardelli Square.

— Nie miałam tego w planie — tłumaczyła się Leslie, gdy przyjechały na miejsce i zobaczyły tam tłumy gości. — Ale sama wiesz, jaka jest sytuacja, więc kiedy prezes każe mi reprezentować firmę, nie mogę mu odmówić.

Gdy przepychały się do windy, a potem do drzwi „Mandaryna”, Katherine pomyślała, że nigdy nie widziała tutaj takich tłumów. Kiedyś, zanim wyremontowano ten budynek z czerwonej cegły, mieściła się w nim fabryka czekolady i przypraw, potem zakłady tkackie. Teraz te dziesięć pięter tworzyło uroczy, pokrętny labirynt, w którym na planie kwadratu zbudowano mnóstwo butików, teatrów i restauracji, a prowadziły do nich małe klatki schodowe i nagle ni stąd, ni zowąd pojawiające się korytarzyki, które stwarzały wrażenie nieskończonej długości i bardzo tajemniczych. Budynek zawsze stanowił atrakcję turystyczną, ale teraz z okazji przyjęcia dobroczynnego na rzecz Ligi Opieki nad Rodziną liczba odwiedzających go osób zwiększyła się czterokrotnie.

Gdy kelner prowadził Katherine i Leslie do stolika, z którego rozciągał się widok na zatokę, tłumy już się przeredziły, a hałas przycichł. W restauracji o różowych ścianach obitych jedwabiem panował półmrok.

— Nastrój jest tu tak intymny jak w chińskim grobowcu — zauważyła Leslie zadowolona.

Katherine cieszyła się z towarzystwa przyjaciółki, a nawet z tego, że dokoła jest mnóstwo ludzi. Żywiołowość tłumy udzielała jej się, pomagając zapomnieć, że przez prawie cały ubiegły miesiąc użalała się nad sobą.

— Cudownie jest być tutaj. Wiesz, to zabawne, ale i tak bym

tu przysła: Derek mnie zapraszał. Pewnie nawet nie zauważę go w tym tłumie. Kelner napełnił ich kieliszki winem, a Leslie, przerywając chwilową ciszę, spytała może nieco zbyt obojętnym tonem:

— Rozmawiałaś z tym swoim znajomym?

— Powiedział, że tutaj się z nami spotka. Nadmieniłam mu tylko, o co chodzi, nie wdając się w szczegóły.

— Dziękuję ci. Pomyśl, czy to nie dziwne? „Heath” zatrudnia z tuzin prawników, ale kiedy ja jakiegoś potrzebuję, to przychodzi po pomoc do ciebie.

— Claude jest chyba bardzo dobrym prawnikiem.

— Dobrym? On jest jednym z najlepszych. To bardzo solidna firma, pierwsza klasa.

— Ale skoro tak uważasz, to dlaczego sama do niego nie zadzwoniłaś?

— W porównaniu z jego klientami jestem tylko płótką. Katherine zaprzeczyła ruchem głowy patrząc, jak kelner ustawia

na stole mały grill, a na nim układa szaszłyki z marynowanym mięsem.

— Skoro walczysz z radą nadzorczą „Heatha”, a stawką jest twoja posada, to nie jesteś żadną płótką — powiedziała.

— Chodzi o to, że Claude wolałby pewnie pracować dla „Heatha” niż dla Leslie McAlister.

— Nie miał nic przeciwko, kiedy poprosiłam, by się z tobą spotkał.

Leslie uniosła kieliszek.

— Wypijmy za lepsze czasy. Wiesz, widywałam go na przyjęciach. Jest wysoki, przystojny, ma srebrzyste włosy i niebieskie oczy. Kolekcjonuje panny na wydaniu.

— Co robi?

— Należy do tych pięćdziesięcioletnich kawalerów, którzy nawet nie spojrzą na kobietę, jeśli ona nie jest śliczną dwudziestolatką. Wypijmy za wszystkie te zrozpaczone kobiety, które są samotne i zbliżają się do czterdziestki.

— Nie znam go od tej strony.

— Nieważne. Chodzi o moją głowę, a nie jego życie seksualne. Nigdy wcześniej Katherine nie słyszała takiego drżenia w głosie przyjaciółki. Odkąd wynajętą ciężarówką przyjechała do San

Francisco, silna, pewna siebie Leslie zachęcała ją do działania i podtrzymywała na duchu; Leslie była przyjaciółką, na której Katherine mogła polegać, i kobietą sukcesu, na której mogła się wzorować, bo miała wszystko to, czego ona sama nie posiadała: urodę, pewność siebie, niezależność, zabezpieczoną przyszłość. A teraz głos Leslie drżał i Katherine rozpoznała w nim tę samą niepewność, którą od wielu miesięcy sama odczuwała.

— Czym się martwisz? Opowiedz — zachęcała przyjaciółkę uświadamiając sobie, że jakby zamieniły się miejscami; teraz to ona oferowała pomoc.

— Krąg się zamyka — odparła Leslie starając się, by jej głos brzmiał beztrzesko.

— W dodatku prawdopodobnie dostarczyłam im ostatniego pretekstu, by mogli mnie wyrzucić, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą.

— A co zrobiłaś?

— Chodzi o to, czego nie zrobiłam. W ciągu ostatnich paru dni coraz więcej pojawiało się poszlak, z których wynikało, że Bruce manipulował coś przy komputerach, no i jego wysoko postawionej siostrze polecono zwolnić go natychmiast. Witam.

Leslie spoglądała na Claude'a, którego postać wyłoniła się nagle z przyćmionego światła tuż przy ich stoliku.

Katherine wstała i przywitała się z nim, całując go w policzek i czując się przy tym jak wróżka, która z niczego wyczarowuje ludzi. Słabo знаła Claude'a i nie widziała go już od dawna, ale kiedy Leslie poprosiła ją o pomoc, bez wahania chwyciła za słuchawkę. Po raz pierwszy od zniknięcia Craiga Katherine komuś pomagała zamiast tylko martwić się własnymi kłopotami. Uśmiechnęła się delikatnie. Dopiero teraz, gdy na kilka minut zapomniała o sobie, dotarło to do niej, jakim wielkim ciężarem była dla siebie. Kiedy Claude spoglądał to na Leslie, to na nią, Katherine spróbowała wyobrazić sobie, jak on je widzi: Leslie była rudowłosa, zielonooka i elegancka, jej uroda błyszczała niczym cenny klejnot, mimo iż po obu stronach ust pojawiły się już pionowe bruzdy, a szczęka wystawała nieznacznie, zwłaszcza gdy Leslie mówiła o swojej pracy; Katherine miała ciemne włosy i orzechowe oczy, głowę trzymała wysoko uniesioną, ubrana była w miękką suknię koloru czerwonego wina, którą kupiła z drugiej ręki, i prawie wcale nie przypominała kobiety, którą Claude spotkał w czerwcu u Victorii

i której potem w październiku postawił drinka chcąc wybadać, jakie ma zamiary.
— Tak się cieszę, że przyszedłeś — powiedziała Katherine znów się uśmiechając.
— Poznaj Leslie McAlister. A to Claude Fleming. Jadłeś kolację? My jeszcze nic nie zamówiliśmy.

— Nie, nie jadłem. — Claude przywitał się z Leslie i usiadł. — Słyszałem ostatnie zdanie. Polecono ci zwolnić brata. Domyślam się, że tego nie zrobiłaś.

Leslie uniosła brwi zdumiona — zupełnie tak jak Bruce, pomyślała Katherine.

— Dlaczego tak myślisz?

— Katherine powiedziała mi, że potrzebujesz prawnika, ponieważ uważasz, że ktoś stara się usunąć cię ze stanowiska, na które masz trzyletni kontrakt. Ten, kto próbuje to zrobić, sądzi, że ma ku temu powód. Jak na przykład niewykonanie polecenia. A więc zwolniłaś swego brata?

— Nie. Nie mogłam tego zrobić. Nigdy nie miał tak dobrej pracy; no i świetnie mu szło, nigdy nie widziałam go tak szczęśliwym. Próbował już w życiu wszystkiego, narkotyków i alkoholu — wlał go w siebie tyle, że mógłby w nim pływać; włóczył się po Europie i Azji, ale nic nie dawało mu zadowolenia. Sytuacja się zmieniła, gdy odkrył komputery.

— Wszystko można w nich przewidzieć — wtrącił Claude. — Są logiczne, można je zaprogramować, polegać na nich i wprowadzać poprawki. To znacznie lepsze niż narkotyki i alkohol.

Leslie popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

— Jestem pod wrażeniem, doskonale rozumiesz dwudziestoletniego dzieciaka.

Prawnik zdusił śmiech.

— Wiem co nieco o dwudziestolatkach.

— Ach tak — skomentowała zimno Leslie. Przechyliła lekko butelkę po winie. — Przydałaby nam się druga. Chyba że wolisz szybko przedyskutować mój problem i wrócić do własnych spraw? Na pewno masz jakieś inne plany na wieczór.

— Nie mam żadnych innych planów — odparł i zatrzymał przechodzącego kelnera, by zamówić butelkę wina. — Bardzo troszczysz się o swojego brata.

— Owszem. To moja rodzina.

— Tak po prostu wypełniasz rodzinny obowiązek? Odniosłem wrażenie, że jest ci bliski.

Leslie obracała kieliszek w dłoni.

— Bo jest. Bardzo kocham Bruce'a. Kiedyś mieliśmy rodzinę, ale gdy tylko osiągnęliśmy wiek, w którym mogliśmy iść do urn wyborczych, nasi rodzice, kuzyni i wujkowie rozjechali się po świecie zajęci własnymi sprawami. Niczym ostatni głupiec Bruce pojechał ich szukać. Ci, których znalazł, okazali się bardzo zajęci, więc w końcu wrócił, a wyglądał tak, jakby wszedł w drogę jakiemuś gangowi i przegrał walkę. Nie chodzi o to, że rodzina go pobiła, ale totalnie go zignorowali. Przyjechał do mnie, a tak się złożyło, że... przeżywałam wtedy trudny okres i wcale nie byłam zajęta. U mnie znalazł własny kąt, kogoś, kto chciał go wysłuchać i pocieszyć, gdy było mu źle. Bardzo zżyliśmy się ze sobą.

— Jesteś starsza od niego.

— O tak. — Leslie roześmiała się. — On ma dwadzieścia sześć lat, a ja o dziesięć więcej.

Claude pokiwał głową.

— Przygarnęłaś go u siebie.

— Nie. Bruce ma swoje mieszkanie, a ja mam swoje. Ale moje drzwi zawsze są dla mego otwarte i zawsze może na mnie liczyć. Ja zresztą na niego też.

— Drzwi, które zawsze są otwarte — powtórzył cicho Claude. — Niełatwo takie znaleźć. A co zrobiłaś, skoro go nie zwolniłaś? — spytał.

— Wysłałam go na urlop bezpłatny. Nie powiedziałam mu, że miałam go wylać; po prostu kazałam mu się wynieść, dopóki go nie wezwę.

— Tylko tyle?

— Powiedziałam mu jeszcze, żeby przyszedł do mnie na obiad w niedzielę.

Obydwoje się roześmieli. Katherine miała wrażenie, że stała się niewidzialna.

— Jestem bardzo głodna — wtrąciła nieśmiało.

Claude natychmiast podzielił swoją uwagę pomiędzy obie kobiety i przyjął na siebie rolę gospodarza — ustalił z nimi menu, przywołał kelnera, a potem przez cały czas, z pedantyczną wręcz dbałością, obie bawił rozmową. Wieczór był tak przyjemny, że Katherine

zrobiło się przykro, gdy kolacja dobiegła końca i Leslie powiedziała, że musi już iść.

— Mam odebrać nagrodę przyznaną „Heathowi” jako najhojniejszemu donatorowi roku. Czeka mnie więc strasznie nudna ceremonia. Może zaczekałibyście tu na mnie...

— Nie — odparła Katherine. Claude odsunął swoje krzesło wstając.

— Nie skończyliśmy jeszcze omawiać interesów. Chyba że zmieniłaś zdanie i nie chcesz mnie wynająć.

— Wynajmuję cię z największą przyjemnością.

— A więc mamy sporo do ustalenia. Może będziemy kontynuować po tej twojej uroczystości? Niedaleko stąd jest klub...

Gdy wychodzili z restauracji, Katherine zdecydowała, że nie będzie im towarzyszyć. Zresztą i tak nie powinna — te sprawy jej nie dotyczyły. Nagle poczuła się przygnębiona i to uczucie pogłębiało się, w miarę jak otaczał ich coraz bardziej zwarty tłum. Były tutaj same pary. Cały świat był jedną wielką arką Noego. Ona też kiedyś miała partnera, ale on uciekł — pewnie dlatego że nie była dla niego dość dobra, by prosić ją o pomoc w rozwiązywaniu problemów i podtrzymywaniu więzów małżeńskich. No i rodzinnych.

Pójdę do domu i wypłaczę się, pomyślała. Już dawno tego nie robiłam.

— Co ja widzę! — wykrzyknęła Leslie, gdy byli już na parterze. — Ale wystrzałową damę znalazł sobie Derek na twoje miejsce.

Katherine podążyła za wzrokiem Leslie i zobaczyła Melanię, która akurat wsuwała rękę pod ramię Dereka, szepcząc mu coś do ucha.

Claude ni to kaszlnął, ni to prychnął. Ale gdy się odezwał, głos miał spokojny.

— Ross jest pewnie zajęty swym nowym projektem. To miło ze strony Dereka, że zechciał towarzyszyć swej szwagierce.

— Rodzinny prawnik zawsze broni rodziny — powiedziała Katherine zaskakującym nie tylko Claude'a, ale i siebie. — Chyba powinnaś już pójść na tę twoją uroczystość, Leslie.

Ale Derek zdążył ich zobaczyć i szepnąwszy słówko Melanii, która obrzuciła Katherine lodowatym spojrzeniem, zaczął przepychać się przez tłum w ich kierunku.

— Witaj, Claude — powiedział ściskając mu dłoń. Leslie zmusiła Dereka, by się z nią przywitał, sama wyciągając dłoń. — Leslie... Katherine... — Przez chwilę spoglądał to na jedną, to na drugą, jakby próbując zgadnąć, która z nich towarzyszy Oaude'owi. — Co za miła niespodzianka.

— To chyba mało powiedziane — mruknęła Leslie, ale jej słowa zagłuszył ogólny gwar.

Claude je usłyszał. Uśmiechnął się i ujął Leslie pod rękę.

— Im szybciej odbierzesz tę nagrodę, tym prędzej będziemy mogli uciec od tych tłumów. Katherine? — powiedział podając jej drugie ramię.

Katherine patrzyła na Dereka; w głowie miała mętlik: Derek i Melania. Derek i Katherine. Derek i Jennifer.

— Katherine? — powtórzył Claude.

— Możesz chwilę poczekać? — spytał Derek Katherine. Skinęła głową.

— Przepraszam, Leslie. Zaraz do was dołączę.

— Kolacja była wspaniała — powiedziała Leslie, całując ją w policzek. — Dziękuję.

— To była twoja kolacja. Ja powinnam ci dziękować.

— Wiesz, co mam na myśli. Do zobaczenia.

Katherine patrzyła, jak znikają w tłumie, po czym odwróciła się do Dereka.

— Masz do mnie jakąś sprawę?

— Nie mów do mnie takim tonem. — Otoczył ją ramieniem i poprowadził do pobliskiej kawiarni.

— Derek, nie możesz tak... Melania... — Obejrzała się, ale Melanii nie było już widać. — Gdzie ona się podziała?

— Pewnie poszła do domu albo przyłączyła się do jakichś znajomych.

Powiedziałem jej, że chcę z tobą porozmawiać. Melania jest bardzo wyrozumiała.

To na pewno żart, pomyślała Katherine, gdy Derek zaczął gawędzić z gospodynią przyjęcia. Nie wiadomo kiedy w zatłoczonej sali pojawił się wolny stolik. Derek wysunął dla niej krzesło.

— Masz do mnie jakąś szczególną sprawę?

— Tak. Chciałem cię zapytać... — Chwileczkę — zwrócił się do kelnerki zamawiając cappuccino dla Katherine i siebie, po czym usiadł wygodnie na krześle. — Ślicznie wyglądasz. To ciekawe, że mimo wszystko jesteśmy tu dzisiaj razem. Gdy tylko wypijemy kawę, co pozwoli nam oswoić się z nagłą, lecz pomyślną zmianą losu, pójdziemy na górę i przedstawię cię kilku moim przyjaciółom, z którymi znajomość może okazać się dla ciebie korzystna. — Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. — O co chodzi?

— Zastanawiałam się... czy Melania...

— Proszę bardzo — powiedziała wesoło kelnerka, stawiając przed nimi filiżanki kawy z pianką i rozkładając łyżeczki i papierowe serwetki.

— Melania — zaczął ostro Derek. — A co chciałabyś o niej wiedzieć?

— Nie tylko o Melanię chodzi. Także o Jennifer. O Jennifer, Melanię i o mnie. Zastanawiałam się dlaczego, chociaż tyle jest kobiet na świecie, dlaczego ty nawiązałeś bliższą znajomość akurat z tymi trzema, które były czy są najbliższe twemu bratu i kuzynowi.

Derek siedział nieruchomo i patrzył na Katherine przez unoszącą się nad kawę parę, a w jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Tylko na szyi Katherine zauważyła napiętą żyłkę.

— Posunęłaś się trochę za daleko, moja droga — powiedział w końcu. Głos jego brzmiał swobodnie, niemal przyjemnie. — Bardzo niewiele wiesz o nas czy w ogóle o czymkolwiek, tak długo byłaś niezaradną istotką chronioną przez Craiga. Wydaje ci się, że skoro nauczyłaś się wyglądać jak kwiat, to potrafisz zrozumieć ogród. A w rzeczywistości nie masz ani wystarczającej wiedzy, ani odpowiedniej pozycji, by móc wypowiadać się w tak poważnych sprawach. One przekraczają twoją możliwość pojmowania. — Upił nieco kawy. — Byłem wobec ciebie bardzo cierpliwy; mogłabyś mi to wynagrodzić starając się przynajmniej zrozumieć, że lepiej zachować milczenie niż okazywać, że jest się głupcem.

Spokojny, niemal monotony głos Dereka był jak ostry nóż — przecinał panującą wokół wrzawę i wbijał się w Katherine swym zimnym ostrzem. Oddech jej się przyspieszył. Przypomniała sobie, jak zżerało ją pożądanie, które czuła do Dereka, i nie mogła się teraz temu nadziwić. Chyba musiałam pragnąć kogoś innego, myślała.

— Nazywanie mnie głupią na nic się tu nie zda. Nic nie zmieni faktu, że mnie wykorzystywałeś. Bo robiłeś to, prawda, Dereku? Bo wciąż jestem żoną Craiga i choć minęło piętnaście lat, ty nie przestałeś go nienawidzić. I Rossa też nie lubisz. Nie wiem dlaczego, ale to nie ma żadnego znaczenia. A Melania jest żoną Rossa. Jennifer natomiast była ulubienicą Craiga.

— Katherine — wyraz twarzy Dereka i ton jego głosu nie zmieniły się ani trochę, ale żyłki na szyi napięte były jak postronki. — Nie bardzo masz prawo uważać się za wykorzystywaną. Przecież od miesiący sama posługujesz się mną jako przewodnikiem wprowadzającym cię w świat, do którego beze mnie nigdy byś się nie dostała. Wykorzystujesz mnie, by nadrobić braki w obyciu i zachowaniu i by zaspokoić swój nienasycony apetyt na komplementy; mam być twoim partnerem do towarzystwa w miejsce męża, który cię porzucił, i dostarczać ci seksualnego podniecenia, ale bez seksualnego zespolenia. Jesteś taka sama jak twój mąż — obydwójecie uciekacie od odpowiedzialności.

Twarz Katherine płonęła.

— Chcesz powiedzieć, że powinnam seksem płacić za twoje usługi? Derek powoli wypuścił powietrze z płuc rozluźniając napięte mięśnie.

— Przestań. I to natychmiast. Nie jestem jeszcze gotów przerwać naszą dziwną znajomość...

— Aleja jestem. — Szybko oddychając Katherine pochyliła się do przodu. — Nie mogłabym już się z tobą spotykać. I chociaż rzeczywiście się tobą posłużyłam, bo masz rację w tym punkcie", naprawdę sporo dzięki tobie zyskałam, to czy wzięłam od ciebie coś, czego nie chciałeś mi dać? Nigdy nie mówiłeś, że należy ci się jakaś specjalna zapłata za to, co dla mnie zrobiłeś. — Katherine czuła się zawstydzona, więc wysoko trzymała głowę. — Jak mogłabym nadal się z tobą spotykać?

— Chcesz mojej rady? No to posłuchaj. Zdaje ci się, że możesz stać się osobistością, a ty jesteś nikim w tym mieście; i niczego nie masz. Najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do Vancouver, znaleźć tam sobie jakąś prostą pracę, którą udałoby ci się utrzymać dłużej niż parę miesięcy, i czekać, aż twój żaloszny mąż czołgając się wróci na twoje łono, gdzie jest jego miejsce i gdzie pewnie najbardziej lubisz go mieć.

Katherine patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz mnie zastraszyć?

— Nigdy nikogo nie próbuję zastraszać. — Podniósł swoją filiżankę; w jego oczach błysnęło zdumienie, gdy zobaczył, że jest pusta. — Ale gdybyś nie była taka głupia, zdażyłabyś już nauczyć się czegoś o władzy, i w naszej rodzinie, i w ogóle w tym mieście. A z tego też mogłaś skorzystać; miałaś do wyboru: albo trwać przy tchórzliwym mężu, albo przyjąć warunki, które ja bym ci zaoferował, gdybyś była dla mnie tym, czym chciałem. Ale ty się tego bałaś i odrzuciłaś to.

— Ja nie... — Owładnął ją nagły wstręt, aż głos jej zamarł. Zaczęła grzebać w portfelu w poszukiwaniu pięciodolarowego banknotu, który w końcu położyła na stole. — To za moją kawę. — Wstała i patrząc na Dereka jak na trzecioplanowy obiekt na obrazie powiedziała: — Nie zamierzam zwracać ci pieniędzy za kolacje i drinki, które fundowałeś mi od października; spłaciłam wszystko przez ostatnie pięć minut wysłuchując twoich obelg. Nie wiem, jaki rodzaj władzy miałeś na myśli, i nic mnie to nie obchodzi. Chcę mieć rodzinę, a nie pole bitwy, od ciebie oczekiwałam przyjaźni, nie zaś pojedynku. Jeśli ty rzeczywiście masz jakąś władzę, to świadczy to tylko o tym, że mężczyzna może być przystojny, czarujący i wpływowy, a pod tą zewnętrzną powłoką ordynarny i prostacki. A kogoś takiego nie chcę więcej widzieć.

Twarz Dereka poczerwieniała z wściekłości; Katherine zrobiła krok do tyłu, po czym odwróciła się i przez tłum ruszyła do wyjścia. Nagle nieoczekiwanie zaczęła drżeć i poddała się woli tłumowi, który uniósł ją w kierunku kwadratowej sali, a potem dalej na ulicę. Tam już było spokojniej, prawie zupełnie cicho. Wszystko w porządku, powiedziała do siebie. Wszystko w porządku. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Gdy w odpowiedzi na jej znaki zatrzymała się przed nią taksówka, Katherine uświadomiła sobie, że właściwie naprawdę wszystko jest w porządku. Wcześniej, kiedy zdecydowała, że nie będzie sypiać z Derekiem, poczuła się, jakby ciężar spadł jej z piersi. A teraz miała wrażenie, że pozbyła się kolejnego balastu. Nie chciała Dereka; nie potrzebowała go. Była teraz wolna.

Cześć 3

Rozdział dwunasty

Ross obrócił się w krześle, by popatrzeć przez okno. Jego wzrok padł na miarowo przesuwający się sznur pojazdów na ulicy Embarcardero i dalej na ruchliwe nabrzeża wciskające się niczym wąskie paluszki w lekko wzburzone ciemnoniebieskie wody zatoki. Dwa lata temu, kiedy powiększał swój zespół przygotowując go do prac nad projektem BayBridge, przeprowadził się właśnie do tego budynku, który z chłodni zmienił się w pełen słońca biurowiec z przestronnymi pokojami, których wysokie okna sięgały aż po belkowe sufity. Swój własny gabinet Ross wyposażył w meble z drzewa różanego i skóry, a na podłodze położył wzorzyste dywany własnoręcznie tkane przez amerykańskich Indian. Przez grube ściany budynku nie przenikały żadne dźwięki, więc Ross w ciszy oddał się marzeniom o Paryżu.

„Chciałbym, żebyś ze mną pracował — nalegał Jacques, gdy rozmawiali przez telefon. W college'u razem wynajmowali mieszkanie i od tego czasu, choć dzieliły ich tysiące mil, rozmawiali często na temat pracy, żon i swych krajów, a takimi myślami łatwiej nieraz podzielić się z kimś, kto jest daleko. Teraz Jacques Duvain, zwolennik nowości i nowoczesności, pracował nad renowacją czterdziestopokojowej paryskiej kamienicy z roku 1605,

przekształcając ją jednocześnie w cztery dziesięciopokojowe apartamenty. — Przecież zawsze mi powtarzasz: Zatrzymaj przeszłość; na ile to tylko możliwe, zatrzymaj ją. No więc teraz mam do czynienia z przeszłością i płacą mi za to, żebym ją zachował. Ross, popracuj ze mną nad kamienicą na Place des Vosges; zostań moim konsultantem.

— Ale ja nic nie wiem na temat renowacji siedemnastowiecznych paryskich kamienic — tłumaczył mu wtedy Ross.

— A ja — odparł szybko Jacques — niewiele wiem o nowoczesnych amerykańskich technikach renowacji. Nauczmy się sporo jeden od drugiego. A poza tym, czyż to nie jest doskonała okazja, by oderwać mego przyjaciela od gry w warcaby i skłonić do odwiedzenia mnie?"

Place des Vosges, myślał Ross. Wyobraził sobie wspaniały plac z parkiem otoczonym kamienicami z cegły pokrytej tynkiem, które kiedyś stanowiły rezydencje królewskiego dworu, a teraz — po prawie czterystu latach i zawieruchach historii — były wykupywane przez rozmaitych inwestorów, którzy odnawiali je przeznaczając na mieszkania, sklepy i restauracje. W czasie ostatniego pobytu w Paryżu, dwa lata temu, Jacques pokazał mu to miejsce i Ross wciąż pamiętał wytworne, przestronne pokoje, majestatyczne, kręcone klatki schodowe, rzeźbione gzymsy i sufity oraz nastrój intymności, jaki stwarzały prywatne wewnętrzne podwórka ukryte w środkowej części każdej kamienicy.

Ross chciał jeszcze tam wrócić, lecz przeszkodziła mu w tym praca nad BayBridge. Przez te dwa lata Jacques przysyłał mu raporty na temat postępu robót, które przebiegały bardzo podobnie jak w przypadku BayBridge; obecnie Jacques gotów był przystąpić do sporządzenia szczegółowych planów i chciał, by Ross wziął w tym udział.

Ale mam już na głowie dwa duże przedsięwzięcia, myślał Ross kontemplując widok za oknem. Jedno to BayBridge, i ono dopiero zaczyna żyć, a drugi to moje małżeństwo, które traci nawet tę nikłą iskierkę życia, jaka w nim tkwiła.

— Jest tu pani Hayward — poinformowała sekretarka przez interkom. — Czy mam powiadomić wszystkich, że zebranie się opóźni?

Było to bardzo trafne pytanie. Z doświadczenia Ross wiedział,

że oznacza ono, iż na twarzy Melanii maluje się złość, której prawdopodobnie nie da się rozładować w ciągu pięciu minut, jakie pozostały do zebrania.

— Tak, zawiadom ich — odparł Ross. — Dam ci znać, kiedy będę mógł zacząć. I powiedz pani Hayward...

Ale Melania już weszła do jego gabinetu i zamykała za sobą drzwi. Ze swymi hebanowymi włosami i opaloną skórą, ubrana w białą jedwabną bluzkę i czerwony kostium tak skrojony, by podkreślał Unię ramion i wyszczuplał biodra, wyglądała jak wycięta z okładki żurnala mody; nawet swym zimnym, lekko prowokującym spojrzeniem, którym obrzuciła jego biuro, upodobniała się, jak wydało się Rossowi, do modelki, której wzrok prześlizguje się po zgromadzonej widowni.

Przeszła przez gabinet i rzuciła na biurko torebkę i rękawiczki.

— Właśnie robiłam zakupy i zostało mi trochę czasu, więc postanowiłam wpaść i zamienić z tobą słówko.

To miło, pomyślał Ross. Tylko że to pewnie nieprawda; najwyraźniej przyszła, żeby porozmawiać, bo nie odzywamy się do siebie w domu. A to oznacza, że sytuacja jest niedobra. Podszedł do kredensu stojącego blisko skórzanej sofy i ustawionych pod ogromnym oknem foteli.

— Napijesz się kawy?

— Mógłbyś zaproponować mi martini.

— Zrobiłbym to, gdybym je miał. Ale mogę ci zaoferować jedynie kawę.

Melania usiadła na brzeжку sofy i zaczęła bębnić palcami po szklanym stoliku.

— Wilma mi mówiła, że twój pan Macklin się rozwodzi.

— On nie jest mój. 1 nie znam go na tyle dobrze, by interesować się jego życiem prywatnym. — Ross podał jej filiżankę i obszedł ze swoją stolik, by usiąść obok żony. — A ty go znasz?

— Interesuje mnie rozwód.

— Już mi to mówiłaś. To jeden ze stałych tematów Wilmy. — Ross chciał zyskać na czasie; wiedział, że Melania nie przyszła powtarzać plotek Wilmy. — Czy chciałaś porozmawiać ze mną o czymś szczególnym?

Melania odstawiła filiżankę gestem osoby bardzo zmęczonej uderzając przy tym spodkiem o stolik.

— Naprawdę musisz wszystko utrudniać? Czy choć raz, tylko jeden cholerny raz, nie mógłbyś być domyślny? Nie mówię o Wihnie; mam na myśli siebie. Interesuję się rozwodami, bo sama chcę się rozwieść. Ja...

— Chwileczkę. Poczekaj. — Dotychczas zawsze przerywali rozmowę, kiedy tylko ten temat wisiał w powietrzu. — Nigdy o tym nie rozmawialiśmy; nawet nie próbowaliśmy znaleźć sposobu...

— A co to za różnica? Znalazłam sobie kogoś lepszego niż ty, kogoś, kto naprawdę się o mnie troszczy, kogo obchodzi, co czuję i czego pragnę i co jest dla mnie dobre. Dlatego chcę rozwodu. Natychmiast.

— Masz kogoś innego? — Ross nic o tym nie słyszał; nawet nie przyszła mu do głowy taka możliwość. — Kto to jest?

— Nieważne. Liczy się tylko to, że znalazłam człowieka, któremu na mnie zależy, który poświęca mi swoją uwagę i zaspokaja mnie...

— Czy mogłabyś trochę zapanować nad swoim dziecinnym gniewem? — spytał uszczypliwie. — I zacząć używać również innych słów niż tylko „ja” i „mnie”?

— Niech cię diabli — prychnęła. — To właśnie cały czas robisz: traktujesz mnie jak dziewczynkę, jak dziecko; przy tobie czuję się mała.

Ross instynktownie wyciągnął rękę.

— Wiem. Melanio, przykro mi. Wiem, ja...

— Nie potrzebuję twoich pieprzonych przeprosin; już na nie za późno! Mam dość poczucia, że nie jestem dla ciebie wystarczająco mądra i dorosła; niedobrze mi się od tego robi. Jestem tak samo dorosła jak ty i chcę być z kimś, kto będzie mnie tak traktował, z kimś, kto wie, że jestem dojrzała...

— A kto to taki?

— Ktoś szczególny.

— Do jasnej cholery, kim on jest?

— Możesz przeklinać, ile chcesz; nie boję się ciebie. On jest cudowny. Będzie się mną opiekował, kupował mi prezenty i przynosił śniadanie do łóżka...

— Melanio. Pytałem, kim on jest?

Gdy wypowiadał to zimnym jak stal głosem, Melania rzuciła mu krótkie spojrzenie.

— Guy Walker.

— Guy Walker?

— Jest bardzo znanym tenisistą. To mistrz. Udziela w klubie lekcji gry, ale bierze udział w zawodach i zdobywa laury. Zamierza się ze mną ożenić.

Słowa te wywołały w nim dziwne odczucia.

— A ty? — spytał. — Wyjdiesz za niego?

— Nie rób ze mnie idiotki. Oczywiście, że za niego wyjdę.

A więc to była prawda. Ross wciągnął powietrze czując się tak, jakby go ktoś uderzył w brzuch. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo się od siebie odsunęli; nawet Carrie i Jon to zauważyli: obserwowali ich, nasłuchiwali i poruszali się po domu tak ostrożnie, jakby obawiali się, że wystarczy najmniejszy hałas i małżeństwo ich rodziców rozsypie się jak domek z kart. A ono już było rozsypane, pomyślał Ross; już od dawna można było to poznać — po tym, że ze sobą nie rozmawiali, po kłótniach, które wybuchały tak nagle jak letnie burze i równie szybko ucichały, po cichych dniach, po spojrzeniach, które jakoś nigdy się nie spotykały.

A Ross świadomie ignorował te znaki zakładając, że bez względu na to, jak źle się między nim i Melanią dzieje, potrafią uzdrowić sytuację; uważał, że ponieważ dobrze się znają i mają plany na przyszłość, łatwiej będzie uzdrowić ich małżeństwo niż je zniszczyć.

Ale źle ocenił sytuację. Wszystkie jego założenia okazały się błędne. Ogarnęła go panika, więc odwrócił się od Melanii i popatrzył \ w przestrzeń. Pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy wszedł do tego gabinetu i pierwszy raz oglądał widok z okna. Zaczynał właśnie pracę nad projektem BayBridge i był bezgranicznie spokojny o przyszłość — miał dom, wierzył swej żonie i czerpał zadowolenie z pracy. Byłem idiotą, pomyślał. Spokojnym o przyszłość, zadowolonym i ślepym.

Brakuje mi pewności, że każdy dzień potoczy się według określonego schematu, pomyślał. Zastanawiał się, gdzie to słyszał. W chwilę później już wiedział — to Katherine tak powiedziała w restauracji „Compass Rose”. „Brak mi tego uczucia, że wiem, co będzie jutro i pojutrze. Brakuje mi pewności, że każdy dzień potoczy się według określonego schematu. Dotychczasowe myślenie było ułudą, bo nic z tego, co miałam, nie było mi dane na zawsze, ale tak przyjemnie było myśleć, że mam to wszystko na pewno.”

Ja też wiedziałem niewiele więcej niż ona, pomyślał Ross.

— Słuchasz mnie? — dopytywała się Melania. Odwrócił się do niej marszcząc czoło.

— Myślałem o czymś innym.

— O czymś innym! Czymś ważniejszym niż twoje dzieci?

— A co z dziećmi?

— Zatrzymam je. Ileż razy mam ci to powtarzać! One zostaną ze mną, a ty się wyprowadzisz. Oczywiście zatrzymam też dom. Nie chcę narażać Carrie i Jona na zmianę szkoły i wiele innych rzeczy, które sprawiają, że dzieci nienawidzą rozwodów. Dlatego zostaniemy w naszym własnym domu i dla nich nic się nie zmieni.

— Poza tym, że nie będą miały przy sobie ojca.

— No tak. Ale najważniejsze rzeczy nie ulegną zmianie — dom, szkoła, przyjaciele. No i ja oczywiście. I będą miały Guy Walkera. Nie martw się o nie, Ross; nic im nie będzie.

Melania powiedziała to z taką żarliwością, że choć Ross wyczuwał w niej nutę przekory, zrobiło mu się jej żal. Ale zaraz przyszła inna myśl: może Melania ma rację? A jeśli dzieciom będzie dobrze bez niego? Zaczął się bać jeszcze bardziej, zimny, przerażający strach go paraliżował.

Melania nie przestawała mówić.

— ...no i zasady odwiedzin, bo przypuszczam, że od czasu do czasu będą chciały się z tobą spotkać. Ustalą je nasi prawnicy...

Zasady odwiedzin? Ma być jakiś harmonogram, według którego będzie mówił dzieciom, że je kocha? Jak niby prawnicy to ustalą? Zrobiło mu się słabo, aż w końcu zimny strach zmroził w nim wszelkie uczucia. Gdy stanął z Melanią twarzą w twarz, nie czuł już nic.

— Ustalimy to teraz, sami. Chcę widywać dzieci w każdy weekend, raz w tygodniu zabierać je na kolację i spędzać z nimi dni wolne od szkoły — Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie, ferie wiosenne, przedłużone weekendy, no i oczywiście całe wakacje...

— Zwariowałaś? Nie mogą ciągle biegać do ciebie! Jak niby mamy stworzyć nową rodzinę, skoro nie będzie ich na Święto Dziękczynienia i na Boże Narodzenie? Możesz je widywać... mój prawnik powiedział, że jeśli będziesz się upierał, to możesz je mieć co drugi weekend — jeżeli rzeczywiście chcesz tak często się z nimi spotykać — i tydzień w lecie... no może dwa tygodnie, ale nie

więcej, bo wyjeżdżają na obóz. I oczywiście ty za ten obóz zapłacisz; wszystko jest na liście. Mój prawnik ją sporządził: obejmuje twoje finansowe zobowiązania: alimenty, koszty leczenia i tego typu rzeczy. Skontaktuj się z nim; on pokaże ci tę listę; tu masz jego wizytówkę. Zadzwoń do niego jutro, Ross, albo niech twój prawnik to zrobi; nie zwlekaj, bo Guy się niecierpliwi.

— Tak szybko chce się stać głową nowej rodzinki! Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Nie mów do mnie takim tonem.

— Nie masz już prawa pouczać mnie, jakim tonem mam z tobą rozmawiać. — Zastanawiał się, jakie uczucia okazały się silniejsze od chłodu i sprawiły, że ręce mu się trzęsły. Czy to była złość? A może ból? Podszedł do biurka i stanął tyłem do Melanii. — Idź już.

— Cóż, chyba powiedziałam to, co miałam do powiedzenia. — A po chwili dodała: — Zamierzałeś wracać dziś do domu na noc?

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— No to lepiej nie wracaj. Zmieniłam zamki. Odwrócił się gwałtownie.

— Masz z powrotem założyć stare. Albo dać mi nowy klucz. To mój dom i jeszcze się z niego nie wyprowadziłem.

— Zrobię to, co będę chciała! Dom zapisany jest na nas dwoje!

— Dopóki sam się z mego nie wyprowadzę, mam prawo w nim mieszkać, a ty nie możesz mi tego zabronić. Daj mi klucz! — Melania zawahała się. — Nie zamierzam cię zgwałcić — dodał przez zęby.

Melania zaczerwieniła się.

— Nie obawiałam się tego. Po prostu nie chcę być z tobą pod jednym dachem. Ale jeśli zadzwonisz, zanim...

— Do jasnej cholery, to mój dom. Dawaj klucz! — Gdy wciąż się wahała, opanował się i dodał spokojnie: — Chyba nie chciałabyś, żeby twoi znajomi dowiedzieli się, że twój mąż poprosił policję o pomoc w dostaniu się do własnego domu?

— Niech cię piekło pochłonie — syknęła i wyciągnęła klucz. Ross podszedł do niej i szybko zacisnął klucz w dłoni, żeby ukryć jej drżenie.

— Spakuję się, kiedy Carrie i Jona nie będzie w domu. Może jutro, jak będą w szkole. — A dokąd pójdę, zapytał siebie w myśli.

Otworzył drzwi. — I jeszcze jedno. Nie zostawię dzieci. Zamierzam je widywać znacznie częściej, niż wydaje się to tobie i twojemu prawnikowi. — Ale gdzie? — zastanawiał się gorączkowo. I co będę z nimi robił? — Będziesz musiała ułożyć życie swojej nowej rodziny według mojego rozkładu. Zapamiętaj to sobie. Jeśli będziesz próbowała trzymać mnie z dala od dzieci, to przez najbliższych pięć lat będę włóczył cię po sądach.

— Ty draniu! Chcesz zrujnować moje małżeństwo z Walkerem, tak samo jak zrobiłeś to z naszym. — Odchyliła głowę, jakby oczekiwała policzka, po czym szybko wyszła z pokoju. Potknęła się i odzyskała równowagę. Zawadziła nogą o resztki naszego małżeństwa, pomyślał Ross. Zaczął się zastanawiać, czy Melania miała rację twierdząc, że mógł zapobiec rozpadowi ich związku, gdyby był inny —lepszy, życzliwszy, bardziej wyrozumiały...

— ...już zebranie? — pytała sekretarka. Potarł dłonią kark.

— Zwołałem je na dzisiaj z jakiegoś konkretnego powodu. Pamiętasz może o co chodziło?

— O to, że przez najbliższe dwa tygodnie nie uda nam się znaleźć terminu odpowiedniego dla wszystkich.

Skinął głową starając się przestawić myśli na inny tor.

— Więc lepiej niech się odbędzie. Ale daj mi jeszcze pół godziny. Muszę uporządkować myśli i trochę się pozbierać.

Na wzgórzach Berkeley, po drugiej stronie zatoki, domy zbudowane są na tak wysokich i stromych zboczach, że wznoszą się ponad dachy niżej stojących budynków, a widok z ich okien rozciąga się daleko na południe aż po San Jose. Dom, który Ross wynajął, stał tyłem do spadzistego zbocza; z holu wchodziło się do dwóch przestronnych sypialni, do obszernego pokoju — jednocześnie salonu i jadalni — na taras, z którego, choć przesłaniały go nieco drzewa i krzaki, rozciągał się widok na mosty Golden Gate i Oakland-Bay, na panoramę San Francisco i łagodne wzgórza Tiburon, gdzie w odległości zaledwie pięciu mil jego żona umiała czas swemu kochankowi tenisście.

Gdy Carrie i Jon pierwszy raz odwiedzili ojca, bardzo niepewnie rozglądali się po jego nowym domu.

— Wcale nie jest podobny do naszego — oświadczyła Carrie. — Nie mogłeś znaleźć nic lepszego?

— A co ci się tu nie podoba? — spytał Ross łagodnie, starając się ukryć strach, który ogarniał go, ilekroć zapomniał, że musi się wziąć w garść. A jeśli nie będą chciały tu przychodzić?—myślał. Prawnicy mogą wymyślać różne ugody, ale nikt nie zmusi moich dzieci, żeby pragnęły być ze mną. — Myślałem, że to mieszkanie nadaje się na dom.

Carrie powoli obróciła się i przechyliwszy główkę przesunęła wzrokiem po ciężkich, podniszczonych meblach, z których każdy był w innym kolorze, i miękkich poduszkach, gdzie na trwałe odciskały się ślady siedzących na nich osób. Stopa dekoratora wewnątrz nigdy tu nie powstała. Mieszkający w tym domu przez lata profesor z rodziną po prostu gromadził meble, nigdy żadnych nie wyrzucając. Krytyczne spojrzenie Carrie, dokładnie takie samo jak Melanii, powiedziało Rossowi, że nie było chyba drugiego domu, który tak bardzo by się różnił od urządzonych ze smakiem wewnątrz w Tiburon, gdzie królował aksamit i jedwab.

W przeciwieństwie jednak do Melanii, która rzuciłaby pełną pogardy uwagę na temat mieszkania Rossa, Carrie uśmiechnęła się i oświadczyła:

— Jest całkiem niezłe. Daje nastrój swobody. Oczywiście — dodała pośpiesznie chcąc pozostać w zgodzie z opinią matki — nie jest tu tak pięknie jak w naszym domu. Ale jest tu... wygodnie. Ma się wrażenie, że można skakać po meblach.

— Tato! — krzyknął Jon z tarasu. — Oni tu mają jacuzzi!

— My mamy jacuzzi — poprawił Ross dołączając do niego z Carrie. — Dzięki profesorowi.

— Ale ono należy do niego, prawda? Nie kupiłeś go?

— Dopóki profesor nie wróci, a to stanie się dopiero za rok, jacuzzi jest nasze.

— Raczej twoje — mruknął majstrując coś przy pokrętłach. — My jesteśmy tu tylko gośćmi.

— Jon — Ross usiadł na brzegu okrągłej wanny i zwrócił twarz syna ku sobie. — Ten dom należy do was tak samo jak do mnie. Będziecie tu spędzać dużo czasu, będziemy tu wszyscy razem.

— Ale my tu nie mieszkamy — Jon zaczerwienił się i zaraz dodał cicho: — Tato, zastanawialiśmy się, może wrócisz do nas?

Ross poczuł głęboki ból.

— Nie mogę tego zrobić, Jon. Jeśli małżeństwo się rozpada, to nie ma żadnego sposobu, by je na powrót skleić.

— Ale dlaczego musiało się rozpaść? — dopytywała się Carrie. — Przecież wszystko było w porządku. Prawda?

— Tak nam się wydawało. Ale potem coś nas rozdzieliło i sprawiło, że poszliśmy własnymi drogami. Zaczęliśmy inaczej myśleć, inaczej widzieć różne rzeczy, a nawet żywić różne pragnienia i mieć inne plany na przyszłość. To tak jakby... — Przerwał na chwilę. — Gdybyście związali się jednym sznurem i zaczęli iść w przeciwnych kierunkach, to sznur coraz bardziej by się napinał, a jeśli mimo to wciąż byście szli, to w końcu by nie wytrzymał. Zacząłby się przecierać, aż wreszcie by pękł. Właśnie coś takiego stało się z naszym małżeństwem.

Carrie żuła koniuszek jasnego pukła.

— Można by związać ten sznur.

— Niektórzy ludzie tak robią. — Ross otoczył córkę ramieniem. — I czasami udaje im się wszystko naprawić. Ale żeby tak się stało, muszą zbliżyć się do siebie. A jeśli zbyt się od siebie oddalili, jeśli ich myśli i pragnienia za bardzo się różnią, to prawdopodobnie znów zaczęliby napinać sznur, aż w końcu węzeł by nie wytrzymał i puścił.

— Więc przede wszystkim nie powinniście się od siebie oddalać — mruknął Jon.

— Masz rację — Ross przyciągnął syna do siebie i dzieci przytuliły się do niego. — Nie wiem, dlaczego zaczęliśmy odchodzić od siebie. Kiedy się pobraliśmy i kiedy wy dwoje się urodziliście, myślałem, że moje życie jest już zaplanowane i uporządkowane, jak dom, który zaprojektowałem, że jest w nim miejsce dla ludzi, których kocham, dla przyjaciół, na pracę, na której mi zależy, i na wypoczynek... Byłem tak bardzo zafascynowany tym moim wyimaginowanym domem, dlatego że miałem w nim wszystko, co było mi drogie. Myślę, że wasza mama czuła wtedy podobnie.

— To nie jesteś pewien? — spytała Carrie.

— Na pewno było jej dobrze na początku. A później, nie wiem dokładnie kiedy, zaczęło jej brakować wielu rzeczy i była niezadowolona. Myślę, że przez pierwszych kilka lat była jednak szczęśliwa. Ja na pewno byłem. — Cała przytulona do siebie trójka zamilkła na chwilę. — A potem oddaliliśmy się od siebie i łączący nas sznur

pękł. Odeszliśmy od siebie już zbyt daleko, żeby móc cokolwiek naprawić; nie takiego się nie stanie i nie możecie mieć na to nadziei. Jedyna dobra rzecz, jaka pozostała z naszego małżeństwa, to wy dwoje i nasza miłość do was.

— Miłość — prychnął Jon.

Ross mocniej przytulił dzieci do siebie.

— To właśnie nam zostało. Nas też łączą więzy, najmocniejsze, jakie znam. A jeśli będziemy spędzać ze sobą dużo czasu, to nigdy się nie nadwerężą i nie zaczną pękać. Obiecuję wam to.

Carrie odwróciła się do ojca i zarzuciła mu ręce na szyję. Ross starał się dalej mówić mocnym głosem.

— Dlatego ten dom jest także wasz — powiedział. — Dostaniecie do niego klucz i możecie tu przychodzić tak często, jak chcecie.

Jon potrząsnął przecząco głową.

— Mama powiedziała... — urwał nagle.

— Co takiego?

— Nieważne.

— Ale zaczęłeś mówić.

— Nieważne.

— Chciałbym wiedzieć, Jonie.

— Ale to nic ważnego.

— Może jednak tak.

Jon uparcie kręcił głową, a Ross westchnął widząc, jak jego syn zaczyna wznosić mur pomiędzy dwoma domami, dwiema rodzinami i lojalnością w stosunku do każdej z nich.

— Może przyjdzie taki dzień, że mi powiesz. Ja w każdym razie będę nazywał to mieszkanie naszym domem i mam nadzieję, że któregoś dnia wy też tak go nazwiecie.

Ross popatrzył ponad głowę Jona na rysującą się w oddali za sosnami górę Tamalpais, która wznosiła się wysoko nad wzgórzami Tiburon za leciutką mgiełką. Powietrze przesycone było zapachem róż i narcyzów, a ogródek przy tarasie zdobiły krzewy obsypane kwieciami cymbidium i kwitnące śliwy. Nieco dalej były schody prowadzące do niżej położonego ogródka, gdzie zaniedbane krzewy malin tworzyły ciernisty żywopłot. Głęboki ryk syren mgłowych rozdzierał ciszę sobotniego poranka; czekał jakiś pies; ktoś ćwiczył grę na pianinie. Nasz dom, pomyślał Ross. Łzy napłynęły mu do oczu.

Dzień Rossa był teraz rozbity jak dzban, który rozpadł się na kawałki. W biurze Ross zwykle był zajęty — omawiał końcowe plany z kontrahentem BayBridge i ze swoimi pracownikami, przygotowywał też nowe projekty. W biurze swego prawnika spotykał się z adwokatem Melanii i usilnie się starał wynegocjować niższe niż dziesięć tysięcy dolarów alimenty, opracowywał harmonogram spotkań z dziećmi i organizował przywóz swego ogromnego zbioru książek i płyt z Tiburon do Berkeley; tylko ten zbiór zabierał ze sobą, pozostawiając Melanii dom i wszystko, co się w nim znajdowało.

Wieczorami siadywał w swym nowym salonie, przeglądając sterty przywiezionych z biura dokumentów i przygotowując dla sekretarki listę osób i firm, które należało powiadomić o tym, że zmienił adres. Ale większość czasu poświęcał na przemyślenia.

Co, do diabła, było z nim nie w porządku? Od lat już nie miał prawdziwej rodziny; nie tęsknił za stworzonym przez Melanię domem, w którym wszystko było na pokaz, wymuskane i lśniące, właściwie nigdy go nie lubił — i nie brakowało mu jej samej. Co wobec tego opłakiwał?

Dwanaście lat temu poślubił piękną dziewczynę o hebanowoczar-nych włosach, która swą beztroską radością rozjaśniła mu smutne dni po stracie Jennifer i Craiga. Kiedy urodzili się Carrie i Jon, beztroska dziewczyna zmieniła się w niecierpliwą żonę, a gdy przeprowadzili się do San Francisco, jedynym sposobem, by gospodyni z Tiburon, jak sama siebie nazywała, mogła powetować sobie utratę uciech życia, stało się wydawanie ogromnych sum pieniędzy, mimo iż sam fakt kupna zdawał się gasić powab nabywanych przez Melanię rzeczy. Bardzo szybko usta Melanii wygięły się w podkówkę wyrażającą niezadowolenie i rozczarowanie, a przynajmniej działało się tak zawsze w obecności męża.

Ross widział to wszystko i żył z tą świadomością, starając się szukać tym więcej radości w pracy, im mniej miał jej w małżeństwie. Melania nie chciała go słuchać, gdy próbował z nią porozmawiać o rodzącej się między nimi obcości, i po jakimś czasie Ross dał za wygraną; tak było łatwiej. Myślał, że kiedyś to przedyskutują.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby od niej odejść. A dlaczego właściwie nie?, myślał wodząc wzrokiem po salonie.

Dlatego że byli małżeństwem. Dlatego że mieli dwójkę dzieci.

Dlatego że poświęcił swe życie odbudowywaniu, a nie burzeniu. Dlatego że sądził, iż skoro potrafią wspólnie rozwiązać najistotniejsze problemy, to niedoskonałe małżeństwo jest pewnie lepsze niż żadne.

— Ale już się skończyło — powiedział na głos. — I powinno było się skończyć dawno temu.

Słuchając własnego głosu rozumiał, dlaczego powiedział to głośno — żeby zmusić się do spojrzenia prawdzie w oczy: zobaczyć, jakiego rodzaju kobietą stała się jego żona, i przyznać przed sobą, że poniósł porażkę, bo przez całe lata wolał akceptować istniejącą sytuację niż coś zmienić.

Coraz częściej myślał teraz o Katherine. Ona pewnie w ten sam sposób oplakuje swe małżeństwo, może nawet odczuwa taki sam wstyd jak on z powodu pomyłki co do Melanii — Katherine jest wstyd, że nie poznała się na Craigu. Ross zastanawiał się, czy Katherine też rozmawia z samą sobą, tak jak on teraz, próbując zrozumieć siebie i uporządkować rozbiegane myśli.

Mógłbym do niej zadzwonić i spytać, pomyślał. Ale nie zrobił tego. Ona była z Derekiem i to od dawna. Wprawdzie Ross nie rozumiał, jak to możliwe, że kobieta tak inteligentna i dumna nie przejrzała jeszcze jego brata, ale nie zamierzał się z nią spotykać, by jej to uświadomić, przynajmniej na razie. Teraz nie był na to najwłaściwszy moment: miał już wystarczająco dużo problemów na głowie. Był pewien, że chce zobaczyć Katherine, ale postanowił, że nie zadzwoni do niej, dopóki nie zrozumie co właściwie zmieniło się w jego życiu i dlaczego, dopóki nie uświadomi sobie, co chce dalej ze sobą zrobić.

Im głębiej pogrążał się w rozmyślaniach, w tym bardziej ponury nastrój wpadał. Zaczął żeglować nocami, ale musiał dojeżdżać samochodem do przystani w Tiburon, bo w pobliżu Berkeley nie znalazł jeszcze odpowiedniego miejsca na zakotwiczenie łodzi. Mimo że przejażdżka zwykle pogarszała jego nastrój, wypływał na morze i oddawał się słuchaniu fal uderzających o burty, wpatrywał w jasny blask gwiazd na niebie i żółte światła na lądzie wokół zatoki.

Ross był znakomitym żeglarzem. Tobiasz mawiał, że żeglowanie stało się jego obsesją, bo po śmierci Jennifer Ross zawziął się i postanowił tego nauczyć — brał lekcje i pływał jako członek załogi na łodziach uczestniczących w wyścigach albo długich rejsach.

Przez pierwszy rok nie miał z tego żadnej przyjemności; walczył z łodziami, jakby były jego wrogami. W miarę jednak jak nabierał umiejętności technicznych, odkrywał, że każda łódź ma sobie tylko właściwe cechy — niemalże własną osobowość — i jeśli ich właściwie użyje, to potrafi wykorzystać wiatr i prądy morskie zamiast stawać się ich ofiarą. Wtedy żeglowanie przestało go przerażać i Ross zaczął rozumieć, że Craig uwielbiał je, bo dawało mu poczucie wolności i siły; mknął zawieszony pomiędzy niebem i morzem, niby cząstka stałego lądu, a jednak ptak, panował nad łodzią, a mimo to ulegał sile wiatru.

Po rozstaniu z Melanią Ross żeglował, bo chciał być sam, ale też, by się zmęczyć. Jednak tego wieczoru wypłynął w bardzo praktycznej sprawie — chciał wreszcie przeprowadzić łódź na wolne miejsce w przystani Emeryville Marina niedaleko Berkeley. Ale najczęściej szedł w morze, by uciec od wszystkiego, co znajdowało się na lądzie.

Żeglowanie jednak nie wystarczało; potrzebował czegoś więcej. Czuł się tak bardzo osaczony wątpliwościami co do samego siebie, tak rozdrażniony brakiem konkretnego celu w życiu, tak samotny i odizolowany od innych, że ani przyjaciele, ani Victoria czy Tobiasz nie byli w stanie przynieść mu ulgi. Miał wrażenie, że jeśli szybko nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby wyrzucić z siebie ten nadmiar emocji i energii, to w końcu wybuchnie. I wtedy właśnie odkrył pracę w ogrodzie.

Z czasów młodości pamiętał, że w Sea Cliff zawsze byli ogrodnicy, choć nie zauważało się ich na co dzień, chyba że on, Craig albo Derek potrzebowali gardenii czy kamelii, gdy wybierali się na randkę. Teraz Ross sam spróbował pracy w ogródku, żeby zobaczyć, jak to jest, a potem oddawał jej się coraz częściej i ze zdumieniem zauważył, że to zajęcie przynosi mu dużo zadowolenia. Praca w ogrodzie dawała mu poczucie spełnienia i wyczerpywała go bardziej niż nie wymagające wiele trudu żeglowanie po zatoce, które uprawiał przez ostatnie dwa tygodnie, odkąd wyprowadził się z Tiburon. Tak więc kopał, gracował i grabił z energią, jaką ma tylko początkujący zapaleniec. W pierwszych dniach wrywał kwiaty razem z chwastami, ale już po tygodniu studiowania encyklopedii ogrodnictwa, która zawsze leżała rozłożona na stole w kuchni, zaczął je rozróżniać i poczuł się nawet na tyle pewnie, że posiał dwa

rządki rzodkiewki i czerwonej papryki. Któregoś ranka, jeszcze przed wyjściem do biura, oparł się na motyce i z zadowoleniem pokiwał głową. Może zniszczył własne małżeństwo, ale o ogród potrafi zadbać — to pewne jak w banku.

Szesnastego czerwca mijał rok, odkąd Craig pocałował Katherine na do widzenia i odjechał taksówką, machając jej przez tylną szybę. W kalendarzu w kuchni Todd zaznaczył tę datę grubym czerwonym iksem i ilekroć on sam albo Jennifer przechodzili obok, rzucali na niego nerwowe spojrzenia. Kiedy ten dzień wreszcie nastął, obydwójce wyskoczyli z łóżek podenerwowani i pełni nadziei, a byli tak roztargnieni, że przy śniadaniu rozlali zupę mleczną i jeszcze burczeli na Katherine, gdy ostrzegała ich, by nie wchodzili w kałużę mleka na podłodze.

— Poczekajcie chwilę — powiedziała opanowanym głosem, choć ich niepokój okazał się zaraźliwy i ona też poczuła się rozdrażniona. I tak była już trochę podenerwowana, bo miała zanieść Mettlerowi biżuterię, a teraz w dodatku zaczęła się zastanawiać, podobnie jak Jennifer i Todd, czy może Craig wybierze właśnie ten dzień na powrót. To już rok, pomyślała przypominając sobie te wszystkie długie noce w Vancouver, gdy skulona na kanapie czekała wpatrując się w zapalone na ganku światło. W myśli szybko przebiegła cały ten rok — kolacja u Haywardów, przyjazd wynajętą ciężarówką do San Francisco, strach, jaki wszyscy odczuli widząc pierwszy raz to mieszkanie, głęboka przyjaźń z Leslie, obelgi, jakie codziennie serwował jej Guy Lister, lunch z Rossem, niesamowity piknik z Derekiem, wizyta w Eksploratorium z Jennifer i Toddem, pierwsza transakcja u Mettlera, przyjaźń z Victorią... To był długi, obfitujący w wydarzenia rok. A ona sama przebyła długą drogę. Zdawała sobie z tego sprawę, wspominając tamte ponure noce. I ta myśl zrodziła inną, zupełnie nową — szesnastego czerwca wypadała rocznica zniknięcia Craiga, lecz jednocześnie upływał rok od dnia, w którym zaczęła odnajdywać samą siebie.

On odszedł, a ja się pojawiłam, zażartowała w myśli, ale zaraz odepchnęła od siebie to skojarzenie.

— Może byłoby lepiej — zwróciła się do dzieci — gdybyśmy nie traktowali dzisiejszego dnia inaczej niż każdy inny.

— Ale dziś jest rocznica! — zaprotestował Todd. — A rocznice się świętuje! Każdy o tym wie!

— Nam ten dzień wydaje się inny — powiedziała Jennifer z wyrzutem. — To trochę jak urodziny. Przez cały rok ma się tyle samo lat, a mimo to ten jeden dzień jest inny. Tata by to zrozumiał.

Katherine poczuła zniecierpliwienie.

— Ja też to rozumiem. Ale nie wydaje mi się, że urodziny to to samo co rocznica dnia, w którym ktoś zostawia swoją rodzinę.

— Mamo! — Todd skoczył i wylądował w środku kałuży z zupy mlecznej. — Mówiłaś, że nie wiemy, dlaczego odszedł, i powinniśmy poczekać, aż wróci i nam wszystko wytłumaczy.

— I wciąż tak uważam. — Podpierając dłońmi podbródek Katherine patrzyła na rozchlaną zupę. — Nie powinnam była powiedzieć, że nas zostawił, a przynajmniej nie w taki sposób. Ale okłamywanie samych siebie niczego nie zmieni. Wasz ojciec rzeczywiście opuścił nas rok temu, odszedł bez słowa i nawet myśleliśmy, że coś mogło mu się stać, pamiętacie? I sporo czasu zabrało nam pobieranie się do kupy. Uważam, że powinniśmy być dumni z tego, co osiągnęliśmy, i nie zapominać, ile trudu nas to kosztowało, jak byliśmy nieszczęśliwi, ile kłopotów mieliście w szkole, a ja problemów z pracą... Nawet jeśli wciąż nie wiemy, dlaczego tata zniknął, to moim zdaniem powinniśmy pamiętać, że jednak po prostu nas opuścił.

— Żebyś mogła być na niego wściekła? — zapytała przebiegle Jennifer.

— Żebyśmy któregoś dnia mogli poznać prawdę — odparła spokojnie Katherine. — I dowiedzieć się, czy tata naprawdę musiał odejść, czy nie.

Po raz pierwszy Katherine powiedziała to na głos. Jennifer zmrużyła oczy.

— Nie powinnaś tak mówić o tatusiu. Próbował wrócić do nas w Nowy Rok, ale ty byłaś zbyt zajęta z Derekiem, żeby dotrzeć do domu na czas, więc sobie poszedł. Myślał, że go nie chcesz. To twoja wina, że wtedy odszedł; pewnie wiedział, że sypiasz z Derekiem.

— Jennifer!

— Przecież wszyscy to robią, no nie? Kiedy wychodzą późnym wieczorem i idą do czyjegoś mieszkania? Zawsze budziłam się

w nocy, gdy wracałaś; patrzyłam wtedy na budzik i widziałam, jak było późno, a dzieci w szkole ciągle o tym mówią, więc cóż innego mogłaś robić? Tatuś też o tym wiedział. Właśnie dlatego odszedł; na pewno czuł się okropnie i znowu wyjechał. — Popatrzyła na Katherine zimnym wzrokiem. — A co mu zrobiłaś za pierwszym razem?

Katherine oszołomiona wpatrywała się w córkę. Pamiętała, że kiedyś obydwójce pytali, co oni zrobili takiego, że Craig odszedł.

— Co j a zrobiłam?

— Ty i pan Doerner kłamaliście mówiąc, że tata ukradł pieniądze, dlatego doszliśmy do wniosku, że wymyśliłaś to sobie, by mieć wymówkę, że to nie z twojej winy tata odszedł. Na pewno zrobiłaś coś, co go bardzo zdenerwowało, bo niby dlaczego miałyby od nas odchodzić, gdyby nie to, że ty...

— Przestań, Jennifer! Przestań w tej chwili! Nawet nie wiesz, co mówisz!

Jennifer wybuchnęła płaczem.

— Wiem, że nie wiem! Ale ty niczego nam nie mówisz!

— Mamo — wtrącił Todd zerkając to na Katherine, to na Jennifer. — Mam posprzątać tę zupę?

Spojrzenia matki i córki spotkały się i zupełnie nieoczekiwanie obie się roześmiały.

— Za chwilę — powiedziała Katherine. — Najpierw porozmawiamy.

Gdy usiedli przy stole w kuchni, popatrzyła uważnie na swoje wspaniałe dzieci, które musiały iść przez pole minowe, jakim był dla nich świat dorosłych. Powinny być bez troskie i szczęśliwe, pomyślała Katherine, ale jak mają to zrobić, skoro tkwią w samym środku skomplikowanego życia jej i Craiga?

— Nie okłamałam was. Naprawdę wygląda na to, że tata wziął pieniądze należące do firmy; i jak jużjwain mówiłam, czekam, żeby usłyszeć, co sam ma na ten temat do powiedzenia. Ale to zupełnie inna sprawa. Nie chciałam, żeby od nas odszedł; nie kłóciłam się z nim i nie był na mnie zły. Kochaliśmy się i byliśmy szczęśliwi. Wszyscy razem. — Oczyma wyobraźni, tak wyraźnie jakby była w Vancouver, Katherine zobaczyła jak blask zachodzącego słońca ożywia jej salon: oświetla kwieciste sofy i fotele, odbija się w dębowym biurku Craiga i czarnych eskimoskich rzeźbach;

poczuła, jak Craig obejmuje ją z uśmiechem mówiąc, że ją kocha. — Byliśmy szczęśliwi — powtórzyła i głos jej się załamał. Od dawna już nie uświadamiała sobie tego tak jasno.

— A co z Derekiem? — spytała Jennifer cicho.

— Derek wniósł w moje życie sporo niecodziennych wrażeń — powiedziała zgodnie z prawdą Katherine. — Opowiadałam wam o tych wielkich domach, do których mnie zabierał, gdzie podawano wymyślne potrawy, gdzie było mnóstwo pięknie ubranych gości, i w ogóle uroczyście. Na tych wszystkich przyjęciach nikt nie był biedny i nikt nie wydawał się czymkolwiek zmartwiony... Spotkanie się z Derekiem było jak życie w bajce.

— Wyobrażam sobie, że było wspaniale — stwierdziła Jennifer.

— Przez większość czasu tak. Ale Derek wcale nie okazał się taki wspaniały i w końcu nie chciałam już go widywać. Wiecie o tym, bo mówiłam wam jakieś dwa miesiące temu, że przestałam się z nim umawiać.

Jennifer w milczeniu uważnie przyjrzała się matce.

— Nie — dodała Katherine. — Nie spałam z nim. Myślałam, że to zrobię* ale nie zrobiłam.

— Myślałaś o tym?

— Każdy myśli — odparła Katherine używając słów córki. — To jedna z bardzo ważnych rzeczy, które robią mężczyzna i kobieta. Ale nie idzie się do łóżka z każdym mężczyzną i ja nie spałam z Derekiem.

W oczach Jennifer błysnęła ulga i wdzięczność.

— Więc jak — powiedziała Katherine próbując zmienić temat. — Pomożecie mi trochę? Chcę zrobić ten ostatni klejnocik dla pana Mettlera według nowego pomysłu i potrzebuję waszej rady i pomocy przy polerowaniu. A poza tym pomyślałam, że kolację moglibyśmy zjeść dzisiaj w „Hippo”; mam ochotę na dobrego hamburgera, a wy?

— Ja też! — krzyknął roześmiany Todd.

— A ty, Jennifer?

Dziewczynka zawstydzona wpatrywała się w podłogę.

— Jesteś taka dobra, mamó. A ja byłam dla ciebie taka niemą.

— Rzeczywiście — zgodziła się Katherine. — Ale czułaś się nieszczęśliwa i chciałaś wyrzucić z siebie to uczucie. Pamiętasz o naszej umowie, którą zawarliśmy w Exploratorium? Nie duś niczego w sobie; możemy o tym porozmawiać.

— Tata wszystko dusił w sobie, prawda? — stwierdził Todd odkrywczo. — Może gdybyś go zachęciła, żeby ci się zwierzył...

— Prosiłam go o to — odparła Katherine krótko. — A teraz zabieram się do pracy. Przyjdźcie do mnie, jak tylko posprzątaacie.

Siadając przy stoliku czuła, że nagle ogarnia ją złość. Idź sobie, proszę, zwróciła się do Craiga z niemym błaganiem. Przestań mieszać się we wszystkie nasze rozmowy; daj nam spokojnie robić to, co mamy do zrobienia. Ale zaraz potem szybko dodała: przepraszam, nie myślałam tego naprawdę. Oczywiście, że powinniśmy o tobie rozmawiać. Jennifer i Todd potrzebują ciebie i wiem, że wciąż jesteś częścią naszego życia. Ale bardzo nam je utrudniasz.

Katherine wzięła do ręki wypolerowany zimny kawałek lucytu i zacisnęła wokół niego dłoń. Napięcie zaczęło powoli ustępować. Przy warsztacie czuła się najszcześliwsza. Pełne frustracji kwietniowe dni, kiedy nie mogła ani szkicować, ani robić biżuterii, odeszły w przeszłość i o dziwo stało się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozstała się z Derekiem na Ghirardelli Square siedem tygodni temu. Poczwała się tak, jakby wymykając się z sidła jego czaru i okrucieństwa, spod jego władzy i seksualnego magnetyzmu, nagle odkryła samą siebie. Uniezależnienie się od Dereka wyzwoliło w niej energię i inwencję i od tamtej nocy jej wyobraźnia zaczęła kwitnąć. Pomysły same przychodziły do głowy; w myślach widziała wyraziste kształty o żywych barwach, elementy egzotyczne i ekscentryczne formy, zbyt może skomplikowane jak na naszyjniki i bransoletki, lecz było w nich coś, co mogła wykorzystać, więc szybko przenosiła je na papier. Szkice wychodziły spod jej ręki jeden za drugim, a najlepsze przekształcały się w barwne akwarelki, z których dwanaście posłużyło jako modele do kolekcji dla Mettlera.

Potem upłynęło wiele dni w ciszy i skupieniu, któremu towarzyszyło takie samo zadowolenie, jak w chwili gdy robiła swą pierwszą złotą bransoletkę. Była zadowolona z tego, że jest sama. Zdarzało się, że wspominała Dereka, ale tylko na chwilkę i czuła wówczas ulgę, iż ten etap się zakończył. Czasami Leslie wpadała na kolację albo na kawę, lecz gdy tylko zauważyła, że przyjaciółka zerka w stronę swego warsztatu, wychodziła śmiejąc się pobłażliwie i cmokając Katherine w policzek. Któregoś wieczoru Katherine była na kolacji u Victorii i Tobiasza i dowiedziała się wtedy, że Ross i Melania rozeszli się; niespecjalnie ją to zainteresowało, ale

było jej troszkę żal, że nigdy się z Rossem nie zaprzyjaźniła. Całkowicie pochłaniała ją praca; zabierała jej każdą wolną chwilę i sprawiała, że wszystko inne wydawało się odległe i nieistotne. Tak więc większość czasu spędzała samotnie albo z Jennifer i Toddem, aż w końcu jedenaście klejnotów leżało gotowych w małych pudełeczkach, a dwunasty, prawie ukończony, spoczywał w jej dłoni: był to naszyjnik z owalnych kawałków jasnego licytu przeplatanych małymi, nieregularnymi bryłkami tego samego kamienia w kolorze ciemnej czerwonej pomarańczy przypominającej zachodzące słońce.

— Niedostępne i pobudzające zmysły — powiedział Mettler z podziwem, gdy Katherine zjawiała się w jego biurze w piątkowy ranek.

Odchyliwszy się daleko w tył pozwolił, by naszyjnik powoli prześlizgnął mu się między palcami, i popatrzył na rząd pudełeczek stojących na biurku przed Katherine.

Wyciągnął po nie rękę, jak tylko Katherine weszła do pokoju, ale ona po przywitaniu się z nim odsunęła się od niego i usiadła, zanim jeszcze sam jej to zaproponował. Minęły już czasy, kiedy oddawała swą biżuterię i szkice na łaskę kogoś obcego i z zaciśniętymi kciukami czekała na krytykę. Obserwując Dereka nauczyła się, jak poprowadzić rozmowę, by poruszyć tylko te tematy, które sama chciała omówić, i by trwała tak długo, jak ona zechce. Również dzięki Derekowi wiedziała, że warto nieraz powstrzymać się od komentarza, uśmiechu, uściśnięcia ręki czy zatrzymać jakąś informację do czasu, kiedy będzie można ją tak wykorzystać, by zapanować nad sytuacją.

Po raz pierwszy zrobiła użytek z tej wiedzy, w chwili gdy Herman Mettler wyciągnął rękę po pudełeczka. Uśmiechnęła się wtedy i potrząsnęła głową.

— Wolę sama je panu pokazać — powiedziała miękkim głosem, swobodnie opierając rękę na lśniącej powierzchni biurka i podciągając rękaw żakietu tylko tyle, by widać było dwie bransoletki na jej przegubie.

Mettler zmrużył czoło skupiając całą swą uwagę na klejnotach.

— Chciałbym się im przyjrzeć.

— Naturalnie.

Katherine powoli zdejmowała bransoletki, każąc Mettlerowi

czekać, po czym położyła obie w zagłębieniu jego dłoni. Jubiler uniósł jedną — składała się z kilku sznureczków koralików w kolorze kości słoniowej przemieszanych z różnej wielkości i kształtu czerwonymi i błękitnoszarymi kamykami; wszystkie sznureczki zebrane były srebrną klamerką w kształcie małej palety, w której tkwiły trzy czerwone oczka.

— To kość, kornalina i szary agat — wyjaśniła Katherine, gdy Mettler oglądał bransoletkę. — Zapięcie jest ze srebra wysadzanego kornaliną. Mogłabym wykonać je ze złota na życzenie klienta, ale wtedy szary agat zastąpiłabym czarnym onyxem.

Mettler przeszył Katherine wzrokiem, ale ona spokojnie wytrzymała to spojrzenie, choć dłoń spoczywająca na jej kolanie zaciśnięta była tak mocno, że aż zbieleły jej kłykcie. Jubiler w końcu odwrócił wzrok i podniósł drugą bransoletkę w kształcie gładko wygiętego paska.

— Jest złota — wyjaśniła Katherine, choć oczywiście Mettler sam to wiedział. — Na połowę dzieli ją paseczek alabastru.

Mettler uniósł obie bransoletki zawieszając je na palcach i przyjrzał im się.

— Dlaczego włożyła je pani na jedną rękę?

— Żeby zwrócić pańską uwagę.

Mettler uśmiechnął się. Obydwoje dobrze wiedzieli, że te bransoletki — jedna bogato zdobiona i ekscentryczna, druga subtelna i pełna umiaru — nie powinny być noszone razem.

— I udało się to pani. Co jeszcze ma pani dla mnie?

— A pan ma jakieś pytania odnośnie tych dwu rzeczy? Mettler westchnął, jednocześnie rozbawiony, podenerwowany i zaintrygowany, i pozwolił Katherine prowadzić rozmowę.

— Na razie nie — odparł.

— Tu znajdzie pan cennik — powiedziała podsuwając mu niebieski folder. — Są też zdjęcia i charakterystyka każdego klejnotu. A teraz naszyjniki...

Otworzyła jedno z pudełeczek i wyjęła z niego sznur jasnych lucytów pomieszanych z ciemnopomarańczowymi. Na chwilę przyłożyła go do szyi, by Mettler mógł zobaczyć, jak naszyjnik prezentuje się na jej czarnym golfie, po czym podała mu go.

Jubiler przesunął klejnot między palcami.

— Cudownie prosty. Można by go umieścić pośrodku między

tamtymi dwiema skrajnie różnymi bransoletkami. Nabyła pani wprawdy we wszystkim?

— Oprócz kamieni szlachetnych; nie będę ich używać. Lubię kamienie półszlachetne, szkło, złoto i srebro. I od czasu do czasu lucyt — dla rozrywki.

— Rzeczywiście. Dla rozrywki.

Katherine przestała się już trząść. Po kolei pokazała jubilerowi pozostałe klejnoty, opowiadając o nich głosem tym pewniejszym, im bardziej Mettler, niczym pokerzysta, starał się ukryć błysk zachwytu w oczach. Ale dał upust emocjom, gdy Katherine wyjęła ostatni drobiazg — naszyjnik ze złotych segmencików, które uklepała, by nadać im posmak antyku, i połączyła krótkimi podwójnymi sznureczkami drobnymi, ukośnie nanizanych kamyczków o geometrycznych kształtach, w kolorze bursztynowym, niebieskim i ciemnozielonym.

— Nadzwyczajne! — wykrzyknął niemal wrywając jej naszyjnik z ręki. Zaczął obracać go w dłoniach pomrukując coś pod nosem. — Zupełnie nowy, a wygląda jak bardzo stary. Nowoczesny, lecz przywodzi na myśl przeszłość. Katherine — popatrzył na nią i po raz pierwszy bez cienia nadętości w głosie powiedział: — Wyrażam pani swe najwyższe uznanie. To nadzwyczajna kolekcja, niepospolita, wolna od czyichkolwiek wpływów. Całkowicie doskonała.

Katherine zarumieniła się, a serce waliło jej jak młotem. Pamiętała, że czasem obawiała się, iż wyobraźnia ponosi ją za daleko, lecz zaufała jej i nadając kształt swym pomysłom dzięki technice, której wyuczyła się na zajęciach u Tony'ego, stworzyła to, co sobie wymarzyła — klejnoty piękne i niepowtarzalne.

— Naturalnie szczególnie wyróżnię pani kolekcję — mówił Mettler. — W głównych gablotach. Przypuścimy pełny atak frontalny — dodał krztusząc śmiech. — Nie możemy wprawdzie polecać pani jakiejś ściśle określonej klienteli, bo pani kolekcji nie da się zakwalifikować do żadnej kategorii, ale właśnie to podkreślimy jako zaletę i przedstawimy panią jako projektantkę tworzącą dla wszystkich naszych klientów — podobnie jak Marc Landau, Angela Cummings czy Paloma Picasso. No i reklama! Mogę ją umieścić, gdziekolwiek zechcę. Efektowne zdjęcia tych klejnocików i oczywiście coś na temat pani osoby — ludzie się tym interesują. Jest pani rozwiedziona, tak? Piękna kobieta, dzieci — bo ma pani

dzieci, prawda? — to bardzo pomaga. Dzień i noc walczy pani, żeby zapewnić im byt, pracą własnych rąk i to jaką pracą! Co za talent! Zaprezentuję panią w „Vogue”, „Cosmo”, „Sawy” — czasopismach dla różnej klienteli — zamieszczę zdjęcia na całą stronę z napisem „Biżuteria Katherine Fraser wyłącznie u Mettlera”, Właśnie. Bo naturalnie rozumie pani, że korzystniej będzie dla niej współpracować z jednym sklepem, gdzie jest pani szanowana, gdzie klienci zawsze będą szukać jej biżuterii i gdzie pani najnowsze dzieła będą natychmiast wystawiane. Przygotuję kontrakt; na pewno będzie pani chciała się z nim zapoznać; gdyby chciała pani omówić go z prawnikiem, to mogę polecić...

— Chwileczkę. — Katherine zastanawiała się, jak Derek starałby się odzyskać panowanie nad sytuacją, kiedy wymykała się ona spod kontroli. — Obawiam się, że jak dla mnie to wszystko dzieje się odrobinę za szybko. Jeszcze nie omówiliśmy cennika.

— Katherine, oferuję pani atrakcyjne warunki. Nie będę się sprzeczać co do cen i spodziewam się, że pani nie będzie próbowała mnie oskubać. W końcu orientuję się, jakie stawki zniesie rynek. Damy sobie radę, nie ma obawy. Ale chcę mieć wyłączność na pani prace. Pani potrzebuje tego samego: zabezpieczenia,

— Po prostu jeszcze nie wiem. — Może rzeczywiście to uczciwa oferta, ale niepokoiła ją. To trochę jak małżeństwo, pomyślała z niesmakiem; jest się przywiązany do jednej osoby, bez względu na to co się stanie... A w dodatku Mettler nalegał — i to już był czysty interes, nie żadna zabawa — a to prawdopodobnie znaczyło, że spodziewał się, iż inni też by chcieli z nią współpracować. Czy sprzedając tylko w jednym sklepie podniosłaby swoją wartość czy obniżyła? Przecież po raz pierwszy odniosłam sukces, nie wiem, jak się zachować, pomyślała i głośno powiedziała: — Nie potrafię zdecydować się w tej chwili. Nie myślałam jeszcze o podpisaniu kontraktu na wyłączność; nie wybiegałam myślami tak daleko w przyszłość. Jeśli nie może pan poczekać, aż zasięgnę porady w tej kwestii, to chyba będę musiała pójść gdzie indziej.

— Moja droga Katherine — odparł Mettler pospiesznie. — Zaskakuje mnie pani. Nigdy nie daję nikomu ultimatum. Ale jeśli się pani trochę zastanowi, to dojdzie do wniosku, że taki układ będzie dla pani korzystny. Właściwie nie widzę powodu, dla którego miałyby się pani nie zgodzić. Chyba że... — Zmrużył oczy, jakby

nagle coś przyszło mu do głowy. — Czy to możliwe, że to nie są pani własne projekty? Musiałbym o tym wiedzieć. Niech mi pani powie, Katherine, czy to wszystko jest naprawdę pani własnym dziełem? Bo widzi pani, to dość dziwne, że ktoś stworzył tak oryginalną kolekcję zaledwie kilka miesięcy po zaprezentowaniu bardzo przeciętnych projektów. Można by to nazwać wręcz transformacją. Naturalnie wiedząc, że skorzystała pani z cudzych pomysłów, nie mógłbym reklamować stylu Katherine Fraser. No jak, Katherine?

Trzęsąc się z zaskoczenia i oburzenia Katherine zgarniała biżuterię ręką wprost do torebki.

— Aż trudno uwierzyć — powiedziała lodowato — że zaryzykował pan utratę kontraktu po tym, jak bardzo pan zabiegał, by nadać mu klauzulę wyłączności. Dziwne ma pan metody wchodzenia w interes i nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Znajdę innego jubilera, który wystawi moją biżuterię. Moja... babka, którą zapewne pan zna, Victoria Hayward, mówiła, że często kupuje w „Laykin Et Cie” i u „Xaviera”; ciekawa jestem, jak tam przyjmą moje klejnoty. Moje własne klejnoty, panie Mettler; oryginalne projekty Katherine Fraser. Przykro mi, że obydwójce straciliśmy tyle czasu; to się już więcej nie powtórzy.

— Ależ, chwileczkę, Katherine. Proszę nie wychodzić. — Mettler obszedł biurko składając ręce w geście przeprosin. — Przykro mi, że wyszło to tak, jakbym kwestionował pani uczciwość. Ale moja wiarygodność wystawiona jest na widok publiczny w każdej gablocie mojego sklepu i muszę jej strzec jak oka w głowie. Jeśli mówię, że jakiś klejnot jest oryginalny, to moi klienci mi wierzą. Biżuteria Marca Landau jest oryginalna; niektórzy jubilerzy bezczelnie podrabiają jego wyroby — on wie, że tak jest, mimo iż te rzeczy chronione są prawem autorskim — ale Marc Landau sam nikogo nie podrabia i właśnie dlatego jego biżuteria osiąga astronomiczne ceny. Mnie nie interesują klejnoty, które, wprowadzając niewielkie zmiany, ktoś skopiował od Landaua, Elsy Peretti czy — co na pewno też się zdarzy — od Katherine Fraser. Dla mnie liczą się wyłącznie oryginały. Moi klienci ufają mi, a ja chcę móc ufać moim projektantom. Proszę, niech pani siądzie; nie możemy dać się ponieść nerwom.

Przyciągając krzesło usiadł obok Katherine.

— Pani prace są znakomite. Skoro pani twierdzi, że to jej własne projekty, to ja przyjmuję to do wiadomości. Nie będę pani przynaglał do podpisania kontraktu na wyłączność, ale na dłuższą metę lepiej się pani opłaci posiadanie takiej umowy. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak.

— Świetnie. Kupię od pani tę biżuterię, ale zanim zaprezentuję panią światu, chcę mieć jeszcze przynajmniej tuzin takich klejnotów. Poczekamy do jesieni i wtedy zrobię pani reklamę. Zgoda?

— Zgoda.

— Więc podajmy sobie ręce. Właśnie rozpoczęła się kariera Katherine Fraser, nadzwyczajnej projektantki biżuterii.

Starając się ukryć ogarniające ją podekscytowanie, Katherine uścisnęła jego dłoń. Wiedziała, że będzie musiała wszystko przemyśleć — zapytać Claude'a, co sądzi o kontraktach na wyłączność i co myślał na ten temat Victoria i Tobiasz. Ale na to miała jeszcze czas. Na razie, rozmawiając z Mettlerem o kolekcji, którą miała przygotować na wrzesień, w pełni delektowała się jego słowami. Katherine Fraser, powtarzała sobie w myślach, projektantka biżuterii. Nadzwyczajna projektantka.

— Katherine i ja uczymy dzisiaj tę okazję uroczystą kolacją — powiedziała Leslie nalewając kawę Claude'owi i sobie. — W ten sposób ty u ja mamy dla siebie cały dzień, ale nie wieczór.

— Skończymy do wieczora — odparł, sadowiac się na niebieskiej zamszowej sofie w salonie Leslie. — Wprosiłbym się na tę kolację, ale coś mi mówi, że chcecie świętować tylko we dwie.

— Tylko we dwie. — Usiadła obok niego. — Tęsknimy za sobą, gdy nie widzimy się wystarczająco często.

— Podoba mi się to — stwierdził. Patrzył na nią z podziwem, bo wyglądała kolorowo jak letni kwiat: białe dżinsy, żółta bluzka i marchewkowe włosy na tle niebieskiej sofie. — I zazdrozczę wam tego. Iluż mężczyzn może powiedzieć, bez zażenowania, że tęsknią za sobą, gdy się długo nie widzą?

— Może więc za sobą nie tęsknią.

— Myślę, że jednak czują coś takiego. Ale cokolwiek to oznacza, nie brzmi zbyt męsko.

Leslie pokroiła ciasto kawowe.

— Sama je upiekłam. Po raz pierwszy od wielu lat. Nie mogę się nadziwić.

Ale najbardziej nie mogła się nadziwić, że po sześciu tygodniach wspólnych kolacji z Claude'em, wycieczek poza miasto i weekendów w Tahoe zaczęła mieć ochotę na codzienne zajęcia gospodyni domowej, a to nie zdarzyło jej się, od czasów kiedy jako dwudziestoletnia panna stawiała sobie pytanie, którego z tych wszystkich przystojnych i wspinających się po szczeblach kariery młodzieńców ma poślubić.

— Bruce! — wykrzyknęła, gdy drzwi się otworzyły, i zerwała się z sofy, by przywitać brata.

Claude popatrzył na dwie pokryte ognistymi lokami głowy, potem na kawałek kawowej rolady na talerzyku i pomyślał o ciepłym głosie Leslie, gdy opowiadała o przyjaźni z Katherine. Mój Boże, pomyślał, zakochałem się w niej. Jest twarda, agresywna, piękna, ma mocno zarysowaną szczękę, niezbyt kobiecy sposób wyrażania się i jesienią skończy trzydzieści siedem lat. W ogóle nie przystaje do wymarzonego ideału. Uśmiechnął się pod nosem, gdy uświadomił sobie, jaka to ulga, że nigdy już nie będzie musiał próbować dorównać dwudziestolatce.

— Witaj w domu — powiedziała Leslie cmokając brata w policzek. — Tęskniłam za tobą. To jest Claude Fleming, a to mój brat, Bruce McAlister. Poczęstuj się ciastem, zaraz dam ci kawy. Jak twoje wakacje?

— Wcale nie wakacje, siostrzyczko; próbowałem znów stać się szalonym nastolatkiem i dołączyć do moich kumpli w Los Angeles, ale mi się nie udało. Nie dawała mi spokoju sprawa „Heatha” i tego drania, który ukradł moje notatki i obrobił sklep; dlatego wróciłem, chcę rozwiązać tę zagadkę, oczyścić swoje nazwisko i znowu pracować; a tak przy okazji, jak już będzie po wszystkim, chcę zostać szefem działu informatyki.

— Mówisz tak, jakbyś podejrzewał, że ktoś cię wrobił — stwierdził Claude starając się ukryć uśmiech.

— Bystry z ciebie facet. — Bruce poczęstował się kawałkiem ciasta. — Siostrzyczka zabroniła mi komukolwiek o tym mówić, a wygląda na to, że sama ci powiedziała.

— Claude jest moim prawnikiem — wtrąciła chłodno Leslie. — I twoim też, jeśli sytuacja się zaostrzy, więc bądź dla niego uprzejmy.

— Jestem dżentelmenem, siostrzyczko, przecież wiesz. A po co ci prawnik?

— Bo wszystkie poszlaki wskazują, że winę ponosi dział informatyki albo system zabezpieczeń sklepu, albo jedno i drugie, a za oba ja jestem odpowiedzialna. Aż huczało od różnych plotek i zanosilo się na to, że zmuszą mnie do odejścia z „Heatha”, ale Claude zagroził, że jeśli zerwę mój kontrakt, to pozwie do sądu wszystkich, łącznie z manekinami. Wtedy mój szef stwierdził, że naprawdę we mnie wierzy i że nie podejmie żadnych kroków, dopóki w całym sklepie nie przeprowadzimy inwentaryzacji po czerwcowej wyprzedaży. Tak więc dali mi spokój. Przynajmniej do lipca.

— I co ważniejsze — wtrącił Claude — kradzieże ustały.

— Od kiedy? — zaciekał się Bruce.

— Od dnia, w którym ktoś przyniósł Leslie twoje notatki.

— Aha! Widzicie, jak tylko mnie oskarżyli, musieli przestać kraść... o co chodzi, siostrzyczko?

— Ty chyba nie rozumiesz. Kradzieże ustały w tym samym czasie, gdy ty przestałeś pracować.

Bruce gapił się na Leslie, a brwi unosiły mu się i opadały, jakby były przyczepione do skaczących sprężynek. Przenosił spojrzenie z Leslie na Claude'a.

— Chyba tylko jakiś cholerny sukinsyn mógłby w to uwierzyć.

— Na przykład moi koledzy wiceprezesa — odparła Leslie myśląc, że sama bliska była dać temu wiarę, dopóki Katherine nie porozmawiała z nią o zaufaniu i lojalności.

— Chryste, siostrzyczko — wymamrotał Bruce. — Odwaliłem tam kawał dobrej roboty, czy to się nie liczy? Chyba nie mogą pominąć tego, co dla nich zrobiłem, i uważać, że...

— Dość — przerwał mu Claude. — Wszystko wskazuje na ciebie, a uciekając do Los Angeles, wcale sobie nie pomogłeś. Co zamierzasz zrobić?

— Uparty z niego facet, siostrzyczko. — Bruce westchnął głęboko. — Cóż, widzę, że sam muszę dać sobie radę. Wydedukowałem, że winowajcą jest mój szef Dick Volpe, dyrektor działu informatyki, a upewnić się co do tego mogę tylko ja, przeglądając jego program na komputerze. Któregoś dnia się nudziłem i rozgryzłem jego hasło.

— Hasło? — zainteresował się Claude.

— Każdy z nas ma swoje; to coś w rodzaju kodu, dzięki któremu możemy wchodzić w nasze własne programy. Jak nie znasz hasła, to możesz sobie stukać w klawiaturę przez cały dzień i nic nie będziesz miał na ekranie; to ma chronić nas przed szpiegami i tego typu...

— Ale ty rozszyfrowałeś hasło Volpe'a!

— Jestem bystrzejszy od przeciętnego szpiega. No więc jak, siostrzyczko, dasz mi swoje klucze, żebym mógł się rozejrzeć po moim starym biurze? — mówiąc to wyciągnął rękę.

— Bruce, ty chyba postradałeś zmysły. Nie mogę dawać kluczy komuś, kto nie jest naszym pracownikiem. Nie mogę nawet wprowadzić cię do działu informatyki.

Claude zakaszłał.

— Przepraszam... zaraz wracam.

Przez chwilę Leslie patrzyła na niego zdezorientowana, ale w końcu wybuchnęła śmiechem.

— Znasz drogę — powiedziała czekając, aż Claude wejdzie na górę. — No dobrze. Wygląda na to, że Claude ci ufa i uważa, że powinieneś się tam rozejrzeć, ale nie chce wiedzieć, że naruszamy przepisy firmy. A teraz czeka, aż go zawołamy. No, ruszaj się, do cholery! Jak ci się wydaje, ile może siedzieć w łazience?

— Czterdzieści sekund zakładając, że sika normalnie. A skąd on wie, gdzie jest łazienka?

— Bo już tu był wcześniej.

— Ile razy?

— Wystarczająco dużo, żeby trzymać z szafce maszynkę do golenia. Czyżbyś był nad opiekuńczy, Bruce?

— Do diabła, skąd, całkowicie to aprobuję; to najlepszy wybór, jakiego dokonałaś od długiego czasu, facet jest twardy, opanowany, no i sama pomyśl: darmowe porady prawne. — Głośno ucałował siostrę w oba policzki. — Powodzenia, siostrzyczko.

— Hej — sprzeciwiła się. — To jeszcze nic pewnego.

— Ale wszystko jest na dobrej drodze. W porządku, siostrzyczko. Bierzmy się do roboty.

Ponieważ nie miał już dzieci, które dotrzymywałyby mu towarzystwa rano, Ross zaczął przychodzić do pracy coraz wcześniej. Lubił tę poranną ciszę na ulicach, którymi zjeżdżał ze wzgórza;

wszystko było takie spokojne jak na obrazie, bo jeszcze nie zaczęło tętnić życiem. Tylko ludzie uprawiający jogging biegali już, klapiąc butami po chodniku. Gdy go mijali, pozdrawiali go wesoło, a on w odpowiedzi machał ręką, ciesząc się wraz z nimi ze słonecznego blasku, który przenikał powietrze ponad mgłą przysłaniającą most Golden Gate i panoramę San Francisco. Inni wciąż spali, lecz ranne ptaszki delectowały się porankiem.

Zjeżdżając ze wzgórza Ross mknął wzdłuż ogrodzenia dziedzińca uniwersyteckiego z jego gładkimi, spadzistymi trawnikami i budynkami w jasnych barwach ziemi. Wysoko ponad nimi wznosiła się strzelista wieża Campanile Tower — widoczna z daleka biała latarnia morska. Po południu, kiedy jechał w przeciwnym kierunku i patrzył na wieżę, zdawało mu się, że ona przywołuje go i mówi, że już prawie dotarł do domu.

To zadziwiające, że tak łatwo się przystosowujemy, pomyślał parkując samochód i idąc w stronę schodów do biura. Jeszcze rok temu nie uwierzyłbym, że mogę się przyzwyczaić. Uświadomił sobie, że rok temu był w Vancouver u Katherine Fraser. Jej życie rozpadało się wtedy w gruzy, on miał nad swoim pełną kontrolę. Ciekaw był, czy Katherine upamiętniła jakoś ten dzień — nie jako rocznicę, ale jako swego rodzaju kamień milowy w jej życiu. Może nawet miała jakieś wieści od Craiga. Czy nie powinien do niej zadzwonić i dowiedzieć się. Nie; po co? Gdyby Craig się pokazał, to wszyscy by o tym wiedzieli. Od Dereka.

Siadając za biurkiem popatrzył przez okno na ulicę Embarcar-dero. Kilka samochodów, puste chodniki. Dalej stały wciąż uśpione budynki Levi Plaza, a za nimi gdzieś tam była ulica Lombard Street i mieszkanie Dereka, który też pewnie jeszcze spał. W Tiburon Carrie i Jon prawdopodobnie już wstali i chyba robili sobie śniadanie, bo kucharka przychodziła dopiero o siódmej trzydzieści. A po drugiej stronie miasta być może obudziła się już Katherine, zwłaszcza jeśli Jennifer i Todd...

Do diabła, dlaczego Katherine wciąż przychodziła mu na myśl? Odwracając się od okna Ross sięgnął po plan zajęć na poniedziałkowe przedpołudnie. Pewnie potrzebował czyjegoś współczucia i spodziewał się, że właśnie Katherine potrafi go zrozumieć i pocieszyć. Ale on poszuka go gdzie indziej: w niedzielę będzie przygotowywał z Tobiaszem wystawną kolację pożegnalną dla Victorii,

która wybiera się do Francji. Biorąc pod uwagę stosunek tych dwojga do Melanii, współczucia znajdzie u nich aż nadto.

Skupił się na pracy, dopóki nie przyjechał jego zespół; zebrał wtedy dokumenty i ruszył do sali konferencyjnej. Wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado. Owalny stół i podłoga zasłane były papierami, wykresami, wydrukami komputerowymi, rysunkami, szkicami, ołówkami i notesami; trochę papierów leżało też na wózku w rogu, na którym bulgotał ekspres do kawy, a z wypełnionego po brzegi pojemnika przyskała woda. Wokół wózka stało dwadzieścia osób i ze styropianowymi kubkami w rękach czekało, aż kawa będzie gotowa.

— Śniadanie — oznajmił jeden z mężczyzn podsuwając Rossowi kartonik z pasztecikami. — Pomyślałem, że będziesz głodny, skoro przyjeżdżasz tu o świcie.

— I jestem — odparł Ross. — Dzięki, Will. — Usiadł na szczycie stołu i poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca. — Omówmy najpierw najbardziej naglące sprawy związane z BayBridge. Kto zaczyna?

— Może ja — odezwał się jakiś głos. — Nie uwierzysz, ale kiedy wczoraj nasza ekipa zabrała się do rozbierania magazynu numer trzy, znalazła kolumnę nośną w odległości czterech i pół metra od południowo-zachodniego rogu; ta przeklęta kolumna idzie w górę przez całe dziesięć pięter, przez sam środek pomieszczenia, w którym ma być ten cholerny salon!

— Chryste — rozległ się szept.

— Jak u diabła?... — zaczął ktoś inny. Pozostali milczeli zaskoczeni.

Czując, jak wzbiera w nim gniew, Ross wstał, by napełnić kubek kawą; celowo poruszał się wolno i starał się nie denerwować. Spodziewano się przecież po nim, że da wszystkim przykład spokoju i opanowania. Tylko że to nie zawsze było łatwe. Inicjuję ogromny projekt, myślał; angażuję do niego najlepszych swoich ludzi; zdobywam zgodę dziesiątek różnych komitetów, agencji i wszystkich mających z tym coś wspólnego; przedstawiają mnie w gazetach jako nowatorskiego, śmiałego, błyskotliwego projektanta; a potem spędzam rok albo dwa na gaszeniu pożarów, których nikt nie przewidział.

Wrócił na swoje miejsce.

— Skoro to kolumna podporowa — zaczął spokojnie — to najprawdopodobniej dostawiono ją w czasie prac budowlanych pięćdziesiąt lat temu. Pewnie magazyn zaczął osiadać, więc umieścili tam kolumnę podporową i potem o niej zapomnieli. A nikt nie zawracał sobie głowy poprawieniem planów, by uwzględniły zmianę. Czy ktoś ma jakiś pomysł, jak poradzić sobie z betonową kolumną w środku salonu?

Wszyscy przy stole zaczęli rzucać różne propozycje, a Ross słuchał.

— Można by zmniejszyć salon i ukryć kolumnę w ścianie.

— Czterometrowy salon w tamtym rogu z takim widokiem z okna? Przecież każdy chciałby tam mieć swój największy pokój!

— Więc wydłużmy go. W końcu chyba nic się nie stanie, jeśli pokój będzie miał cztery metry na sześć? Jeśli zabierze się półtora metra ze wschodniej sypialni...

— Właśnie zlikwidowałaś garderobę we wschodniej sypialni!

— Cholera!

— A może postawić na wysokość? — zaproponował po chwili Ross. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. — Mieszkania piętrowe. Skoro nie można zrobić nowoczesnego apartamentu, zbudujmy dom wiktoriański. Szeroki na dwa pokoje, a wysoki na dwa, trzy piętra. Umieścimy tam kręcone schody, jeśli nie starczy miejsca na zwykłe...

Wszyscy podchwycili pomysł; podobał im się, więc od razu zaczęli go rozwijać. Ross wyznaczył następne zebranie na koniec tygodnia, żeby popracować nad rysunkami.

— Jakież inne nagłe kłopoty?

Nikt się nie odezwał. Nie ma więcej pożarów, pomyślał Ross. Do jutra.

— Chciałbym omówić jeszcze jedną sprawę, zanim zajmiemy się innymi projektami. Donno, dostałem właśnie kopię raportu o stanie Macklin Building. Widziałaś go już?

— Oczywiście. Sama go zamawiałam.

— O, nawet sama go zamawiałaś. Twierdzą tu, że północno--wschodni róg osiadł o pięć centymetrów. — Dziewczyna skinęła głową. — Do diabła, przecież sam to dawno wiem. Ty też byś wiedziała, gdybyś go obejrzała. Nie potrzebuję ekspertów, żeby wiedzieć, co oznaczają pęknięcia na murach. — Zdawał sobie

sprawę, że wszyscy patrzą na niego zaskoczeni; nie był teraz przykładem spokoju i opanowania, jak się po nim spodziewali. Ale martwił się i nie ukrywał tego. — Nie chodzi o stwierdzenie, czy budynek osiada, ale dlaczego; a jeśli coś jest nie w porządku z fundamentami, to co powinniśmy zrobić? Czy budynkowi grozi zawalenie? Czy mamy wstrzymać prace renowacyjne, dopóki się tego nie poprawi? O to właśnie prosiłem cię w grudniu; na co więc czekasz, do cholery? Gdzie jest raport inżyniera do spraw fundamentów?

— Nie ma takiego raportu — próbowała bronić się Donna. — Mówiłeś, że zyczysz sobie, by zrobiła to jedna konkretna firma z Los Angeles, a oni mają tyle roboty, że nie wiedzą, w co ręce włożyć. Sporządziłam ci notatkę w tej sprawie, Ross; zanosি się na to, że nie będą mogli tego zrobić wcześniej niż w lipcu. Sama oglądałam ten budynek i starałam się sprowadzić inżynierów jak najwcześniej, ale oni nie mogą. Jeśli chcesz, mogę wynająć kogoś innego.

— Nie, teraz sobie przypominam. Wiem, że nie zaniedbujesz niczego, Donno, i jestem przekonany, że nie rozpoczęłabyś prac bez uprzedniej inspekcji budynku. Przepraszam.

Ross powiódł wzrokiem wokół stołu i zobaczył twarze, które wyrażały współczucie, a nawet zatroskanie; czuł, iż pracownicy myślą sobie w tej chwili, że ich szef jest podenerwowany, bo żona go opuściła, bo mieszka teraz sam, a z dziećmi spędza tylko weekendy i dlatego potrzebuje zrozumienia, gdyż przeżywa bardzo trudny okres.

Pewnie mają rację, myślał później wracając do swego gabinetu; tak wiele dzieje się jednocześnie.

— Dzwonił Derek Hayward — poinformowała go sekretarka. — Spóźni się kilka minut.

Ross kiwnął głową. Coś jeszcze się świeci, bo niby dlaczego Derek, który nigdy nogi nie postawił w jego biurze, nagle zapowiedział się z wizytą?

— Dobra robota — oznajmił Derek witając się z Rossem i rozglądając po odnowionym biurze. — Jak się masz? Melania rozpowiada wszystkim, że jesteś zdruzgotany, gruboskórny i uparty.

Ross roześmiał się.

— A co się pod tym kryje?

— Nikt tego nie wie. Pewnie sama Melania też nie. Ale może to mieć coś wspólnego z pieniędzmi.

— Rzeczywiście to możliwe.

Obydwaj się uśmiechnęli i przez chwilę Rossowi żal było, że nie są sobie bliscy. A przecież wyglądali na bliską rodzinę; nawet obcy zauważyłby fizyczne podobieństwo, swobodę, z jaką siadali na krześle, uśmiech i to, że czasem tak szybko, niemal intuicyjnie porozumiewali się ze sobą. Zupełnie jak dobrzy przyjaciele, pomyślał Ross. Ale nimi nie jesteśmy. Łączą nas tylko więzy krwi. I nie ma ani jednej rzeczy, którą jeden z nas lubiłby w drugim.

Ross zaparzył dzbanek świeżej kawy i obaj usiedli na skórzanej sofie. Derek przez chwilę się zastanawiał, po czym spytał uprzejmie:

— Kto sprawuje kontrolę nad kontraktami w projekcie BayBridge?

— Grupka ludzi.

— Ale ty pociągasz za sznurki.

— Nawet nie próbuję tego robić. Twój szpieg dostarcza ci fałszywych informacji.

— Nie potrzebuję szpiegów; znam wszystkich ludzi z tej branży. — Uprzejmość zniknęła z jego głosu, który przybrał barwę metaliczną. — I z tego, co wiem, Hayward Corporation dostała kontrakt wart cztery miliony dolarów na parking samochodowy. Cztery miliony, a cały projekt opiewa na trzysta milionów dolarów.

— To nie było podane do wiadomości publicznej.

— Tak słyszałem.

Ross milczał zastanawiając się, kto mógł dostarczyć Derekowi tych informacji. Ktoś z biura kontrahenta albo jeden z planistów. Derek oparł się na sofie.

— A wiec to prawda.

— O ile mi wiadomo, tak.

— Ty sukinsynu. Gdzie się nauczyłeś takich zagrywek? Wyrobiłeś sobie całkiem niezłą reputację, odkąd się tutaj przenieśliś, nawet nie wyobrażasz sobie, ile ludzi wychwala cię pod niebiosa myśląc, że sprawia mi tym przyjemność, ale nigdy dotąd nie grałeś o takie stawki. I chyba uderzyło ci do głowy. To jeden z największych projektów, jakie kiedykolwiek były do wzięcia w tym mieście, a ty nie mogłeś ryzykować angażowania konkurencji. To ja powinienem być tu kontrahentem. Ale ty mnie nie dopuściłeś.

— Mylisz się. Chciałem cię zaangażować.

— Gówno prawda. Planiści jedzą ci z ręki; wystarczyło tylko pokierować ich w moją stronę.

Po raz pierwszy w życiu, pomyślał Ross, miałem wpływ na to, czy Derek dostanie to, czego pragnie.

— Sami wybrali głównego kontrahenta. Ja chciałem wciągnąć cię jako podwykonawcę i powierzyć ci budowę centrum handlowego. Ale mogłem jedynie zgłaszać propozycje bez podejmowania ostatecznych decyzji. Wiesz doskonale, jak to jest.

— Kłamiesz.

— Do jasnej cholery! — Ross wciągnął głęboko oddech. — Rusz wreszcie głową. Większość tych ludzi nigdy wcześniej nie pracowała nad takim projektem. Nie mieli pojęcia, ile czasu i pieniędzy będzie ich on kosztować, zanim przystąpią do jego realizacji. Dzień, kiedy dostaliśmy pieniądze od rządu federalnego, uczcili szampanem, a pięć lat później, kiedy wciąż czekaliśmy na ostateczną zgodę różnych władz federalnych, miejskich i ugrupowań społecznych i kiedy wydaliśmy już dwadzieścia milionów dolarów na działki, analizy kosztorysów, dokumentację i całą resztę, a wciąż nie zaczęliśmy kopać, bali się już uczcić cokolwiek choćby piwem. Wszyscy zrobili się tak podenerwowani i ostrożni, że przysięgli sobie, iż to będzie najuczciwiej zrealizowany projekt od czasów jaskiniowców; nie chcieli mieć już żadnych komplikacji. Jak ci się wydaje, co by sobie pomyśleli słysząc propozycję powierzenia siedemdziesięciomilionowego kontraktu na budowę centrum handlowego korporacji, której właścicielem jest członek rodziny głównego architekta, który z kolei zasiada w zarządzie tej korporacji?

Derek słuchał z zaciśniętymi ustami.

— Za kogo ty mnie masz, do jasnej cholery? Znam planistów; pracowałem z nimi, kiedy ty jeszcze całowałaś profesorskie tyłki w college'u. Nikt nie jest całkiem czysty, braciszku. I ta twoja pieprzona gadanina o rodzinnej korporacji... mógłbyś okazać trochę przywiązania do rodziny, dając jej uszczknąć co nieco z tych trzystu milionów. Dlaczego przede wszystkim nie zadzwoniłeś do mnie? Moglibyśmy założyć jakąś firmę jako przykrywkę, żeby zdobyła kontrakty, i opłacić tych najaktywniejszych polityków w Sacramento...

— To dlaczego sam nie zadzwoniłeś i nie podsunąłeś mi takiej taktyki?

— Ja miałem dzwonić do ciebie? I prosić cię o przysługę?

— A po co przyszedłeś teraz? — spytał spokojnie Ross. Zapanowało chwilowe milczenie. — Nieważne. I tak bym tego nie zrobił; nie używam takich metod. Ale to nie było...

— Nie wciskaj mi takich głupot!

— Derek! — Ross mówił niskim, lecz ostrym głosem. — Jesteśmy na moim terytorium, nie na twoim.

Znów zapadła cisza, wystarczająco długa, by Ross uświadomił sobie, że nawet nie jest w stanie zliczyć lat od ostatniej kłótni z Derekiem. Kiedyś, gdy Derek szarżował niczym byk, oskarżając czy atakując, on zwykle się wycofywał — raz nawet aż do Nowego Jorku — czując wstręt do używanej przez brata taktyki i chcąc uniknąć konfrontacji z nim. Ale coś się zmieniło od tamtego czasu. Zawdzięczam to BayBridge, pomyślał; ten projekt dał mi świadomość tego, na co mnie stać. No i Melanii — odchodząc zmusiła mnie, bym będąc sam przekonał się, kim naprawdę jestem. Oparł się o ścianę, spoglądając na surową twarz brata.

— Decyzje dotyczące kontrahentów dla projektu BayBridge nigdy nie należały do mnie. Planiści zatrzymali je dla siebie, niczym własne dziecko. I postanowili przyznać Hayward Corporation kontrakt na budowę parkingu, i nic poza tym. Nie pytali mnie o zdanie; po prostu zakomunikowali mi swoją decyzję. Bez względu na to, co słyszałeś, było tak, jak powiedziałem.

Derek milczał, ale żyłka koło oka pulsowała miarowo, choć jego gładka twarz była niczym maska.

— A Brock Galvez? Czy on nie miał nic do powiedzenia wśród tej odważnej bandy planistów?

— Bardzo dużo. Proponował nawet założenie firmy, która zdobyłaby kontrakty. Robił co mógł. Ile mu zapłaciłeś? Zresztą, nieważne; to nie ma znaczenia.

Obrzydzenie ogarnęło Rossa i odwrócił się do okna spoglądając na trawiaste pagórki i ławki na Levi Plaza, gdzie przysiadło mnóstwo ludzi jedząc lunch. Galvez mógłby wykupić i sprzedać Haywardów; jeśli Derek mu zapłacił, to na pewno nie pieniędzmi, a towarem — narkotykami, poufnymi informacjami, prostytutkami — a o tym Ross nie chciał wiedzieć.

— Skoro już mowa o zapłacie — zaczął miękko Derek. — Ile

bardzo dawno temu kosztowało cię uzyskanie informacji potrzebnych do projektu BayBridge, zanim kupiłeś Macklin Building? Ross odwrócił się od okna.

— Nic nie wiedziałem o BayBridge, gdy go kupowałem.

— Nie wiedziałeś — szydził Derek. — Z tego, co słyszałem, kupiłeś go w 1976 i w ogóle się do niego nie dotknąłeś; pozwoliłeś nawet Macklinowi zachować tam biuro. A rok później planiści zaczęli wykupywać tereny obok, bo w powietrzu wisiał już projekt opiewający na trzysta milionów? Zdziwiający zbieg okoliczności czy może ktoś handluje informacjami?! — Zrobił przerwę, ale Ross się nie odezwał. — Bo po co miałbyś go kupować? — dopytywał się.

Mój brat martwi się z powodu Macklin Building, pomyślał Ross. Ale sam nie był jeszcze gotów rozmawiać o tym z Derekiem.

— Wyjaśnię ci to któregoś dnia. A wracając do Galveza, to starał się jak mógł; przypuszczam, że dalej będzie próbował. Ale on nie jest głupcem; gdy jest przegłosowany, wycofuje się i dołącza do większości. A oni nie zamierzają się ugiąć.

Derek pokiwał głową w zamyśleniu, po czym odwrócił się do wyjścia. Stara się umniejszyć straty, skomentował w myśli Ross. Derek rzadko popełniał tak poważne błędy — liczył na jednego planistę nie zbadawszy, jaka jest sytuacja z pozostałymi; lecz jeśli już się pomylił, nie tracił energii na próżno — podobnie jak Galvez wiedział, kiedy się wycofać. A poza tym po przełknięciu tak gorzkiej pigułki, jaką było proszenie brata o pomoc, nie zostałby z nim ani chwili dłużej, przekonawszy się, że poniósł porażkę.

Jednak gdy był już w drzwiach, Ross nie zdołał się pohamować i zapytał:

— Jak się ma Katherine?

Niemal niedostrzegalnie, ale wyraz twarzy Dereka zmienił się — zupełnie jakby delikatny obłoczek przesłonił słońce.

— Całkiem dobrze.

Ross czekał przez chwilę, po czym spytał:

— A co z jej biżuterią? Sprzedaje u Mettlera?

— Tak.

— Wystarcza jej to na utrzymanie? Zapanowało krótkie milczenie.

— Razem z dodatkiem, jaki dostaje.

Oczy ich spotkały się. Rossowi nie przyszło do głowy, że Katherine bierze jakieś pieniądze od Dereka.

— Powinieneś do niej zadzwonić — powiedział Derek miłym głosem. — Teraz kiedy jesteś sam. Ona jest niezwykle uległa.

W Rossie zawrzało.

— Ty cholerny draniu!

— Nie do wiary, co za wrażliwość! — Na twarzy Dereka pojawił się zimny uśmiech. — Pewnie dlatego, że przyprawił ci rogi młodszy od ciebie. Nie musisz mnie odprowadzać, znam drogę. — Spokojnym krokiem przeszedł przez sekretariat i już go nie było; jeszcze przez chwilę dobiegał z korytarza coraz cichszy stukot jego butów na parkiecie.

Ross tak mocno ścisnął krawędź drzwi, że kiedy wrócił do biurka, na dłoni miał pręgę. Nieważne jak dużą dostrzegął w sobie zmianę — jego brat wciąż potrafił doprowadzić go do wściekłości i zepsuć mu humor. Derek wprawdzie przegrał rundę w walce o BayBridge, ale to Ross czuł się rozłożony na łopatki, a nawet zbrukany w bezpośrednim spotkaniu.

Siadł przy biurku wpatrując się w dokumenty, którymi miał się zająć, i dopiero po dłuższym czasie poczuł, że napięcie opada i może się nieco rozluźnić. Było mu ciężko, bo wiedział, że nie tylko Derek jest przyczyną jego frustracji. Spowodowała ją także Katherine i zabierając się wreszcie do pracy, Ross złościł się na siebie, że nie może przestać o niej myśleć, co pozwoliłoby mu wreszcie skupić się na ważniejszych sprawach.

Gdy Katherine zjawiała się u Victorii, starsza pani nadzorowała właśnie pakowanie licznych toreb i walizek. Suknie, spódnice i bluzki zaścielały całą białą-złotą sypialnię przypominając postacie, które kompletnie wyczerpane rzuciły się na szerokie łoże, obity jedwabiem szezlong i fotel, by trochę odpocząć.

— Spójrz na to — powiedział Tobiasz i figlarnym głosem zacytował: — „Suknie do siedzenia, stania i chodzenia; suknie do tańczenia, flirtowania i gawędzenia; i suknie do słodkiego leniuchowania”. Victorio, we Francji czekają na ciebie pełne szafy, tak czy nie?

— Najprawdopodobniej tak — odparła. — Chociaż nie byłam tam przez rok, więc nie mogę mieć pewności. Lily, może wzięłabym

to? — Pokojówka podała jej dwie garsonki z dzianiny. — Są od Saint Johna i Castleberry'ego — mruknęła z zadumą. — Jakie one podobne. Dlaczego kupiłam je obie?

— Żeby wesprzeć przemysł odzieżowy — ośmielił się zażartować Tobiasz.

— Nic mi nie wiadomo na temat przemysłu odzieżowego, Tobiaszu; doskonale wiesz, że musiałam mieć ku temu jakiś powód, ale nie mam teraz pojęcia co nim było. To prawdziwe marnotrawstwo. Katherine, to twój rozmiar, proszę, weź jedną.

— Bardzo chętnie — odparła swobodnie Katherine. — Dziękuję.

Kiedyś by odmówiła, bez chwili wahania, nawet niegrzecznie, ponieważ każdą formę pomocy traktowała jako wyraz krytyki Craiga albo jej własnej bezradności. Ale teraz, znacznie bardziej pewna siebie, zachwycona była doskonale skrojonymi bladoniebieskimi spódnicami i zakietami przykrywającymi jedwabne bluzki, ucałowała więc Victorię w policzek. — Dzięki tobie będę wyglądać bardzo elegancko.

— Zawsze wyglądasz elegancko. Ale naturalnie stroje są w tym niezwykle pomocne. Mam jeszcze kilka...

— Victorio — wtrącił ostrzegawczo Tobiasz. Victoria popatrzyła na niego.

— Ja nigdy nie flirtuję — powiedziała. — Skąd w ogóle wzięłeś ten głupi wierszyk?

— Ze zbioru zapomnianych poetów. Katherine bardzo się podobał; widziałem, że się śmiała. Dość dawno cię nie widzieliśmy, kochanie. Co porabiałaś?

— Pracowałam i załatwiałam pożyczkę — odparła smutnym głosem. — Niechętnie to zrobiłam, ale nie chciałam kupować złota i srebra z pieniędzy na dom.

— Słusznie — oświadczył Tobiasz. — Lepiej pożyczać niż wydawać własne. Z którego banku?

— Bank of America.

— Bardzo rzetelny.

— Ale użyłam zamówienia Mettlera jako gwarancji. Jeśli nie kupi całej kolekcji...

— Katherine, jesteś lepsza, niż ci się wydaje. Zawsze. Jeśli będziesz o tym pamiętać, to znacznie wolniej się zestarzejesz.

— Nigdy nie zamartwiaj się z powodu kredytu, Katherine, dopóki nie przyjdzie czas na jego spłatę — rzekła stanowczo Victoria. — A to co? — powiedziała podnosząc ze sterty na łóżku długą suknię. — Przecież to satyna. Cóż ona tu robi? Nigdy nie włożyłabym w Menton satynowej sukni. W każdym innym miejscu na Riwierze może tak, ale willę w Menton zatrzymałam właśnie dlatego, że panuje tam prostota. A gdzie się podział mój czarny sweter z kieszeniami? Lily, to pakowanie nie jest za dobrze zorganizowane. Chodź ze mną.

Gdy wyszły do garderoby, Tobiasz rzekł wesoło:

— Na lewo od drzwi w sypialni w Menton stoi komoda, w której Victoria ma dwadzieścia swetrów. Po tych wakacjach ich liczba dojdzie bez wątpienia do trzydziestu. Martwisz się czymś, moja droga?

— Masz na myśli kredyt? Nie...

— Nie myślałem o kredycie. Katherine uśmiechnęła się do samej siebie.

— To nie w porządku, Tobiaszu: ty możesz czytać w moich myślach, a ja nie umiem przejrzeć twoich.

— Oczywiście, że umiesz. Jak sądzisz, co uważam za przyczynę twego smutku?

— Myślisz, że chciałabym pojechać na „pełne prostoty południe” Francji, zamieszkać we własnej willi i urządzać sobie wycieczki do Paryża, winnic i w Alpy.

— A nie chciałabyś?

— Owszem, tak.

— I słusznie. Zacząłbym się o ciebie bardzo martwić, gdybyś nie miała na to ochoty. I co zamierzasz zrobić w związku z tym pragnieniem?

— Nic, Tobiaszu, bo i cóż mogę zrobić? Poczuję się lepiej, kiedy Victoria już wyjedzie. Mam mnóstwo pracy, więc nie będę się nudzić, a jak będę potrzebowała się rozerwać, to przecież ty zostajesz. Nie będę rozmyślać o Francji przez całe lato, jeśli o to ci chodzi.

— Naturalnie, że nie; to nie w twoim stylu. Po prostu zastanawiałem się, dlaczego nie pojedziesz na Riwierę.

— Nie mogę sobie na to pozwolić.

— To fakt. Ale Victoria nie pobiera czynszu od swych gości,

a trzy bilety lotnicze możemy potraktować jako prezent urodzinowy ofiarowany ci awansem, bo chyba obchodzisz urodziny w sierpniu, prawda?

— Trzy bilety?... Do Francji? Z Victorią? Ale ona nic o tym nie wspominała.

— Ależ tak. Mnie osobiście. Już od Bożego Narodzenia zawraca mi głowę, bo nie wie, jak ci zaproponować wspólny pobyt w Men-ton. A jak myślisz, dlaczego tym razem jedzie w lipcu, skoro zwykle wybiera się tam w kwietniu czy maju? Bo czekała, aż Jennifer i Todd skończą szkołę. Ciągle jednak nie wiedzieliśmy, jak ci to zaproponować. Victoria nie należy do nieśmiałych, jak zapewne sama zauważyłaś, ale po tym, jak w marcu stanowczo odmówiłaś pomocy, kiedy rozmawialiśmy o twojej karierze, stąpa wokół ciebie na palcach i choć chce zaoferować to czy owo, boi się to zrobić. Ty tak ostro odrzucasz wszelką pomoc, moja droga. Ale dzisiaj z wdzięcznością przyjęłaś garsonkę i pomyślałem sobie, że jeśli ci wszystko dokładnie wytłumaczę — co właśnie zrobiłem — to zaakceptujesz również wyjazd do Francji. No więc szybciotko, kochanie, zanim zaczniesz wynajdywać różne przeszkody, powiedz: chciałybyś pojechać do Francji z Victorią?

— Oczywiście, że bym chciała; to cudowne. Nigdy tam nie byłam, ani zresztą nigdzie w Europie. Tylko jak to zrobić? Nie poczyniłam żadnych przygotowań...

— Nie chcę słyszeć o jakichkolwiek przeszkodach! Naturalnie powinniśmy zapytać cię o to wcześniej, ale ilekroć między sobą poruszaliśmy tę kwestię, odkładaliśmy ją na później. Po prostu dwoje starszków bało się, że zostaną odtrąceni. A do wyjazdu nie potrzeba żadnych specjalnych przygotowań; nie zabierają ci one dużo czasu. Niech się zastanowią. Paszporty. Czy są jeszcze ważne?

Katherine przecząco pokręciła głową.

— Nigdy nigdzie nie wyjeżdżaliśmy. A na przyjazd tutaj nie były nam potrzebne.

— Aj aj aj! Ale mamy przyjaciół w biurze paszportowym; damy sobie radę. Co poza tym? Twoja biżuteria. Możesz popracować nad projektami we Francji i wykonać je po powrocie. Nawet jeśli spędzisz tam parę tygodni, to i tak zdążysz ze wszystkim. Jak myślisz: trzy tygodnie? Czy cztery? Dzieci mają przecież wakacje, a chyba nie zamierzałaś wysyłać ich na obóz.

Potaknęła skinieniem głowy.

— Tak? — upewniał się Tobiasz.

— Tak, nie wysłałam ich na obóz. Roześmieli się oboje.

— A jakiś czas temu wspominałaś, że nie spotykasz się już z Derekiem, więc jeśli nie podjęłaś tych randek na nowo albo nie znalazłaś sobie kogoś innego?...

— Nie.

— ...nawet romanse nie zatrzymają cię w mieście.

— Nawet one — potwierdziła Katherine. — Tak naprawdę, to nic mnie tu nie trzyma.

Poza Craigiem, pomyślała. Ponura myśl w zestawieniu z optymizmem Tobiasza. Jeśli przyjdzie do nas, dumiała, to znów zastanie pusty dom. Ale była tak podekscytowana czekającą ją podróżą, że aż kipiała radością i myśl o Craigu jedynie przypomniawszy jej czasy, kiedy dawno temu marzyła o podróży do Europy, a Craig nie chciał się na nią zgodzić. Zawsze mówił, że woli spędzać urlop w Kanadzie, a gdy pytała dlaczego, nie umiał jej tego wyjaśnić. Nagle zrozumiała dlaczego. Craig nie miał paszportu. A gdyby chciał go sobie wyrobić, musiałby przedstawić akt urodzenia, a przecież nie istniał żaden dokument poświadczający narodziny Craiga Frasera. Pewnie mógłby go podrobić, przyszło jej do głowy. Ale może doszedł do wniosku, że już wystarczająco dużo w jego życiu jest fałszu. Zrobiło jej się go żal. Nie mógł podróżować po świecie i nie mógł wyjaśnić jej dlaczego bez ujawnienia całej prawdy o sobie. A więc kolejny sekret; coraz więcej tego co ich dzieli.

— Nic cię tu nie trzyma — powtarzał Tobiasz z radosnym uśmiechem, a Katherine poczuła przyływ emocji, gdy Victoria, która dotąd podsłuchiwała, weszła do pokoju z naręczem ubrań mówiąc:

— Naturalnie rozumiem, Katherine, że chcesz zabrać swoje niebieskie dżinsy i różne wakacyjne ciuszki, ale wiedz, że sama mam aż nadto bluzek i swetrów, a wszystkie są na ciebie w sam raz... — Przerwała, bo Katherine i Tobiasz wybuchnęli śmiechem. — To część twojego prezentu urodzinowego — ciągnęła spokojnie Victoria. — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak was to śmieszy. Katherine, załatwienie paszportów zajmie dzień lub dwa, więc jak myślisz, kiedy mogłabyś wyjechać? Polecicie do Nicei, a tam już

będzie na was czekać limuzyna. A potem wybierzemy się we dwie po zakupy do Paryża. Tobiasz wspominał coś o czterech tygodniach?

— Tak — odparła Katherine. — Ale nie jestem pewna...

— Cztery tygodnie to w sam raz. Możesz wyjechać za tydzień? Piątego lipca. Moja kochana — Victoria położyła dłoń na policzku Katherine. — ...wybacz, jeśli trochę za bardzo rządę; taka jestem szczęśliwa, że pozwoliłaś mi ofiarować ci ten prezent. Już tak dawno willa nie rozbrzmiewała głosami dzieci... Zdaje nam się, że stajemy się samowystarczalni i twardzi, ale zawsze pragniemy dzielić z kimś to, co kochamy. Bez tego byłibyśmy na wpół martwi. To cudowne, że jedziesz! —

Zakaszła i pospiesznie przetarła oczy. — A więc... — szybko odwróciła się do sterty ubrań na łóżku. — Sprawa załatwiona. Tobiasz zorganizuje paszporty i trzy bilety lotnicze na piątego lipca. Jeśli naturalnie nie masz jakichś zastrzeżeń...

— „Przyjmij dobro, które ofiarowują ci bogowie” — zacytował Tobiasz bez chwili wahania. — To Dryden. Mądry z niego człowiek. A i rada cenna.

— Oczywiście — powiedziała Katherine miękko. — W końcu Victoria tylko odrobinę porządziła. — Ich oczy spotkały się i obie się roześmiały. Radość Katherine była tak wielka, że nie mogła już jej w sobie utrzymać i rzuciła się Victorii na szyję. — Dziękuję ci. Dziękuję. O Boże, nie mam słów... jak ja mam to wyrazić?

— To zupełnie wystarczy, Katherine. Ważne, że się cieszysz.

— Kocham was — powiedziała. — Zaraz pójdę do domu, bo nie mogę się już doczekać, żeby powiedzieć o wszystkim Jennifer i Toddowi. A może pomóc ci w pakowaniu?

— Lily mi pomoże. Tobiasz też mi pomaga, bo mówi, że niczego nie muszę zabierać, i redukuje tym samym liczbę rzeczy, jakie wkładam do walizek. Zadzwonię do ciebie jutro przed wyjazdem. — Victoria ucałowała ją w oba policzki. — Powiedz dzieciom, żeby poćwiczyły francuski. Ależ będziemy się dobrze bawić!

Katherine wychodziła z budynku cała w uśmiechach, a „do widzenia”, które posłała odźwiernemu, było tak przepełnione szczęściem, że odpowiedział jej szerokim uśmiechem; gdy kilka minut później otwierał drzwi Rossowi, nadal się uśmiechał.

— Przed chwilą wyszła od pani Hayward najszcześniejsza

kobieta, jaką w życiu widziałem — powiedział zasuważąc drzwi windy i wciskając przycisk piętra Victorii.

Ross widział Katherine, jak szła w dół stromej Washington Street. Jej niepospolita uroda zwracała uwagę przechodniów, ale Rossa uderzyła przede wszystkim radość malująca się na jej twarzy i energiczny krok. Na pasach przeszła tuż przed jego samochodem, ale patrzyła gdzieś przed siebie. Szczęśliwa kobieta, pomyślał wtedy; pełna radosnego oczekiwania spieszy do domu, gdzie pewnie ktoś na nią czeka.

— Właśnie minąłeś się z Katherine — powiedziała Victoria całując go w policzek. — Napij się z nami sherry, prawda? Tobiasz uważa, że to bardzo dodaje energii przy pakowaniu.

— Tak mnie w nie angażuje, że zasłabnę bez sherry — wyjaśnił Tobiasz podając Rossowi kieliszek. — Był tu wcześniej Derek, żeby życzyć Victorii szczęśliwej podróży, a Anna i Jason dzwonili z Maine. Aż dziw bierze, jak w ciągu ostatniego roku wszyscy zaczęli się troszczyć o Victorię.

— Naprawdę? — spytał Ross. — Nie wiedziałem.

— A domyślasz się dlaczego? Ross zastanawiał się przez chwilę.

— Z powodu Craiga, oczywiście. Możliwe przecież, że wróci. Dziwne, jak on trzyma wszystkich w zawieszaniu.

— Wisi jak burza — dodał poważnie Tobiasz. — Sama myśl o nim rodzi obawę, że on zburzy wszelkie układy emocjonalne i finansowe.

Ross przywołał w pamięci obraz Craiga z czasów młodości — jego brązowe oczy wypatrywały wszędzie pochwały za to, że buduje modele samolotów, że rzeźbi w drewnie i stawia skomplikowane domki z zapalek, że potrafi żeglować i marzy wciąż o wznoszeniu drapaczy chmur i podróżach po Europie i Azji. On jak burza? Tylko Derek uważał wtedy, że Craig może coś zburzyć.

— Derek wspominał o BayBridge Plaża — zaczął beztróska Tobiasz. — Jego zdaniem ruguje się nas z interesu. Skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł?

— Zjawił się przecież u mnie. Nie musisz być taki delikatny, Tobiaszu. Derek na pewno mówił ci, że był u mnie.

— Owszem, ale chciałbym usłyszeć twoją wersję, zanim wyrobię sobie opinię na ten temat.

— Hayward Corporation dostanie tylko cześć projektu Bay-Bridge. Reszta przypadnie innym wykonawcom. Planiści chcą uniknąć jakiegokolwiek konfliktu interesów. To wszystko. — Ross zaczął chodzić po sypialni. — Nie sądziłem, Tobiaszu, że będę się musiał tłumaczyć przed tobą. Nigdy nie miałeś powodu wątpić w moją uczciwość czy lojalność względem rodziny. — Jego kroki wydłużyły się. — Przyznam, że gdzie jak gdzie, ale u ciebie naprawdę spodziewałem się znaleźć akceptację. Nie sądziłem, że na koniec tego piekielnego tygodnia przyjdzie mi spowiadać się z układów między mną a moim bratem.

— Hola, hola, kolego! — Tobiasz spoglądał uważnie na Rossa, — Miałem na myśli korporację, nie ciebie i Dereka. Ale tak czy owak, nie czas teraz na takie dyskusje. Wyglądasz na zmęczonego...

— Wyglądam!

— I rozgniewanego. Może byś tak spróbował utopić swoje problemy, jak mawia młodzież?

Ross roześmiał się skruszony.

— Przepraszam, Tobiaszu. Nie zasłużyłeś sobie na takie słowa. Naprawdę chcesz, żebym ci opowiedział, jak spędziłem ten tydzień?

— A czy jest to ciekawsze niż rozważania Victorii na temat pakowania, bo tylko o tym słucham dzisiaj od rana?

Roześmieli się.

— No to posłuchaj.

Ross usiadł na podnóżku opierając łokcie na kolanach i opowiedział o kłopotach z projektem BayBridge, które omawiał na zebraniu, i o spotkaniu z Derekiem.

— A poza tym chyba z piętnaście razy zaczynałem list do Jacques'a Duvaina; chciałem mu napisać, że nie mogę być jego konsultantem w Paryżu.

— Zaczynałeś? — zaciekawił się Tobiasz. — I nie skończyłeś?

— Na razie nie. Nie wiem dlaczego, ale wciąż to odkładam. Napiszę jutro. Ale nie zrelacjonowałem ci jeszcze wszystkich wydarzeń tygodnia. W piątek wieczorem zabrałem Carrie i Jona. Nawet nie wiesz, Tobiaszu, jak to jest, kiedy trzeba pukać do drzwi, które kiedyś były moje.

— Mówiłeś, że Melania dała ci nowy klucz.

— Nie skorzystam z niego, dopóki nie będę musiał. Już tam nie mieszkam, więc pukam.

— Słusznie, ale to przygnębiające. — Tobiasz dolał sherry do kieliszków. — Jak się czuliście we trójkę?

— Bardzo zgorzkniali. Ciągłe sprzeczamy się o drobiazgi, pewnie dlatego, że dopiero musimy się do wszystkiego przyzwyczaić. Dziś po południu, kiedy odwoziłem ich do domu, Carrie powiedziała: „Mama wyśpiewuje hymny na temat tego Guy jak-mu-tam, a ty masz w domu jacuzzi; tylko my dwoje jesteśmy nieszczęśliwi; gdzie tu sprawiedliwość?”

— Rzeczywiście, gdzie? — odezwał się Tobiasz. — Co jej odpowiedziałeś?

— Powiedziałem, że w życiu nie ma sprawiedliwości. — Ross znowu zaczął chodzić po pokoju. — Po drodze kupiłem kilka książek o rozwiedzionych ojcach. Myślisz, że coś mi pomogą?

— Pokażą, że nie jesteś w tym osamotniony. A ta świadomość powinna pomóc. Victoria cichutko podeszła do Rossa i położyła mu rękę na głowie.

— Biedaku. Tyle masz różnych problemów.

Ton głosu Victorii sprawił, że Tobiasz rzucił siostrze baczne spojrzenie. Nikt nie znał Victorii tak dobrze jak on; nikt inny, widząc jej współczucie dla wnuka, nie odgadłby, że myśłami wybiega już w przyszłość i układa plany.

— Tak — zgodził się Tobiasz. — Ross przechodzi teraz ciężki okres.

Victoria uśmiechnęła się do Tobiasza konspiracyjnie i jakby nagle przyszło jej coś do głowy, wykrzyknęła:

— Ross! Mam wspaniały pomysł! Ross popatrzył na nią.

— Nie przejmuj się mną; jakoś dam sobie radę. Myśl teraz tylko o wakacjach we Francji i zapomnij o wszelkich obowiązkach służbowych.

— Właśnie myślę o Francji! Sprytnie się tego domyśliłeś. Pojedziesz tam! W końcu masz sprawę do załatwienia w Paryżu...

— Zamierzam odmówić...

— Nie przerywaj mi, bo nie skończyłam. Mówiłeś Tobiaszowi, że odkładasz ciągle napisanie tego listu. A jak myślisz, dlaczego? Bo chcesz tam pojechać.

Voilà! Tak więc pojedziesz. Najpierw załatwisz sprawy w Paryżu, a potem przyjedziesz do mnie do Menton. Już

nawet nie pamiętam, kiedy tam ostatnio byłeś. Dlatego wpadniesz z wizytą. Słuchasz mnie?

— Tak, słucham. Ale przecież Carrie i Jon spędzają ze mną cały lipiec.

Victoria nie zawahała się ani chwili z odpowiedzią.

— To zabierz ich ze sobą. Na Riwierze jest bardzo zdrowy klimat dla dzieci. I dla ojców też. Przez ten czas BayBridge zajmą się twoi pracownicy. Przecież nie miałeś wakacji, odkąd Melania przestała z tobą jeździć, a ja właśnie proponuję ci urlop, a jednocześnie stwarzam okazję wykonania pracy, na którą masz ochotę. Poza tym są jeszcze inne powody...

— Już dobrze — roześmiał się Ross. Stał z głową wysoko uniesioną i czuł się tak lekki i pełen energii, jak dawno mu się nie zdarzyło. — Nie musisz wyliczać więcej powodów. Przekonałaś mnie. Sam nie wiem, dlaczego nie pomyślałem, żeby tam pojechać, bo to jest dokładnie to, czego mi potrzeba. — Uścisnął Victorię i ucałował ją. Gdy się odwracał, zauważył, że ona i Tobiasz wymienili spojrzenia. — O co chodzi? O czym nie wiem?

— Że uczyniłaś mnie bardzo szczęśliwą — odparła bez zająknięcia Victoria. — I że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w Menton. I że Tobiaszowi jest przykro, że z nami nie jedzie. O Boże — dodała drżącym głosem — ale będziemy się świetnie bawić!

Rozdział trzynasty

Hugh Hayward marzył o willi niedaleko Nicei, odkąd spędził tam kilka miesięcy w czasie pierwszej wojny. Wtedy nie było tam jeszcze tłumów turystów, życie toczyło się leniwie, okolica była piękna, a klimat przez cały rok tak cudownie ciepły, że pamiętał go przez trzydzieści lat. W realizacji marzenia przeszkodziła mu recesja i druga wojna, lecz w końcu wrócił na Riwierę — tym razem z Victorią — i we dwójkę tak długo jeździli po Prowansji, od Marsylii po Niceę, aż znaleźli dom o nazwie Villa Sereine. Wtedy — a była to wiosna roku 1948 — nazwa nie bardzo pasowała do tej willi: daleko jej było do pogodnego, spokojnego miejsca, pusta i smutna stała obrośnięta gęstymi krzakami. Stiukowe ściany łuszczyły się, okna powybijano, dach przeciekał, a wszystkie drzwi w czasie wojny zużyto na podpałkę.

Ale willa stała tuż pod szczytem wzgórza i rozciągał się z niej widok na Menton i port, który od dawna upodobały sobie koronowane głowy Europy. Pokoje były duże i porządnie wykonane. A poza tym po drugiej wojnie światowej nieruchomości na Lazurowym Wybrzeżu, zwłaszcza te zdewastowane, były bardzo tanie.

Przed wyjazdem do Ameryki Hugh Hayward kupił tam sześć domów, a kilka lat później sprzedał pięć z nich sporo na tym zarabiając.

Nigdy nawet do głowy nie przyszło mu sprzedanie Villa Sereine. Kiedy wyrwano krzaki, przycięto drzewa, a pokoje pomalowano, Victoria zakochała się w tym domu i przystąpiła do jego renowacji z entuzjazmem, który dusiła w sobie, odkąd przestała prowadzić Hayward Corporation.

Gdy urodzili się Derek i Ross, dom rozbudowano; mieściło się w nim teraz czternaście pokoi z tarasem od frontu, a na tyłach domu powstał ogród z niewielkim stawem. Wielokrotnie zmieniano wystrój willi, tak że Katherine z dziećmi znalazła w niej kwadratowe, jasne i miłe pokoje o nisko zawieszonych sufitach; stały tam wygodne meble w kolorach Pissarra i Matisse'a — malarzy prowansalskich, których obrazy kupione przez Hugh'a w czasie wojny ozdabiały ściany willi i rezydencji Victorii w San Francisco.

— *Magnifique* — orzekł Todd. — *Merveilleux. Beau.* — W ten sposób Todd niemal wyczerpał swój zapas francuskich słów, ale dodał jeszcze: — *Merci.*

Victoria roześmiała się.

— Świetnie.

A Jennifer pamiętając pouczenia Katherine powiedziała:

— To bardzo miło, że nas tu zaprosiłaś, prababciu.

— To dla mnie przyjemność — odparła Victoria. — Chcę, żebyście się dobrze bawili, więc na początek porozmawiamy, co chcielibyście robić.

Do wyboru mieli pływanie w basenie w Menton wielkim jak basen olimpijski, lekcje tenisa w mieście, szkółkę żeglarską w porcie, grę w badmintona i krykieta, które Victoria przywiozła z Anglii, oraz czytanie książek z domowej biblioteki, mieszczącej się niedaleko ich sypialni („Mamy własne pokoje”, powiedział Todd szturchając Jennifer łokciem) i zawierającej zarówno francuskie, jak i angielskie lektury; był też ogródek pełen warzyw, które mogli zrywać do lunchu i kolacji.

Chcąc pomóc dzieciom w dokonaniu wyboru, następnego ranka Victoria dała im pieniądze, żeby mogły opłacić sobie lekcje i kupić coś w mieście. A na koniec przedstawiła je ogrodnikowi oraz Sylvie i Charles'owi — małżeństwu, które zajmowało się gotowaniem

i zarządzaniem domem, a teraz miało jeszcze opiekować się dziećmi przez najbliższych parę dni.

— Ponieważ wasza mama i ja jedziemy po zakupy do Paryża — wyjaśniła Victoria.

— Dopiero co tu przyjechaliśmy — sprzeciwił się Todd — a wy już wyjeżdżacie.

— Tylko na trzy dni — odparła spokojnie Victoria. — Wierzę, że dacie sobie świetnie radę.

Gdy Victoria objęła dowództwo, Katherine pozwoliła sobie na odprężenie. To tak przyjemnie, pomyślała, choć na chwilę przekazać obowiązki komuś innemu.

W tym cudownym miejscu, jakiego nigdy wcześniej nie widziała, miała spędzić wakacje. Wzdłuż wybrzeża rosły tu tropikalne palmy, strome zbocza wzgórz porastały cyprysy i stare, powykręcane drzewka oliwne; rzucające cień wille o płaskich dachach obrośnięte były pnącymi różami, a wąskie bladoróżowe budynki Menton schodziły aż do portu, gdzie kołysane lekkim wietrzykiem kotwiczyły ogromne, błyszczące jachty i wspaniałe żagłówki. Mogąc być choć przez parę chwil w miejscu tak pięknym i ciepłym, gdzie złociste słońce ciężko wisi na niebie, a aromatyczne powietrze pobudza zmysły, niemożliwością było smuć się, martwić czy płakać. Tutaj było się daleko od codzienności, daleko od natrętnych myśli i wspomnień.

I daleko od Craiga.

Jego tu nie ma, uświadomiła sobie Katherine. I nawet następnego ranka, kiedy leciała z Victorią do Paryża, wciąż go nie było. Cień Craiga nie podążał tu za nią. Przemierzając ocean i wkraczając do innego świata, Katherine pozbyła się go. Na jakiś czas.

Rankiem, kiedy samolot piął się w górę ponad białym łukiem zabudowań Nicei, Victoria powiedziała:

— Czekałam na ciebie, żebyśmy razem mogły zrobić zakupy. Jedną z niewielu przyjemności bycia starym jest zapoznawanie młodych z nowymi przyjemnościami. Sama musiałabyś wiele miesięcy chodzić po całym mieście, żeby odkryć najlepsze w nim miejsca, a dzięki mnie poznasz je w trzy dni. Biedni są ci turyści, którzy nie mają żadnych przewodników.

— Może wędrowanie po mieście sprawia im przyjemność — zauważyła Katherine.

— Nonsens. Chodzić bez celu? Nie wyobrażam sobie tego. Katherine uśmiechnęła się.

— Tobie zawsze przyświeca jakiś cel. Dlaczego więc zabierasz mnie do Paryża?

— Już ci mówiłam — odparła spokojnie Victoria. — Jedziemy po zakupy.

Intuicja podpowiadała Katherine, że Victoria coś ukrywa, ale szybko przycichła, gdy Katherine patrzyła na górskie łańcuchy przycinające środkową Francję, które dalej ustępowały miejsca farmom i łanom pszenicy. Wkrótce potem nagle pojawił się Paryż. Najpierw w dole zamajaczyły betonowe budynki lotniska Charles'a de Gaulle'a, a zaraz później pokazały się tłumy ludzi i dał się słyszeć zgiełk miasta.

W drodze do hotelu widziały zatłoczone chodniki, samochody na ulicach prawie stojące w miejscu, uliczne kafejki zastawione stolikami, przy których toczyły się jakieś ożywione dyskusje. Nawet w eleganckim holu hotelu „Meurice” przelewały się tłumy ludzi prowadzących szybkie, głośnie rozmowy.

— Nareszcie — westchnęła Victoria przerywając ciszę ich apartamentu, gdy pokojówka wieszała w szafie ubrania, a Katherine podziwiała luksusowo urządzone pokoje, starając się nie wyglądać na gapę z otwartymi ustami.

— Pójdziemy teraz po zakupy — powiedziała Victoria. — O drugiej zjemy lunch u „Maxima”; dołączy do nas Henri Flambeau, mój stary przyjaciel — wyjaśniła widząc pytające spojrzenie Katherine. — A tak się składa, że Henri jest właścicielem sieci sklepów jubilerskich. Zawsze trzeba poszerzać grono znajomych, moja droga. Szczególnie we Francji. Nic nie czyni amerykańskiego projektanta bardziej wziętym niż fakt, że cieszy się wzięciem u Francuzów.

Katherine roześmiała się.

— Dziękuję ci; bardzo chętnie go poznam.

A więc to jest ta niespodzianka Victorii, pomyślała Katherine, i powód, dla którego przywiozła mnie do Paryża. Wdzięczność i ciepłe uczucia, jakie odczuła w tej chwili do Victorii, przemieszały się z podekscytowaniem wywołanym przyjazdem do stolicy Francji i kiedy wyszły z hotelu, i ruszyły zalaną słońcem ulicą wzdłuż rozległego ogrodu Tuileries, Katherine czuła się tak, jakby wszystkie

znane jej bajki stały się rzeczywistością, a ona była ich główną bohaterką. Stopy same zaczynały pod nią tańczyć i miała trudności z dotrzymaniem kroku Victorii, która stapała dostojnie.

Na rue Cambon Victoria zatrzymała się przed salonem Chanel.

— Może wolisz iść szybciej? — spytała chyba trochę zbyt ożywionym tonem. — Ja raczej się wlokę i nie chcę być ci ciężarem. Powiem ci, jak trafić do „Maxima” i spotkamy się na lunchu.

— Nie — odparła szybko Katherine. — Wolałabym zobaczyć twoje ulubione miejsca.

— Cóż — Victoria dotknęła ramienia Katherine — mam nadzieję, że nie mówisz tak tylko po to, żeby zrobić mi przyjemność.

— Chcę iść z tobą.

— No dobrze — powiedziała Victoria i twarz jej rozpromienił uśmiech. — Ależ mamy cudowny dzień. W lipcu w Paryżu często jest zbyt gorąco. Wstąpimy na chwilkę do Chanel i zaraz pójdziemy dalej.

Paryż Victorii można było niemal całkowicie zmieścić w trójkącie, którego środek stanowiła kolumna Napoleona na placu Vendome. Zawierały się w nim wąskie uliczki i szerokie bulwary, i można było zaspokoić zarówno potrzeby kulturalne jak i konsumpcyjne; najelegantsze na świecie sklepy z bardzo gustownymi wystawami znajdowały się obok Biblioteki Narodowej i Opery, które przyciągały wzrok kopułami, kolumnami i ekstrawaganckimi kamiennymi rzeźbami.

— Gmach Opery jest teraz otwarty dla zwiedzających — oznajmiła Victoria, gdy przechodziły obok budynku. — Robi duże wrażenie. Zajrzemy tu, jeśli zostanie nam trochę czasu. — A kiedy mijały Bibliotekę Narodową, dodała: — Kopuła czytelnicy jest naprawdę niezwykła. Obejrzymy ją, jeśli będziemy miały na to czas. — Chwilę potem rzuciła: — Theatre de la Madeleine to jeden z moich ulubionych teatrów; wstąpimy, jeśli starczy nam czasu. Ale na dzisiaj zaplanowałam chodzenie po sklepach.

Katherine miała ochotę wszędzie na chwilę się zatrzymać — i w budynkach, i na skrzyżowaniach, skąd rozciągały się piękne widoki wzdłuż starannie zaprojektowanych długich ulic, ale trzymała się Victorii i odebrała od niej treściwą lekcję na temat europejskich projektantów i najlepszych sklepów. Żałowała, że nie ma z nimi Leslie, która umiając się ubrać i dysponując pieniędzmi, lepiej

spożytkowałyby rady Victorii i pewnie kupiła tyle ubrań, że starczyłoby jej na dziesięć lat. No może — poprawiła się w myślach Katherine przypominając sobie szafę Leslie — przynajmniej na rok.

Henri Flambeau już na nie czekał u „Maxima”. Patrzył na idące zalaną słońcem ulicą dwie kobiety — obie jednakowego wzrostu, o podobnej szczupłej figurze i trzymające głowy w taki sposób, że przechodnie oglądali się za nimi; jedna była starszą panią o ostrych rysach, pomarszczonej skórze i urodzie bardzo delikatnej, przygaszonej już nieco niczym oglądany o zmroku obraz; druga była młoda, a jej śliczna twarz przykuwała uwagę — miała delikatne, lecz wyraziste rysy, cerę bladą, ale zaróżowioną i wspaniałe oczy: mądre, duże, a malowała się w nich ciekawość małej dziewczynki. Piękno w dwóch całkowicie różnych postaciach, pomyślał Henri, a widząc, że się do siebie uśmiechają, domyślił się, że są sobie bardzo bliskie.

— Opowiedz Henry'emu o swojej biżuterii — poleciła Victoria, gdy tylko usiedli.

Katherine, nieco onieśmielona, mówiła zwięźle, a Henri patrzył na nią uważnie; początkowo skupiał się na jej urodzie, a później zaciekawił się opisywanymi przez nią projektami i poprosił, by mu je naszkicowała.

— Aha — mówił przyglądając się rysunkom i dyplomatycznie kiwając głową, dopóki nie wtrąciła się Victoria.

— To jak, jesteś nimi zainteresowany czy nie, Henri? Dla nas to nie zabawa.

Henri rozłożył ręce.

— Naturalnie; pani Fraser jest prawdziwą profesjonalistką. Dlatego rozumiem, że nie mogę niczego obiecać, dopóki nie zobaczę jej prac. Projekty są bardzo interesujące.

— Interesujące! — powtórzyła zdziwiona Victoria. — Co za ostrożność, a przecież jesteś Francuzem.

— Francuzi są najostrożniejszym z narodów — odparł. — Chociaż Amerykanie lubią widzieć w nas lekkoduchów. Pani Fraser, jeśli będzie pani chciała sprzedać coś w Paryżu, to proszę najpierw pokazać mi to, co pani robi.

I Henri gładko zmienił temat pytając, czy widziały już Beabourg, nowoczesne muzeum zbudowane w wyjątkowo awangardowym stylu, jakby na „lewą stronę” — wszystkie rury, belkowania i windy zostały umieszczone na zewnętrznej stronie budynku.

— Marais zostało odkryte na nowo — mówił, — Wszystkie te wspaniałe pałacyki, w których zakładano fabryki, teraz poddaje się renowacji i urządzi w nich mieszkania. Wyobraźcie sobie: po dwustu latach, „epoce zapomnienia”, ludzie znów nie mają nic przeciwko mieszkaniu na prawym brzegu, a nawet uważają to za eleganckie.

— Ktoś mi mówił — wtrąciła Victoria z namysłem — że plac królewski w Marais zupełnie przebudowano. To najstarszy w Paryżu... jak on się nazywa...

— Place des Vosges — odpowiedział Henri. — Nie widziałyście go? Jest nadzwyczajny; pisze się o nim we wszystkich przewodnikach turystycznych. Jeśli macie trochę czasu...

— Zarezerwujemy sobie — oświadczyła Victoria. — Może dziś po południu. Co ty na to, Katherine? Masz coś przeciwko?

Trochę zaskoczona tym, że nagle mają czas, Katherine pokręciła głową.

— Pojadę, gdzie zechcesz.

W taki właśnie sposób Katherine i Victoria znalazły się o wpół do piątej na Place des Vosges pod numerem 21, akurat w chwili gdy Ross Hayward wychodził z pobliskiej bramy — podnosząc wzrok znad trzymany w ręku fotografii napotkał szeroko otwarte ze zdziwienia oczy Katherine.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Witaj, Ross — powiedziała Victoria niezbyt zaskoczona. — Kiedy Henri wymienił nazwę tego placu, wydała mi się jakaś znajoma. Czy właśnie tego miejsca dotyczy projekt, nad którym pracujesz z twym przyjacielem Jacques 'em?

Ross powoli zaczynał rozumieć, widać to było po jego oczach, które spoglądały to na Victorię, to na Katherine.

— Doskonale wiesz, że tak — potwierdził całując Victorię w oba policzki. Potem pokręcił głową. — Nie mogłaś powiedzieć mi prawdy zamiast urządzić przedstawienie?

— Nie należy niczego pozostawiać przypadkowi — odparła spokojnie Victoria.

Jakiej prawdy?, zadawała sobie pytanie Katherine. Ross przyglądał się jej, więc spojrzała mu w oczy czekając na wyjaśnienie. Nie widziała go od tamtego wieczoru w marcu, kiedy zastała go u Victorii, ale on zaraz wyszedł. Teraz uderzył ją jego wygląd.

Z przewieszoną przez ramię marynarką, w rozpiętej pod szyją koszuli, opalony i z rozjaśnionymi słońcem włosami sprawiał wrażenie odprężonego, a takim Katherine go nie pamiętała. Patrzyła na jego wysoką postać, na zdecydowane ruchy, ostre i wyraziste rysy twarzy i głęboko osadzone oczy, które przyglądały jej się z ciekawością i sympatią.

— Nie wiedziałaś, że tu będę, i Victoria zaprosiła cię do Menton?

— Tak. — Wtedy Katherine zrozumiała. Odwróciła się do Victorii i powiedziała: — Powinnaś była mnie uprzedzić.

— Powinam? Na pewno nie. — Victoria wysunęła podbródek. — Od kiedy muszę tłumaczyć się przed moimi wnukami? Tobiasz powiedział ci, że już od dawna chciałam zabrać cię do Francji; myślałam, że dzięki temu łatwiej będzie ci zerwać z Derekiem, ale zrobiłaś to sama bez niczyjej pomocy, — Ross szybko spojrzał na Katherine, a jego ściągnięte brwi powiedziały jej, że nic o tym nie wiedział. — Poza tym pragnęłam pokazać ci miejsce, które kocham. Musiałam jednak poczekać, ze względu na dzieci, aż zaczną się wakacje. A ciebie — powiedziała zwracając się do Rossa — zaprosiłam tu, bo zamartwiasz się dziećmi i pracą, i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Bezwzględnie potrzebowałeś oderwania od tego wszystkiego i każdy, kogo choć trochę obchodzisz, by ci w tym pomógł; byłoby bardzo dziwne, gdybym ja tego nie zrobiła.

Popatrzyła na nich swym władczyim wzrokiem oczekując komentarza, ale obydwójce rozsądnie milczeli.

— A poza tym — dodała cierpko — chcę, żeby w mojej rodzinie panowała zgoda, i dostatecznie długo już czekałam, aż sami się zaprzyjaźnicie. Jeśli z jakiegoś powodu, całkowicie niedorzecznego i nie do przyjęcia, nie jesteście w stanie się polubić, to na pewno możecie przez kilka dni tolerować swoje towarzystwo w willi. — Wzięła głęboki oddech. — Męczy mnie takie stanie na ulicy. Czy nikt tutaj nie zabierze słabej starej kobiety na kieliszek wina?

Katherine i Ross popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. Ross ujął babkę pod ramię.

— Niektórzy nadużywają przywilejów związanych z wiekiem. Chodźmy tędy; to tylko parę kroków — powiedział z westchnieniem.

Katherine wlokła się za nimi. Czuła się niezręcznie, a jej radość z pobytu w Paryżu mocno przybladła. To nie Henri był powodem

przyjazdu do stolicy; Victoria zabrała ją na te wycieczkę, żeby ona i Ross mogli „wpaść na siebie”. Fakt, że Ross też o niczym nie wiedział, nie przynosił jej ulgi; Katherine czuła, że się nią manipuluje i nie ufa na tyle, by pozwolić jej samej decydować.

Już nie raz byłam tak traktowana, pomyślała. Przez mojego męża.

W milczeniu towarzyszyła Rossowi i Victorii do małej kafejki „Ma Bourgogne” mieszczącej się pod arkadami przy Place des Vosges. Gdy usiedli na wiklinowych krzesłach przy okrągłym stoliku, a Ross i Victoria zaczęli gawędzić o Paryżu, Katherine poczuła się jak ktoś obcy. Ross wprawdzie spoglądał często w jej stronę, ale przecież nie mogła włączyć się w rozmowę o mieście, które oni oboje znali tak dobrze, a ona wcale. Bardzo chciała zostać sama.

Kelner przyniósł butelkę Bordeaux i napełnił kieliszki. Ross i Victoria wciąż gawędzili. Katherine oparła się wygodnie i sącząc łagodne wino wpatrywała się w pełne chłodnej elegancji pałacyki wokół porośniętego trawą placu i snuła domysły na temat ludzi mieszkających za tymi wysokimi złożonymi z małych szybek oknami marząc, że któregoś dnia sama zamieszka w takim budynku.

— Katherine? — powiedziała Victoria.

— Przepraszam, nie słyszałam — odezwała się.

— Mówimy o kolacji, kochanie. Zdecydowaliśmy pójść do „Tour d'Argent”. Jest tam wprawdzie mnóstwo turystów, ale chciałabym zobaczyć twoją minę na widok tego miejsca. I to ja was zapraszam; ugoszczę was oboje wynagradzając to, że nie wyjawiałyś swych planów.

I zaczęła opowiadać Rossowi o lunchu z Henrim. Słuchając jednym uchem Katherine zastanawiała się, czego Victoria się spodziewa po niej i Rossie. Czy mają się w sobie zakochać, czy tylko natychmiast zostać przyjaciółmi? Nastrój beztroski i przygody gdzieś się ulotnił; Katherine nie wiedziała, czego się teraz od niej oczekuje.

— A więc o dziewiątej — przypomniała Victoria zabierając torebkę i rękawiczki i wstając z krzesła, które kelner odsunął.

Ross tymczasem szybko podszedł do Katherine pomagając jej wstać. Wyczuł, że ona czuje się dość niezręcznie i chyba wolałaby, by jego tu nie było.

— To tylko kolacja — szepnął. — Potem nie będę ci już zakłócał spokoju.

Spojrzała na niego tak zdziwiona i zażenowana, że nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

— To bardzo ważne dla Victorii — dodał nie przyznając się do tego, że z przyjemnością czeka na ten wieczór. Już od tak dawna myślał o Katherine i tak długo trzymał się od niej z daleka, że spotkanie w Paryżu wydało mu się zrządzeniem losu, nawet jeśli nie było w tym żadnych czarów, a tylko zabiegi babki. Tego jednak nie zamierzał jej powiedzieć, bo Katherine czuła się skrępowana, może z powodu tajemniczości Victorii, a może dlatego że nie chciała, by on zakłócał jej radość wakacji; on, Ross, nie chciał przecież utrudniać jej sytuacji. — „Tour d'Argent” to bardzo niezwykła restauracja. Warto zjeść tam kolację, nawet jeśli współbiesiadnicy nie są mile widziani.

Victoria tak szybko zabrała Katherine z kawiarni, że nie miała ona szansy od razu odpowiedzieć Rossowi ani też nawiązać do tego wieczorem. Starsza pani nalegała, by milczeli, gdy kelner w „Tour d'Argent” prowadził ich do stolika chcąc widzieć, jak Katherine zachwyci się widokiem. Przez dłuższą chwilę wszyscy troje wpatrywali się w lekko pomarszczone, odbijające wieczorne niebo wody Sekwany i w jasno oświetloną katedrę Notre Dame, która wznosiła się na tonącej w zieleni wyspie i wydawała tak bliska, że niemal mogli dotknąć ręką jej kwadratowych wież i strzelistej iglicy.

— Prześliczne — westchnęła w końcu Victoria. — Nigdy nie oglądałam tego miejsca z moim mężem. A szkoda. — Potem zwróciła się do Katherine. — Z tą restauracją wiąże się dość znana historia...

Historia okazała się nieco przydługa i dotyczyła przebywającego tu gościnnie szefa kuchni i jakiegoś zagranicznego dygnitarza; Katherine starała się słuchać opowiadania babki, przyglądając się jednocześnie sylwetce Notre Dame i cieniom rzucanym przez nią oraz inne stare budowle na obydwu wyspach Sekwany, które niegdyś tworzyły miasto Paryż. Czuła, że Ross na nią patrzy, i zastanawiała się, co sobie teraz myśli; ogromnie pragnęła, żeby jej wakacje były tak beztrudne, jak się spodziewała.

Ni stąd, ni zowąd Ross i Victoria przeistoczyli się w przeurocze towarzystwo i jakby chcąc przeprosić ją za to, że nie zauważali jej po południu, teraz zabawiali ją przez cały wieczór barwnymi opowieściami o królach i królowych oraz o pojedynkujących się lub kochających, polujących i plotkujących dworzanach, którzy tworzyli królewską świtę w paryskich pałacach. Na zmianę przerzucali się

historyjkami, które poznali z książek czy spektakli teatralnych albo zasłyszeli je od swych paryskich przyjaciół, a Katherine z przyjemnością słuchała i śmiała się wraz z nimi. Około północy, kiedy kelner przedstawił Victorii rachunek — na którego widok nawet tak światowa dama jak ona uniosła w zdziwieniu brwi — wieczór wydał się Katherine tak przyjemny i beztroski, że milszego nie mogła sobie życzyć.

— Dziękuję ci — powiedział Ross, gdy czekali na taksówkę, całując babkę w policzek — za nadzwyczaj miły wieczór. Tylu historyjek nie opowiedziałem, odkąd skończyłem studia.

— Ale te były pewnie znacznie mniej sprośne — skomentowała ze śmiechem Victoria. — Mnie też było bardzo miło, Ross. Doskonale się bawiłam.

Gdy wysiedli przed hotelem „Meurice”, Ross wszedł z nimi do holu i ujął Katherine za rękę.

— Życzę ci, żeby pobyt we Francji spełnił wszelkie twoje oczekiwania. Masz najlepsze towarzystwo na świecie. A willa to cudowne, zaciszne miejsce.

— Nie bądź taki formalny — odezwała się Victoria z odrobiną niepokoju w głosie. — Przecież spotkamy się w Menton za niecały tydzień.

— Nie jestem pewien — odparł spoglądając na szczupłą dłoń Katherine wciąż spoczywającą w jego dłoni. Przez cały wieczór nie powiedziała nic, co wskazywałoby na to, że chce go ponownie zobaczyć. — Tutaj jest więcej pracy, niż się spodziewałem. W dodatku wkrótce przyjadą moje dzieci i chciałbym pokazać im Paryż. Ale jeśli będziemy mogli, to przyjedziemy — dodał szybko, bo Victoria już otwierała usta, by go ofuknąć. — Tak czy owak, zadzwonię. — Przez moment mocniej uściskał dłoń Katherine. — Baw się dobrze. Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić, póki jesteś w Paryżu, to daj mi znać,

— Za moich czasów — prychnęła Victoria, gdy już szły do windy — dżentelmen zaprosiłby nas na wystawne śniadanie. — Milczała przez chwilę, po czym dodała: — Byłoby miło, gdyby Ross tak właśnie zrobił.

Tak, pomyślała Katherine, dziwiąc się samej sobie. To byłoby bardzo przyjemne.

Place des Vosges to zielony park otoczony trzydziestoma sześcioma wysokimi kamienicami zwanymi *hotels*, z otynkowanej cegły w różnych odcieniach różu i czerwieni, z balkonami z kutego żelaza i okrągłymi okienkami w stromych pokrytych łupkiem dachach. W każdym budynku jest biała kamienna brama, przez którą przechodzi się na podwórko. Czterysta lat temu w parku odbywały się turnieje i festiwale, dwieście lat później kamienice opustoszały, bo ich mieszkańcy — właściciele fabryk — wyprowadzili się do nowych rezydencji na lewym brzegu Sekwany, a w latach sześćdziesiątych odkryto je na nowo i zaczęto powoli wykupywać od właścicieli, którzy okna zabili deskami, drogie parkiety zastawili ciężkimi maszynami, bogato zdobione drzwi usunęli, a podwórka zarzucili odpadkami.

Kiedy Ross pierwszy raz zobaczył Place des Vosges, kilka *hotels* było już wykupionych i rozpoczęto w nich prace renowacyjne. A gdy wrócił w to miejsce piętnaście lat później jako konsultant Jacques'a Duvaina, by pomóc w odnowieniu jednej z kamienic, zastał tętniącą życiem mieszankę starego i nowego. Niektóre budynki wciąż były zniszczone, ale wiele przeszło już renowację i teraz ich wyglądające zupełnie jak niegdyś mury mieściły prywatne mieszkania, szkoły, restauracje, synagogę i mnóstwo małych, ładnych sklepików.

Drugie piętro domu numer 9 przy Place des Vosges należało do Towarzystwa Architektonicznego i dzięki Jacques'owi, który był jego członkiem, Rossowi przydzielono tam — na czas pobytu w Paryżu — cichy kącik z biurkiem, stołem kreślarskim i dwoma fotelami. Następnego dnia po kolacji z Victorią i Katherine zasiadł za biurkiem zamierzając popracować. „Za moich czasów — przypomniał sobie kpiący głos Victorii, który dobiegł go, gdy pożegnał się z nią i Katherine — dżentelmen zaprosiłby nas na wystawne śniadanie.” Zastanawiał się, czy tego nie zrobić, ale w końcu odrzucił pomysł, choć przez cały dzień myślał o Katherine, o jej rozstaniu z Derekiem i przywoływał obraz młodej kobiety, gdy patrzyła na „Tour d'Argent” — poważna, ale pełna entuzjazmu i ciekawości i wcale nie starająca się sprawiać wrażenia światowej damy. Katherine była taka bezpretensjonalna i szczerą, a przecież zdecydowana zachować niezależność. Ta sprzeczność w jej charakterze czyniła ją zarówno silną, jak i delikatną. W ciągu ubiegłego

roku była inna za każdym razem, gdy ją widział — przeobraziła się z niezaradnej żony Craiga w intrygującą kobietę, i z tą właśnie kobietą wczoraj jadł kolację. Jednocześnie uświadomił sobie, że nic o niej nie wie.

Nie mógł się skupić, a pracy miał sporo. On i Jacques rozważali różne możliwości zainstalowania windy w czteropiętrowej kamienicy. Potem spędzili godzinę ze specjalistami, próbując złożyć w całość kawałki połamanych gzymśów na suficie wznoszącym się cztery i pół metra nad parkietem, któremu z kolei starali się przywrócić dawny blask. Następną godziną upłynęła im na omówieniu z wykonawcą robót sposobu instalacji rur i kabli w gipsowych ścianach, które przetrwały wojny i rewolucje, ale często kruszyły się pod naciskiem elektrycznego wiertła. Odkąd Ross przyjechał do Paryża, studiował, czytał i uczył się od wczesnego ranka do późnego wieczora, oglądał inne budynki przeznaczone do renowacji i udzielał rad. Dawało mu to bardzo wiele radości. I nawet teraz, kiedy jego uwagę odciągnęło niespodziewane pojawienie się Katherine, fascynowało go przenoszenie w wiek dwudziesty budynku skonstruowanego w roku 1605.

— Tak, tak — przyznał Jacques, gdy spotkali się na lunchu w restauracji „La Chope des Vosges” na rogu placu. — To z pewnością jest fascynujące. Tyle że... — Przerwał, bo właśnie wybrali przekąski ze szwedzkiego stołu i rozglądali się za stolikiem. — Ta winda kosztowała mnie wiele tygodni pracy! A teraz, zgodnie z twoim pomysłem, staram się ukryć ją za klatką schodową, ale muszę to zrobić tak, żeby nie zniszczyć jej łagodnego łuku, a to niemożliwe!

— Pracuję nad tym.

— Miło mi to słyszeć. Zastanawiam się też nad innym twoim pomysłem: żeby umieścić tę windę w przedniej części holu. Tylko że nie wolno mi naruszyć szatni. A tam miejsca jest w sam raz! Wymiary idealne!

— No cóż, może trzeba będzie jednak wykorzystać również szatnię. Ale wtedy musielibyśmy przesunąć ścianę na trzecim piętrze.

— W tym problem! Po cóż wkładać w to tyle wysiłku i pieniędzy? O ileż łatwiej wszystko zburzyć i wznieść od nowa!

— Nie zawsze.

— To prawda, Ale pomyśl: budynki konstruuje się zgodnie

z wymaganiami epoki i ludzi, którzy mają specyficzne zwyczaje i nawyki. Nikt nie buduje dla pokoleń, które narodzą się dopiero za czterysta lat.

— Jacques, gdybyś mógł, czy wyburzyłbyś tę kamienicę, nad którą teraz pracujesz?

— Rozwalić. Zacząć na nowo. Dziwna alternatywa, nie? Najlepsi w wyburzaniu są Amerykanie, rozbierają nawet trzydziesto-, czterdziestoletnie budynki. Czasem popełniają w ten sposób błąd, ale generalnie zgadzam się z nimi. Zacząć od nowa. Bez żadnych starych pomysłów, bez pozostałości z poprzednich pokoleń, bez kłopotliwych tradycji, bez...

— Urozmaicenia — podpowiedział Ross. — Także bez zachowania historii, wprowadzenia kontrastu czy ożywienia.

— Cóż — Jacques wzruszył ramionami. — To ty tak mówisz. Ale jeśli coś tracimy, na to miejsce pojawia się nowe, które jest częścią nas samych. Weźmy na przykład ciebie i mnie. Czyż nie zaczęliśmy wszystkiego od początku? Naturalnie ludzie to nie budynki, ale jak ci się wydaje? Czy nie lepiej było zostawić żonę, która nie bardzo nam odpowiadała — a obu nas to dotyczy — by zacząć wszystko od początku i zmienić życie na lepsze? Czyż nie powinniśmy dążyć do doskonałości? Zmieniamy się; potrzebne nam są nowe związki i nowe domy. To, co stare, już nas nie zadowala. Kto chciałby zapłacić dziesięć milionów franków za czteropiętrową kamienicę bez windy? Kto wytrzyma w związku, w którym wszystko idzie pod górę? — Roześmiał się szeroko. — Pod górkę to jeszcze całkiem nieźle.

— Nieźle — zgodził się Ross, a po chwili dodał: — Mam dwójkę dzieci, które są częścią mojego starego małżeństwa. Uważasz, że powinienem się ich pozbyć... oddać je?

— Ależ skąd; to zupełnie co innego. Żałowałbyś tego i one też. Pozwól, że coś ci poradzę na podstawie własnego doświadczenia. Moja żona i ja jesteśmy współwłaścicielami galerii sztuki. Jako partnerom w interesach układa się nam bardzo dobrze, ale w życiu prywatnym okropnie. Dlatego zachowaliśmy tylko to, co było dobre: spotykamy się, umawiamy na kolacje, żartujemy, ale miłości szukamy u kogo innego. Trzeba biec na spotkanie nowej przygody; nie należy oglądać się za siebie, choć czasem żal człowiekowi, że coś po drodze stracił. Rozumiesz? O, jest rachunek, czy na mnie kolej w płaceniu?

— Nie, na mnie. — Ross wyjął portfel i uśmiechnął się. — Jesteś doradcą z prawdziwego zdarzenia, Jacques. Różnimy się w poglądach, ale gdyby nie ty, nie mógłbym zajmować się żadnym starym budynkiem. A w dodatku mogę jeszcze poznać twoją osobliwą filozofię. Ja nawet w połowie nie odpłacam ci się za to, co mi dajesz.

— Wcale nie. Ty ofiarowujesz mi przyjaźń i amerykańską technologię. A jeśli chodzi o stare budynki, to nie twoja wina, że w Ameryce nia ma domów z szesnastego wieku, na których mógłbyś sobie poćwiczyć.

— Chyba tylko wigwamy — dodał Ross.

Obydwaj roześmieli się i wyszli z ocienionej arkady na światło słoneczne. Oslaniając oczy przed blaskiem Ross skierował się w stronę kamienicy i po raz drugi stanął oko w oko z Katherine.

Zatrzymał się jak wryty. Przysłała ją tu babka, przemknęło mu przez myśl, czy przyszła z własnej inicjatywy? Ale dlaczego Katherine znów miałaby dać sobą manipulować? Wtedy zobaczył jej oczy, w których malowała się pewność siebie, zdecydowanie i... odrobina obawy; wyglądała tak, jakby nakazała sobie stać w tym miejscu, ale bała się, że on odwróci się do niej plecami. Podał jej rękę.

— Witaj. — Rozejrzał się. — Jesteś sama?

— Tak. — Zerknęła na Jacques'a, który przestępował z nogi na nogę za plecami Rossa.

— Jacques Duvain — przedstawił go Ross urażony nieco podziwem malującym się na twarzy kolegi. — Katherine Fraser.

Jacques uniósł dłoń Katherine i musnął ją ustami

— Bardzo mi miło panią poznać.

Uśmiechnął się szeroko i wtedy Ross zobaczył Katherine w zupełnie nowym świetle — z dala od znajomego otoczenia San Francisco, uwolnioną od przytłaczających ją wspomnień o mężu, bez babki w roli przyzwoitki, daleko od Dereka. W wydekoltowanej niebieskiej sukni, z narzuconym na ramiona białym żakietem stała przed nim, trochę niepewna, jakby dokonywała jakiegoś wyboru — młoda kobieta o niepospolitej urodzie, wahająca się przed zrobieniem kroku w nieznaną. Ross zrozumiał, dlaczego Jacques jest taki zaintrygowany.

— Słyszałem, że przyjechała pani do Paryża — ciągnął Duvain niewinnym głosem ledwie zerknąwszy na Rossa. — Nie chciałbym

się narzucać, ale gdyby potrzebowała pani przewodnika, który mieszka w tym mieście od zawsze... — Kątem oka dostrzegł gest Rossa. — Naturalnie mój przyjaciel Ross zna Paryż prawie tak dobrze jak ja. Pójdę więc już... — znów musnął wargami dłoń Katherine — ...ale mam nadzieję, że jeszcze panią zobaczę. — Popatrzył na Rossa i uśmiechnął się. — Mówiłem o zaczynaniu od nowa. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że mój wspaniały kolega tak mnie wyprzedził. Może zjedlibyśmy kolację któregoś wieczoru, we trójkę — jeśli to możliwe?...

W końcu odszedł. Gdy zabrakło jego trajkotania, zapanowała cisza.

— Może się przejdziemy? — zaproponował Ross. — Nie widziałaś wczoraj całego placu.

Katherine przytaknęła skinieniem głowy. Była zdenerwowana i znów myślami wróciła do Victorii. Przechadzali się po placu, to w słońcu, to znów w w cieniu — z jednej strony mieli zielony park z fontannami i ławkami, a z drugiej majestatyczne stare kamienice. Zatrzymali się na chwilę przed oknem wystawowym, żeby popatrzeć, jak rzemieślnik odnawia klawikord.

— O której masz się spotkać z Victorią? — spytał Ross.

— Nie jestem z nią umówiona. — Katherine obserwowała zręczne ręce rzemieślnika. — Dziś rano wróciła do Menton.

Ross odwrócił się szybko w jej stronę.

— Źle się poczuła? — spytał.

— Nie. — Katherine spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. — Doszła do wniosku, że postąpiła przebiegle i z tupetem.

Ross zachichotał, a Katherine mu zawtórowała.

— Cóż — zaczął, gdy podjęli spacer — może i tak. Dlatego tu jesteś.

Katherine zatrzymała się; twarz jej oblał rumieniec.

— Robię to, co sama uważam za słuszne — powiedziała. Zdenerwowanie ustąpiło miejsca gniewowi; w jej dużych oczach malowała się pewność siebie i duma. — Nie można mną manipulować jak marionetką; sama podejmuję decyzje.

Ross przeklął się w duchu.

— Przepraszam, nie to miałem na myśli. Odniosłem wrażenie, że wolisz być w Paryżu sama i nie masz ochoty na moje towarzystwo, a Victoria najwyraźniej chciała...

— Naturalnie; sama się do tego przyznała. Ale wyjeżdżając niczego nie sugerowała; nie zrobiła nawet najmniejszej aluzji. Ona dobrze wie, że nie przyszedłabym do ciebie tylko dlatego, że ona by sobie tego życzyła, zwłaszcza po tym, co zaszło wczoraj.

Ross popatrzył na jej utkwione przed siebie oczy.

— A dlaczego przyszedłaś? — spytał cicho.

— Bo chciałam. — Po raz pierwszy głos jej zadrżał. — Bo miałam ochotę cię zobaczyć.

Uderzyła go prostota tych słów. Odpowiedział jej równie prosto:

— Cieszę się, że cię widzę. — A po chwili spytał: — Jak Victoria wyjaśniła swój nagły wyjazd?

Przechodzili właśnie obok galerii rzeźby i Katherine zatrzymała się na moment, by zerknąć do środka.

— Powiedziała, że chce dać mi szansę samodzielnego zwiedzenia Paryża. — Uśmiechnęła się sama do siebie. — W pewnym sensie miała rację, bo zdawała sobie sprawę, że wczoraj mnie trochę hamowała. Ale mniejsza o powód; zostawiła mi nasz apartament i dwa dni w Paryżu, a to cudowne. Victoria jest wspaniała, jestem jej wdzięczna i bardzo ją kocham.

— Tak — odezwał się Ross. — A więc mamy ze sobą coś wspólnego. — W jego oczach malowała się ta sama czułość, którą Katherine widziała w Vancouver, gdy po raz pierwszy mówił jej o swej babce. — O której wyjechała? — spytał.

— Po śniadaniu.

— I nie zostawiła ci żadnych instrukcji co do sposobu zwiedzania Paryża? To do mojej babki niepodobne.

Katherine roześmiała się.

— Spisała mi nazwy swoich ulubionych restauracji, najpiękniejszych budynków, miejsc, z których roztaczają się najładniejsze widoki, sklepów z najlepszą...

— Nic dodać, nic ująć — podsumował za nią Ross i oboje się roześmieli. Ross ujął Katherine za rękę i poprowadził do restauracji z mnóstwem kwiatów w środku. — I zastosowałaś się do tych instrukcji?

— Większość z nich chyba w ogóle zapomniałam. Kupiłam sobie mapę, spacerowałam, przejechałam się metrem... — Zawahała się. — I zafundowałam sobie wycieczkę objazdową.

— Wycieczkę!... — Ross ugryzł się w język. — I co widziałas?

— Całe mnóstwo budowli i pomników, ale po dziesięciu minutach wszystkie mi się pomieszały.

Ross uśmiechnął się.

— To normalne. A co robiłaś potem?

— Przyszłam tutaj, żeby cię odszukać. Zabrzmiało to tak naturalnie.

— Dlaczego? — spytał.

— Myślałam o tobie. Nigdy tak naprawdę nie miałam okazji dowiedzieć się, czy ty mnie lubisz, czy nie, i bardzo mnie to dręczyło, a teraz jest chyba odpowiednia pora, żeby się o tym przekonać. Wiedziałam, że ty do mnie nie zadzwonisz, dlatego ja musiałam przyjść do ciebie.

Uczucie dziwnej lekkości ogarnęło Rossa.

— Dlaczego teraz jest odpowiednia pora?

— Bo nie jesteśmy w San Francisco. Tam nie potrafiłabym tego zrobić. — Kelner przyniósł właśnie karafkę z winem i napełnił kieliszki; Katherine uniosła swój i popatrzyła przez niego na otaczające ich barwne kwiaty. Płatki, widziane przez blade złote wino, wydawały się wydłużone i pozaginane, jakoś dziwnie zmienione. — Czuję się tak, jakbym zerwała ze wszystkim, co znam, ze wszystkim, co robię. Na cokolwiek rzucę okiem, wydaje mi się nowe. Nawet takie zwyczajne rzeczy, jak jedzenie, znaki drogowe czy metki z cenami są egzotyczne i tajemnicze. Dlatego i inne niż zazwyczaj zachowanie wydaje się na miejscu. Właściwie to nawet mam takie uczucie, że powinnam zachowywać się inaczej, bo wszystko wokół mnie jest inne. — Uśmiechnęła się. — Strasznie jestem głupia.

— Wcale nie. — Ross oparł się wygodnie i wyciągnął swe długie nogi. — Kiedy prowadzimy z Jacques'em prace w budynku, gdzie on kieruje renowacją, to tuż za rogiem, pokażę ci później, stajemy czasem przed kominkiem, który ma ponad trzy i pół wieku i jest tak wielki, że trzech mężczyzn by się w nim zmieściło, i chodzimy po parkietach, które układano na długo przed przybyciem Pielgrzymów do Ameryki. Kiedy to wszystko widzę, trudno mi czasem uwierzyć, że żyję w dwudziestym wieku; wszystko wydaje się jakieś takie nierealne.

Oczy Katherine zajaśniały.

— Właśnie. Mam dokładnie to samo uczucie.

— Ale nie sądziłaś, że to zrozumiem. Bo nie wiedziałaś, czy cię lubię. Zarumieniła się, ale podchwyciła temat.

— A lubisz?

— Tak — odparł swobodnie. Pojawił się kelner i rozlał po równo zawartość karafki do kieliszków. — Możemy o tym porozmawiać, jeśli masz ochotę. Może przy kolacji. Zjesz ze mną kolację? A jutro, jeśli pozwolisz, pokażę ci mój Paryż. Bardzo różni się od Paryża Victorii, ale myślę, że ci się spodoba. O ile, oczywiście, nie masz jakiś innych planów. A jeślibyś chciała...

Po raz pierwszy Katherine roześmiała się w pełni rozluźniona.

— Bardzo bym chciała — odparła.

Kolację zjedli w restauracji „Chez Philippe”, małej, zatłoczonej, pozbawionej atmosfery napuszonej; hałaśliwe rozmowy wypełniały salę o kamiennych ścianach, belkowanym suficie i podłodze z czerwonej terakoty. Ross zarezerwował stolik w nieco oddalonym od reszty miejsc kąciaku.

— Nie zawsze jest tu tak głośno — powiedział, gdy kelner przyniósł im butelkę wina. — Jadają tu okoliczni mieszkańcy i kiedy jest duży tłok, to tak jakby zebrała się tu wielka rodzina. Jesteś rozczarowana?

— Nie — zaprzeczyła zdziwiona. — Dlaczego miałabym być zawiedziona?

— Bo to miejsce bardzo różni się od „Tour d'Argent”, „Taillevent” czy „L'Archestrate”. Właściwie powinienem był cię uprzedzić, że nie przepadam za wytwornymi restauracjami. Bez względu na to jak doskonale jest tam jedzenie, nie potrafię się nim w pełni delektować, jeśli bardziej przykuwają moją uwagę wyłożone lustrami i obite jedwabiem wnętrza oraz kelnerzy we frakach, którzy niczym pingwiny-czarodzieje zdejmują z talerzy srebrne pokrywy.

Katherine roześmiała się, ale przypomniała sobie z pewnym zażenowaniem, jak wielkie wrażenie robiły na niej ekskluzywne restauracje, do których zabierał ją Derek. I teraz też spodziewała się, że pójdą do lokalu w rodzaju tych, które wybrałaby Victoria czy Derek, i odpowiednio się na tę okazję ubrała. A w prostym wnętrzu, w którym siedzieli, jej bladożółty jedwab wydawał się zbyt elegancki.

— Wyglądasz wspaniale — powiedział Ross widząc, że Katherine obrzuca wzrokiem inne kobiety. — I nie ma w twoim stroju nic nieodpowiedniego. W tej restauracji ceni się oryginalność. Czy to paryska suknia?

— Tak; ale czy na pewno pasuje do tego miejsca? Znalazłam wczoraj fantastyczny sklep, powiedział mi o nim jeden z projektantów, z którymi poznała mnie Victoria; nazywa się „Miss Griffes”. — Ross pokiwał głową na znak, że wie o czym mowa — Słyszałeś o nim?

— Melania słyszała. Mają tam modele, które wcześniej wisiały na manekinach w oknach wystawowych, i sprzedają je za bezcen, to o ten chodzi, prawda? Melania nigdy tam jednak nie poszła; powiedziała, że nie lubi używanych ubrań.

— Victoria wspominała mi, że jesteście w separacji.

— Tak — odparł krótko. — A więc podobało ci się w „Miss Griffes”?

— Podobało? Wpadłam tam w prawdziwy trans. Nawet nie przeliczałam na dolary, po prostu płaciłam frankami. Tak dużo nie wydałam na siebie, odkąd... od ponad roku.

— Czas, żebyś zaczęła to robić. Jesteś bardzo ładna, Katherine. Zaczerwieniła się i zaczęła rozglądać po sali, a Ross patrzył na

nią. Jej uroda była delikatniejsza i nie tak rzucająca się w oczy jak Melanii, ruchy nie tak gwałtowne, a suknia, choć doskonale skrojona, miała w sobie wiele prostoty. Melania zapewne wybrałaby coś bardziej ekstrawaganckiego. I może właśnie dlatego Katherine sprawiała wrażenie osoby poważniejszej i bardziej godnej zaufania, bardziej...

A niech to diabli, zaklął w myślach Ross. Dlaczego właściwie porównuję ją z Melanią? Przecież one nie mają ze sobą nic wspólnego.

— Ja zamówię, dobrze? — spytał, gdy zbliżył się kelner. — Serwują tu kuchnię baskijską i mogłabyś mieć kłopot z wyborem dania.

— Chyba tak — zgodziła się. — Bo nawet nie wiem, co to w ogóle za kuchnia. Ross roześmiał się.

— To kuchnia rejonu w Pirenejach położonego między francuską Gaskonią a północną Hiszpanią. Lubisz pieczone przepiórki?

— Nigdy czegoś takiego nie jadłam.

— Więc weźmiemy jedną porcję i podzielimy się. — Złożył zamówienie, po czym dodał: — Do tego jeszcze *cassoulet* i Pomerol albo Saint-Emilion. Wybór pozostawiam panu; proszę podać lepszy rocznik któregoś z nich. — Wyprostował się na krześle. — Jeśli żadne nie będzie ci smakować, to wybierzemy coś innego. Myślę jednak, że dojdiesz do wniosku, iż warto było zrezygnować z wytwornego lokalu.

— Nie jestem rozczarowana i nie chcę, żebyś tak myślał — odparła łagodnie. — Podoba mi się tutaj. Nie potrzebuję wytwornych lokali; właśnie to nie podobało mi się na tej wycieczce objazdowej. Pokazywali tam tylko same wspaniałości, a to przecież nie jest prawdziwe oblicze miasta. A ja chciałam zobaczyć te mniej znane miejsca, chciałam sama coś odkryć...

— Skręcić za róg i znaleźć tam zwyczajnych ludzi...

— Robiących pranie albo gotujących kolację...

— Albo wybierających się do pobliskiej restauracji. Roześmieli się. Gdy kelner przyniósł kieliszki i butelkę Pomerol,

Ross nakrył ręką dłoń Katherine i powiedział:

— Obiecuję ci, że w ciągu następnych dwu dni zobaczysz tylko nieznanne oblicze Paryża.

Ross dotrzymał słowa. Zjawił się w hotelowym holu już o siódmej trzydzieści rano.

— Victoria byłaby przerażona tą godziną — powiedział śmiejąc się, gdy witał się z Katherine. — Ale podobałoby się jej, że zapraszam cię na śniadanie.

— Wydaje mi się, że ona niezupełnie to miała na myśli — stwierdziła Katherine, gdy stali przy barze w małej kawiarni, jedząc rogaliki i pijąc kawę. Jednak powiedziała to śmiejąc się, bo ranek był słoneczny i chłodny, maślane rogaliki gorące, a ona czekała niecierpliwie, tak zresztą jak i Ross by wyruszyć na zwiedzanie Paryża; dlatego właśnie nie poszli do restauracji, gdzie zdani byłiby na łaskę powolnego kelnera — spieszno im było wyjść w miasto, zbudzone już ze snu.

Pod nazwą Paryż kryje się tak wiele różnych miast, że nikt nie jest w stanie ich zliczyć, każdy bowiem widzi je zupełnie inaczej.

Nikt nie pozostaje jednak obojętny. Oszałamiająco piękne, rozbrzmiewające ogłuszającym hałasem, pełne ludzi i samochodów, urzekające widokami, ale i szokujące brudnymi zaułkami, nieskończenie różnorodne, hołdujące różnaitości w kuchni, modzie, kulturze, religiach i erotyzmie, miasto to szczyci się, że jest jednocześnie ogromnym muzeum i tętniącą życiem metropolią nowoczesnego świata.

Paryż Rossa zawierał w sobie to wszystko, ale jego prawdziwe oblicze, ukryte za tymi wspaniałościami, odnaleźć można było w głębi *arrondissements*, a więc w wąskich, wijących się uliczkach, gdzie od pokoleń wciąż te same rodziny kochają się, modlą i pracują, umierają i spoczywają na cmentarzach. Przez wiele lat w czasie wycieczek z rodzicami, z Melanią lub podczas samotnych spacerów Ross zwiedzał te podobne do labiryntów dzielnice, których centrum stanowił kościół i niewielki plac albo park, i przysłuchiwał się pogawędkom w bistrach, zaprzyjaźniał z ludźmi, czytał francuską literaturę, poznawał historię i studiował architekturę inspirowaną tradycjami religijnymi i codziennym życiem.

Po takich właśnie uliczkach spacerował teraz z Katherine opowiadając ich historię i związane z nimi legendy. Brzmiało to tak, jakby jedna za drugą zrywał warstwy przeszłości, wydobywając na światło dzienne dziwne zachcianki i marzenia sprzed wieków.

— Tu, w piwnicy właściciele znaleźli narzędzia tortur z osiemnastego wieku — powiedział zatrzymując się przed masywnymi podwójnymi drzwiami odrestaurowanego budynku. — Wyobraź sobie: rewolucjonistów wieszano tu nad kadziami z wrzącym olejem, a trzy piętra wyżej, w kuchni, kucharz doprawiał oliwą sałatę. Pełna grozy równowaga: życie i śmierć, tworzenie i zabijanie...

Katherine spojrzała na rzeźbę nad drzwiami przedstawiającą grecką boginię sprawiedliwości.

— Ciekawe, czy każda rodzina ma jakąś piwnicę, o której chciałaby zapomnieć.

Uśmiech rozświetlił oczy Rossa. Często się nad tym zastanawiał, gdy zajmował się renowacją starych budynków, ale nigdy nikomu o tym nie mówił.

— Każdy z nas ma w sobie jakąś piwnicę, jakąś przeszłość, którą chciałby pogrzebać i zignorować — powiedział.

Słowa te jakby zawisły w powietrzu. Powtarzając je sobie

w milczeniu Ross pomyślał o człowieku, do którego idealnie one pasowały. Przyjrzał się uważnie Katherine, starając się myśleć o niej jak o żonie Craiga. Ale Craig był daleko, nieobecny. Nic nie wydawało się teraz rzeczywiste; tylko Paryż.

Katherine popatrzyła w przestrzeń za Rossem. Jego słowa poruszyły ją, ale świadomość bieżącej chwili była silniejsza. Podobnie jak w willi Victorii tutaj też czuła się odcięta od wszystkiego, co zdarzyło się wcześniej. Przynajmniej na chwilę przeszłość została gdzieś daleko w tyle.

— Na pewno każdy z nas ma coś takiego — powiedziała swobodnie, gdy napotkała spojrzenie Rossa.

Westchnął głęboko i oboje ruszyli w dalszą drogę. Na rue de la Bucherie znajdował się mur, który, jak objaśnił Ross, był częścią budynku mieszczącego przed pięciuset laty Wydział Medycyny.

— Wtedy tylko mnisi zajmowali się leczeniem — mówił z zadumą. — Na żółtaczkę przepisywali dżdżownice w białym winie, odchody myszy na kamienie nerkowe i krew królika na kamienie żółciowe. — Popatrzył na Katherine. — Dyskryminacja kobiet, zakazująca im uprawiania medycyny, należy już do przeszłości.

— Szczęściarzy z nas — mruknęła Katherine i śmiejąc się przeszli dalej. Po chwili Ross dotknął jej ramienia.

— A tutaj możesz poznać inną kartę opowieści o piwnicy. — Przesunął dłonią po ciemnym kamieniu wmurowanym w róg nowego budynku. — Zakopany skarb. Kiedy stary budynek zakwalifikowano do rozbiórki i robotnicy rozwalili mur, wysypały się z niego złote luidory: ponad trzy tysiące złotych dwudziestodwukaratowych monet. Był tam też testament człowieka, który zaginął w roku 1757 i który zostawił to wszystko swojej córce. Znalaziono około osiemdziesięciu potomków tej dziewczyny, którzy podzielili się fortuną,

— Inna karta — powtórzyła powoli Katherine. — Tortury i skarby — dwie strony rzeczywistości. Równowaga. Czy tego szukasz w swojej pracy?

Ross poczuł ogarniającą go radość, bo wreszcie mógł się z kimś podzielić własnymi myślami.

— I w pracy, i w życiu prywatnym. Chciałbym umieć tak kierować swoim życiem, że nawet jeśli w jednej dziedzinie mi się nie powiedzie, to i tak w końcu zdołam osiągnąć spokój i równowagę.

Chyba dlatego kocham Paryż — to miasto żyje, bo wszystko się w nim równowazy: najkrwawsze wydarzenia z historii i umiłowanie życia, budowle ku czci życia pustelniczego i inne wysławiające rodzinę, dziki postmodernizm tuż obok starannie przechowywanych dzieł starożytności. Tyle tu przeciwieństw, wspaniałych przeciwieństw, ale w efekcie — równowaga.

Ta myśl zaintrygowała Katherine. Odnosiła się nie tylko do architektury, lecz i do biżuterii. Kiedy tak szli przed siebie, zastanawiała się nad tym, co mówił Ross, ciesząc się, że znane sobie rzeczy może zobaczyć teraz z innej perspektywy.

— Ross — odezwała się nagle. — Jest mi cudownie.

Popatrzy] na nią niemal osłupiały ze zdumienia.

— Cieszę się — odparł. — Chciałbym ci jeszcze bardzo wiele pokazać...

Ona tymczasem zastanawiała się, co go tak zaskoczyło — to, że czuje się cudownie, czy że mu o tym powiedziała.

Chodzili po mieście cały dzień, a Katherine dumiała o przeszłości przemieszanej tu z burzliwym życiem nowoczesnego miasta. Udało im się przekonać wielu kościelnych, żeby pokazali im wnętrza świątyń, i portierów, by wpuścili ich do odrestaurowanych budynków, na wewnętrzne podwórka i do starannie pielęgnowanych ogrodów. Zatrzymywali się przy słupach z ogłoszeniami, gdzie Ross tłumaczył napisy na rozlepionych tam kolorowych plakatach reklamujących wszystko — od opery po marsze protestacyjne. Poszperali też w księgarniach na lewym brzegu Sekwany, gdzie żadne z nich nie mogło oprzeć się zrobieniu zakupów. Tylko kilka książek, mówiła sobie w myśli Katherine. Nie uniosę tego, jeśli zostanę tu jeszcze chwilę. Zatrzymywali się, by obejrzeć ulicznych artystów i muzyków. Po lunchu, który zjedli w maleńkim bistro, wspięli się po stromych schodach na szczyt Montmartre i zagłębili w kręte uliczki i zakątki pełne walących się pracowni zapalonych młodych malarzy i rzeźbiarzy. Przechadzali się też nad Sekwaną, gdy miękkie srebrzyste światło zapadającego wieczoru niczym delikatny welon przykrywało rzekę, łukowate mosty i ludzi, którzy spacerowali jeszcze przed udaniem się do domów.

Przez dwa dni przemierzali miasto pieszo, autobusami albo metrem; w jego szerokich, jasno oświetlonych korytarzach obwieszonych ogromnymi obrazami, młodzi muzycy siedząc po turecku

grali na gitarach, saksofonach czy fletach. Przeważnie jednak Katherine i Ross spacerowali; on opowiadał, a jej oczy coraz to na niego spoglądały. Jego szorstkość zniknęła zupełnie. Z wyjątkiem pierwszego lunchu, kiedy mówił jej o projekcie BayBridge, nigdy nie widziała go tak zrelaksowanym, a w jego głębokim głosie nigdy nie brzmiało takie ciepło, ożywienie i chłopięca radość, że może podzielić się swoją wiedzą. Ale najbardziej uderzyły Katherine jego dłonie — gdy przesuwał nimi po starych murach czy żelaznych kratkach, było w nich tyle ciepła i zmysłowości, jakby dotykał czegoś żywego. Ja chyba w podobny sposób dotykam kruszcu, pomyślała Katherine przypominając sobie kontakt dłoni z ciepłym złotem, gdy je formowała i obrabiała; wiedziała, że obydwójce mają świadomość, iż potrafią opuszkami palców wyczuć życie ukryte w kamieniu i metalu. Tylko że Ross potrafi coś więcej, pomyślała z zazdrością; on dotykając dzieła innych podaje jakby dłoń budowniczym, którzy choć dawno już odeszli, wciąż żyją w budowlach, jakie po sobie zostawili.

— W ten sposób ciągle jestem blisko mego dziadka — powiedział Ross zaskakując Katherine tymi słowami, bo zdawały się odpowiedzią na jej myśli.

Stali na małym dziedzińcu na rue Jacob odsuniętym nieco od ulicy. Znajdowały się na nim dwa domy — jeden odbudowany i zamieszkały, drugi pusty, walący się pod ciężarem trzechsetletnich zniszczeń. Ross przesunął dłonią po jednym z dwu kamiennych lwów strzegących odnowionego budynku.

— Ilekroć przywracam jakiś dom do życia, czuję się tak, jakbym nie pozwalał dziadkowi umrzeć. Właściwie — dodał pół żartem, pół serio — to słyszę, jak krytykuje albo chwali moją pracę; to tak, jakbyśmy ciągle prowadzili nasze długie rozmowy, zupełnie jak za jego życia. Niemal razem pracujemy.

— Szkoda, że nigdy go nie poznałam — powiedziała Katherine.

— Pokochałby cię. — Ross otworzył furtkę i opuścili dziedziniec. — Widziałby w tobie drugą Victorię.

Słowa te sprawiły Katherine dużą przyjemność i wywołały rumieniec. Delektowała się nimi w ciszy, podziwiając bogactwo detali na domach i sklepach, które Rossowi się podobały i na które zwracał jej uwagę, gdy szli w kierunku rue Bonaparte. Patrząc, jak wodzi swymi długimi palcami po bogato rzeźbionej bramie, po

mitologicznych i biblijnych postaciach wykutych w kamieniu, Katherine pragnęła położyć swą dłoń na jego dłoni, by w ten sposób dzielić z nim ten zmysłowy dotyk i za jego pośrednictwem poczuć przeszłość. Uczestniczyła już w tych doznaniach, lecz poprzez rozmowę, obserwację ruchów jego rąk i wyrazu twarzy, podziwiając też widoki, które jej pokazywał — z każdą chwilą lubiła go bardziej, ceniła głębiej jego odczuć i wiekie oddanie dla tego, co robił. To także nas łączy, pomyślała wspominając, jak ją samą pochłania jej zajęcie, ale zaraz uświadomiła sobie, że chwilami Ross tak bardzo skupia się na pracy, iż zapomina, że ona jest tuż obok. Zaczęła się zastanawiać, co jest dla niego ważniejsze — przeszłość czy terażniejszość?

A co jest ważniejsze dla mnie? Ta myśl pojawiła się nagle i równie szybko Katherine ją od siebie odepchnęła. Teraz chciała myśleć o Rossie; sobą zajmie się później.

Kiedy każde wróciło do siebie, żeby przebrać się do kolacji, Katherine zanurzyła się w marmurowej wannie pozwalając odpocząć zmęczonym nogom, które nosiły ją po całym Paryżu. Rano miała odlecieć do Menton. Zaczęła myśleć o minionych trzech dniach i o Rossie, który stronił od wytwornych restauracji, ale doskonale znał się na dobrej kuchni i winie; swobodnie poruszał się w międzynarodowych kręgach towarzyskich czy zawodowych i z równą swobodą zagłębiał w małe, nie rzucające się w oczy uliczki Paryża; budował nowoczesne dzielnice, a jednocześnie ochraniał budowle z przeszłości; miał rodzinę, ale unikał rozmów na jej temat; o Rossie, który był przystojnym mężczyzną i człowiekiem sukcesu, lecz prawie nigdy nie mówił o sobie; to dzięki temu człowiekowi zaznała tyle radości z czyjegoś towarzystwa, zwłaszcza że przez wiele ostatnich miesięcy czuła chłód i pustkę. Wiedziała tylko, że nie potrafi go zrozumieć.

— To ostatnia ukryta część Paryża — powiedział Ross, gdy w restauracji Altarda szli do swego stolika. — Jedno z moich ulubionych miejsc.

Kelner znał Rossa i podobnie jak wszystkich ulubionych klientów nazywał go jowialnie „Monsieur le President”; odbył też z Rossem ożywioną dyskusję na temat trunku, który miał podać po posiłku.

— Naturalnie ta rozmowa była bez znaczenia — Ross wyznał potem Katherine. — I tak podają tu calvados bez względu na to,

co się zamówi, bo ich zdaniem to właśnie najodpowiedniejszy trunek. Ale najpierw zawsze trzeba się pospierać; w końcu tradycji musi stać się zadość.

Znów przeszłość i terażniejszość, pomyślała Katherine.

— Czy to dla ciebie najważniejsze? — spytała. — Tradycja? Wszystko to, co związane jest z przeszłością?

— Trwa przez wieki — odparł.

— Ależ nie. Rozsypuje się w ruinę.

— Byłaś dzisiaj w Saint Julien le Pauvre. Zbudowano go w 587 roku.

— Ale co to znaczy? Że pokładasz zaufanie w kamieniu, bo czasami jest trwały?

— Lepiej stawiać na kamień niż na papier czy metal, glinę albo drewno... albo na miłość — dodał lekkim głosem. — Czy na małżeństwo.

Kelner przyniósł calvados i wlał chlupiący strumyczek płynu do dwu kieliszków, zwracając się do Katherine per „Madame le President” i mówiąc, że tworzą *un couple harmonieux*, wyjątkowo dobraną parę.

Obracając kieliszek w dłoni, Ross powiedział:

— Ale odpowiem ci. Zabytki przeszłości są dla mnie ważne z tego samego powodu, dla którego zostałem architektem, a mianowicie dlatego, że chcę czuć, iż istnieje ciągłość wiążąca nas razem, wszystkie pokolenia i epoki. Nie rodzimy się w próżni, by przeżyć nasze życie i zniknąć; jesteśmy częścią czegoś, co było przed nami i będzie po nas, co nadaje znaczenie naszemu istnieniu i temu, co tworzymy. Wszyscy chcemy coś po sobie pozostawić, a to znaczy, że pragniemy też wierzyć, że inni zobaczą to, co my stworzyliśmy, że dotkną tego i to ożywią. W pewnym sensie to właśnie pragnienie trzyma nas przy życiu.

Uśmiechnął się i ujął dłoń Katherine.

— Nie zamierzałem wygłaszać wykładu. W tej chwili akurat bardzo wiele radości daje mi terażniejszość. A to mi o czymś przypomina. Jutro przylatują Carrie i Jon i muszę wyjść po nich na lotnisko. Właśnie przyszło mi do głowy — dodał swobodnym tonem — że chyba bardziej spodoba im się wieś niż miasto. No i towarzystwo Jennifer i Todda. Miałabyś coś przeciwko, żebyśmy razem z tobą polecieeli do Menton?

Rozdział czternasty

Ross uprzedził babkę telefonicznie, więc kiedy przed dom zajęła limuzyna powracająca z lotniska w Nicei, Victoria nie była zaskoczona najazdem — zresztą po jej pogodnym uśmiechu i pełnym spokoju powitaniu niewielu tylko domyśliłoby się, że od początku zaplanowała spędzenie wakacji z czwórką dzieci, z których żadne nie miało więcej jak dwanaście lat. Ross jednak czuł się za nie odpowiedzialny i witając się z babką szepnął jej do ucha:

— Postaram się, żeby ci się nie naprzykrzały; będę je krótko trzymał i nie spuszczę z oka.

— Ależ nie waż się tego robić — odparła z przerażeniem w głosie. — Nie miałbyś w ogóle czasu dla siebie.

Albo dla Katherine, pomyślał; bo to właściwie Victoria miała na myśli. Ubawiony patrzył, jak Victoria wita się z dziećmi. Uparta, wytrwała kobieta, która stara się kierować życiem członków swojej rodziny, tak by mogła żyć poprzez nich. No i bardzo mądra, wiedziała, że Katherine i ja pasujemy do siebie.

— Na wszystko znajdziemy czas — obiecał głośno wywołując tym uśmiech na twarzy Victorii, która patrzyła, jak wszyscy idą do swoich pokoi, by się rozpakować.

Dzieci zamieszkały w bocznym skrzydle, w którym mieściły się cztery pokoje i sala zabaw; miały także osobne podwórko; Victoria i Hugh dobudowali je spodziewając się wizyt hałaśliwych wnuków. Craig, Jennifer, Derek i Ross spędzali tu każde lato, a w miarę jak rośli, pokój zabaw zmieniał się wraz z nimi — konie na biegunach i klocki zostały stopniowo zastąpione zabawkami mechanicznymi, samolotami do sklejania, a w końcu stolikami do warcabów, telewizorem i wieżą stereo oraz szalką pełną rozmaitych gier, jak szachy, trik-trak, *scrabble*, chińskie warcaby czy gra w Monopol.

Stojąc w progu Ross z zadziwieniem pokręcił głową.

— Zupełnie niczego tu nie zmieniła — powiedział do Katherine prowadząc ją w głąb pokoju. — Ostatnio byłem w Menton latem 1966 roku; cała nasza czwórka przyjechała tu wtedy zaraz po szkole na dwa tygodnie. Miesiąc później Jennifer zginęła i Victoria zamknęła całe to skrzydło. Ale... — dotknął delikatnie jednej z figur szachowych, a potem modelu pierwszego samolotu braci Wright — ...nic tu nie zmieniła.

Katherine wzięła do ręki małe otwarte pudełeczko, w którym leżał zwinięty sznurek czarnych pereł.

— Należały do Jennifer — wyjaśnił Ross. — Zostawiła je tu, gdy wyjechaliśmy do domu.

— Zapomniała zabrać? — spytała Katherine.

— Nie chciała tego naszyjnika. Gdzie są twoje pokoje? A w ogóle czy Victoria powiedziała ci, że przydzielając je gościom kieruje się pewnymi regułami?

— Nie.

Wtedy Ross szybko zmienił temat. Pewnie pytając o naszyjnik poruszyłam zbyt osobistą kwestię, pomyślała. Wyszli z sali zabaw i skręcili w bok w szeroki korytarz. Jedna ze ścian była cała ze szkła przysłoniętego drewnianymi żaluzjami i widać było przez nią ogród kwiatowy, a dalej kort do badmintona, trawnik do krykieta i warzywnik. Rankiem zwykle żaluzje były opuszczone, by nie świeciło słońce. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się trzy apartamenty — każdy z rozsuwanymi szklanymi drzwiami na taras, z którego rozciągał się widok na różowobeżowe dachy Menton, zatłoczone nabrzeże i lazurowe wody Morza Śródziemnego. Markizy nad tarasem tworzyły jakby baldachim i były opuszczane po lunchu, by osłaniać dom przed piekącym popołudniowym słońcem.

— Tutaj mieszkam — powiedziała Katherine wchodząc do . apartamentu składającego się z sypialni i salonu urządzonych

w kolorze liści szafwii i kości słoniowej; pokoje przypominały chłodną oazę pośród oślepiających barw Riwiery. — Czym kierowała się Victoria umieszczając mnie właśnie tutaj?

Ross przysiadł na poręczy fotela i rozejrzał po przestronnych pokojach.

— Gdy dorastaliśmy, dom ciągle pełen był gości, pisarzy, malarzy, dyplomatów, biznesmenów; przyjeżdżali i wyjeżdżali przez całe lato. Przeważnie nie zwracaliśmy na nich większej uwagi, ale zawsze mieliśmy oko na tych, którym Victoria przydzielała ten apartament, bo nie ukrywała, że to jej ulubieńcy. Nie wiedzieliśmy tylko, czy dawała im te pokoje dlatego, że byli szczególnymi gośćmi, czy też dopiero stawali się nimi mieszkając tutaj. Tak czy owak uznaliśmy, że te sypialnie mają jakąś magiczną moc i chyba każde z nas marzyło, że nadejdzie dzień, kiedy to nas Victoria tu zaprosi. — Uśmiechnął się. — Naturalnie nigdy się tego nie domyśliła, bo niby jak? Mieliśmy dla siebie całe skrzydło. A ona miała swych honorowych gości. Nie było ich wielu, Victoria niełatwo i nieprzypadkowo obdarowuje ludzi przyjaźnią, ale każdego lata uzbierało się parę takich osób, wystarczająco dużo, bym zapamiętał ten apartament. Nie wiesz, czy Victoria zaplanowała coś na wieczór?

— Nie.

Znów to samo, pomyślała; odkrył przed nią odrobinę siebie i zaraz się wycofał.

— Bo przyszło mi do głowy, że po kolacji moglibyśmy się przejechać — ciągnął. — Monte Carlo jest zaledwie parę mil stąd; warto raz je zobaczyć, ale potem lepiej trzymać się z daleka. Chyba że masz już dość zwiedzania po...

— Tato — przerwał im Jon. — Carrie mówi, że mam się rozpakować. Skoro będziemy tu przez cały miesiąc, to dlaczego mam to robić w tej chwili? Właściwie po co w ogóle się rozpakowywać? Jeśli będę czegoś potrzebował, to wtedy wyjmę to sobie z walizki. Carrie na mnie wrzeszczy, bo jest zła na Jennifer.

— Dlaczego jest zła na Jennifer? — spytała Katherine.

Jon zrobił niewyraźną minę, niepewny jak zachowywać się w stosunku do Katherine. Wprawdzie zamąciła im trochę wakacje,

ale tata zdawał się ją lubić, więc razem z Carrie omówili tę sprawę i uznali, że lepiej postępować ostrożnie.

— Bo Jennifer i Todd tylko dlatego, że są tu już od tygodnia, zachowują się tak, jakby tu mieszkali, a nas traktują jak obcych.

Widząc konsternację Katherine, Ross powiedział szybko:

— Chyba przyda się tu trochę dyplomacji. Masz coś przeciwko, żebym się tym zajął?

Katherine potrząsnęła przecząco głową i powiodła wzrokiem za ojcem i synem wychodzącymi z pokoju. Czy ma coś przeciwko! — powtórzyła w myśli. Przez rok musiała sama rozsądzać każdy spór i rozładowywać wszelki niepokój. A teraz stała w niczym nie zmaconej ciszy swego pokoju, zadowolona, że pozwoliła Rossowi zająć się swoimi dziećmi — miała prawdziwe wakacje.

Oślonięte przed porywistymi wiatrami z północy, w tropikalnym niemal klimacie rosną w Menton bujne palmy i sady, w których przez okrągły rok dojrzewają pomarańcze, mandarynki, grapefruity i cytryny, a sosny, oliwki i cyprysy porastają wzgórza, kryjąc w swej gęstwinie podmiejskie wille. Kilka mil dalej możni tego świata całymi nocami uprawiają hazard, a za dnia opalają się na plaży. Zaledwie dwie godziny jazdy samochodem dzieli to miejsce od Alp, raj u narciarzy przez cały rok. Wille w Menton, położone jakby na uboczu, dostępne jedynie od strony ścieżek i stromych schodów, strzegą swej prywatności, obojętne na kręcących się w dole turystów.

W Villa Sereine Victoria starała się narzucić swe łaskawe rządy.

— Mam tu kompletną listę — obwieściła Katherine i Rossowi — festiwali i wystaw, które odbędą się w okolicach Menton aż po Aix-en-Provence — trasa w sam raz na jednodniową wycieczkę — a do tego jeszcze spis muzeów, kościołów i ruin z czasów rzymskich, które na pewno będziecie chcieli zobaczyć. Hugh i ja uwielbialiśmy przechadzać się pośród nich. Katherine; pamiętaj, żeby zabrać ze sobą szkicownik, znajdziesz tam mnóstwo ciekawych formacji. A jeśli chodzi o dzieci... — Rozłożyła na stole plik papierów. — Zorganizowałam dla nich prywatne rejsy żaglówką i wycieczki wspinaczkowe, a także lekcje pływania i skoków z trampoliny na basenie w Menton. Rozmawiałam też z przyjacielem w Monako, który ma własne korty tenisowe i osobistego trenera;

dzieci mogą przyjeżdżać tam, kiedy zechcą. Naturalnie mają jeszcze kino, moją bibliotekę i gry w pokoju zabaw. Myślę, że gry są dla nich w sam raz. — Podniosła wzrok znad kartek. — A jeśli nie, to kupię wszystko co... — Urwała widząc, jak Ross kręci głową. — O co chodzi?

— Wiesz o co; już to przerabialiśmy. Nie możesz przecież każdemu z nas zorganizować dnia godzina po godzinie. Chcę spędzić trochę czasu z Carrie i Jonem. Muszę pojechać do Paryża na kilka dni. Chcę pobyć z tobą i z Katherine, a czasem być sam. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli każdy z nas ustali swój własny plan, a potem spróbujemy je zgrać.

— To wcale nie będzie najlepiej — odparła Victoria cierpko. — Kiedy nie wiem, co dzieje się pod moim dachem, robię się strasznie nerwowa. Ale rozumiem, że chcecie pobyć z dziećmi; powinnam była o tym pomyśleć. Moglibyście popłynąć z nimi w morze, zamiast zrezygnowałyby chyba z lekcji żeglowania. Zorganizuję to...

— Nie chcę, żebyś coś organizowała — przerwał Ross. — Cały czas to robisz, odkąd zabrałaś Katherine do Paryża.

— A co było w tym złego? — spytała. — Przecież dobrze się bawiliście!

— A może wspólnie coś ustalimy? — wtrąciła Katherine. — Wszystko, co zaplanowałaś, Victorio, jest wspaniałe, ale w ten sposób ja także nie będę miała czasu dla siebie, a muszę zaprojektować przynajmniej tuzin naszymi i bransoletek. A poza tym nie powiedziałaś jeszcze, co sama zamierzasz robić. Czy nie moglibyśmy wspólnie wszystkiego omówić? Ross?

— Dobry pomysł. Zorganizujmy konferencję.

— Czy to by cię trochę uspokoiło? — spytała Katherine Victorię.

— Chyba tak — odparła. — Ale wydaje mi się, że najbardziej denerwuję się wtedy, kiedy coś nie układa się tak, jak to zaplanowałam.

Ross roześmiał się.

— Mnie też się tak wydaje. No ale zobaczymy, co uda nam się ustalić.

Mając widok na taras, na którym rozmawiali dorośli, Jennifer, Todd, Carrie i Jon siedzieli po turecku w cieniu cyprysowego drzewa na wzgórku i jedząc pomarańcze grali w *scrabble*. Atmosfera była posepna. Jennifer i Todd uznali, że Carrie i Jon wtrągnęli

w ich życie i odebrali wyłączność na prababkę, która pod nieobecność matki poświęcała im całą swoją uwagę. Carrie i Jon natomiast pamiętali kąśliwe uwagi własnej matki i uważali Katherine i jej dzieci za intruzów i intrygantów. Ross nakazał im życie w zgodzie mówiąc, że chce mieć spokojne wakacje, a oni mogą spędzać czas razem albo osobno, ale mają pamiętać, że lekcje tenisa, żeglowania czy wspinaczki nie są organizowane dla każdego oddzielnie. I albo będą korzystać z nich razem, albo nie będzie ich miało żadne. Wybór należy do nich.

Dlatego trzymali się razem i toczyli ze sobą milczący, acz zacięty pojedynek w *scrabble*. Patrzyli na Todda wpatrującego się z zadumą w swoje literki. W końcu umieścił na planszy pięć kwadracików.

— S-Z-M-A-L — przeliterował głośno i szybko dodał: — To mi daje czternaście punktów, ale przysługuje mi podwojenie wyniku, więc mam...

— Nie istnieje takie słowo — powiedziała oburzona Jennifer.

— Ależ tak. — Todd powiódł wzrokiem po całej trójce i zaczął chichotać. — Oznacza dużo pieniędzy.

Jon wybuchnął zduszonym śmiechem, a Carrie i Jennifer wbrew sobie też się roześmiały.

— Nieźle — pochwaliła Carrie.

— A więc uznajecie mi to? — spytał Todd. — Mam dwadzieścia osiem punktów?

— Nie — odparli zgodnie,

— A niech to. — Pomyślał przez chwilę i w innym miejscu na planszy umieścił słowo B-Y-K, po czym srogim wzrokiem obserwował Jennifer, a kiedy ułożyła P-O-T-O-M-E-K, krzyknął: — Takiego słowa też nie ma!

— A właśnie że jest. To, że ty o nim nie słyszałeś...

— Jest takie słowo — potwierdziła Carrie.

— I co znaczy? — domagał się wyjaśnień Todd.

— Syna albo córkę.

— To nie jest słowo dla wszystkich.

— Owszem, jest! — odparła zniecierpliwiona Jennifer. — Każdy, kto ma matkę i ojca, jest ich...

— Ja nie mam ojca. Ty zresztą też.

— To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam! — Rozgniewana Jennifer odsunęła swoje literki. — Właśnie że mamy ojca. Tylko nie ma go tutaj.

— Skoro go tu nie ma, to go nie mamy.

— Ej — odezwał się z nachmurzoną miną Jon. — Mój tata nie mieszka z nami, ale wciąż go mamy.

— To nie to samo — odparował Todd. — Wy wiecie, gdzie jest wasz tata, nawet jeśli akurat go z wami nie ma. Jesteście w o wiele lepszej sytuacji niż my...

— Wcale nie lepszej tylko gorszej; to okropne wiedzieć, że jest niedaleko i nie mieć go w domu. Wyobraź sobie, że wiesz, że mieszka po drugiej stronie zatoki, prawie widzisz jego dom, a nie możesz być z nim wtedy, gdy bardzo tego potrzebujesz, to jest straszne...

— To lepsze niż nie wiedzieć nawet, czy twój tata żyje czy nie!

— A skąd ty o tym wiesz?

— Przestańcie! — krzyknęła Jennifer. — Najgorzej jest wtedy, gdy w ogóle nie widuje się ojca, a my nie widzieliśmy naszego od miesiący...

— Tak, ale po jakimś czasie można się do tego przyzwyczaić — wywnioskowała Carrie. — Widzisz, my ciągle musimy się żegnać z naszym tatą. Spędzamy z nim weekend albo jemy kolację, albo coś w tym rodzaju i on nas potem odprowadza i nie wchodzi z nami do domu, tylko zostaje przed drzwiami i żegna się. Za każdym razem muszę się z nim żegnać!

— Ale możesz się też witać — sprzeciwił się Todd.

— Tak, ale zawsze myślę wtedy o tym, co będzie później, że znowu będę musiała mówić mu do widzenia. To naprawdę okropne i zwykle zaczynam wtedy płakać; nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

— Ja wolałabym płakać — stwierdziła Jennifer zdecydowanie — niż wcale nie mieć taty.

— A przed chwilą mówiłaś, że mamy ojca! — wrzasnął Todd.

— Nie w pobliżu, jak Carrie i Jon. Jest gdzieś i przysyła nam pieniądze, ale nie możemy z nim rozmawiać i chodzić w różne miejsca, jak oni... Carrie i Jon widują swego ojca codziennie.

— Tylko tutaj — sprostowała Carrie. — Ale w domu nie. — Oczy dziewczynki napełniły się łzami. — A naprawdę najgorsze jest patrzeć przez okno i widzieć, jak tata odjeżdża, widzieć tył jego samochodu.

— To ty tak uważasz — wtrącił Todd. — A spróbuj sobie wyobrazić, że już nigdy nie zobaczysz swego ojca.

Zapadła cisza. Na bujnej trawie leżały porozrzucane skórki z pomarańcz; bzyzącą głośno krążyła nad nimi pszczoła, po czym odleciała w pobliskie krzaki.

— To, co robimy, jest głupie — stwierdziła cicho Jennifer. — Wszyscy mamy jakieś zmartwienia, ale nie chcę urządzać konkursu na największe nieszczęście.

— Ja też — zgodziła się Carrie. — Nikt by nie wygrał. Todd z ponurą miną wpatrywał się w planszę *scrabble*. Nagle

podniósł ręce do góry i zaczął gwałtownie trzeć głowę, jakby chciał ją bardzo dokładnie umyć, aż włosy stanęły mu dęba. W końcu rzucił pozostałej trójce wyzywające spojrzenie.

— Wygrałbym — powiedział — jeśli ktoś by mi pozwolił użyć słowa „szmal”.

Chwilę trwało pełne zaskoczenia milczenie. Przerwała je Jennifer, która wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem, a Carrie i Jon zaraz do niej dołączyli; dzieci śmiały się coraz głośniej nie mogąc się opanować, a ich piski odbijające się echem od wzgórz dotarły do trójki dorosłych, którzy słysząc je uśmiechnęli się. Śmiech stopniowo słabł, aż w końcu ucichł. Dzieci otarły załzawione oczy i uśmiechnęły się do siebie — teraz były już przyjaciółmi.

Dni zaczęły toczyć się rytmem, który zgodny był — i nic w tym dziwnego — z planami Victorii. Rano najczęściej Katherine pracowała nad projektami, Ross spędzał czas ze swymi dziećmi, a Jennifer i Todd organizowali sobie coś sami lub z Katherine — jeśli akurat nie była zajęta — albo Victoria zabierała je do ogrodu i we trójkę doskonale się bawili klucząc pomiędzy warzywami i kwiatami i wyrywając tu i ówdzie chwasty pod okiem ogrodnika, który pogrążony w niemym bólu czekał niecierpliwie, aż sobie pójda i oddadzą mu jego królestwo.

Po południu każdy zajmował się swoimi sprawami. Victoria czytała u siebie w salonie, dzieci szły na wycieczkę albo na lekcje — zależnie od tego, co babka zaplanowała dla nich na dany dzień — a Ross i Katherine zwiedzali okolice.

Zaczęli już pierwszego wieczoru po kolacji. Ross wynajął samochód i pojechali wzdłuż wybrzeża do Monte Carlo.

— Nie robi na tobie wrażenia? — spytał, gdy Katherine milcząco wpatrywała się w podobne do pałaców Kasyno i Hotel de Paris, których złocone fasady z marmuru, brązu i kryształu połyskiwały na tle czarnego śródziemnomorskiego nieba.

— Robi i to bardzo duże — odparła. Pomiedzy kasynem a hotelem wciąż przepływał potok ludzi; Rossa i Katherine co chwila mijały postacie wystrojone w wieczorowe suknie, smokingi i peleryny, a pióra w ich włosach falowały niczym palmowe liście na drzewach. — Przypomina mi to trochę piekarnię — stwierdziła po namyśle Katherine.

Ross nie wiedział co powiedzieć. Powiódł wzrokiem po żyrandolach, bogato zdobionych balkonach, po gipsowych kariatydach i nienaturalnie wyglądających kwiatach.

— Piekarnię? — powtórzył zdziwiony.

— Tuż przed Bożym Narodzeniem. Babeczki, bezy i torty, a wszystko połukrowane, posypane, zabarwione, ozdobione i absolutnie wspaniałe i uroczyste, bo zbyt bogato udekorowane i nierealne, jak na co dzień. No i wygląda to na bardzo drogie.

— Bo jest. — Rozbawiony porównaniem Ross przechodził z Katherine z jednej sali do drugiej i spoglądał na znudzonych hazardzistów, którzy siedzieli przy stolikach albo przechadzali się po zadymionych wnętrzach, zaglądając innym przez ramię lub wymieniając ploteczki. Ross wskazał kręcącego ruletką krupiera. — A to szef kuchni?

— Albo połukrowany święty Mikołaj — odparła Katherine. Śmiejąc się wrócili do samochodu.

Następnego dnia przy śniadaniu Ross wspomniął mimochodem o górzystym miasteczku Saint Paul, do którego łatwo dojechać z Menton i gdzie miło można spędzić popołudnie. Sam nie miał jeszcze planów na drugą część dnia i ciekaw był, co Katherine zamierza robić.

Ona posłała Victorii pytające spojrzenie.

— Naturalnie powinnaś pojechać — rzekła szybko Victoria. — Nic nie zaplanowałam na popołudnie. Nie musicie wracać na kolację.

— Ale chciałabym — powiedziała Katherine.

Wyjechali po lunchu i resztę dnia spędzili w starej wiosce, która przytulona do szczytu urwistego wzgórza otoczona była kamiennym

murem wzniesionym przed tysiącem lat, by broni! wsi przed najeźdźcami.

— Przyjeżdżałem tu, kiedy jeszcze byłem w liceum — zaczął wspominać Ross.
— Zwykle sam. Tylko dziadkowi to miejsce wydawało się równie fascynujące, ale nawet jemu po jakimś czasie spowszedniało. A ja nigdy się nim nie znudziłem. — Głos Rossa odbił się echem od kamiennych łuków wznoszących się nad wąskimi, pnącymi się w górę uliczkami. — Wymyślałem sobie historyjki o ludziach, którzy tu mieszkali, o bitwach, które staczali, grach, w które grali...

— A ty byłeś ich bohaterem — wtrąciła Katherine. Ross uniósł brwi ze zdziwienia.

— Jak na to wpadłaś?

— Sama też zmyślałam różne historyjki. Wprawdzie nie miałam cudownej wioski przytulonej do skalistego wzgórza, a tylko park Golden Gate, ale były tam bitwy i gry, i wyimaginowani przyjaciele, i rodzina... Jakoś nie mogę wyobrazić sobie siebie samego: masz przecież wokół siebie rodzinę.

— Byłem sam, kiedy tego chciałem; uciekałem od wszystkich i przyjeżdżałem tutaj. W San Francisco też miałem takie miejsce; nie tak oddalone od świata, ale wystarczająco intymne. To były szczególne zakątki — dodał zamyślony. — Uwielbiałem być sam. — Roześmiał się. — Chyba zapomniałem jak to jest, gdy dorosłem. A teraz musiałem od nowa się tego nauczyć.

— Naprawdę? — Katherine popatrzyła na niego uważnie. Po raz pierwszy sam z siebie powiedział jej coś o sobie. — Zawsze wydawałeś mi się taki samowystarczalny i pewny siebie. Myślałam, że ze mną jest coś nie w porządku, bo czułam się okropnie musząc przyzwyczajać się do samotności.

— Pewnie byłoby z tobą coś nie w porządku, gdyby przyszło ci to bez żadnego trudu.

Ross opowiedział jej o pierwszej wizycie swych dzieci w jego domu w Berkeley.

— Jon ciągle nie chce nazywać go naszym domem. A to przypomina mi, że one będą musiały odjechać i znów zostaną sam, a jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłem.

— Wiem, co czujesz — powiedziała cicho Katherine. — Kiedyś rozmawiałam sama ze sobą...

— Naprawdę? Ciekaw byłem, czy to robiłaś. Zwłaszcza kiedy sam się na tym przyłapałem.

— Potem zwykle czułam się strasznie zażenowana i włączałam radio.

— Ja nie pomyślałem o radiu. Nakazałem sobie przyzwyczajać się do ciszy.

— I przywykłeś do niej?

— Nie.

Wkrótce wioska została za nimi, a po kilku minutach doszli do Maeght Fondation, gdzie przechadzali się po muzeum sztuki i zalanych słońcem ogrodach, w których stały rzeźby. Dzielili się wrażeniami na temat tych, które najbardziej im się podobały, i zauważyli, że w większości mieli podobne opinie. Potem wrócili do Saint Paul na lampkę wina i przekąskę z sera w „La Colombe d'Or”.

— To też muzeum — powiedział Ross, gdy Katherine podziwiała barwne freski na dziedzińcu, na którym siedzieli. — Poczekaj, aż zobaczysz malowidła wewnątrz. A wszystko się zaczęło, gdy właściciel tej restauracji, monsieur Roux, pozwolił najbiedniejszym klientom, którzy jednocześnie byli jego przyjaciółmi, płacić za posiłki własnoręcznymi malowidłami, gdy nie mieli pieniędzy. Tymi klientami byli Picasso, Braque, Miró, Matisse, Dufy, żeby wymienić tylko paru.

— Mądry człowiek — stwierdziła Katherine i nieco przewrotnie zapytała: — Jak myślisz, co wydałoby mu się trwalsze? Przyjaźń czy kamień?

— Apetyt — odparł bez namysłu Ross. — Dzięki niemu zarabiał na życie. — Uśmiechnęli się do siebie siedząc pośród długich cieni kładących się na wysadzanych kwiatami kamiennych klombach i wśród ciemnych błyszczących liści bluszczu opadających kaskadą na mur za nimi. — Przyszło mi na myśl, że jutro moglibyśmy pojechać do San Remo — powiedział Ross. — To tuż za włoską granicą. Podobno warto zobaczyć widoki po obu stronach szosy wzdłuż wybrzeża.

Przy kolacji Victoria potwierdziła tę opinię.

— Są wspaniałe. W Bordighera rosną najcudowniejsze palmy, a ogrody na stokach przy drodze... — Rozczuliła się. — Hugh zawsze kupował mi kwiaty. Zupełnie nie mógł się od tego powstrzymać; sam przyznawał, że to niemal choroba, ale niegroźna.

Ilekcroć mijaliśmy stoisko z kwiatami, zatrzymywał się i kupował mi bukiet wszystkich, jakie były. Pod koniec dnia samochód był po brzegi wypełniony kwiatami i ludzie chcieli je od nas kupować. Kiedy im mówiłam, że dostałam je od męża, turyści zwykle pytali: „Co pani z nimi zrobi?“, a Francuzi poważnie kiwali głowami i mówili: „*Folie ou amour*. Szaleństwo albo miłość”. — Roześmiała się. — *Folie ou amour*. Ale wiedzieli, że chodzi o *amour*. No więc. — Zadowolona popatrzyła na Rossa i Katherine. — San Remo. Polecam je wam z całego serca.

Po wycieczce do San Remo każdego ranka przy śniadaniu Ross proponował wypad do jakiegoś miasteczka albo do jednego z muzeów sztuki nowoczesnej, którymi usiana była Riwiera, albo przejażdżkę w Alpy. Czasami Victoria, zainspirowana własnymi wspomnieniami, sama delikatnie coś proponowała, ale przeważnie uśmiechała się tylko zadowolona, widząc, jak Katherine i Ross pochyleni nad mapą planują wycieczki. W weekendy, kiedy dzieci nie miały zajęć, zabierali je ze sobą, ale w pozostałe dni jeździli sami, a za każdym razem wyprawiali się nieco dalej, skręcając w coraz to inną wijącą się wśród wzgórz drogę, by odkryć zamek albo ogród z tysiącem tropikalnych roślin porastających urwiska, podziemne jaskinie albo rozpadający się młyn ze starodawnymi kołami łopatkowymi i kamieniami młyńskimi w rynnice. Wszędzie czuli woń Prowansji: zapach ziół, oliwek, pomidorów i czosnku, pomarańcz i rozmarynu, drzew owocowych i lawendy, świeżo upieczonych bagietek. Któregoś ranka Ross przyszedł na śniadanie z koszem o dużym pałaku i tego dnia wyjechali jeszcze przed lunchem, zabierając ze sobą ten kosz, który kucharka Victorii wypełniła nicejską tartą cebulową, serami i owocami oraz butelką prowansalskiego różowego wina.

Dwie godziny później otworzyli ją siedząc pod wysoką sosną na jedwabście gładkiej trawie tuż przy strumieniu przepływającym przez alpejską łąkę. Woda w potoku była przejrzysta, a spływając wartkim nurtem z gór rozbijała się o tysiące skałek i otoczków tworząc maleńkie wodospady. Powietrze było czyste i ciepłe.

— Czuję się taka rozleniwiona — powiedziała Katherine kładąc się na trawie. Nad głową, na tle ciemnoniebieskiego nieba, miała powykręcane gałęzie i ciemnozielone igły sosny. — I wcale się tego nie wstydę.

Ross podał jej kiść winogron.

— Czego miałabyś się wstydzić?

— Tego, że nic nie robię.

Ross oparł się plecami o pień drzewa i popatrzył na Katherine.

— Odpoczywasz. Kontemplujesz przyrodę. Cieszysz się słońcem i cieniem.

Sprawiasz ogromną przyjemność swemu towarzyszowi. To wystarczająco dużo zajęć jak na letni dzień. Chyba nie chcesz powiedzieć, że nigdy wcześniej nie miałaś wakacji.

— Nie, oczywiście, że je miałam. Ale chyba nigdy nie pozwalałam sobie na absolutne lenistwo. Jakaś część mnie zawsze myślała o tym, co będzie potem, sporządzała listę rzeczy, które powinnam zrobić po wakacjach, układała plany... tak wiele było w moim życiu tego, co powinnam...

— A teraz?

— Teraz są głównie pytania. — Katherine usiadła krzyżując nogi. — I wszystkie zaczynają się od: „Czy mogę?...” — Spojrzała na Rossa. — Czy to nie dziwne? Wydawało mi się, że w tej nowej sytuacji będę miała w życiu więcej ograniczeń, bo spoczywa na mnie odpowiedzialność za całą naszą trójkę. Ale jakoś tak się składa, że wcale nie jest ich więcej. A nawet mniej.

— Bo udowodniłaś samej sobie, co potrafisz. Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Jeszcze niczego nie udowodniłam. Ale wciąż szukam.

A więc ciągle brak jej pewności siebie, pomyślał Ross. Lecz mimo wszystko trudno oczekiwać, żeby już ją miała. W końcu ma za sobą dopiero rok. A ładnych parę miesięcy musiało zapewne pochłonąć przyzwyczajanie się do samotności. Ross patrzył, jak Katherine układa na dłoni pachnący wzgórek z sosnowych igieł, i zastanawiał się, kiedy ona zacznie uważać swe osiągnięcia za rzecz oczywistą, podobnie zresztą jak swą urodę i wszelkie inne zmiany, które dokonały się w niej w ciągu minionego roku. Wtedy, gdy będzie pewna, że osiągnęła życiową stabilizację, odpowiedział sobie w myślach. Jak więc można ją winić, póki to się nie stanie, za to, że jest niepewna i trochę zbyt ostrożna?

Zupełnie niespodziewanie przyszedł mu na myśl Derek. Czy Katherine czuła się przy nim niepewna? Przyglądając się jej zamyślonej twarzy i zadając sobie w myśli to pytanie stwierdził, że niczego nie rozumie — bo im lepiej ją poznawał, tym bardziej

niemożliwy wydawał mu się fakt, że była jedną ze zdobyczy Dereka. Już chciał otworzyć usta, żeby ją o to zapytać, ale powstrzymał się. No bo jak miał sformułować pytanie? Kim ty naprawdę jesteś, skoro potrafiłaś tulić się do mojego brata? Jeśli chcę ją zrozumieć, powiedział sobie w końcu, to muszę poznać ją taką, jaka jest przy mnie, a nie zgadywać, jaka była przy Dereku, Należy jej się to.

Jednak natarczywa myśl powracała, powiedział więc sobie, że pewnego dnia zapyta o to Katherine.

— Opowiedz mi, jak wyglądało twoje życie w Nowym Jorku — poprosiła Katherine, gdy podnosząc wzrok zauważyła, że Ross jej się przygląda.

Była dobrą słuchaczką, już wcześniej się o tym przekonał. Opisał jej swoje mieszkanie na West Side, z którego widać było majaczącą w dali rzekę Hudson, bo na pierwszym planie stały dwa bloki. Opowiedział też o przyjaźni z Jacques Duvain i o urbanistycznych projektach przebudowy Bostonu i Filadelfii, które przyciągnęły uwagę całego kraju.

— Victoria dzwoniła wtedy raz lub dwa razy w tygodniu i prosiła, żebym wrócił; nie do korporacji, wiedziała, że tego nie chcę, ale żeby założyć własną firmę. Mówiła, że potrzebuje mojej przyjaźni i towarzystwa i że chce mieć rodzinę w całości; a ja zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję jej dokładnie z tych samych powodów. Poza tym na tyle mocno już wierzyłem we własne siły, że czułem się gotów założyć swoją firmę. A kiedy Victoria zaproponowała, że poleci mnie swoim przyjaciółom i znajomym z rady nadzorczej, przestałem się wahać.

Katherine roześmiała się.

— Mnie złożyła podobną ofertę; chciała zarekomendować mnie właścicielom sklepów jubilerskich.

— Jedną z najmilszych jej cech jest konsekwencja. Ale odmówiłaś przyjęcia pomocy?

— Chciałam spróbować sama; to było dla mnie bardzo ważne.

— Bo dopiero zaczynałaś. Ja przeżyłem ten okres w Nowym Jorku; miałem na swoim koncie spore sukcesy, więc skorzystałem z jej propozycji. To kontaktom Victorii zawdzięczam sporo ze swych najlepszych zleceń, a niektórzy zwracali się do mnie powtórnie, zamawiając domy albo biurowce. Moim ulubionym klientem,

któremu zaprojektowałem dom w Mili Valley, jest prawdziwy potentat w dziedzinie nieruchomości. Przygotowałem też dla niego projekt centrum handlowego, które nazwał swoim imieniem. Tak był z niego dumny, że powiedział, iż nigdy go nie opuści, i pod największym sklepem kazał wybudować mauzoleum dla siebie i swojej rodziny.

— Zamiast kamienia nagrobnego ma kwity kasowe — zauważyła kwaśno Katherine.

Ross roześmiał się.

— Nigdy coś takiego nie przyszło nam do głowy, ale to doskonale porównanie. — Włożył do koszyka pustą butelkę po winie. — Chyba czas się zbierać, jeśli chcemy zdążyć na kolację. Ale nie musimy, wiesz o tym...

— Tak, ale chcę. — Katherine wstała otrzepując dzinsy. — To dobra okazja, żeby pobyć z dziećmi, a poza tym wydaje mi się, że to ważne dla Victorii.

Ross wyjął z jej włosów kawałek sosnowej szyszki.

— Równie ważne jest dla niej to, żebyśmy my byli ze sobą. — Rzuciła mu szybkie spojrzenie, a on uśmiechnął się widząc jej pogodne oczy. — To bardzo mądra kobieta.

Katherine też się uśmiechnęła, ale nic nie powiedziała. Pomyślała, że Ross opowiadał jej o wszystkim, tylko nie o swojej żonie, którą przecież poznał w Nowym Jorku i tam się z nią ożenił. Ta myśl nic dawała jej spokoju podczas kolacji ani potem, na tarasie, kiedy pod krytycznym wzrokiem Victorii grali z dziećmi w Chińczyka; jednak Katherine przede wszystkim myślała o stosunkach Rossa z dziadkami. Przeprowadził się do San Francisco, bo Victoria go potrzebowała, a on za nią tęsknił. Rok temu w Vancouver niemal w pierwszych słowach wspomniał, że przyjechał, bo życzyła sobie tego jego babka. A teraz stale powoływał się na swoją wieź z dziadkiem. „Istnieje ciągłość wiążąca nas razem, wszystkie pokolenia i epoki.” Katherine nigdy wcześniej nie знаła kogoś, kto swobodnie poruszałby się wśród różnych pokoleń, kto znałby swoje miejsce w każdym z nich, i miała wrażenie, że świat Rossa jest nieporównanie większy od tego, w którym ona się poruszała, i że on odnajduje się w rozmaitych okolicznościach.

Ale jej świat wciąż się rozrastał i rozszerzał, pojawiały się w nim nowe możliwości i nowi ludzie, do których trzeba jakoś się ustosunkować, i tyle spraw, które należy przemyśleć...

— Ha! — krzyknął Jon przeskakując swym pionkiem nad

czterema innymi i stawiając go na kolorowym trójkątku, do którego zmierzał. — Wstawiłem pierwszego.

— Niedługo będziesz tam sam — powiedział Ross z szelmowskim uśmiechem i przeskakując sześć pionków również stanął u celu. — Katherine? Dołączysz do nas?

— O tak. Niech popatrzę...

— Tato — zaczął Jon, gdy Katherine rozważała sytuację na planszy. — W czasie tego weekendu będzie przyjęcie w Kasynie w Monte Carlo. Jesteśmy zaproszeni.

Ross uniósł brwi zdziwiony.

— Do Kasyna nie wpuszczają dzieci.

— Ojciec jednego z chłopców wynajął tam osobną salę i ustawią nam ruletkę i blackjacka, i wszystkie inne gry. To naprawdę bardzo porządne przyjęcie. Zaczyna się o ósmej...

— Chwileczkę — przerwał Ross. Jennifer, Carrie i Todd wstrzymali oddech i czekali wpatrzeni w niego. — Czy to przyjęcie dla dziewięcio- i dziesięciolatków?

— No cóż... większość dzieciaków ma tak po szesnaście, siedemnaście lat, ale zaprosili nas, bo jesteśmy dobrzy w skokach z trampoliny. To jak, mógłbyś nas podwieźć?

— Nie. Nie pozwolę wam pójść do Kasyna, nawet jeśli zarezerwowano tam osobną salę, tym bardziej że pozostali są od was starsi.

— Tato!

— Wątpię, żeby w ogóle was tam wpuścili, ale nie będziemy się o tym przekonywać. Macie wystarczająco dużo zajęć; hazard nie jest wam potrzebny.

— Ale, tato!

— Nie, Jon. I koniec dyskusji. Kasyno nie jest odpowiednim dla was miejscem. Nie pójdziecie!

— Ojej — jęknął Jon.

— Mówiłam ci — wtrąciła Carrie. — Wiedziałam, że tata się nie zgodzi.

W jej głosie tak wyraźnie wyczuwało się ulgę, że Katherine i Ross wymienili rozbawione spojrzenia.

— A skoro mowa o skokach z trampoliny... — zaczął Ross.

— Może od razu wrócę do domu — burknął Jon. — Nie pozwalasz mi robić tego, na co mam ochotę, więc po co mam tu być. I może nie będę cię też odwiedzał w weekendy.

— Jon! — krzyknęła ostro Katherine.

Ross zmarszczył brwi i zacisnął usta; po raz pierwszy Katherine miała okazję zobaczyć, jaką władzę mają nad nim jego dzieci.

— Jon — powtórzyła. Jennifer wiedziała, co wróży taki ton, i tak się zdenerwowała, że upuściła jeden ze swych pionków, a gdy potoczył się po terakotowej podłodze, ona i Todd rzucili się go szukać. Katherine zaś czekała, aż Jon na nią spojrzy.

— Szantaż to bardzo paskudny środek, żeby coś uzyskać. A jeśli jeszcze wykorzystuje miłość jako broń, staje się wyjątkowo obrzydliwy. Rozumiesz?

Ross utkwił wzrok w Katherine. Victoria także ją obserwowała zachowując milczenie, co było raczej niezwykle.

— Rozumiesz? — powtórzyła Katherine.

— Nie — wymamrotał Jon.

— To znaczy, że postępujesz obrzydliwie grożąc odebraniem miłości komuś, kto cię kocha i kto potrzebuje twego uczucia.

— Ja nie...

— Owszem, tak. Powiedziałeś, że jeśli nie dostaniesz tego, co chcesz, to po prostu odejdziesz. I zostawisz swoją rodzinę, która będzie za tobą tęskniła. Nie bądź taki nadąsany, Jon, bo ranisz tym nas wszystkich i siebie samego też. Czy jakiegokolwiek przyjęcie jest tego warte?

Po chwili Jon wydusił z siebie:

— I tak nie chcę wracać do domu.

— Nie o to chodzi — powiedziała łagodnie Katherine.

— Masz przeprosić tatę — szepnęła Carrie tak, że wszyscy ją słyszeli.

Ross otoczył syna ramieniem.

— Może później o tym porozmawiamy. Wiesz, że Katherine ma rację; jeśli za każdym razem, gdy ci czegoś zabronię, będziesz się odgrażał, że pójdziesz sobie do domu, to ciężko nam będzie ze sobą. Będziesz jak jo-jo bujać się to w jedną stronę, to w drugą, tak szybko że sam nie będziesz wiedział, gdzie jesteś...

Jennifer i Todd skuleni pod stołem zaczęli chichotać, co było wyrazem ulgi, jaką przyniosło rozładowanie napięcia.

— Możemy wziąć sobie trochę ciasta z kuchni? — spytała Jennifer; wyszła już spod stołu, bo atmosfera się oczyściła.

— Świetny pomysł — stwierdziła różnym głosem Victoria. — Sylvie przygotowała też więcej lemoniady; nalejcie sobie.

— No chodź — przynagłał Todd Jona, który nie ruszał się z miejsca.

— Przepraszam, tato — powiedział wreszcie. — Nie mówiłem tego poważnie. Ross mocniej przytulił syna.

— To dobrze — odparł swobodnie. — Bez ciebie ten dom nie byłby tym, czym jest. A teraz biegnij i przynieś sobie ciasta.

Gdy cała czwórka weszła już do salonu, dorośli na tarasie usłyszeli jeszcze przeszywający szept Carrie:

— Rety, czy Katherine kiedykolwiek tak na was nakrzyczała?

— Zrobiła się naprawdę ostra, odkąd tata odszedł — stwierdził Todd. — Zawsze była bardzo łagodna, ale teraz czasem się na nas wyładowuje. Sam nie wiem... — Głos Todda stał się ledwo słyszalny, gdyż dzieci weszły do kuchni. — Przeważnie jest wspaniała, ale na pewno się zmieniła.

Ross ujął dłoń Katherine.

— Dziękuję ci. Za troskę i za to, że dałaś mi szansę ochłonąć. Każdego dnia towarzyszy mi ten piekielny strach, że uznają w końcu, iż mają ciekawsze zajęcia niż spotykanie się ze mną.

— Nie wydaje mi się, żeby mogło do tego dojść — odrzekła Katherine. Pragnęła podnieść rękę i pogłaskać jego zasepione czoło, ale zamiast tego powiedziała cicho: — Obserwuję je, kiedy jesteście razem. One szaleją za tobą i potrzebują ciebie. Myślę, że po prostu sprawdzają, ile mogą na tobie wymóc. Jennifer i Todd też to robią, ale w inny sposób. Mam tylko nadzieję, że Jon nie będzie posługiwał się swoją bronią zbyt często.

Ross zachichotał.

— Wątpię, żeby zrobił to po raz drugi, skoro wie już, że musiałby się zmierzyć z twardą matką Jennifer i Todda. Dziękuję ci — powtórzył cicho.

Później, gdy oddalił się, by porozmawiać z Jonem, szedł krokiem człowieka rozluźnionego.

Następnego dnia dzieci zaczynały lekcję skoków z trampoliny rano i miały ją skończyć dopiero po południu, więc Ross i Katherine skorzystali z okazji i wyjechali jeszcze przed śniadaniem, by obejrzeć

międzynarodowy festiwal muzyczny w Aix-en-Provence. Ross wybrał biegnącą w głąb łąd drogę, która o tej porze była prawie pusta, i w milczeniu jechali przez złoto-zieloną okolicę. Powietrze było miękkie i delikatnie muskało skórę, a słońce rozlewało swój miodowy blask na gaje oliwne i pomarańczowe, które nagle rozstępowały się, odsłaniając małe wioski o kamiennych zabudowaniach ze stromymi dachami koloru rdzy i stada jasnobrązowych owiec pilnowanych przez samotnego pasterza, u którego trzymana w splecionych z tyłu dłoniach laska przypominała ogon.

Całe Aix rozbrzmiewało muzyką, a ponieważ był to jednocześnie dzień targowy, na Place de Verdun stały liczne kramy osłonięte parasolami we wszystkich kolorach tęczy. Ross kupił bukiet goździków i jeden z nich przypiął Katherine do kołnierzyka bawełnianej bluzki, a gdy ruszyli w miasto, dłonie ich zetknęły się, a palce splotły. Spacerowali po rynku, po cichych bocznych uliczkach i wydeptanych kamiennych ścieżkach osłoniętych od słońca ogromnymi platanami, a później poszli posłuchać koncertu na dziedzińcu przed pałacem arcybiskupa; gdy tylko usiedli, Katherine wyjęła goździk z bukietu i przypięła go do butonierki w sportowej marynarce Rossa. Po południu na miasto padły niebieskawe cienie, a promienie zachodzącego słońca odbijały się w fontannach na dziedzińcu. Później, kiedy drogą wzdłuż wybrzeża wracali do domu, jaskrawe światła Riwiery przyćmiły wspomnienie małych miasteczek, pomarańczowych i oliwnych gajów, i pasterza z jego stadem.

Gdy dojechali do willi, wszyscy już spali. Przy drzwiach do swojego apartamentu Katherine westchnęła i oparła głowę o ścianę. Otaczała ich ostra woń goździków i pikantny zapach *calissons*, drobnych ciasteczek z nadzieniem migdałowym, które przywieźli dla Victorii i dzieci.

— Przynieśliśmy tu ze sobą cały nasz dzień — powiedziała Katherine i uśmiechnęła się. — A był cudowny.

Twarz Rossa tonęła w mroku korytarza.

— Najcudowniejszy w moim życiu — powiedział i ujął twarz Katherine w obie dłonie. — Dziękuję ci.

Ona przecząco potrząsnęła głową.

— To ja powinnam ci podziękować. Za wszystkie te cudowne

dni. — Zrobiła krok w kierunku pokoju; pragnęła więcej niż tylko dotyku jego dłoni, lecz nie chciała się do tego przyznać nawet sama przed sobą. — Dobranoc, Ross.

— Dobranoc, Katherine. — Wciąż jednak stał przy drzwiach pragnąc jej i wiedząc, że i ona jego pragnie. Ale jeszcze nie teraz, pomyślał. Mamy czas; musimy się najpierw lepiej poznać. — Czy to jutro jest konkurs w skokach do wody?

— Tak, rano.

— Wpadnę po ciebie na śniadanie.

Roześmiała się i patrzyła, jak odchodzi korytarzem w stronę własnego pokoju.

Do tej pory unikali pełnych turystów miejsc, więc rankiem po raz pierwszy zetknęli się z niezmiernymi tłumami wypełniającymi Riwierę w pełni sezonu.

— No tak, lipiec — mruknął Ross, gdy zeszli po stromych schodkach prowadzących z willi i znaleźli się w samym środku tłumu. — Nie przepychaj się; nie próbuj nawet iść; tłum poniesie cię ze sobą.

Tłum był wesoły i hałaśliwy; co chwila ktoś głośno krzyząc ustalał trasę wędrowki albo wymieniał jakąś restaurację. Co parę kroków stał jakiś turysta z aparatem fotograficznym w ręku i prosił innego turystę, by zrobił mu zdjęcie. Pewien korpulentny okrągłutki mężczyzna sfotografował Katherine polaroidem i szedł za Rossem, dopóki zdjęcie nie pojawiło się na kartoniku.

— *Bella, bella* — powiedział do Rossa. — *Uomo fortunata*. Bez przerwy mówiąc po włosku nieznajomy wręczył Rossowi

fotografię, pożegnał się grzecznie i odwrócił się, by odejść.

— *Grazie* — podziękował mu Ross, po czym wspólnie z Katherine obejrzelili zdjęcie.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Czy ta roześmiana kobieta w blasku słońca to naprawdę ja?, pytała siebie w myśli. Ona wygląda na bardzo szczęśliwą. Nie wiedziałam, że jest taka szczęśliwa. Poczula się trochę nieswojo — tak jakby życie nabrało prędkości, a ona obawiała się, że wymknie jej się spod kontroli.

Doszli akurat do basenu i Katherine zobaczyła Jennifer i Todda; szczupli, opaleni, stali w pobliżu trampoliny i z ożywieniem rozmawiali z ubranymi w kostiumy kąpielowe dziećmi, wśród których byli też Carrie i Jon. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi, pomyślała

wtedy, i nic nie wymyka mi się spod kontroli. Zerkając ponownie na zdjęcie, spytała Rossa:

— Zrozumiałeś, co mówił ten człowiek, gdy dawał nam zdjęcie?

— Tak. — Ross przysunął bliżej basenu dwa krzesła. — Popatrzył na ciebie i powiedział, że jesteś piękna. A potem dodał, że jestem szczęśliwym człowiekiem.

Tłumy ludzi wciąż krążyły wokół nich, ale siedząc nad basenem mogli rozmawiać względnie spokojnie. Ross wsunął zdjęcie do portfela, po czym ujął dłoń Katherine, by wspólnie z nią podziwiać umiejętności dzieci.

— I miał absolutną rację.

Elementy krajobrazu Riwiery i jej barwy jaśniały na szkicach rozłożonych na stoliku do rysowania, który Victoria specjalnie do tego celu kupiła dla Katherine. Były na nich ryby i ptaki, egzotyczne kwiaty kaktusów, muszelkowate pomarańczowe dachówki pokrywające prowansalskie domy, symetryczne łuki rzymskich mostów, woda wirująca wokół kamieni i spadająca w dół górskich potoków.

Katherine przerysowała te szkice, które najbardziej jej się podobały, po czym tak długo tworzyła rozmaite warianty podstawowego kształtu, aż uzyskała ten jeden właściwy — wyrazisty, prosty, przykuwający uwagę, jedyny w swoim rodzaju, przez nią stworzony. Gdy ten etap miała za sobą, kolorowała rysunek olejnymi pastelami; stanowiły połączenie barwnej kredy i kredek, miały delikatniejsze odcienie i nie rozmazywały się.

Już od pół godziny trzymała w dłoni niebiesko-czarny pastel i zastanawiała się, czy szybujący w powietrzu z rozpostartymi skrzydłami ptak powinien raczej przysiąść na gałęzi i złożyć skrzydła. Bardzo prosta sprawa, ale Katherine nie potrafiła podjąć decyzji, bo myślami wciąż była przy Rossie. W końcu więc odłożyła kredkę i przez szklane drzwi popatrzyła na kołyszące się w porcie żaglówki.

— To idiotyczne — powiedziała na głos. — Dokończę jutro. Przeszła korytarzem pod pokój Victorii i zapukała.

— Proszę — powiedziała babka. — Ach, Katherine, jak to miło; wejdz, wejdz. Myślałam, że już wyjechaliście.

— Przesunęliśmy wyjazd o pół godziny. Ross chciał jeszcze wykonać parę telefonów przed jutrzejszą podróżą do Paryża.

— To dobrze. Dla nas oczywiście. Mamy chwilkę dla siebie. — Leżąc na obitym jedwabiem szezlongu tuż przy wyjściu na taras Victoria przyglądała się madrasowej bluzce Katherine i džinsom w kolorze khaki, ciemnym włosom związanym złotą opaską, i orzechowym oczom, którym śródziemnomorskie słońce nadało jaśniejszy odcień. — Wyglądasz prześlicznie; tydzień na słońcu i twarz nabrała kolorów. Gdzie dzisiaj jedziecie?

— Ross mówił, że do lasu Turini i doliny Vesubie. Dobrze powiedziałam? Moja wymowa...

— Jest coraz lepsza. Ross jak zawsze dokonał mądrego wyboru. Czeka was niezapomniane popołudnie.

— Tylko że minęły już dwa tygodnie na słońcu.

— Słucham?

— Już od dwóch tygodni moja twarz nabiera kolorów na słońcu.

— Gdy czas płynie zbyt szybko, Katherine, ja po prostu go ignoruję. Co jeszcze Ross zaplanował? Wspominał coś o festiwalu folklorystycznym w Nicei?

— Pojedziemy tam z dziećmi, jak tylko Ross wróci z Paryża. Chcielibyśmy, żebyś ty też z nami pojechała.

— Nie, moja *droga*; *to bardzo* miło z waszej strony, że o tym pomyśleliście, ale nic z tego. Zostanę w domu, a wy mi o wszystkim opowiecie.

Katherine przysiadła na brzeżku szezlongu.

— Nigdzie z nami nie jeździsz; zaledwie dwa razy dałaś się wyciągnąć na kolację. Po tym, co zaszło w Paryżu, nie chcę twierdzić, że łatwo przejrzeć twoje zamiary, ale...

— Katherine. Nigdy nie jest łatwo przejrzeć moje zamiary. Może czasem jestem nieostrożna i samej sobie psuję szyki, ale nigdy nie można mnie przejrzeć. Nie jeżdżę z wami, kochanie, tylko dlatego, że nie bawią mnie już cało- czy nawet półdniowe wycieczki. Jestem zbyt zmęczona.

— Czy coś ci dolega? — spytała zaniepokojona Katherine. — Sprawiasz wrażenie osoby bardzo energicznej.

— Dolega mi tylko mój wiek. A co do energii, to mam jej całą masę, pod warunkiem że odpoczywam, kiedy trzeba, i dbam o siebie. — Wykrzywiła usta. — Wszystko jest teraz strasznie męczące; denerwuje mnie moje ciało. Do niedawna zmuszałam je, żeby nie pamiętało o wieku, i myślałam, że udało mi się je oszukać

i odmłodzić. Ale ono żyło własnym rytmem, starzało się, aż któregoś dnia nie mogłam go dłużej ignorować. Mam osiemdziesiąt dwa lata, moja droga, i nie mogę już biegać po dolinie Vesubie. A skoro nie mogę biegać, to wcale nie chcę tam jechać.

— Czy na pewno dobrze się czujesz? — dopytywała się Katherine. — Odkąd tu przyjechaliśmy, nie chodziłaś nigdzie nawet ze swoimi przyjaciółmi.

— To nie ma nic wspólnego z moim samopoczuciem; po prostu ich tu nie ma. Większość z nich rozjeżdża się w lipcu i sierpniu.

Katherine przypomniała sobie, co mówił Tobiasz.

— Przyjechałaś w lipcu tylko ze względu na nas. Dlatego minęłaś się ze swoimi przyjaciółmi,

— Mam ciebie i mam Rossa. Któż miałby być dla mnie ważniejszy? A skoro wiem, gdzie jesteście i co robicie, mogę sobie tu leżeć bezwładnie jak z krzyża zdjeta, ale wyobrażam sobie, że jestem z wami. Widzisz, ja wciąż doskonale pamiętam wszystkie te miejsca. A im jestem starsza, tym łatwiej przychodzi mi udawanie.

— Przykro mi — powiedziała Katherine. — Nie zdawałam sobie sprawy... Tyle się ostatnio dzieje i taka byłam samolubna... myślałam tylko o sobie zamiast poświęcić ci trochę czasu.

— Powinnaś być samolubna! Nie rozumiesz, że im więcej masz różnych zajęć, im więcej doznajesz przyjemności, im większe odnosisz sukcesy, tym więcej tego wszystkiego ja odczuwam?! Myślałam, że to dla ciebie oczywiste! A teraz, moja droga — rzekła poklepując dłoń Katherine — idź już i baw się dobrze. Jeśli nie zdążycie na kolację, to będę zabawiać dzieci, ale jutro oczekuję pełnego sprawozdania. Z najdrobniejszymi szczegółami.

Katherine nachyliła się, by ucałować ją w czoło.

— Nie pominę żadnego — obiecała.

— Mam nadzieję, że nie dotrzymasz słowa — powiedział ze śmiechem Ross, gdy po drodze przez górską dolinę Katherine powtórzyła mu rozmowę z babką. — To byłby zły precedens.

— Dlaczego? Skoro to wszystko co ona ma...

— Tak ci powiedziała?

— Niezupełnie, ale...

— Powiedziała, że chce być częścią naszego życia, bo nie czuje się wtedy tak stara i odsunięta na bok. Katherine, przecież Victoria jest głównym udziałowcem w Hayward Corporation i zasiada

jeszcze w czterech innych radach nadzorczych, biorąc udział w zarządzaniu i zbiorce funduszy dla najpotężniejszych instytucji w San Francisco. Chyba przyznasz, że ten opis nie pasuje do bezradnej staruszki, która leży bezwładnie jak zdjęta z krzyża pozwalając, by życie toczyło się bez niej. Mimowolnie Katherine uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście nie pasuje. — Na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. — Ale ona nie kłamała.

Ross potrząsnął przecząco głową.

— Naginała prawdę. Jest wystarczająco inteligentna i przebiegła, by wiedzieć, że jedyne, czego nie może kupić sobie za swoje pieniądze, to młodość, więc robi co tylko może, żeby być jak najbliżej tego, czego nie może doświadczyć bezpośrednio — przykładem dolina Vesubie. Nie ma w tym nic złego, sama wiesz; to tylko łagodna forma tyranii.

— To bardzo niemile, co mówisz — rzekła patrząc mu w twarz.

— Ale dokładnie oddaje sytuację — odparł swobodnie. — Victoria wykorzystuje naszą miłość do niej, żebyśmy czuli się za nią odpowiedzialni i umieścili ją w centrum naszej uwagi, chociaż wie, że to niemożliwe, bo w końcu będziemy musieli pójść swoją drogą. Ale próbuje. Podziwiam jej upór i bardzo ją kocham, ale nie zamierzam opowiadać jej o każdym szczególe mojego życia, A jeśli ty masz taki zamiar i zobaczę, że szykujesz się do pisania raportu — Katherine roześmiała się — to najprawdopodobniej nie odezwę się ani słowem i zupełnie znieruchomieję. Jeśli natomiast zgadzasz się z moją opinią, to wezmę cię za rękę, o tak, i nie puszcę, dopóki nie przejedziemy przez dolinę Brevera.

Na ułamek sekundy odwrócił wzrok od drogi, by spojrzeć na uśmiechniętą twarz Katherine, po czym mocno trzymając jej dłoń wolno prowadził samochód drogą, która wiała się poprzez góry. Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki, a oni jechali w ciszy, przytłoczeni ogromem głębokich, cienistych wąwozów przeplatających się z zalanyymi słońcem łąkami. Powykręcane drzewa przytulały się do skalistych stoków, a na łąkach sosny rosły pomiędzy głazami, które spadały tu każdej wiosny z lawinami powodowanymi przez topniejące śniegi. Ochłodziło się trochę i Katherine włożyła sweter. Gdy powietrze się rozrzedziło, położone najdalej skalne urwiska stały się widoczne jak na dłoni. W końcu wjechali do lasu Turini —

mrocznego, chłodnego i gęstego z ogromnymi drzewami i bujnym poszyciem.

Ross wciąż jednak jechał dalej serpentynową szosą, dopóki nie skręcili i nie znaleźli się w małej wiosce La Bollene-Vesubie, gdzie zaparkował samochód.

— Plecaki są w bagażniku. Dalej idziemy pieszo.

Droga z wioski pięła się pod górę przez lasy i łąki pozostawiając w dole ostatnie oznaki cywilizacji. Powietrze było chłodne, ale wspinaczka sprawiła, że zrobiło im się za gorąco w swetrach. W pewnym momencie Katherine skoczyła z jednego głazu na drugi, zupełnie jakby nic nie ważyła, a kiedy lądowała uginając w kolanach nogi, by złagodzić wstrząs, Ross podał jej rękę — a ona chwyciła ją odwzajemniając jego uśmiech radości, że są tylko we dwoje. Wędrowali tak przez godzinę przedzierając się przez zarośla, skacząc przez strumienie i klucząc ścieżkami, które czasem ginęły pod skałkami albo krzakami i pojawiały się gdzieś dalej. Prawie nie rozmawiali, tylko od czasu do czasu jedno drugiemu pokazywało szybującego w powietrzu ptaka błyszczącego w słońcu jak złoto na błękitnym niebie, poskręcane kępy jaskrawych kwiatków wijących się wokół szarych głazów pokrytych od północnej strony pomarańczowymi, szarymi i czarnymi porostami, rozległe pastwiska gładkie jak aksamit, ślady zwierzyny na szlaku, a nade wszystko zachwycali się krystalicznie czystym powietrzem i głęboką ciszą przerywaną jedynie śpiewem ptaków.

Słońce pięło się na niebie coraz wyżej, rozgrzewając ocienioną dolinę. Schowali swetry do plecaków i szli dalej przez łagodniejszy już teren, gdzie drzewa i krzewy iskrzyły się w oślepiających promieniach słońca, aż w końcu Ross powiedział:

— Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Jak zobaczysz jakieś dobre miejsce...

— Tam! — krzyknęła Katherine, gdy doszli na skraj małego wzgórza. — Wydaje się czekać na nas!

Ostrożnie zeszli w dół zbocza ku trawiastemu zakątkowi otoczonemu z trzech stron wysokimi skałami. Płynący w pobliżu strumień rozlewał się tu w błękitnozielony staw, a nieco dalej znów się zwał i ginął gdzieś między drzewami.

— Można by w nim popływać — mruknął Ross. Popatrzył na Katherine pytająco. — Co o tym myślisz?

— Myślę, że woda jest lodowato zimna i że powinniśmy sami się o tym przekonać.

Ross roześmiał się.

— Jesteś cudowna. — Zrzucając plecak na miękką trawę zdawał się nie zauważać jej rumieńca i iskierek w oczach. — Od razu, prawda? Lepiej popływać przed jedzeniem.

Katherine postawiła swój plecak obok jego.

— Wejść pierwsza. Chyba że twoim zdaniem to mężczyzna powinien sprawdzać wody.

— Mężczyzna powinien wiedzieć, kiedy pozwolić kobiecie iść przodem.

Śmiejąc się schowała się za kępą sosen i kasztanowców. Ledwie zdjęła bluzkę i spodnie i poczuła gorące promienie słońca na swojej nagiej skórze, zalała ją fala pożądania tak silna, że Katherine musiała się oprzeć o drzewo, żeby się opanować. Kora była gruba i głęboko popękana, a ona, świadoma obecności Rossa w pobliżu, przyłgnęła mocno do drzewa chcąc czuć ciało Rossa tak blisko jak korę tego pnia. Sama nie wiedziałam, pomyślała, nie miałam pojęcia, że tak bardzo go pragnę. Ale tutaj w dolinie, odcięta od codziennych zajęć i wszelkich rozsądnych argumentów, w słonecznym zakątku zabezpieczona przed chłodnym górskim powietrzem Katherine wiedziała, że ukoronowaniem tych wszystkich dni, które do tej pory wspólnie spędzili, będzie prawdziwe zespolenie i wiedziała, że Ross też o tym wie.

Oszołomienie minęło. Katherine położyła ubranie na skałce i w jedwabnych majteczkach i staniku wyslizgnęła się zza drzew na bujną trawę tuż nad stawem. Nie widziała Rossa, lecz nie chciała dłużej się zastanawiać i szybko wskoczyła do wody.

Aż dech jej w piersi zaparło, tak była lodowata. Wszystkie mięśnie zdawały się bronić przed tym zimnem, skręcając się w jeden zaciśnięty węzeł.

— Raz — wydusiła z siebie — raz przepłyniemy i wychodzimy. Płynęła kraulem mocno uderzając nogami w wodę, zamazując

przy tym lustrzane odbicia drzew, które wydawały się wyrastać z dna stawu, aż dopłynęła do przeciwległego brzegu, gdzie chwyciła nisko zwisającą gałąź, wyskoczyła z wody i trzęsąc się w cieniu z zimna rozejrzała się za Rossem.

Po drugiej stronie stawu woda zafalowała. Katherine słyszała, jak Ross krzyknął zszokowany lodowatym zimnem, a potem

patrzyła, jak płynie w jej kierunku silnymi ruchami rozgarniając wodę i na koniec chwyta tę samą gałąź, którą i ona się posłużyła.

— Będziemy się ścigać z powrotem — powiedział z trudem łapiąc oddech.

— Miałam zamiar wracać pieszo dokoła Stawu — odparła szcękając zębami.

— Rozsądna myśl. Nie ryzykujesz, że przegrasz.

— Ach ty! — I błyskawicznie wskoczyła do stawu; odpłynęła zostawiając Rossa zalanego kropelkami rozpryskanej wody.

— To nie fair! — krzyknął i skoczył szybko ją doganiając.

— Zauważył, że usta jej posiniały, ale że ciało ma silne i zwinne. Przez jakiś czas płynęli ramię w ramię, aż w pewnej chwili Ross zebrał wszystkie siły i wyprzedził ją o połowę długości.

— Jesteś cudowna — powtórzył, gdy zmęczeni wychodzili z wody. Twarze ich rozjaśniał uśmiech szczęścia. — Mamy jakieś ręczniki?

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— A niech to — powiedział. — Nie byliśmy zbyt przewidujący. Usiądź; zobacz, co uda mi się znaleźć.

Katherine oparła się o nagrzaną skałę. Lejący się z nieba żar wysuszył ją niemal natychmiast, lecz na całym ciele ciągle miała gęsią skórę od zimna, które zdawało się przenikać aż do kości. Patrzyła przed siebie na zwodniczy, iskrzący się w słońcu staw i nie myślała o niczym, lecz gdzieś w jej wyobraźni utrwał się obraz, niczym fotografia, przedstawiający ich dwoje płynących ramię w ramię.

— Jest jeden ręcznik — odezwał się Ross, który właśnie wrócił. — Była nim owinięta butelka wina. Niezbyt duży, ale starczy dla nas dwojga. — Cały trząśł się z zimna, które jego też przeniknęło, ale stał nieruchomo wpatrując się w Katherine. — Mój Boże — szepnął. — Jesteś taka piękna.

Katherine otrząsnęła się z zadumy i uzmysłowiła sobie, jaką Ross ją widzi — na wpół leżącą na trawie w prześwitującej mokrej bieliźnie. Odgarniając z oczu ociekające włosy chciała wstać.

— Nie — powiedział Ross i przyklękając zaczął wycierać jej głowę ręcznikiem.

— Słońce... — mruknęła — wysuszy...

— Wiem. — Łagodnymi, powolnymi ruchami wycierał ją

ręcznikiem, najpierw włosy, potem szyję i ramiona. Katherine czuła powracające ciepło. Z mokrych włosów Rossa zimna jak lód kropelka wody spadła jej na pierś, aż Katherine się wzdrygnęła. Ross roześmiał się drżąc.

— Taka mała, a taka groźna... — powiedział.

Szybko wytarł włosy ręcznikiem, po czym schylił się i pocałował miejsce, na które spadła kropla. Przez dłuższą chwilę nie ruszali się, trwali tak w słonecznym blasku i starali się prawie nie oddychać czując, jak robi im się coraz cieplej, zupełnie jakby promienie słoneczne zaczęły płynąć w ich żyłach.

— Katherine — szepnął Ross. — Mój Boże, ileż to razy wymawiałem twoje imię... najdroższa, śliczna Katherine.

Zdjął jej przemoczoną bieliznę, a ona sięgnęła do jego mokrych bawełnianych slipów i zsunęła je. Położyli się na pachnącej trawie — dwa rozpalone ciała, chłodne jeszcze w tych miejscach, które przed chwilą przykrywała mokra bielizna. Ross wsunął rękę pod plecy Katherine i pochylając się nad nią przylgnął ustami do jej ust.

Nie spieszyli się przedłużając ten pocałunek i pozwalając pożądaniu rosnąć, ogarniać ich ciała jak słoneczne promienie. Katherine *tuliła* Rossa do siebie.

— Marzyłam o tym — szepnęła tuż przy jego ustach — zanim weszłam do wody. Pragnęłam cię...

— Ja myślałem o tym jeszcze w Paryżu — odparł.

A potem wyciągnął się na jej miękkim i silnym, choć jednocześnie tak delikatnym ciele czując, jak jej uda rozsuwają się dla niego, i wszedł w nią, w ciemną głębię jej ciała, mimo zamkniętych oczu widząc radosny słoneczny blask i słysząc, jak w czystym górskim powietrzu Katherine szepcze jego imię.

Tak wiele cisnęło im się na usta, że wybrali milczenie i wymieniając co chwila pocałunki leżeli na trawie; Katherine oparła głowę na ramieniu Rossa, a on położył nogę na jej ciele, sprawiając jej tą delikatną pieśczęcią wielką przyjemność. Potem powoli przesunął dłoń po jej biodrze w górę aż do piersi, musnął palcami oba sutki i zaczął głaskać jej szyję i twarz, jakby chciał narysować kształty jej ciała. A Katherine delikatnie wodziła dłońmi po jego plecach, w górę aż do barków i silnych ramion, zanurzając w końcu palce

w jasnych włoskach na jego piersi. Oparła się na ramieniu i popatrzyła w jego ciemne oczy.

— Czuję się taka nienasycona—powiedziała trochę zażenowana.

— Wcale nie nienasycona — odparł i uśmiechnął się czując, jak promienie słoneczne biegną przez jego żyły. — Ale żywa, cudowna, jesteś częścią mnie... — Ucałował jej pełne piersi, najpierw jedną potem drugą, ssąc napięte sutki zaróżowione w blasku słońca.

Z ust Katherine wyrwało się głębokie westchnienie dając upust pragnieniom i obawom, jakie od dawna w sobie dusiła. Wszystko było w porządku; wszystko było między nimi w takim cudownym porządku. Przepelniała ją radość, która niczym słońce przyniosła jej zziębniętemu ciału ciepło i śpiewała w niej, gdy usta Rossa przesunęły się z jej piersi w dół i zatrzymały na brzuchu.

— Smakujesz jak sosna — powiedział z ustami tuż przy jej miękkiej skórze. — jak dzika koniczyna i górskie strumienie.

Katherine była na wpół omdlała, nie miała siły się poruszyć, ale czuła, jak dotyk jego ust wyzwała fale ciepła zataczające coraz szersze kręgi i obejmujące całe jej ciało; Ross był wszędzie, był częścią niej, posiadał ją całą; czując pod sobą twardy dotyk ziemi czekała, pragnęła, poddawała się rozkoszy, świadoma że właśnie rozchylił dłońmi jej uda i zaczął muskać je językiem.

Pod wpływem tego dotyku przejmującego i miękkiego drzenie przebiegało przez całe jej ciało. Z ust wyrwał się cichy jęk i bez reszty oddała się rozkoszy—jego język lizał ją delikatnie, przesuwał się w dół i w górę, wciskał w nią — taki silny, cudowny, część jej samej — aż skuliła się w sobie, jak kwiat, który zamyka płatki, by nie rozlał się nektar. Trwała tak do tej jednej chwili szaleństwa, gdy nie mogła już pomieścić w sobie rozkoszy i krzyknęła czując, jak fala ciepła i ekstazy zalewa jej ciało, po czym powoli opada.

Leżeli przytuleni i całowali się. Katherine na chwilę się zdrzemnęła, a potem zaczęli oboje mówić o ubraniu się, o kolacji i powrocie, lecz żadne nie ruszyło się z miejsca, tylko spod na wpół przymkniętych powiek patrzyli sobie w oczy i tuląc się do siebie czuli, że ich ciała znów się budzą.

— Chciałbym mieć cię na sobie — powiedział Ross. — I tulić cię do siebie...

— Ja też tego chcę — odparła Katherine, a gdy jego dłonie znalazły się na jej biodrach, nasunęła się na niego.

Ramiona Rossa oplatały ją tak mocno, że jej piersi przyciśnięte były do jego torsu, a twarz wtulona w jego ramię. Ogarniało ją coraz silniejsze podniecenie, uniosła leciutko głowę, by móc delikatnie całować szyję Rossa.

— Masz taką ciepłą skórę — szepnęła. — Prężną, gładką i ciepłą... a tutaj mogę całować każde uderzenie twojego serca... — Ucałowała zagłębienie na jego szyi, a potem jego usta, otwarte i równie zachłanne jak jej własne.

Ross uniósł ją lekko, a ona usiadła na nim osuwając się wprost na jego członek; czuła, jak sunie w głąb jej ciała i wypełnia ją. Uśmiechnęła się patrząc na jego wciąż wilgotne włosy, w głęboko osadzone oczy, ciemne i ciepłe jak słońce, na usta wymawiające jej imię.

— ...śliczna, cudowna kobieto — szepnął.

W dłoniach trzymał jej piersi wyczuwając naprężone sutki, a ich ciała zaczęły poruszać się zgodnym rytmem — zgrane jak wtedy, kiedy płynęli w wodzie. Katherine znów pochyliła się nad Rossem; jej ciemne włosy osłoniły ich twarze niczym kurtyna, usta zetknęły się i złączyły w pocałunku, a ciała poruszały wciąż szybciej i szybciej; tonąc w słonecznym blasku pobudzonej zmysłowości wznosiły się na szczyt sięgającej błękitnego nieba strzelistej góry, a gdy go zdobyły, wolne i drżące zaczęły powoli opadać na ziemię.

Noc w górach zapada szybko; niebo rozpała się szkarłatem, jasną czerwienią i bursztynową żółcią, potem blednie przechodząc w fiolet i przydymioną szarość, aż w końcu staje się czarne i nic już nie widać poza podobnymi do duchów ośnieżonymi szczytami. Jadąc przez dolinę Ross i Katherine obserwowali, jak zachodzące słońce roztacza swój blask na niebie, a zaraz potem chowa się, pozostawiając wokół ciemność rozpraszaną jedynie światłem reflektorów.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu dróg w małym miasteczku Sospel, by zjeść późną kolację; na tarasie hotelu z widokiem na brukowany kocimi łbami plac nie spiesząc się wypili kawę. Zsunęli krzesła i trzymając się za ręce obserwowali grę światła i wody tryskającej z fontanny, którą zdobiła mozaika z jasnokolorowych kamyczków. Odprężona, nasycona i promieniejąca szczęściem

Katherine oparła się wygodnie i wpatrywała w czarne niebo, które usiane połyskującymi gwiazdami i przecięte bladą koroną Mlecznej Drogi zdawało się wisieć bardzo nisko. My cały czas jesteśmy na powietrzu, pomyślała przypominając sobie, że z Derekiem zwykle spędzała czas w pomieszczeniach — w restauracjach, hotelowych salach balowych, klubach nocnych i w prywatnych mieszkaniach. Ross i ja prawie zawsze przebywamy na zewnątrz i wszystko wokół nas jest otwarte, świeże, bez granic. Już chciała mu o tym powiedzieć, ale powstrzymała się. Nigdy nie rozmawiali o Dereku. Kiedyś dawno temu Victoria mówiła, że Ross martwi się o nią z powodu Dereka. Będziemy musieli o nim pomówić, stwierdziła w myśli. Uświadomiła sobie też, że nigdy nie powiedziała Rossowi, dlaczego nie była pewna, czy ją lubi, czy nie. Do tej pory nie rozmawiali też o...

— Musimy porozmawiać — powiedział Ross, kiedy znów siedzieli w samochodzie i zjeżdżali w dół do Menton. — Tylu tematów unikaliśmy. A przynajmniej ja to robiłem.

Katherine uśmiechnęła się.

— Właśnie myślałam o tych wszystkich rzeczach, które chciałabym z tobą omówić. Ale nie dzisiaj. Jutro.

— Jutro będę w Paryżu.

— Och! — Katherine całkiem o tym zapomniała. — Ale wrócisz.

— Za trzy, cztery dni. — Przejechali jeszcze kilka ostatnich zakrętów i wreszcie droga się wyprostowała, a oni mogli przyspieszyć. — Najchętniej wcale bym nie jechał — powiedział rozluźniając uchwyt na kierownicy, bo jechali już szybko wyprzedzając inne samochody i niepotrzebne były skomplikowane manewry. — Teraz nie jest odpowiedni moment. Gdybym wiedział, kiedy razem z Jacques'iem planowaliśmy... — Przerwał na chwilę. — A może pojechałabyś ze mną? Dzień miałabyś dla siebie, a ja odwołałbym służbowe kolacje. Dlaczegoż by nie? — spytał, ale Katherine pokręciła przecząco głową.

— Bo oboje mamy różne sprawy do przemyślenia. I może dobrze nam zrobi, jeśli pobędziemy trochę osobno.

— Zanim porozmawiamy?

— Nie wiem. Tak. Zanim porozmawiamy.

Przez jakiś czas oboje milczeli pogrążeni w myślach. Nagle Katherine zaczęła się śmiać.

— Co się stało? — spytał Ross.

— Victoria. Pamiętasz? Przykazała mi surowo, żebym zdała jej szczegółową relację z naszej wycieczki. — Oboje wyobrazili sobie siebie obejmujących się na trawie. — A ty powiedziałeś, że to byłby zły precedens...

— I nie chciałem, żebyś robiła notatki — dokończył śmiejąc się razem z nią.

Po przybyciu do willi rozstali się przy drzwiach.

— Kiedy ty jutro wstaniesz, mnie już nie będzie — powiedział, a następnego ranka Katherine znalazła na stoliku do rysowania bukiet goździków i róż i wiadomość na szkicowniku:

„Dziękuję ci za najcudowniejszy dzień. Zabieram cię ze sobą, bo od teraz już zawsze będziesz we mnie. O tym też musimy porozmawiać, kiedy wrócę. Do zobaczenia. Ross.”

— No jak tam? — spytała Victoria uważnie przyglądając się Katherine, gdy zeszła na śniadanie. — Podobała ci się dolina?

— Cudowna.

Zabieram cię ze sobą, napisał. Ale wciąż był tutaj, jakby stał się jej częścią i przez to czuła się nieswojo. Zdarzyło się zbyt wiele i zbyt szybko, myślała przypominając sobie, iż zaledwie kilka dni wcześniej martwiła się, że wydarzenia mogą wymknąć się jej spod kontroli. Zastanawiała się, co Victoria wyczytała z jej twarzy; wiedziała też, że nie jest gotowa, by mówić o Rossie. Nalewając sobie przy barku sok i kawę spytała:

— A gdzie są dzieci?

— Pewnie w pokoju zabaw. Dwoje marudzi, a pozostała dwójka im współczuje. — Katherine nie bardzo rozumiała. — Żegnając się rano z Carrie i Jonem Ross kazał im zadzwonić do matki. Mieli robić to co tydzień, a w zeszłym nie dzwoniłi. Twierdzą, że nie mają jej nic do powiedzenia, mimo iż dzień mają wypełniony od rana do wieczora, a nie wiedzieć dlaczego Jennifer i Todd doskonale ich rozumieją. I współczują im, a tamci dwoje marudzą. Czy ty coś z tego rozumiesz? Kiedy moje dzieci były małe, telefonowały do mnie bardzo chętnie; mówiły mi o wszystkim.

Katherine uśmiechnęła się.

— Naprawdę o wszystkim?

— Cóż, pewnie niezupełnie. I chyba tak było dla mnie lepiej. Przypuszczam też, że gdyby dzieci nie miały sekretów, to nigdy by

się nie usamodzielnily. Ale od ciebie, moja droga, chcę usłyszeć wszystko o tym, co sprawiło, że tak promieniejesz radością. Chodź, usiądź tutaj i opowiedz wszystko od samego początku. Gdzie zostawiliście samochód — w La Bollene czy Saint Martin? I którędy poszliście? Usiądź, moja droga, wypij kawę, zjedz coś i opowiadaj.

— Opowiem, ale jeśli nie masz nic przeciwko, to najpierw pójde i zobacze, jak tam marudy. Zaraz wracam.

Idąc szerokim korytarzem w stronę dziecinnego skrzydła trzęsła się, jakby jakiś chłodny powiew wdarł się przez szczelinę w ścianie. Melania, San Francisco, codzienne życie. No i Craig. Od trzech tygodni wszystko to prawie nie istniało, przyćmione blaskiem śródziemnomorskiego słońca, egzotycznego krajobrazu i dominującą obecnością Rossa.

Teraz poczuła na twarzy ten chłodny powiew i wróciłyby pewnie myślami do tamtego świata, gdyby nie głos Carrie dochodzący z pokoju zabaw.

Jennifer i Todd siedzieli na sofie i patrzyli na rozmawiającą przez telefon Carrie, obok której stał Jon. Katherine szybko cofnęła się nie chcąc, żeby dzieci poczuły się skrepowane. Wahala się, czy ma odejść, czy zostać, w końcu zdecydowała, że poczeka. Chciała posłuchać tylko przez chwilę, by mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

— Nic takiego — mówiła Carrie. — Chodzimy pływać, mamy *scrabble* i różne gry, to wszystko. — Przez chwilę dziewczynka słuchała potupując nogą. — Chyba się nudzimy. Sama nie wiem. — Znów słuchała, co mówi matka. — Nie, jest bardzo miła. Pozwala nam na mnóstwo zabaw, żartuje z nami i jest taka zabawna... doprowadza ogrodnika do szału wyrywając warzywa, które jego zdaniem nie są jeszcze dojrzałe, i kwiatki, które nie są... co? Och. Cóż, nic nie poradzę na to, że nie obchodzi cię ogrodnik. A teraz daję ci Jona; chce się z tobą przywitać.

Z nachmurzoną miną wetknęła bratu słuchawkę do ręki.

— Cześć, mamó, mamy się świetnie. Co? Nie. Nie nudzę się. Cały czas się bawimy z Jennifer i Toddem i... Carrie, przestań! Co ty robisz?

— Walę cię po głowie, głupku! Zresztą nieważne.

— Miałem nie mówić mamie, że tu są?

— Nie wiem. Po prostu pomyślałam, że lepiej nie mówić.

Jon zmarszczył czoło, po czym rzekł do słuchawki:

— Przepraszam, mamó. Carrie mnie biła. Co? Jennifer i Todd Fraserowie, znasz ich. — Popatrzył na Carrie i przewrócił oczami. — Nie wiedzieliśmy, że tu będą, więc jak mieliśmy ci powiedzieć? Pewnie, że tu jest; przyjechali całą trójką. Ale nieczęsto ją widzimy, bo do południa pracuje, a potem jeżdżą z tatą w różne miejsca. A skąd mam wiedzieć gdzie? Nie mówią nam. Chyba codziennie; my mamy własne zajęcia i nie pilnujemy ich. Nie wiem, o której wracają. Zwykle na kolację. Mamó, muszę już iść. Niedługo znowu będzie konkurs skoków z trampoliny i muszę poćwiczyć. Nie, nie mogę poprosić taty do telefonu, bo jest w Paryżu. Wyjechał dziś rano. Nie wiem. Carrie, kiedy tata wraca?

— Za trzy, cztery dni.

— Za trzy, cztery dni. Nie wiem; Carrie, w jakim hotelu tata się zatrzymał?

— W hotelu na rue des Beaux Arts. Tym samym co poprzednio. Przecież wiesz.

— Tak, ale... mamó? W tym samym co poprzednio. Wszystko w porządku? Muszę iść; zadzwonimy niedługo. Cześć.

Melania odłożyła słuchawkę wpatrując się niewidzącym wzrokiem w światła San Francisco. Po drugiej stronie pokoju Derek wyjmował kostki lodu z lodówki za barem.

— Nie wszystko zrozumiałem, ale coś mi się wydaje, że Victoria sprowadziła tam kogoś, by umiłał czas Rossowi.

— Katherine Fraser — odparła Melania wciąż patrząc w okno. Derek znieruchomiał.

— Ross i Katherine? Sprytna ta Victoria.

Melania odwróciła się w jego stronę. Twarz Dereka nie wyrażała niczego szczególnego, ale w jego ciemnych oczach błyszczała wściekłość; Melania poczuła ukłucie zazdrości.

— Martwi cię to? Że Katherine jest z twoim bratem? Muszę przyznać, że nie czekał długo; rozstaliśmy się zaledwie w maju. — Nie spuszczała wzroku z jego beznamietnej twarzy. — Jon mówi, że świetnie się bawią, co dzień i co noc... dzieci wysyłają na tenisa albo jakoś inaczej organizują im czas, żeby mogli zostać sami. Ja tkwię w tym domu, a on zabawia się na Riwierze... i na pewno nie

spędza czasu z dziećmi, a przecież właśnie z tego powodu, jak sam mówił, chciał zabrać je na miesiąc do Francji. Powinam zażądać, żeby je odesłał; oboje powiedzieli, że się nudzą; nie mają tam matki ani ojca.

Derek patrzył gdzieś przed siebie i tylko pojedynczy mięsień przy oku drgał mu nerwowo. Z powrotem schował do lodówki tacę z lodem.

— Jest po jedenastej. Jeśli chcesz dotrzeć na to przyjęcie, to powinniśmy już iść. Kiedy wraca twój mistrz tenisa?

— Jutro.

— I jakie masz wobec niego zamiary?

— Chyba za niego wyjdę. — Dlaczego?

— Bo go kocham.

— Gówno prawda.

Stojąc przed lustrem w holu Melania nerwowo poprawiała włosy.

— Bo on jest młody i przy nim ja też czuję się młoda.

— To nie wszystko. O co jeszcze chodzi?

— Niech cię diabli, Derek. — Wyjęła z szafki jedwabną apaszkę. — Boję się być sama.

Derek skinął potakująco głową.

— Życzę ci wszystkiego najlepszego.

— Wcale nie. Tak naprawdę nic cię nie obchodzę. Kiedyś spaliśmy ze sobą, uganiałeś się za mną, a ostatnio nie chcesz tego robić. Mimo iż cię proszę. A ja nigdy o nic nie proszę! Nikogo! Tylko ciebie, a ty mnie odtrącasz!

— Katherine powiedziała, że pragnęłam cię mieć, bo byłaś żoną Rossa.

— Katherine powiedziała! A cóż ta suka może wiedzieć o kimkolwiek z nas?

— Znacznie więcej niż ty.

Otworzył drzwi nie okazując po sobie wściekłości. Znał siebie na tyle dobrze, by się zorientować, że ktoś go przejrzał. Normalnie nie zwracał uwagi na to, co mówią inni, ale czasami zdarzały się sytuacje, kiedy komuś udawało się przedrzeć przez mur, jakim się otaczał, i dojrzeć Dereka Haywarda, jakiego chciał ukryć przed światem, a to doprowadzało go do wściekłości. Katherine już wystarczająco dała mu się we znaki w kwietniu, a teraz na samą

myśl, że ona jest z Rossem i że rozmawiają o nim, cały aż skręcał się ze złości i wiedział, że musi bardzo się kontrolować, dopóki się nie uspokoi.

— Gotowa? — spytał szorstkim głosem.

— Jesteś w niej zakochany? — rzuciła nagle Melania.

— Nie.

— A byłeś, kiedy się spotykaliście? — dopytywała się.

— Nie. A jakie to ma znaczenie?

— Nie wiem — odparła. Podeszli do samochodu. — Ale czułabym się lepiej, gdybyś jej nie kochał.

Derek pominął to milczeniem; po chwili nie mogąc znieść ciszy Melania podjęła inny temat. Mówiła przez całą drogę, gdy jechali przez most Golden Gate do centrum San Francisco i na szczyt wzgórza Nob Hill, gdzie Derek zaparkował na stromej uliczce przed domem Hermana Mettlera.

Przyjęcie było imponujące; Mettler urządzał takie każdego lata, gdy interesy szły gorzej. Zakładając, że inni też się nudzą, zawsze przygotowywał wiele atrakcji — a więc w sali projekcyjnej można było oglądać filmy pornograficzne, w salonie zajmującym prawie całe pierwsze piętro orkiestra grała do tańca, a kelnerki ubrane tylko w spódnice z trzciny roznosiły polinezyjskie przekąski. W pokoju na górze natomiast Mettler prezentował jesienną kolekcję biżuterii.

— Oczywiście ona ma zupełnie inny styl niż ty — powiedział Mettler do Marca Landaua, gdy ich uwagę przykuł złoty naszyjnik z karteczką „Katherine Fraser”. — Ale ta kobieta ma talent, to nie ulega wątpliwości. Któregoś dnia może nawet stać się dla ciebie konkurencją. Wyrobi sobie markę. — Zdusił śmiech. — Zwłaszcza jeśli jej biżuteria będzie się zmieniać tak niesamowicie.

— Nikt nie może rywalizować z Markiem Landauem — rzuciła z łobuzerskim uśmiechem Leslie. — On sam mi to powiedział. Ale ten naszyjnik jest niezwykle efektowny, prawda? — Odwróciła się słysząc, że ktoś ją woła. — Przepraszam; chciałabym pokręcić się trochę między ludźmi.

Landau przyjrzał się naszyjnikowi.

— Mówisz, że jej biżuteria się zmienia?

— Jak noc zmienia się w dzień. Jej pierwsze rzeczy były ładne, starannie wykonane, z rodzaju tych, które widuje się u Williamsa i Baylora czy u Corferta. Ale następna kolekcja... cóż, sam widzisz.

Pełna inwencji, ma własny śmiały styl, po prostu niepowtarzalna... fascynuje w niej sposób wykorzystania materiałów. Za pierwszym razem ta kobieta trzymała się utartych szlaków; za drugim uwolniła się i poszła na przelaj. Zadziwiające. I wiesz, niemal zawałem transakcję. Byłem tak zaskoczony, że zapytałem ją, czy to naprawdę jej dzieła, czym prawie zaprzepaściłem sprawę. O, Derek. — Przerwał. — Miło cię widzieć, Przywitani się.

— Oskarżyłeś kogoś o kradzież projektów? — zaciekał się Derek.

— Boże uchoj! Tylko pytałem. Twoja przyjaciółka Katherine Fraser nie opowiadała ci? Była tak zdenerwowana, jakby zamierzała oskarżyć mnie przed całym światem, a tylko dlatego, że kiedy przyniosła kolekcję całkowicie inną od poprzedniej i odmówiła podpisania kontraktu na wyłączność, ja zrobiłem taką niewinną uwagę. Ależ zadzierała nosa! Aż mnie język zaczął się plątać i przepraszałem ją. Nie ukrywałem, jakie wrażenie zrobiła na mnie jej biżuteria, więc wiedziała, że może z nią pójść gdzie indziej, i prawie ją straciłem. Aż trudno uwierzyć, że nie uraczyła cię tą historią, Derek.

— Nie mówiła mi, bo się nie spotkaliśmy — odparł Derek spoglądając z zadumą na naszyjnik Katherine. — Ostatnio widzieliśmy się w kwietniu.

— Zakochani zawsze się kłócą — stwierdził filozoficznie Mettler. Ale ciekawość nie dawała mu spokoju. — Jestem pewien, że w końcu się dogadacie... czy może sprawa zaszła już za daleko?

Udając, że całą jego uwagę pochłania naszyjnik, Derek powiedział łagodnie:

— Hermanie, nie mam zwyczaju rozmawiać o problemach młodych kobiet.

Po chwili Mettler spytał:

— O problemach? Landau zmarszczył czoło.

— Leslie mówiła, że Katherine ma się świetnie i dobrze sobie radzi — wtrącił.

— Jakież problemy z pracą? — dopytywał się Mettler.

— Nie. Osobiste. Nie martwiłbym się na twoim miejscu, Hermanie; wszystko wskazuje na to, że na tobie to się nie odbije.

Pośród ogólnej wesołości tylko ci trzej mężczyźni pograżyli się w posepnym milczeniu.

— Wszystko wskazuje — powtórzył Mettler przerywając ciszę. — Chyba to ja sam powinienem ocenić sytuację?

Derek wzruszył ramionami.

— Niech cię diabli, Dereku, zadałem istotne pytanie. Inwestuję w tę kobietę, więc jeśli ma jakieś problemy, które mogą mieć wpływ na jej pracę, to chcę o nich wiedzieć!

— Nie ma powodu do wpadania w histerię, Hermanie; znam zaledwie kilka wyrwanych z kontekstu faktów. Nic poza tym.

— Fakty! Jakie fakty? O czym ty mówisz, do jasnej cholery? Marc, jeśli nie masz nic przeciwko... chciałbym porozmawiać z Derekiem na osobności... — Ujął Dereka pod ramię i pociągnął w róg pokoju z dala od tłumu. — Mów, co, u diabła, się dzieje?

Derek wypił do połowy swą szkocką.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, czy w ogóle coś się dzieje, mówiąc twoimi słowami. — Jak każdy Katherine ma kłopoty, tyle że w nadmiarze. Jej mąż to defraudant, który zniknął ponad rok temu przyznawszy się najpierw współwłaścicielowi firmy, że od lat brał pieniądze z kasy. Dwa miesiące po jego ucieczce Katherine sprzedała dom tracąc na tym i wyjechała z Kanady; a wkrótce po przyjeździe do San Francisco zaczęła co miesiąc dostawać pieniądze od męża. A w sylwestra nawet ją odwiedził. Pytaliśmy ją, gdzie on jest, bo chcieliśmy mu pomóc, ale ona upiera się, że nie wie. Najprawdopodobniej boi się komukolwiek zaufać.

Mettler przesunął ręką po twarzy. Już wcześniej słyszał fragmenty tej historii — choć o defraudacji nic nie wiedział — ale przedstawiona przez Dereka wyglądała zupełnie inaczej.

— Chcesz powiedzieć... — Odchrząknął. — Że ona może mieć coś wspólnego z tą defraudacją? Że może jest złodziejką?

Derek potrząsnął głową.

— Wątpię.

— Ale nie jesteś pewien?

— Możemy tylko wierzyć jej na słowo. Sprawia wrażenie uczciwej.

— Ale nie masz pewności. A jeśli jest złodziejką, to może też kraść inne rzeczy. Na przykład wzory biżuterii.

Derek lekko się uśmiechnął.

— Zagalopowałeś się, Hermanie. Nie oskarżyłbym jej o coś takiego.

Po chwili milczenia Mettler wybuchnęła:

— Przecież ona przez małżeństwo weszła do twojej rodziny! — Derek nic nie odpowiedział. — To dlatego jesteś taki ostrożny w swoich sądach! Bronisz swojej rodziny!

— Opamiętaj się — odparł Derek chłodno. — Dajesz się ponieść emocjom. Sam nie wiem, jak do tego doszło, że poruszyliśmy ten temat. Nie masz powodów do zmartwienia.

— Mam i to poważne! Dobrze wiesz, ile płacą moi klienci za pewność, że u mnie kupują oryginały. Do cholery, przecież wzory biżuterii chronione są prawem autorskim i moi klienci o tym wiedzą; nie byłoby bogaci, gdyby byli naiwni! Zdajesz sobie sprawę, co by ze mną zrobili, gdyby się dowiedzieli, że inwestują w kopie albo — nie daj Boże — w kradzione projekty? Poszukaliby sobie kogoś innego, komu mogliby zaufać! I co by się wtedy ze mną stało? Do jasnej cholery, gdybym wiedział!...

— Marc gdzieś poszedł? — spytała Leslie przepychając się w ich stronę. — Myślałam, że jest z wami. Dobry Boże, Hermanie, czy ktoś umarł?

Mettler spojrzał w jej stronę obojętnie.

— Nie wiem, gdzie jest Marc.

— Dzięki — odparła sucho Leslie. — Poszukam go. Ale daj mi znać, jeśli umarł ktoś ważny.

Znalazła Landaua, gdy próbował się uwolnić od jakiegoś mężczyzny o masywnych szczękach, który chciał, by Marc zaprojektował naszyjnik dla jego żony.

— Muszę już iść — powiedział Marc z ulgą, gdy zobaczył Leslie. — Niech mi pan przyśle kartkę ze szkicem; na przyjęciach nigdy nie załatwiam interesów. Na pewno nie napisze — powiedział do Leslie, gdy szli przez pokój. — Bo nie umie. Wszystkie swoje pieniądze odziedziczył, teraz grywa w tę żalostną grę, jaką jest golf, a do tej pory nie nauczył się pisać. To wszystko, co o nim wiem. No i jeszcze to, że jego żona lubi szmaragdy. Jemy kolację tutaj czy pójdziemy do mnie?

— Tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Leslie.

— Tak?

— Kiedy ostatnio byłaś u mnie?

— Dwudziestego dziewiątego kwietnia. Uniósł brwi zdumiony.

— Masz nadzwyczajną pamięć. Czy może stało się coś, co tak utrwaliło tę datę. I trzyma cię z dala od mojego łóżka od prawie trzech miesięcy? Kim on jest?

— Nie znasz go.

— Jeśli nawet, to przecież chyba ma jakieś nazwisko.

— Claude Fleming.

Landau wpatrywał się w wypielęgnowany paznokieć.

— Masz rację; nie znam go. Ale znam jego firmę. Zjemy coś? W otoczonym murem ogrodzie przygotowany był bufet, na

którym potrawy ozdobione były ptakami rzeźbionymi w lodzie, które płakały roztopiając się nad gorącymi i zimnymi kebabami i wydrażonymi połówkami ananasów pełnymi różnych owoców.

— Wysoko mierzysz — zauważył Landau, gdy nakładali sobie dania na talerze.

— Od skromnego jubilera do współwłaściciela jednej z najpotężniejszych firm prawniczych w kraju. Czy jak na dzisiejsze czasy nie jest to zbyt staroświecki sposób awansowania dla kobiety?

— Nie przeholuj, Marc — powiedziała Leslie idąc przodem w stronę stolika. — Jeśli będziesz taki okropny, to pomyślę, że naprawdę cię obchodzę.

— A może chodzi o to, że on zgadza się być ojcem tego wymarzonego dziecka, o którym kiedyś tyle opowiadałaś? Pamiętam tę sentymentalną bajeczkę o samotnym macierzyństwie. Czy przez cały ten czas, kiedy ja oprowadzałem cię po rozmaitych przyjęciach, ty szukałaś jakiegoś spragnionego ojcostwa faceta?

— Niech to diabli — powiedziała Leslie. — Tobie naprawdę na mnie zależy. Marc, jesteś zazdrosny niczym nastolatek.

— Nie mów głupstw. Chcę tylko powiedzieć, że nie pozwolę, by ktoś mnie oszukiwał.

— A więc to chciałaś mi powiedzieć? Nie domyśliłam się. — Odsunęła talerz i wstała. — Przykro mi, Marc; chciałam, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, jesteś jedynym sukinsynem, który ma czasem złote serce. Za nic nie chciałabym, żebyś czuł się oszukany, i bez względu na to, co myślisz, nie chcę, żebyś był nieszczęśliwy. Gdybym wiedziała, że choć odrobinę ci na

mnie zależy, cóż... sama nie wiem; może Claude nie zrobiłby na mnie takiego wrażenia. Ale teraz już się tego nie dowiemy, prawda? Ale niech cię piekło pochłonie, Marc, za to, że sypiając ze mną przez tyle lat, ukrywałeś przede mną swoje uczucia. Boże, tak mam już dosyć zimnych, przebiegłych ludzi. Nie, nie wstawaj; znam drogę; zostań i baw się dobrze. Rozwesel trochę gospodarza; wyglądał, jakby Derek dolał mu trucizny do wina. Żegnaj, Marc; dziękuję za tych parę przyjemnych lat.

Przeszła przez salon do foyer. Nie powinnam była tak się zdenerwować, pomyślała. Ale jednocześnie poczuła ulgę. Od trzech miesięcy nie potrafiła zerwać z Markiem — nie była na tyle pewna Claude'a ani swoich uczuć do niego, żeby rozstać się zupełnie z kimś tak godnym zaufania jak Marc. Ale teraz sytuacja sama się rozwiązała i Leslie aż podskoczyła wychodząc z domu Mettlera. Przez chwilę stała jeszcze się nad czymś zastanawiając, po czym rażnym krokiem przeszła dwa budynki dalej, by wziąć taksówkę.

Do domu wróciła wcześniej i jeszcze przez godzinę siedziała nad papierkami, by wszystko mieć gotowe przed poranną wizytą w biurze Claude'a.

— Proszę — powiedziała podając mu przepisane na maszynie notatki. — Jest tu wszystko z wyjątkiem ostatniej części. Bruce'a jeszcze nie ma?

— Owszem jest. Sytuacja kryzysowa pobudza go do wczesnego wstawania. Przynieść ci kawę?

— Tak.

Westchnęła zadowolona. Wszystko zaczyna się układać; wszystko będzie dobrze. Od lat już nie czuła się tak bezpieczna.

— Cześć, siostrzyczko — odezwał się Bruce siedząc na podłodze w jednej z pozycji jogi. — Medytuję, a jeśli chcesz spróbować...

— Bruce, czy moglibyśmy jeszcze raz to powtórzyć?

— Jesteś zdenerwowana — zauważył Bruce z wyrzutem.

— Stawka jest bardzo wysoka. Nie chcę się pomylić.

— Nie mylimy się! Wiem wszystko... no cóż, prawie wszystko...

— Bruce. — Claude przysiadł na poręczy fotela Leslie. — Powtórzmy wszystko. Bruce zerknął najpierw na jedno, potem na drugie i westchnął.

— Dobrze. No więc tak. Chcesz ukraść towar ze sklepu, ale nie jeden sweter czy portfel, tylko powiedzmy milion dolarów rocznie;

co wtedy robisz? Najpierw piszesz program komputerowy, który co tydzień sporządza spis drogich i dobrze sprzedających się towarów... zwykle są to rzeczy z wyprzedaży albo specjalnie reklamowane czy coś w tym rodzaju. Potem dajesz tę listę komuś, kto przechadza się z nią po sklepie i kradnie spisane na niej rzeczy, na przykład dziesięć swetrów, dwadzieścia szalików czy dwa żakiety po pięćset dolarów... to za mało, żeby ich brak rzucił się w oczy, skoro szybko się sprzedają. Ten ktoś musiałby to robić po zamknięciu sklepu...

— Nocny stróż — przerwała Leslie.

— Albo strażnik czy ktoś w tym rodzaju. A jednocześnie ten program komputerowy zmienia rejestr towarów, tak by wynikało z niego, że te skradzione są sprzedane! Rozumiecie? Gdyby posłużyć się zwyczajnym programem, zostałyby ślad w komputerze, ale ten specjalny program wymyka się wszystkim zabezpieczeniom, które zainstalowaliśmy, i nie zostawia śladu jakichkolwiek manipulacji! To sprytny drań i już prawie go miałem, ale znalazł moje notatki i ukradł je...

— A więc tak działa ten specjalny program? — spytał Claude. — Ten, który znalazłeś i nie chcesz powiedzieć gdzie?

— Niech to diabli, wiesz gdzie... och. Żadną siłą nie wyciągniesz ze mnie szczegółów tej wycieczki, nie powiem ci, jak włamałem się do biura, żeby to znaleźć, ale rzeczywiście tak właśnie działa ten program i nie zostawia śladu. Przyznaję jednak, że nie mam pojęcia, jak udało im się oszukać czujniki, ominąć kamery i wynieść towar ze sklepu. Może dozorca wynosił go w pojemnikach na śmieci? Albo malarze w puszkach po farbach?

— Leslie i ja mamy pewien pomysł — powiedział Claude. — Musimy tylko zadzwonić do Katherine, żeby się upewnić.

— Do Francji?

— Tak. Ale przedtem chciałbym cię o coś zapytać. Do zrobienia tego specjalnego programu trzeba było eksperta, prawda? — Bruce energicznie pokiwał głową. — To skąd wiadomo, że to nie twoje dzieło?

Bruce zerwał się na równe nogi.

— Przecież wiecie, kto to naprawdę zrobił! Mój szef, Dick Volpe, ten, który mnie wrobił kradnąc moje notatki. Już wam to mówiłem!

- Nie bądź dzieckiem, Bruce — prychnął Claude. — Kto w to uwierzy?
- Odpieprz się, Fleming! Myślałem, że mi wierzysz! Jeśli ci się wydaje, że pozwolę ci poślubić moją siostrę po tym, jak nazwałeś mnie...
- Bruce! — przerwała mu Leslie. — Nikt nie wspominał słowem o małżeństwie!
- Trzymaj się tematu — polecił mu Clude, lecz choć starał się opanować śmiech, kąciki jego ust drgały lekko. — Jak będziesz się bronił, gdy zarzucą ci, że oczerniasz swego byłego szefa?
- Aha... o to ci chodzi?... próbujesz wypracować linię obrony? Cholerny adwokat, aż dech mi zapiera... Już ci mówiłem, tylko Volpe i ja potrafimy ominąć zabezpieczenia programu, a poza tym Volpe ma charakterystyczny dla siebie sposób pisania szeregów, nie wiecie wprawdzie, co to znaczy, ale nieważne, zawsze wiedzieliśmy, które programy były jego dziełem właśnie dlatego, że ma swój styl... zaraz, pokażę wam...
- Wystarczy, jak nam wyjaśnisz — powiedział Claude. — Czy to tak jak ze stylami w malarstwie czy powieściopisarstwie?
- Bruce skinął twierdząco głową.
- Albo jak różny charakter pisma?
- Niezupełnie, ale blisko.
- Czy eksperci do spraw informatyki są w stanie zidentyfikować styl danej osoby?
- Tak, do diabła! Przecież właśnie o tym mówię!
- A twój styl różni się od stylu Volpe'a?
- Bardziej już nie może.
- Możemy się na tym oprzeć — podsumował Claude. — Ja jestem usatysfakcjonowany. A ty, Leslie?
- Przytaknęła skinieniem głowy.
- Przepraszam za dziwaczne fantazje mojego brata — powiedziała.
- Claude spojrzał jej w oczy.
- Nie słyszałem tu żadnych dziwacznych fantazji. Ciszę, jaka zapanowała, przerwał Bruce.
- No jak? Dzwonimy do Mademoiselle Katherine w jej francuskim ustroniu?

— Leslie do niej zatelefonuje — odparł Claude. — Ale tylko zapytaj ją, Leslie. Nie mów nic o teorii Bruce'a.

— Dlaczego nie? Claude, przyjaźnimy się i ona wie, przez co przeszłam.

— Najpierw chcę zakończyć tę sprawę. Muszę się upewnić, że mamy gotowy cały scenariusz i że wszystko w nim gra. Leslie, mam tylko na uwadze twoje dobro. I Bruce'a.

— Chyba chodzi nam o uzyskanie pewności — powiedziała Leslie.

— Dzięki której ty zatrzymasz swoją pracę, a Bruce być może zostanie szefem działu informatyki, jeśli tego pragnie. Do diabła, Leslie, to nie „Heath” mnie wynajął i nic mnie nie obchodzi, nawet jeśli rozkradną cały ten sklep. Interesuje mnie wyłącznie twój los.

Leslie przypomniała sobie, jak któregoś wieczoru wróciła późno do domu i kuląc się w fotelu przy oknie marzyła, żeby był taki ktoś, kogo choć trochę obchodziłaby jej osoba.

— Przekonujący argument — stwierdziła śmiejąc się i podeszła do telefonu. Gdy wykreślała numer willi w Menton, który zostawiła jej Katherine, Claude podniósł słuchawkę drugiego aparatu w przeciwległym kącie biura.

— Cześć — powiedziała wesoło, gdy Katherine odebrała telefon. — Dzwonię, żeby dowiedzieć się, co słyhać i...

— Leslie! Wielkie nieba... słyszę głos z innej planety! Jak się masz? Dostałaś moje listy?

— Wszystkie, i są cudowne. Ale widzisz, Katherine, właściwie to mam do ciebie interes. Towarzyską pogawędkę zostawmy na później. Jestem teraz na zebraniu i muszę wiedzieć, dlaczego Gil cię wyrzucił.

— Gil? Jest ostatnim człowiekiem, o którym myślę...

— Wiem, ale to ważne. W przeciwnym wypadku nie pytałabym cię o to. Czy możesz mi powiedzieć, co wtedy zaszło? To było tamtego wieczoru, gdy robiłaś inwentaryzację, prawda?

— Spisywałam rzeczy ze scenki weselnej w oknie — zaczęła Katherine sięgając myślami w przeszłość. — Kiedy skończyłam, wróciłam na dół... Gila tam nie było, ale tego dnia był taki wściekły, że bałam się wyjść nie będąc pewna, że wszystko policzyłam. Na podłodze stały jakieś pudła z rzeczami, które zdjęliśmy dopiero co z okien. Nie odwieziono ich jeszcze do magazynu, bo

nasz kierowca zachorował, a Gil nie chciał nikogo na zastępstwo, więc pomyślałam, że je także policzę. Mniej więcej wtedy wrócił Gil i zaczął na mnie wrzeszczeć.

— Czy akurat przeglądałaś zawartość kartonów?

— Miałam wtedy za sobą już dwa albo trzy; zeszło mi dłużej niż normalnie, bo rzeczy z wystaw pomieszane były z nowym towarem... — Katherine przerwała na chwilę, a Leslie i Claude wymienili triumfujące spojrzenia. — Leslie? — spytała. — Wtedy myślałam, że ktoś się pomylił przyjmując nowy towar, potem byłam tak roztrzęsiona, że zupełnie o tym zapomniałam, ale...

— Katherine, bardzo cię przepraszam — przerwała jej pospiesznie Leslie. — Wiem, o czym myślisz, ale nie mogę teraz o tym rozmawiać. Wstrzymaj się troszkę. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mogła, dobrze?

— Oczywiście, ale...

— Przepraszam cię, Katherine, bardzo dużo się ostatnio dzieje; obiecuję, że zadzwonię do ciebie.

Jednocześnie odłożyli z Claude'em słuchawki.

— No jak? — dopytywał się Bruce nieco rozczarowany. — No jak, do diabła?

— Bardzo dobrze — powiedział Claude z charakterystycznym uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy na sali sądowej, gdy wchodził w posiadanie jakiegoś dowodu.

— Pudła zawierające rzeczy z wystaw — wyjaśniła Leslie bratu. — Towar pakowano do nich tuż przed wywiezieniem do magazynu i w ten sposób nie wykrywały go żadne czujniki, kamery ani strażnicy i nikt nie zadawał żadnych pytań, bo te pudła wywożono legalnie. Katherine znalazła je tylko dlatego, że dłużej niż zwykle pozostały w sklepie; kierowca, który zazwyczaj je wywoził, zachorował, a Gil nie chciał... — Popatrzyła na Claude'a. — Gil nie chciał nikogo na zastępstwo. I wyrzucił Katherine, gdy zauważył, że grzebie w pudłach.

Claude potaknął skinieniem głowy.

— Przypuszczam, że to on albo Volpe kierował tym interesem. Ale potrzebowali jeszcze dwóch ludzi: jednego, który by prznosił towar z półek do magazynu na dole, i kierowcy. Cudownie prosty plan.

— A więc to wszystko? — spytał Bruce. — Już nie potrzebujesz innych dowodów, prawda?

— Musimy uciąć sobie pogawędkę z Gilem Listerem. A potem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, z prezesem „Heatha”. Później, Leslie, będziesz mogła zadzwonić do Katherine i przekazać jej najnowsze wieści.

Katherine i Victoria były na tarasie, gdy Leslie zadzwoniła po raz drugi.

— Przygotuj się na niesamowitą historię — powiedziała Leslie, ledwie usłyszała głos Katherine w słuchawce i szybko streściła jej to, czego się dowiedzieli. — A potem poszliśmy do tego typka; siedział w swym małym królestwie wygodnie rozparty na skórzanym tronie, a po chwili skurczył się jak przekłuty balonik. Żałowałam tylko, że nie było cię przy tym, bo mogłabyś delektować się tą scenką.

— I co dalej? — spytała Katherine.

— Opowiedzieliśmy całą historię radzie nadzorczej, a Bruce wyjaśnił im ten program komputerowy i zrobił to bez jednego nieprzyzwoitego słowa, co dowodzi, że potrafi ich nie używać. I wtedy prezes zaczął wiwatować na moją cześć, a inni wydawali pomruki zaprawione niechęcią. Cała sprawa przeszła jak po maśle. Bruce zachował się przyzwoicie, a Claude był pełen rezerwy, spokoju i po prostu ich zniszczył. Naprawdę zrobił wrażenie.

— Tylko służbowo?

— O Boże. Chcesz powiedzieć, że wyczuwasz to w moim głosie?

— Wyczuwam, że odkąd jestem na wakacjach, bardzo wiele się wydarzyło. Powiedz coś więcej.

— Opowiem ci wszystko, jak wrócisz. Przede wszystkim chciałam, żebyś wiedziała, że jestem oczyszczona z podejrzeń i Bruce także. Bardzo sprytnie go wrobili; Listerowi wymknęło się nawet, że uważali Bruce'a za człowieka, który ucieka od problemów, co jeszcze bardziej by go pograżyło, i prawie się udało go w to wrobić — ja, jego siostra, byłam niemal pewna jego winy. Ale w końcu to Bruce ich przyskrzypił. Co o tym sądzisz?

— Myślę, że masz rację; to niesamowita historia. A teraz powiedz coś na temat siebie i Claude'a.

— Jak wrócisz. To przecież za kilka dni, prawda?

— Pięć.

Na dźwięk tego słowa Katherine się wzdrygnęła. Pięć dni. Ross wróci z Paryża za dwa, a trzy dni później ona, Jennifer i Todd wyjadą stąd. Gdy żegnała się z Leslie, te słowa ciągle brzmiały jej w uszach. Pięć dni. Potem znów wrócimy do normalnego życia.

— Jakież smutne wieści? — spytała Victoria, gdy Katherine wróciła do niej na taras.

Miejsce talerzy na stole zajęły już kryształowe pucharki wypełnione truskawkami z sokiem pomarańczowym i curaçao. W porcie na tle rdzawo zachodzącego słońca kołysały się wysokie maszty łodzi, a przez otwarte na taras okno dobiegał śmiech dzieci, które obmyślały straszne scenki, w których roilo się od potworów.

— Nie — odparła Katherine. — Mam dobre wieści. — I opowiedziała Victorii całą historię, poczynając od dnia, kiedy to Gil ją wyrzucił, a kończąc na opisie zebrania rady nadzorczej, które właśnie się odbyło. — Ale to nie wszystko. Najwyraźniej Leslie i Claude bardzo się do siebie zbliżyli.

— Ale ona jest chyba w twoim wieku? A Claude lubi młodziutkie panienki o dużych oczach.

— Tak nam się wydawało. Ale może się zmienił?

— Jeśli tak, to Leslie musi być wyjątkową kobietą.

— Bo jest. Mam nadzieję, że Claude to zauważył. Chcę, żeby była szczęśliwa, tym bardziej że od dawna już tęskni za życiem rodzinnym.

— Aha. — Ze zdobnego srebrnego naczynka Victoria nabrała troszkę bitej śmietany i włożyła ją do kawy. — W dzisiejszej poczcie widziałam kartkę do ciebie. Katherine roześmiała się.

— Tak. Od Rossa. Ale skąd ci to teraz przyszło do głowy?

— Nie mam pojęcia — odparła Victoria spokojnie. — Wiesz, że myśli starej kobiety skaczą z tematu na temat. Czy Ross bardzo jest zajęty?

— Tak, i zadowolony, że wyburza ściany. Zbiera pocztówki dla dzieci. Ta, którą mi przysłał, przedstawia restaurację, gdzie jedliśmy kolację przed przyjazdem tutaj.

— Pocztówki dla dzieci — powtórzyła zamyślona Victoria. — Kiedy Craig był chłopcem, też je zbierał. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zabraliśmy go do Tahoe, upierał się, że ktoś osuszył jezioro, bo wyglądało na znacznie mniejsze niż na pocztówkach,

które mu wysyłałiśmy. Hugh zaczął wtedy grzmiącym głosem tłumaczyć mu różnice pomiędzy rzeczywistością a zdjęciem, ale tylko wystraszył biedne dziecko. Skończyło się na tym, że wypłynęli łódką i przez cały dzień pływali dokoła jeziora. Potem Hugh nigdy już nie wysyłał żadnych pocztówek. Ale nie wiem, czy Craig czegoś się wtedy nauczył.

Craig. Katherine popatrzyła na oświetloną już przystań; zobaczyła płataninę masztów i lin i żagle owinięte jasnym płótnem. Przez cały ostatni miesiąc jakby o nim zapomniała; nikt nie wymawiał jego imienia; jego cień nigdzie za nią nie szedł. Ale teraz był znów przy niej. Ciekawe, co robi, pomyślała. Czego się boi?

— Jeśli Ross kupuje dzieciom pocztówki — ciągnęła Victoria — to powinien im wytłumaczyć, że niezupełnie dokładnie odzwierciedlają rzeczywistość. Tęsknisz za nim?

— Tak — odparła Katherine cicho. Do tej pory unikała pytań Victorii, ale teraz przytłoczona cieniem Craiga, miała ochotę rozmawiać.

— I myślisz o nim?

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Wystarczająco dużo, żeby przeszkadzało mi to w pracy.

— A co chodzi ci po głowie?

— Nic szczególnego. Po prostu on.

— Myślisz o tym, co robicie, czy może, co chciałabyś z nim robić?

— Chcesz wiedzieć, czy spaliśmy ze sobą?

— Nie, nie, skądże, ani mi w głowie pytać o coś takiego! Może i jest to dzisiaj bardzo nowoczesny temat rozmów, ale w tym względzie na pewno nie jestem nowoczesna. To wasza prywatna sprawa i nie powinna nikogo obchodzić. Chodziło mi o to, czy myślisz o nim jako o mężu?

— Nie. — Katherine podenerwowana wstała i podeszła do murku okalającego taras wystawiając twarz na lekki wiaterek. — Nie myślę o nim jak o mężu, bo już mam jednego...

— Z którym powinnaś się rozwieść.

— Który jest też ojcem moich dzieci... Co? Co powiedziałaś?

— Że powinnaś rozwieść się z Craigiem. Dlaczego cię to dziwi? Opuścił cię ponad rok temu i poza przysyłaniem pieniędzy i jednorazowymi odwiedzinami, które właściwie i tak nie doszły do

skutku, bo on znów uciekł, nie daje w ogóle znaku życia. Naprawdę uważasz się za mężatkę?

— Nic nie rozumiem. Kiedyś zawsze go broniłaś?

— To prawda. Może znów to zrobię, jeśli okoliczności będą tego wymagać. Ale teraz mam jeszcze ciebie i o tobie także muszę myśleć. I zdążyłam się już zorientować, że nie jesteś w stanie jasno myśleć o Rossie czy jakimkolwiek innym mężczyźnie ani zadbać o swoją przyszłość, dopóki nie uwolnisz się od tego cienia, który podąża wszędzie w ślad za tobą i przesłania ci pole widzenia.

— Nie mogę tego zrobić.

— Oczywiście, że możesz; to nic trudnego, Derek robił to trzy razy. Pytałam o to Claude'a, on idealnie nadaje się do tej sprawy, bo jest dyskretny i niemalże należy do rodziny, i wszystko mi wyjaśnił. Przede wszystkim nie jest to nawet rozwód, a „rozwiązanie” małżeństwa, a wszystko, co musiałabyś zrobić — ponieważ nie możesz znaleźć Craiga, by przedstawić mu dokumenty do podpisu — to przez miesiąc zamieszczać ogłoszenie w prasie w Vancouver stwierdzające, że prosisz o rozwiązanie małżeństwa. Jeśli w ciągu tego czasu Craig nie odezwie się, pójdziesz do sądu w towarzystwie Claude'a i oświadczysz, że różnice między tobą a mężem są nie do pogodzenia i sędzia wyda odpowiedni dokument. Claude mówi, że trwa to najwyżej trzy minuty. A po upływie sześciu miesięcy od decyzji sądu nie będzie już odwołania.

— Bardzo proste — stwierdziła Katherine. — Ale nie to miałam na myśli. Nie mogę rozwieść się z Craigem, bo jego tu nie ma.

— Ale już ci wyjaśniłam, że jego obecność nie jest konieczna.

— Victorio, wiesz o co mi chodzi.

— Tak. Oczywiście. — Victoria splotła dłonie. — Chyba próbowałam nie dopuścić do tego, byś zaczęła mówić o wierności. To jakoś nie pasuje do sytuacji.

Coś nie dawało Katherine spokoju, coś, co powiedziała Leslie. Przysiadła na kamiennym murku wpatrując się poprzez kołyszące się maszty w płynącą w stronę brzegu, gnaną wiatrem łódkę. Jakby przed czymś uciekała. Tak, Bruce. Ktoś myślał, że Bruce ucieknie. „Uważali, że jest człowiekiem, który ucieka od problemów, a tym pograżyłby się jeszcze bardziej.” Ktoś zrobił Bruce'a w przestępstwo, bo uznał, że jest typem człowieka, który w takiej sytuacji ucieknie.

„Bardzo sprytnie go wrobili... i prawie im się to udało... ja, jego siostra, byłam niemal pewna jego winy.”

Łódka przybiła do brzegu, Katherine widziała małe postacie zwijające żagiel i kliwer. Zamyślona zacisnęła rękę na chropowatym murze.

— Katherine! — odezwała się ostro Victoria. — Co się stało? Chodź tutaj, zanim wypadniesz.

Ale Katherine myślami była daleko, przypominała sobie dzień, kiedy ktoś krzyczał na Carla Doernera. To było na przyjęciu, które urządziła na cześć Leslie w piątkowy wieczór, gdy Craig nie wrócił do domu. Ktoś krzyknął: „Swobodnie szafujesz oskarżeniami, Doerner! Znany jesteś z tego, no nie? Zwłaszcza że bywają fałszywe... — Słuchaj, sukinsynu, to było dwa lata temu. I myślałem, że mam rację. Kiedy przekonałem się, że tak nie jest, zapłaciłem za błąd i na tym sprawa się zakończyła”.

— Katherine! — przywoływała ją Victoria. Katherine posłusznie wróciła do stolika, ale nie usiadła.

— Nie masz nic przeciwko, żebym wyszła na chwilę? — spytała głosem tak delikatnym, jakby bała się kogoś obudzić. — Chciałabym się trochę przejść. Muszę coś sobie przemyśleć.

— Oczywiście, moja droga, jeżeli na pewno dobrze się czujesz. Jeśli powiedziałam za dużo, to bardzo cię przepraszam....

— Nie. Nie chodzi o to, co powiedziałaś. — Nachyliła się i cmoknęła Victorię w miękki policzek. — Kocham cię. I nie odejdę zbyt daleko.

Ale myślami była już bardzo daleko — w Vancouver, w dniu kiedy odszedł Craig. W dniu, kiedy uciekł. Może niekoniecznie dlatego że popełnił przestępstwo, ale dlatego że został w nie wrobiony.

Ale Carl powiedział, że Craig się przyznał. Katherine pamiętała, jak stał w jej eleganckim salonie, niczym włochaty niedźwiedź, podając jej kopertę, której zawartość jego zdaniem dowodziła winy Craiga. A potem znalazła te wszystkie rachunki, ponaglenia do spłaty długów, zapisane cyframi kartki...

Mimo to... Dlaczego nie przyszło jej wcześniej do głowy, że Craiga mógł ktoś zrobić? Przecież przez dziesięć lat znała go jako dobrego człowieka; był dobry dla niej i dzieci i kochała go. Dlaczego tak szybko uwierzyłam, że mój mąż jest winny, pytała samą siebie.

Bo go nie było na miejscu. Bo uciekł. Ale po cóż miałby uciekać, gdyby był niewinny? Może dlatego że nie wiedział co zrobić i nie miał z kim porozmawiać.

Jak to nie miał z kim? — spytała siebie ze złością; mógł porozmawiać ze mną. W końcu czyja to wina, że łatwiej mu było ukrywać myśli niż się nimi dzielić? Jego wina. Ale może nie dałam mu odczuć, że naprawdę chciałam je z nim dzielić. Cóż to kiedyś powiedziała Leslie? „Byłaś zadowolona z waszego wspólnego życia, więc nie namawiałaś go do zwierzeń”. Z początku próbowałam zachęcić go do rozmowy, ale potem przestałam i pozwoliłam, żeby miał swoje sekrety. Gdybym zadawała więcej pytań, może opowiedziałby mi o Haywardach i o naszym zadłużeniu, może także o wielu innych rzeczach, o których nie miałam pojęcia.

Idąc tak brzegiem morza pośród tłumów turystów, Katherine zdawała sobie sprawę, że fakt, iż o nic nie pytała, nie usprawiedliwiał ucieczki Craiga. Nic nie usprawiedliwiał tego, że ich opuścił. Ale jeśli czuł, że nie może z nią porozmawiać o tym, co się stało — nieważne, czy go wrobiono, czy naprawdę ukradł te pieniądze — to czyż w pewnym stopniu ona nie była za to odpowiedzialna?

Czy można być czyjąś żoną przez dziesięć lat i nie ponosić odpowiedzialności za to, co się w małżeństwie dzieje?

Czy gdybym była inna, to Craig by uciekł?

Rozdział piętnasty

Następnego dnia Victoria postarała się, żeby wszyscy mieli co robić i nie wchodzili Katherine w drogę od samego rana aż do późnego wieczora.

— Nie wiem, czym martwi się wasza mama — usłyszała Katherine zwracając się do Jennifer Victorię — ale jeśli potrzebuje trochę spokoju, żeby sobie pewne sprawy przemyśleć, to najlepiej pomożemy nie przeszkadzając jej w tym.

Tak więc nikt Katherine nie przeszkadzał. Wzięła samochód, który zostawił jej Ross, i pojechała w stronę wzgórz za Menton, gdzie niczym gniazda orłów przytulone do skalistych zboczy leżały stare wioski. Zatrzymała się w Eze i przez kilka godzin siedziała obok starej kamiennej chaty wysoko nad brzegiem morza. W dole, na biegnącej wzdłuż wybrzeża szosie, maleńkie samochody przeciskały się wąskim pasem pomiędzy plażą i zalesionymi wzgórzami. A za zabudowaniami Eze rozciągał się ogród kwitnących kaktusów. Dla Katherine jednak magiczna, przypominająca senne marzenie izolacja od świata już się skończyła. Wszystkie pytania, które cisnęły się jej na myśl, zanim tu przyjechała, odnalazły do niej drogę. Mimo wszystko nie udało jej się przed nimi uciec; zdołała tylko odepchnąć je na jakiś czas.

Przypomniała sobie, że w Sospel ona i Ross uważali, iż powinni pomówić o Dereku, ale tak naprawdę muszą porozmawiać o Craigu. A potem przy śniadaniu z Victorią, kiedy czuła się tak nieswojo, myślała, że to z powodu Rossa, który stał się dla niej tak ważny, w rzeczywistości jednak niepokoiła ją obecność Craiga: wciąż rzucał cień na jej życie i był jego częścią. Niezależnie od tego, jak bardzo liczył się dla niej Ross, to z Craigiem będzie musiała sobie poradzić.

— O której spodziewasz się jutro Rossa? — spytała Victoria po kolacji.

— Powiedział, że wróci przed południem.

Victoria skinęła głową i pogрузzyła się w lekturze, po chwili Katherine poszła w jej ślady. Siedziały w miękkich, głębokich fotelach, a od czasu do czasu zerkały na siebie uśmiechając się zadowolone, że są razem. Katherine była jednak niespokojna i tuż przed północą, gdy Victoria ucałowała ją na dobranoc i położyła się spać, także poszła do swego apartamentu. Gospodyni już posłała łóżko i zostawiła zapalone lampki nocne, które delikatnie oświetlały wnętrze w kolorze szafwii i kości słoniowej. Rozpinając bluzkę Katherine przeszła z salonu do sypialni i z powrotem, myśląc przy tym o Jennifer i Todzie śpiących w swoich pokojach w pobliżu sali zabaw. Potem wyobraziła sobie dwupokojowe mieszkanie czekające na nich w San Francisco i ze smutkiem pomyślała, że podobnie jak rok temu teraz też będą musieli się do niego od nowa przyzwyczajać.

Przez jakiś czas chodziła po sypialni, po czym włożyła szlafrok i poszła korytarzem do ciemnego salonu, gdzie zostawiła książkę. Kiedy po nią sięgała, w drzwiach frontowych zazgrzytał klucz, a po chwili do domu wszedł Ross. W jednej ręce trzymał walizkę, a w drugiej paczuszki niczym baloniki kołyszące się na sznureczkach.

— Trafiła mi się okazja — powiedział tak zwyczajnie, jakby w ogóle nie wyjeżdżał. Postawił na podłodze walizkę i paczki i podszedł do Katherine, by wziąć ją w ramiona. — Tęskniłem za tobą. Budziłem się tęskniąc i z tęsknotą w sercu zasypiałem. Dostałaś pocztówkę?

— Tak.

— Napisałem dwadzieścia. Te dziewiętnaście jest w walizce. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że przesadzam. — Pocałował jej roześmiane usta.

Otoczona jego ramionami Katherine przytulała się do niego czując, jak Ross rozchyła wargami jej usta, i całuje ją długo i namiętnie, a potem muska delikatnie mrużąc cichutko. Wydało jej się, że ich ramiona są jak zaczarowany krąg, w którym nie ma żadnych sekretów ani wątpliwości. Ross rozwiązał jej szlafrok i rozchylił go. Guziki jego sportowej marynarki odcisnęły się lekko na gładkiej skórze jej piersi i brzucha. Każdy z tych śladów Ross całował, aż Katherine ujęła jego dłonie i — nie myśląc o niczym, ogarnięta pożądaniem pociągnęła go w stronę swego pokoju.

Ale kiedy znaleźli się w środku i Ross zamknął drzwi, przestali się obejmować, a Katherine zobaczyła powagę we wpatrzonych w nią jego ciemnych oczach.

— Przez całą drogę z Paryża — zaczął — pragnąłem cię. A jednocześnie wiedziałem, że będziemy musieli poczekać. Powinniśmy o wielu sprawach porozmawiać.

A więc mimo wszystko nie ma żadnego zaczarowanego kręgu, pomyślała Katherine. Skinęła głową twierdząco.

— Wczoraj wiele godzin spędziłam w Eze zastanawiając się, od czego zacząć.

— Może zaczniemy od jakiejś przekąski? Przyleciałem z kolegą, który strasznie się spieszył, więc nie mieliśmy czasu na kolację.

— Jasne — zgodziła się. I miękko głosem dodała: — Dziękuję, Wiedziała, że on zrozumie, iż jest mu wdzięczna za to, że znalazł

dla niej jakieś zajęcie, że oboje mają coś do zrobienia, zanim ochłoną i będą mogli porozmawiać. Możemy powiedzieć sobie prawdę, pomyślała. Pamiętała, jak to było z Craigiem, i nic nie wydawało jej się w tej chwili ważniejsze.

W dolnej części szafki z drewna oliwnego, która stała w salonie, znajdowała się mała lodówka. Katherine przykucnęła przed nią.

— Nie jestem pewna, co tu znajdziemy. Może trzeba będzie pójść do kuchni.

— Mam bardzo skromne wymagania — powiedział Ross stając obok niej. — A cóż może być skromniejsze niż to? — dodał ze śmiechem wyciągając trzy gatunki sera, krojoną szynkę westfalską, klementynki, daktyle zerwane w ogrodzie i chrupiący bochenek chleba. Ułożył jedzenie na tacy, po czym z górnej części szafki wyjął butelkę Cotes du Rhône i wraz z Katherine przeniósł wszystko na

taras. Wrócili jeszcze, by zabrać z szafki talerze, kieliszki, noże do sera i serwetki.

— Jak można oprzeć się kobiecie, która o północy podaje taką przekąskę? — mruknął.

— Na imię jej Sylvie — powiedziała Katherine. — Dbą o tę willę już od piętnastu lat i wydaje się z tego zadowolona, ale gdybyś przedstawił jej swoją ofertę, być może by ją rozważyła.

Ross roześmiał się i ucałował czubek głowy Katherine, po czym oboje usiedli przy okrągłym cyprysowym stoliku.

— Chyba nie ukradnę babce Sylvie. Ale jeśli ma siostrę, to może zatrudniłbym ją w Berkeley; aż mi wstyd, że prawie nic nie wiem o prowadzeniu domu. Skąd kobiety wiedzą takie rzeczy? Przecież chyba matki nie są w stanie przygotować ich na każdą możliwą okoliczność.

— Myślę, że tysiące lat temu — powiedziała oschłym głosem — ktoś je ostrzegł, że jeśli nie będą się bardzo starać i uczyć w trakcie wykonywania swych obowiązków, to zostaną bez zajęcia.

— To znaczy bez męża.

— Prawdopodobnie. Ale do prowadzenia domu potrzeba tylko zapobiegliwości i trochę praktyki. Szybko się nauczysz.

— Pewnie. Już zacząłem.

— I jak ci idzie?

— Carrie udziela mi rad. — Roześmiali się, po czym zapadła cisza.

Powietrze przenikał zapach róż i sosen, a delikatny wiaterek przynosił cichy szum morza. Cały taras pogrążony był w ciemności i rozjaśniało go jedynie światło z salonu i sypialni, a kiedy Ross pochylił się do przodu, by nalać wina do kieliszka Katherine, miał przed oczyma tylko jej twarz — bladą, lekko zaróżowioną, pogrążoną w półmroku i piękną jak subtelny obrazek.

— Jesteś taka śliczna — szepnął i westchnął. — Czy zauważyłaś, że chociaż spędziliśmy ze sobą tyle czasu i rozmawialiśmy o tylu rzeczach, to ani razu nie poruszyliśmy tematu Craiga... i Dereka?

— Rozmawialiśmy o nas — odparła Katherine. — O naszych uczuciach. Tak jakby nikt inny nie istniał. — Popatrzyła na niego poważnie. — Co chciałbyś wiedzieć?

— Chciałbym poznać ciebie. Wiedzieć, jaka byłaś, zanim cię spotkałem, jaka byłaś z Craigiem, jaka z Derekiem. — Przerwał na

chwilę. Gdy znów zaczął mówić, głos jego brzmiał tak, jakby ktoś wyszarpywał z niego każde słowo. — Nie mam prawa pytać cię o Dereka. Ale sądząc po tym, jaka jesteś, a trochę cię znam, zupełnie do ciebie nie pasuje... to, że byłaś z Derekiem tak długo. — Odczekał chwilę, ale Katherine nic nie powiedziała. — Wiem, co ci dawał, i wiem, jak bardzo tego potrzebowałaś. Ale nie potrafię zrozumieć, jak to wszystko mogło tyle czasu trwać, dlaczego ten czar nie przysł, kiedy poznałaś Dereka i zobaczyłaś, jak on wykorzystuje ludzi...

— On mnie nie wykorzystał.

— Derek posługuje się każdym; układa plany, jak powiększyć swą władzę, i manipuluje ludźmi tak, by je zrealizować. Zawsze to robił, nawet w rodzinie.

— Jennifer — szepnęła Katherine. — Melania. I ja.

— Nie rozumiem? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zapytałam kiedyś Dereka, dlaczego zabiega o kobiety, które były bliskie tobie i Craigowi.

— Jak dowiedziałaś się o Jennifer? I skąd przyszło ci do głowy, że łączyło go coś z Melanią?

— O Jennifer powiedział mi Tobiasz. A z Melanią widziałam go któregoś wieczoru i domyśliłam się.

Ross zszokowany oparł się w fotelu. Przypomniały mu się różne półsłówka, spojrzenia i szczególiki z jego życia małżeńskiego i uznał, że Katherine może mieć rację. Nigdy tego nie podejrzewał, bo Melania tak dużo mówiła o Dereku — zbyt dużo, zdawałoby się, jak na kobietę, która ma na sumieniu romans. A dlaczego miałby zakładać, że Melania ma coś na sumieniu?

W pierwszej chwili ogarnęła go wściekłość, lecz zaraz minęła, o dziwo, i Ross uświadomił sobie, jak mało Melania teraz dla niego znaczy, nawet jeśli łączyło ją coś z jego bratem. Wcześniej załamałoby go to odkrycie, ale teraz siedząc obok Katherine zdał sobie sprawę, że jego myśli nie koncentrują się na Melanii i Dereku, a krążą wokół zupełnie czegoś innego.

— Powiedziałaś to Derekowi, a on się obraził? Widziałem już, jak niszczył czyjąś reputację z bardziej błahych powodów.

— Ja odeszłam i nie dałam mu takiej szansy.

— Ale byłaś przy nim długo.

— Ross, powiedziałaś, że rozumiesz, co on mi oferował: czar,

blask, towarzystwo ludzi, którzy potrafili panować nad sytuacją zamiast się jej poddawać... Poza tym na pewno wiesz, jaki Derek umie być uroczy i jaki sprytny. Ja potrzebowałam tego wszystkiego i lubiłam z nim być. — Widząc jego zasepione oblicze, westchnęła. — Chcesz wiedzieć, czy z nim spałam. — Gdy Ross się nie odezwał, powiedziała powoli: — Myślisz, że tak. Ross dolał wina do obu kieliszków.

— Mówiłem, że nie mam prawa cię o to pytać. Ale w Paryżu wiele o tobie myślałem, o tym, że cię kocham i że chciałbym czegoś więcej niż tylko jeździć z tobą na pikniki i pływać w stawach. Dlatego miałem dwie drogi do wyboru. Mogłem sobie powiedzieć, że przeszłość się nie liczy i że zaczynamy nasze życie od spotkania w Paryżu. Albo że ważniejsze jest dla mnie zrozumieć przeszłość, bo wtedy będę mógł zrozumieć ciebie. Zdecydowałem, że chcę rozumieć. Dlatego właśnie wróciłem wcześniej. Nie mogłem dłużej czekać.

Serce Katherine biło przyspieszonym rytmem, a myśli pędziły równie szybko. Kocham cię, powiedział.

— Nie spałam z Derekiem — wyznała, lecz od razu pojęła, że to nie wystarczy. Jeśli nie będzie między nami prawdy, pomyślała, to to, co nas łączy, niewiele będzie warte. Dlatego zaczerpnawszy głęboki oddech dodała: — Ale chciałam to zrobić.

Szybko spojrzała w przestrzeń za Rossem, w kierunku wybrzeża, i ciągnęła dalej: — Żyłam sama od prawie siedmiu miesięcy, a Derek był jedynym mężczyzną, jakiego widywałam; i nie naciskał mnie. Pewnie myślał, że nie musi tego robić. Wprowadził mnie w swój świat i sprawił, że poczułam się piękna i pożądana, a nie jak siedząca w domu żona, którą mąż porzucił. Poza tym chodziło o coś jeszcze. — Roześmiała się zażenowana. — Derek nie miał ani jednej z zalet Craiga. Nie był delikatny ani uprzejmy, ani kochający czy nadskakujący... Nigdy nie byłam pewna, czego ode mnie oczekuje. Był przeciwieństwem mojego męża i nie wiem dlaczego, ale to właśnie mnie w nim podniecało; czułam się jak dziecko, które podkrada ciasteczka z kredensu. I myślę, że Derek o tym wiedział; sam podsycił to uczucie sięgania po zakazany owoc... — Znów przerwała na chwilę. — Nie kochałam go, ale trudno było mu się oprzeć. A potem w sylwestra po przyjęciu zaprosił do siebie

mnóstwo ludzi, a ja pełniłam obowiązki pani domu. Czułam się tak, jakby spełniły się moje marzenia. Kiedy wszyscy wyszli, brakowało mi tylko jednej rzeczy, której nie miałam od miesiący. Ale wtedy... zadzwoniła Jennifer. Chciała, żebym wróciła do domu. Przyjechał Craig.

Popatrzyła na Rossa. W jego oczach malowała się powaga. Siedział nieruchomo nie odzywając się ani słowem, a twarz miał surową i zaciętą.

— Nie możesz tego zrozumieć? — wybuchnęła Katherine. Zerwała się z fotela i przeszła na koniec tarasu. — Co jest takiego w Dereku, co sprawia, że wycofujesz się z rozmowy? Wy obaj, to dotyczy również jego, nie potraficie rozmawiać o sobie nawzajem... stajecie się zimni i nieobecni...

Ross utkwił wzrok gdzieś w świątłach Menton. Było tak cicho, że słyszeli przemykające w trawie pod murem jakieś małe zwierzątko.

— Rozumiem — odezwał się w końcu nie odwracając się w jej stronę. — Przykro mi, że nie dałem ci tego odczuć. Przepraszam, że wydałem ci się oziębły. — Głos miał łagodny, pobrzmiwający smutkiem. — Nigdy nie opowiadałem ci o Dereku, o tym jak dowodził nami przez cały czas, gdy byliśmy dziećmi... Katherine, proszę, usiądź przy mnie.

Katherine powoli wróciła na swoje miejsce, a Ross podjął opowieść.

— Derek zawsze wydawał nam się bardzo pewny siebie, jakby zjadł wszystkie rozumy, nawet kiedy nie miał racji. Potrafił szydzić z nas w taki sposób, że mieliśmy uczucie, jakbyśmy byli do nic/ego... a jego wpływ był tak piekielnie silny, że czuliśmy się jak nieudaczniki, nawet kiedy wiedzieliśmy, że wszystko poszło nam dobrze. Derek wciąż umie sprawiać, że tak się czuję, przynajmniej przez moment, dopóki się na tym nie przyłapię. Jedynymi ludźmi, których nie wyszydzał, byli dziadkowie, ale kiedy Hugh zmarł, a on i Curt przejęli firmę, nic już nie mogło go powstrzymać. — Ross przesunął się w cień rzucany przez oliwkowe drzewa i ledwie był widoczny na tle rozgwieźdzonego nieba. — Melania zawsze podawała mi Dereka za przykład mężczyzny, który by ją chronił, rozpieszczał i spełniał każde życzenie. — Roześmiał się nagle. — Nie pozostawałem na to obojętny. Ale wiedziałem też, że nie ma racji, bo Derek nikogo by nie chronił ani nie rozpieszczał, jeśli nie

służyłoby to jego własnym celom, lecz nawet nie próbowałem jej o tym powiedzieć. Zamiast tego wynalazłem sposób, żeby ją ukarać za idealizowanie go. Kiedy przybiegała do mnie przejęta jakimś przyjęciem, które sobie wymarzyła, albo z propozycją wyjazdu na Kajmany — krótko mówiąc z czymś, co pochłaniało ją od tygodni — ja z miejsca studziłem jej zapał. Wtedy przygasła, ożywienie zniknęło z jej twarzy, a ja nienawidziłem samego siebie za to, co zrobiłem. Ale jeśli chodzi o ciebie — popatrzyłem na Kat-herine — wcale nie chciałem się odsuwać. Nie chcę nigdy odsunąć się od ciebie. Nie wiem, co za diabeł we mnie wstąpił.

— Nie chciałeś przyjąć do wiadomości, że ze strony Dereka spotkała mnie jakakolwiek przyjemność. — Miała wrażenie, że coś jej stoi w gardle, więc odchrząknęła. — Ale ja jeszcze nie skończyłam. Po sylwestrze cały urok — bo przypuszczam, że to było zauroczenie — prysnął. Wciąż spotykałam się z Derekiem, raz albo dwa razy w tygodniu, lecz w końcu zerwałam. W kwietniu.

— W kwietniu? Widziałem się z Derekiem w czerwcu. Powiedział, że cię utrzymuje.

— Nigdy nie dawał mi żadnych pieniędzy! Kiedyś kazał mi kupić sobie ubrania i przesłać mu rachunki, ale odmówiłam. Nigdy nie wzięłam od niego ani grosza. Dlaczego tak powiedział?

— Pewnie chciał mnie zranić, zadać mi ból; nie udało mu się osiągnąć tego, co zamierzył, więc walił gdzie popadnie...

— Myślał, że cię zrani oczerniając mnie?

— I miał rację.

— Już w czerwcu obchodziło cię, co on o mnie mówi?

— Już wtedy.

— Ale skąd on o tym wiedział? Ross wzruszył lekko ramionami.

— Wiedział, że lubię cię, już od czasów Vancouver. A Derek zawsze potrafi wyczuć czyjś słaby punkt.

— Ale nie zapytałeś mnie, jak jest naprawdę!

— Powiniennem był to zrobić. Pochłonięty byłem wtedy własnymi problemami. Pewnie dlatego Victoria nie powiedziała mi, że z nim zerwałaś. Czekala na odpowiedni moment, kiedy się trochę otrząsnę i zacznę zauważać, co się wokół mnie dzieje. — Przez chwilę się zastanawiał. — Sylwester... Ale Victoria mówiła mi, że nie spotkałaś się z Craigiem.

— Bo już go nie było. Jennifer powiedziała mu, że jestem u Dereka, i odszedł, zanim zdążyłam dotrzeć do domu.

— Chryste! Biedny Craig. Abstrahując od tego, co zrobił i po co wrócił... ale dowiedzieć się, że jego żona jest z najbardziej nienawidzonym przez niego człowiekiem na świecie... — Katherine zadrżała. Ku swemu zaskoczeniu Ross uświadomił sobie, że po raz pierwszy myśli o Craigu jak o kimś żywym, kto jest częścią ich życia. Spojrzał na Katherine i zobaczył, że ona wpatruje się w niego. — Mówiłem, że nie zadzwoniłem do ciebie, bo miałem po uszy własnych problemów. Był też jeszcze inny powód. Nie byłem pewien, jak mam traktować ciebie jako żonę mojego kuzyna i co ryzykuję zbliżając się do ciebie. Ale to nie było najważniejsze. Nie miałem kuzyna od szesnastu lat. Dziwne — powiedział z zadumą. — Byłem w twoim domu w Vancouver, oglądałem zdjęcia, które przywiozłaś wtedy do Victorii, ty, Jennifer i Todd jesteście częścią naszej rodziny... ale Craig jakoś nie istniał dla mnie naprawdę. Zbyt długo go opłakiwałem i zbyt długo uważałem za zmarłego, żeby sobie uświadomić, że on żyje. Powracały mi tylko czasem wspomnienia, które nie miały żadnego związku ze mną, z tym, co robiłem czy myślałem.

— Dla mnie on żyje naprawdę — powiedziała Katherine. Zdenerwowana podeszła do murku, potem wróciła do stolika powtarzając sobie w myśli słowa Rossa: „Nie miały żadnego związku ze mną...” Ona też się tak czuła przez kilka ostatnich tygodni. Ale to już minęło. — On żyje i... jest wszędzie. Cokolwiek robię, on jest gdzieś obok. Tak jak wcześniej. Nic się nie zmieniło. Wciąż nie wiem, jaki jest naprawdę; czasami wydaje mi się, że im więcej się o nim dowiaduję, tym mniej o nim wiem. Bo nie wiem już, w co mam wierzyć. Ross — zwróciła się nagle do niego — czy mógłbyś opowiedzieć mi o wypadku na żaglówce? Słyszałam wersję Claude'a, potem Derek zrelacjonował mi swoją, ale nigdy nie wiedziałam, czy mogę w nią wierzyć, czy nie. Chciałam cię o to zapytać, ale ostatnio...

— Nie myślałaś o Craigu. Ja też nie. Katherine, ciągle jestem głodny.

— Bo mówiłeś zamiast jeść.

— Muszę to nadrobić. — Nałożył sobie na talerz ser, daktyle i chleb. — Zostało jeszcze trochę wina?

Katherine napełniła kieliszki i pogryzała daktyle, kiedy Ross zajął się jedzeniem.

— Czy to wszystko ma na celu uniknięcie odpowiedzi na moje pytanie?

— To wszystko ma na celu dodanie narratorowi sił. Opowiadanie tej historii wcale nie jest łatwe. Czy chcesz powtórzyć mi, jak przedstawił ci ją Derek?

— Nie. Chcę tylko, żebyś ty mi ją opowiedział.

— Dobrze. — Przysunął swoje krzesło bliżej do stolika, przełknął jeszcze kilka kęsów, po czym znów odsunął jedzenie na bok. — Cała nasza czwórka płynęła z Sausalito do domu przez zatokę. Był lipiec, mój Boże, w tym miesiącu mija szesnaście lat, chłodny, pogodny wieczór i Craig wybrał dłuższą drogę pod mostem Golden Gate. On wtedy dowodził; jak zawsze zresztą na wodzie: był najlepszym żeglarzem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Myślę, że tylko na łodzi czuł się naprawdę szczęśliwy, absolutnie pewny siebie i wolny od tych, którzy ciągle czegoś od niego chcieli. Ja wówczas bardziej interesowałem się pływaniami i tenisem, a Derek dopiero coby kupił własną motorówkę, więc kiedy wypłynęliśmy, Craig pełnił funkcję kapitana. Tamtego dnia Derek chciał, byśmy płynęli szybciej, więc Craig powiedział, że możemy rozwinąć spinaker. Płynęłaś kiedyś pod spinakerem?

— W ogóle nie pływałam łodzią.

— W ogóle... — Ross, zupełnie zaskoczony, dodał: — Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Ale naprawimy to, jak tylko wrócimy do San Francisco.

— Ross, proszę, powiedz mi, co się wtedy stało.

— No więc przy rozwiniętym spinakerze i dobrym wietrze łódź ślizga się po falach, jakby nic nie ważyła, jakby mknęła po wodzie, lecz fale są wtedy wysokie i ma się je na poziomie oczu. To fantastyczne uczucie... Jennifer nie posiadała się z radości; odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się, a wiatr dmuchał jej w twarz. Taką ją właśnie zapamiętałem — z rozwianymi włosami, roześmianą, promienną twarzą i szeroko rozłożonymi ramionami, kiedy krzyczała: „Tak bardzo was wszystkich kocham”. My... też ją kochaliśmy. Bardzo.

Po chwili spokojnym głosem ciągnął dalej:

— Kiedy została nam już mniej niż połowa drogi do domu,

Craig poprosił, żebym przyniósł mu z dołu uchwyt do kołowrotu, a Derek krzyknął jeszcze za mną, bo chciał butelkę szkockiej ze swojego plecaka. Zaraz potem zeszła pod pokład Jennifer i powiedziała, że Craig polecił wszystkim założyć kamizelki ratunkowe; uważał, że prądy w pobliżu Golden Gate są bardzo zdradliwe, a wiatr się nasila. „Derek robi się taki nieprzyjemny, kiedy za dużo wypije — powiedziała wówczas. — Może mógłbyś zapomnieć przynieść mu tę butelkę?” Starła się sprawiać wrażenie chłodnej i opanowanej, ale nie bardzo jej to wychodziło; była młoda i wrażliwa, pełna życia i miłości, takie kochane stworzonko, jakich niewiele w życiu spotkałem. — Zacerpnałam głęboki oddech. — Aż trudno uwierzyć, że to wciąż tak bardzo boli. Powiedziałem jej, że zapomnę zabrać tę szkocką, a ona obdarzyła mnie całusem. Zrobiła to wtedy po raz ostatni.

Kiedy wyszliśmy na pokład, Craig i Derek sprzeczali się o spinaker; Craig uważał, że należy go zwinąć, bo wiatr jest silny

i może rozerwać żagiel. A wiało naprawdę mocno; chwilami zrywał się taki ostry poryw, że aż świstało i musieliśmy krzyczeć, żeby się w ogóle usłyszeć; łódź przechylała się, a fale rozpryskiwały o kabinę. Derek objął Jennifer i przekrzykując wiatr wrzasnął do Craiga, że oni oboje lubią ryzyko, a jedyną osobą, która się boi, jest kapitan.

Trzeba było widzieć twarz Craiga, gdy zobaczył Dereka obejmującego Jennifer... Nigdy go takim nie widziałem: wściekły, choć przestraszony, a mówił tak, jakby chciał wszystko wyrzucić z siebie jednym tchem. „Zabierz te swoje brudne łapy!...”, wrzasnął na Dereka i szarpnął się w jego kierunku, ale nie mógł zostawić steru. Musiał przy nim zostać, więc tylko wrzeszczał na Jennifer, żeby trzymała się z daleka od burty, i na Dereka, żeby ją puścił. Ale żadne z nich się nie poruszyło; stali i patrzyli na Craiga. I w ciągu zaledwie paru minut wszystko się zmieniło — śmiech i radość przerodziły się w coś strasznego. Bałem się śmiertelnie, bo Craig się bał — nie wiedziałem nawet czego, co było jeszcze bardziej przerażające — a on przecież nie wyglądał na kogoś, kto nie może zapanować nad samym sobą czy nad łodzią. Musiałem coś zrobić, więc odciągnąłem Jennifer na bok i zapytałem Craiga, czy mam zwinąć spinaker.

W uszach nam huczało — nie masz pojęcia, co się działo: ten wiatr i zalewające nas krople wody, Derek i Craig wrzeszczący na

siebie, wszystko to zlało się w jeden wielki koszmar. Craig nie mógł się opanować; krzyczał do Dereka, że to on jest kapitanem, a jeśli Derekowi to się nie podoba, może sobie płynąć do brzegu wpław, jeśli starczy mu odwagi — zawsze powątpiewał w odwagę czy umiejętności Dereka — a potem kazał mi zwinąć spinaker. Ale Jennifer chwyciła mnie za rękę prosząc, żebym został i powstrzymał Dereka, bo zaczął szydzić z Craiga w sposób, który zwykle doprowadzał nas do wściekłości. Sam nie wiedziałem, co mam zrobić najpierw: uspokoić Jennifer, powstrzymać Dereka, błagać Craiga, by nie zwracał na mego uwagi, czy pójść zwinąć spinaker — i pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż nie ma znaczenia, co zrobię; coś musiało się stać i nie było od tego odwrotu.

Staliśmy stłoczeni na jachcie, który unosił się nad wodą, wiatr huczał, łódź przechylała się niebezpiecznie na bok, zalewała nas woda rozpryskująca się o kabinę, a Derek stał spokojnie i głosem ostrym jak brzytwa wykrzykiwał, że Craig jest małą złotą marionetką, zabawką w rękach babki... brutalnymi obelgami sypał jak z rękawa. Jennifer się rozplakała, a gdy Craig to zobaczył, aż posiniał z wściekłości i myślałem, że wybuchnie. Krzyknął wtedy tak, żeby Jennifer mogła słyszeć, że Derek jest kłamcą i oszustem, że ominął przepisy, by zaoszczędzić na budynku, który akurat stawialiśmy, i przekupił inspektora, żeby ten zatwierdził plany. Nie pracowałem przy tym budynku i kiedy zapytałem, o czym on do diabła mówi, Derek lodowatym głosem powiedział: „Złoty chłopiec sfalszował dokumentację Macklin Building, żeby stać się babcinym bohaterem; nawet przekupił inspektora, a teraz się boi i chce zrzucić winę na mnie. Daje nogę — jak zwykle”. A wtedy całkiem niepodziewanie, i to było straszne, Craig roześmiał się. Nigdy nie zgadłem dlaczego. Powiedział, że jemu bardziej niż Derekowi zależy na reputacji Haywardów i że opowie rodzinie i radzie miejskiej o tym, co zrobił Derek. Śmiał się jeszcze, kiedy ponownie polecił mi zwinąć spinaker.

Byłem mniej więcej w połowie drogi, gdy wyczułem, że łódź zmienia kurs. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, co u diabła Craig wyrabia, i zobaczyłem, że dusi Dereka. Jennifer ciągnęła go za rękę. A potem wszystko stało się w jednej chwili. Łódź zmieniła kurs, bo nikt nie trzymał steru, a wiatr popchnął grotzagiela na drugą stronę. Bom przesunął się i uderzył Jennifer w głowę. Pojawiła się krew,

jak pęk róży, który zaczął momentalnie rozkwitać tuż przy jej oku — Jennifer zachwiała się i wypadła za burtę. Nawet nie krzyknęła. Po prostu wyleciała. Craig i ja zaczęliśmy krzyczeć — mój Boże, wciąż mi się to śni, ta krew i my dwaj wrzeszczący; „Jennifer!” Craig rzucił się po koło ratunkowe i boję i wyrzucił je za burtę. Jennifer unosiła się na wodzie twarzą do dołu. Woda wokół niej była wzburzona, wyglądała na bardzo zimną — przez cały dzień nie wydawała się aż taka zimna — no i cały czas oddalaliśmy się od Jennifer. Przy tym wietrze i pod wszystkimi żaglami płynęliśmy cholernie szybko... pobiegłem do spinakera i zwinąłem go. Poraniłem sobie ręce o liny, ale nawet tego nie zauważyłem; krew zobaczyłem, dopiero kiedy biegłem już z powrotem do kabiny.

Za sterami stał Derek i klął na czym świat stoi, bo nie mógł zapanować nad łodzią; była zupełnie inna niż jego ślizgacz. Powiedział mi, że Craig wyskoczył po Jennifer. Wyrwałem mu ster; wprawdzie o żeglowaniu nie wiedziałem więcej niż on, ale bez spinakera płynęliśmy już wolniej i udało mi się zawrócić łódź. Wtedy oddałem Derekowi ster, a sam zwinąłem grotzagiel i włączyłem silnik.

— Ale Derek mówił...

Ross zwrócił się w stronę Katherine, jakby nagle uświadomił sobie jej obecność.

— Derek stał przy kabinie wpatrzony w wodę i nawet nie drgnął ani nie powiedział słowa, kiedy zawracałem łódź. Pamiętam, że pomyślałem wówczas, iż Derek próbuje przewidzieć, jaki to wszystko będzie miało wpływ na jego sytuację, bo on właśnie pod tym kątem rozpatrywał każdą rzecz, ale nie miałem siły nawet na to, żeby się na niego wściekać; było mi niedobrze, kręciło mi się w głowie i robiłem, co mogłem, żeby dopłynąć do Jennifer i Craiga. Zajęło mi to dziesięć minut — dziesięć minut, a dzisiaj umiem to zrobić w trzy! — za dużo czasu upłynęło. Było już za późno. Dotarliśmy do boi i Jennifer... Była... wciśnięta w koło ratunkowe... jak lalka... miała otwarte oczy patrzące się gdzieś w dal... wiatr świstał równomiernie, a Jennifer gapiała się na nas wcale nas nie widząc... Rozplakałem się. Nie mogłem się opanować. Stałem za sterem i płakałem.

Katherine poczuła, że do oczu napływają jej łzy, i przymknęła powieki.

— Zacząłem wołać Craiga, ale nie odpowiadał. Myślałem, że jest gdzieś w pobliżu i czeka na nas, po tym jak nałożył na Jennifer koło ratunkowe, ale nigdzie go nie widziałem ani nie słyszałem. Było już prawie ciemno, a ja wciąż płakałem. Powiedziałem Derekowi, że musimy wyłowić Jennifer. Tylko ten jeden raz w życiu ja wydawałem polecenia, a Derek ich słuchał. Wskoczył do wody i obwiązał Jennifer liną; potem wciągnęliśmy ją na pokład i okryliśmy kocem. Derek próbował wyczuć puls, daremnie. I właściwie to wszystko. Nawoływaliśmy jeszcze Craiga, a Derek zawiadomił przez radio straż przybrzeżną; czekając na nich utrzymywałem łódź w pobliżu boi i wołałem Craiga. Nasze głosy wydawały się takie ciche w tej ciemności; po czarnej wodzie przesuwiał się tylko mały jasny krąg naszego reflektora, a w dali połyskiwały światła San Francisco i przerzucone przez zatokę rozświetlone mosty — były tak cholernie piękne, a ja myślałem wtedy: „Jennifer nie może ich zobaczyć” — i cały czas w tym wietrze nawoływaliśmy Craiga... Ale, mój Boże, ledwie nas było słychać. Noc pochłonęła nasze głosy. Nie wiem, czy Craig nas słyszał. Nie odpowiedział ani razu.

Katherine płakała, była tak spięta, jakby stała tam na łodzi obok Rossa wołając Craiga. Ross otoczył ją ramieniem.

— Tamtego wieczoru zebraliśmy się wszyscy u Victorii. Przypuszczam, że rozmawialiśmy o tym, co się stało, ale ja ciągle słyszałem głos Craiga. Pokój był pełen ludzi, a ja słyszałem tylko jego głos wykrzykujący imię Jennifer i widziałem jej oczy.

Ross mówił teraz chłodnym tonem:

— Następnego ranka poszedłem zobaczyć się z ojcem w jego biurze. Nie spałem całą noc, ale przynajmniej znowu zacząłem jasno myśleć; musiałem się dowiedzieć, o co chodziło Craigowi i Derekowi. Wprawdzie ojciec był przy mnie w nocy, ale nie wspominałem mu nic o bójce na łodzi, więc rano bardzo się zdziwił. Ale trwało to krótko, zwykle już po paru sekundach potrafi się opanować. Derek też taki jest. Poprosiłem ojca, żeby sprawdził dokumentację Macklin Building, i akurat wtedy wszedł Derek; słyszał, co mówiłem, przyjrzał się ojcu, siadając za jego biurkiem niczym sędzia, i powiedział: „Craig zmienił dokumentację; nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo to nic poważnego, ale sam się tym zająłem”. Zapytałem, jakie kroki podjął, a on odparł, że wzmocnił fundamenty i że już nie ma się o co martwić. Ojciec zapytał, czy na

pewno rozwiązał problem. Tak właśnie powiedział. A Derek odparł, że o wszystko zadbał. Obaj byli bardzo spokojni, jeśli nie brać pod uwagę tego, że żyłka na skroni Dereka mocno pulsowała. Wtedy wydało mi się, że obaj kłamią, ale nie miałem na to żadnych dowodów. Ojciec urządził mi awanturę, że zwątpiłem w swego brata, doszedł do wniosku, że pewnie jestem roztrzęsiony po wypadku, i zaproponował, żebym zaraz po pogrzebie pojechał do Europy. Tak też zrobiłem.

Pewnie nie powinienem był jechać. Ale czułem się taki wyczerpany i miałem dość ich wszystkich; chciałem stamtąd uciec. Kiedy ma się dwadzieścia lat, trudno pogodzić się z tym, że ojciec jest być może kłamcą albo że jest nieuczciwy; zwłaszcza jeśli i tak już trudno dać sobie radę z koszmarami, w których śni ci się dwoje kuzynów umierających tego samego popołudnia. Dlatego pojechałem do Paryża.

Jesienią wróciłem na studia, a gdy je skończyłem, ojciec poprosił swego przyjaciela, żeby zatrudnił mnie w Nowym Jorku w charakterze młodszego architekta. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ojciec chce trzymać mnie z dala od Hayward Corporation.

— Żebyś nie zadawał pytań?

— Żebym nie węszył i nie odkrył, że Derek niczego nie naprawił i że ojciec o tym wiedział. Poza tym wydaje mi się, że był jeszcze jeden powód, dla którego chcieli mnie usunąć z drogi: musieli mieć pewność, że Derek przejmie firmę. — Sięgnął po butelkę i rozlał resztę wina do kieliszków. — Gdyby mnie zapytali, powiedziałbym im, że nigdy nie zależało mi na przejęciu firmy. Ale naprawdę martwił mnie ten budynek i w końcu udało mi się go kupić i usunąć najemców. Sprawdzano go w tym tygodniu; wczoraj w Paryżu odebrałem raport.

Po chwili milczenia Katherine spytała:

— Czego Derek nie naprawił?

— Fundamentów, które podtrzymują budynek. Wynajęliśmy inżyniera, żeby je sprawdził, i pierwsza rzecz, jaką znalazł, to kolumna... cholera, przepraszam, nie zamierzałem wdawać się w takie szczegóły.

— Opowiedz — zachęciła go. — Chętnie posłucham. Ross uśmiechnął się do niej. Miło z jej strony, pomyślał.

— Ten inżynier znalazł kolumnę, której nie wpuszczono w ziemię wystarczająco głęboko, a pod nią podkład, który popękał, bo nie wzmocniono go odpowiednio stalą. Zakładamy, że skoro tak się

sprawy mają z jedną kolumną, to w podobnym stanie są pewnie pozostałe, a to znaczy, że budynek jest zagrożony. Pamiętasz ten wypadek w hotelu „Hyatt” w Kansas City, kiedy ludzie tańczyli na tarasie i on się zawalił? Z raportów wynika, że chodziło o to samo: cięcia finansowe podczas budowy wskutek czego budynek nie był bezpieczny. Mówiąc innymi słowy, żeby zaoszczędzić na czasie i pieniądzach, ktoś nie przestrzegwał ściśle sporządzonych przez inżynierów specyfikacji.

— Czy tak właśnie postąpiono w przypadku Macklin Building?

— Uważamy... Do diabła, tak właśnie musiało być. Fundamenty nie spełniają wymogów, co oznacza, że zmieniono dokumentację, a to z kolei znaczy, że prawdopodobnie przekupiono inspektora, by ją zatwierdził.

— Czy Craig to zrobił?

Imię to odbiło się echem na tarasie.

— Nie sądzę — odparł Ross powoli. — Nigdy nie mogłem uwierzyć, że Craig świadomie zrobiłby cokolwiek, co zagroziłoby bezpieczeństwu budynku; w sprawach budowy był absolutnie uczciwy. Pieniądze stawiał na ostatnim miejscu. Zawsze czułem, że mogę zaufać Craigowi w kwestii każdego zaprojektowanego przez siebie budynku.

„Zaufać Craigowi.” Katherine, wyczerpana, oparła głowę na ramieniu Rossa. Jakiś słaby błysk po lewej stronie przyciągnął jej uwagę.

— Słońce wschodzi — powiedziała zdumiona.

Niebo pojaśniało; zaczęła się po nim rozprzestrzeniać bladoróżowa i morelowa poświata, a potem przedarło się przez nią jaskrawe słońce nadając cyprysowym i oliwkowym drzewkom połyskliwy czerwonozłoty odcień.

— Jak pięknie — szepnęła Katherine. — Ale mimo wszystko to, co się kiedyś stało, nawet tu nas prześladowuje.

Wysunęła się z objęć Rossa i przysiadła na kamiennym murku, patrząc w dół na piaskowego koloru zabudowania Menton jaśniejące coraz bardziej w promieniach wschodzącego słońca. Ross przyglądał się jej; patrzył na jej pochyloną szyję, na drżące usta.

— Rozwiedź się z nim — rzekł bez ogródek. Katherine zwróciła się w jego stronę. — W tym wszystkim, co ci dzisiaj powiedziałem, było też wyznanie, że cię kocham. Słyszałaś je czy utonęło gdzieś w potoku słów?

— Słyszałam — przyznała. — I... jestem wdzięczna...

— Wdzięczna?!

— To znaczy... a niech to diabli, jak mam to wyrazić? Ross, to niczego nie zmienia. Nie mogę sobie powiedzieć: „Ross mnie kocha, więc rozwiodę się z Craigiem...” Nie mogę tak po prostu od niego odejść.

— On odszedł od ciebie.

— Czy to powód, żebym ja postąpiła podobnie? Cokolwiek on zrobi, ja mam mu odpłacić tym samym?

— To wcale nie to samo. Ty masz powód, on nie miał żadnego. Poza tym czekałaś ponad rok, żeby wrócił.

— Ale jest tyle rzeczy, których jeszcze nie wiem. On ma kłopoty, a ja nie wiem nawet jakiego rodzaju ani w jaki sposób się w nich znalazł.

Opowiedziała mu o telefonie Leslie i o kłótni Carla Doernera na przyjęciu w Vancouver.

Ross popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Chyba nie mówisz tego poważnie. Tylko dlatego, że u „Heat-ha” wrobiono jakiegoś dzieciaka i że rok temu jacyś ludzie pokłócili się... Katherine, przecież to nie ma nic wspólnego z Craigiem!

— Skąd wiesz? Może było podobnie? Sam przed chwilą powiedziałaś, że nie wierzysz, żeby on sam zmienił dokumentację, że był absolutnie uczciwy i że mu ufałaś. Dlaczego miałby być inny w swojej firmie? Jeśli ktoś go wrobił, a on uciekł, bo myślał, że nikt mu nie uwierzy, to przecież miał rację, nie sądzisz? Wszyscy, nawet jego własna żona, uważali, że jest winny. A ty mi mówisz, że powinnam się z nim rozwieść.

— A nie chcesz tego zrobić?

Katherine przygarbiła się, jakby opuściła ją energia.

— Czasem bardzo chciałam się z nim rozwieść. Nie, to nie tak. Czasami pragnęłam, żeby po prostu go nie było. Żeby całkiem odszedł. I nie...

— Nie prześladował cię tak cały czas?

— Tak, bo tak właśnie się czuję. Ale nigdy nie myślałam o tym, żeby się z nim rozwieść. Czy mogłabym to zrobić? Co powiedziałabym Jennifer i Toddowi? Że zmęczyłam się czekaniem na tatusia? Że wykluczam go z naszej rodziny, mimo iż przysyła nam pieniądze

i pewnie stara się do nas wrócić? Czy to właśnie miałabym im powiedzieć?
Ross nic nie odrzekł.

— Ross, nie mogę zostawić Craiga, bo uważam, że jestem mu coś winna za te dziesięć lat, kiedy to kochał mnie i otaczał troską. Nie potrafię wymazać tego wszystkiego tylko dlatego, że zrobił coś, czego nie rozumiem.

Nieugięta kobieta, pomyślał Ross przypominając sobie wspólną kolację w Paryżu, kiedy przyłapał się na porównywaniu Katherine z Melanią. Silniejsza, bardziej nieugięta.

— Jest jeszcze coś — ciągnęła Katherine.

Podeszła do Rossa i zaczęła gładzić go po włosach. Ledwie zdawała sobie z tego sprawę, ale czuła, że musi go dotknąć, żeby ją lepiej zrozumiał; on przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach; objęła go za szyję i płacząc cichutko przytuliła się do niego.

— Nie rozumiesz... nie mogę budować przyszłości z tobą ani nawet myśleć o niej, dopóki nie skończę z przeszłością. Wszystko jest w tej chwili zawieszona w próżni. Nie potrafię odpowiedzieć na żadne pytanie, nie wiem, w jakim stopniu ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało, nie rozumiem, co się stało ani kim teraz jestem. Ross, nie widzisz tego? Kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz, mówiłeś, że miałeś do wyboru: wymazać przeszłość albo ją zrozumieć. Uznałeś, że chcesz ją zrozumieć. Ja też tego chcę. Nie potrafię zbudować przyszłości, dopóki nie rozumiem przeszłości i jakoś jej nie zamknę.

Ross odsunął jej włosy z twarzy i ucałował przymknięte oczy, policzki i usta, zlizując z nich łzy. Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby między nim a Melanią nie doszło do ostatecznej konfrontacji, gdyby nie powierzyli zakończenia sprawy prawnikom, nie podpisali dokumentów rozwodowych, kończąc w ten sposób swoje małżeństwo.

— Tak — powiedział. — Oczywiście, że rozumiem. Ale nie bardzo wiem, jak zamierzasz to wszystko wyjaśnić.

— Craig i ja to wyjaśnimy. Razem. Jak tylko wróci.

— Jak długo będziesz na niego czekać?

— Nie wiem.

Przenikliwy krzyk ptaka przerwał panującą ciszę. Gdzieś w domu otworzyły się drzwi; w kuchni popłynęła woda z kranu; na taras doleciał zapach świeżej kawy. Zaczaj się dzień.

Rozdział szesnasty

Po lejącym się z nieba żarze Riwiery San Francisco wydawało się chłodne, a powietrze w nim lekkie. Pierwszego wieczoru po powrocie Ross wyszedł ze swego biura i udał się na szczyt Telegraph Hill, żeby przypomnieć sobie, jak wygląda miasto. Rozciągało się u jego stóp, delikatnie pastelowe, w świeżej zieleni drzew eukaliptusowych zabarwionych na bladozłoto promieniami zachodzącego słońca. Sięgając wzrokiem poza ogrody, na dachy domów i tarasy do opalania pokrywające całe zbocze, Ross patrząc wyobraził sobie miasto jako obraz, wciąż zmieniający się i ciągle wyczekujący zmiany. Wyłowił wzrokiem miejsce, w którym miało powstać BayBridge Plaza i gdzie spędził dzisiejszy ranek oglądając prace rozpoczęte podczas jego pobytu we Francji, a potem popatrzył na inne przedmieścia, nad którymi on i jego ludzie zamierzali popracować w przyszłości.

Odbudowywać i odnawiać, pomyślał. Życie spędzamy na przekształcaniu i przebudowywaniu. A czasami — na niszczeniu. Kiedy nic już nie da się uratować, burzymy.

Zastanawiał się, którą z tych ewentualności wybierze Katherine. W wyobraźni znów zobaczył jej piękną twarz oświetloną

koralewym blaskiem wschodzącego nad Menton słońca i jej zmartwione oczy. Powiedziała, że musi zrozumieć swoje małżeństwo i zamknąć przeszłość. A jeśli zrozumiawszy znajdzie jakiś powód, by je odbudować? Jest nieugięta, przypomniał sobie. I lojalna.

Schodząc ze wzgórza Ross pomyślał o Craigu. Dlaczego, do diabła, nikt go nie znalazł? W końcu pieniądze od niego przychodzą co miesiąc i chociaż nadawane są za każdym razem z innego miejsca, to przecież jakiś przedsiębiorczy detektyw powinien wysledzić ich nadawcę. Gaudę wynajął kiedyś jednego, dawno temu, ale przez cztery miesiące facet niczego się nie dowiedział. Nikt niczego się nie dowiedział. Ale Craig miał swój zawód, nawyki i kontakty — dlaczego, do cholery, ktoś nie pozbiera tego do kupy i nie znajdzie go?

Może dlatego, że nikomu już na tym specjalnie nie zależy. Straty Doernera musiało pokryć ubezpieczenie i pewnie nie była to na tyle wysoka suma, żeby trzymać policję w pogotowiu przez czternaście miesięcy.

Ale mnie zależy, pomyślał. Bardziej niż policji, bardziej niż Doernerowi, bardziej nawet niż urzędowi skarbowemu. Bo ja chcę, żeby Katherine była wolna.

„Nie potrafię budować przyszłości z tobą, dopóki nie zrozumie przeszłości.”

A więc znajdź go. Pomóż Katherine zamknąć przeszłość albo ją odbudować. Każde z tych rozwiązań jest dla nas obojga lepsze niż ciągła nieświadomość.

Mógłbym zadzwonić do Carla Doernera, pomyślał, dowiedzieć się od niego, z kim Craig prowadził interesy. Może ktoś coś wie, ale nie chce pomagać policji w odnalezieniu Craiga, natomiast będzie chciał pomóc jego kuzynowi.

Ross rozważył sytuację. Nazajutrz czekały go trzy spotkania; do Vancouver mógłby pojechać za dwa dni. Tylko że właśnie za dwa dni Katherine i Victoria wracają z Francji do domu. Ale nie będzie go zaledwie dzień lub dwa. Męczyła go niecierpliwość. Musiał coś zrobić; Katherine na pewno to zrozumie. Przypomniało mu się, jak pochylała się nad nim w dolinie Vesubie, jak trzymał w dłoniach jej piersi, jak parzyło ich słońce...

Wrócił do biura, by zadzwonić do Carla Doernera.

Zastał go w domu.

— Nazywam się Ross Hayward — zaczął. — Poszukuję mego kuzyna, Craiga Frasera...

— Tak jak i my — przerwał Doerner obojętnie.

— Byłbym panu wdzięczny za pewne informacje.

— Po czternastu miesiącach? Nie mam już nic do dodania, wszystko, co wiem, powiedziałem policji kanadyjskiej i w Stanach. Sam chciałbym znaleźć tego sukinsyna; nie wyobraża pan sobie, jak ja mu ufałem, a on mnie zawiódł! Jeśli chce pan go szukać, to życzę szczęścia. Przyda się panu.

— Wychowałem się z nim — powiedział Ross. — Kiedyś bardzo dobrze go znałem. Może udałoby mi się odgadnąć jego tok myślenia, gdybym wiedział, nad czym pracował w czasie, kiedy zniknął.

— Kiedy zwiął.

Ross zaczął nie lubić Doenera.

— Nad czym wtedy pracował?

— Policja ma informacje na ten temat. Słuchaj pan, czeka na mnie kolacja...

— Interesują mnie nazwiska kontrahentów, z którymi pracował w innych miastach.

— Te dane są znane policji. Sporządziłem listę ponad rok temu. Wykręca się i nie chce pomóc, stwierdził Ross i ciekaw był dlaczego.

— Pomyślałem, że może pamięta pan jakieś inne szczegóły — powiedział. — Jeśli uda nam się znaleźć mego kuzyna czy choćby dowiedzieć czegoś o nim, moja rodzina spłaciłaby może pieniądze, które zdefraudował.

Zapanowało milczenie.

— A cóż odnalezienie go ma wspólnego ze splatą?

— Chcielibyśmy, żeby on się do tego dołożył. Minęła kolejna chwila i Doerner powiedział:

— Był jeden drobiazg. Nic pewnego, po prostu dziwne. Powiedziałem o tym policji, oni sprawdzili i stwierdzili, że to bez znaczenia, ale wciąż się nad tym zastanawiam.

Ross czekał.

— Myślę, że coś się działo w Calgary. Craig jeździł tam bardzo często w ciągu ostatnich dwóch lat, przez cały ten czas, kiedy mnie okradał. Mówił, że nawiązuje kontakty, zdobywa nowych klientów,

ale robił to niezależnie od wyjazdów. Po tym jak uciekł, rozejrzałem się trochę, żeby sprawdzić, czy pracował tam dla konkurencji.

— I?

— Niczego nie znalazłem. Ale nie mam wątpliwości, że tak właśnie było. Craig potrzebował dużo pieniędzy, a ja zawsze powtarzam: jak raz się komuś upieczesz, to i drugi raz spróbuje.

— Święta racja — mruknął Ross, a głośno powiedział: — Czy domyśla się pan, do jakiego kontrahenta mógł się zwrócić?

— Raz czy dwa pracował z Lenem Oxtonem — odparł Doerner ostrożnie. — Ale jak już powiedziałem, policja ma listę.

— Pamiętam — stwierdził Ross. — Dziękuję.

Już miał odłożyć słuchawkę, gdy dobiegł go nieco zaniepokojony głos Doenera.

— Co zamierza pan zrobić?

Ross delikatnie dotknął zdjęcia Katherine, które zrobił jej w Saint Paul, gdy śmiała się na łące pełnej kwiatów.

— Pojechać do Calgary — odparł.

Dwa dni później kiedy po raz pierwszy zobaczył Calgary z okna samolotu, "przyszło mu na myśl, że to miasto wygląda jak betonowa wyspa pośród pszenicznych pól Alberta, w miejscu gdzie zlewają się wody rzek Bow i Elbow. Było większe niż się spodziewał, choć wiedział, że doża ropy i gazu uczyniły z niego od wielu już lat najszybciej rozwijające się miasto w Kanadzie.

— Około sześciuset tysięcy — odpowiedział siedzący obok mężczyzna, którego Ross zapytał o ludność Calgary. — I wciąż się rozrasta, he?

Kończyć zdanie pytającym mruknięciem to nawyk Kanadyjczyków. Ross ciekaw był, czy Craig też go sobie przyswoił. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli znajdzie kuzyna.

Zawiozę go do Katherine mając nadzieję, że ona nie postanowi odbudowywać ich małżeństwa.

W zeszłym miesiącu, przypomniał sobie, sprzeczałem się z Jacques'iem twierdząc, że lepiej jest odnawiać niż niszczyć.

Wtedy gdy to możliwe, uzupełnił teraz. Bo czasami nie da się tego zrobić. Wszystko zależy od sytuacji.

Z automatu na lotnisku zadzwonił do Lena Oxtona.

— Policja już ze mną rozmawiała, he? — stwierdził Oxton. — Niewiele mogłem im powiedzieć; lubiłem Frasera, ale nigdy z nim

nie pracowałem i nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie mógłby być. Ale Noah Johnson może coś wiedzieć; chyba on i Fraser pracowali razem parę lat temu, budując jakiś bank. Noah Johnson wyrażał się bardzo zwięźle.

— Fraser, hę? Widziałem jego budynki, łatwo się z nim pracowało, skryty był. Z nikim się nie przyjaźnił. Bob Vessen znał go lepiej.

Bob Vessen lubił mówić.

— Fajny facet, ten Craig; powściągliwy, z ciekawymi pomysłami, uwielbiał pracować ze szkłem. Razem robiliśmy biurowiec z wbudowaną szklarnią i kafeterią; robi niesamowite wrażenie zimą. Craig wyrzeźbił mi kiedyś małego konika; o właśnie, na tym też się dobrze znał: na rzeźbie, zwłaszcza eskimoskiej. Ale jeśli chce pan wiedzieć, gdzie mógłby teraz być, to nie mam pojęcia. Nie bardzo był skory do zwierzania się z osobistych myśli czy uczuć. Ale chwileczkę... wydaje mi się, że przyjaźnił się z Dannym Nielsenem... Z firmy Nielsen Builders, wie pan. Może Danny coś wie.

Tak więc późnym popołudniem Ross trafił do Danny'ego Nielsena. A ten zabrał go do Elissy.

Elissa Nielsen była kochanką Craiga przez ostatnie dwa lata przed jego zniknięciem.

— Naturalnie nigdy nie wspominałem o tym policji — powiedział Danny, kiedy jechali z jego biura w kierunku przedmieścia. — Nawet siłą by tego ze mnie nie wyciągnęli. Oni chcieli tylko przedstawić Craiga w jak najgorszym świetle, wie pan, zrobić z niego takiego prawdziwego przestępcę *bona fide*, nie mieli ochoty zawracać sobie głowy dochodzeniem, że może on wcale nie był winien albo miał jakieś ważne powody, żeby postąpić tak, a nie inaczej. Łatwiej było uznać, że jest po prostu zwykłym oszustem.

Raczej trudno nazwać go „zwykłym”, pomyślał Ross, gdy Danny wiózł go w miejsce, które miało ukazać jeszcze jedno życie Craiga. San Francisco, Vancouver, a teraz Calgary. Czy Katherine coś podejrzewała? Oczywiście że nie; powiedziałaaby mu o tym.

— Myśli pan, że Craig nie był winny? — spytał patrząc na uciekające za oknem miasto.

Wszędzie widać było nowe budynki za rusztowaniami wznoszą-

cymi się pod białobłękitne niebo nad prerią. Pracy wystarczyłoby tu Craigowi na całe lata. Tylko że on nie po to tu przyjeżdżał.

— Właśnie — odparł Danny. — Nie wydaje mi się, żeby Craig był winien. Ale nie lubię się nad tym zastanawiać. Dużo go kosztowaliśmy, rozumie pan. No już jesteśmy.

Dom był nieduży — miał cztery pokoje i osłoniętą werandę. Na podwórzu leżał trzykołowy rowerek, a na stoliku w salonie stała drewniana rzeźba przedstawiająca dużego żółwia z przymkniętymi powiekami, i siedzącego na nim okrakiem małego wesołego chłopczyka.

— Moja siostra, Elissa Nielsen — przedstawił Danny. — Ross Hayward.

— Witam — odrzekła Elissa podając mu rękę. — Tyle o panu słyszałam, że miło się przekonać, iż naprawdę pan istnieje.

Elissa była wzrostu Rossa, grubokoścista, o długich jasno-brązowych włosach i szeroko rozstawionych niebieskich oczach — pogodnych, szczerych, uważnie patrzących. Nie była specjalnie ładna, ale sprawiała wrażenie osoby tak otwartej i gotowej zaoferować przyjaźń, że Ross ściskając jej dłoń uświadomił sobie, iż od razu ją polubił i że chce, aby ona go też polubiła, choć jadąc tutaj winił ją za wszystkie kłopoty Katherine.

— Słyszała pani o mnie? — spytał.

— Craig wszystko mi o panu opowiedział — odparła. — Ma pan ochotę na drinka? Na kolację mamy kurczaka; Danny mówił panu?

— Nie — wtrącił Danny. — I ja nie zostaję. Wy dwoje macie sobie dużo do powiedzenia. Ross, niech pan zadzwoni do mnie później, to odwiozę pana do hotelu. Cieszę się, że nas pan znalazł; zawsze uważałem, iż Craig to najlepszy człowiek pod słońcem. Do zobaczenia.

Gdy Danny wyszedł, Ross powiedział:

— Zapraszam panią na kolację.

— Nie — odmówiła Elissa. — Dziękuję, ale nie. Tutaj mamy spokój, a zresztą już przygotowałam kurczaka. Czego się pan napije? Mam szkocką — zostało jeszcze trochę z ostatniej wizyty Craiga, ale im starsza, tym lepsza prawda? — i sherry.

— Poproszę sherry.

— Widzę, że chce pan zachować jasny umysł. Danny mówił, że szuka pan Craiga.

— Jego zdaniem pani może wiedzieć, gdzie on jest.

— Danny się myli. Nie wiem, gdzie jest Craig; nie widziałam go ani nie miałam od niego żadnej wiadomości od czerwca zeszłego roku. Zadzwoił wtedy i powiedział, że wybiera się do Toronto i że w drodze powrotnej postara się wpaść do mnie na kilka dni. Od tamtej pory nie miałam z nim kontaktu. Ale sporo słyszałam. Policja rozmawiała z Dannym w lipcu; powiedzieli, że zdefraudował pieniądze. Nigdy w to nie wierzyłam. — Podała mu kieliszek. — Za pańskie zdrowie. Witamy w Calgary.

— Ale Craig zniknął — zaczął Ross. — Twierdzi pani, że nie widziała go od tamtego czasu. Jeśli nie popełnił żadnego przestępstwa, to dlaczego się ukrył?

— Cóż. Pan tego nie zrozumie, ale kobieta, której przyjaciel jest żonaty, ma rodzinę i w ogóle, spodziewa się tego. To znaczy wie, że pewnego dnia on wybierze swą rodzinę. Bo jego żona zacznie coś podejrzewać albo skończą mu się wymówki, albo po prostu zmęczy się bieganiem w tę i z powrotem i przestanie przychodzić. Dlatego trzeba się na to przygotować. Prawdę mówiąc to nic nie daje, bo kiedy przychodzi co do czego, serce i tak ma się złamane, ale przynajmniej wydaje się człowiekowi, że wie, czego się spodziewać.

— Czy jego odejście złamało pani serce?

— Oczywiście. Kocham go.

Powiedziała to tak naturalnie, że Rossowi zrobiło jej się żal.

— Jak to się stało, że policja nie trafiła na pani ślad?

— Bo zawsze przed przyjazdem do mnie Craig wynajmował pokój w motelu w mieście. To na wypadek, gdyby były do niego jakieś telefony, rozumie pan. Na przykład gdyby któreś dziecko zachorowało.... albo stało się coś ważnego... Kiedy policja wszystko sprawdzała, stwierdziła, że tam się zatrzymywał. A moi sąsiedzi i sprzedawcy w pobliskich sklepach znali go pod innym nazwiskiem. — Ross westchnął poirytowany, więc Elissa zaczęła bronić Craiga. — Musiał tak postępować; chciał ochronić swoją rodzinę. Tak czy owak, Craig uważał, że musi tak robić, a ja to rozumiałam i ludzie znali go jako kogoś innego. A kiedy przestał przyjeżdżać, uznali, że zerwaliśmy ze sobą. Zdarza się, sam pan wie.

Ross zaczął chodzić po niewielkim saloniku pełnym przeróżnych pamiątek; były tu lalki i wypchane zwierzątka z wesołych mias-

teczek, szklane przyciski do papieru z wyrytymi na nich nazwami kanadyjskich miast, miseczka pełna restauracyjnych kartoników z zapalkami, zdjęcia Elissy z Craigiem — na niektórych towarzyszył im mały roześmiany chłopiec. Ross popatrzył na Elisse.

— Craig nie jest jego ojcem.

Mam taką nadzieję, pomyślał Ross i przeszedł dalej, zatrzymując się przed kalendarzem wydanym przez Vancouver Construction.

— Z zeszłego roku — mruknął. Elissa roześmiała się zażenowana.

— Powinnam go zdjąć. Ale jeśli wyrzuciłabym kalendarz, to co powinnam zrobić z pozostałymi rzeczami, które przywiózł mi Craig? To znaczy, jak daleko można się posunąć, kiedy chce się o kimś zapomnieć? Za każdym razem kiedy mnie odwiedzał, przywoził jakiś przycisk do papieru albo rzeźbę, albo... A, zresztą. Czy Katherine wyrzuciła drobiazgi, które Craig przywoził jej i dzieciom?

— Zna ją pani? — spytał zaskoczony Ross.

— Katherine? Dobry Boże, nie. Craig umarłby chyba, gdybym zjawiała się gdzieś w pobliżu Vancouver. Ale tak wiele o niej *śłyszałam*, że chyba ją znam. Wie pan, to tak jak krewny, o którym dużo się wie, choć nigdy się go nie spotkało. Dlatego tak właśnie o niej myślę. Może jeszcze sherry?

— Dziękuję. — Ross zauważył, że ręka jej się trzęsie, gdy dolewała mu do kieliszka. — Co Craig opowiadał pani o Katherine?

— Łatwiej powiedzieć, czego mi o niej nie mówił. A nie powiedział, że zamierza ją opuścić, jeśli o to panu chodzi. To była ostatnia rzecz, o jakiej by pomyślał. Miał bzika na jej punkcie. — Zobaczyła, że Ross ponownie przygląda się zdjęciom. — Widzę, że pan nie rozumie.

— Właśnie — przyznał. — Nie rozumiem.

Elissa usiadła na kanapie i gestem zachęciła Rossa, by zajął miejsce obok niej.

— Będzie pan tak stał?

Siadając obok niej Ross poczuł ciepło i otuchę, jakie emanowały z jej silnie zbudowanego ciała i spokojnego spojrzenia. Przypominając sobie Craiga Ross zaczynał rozumieć, co go ciągnęło do tej kobiety.

— Znał pan Craiga — podjęła Elissa. — Wie pan więc, że nie

potrafił czuć się naprawdę szczęśliwy, jeśli nie był komuś potrzebny. Nie chodziło o to, by czegoś od niego wymagać, Craig nienawidził, kiedy ktoś mu mówił, co powinien zrobić albo jak się zachować; ale chciał, żeby ktoś potrzebował jego opieki. Czuł się dobrze, kiedy mógł opiekować się ludźmi w potrzebie. Ja właśnie byłam w takiej sytuacji, kiedy się poznaliśmy; miałam kłopoty i bardzo potrzebowałam czyjegoś wsparcia. Upiła trochę sherry.

— Ma pan ochotę na krakersy albo precelki czy coś w tym rodzaju?

— Nie, dziękuję.

— No więc, gdy się poznaliśmy, byłam w trzecim miesiącu ciąży i nie miałam nikogo, kto mógłby być ojcem temu dziecku. Czyż to nie diabelny pech? Najpierw ojciec mego chłopaczka, a teraz Craig. Dobrze, że nie jestem zabobonna. Ten facet, ojciec dziecka, pracował przy wydobywaniu ropy, a kiedy go przenieśli, powiedział, że przyśle po mnie, jak tylko się urządzi, ale nigdy się nie odezwał. Myślę, że perspektywa ojcostwa go przerażała. Najwyraźniej mam tendencję do wiązania się z mężczyznami, których łatwo wystraszyć; ciekawe dlaczego. Przepraszam.

Wyszła z pokoju, ale po chwili była już z powrotem.

— Włączyłam piekarnik. Jak tylko pan zgłodnieje, proszę mi powiedzieć.

Poznałam Craiga pewnego wieczoru, kiedy Danny szedł z nim na drinka i zabrał mnie ze sobą. Byłam wtedy bardzo przygnębiona, a Craig próbował mnie pocieszyć i skończyło się na tym, że zwierzyłam mu się ze wszystkiego. Cierpiałam na jakąś anemię, chyba złośliwą, jest coś takiego? Straciłam pracę i byłam w ciąży nie mając przy sobie mężczyzny. Nie wiedziałam wówczas, że właściwie uwodziłam Craiga — nie mógł się oprzeć takiej płaczliwej historii jak moja. Następnego wieczoru zjawił się u mnie ze stekami, pudełkiem lodów waniliowo-wiśniowych i paroma butelkami szkockiej i wina. Powiedział, że w moim stanie potrzebne mi białko i uśmiech, więc mi je przyniósł. I przynosił przez prawie dwa lata.

Po chwili milczenia Ross zapytał:

— Ile ma pani lat?

— Dwadzieścia dziewięć.

— A gdzie jest pani synek?

— Zostawiłam go na noc u przyjaciół. Dopiero co zaczął się przyzwyczajać, że nie ma już Craiga; po co więc miałby teraz o nim słuchać. — Popatrzyła ze smutkiem na Rossa. — Musi pan zrozumieć, że Craig nie przychodził tu dlatego, że lubił pobarasz-kować na sianie z kobietą, która nie jest jego żoną. Przyjeżdżał, bo potrzebował mnie tak samo jak ja jego. Wcale nie krytykuję Katherine; z tego, co o niej wiem, mogłabym się z nią zaprzyjaźnić. Ale Craig mówił, że ona uważała go za ideał i gdyby opowiedział jej prawdę o sobie... czy choćby jej część, jak wypadek na żagłowie... Pewnie — powiedziała widząc zaskoczenie na twarzy Rossa — że opowiedział mi o nim. Uważał, że Katherine nie mogła dowiedzieć się o wypadku, bo przestałaby w niego wierzyć, przestałaby go kochać, gdyby wiedziała, że spowodował śmierć swej siostry, a potem uciekł pozwalając, by cała rodzina myślała, że utonął. Mówił też, że groziło mu posądzenie o niewłaściwą konstrukcję jakiegoś budynku, nie bardzo wiedziałam, o co chodziło, ale Craig mówił, że nie dałby rady walczyć z tym sukinsynem Derekiem, swoim kuzynem, i jego ojcem i udowodnić, że to nie on zrobił to coś tam tylko Derek. Przepelniała go taka nienawiść do Dereka, że by pan nie uwierzył. Było coś jeszcze, coś, o czym nie chciał rozmawiać nawet ze mną, tak bardzo go to bolało, ale o większości spraw mówił na okrągło. Musiał tak robić, skoro nigdy nikomu o tym nie opowiadał i już nie mógł tego znieść.

— Miał żonę, która go kochała — wtrącił Ross. — Mógł jej się zwierzyć.

— Nie słuchał pan, co mówiłam? Nie mógł jej o niczym powiedzieć, bo ją kochał.

— Więc dlatego wyłączył ją ze swoich spraw?!

— Czy tak właśnie ona się czuła? No cóż, chyba mogę to zrozumieć. Ale Craigowi nie przyszło to na myśl. On po prostu bał się jej powiedzieć.

— Dlaczego nie bał się powiedzieć pani?

— Bo mnie nie kochał — stwierdziła spokojnie Elissa. — Potrzebował mnie, żeby móc porozmawiać, czuł się dobrze przy mnie, był tu szczęśliwy. Ale nie kochał mnie. Kochał Katherine i nie chciał ryzykować, że ją rozczaruje. — Po chwili Elissa wstała i szybko dodała: — Chyba powinnam już włożyć kurczaka do piekarnika. Kolacja będzie za jakieś piętnaście minut. Dobrze?

— Dobrze. — Zajęty własnymi myślami, nie zastanawiając się nad tym, co robi, Ross poszedł za nią do kuchni i przysiadł na jednym z taboretów przy wyłożonym ceratą blacie.

— Craig zawsze tak robił — powiedziała Elissa wsuwając do piekarnika przykryte naczynie. — Siadał tam pijąc szkocką i opowiadał, a ja przygotowywałam kolację z produktów, które przyniósł. Zawsze przynosił ze sobą coś do jedzenia; w ogóle zachowywał się tak, jakby miał kupę pieniędzy. Wie pan, że mogłabym opisać, jak wygląda każdy pokój w jego domu w Vancouver? Kiedyś marzyłam sobie, że tam mieszkam.

— Powiedziała pani o tym Craigowi?

— Oczywiście że nie. Poczulby się wtedy niezręcznie i nie mógłby już więcej o nim opowiadać. Przy Craigu najlepiej umiałam słuchać. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłabym zazdrościć mu tego domu, bo...

— Bo nigdy nie pomyślał o pani.

— To nieprawda! Myślał o nas cały czas! Kiedy urodził się mój synek, a ja miałam nawrót tej anemii, zaopiekował się nami. Kupował nam różne rzeczy i zapłacił resztę rat za ten dom, i nigdy mi niczego nie odmówił. A my ciągle czegoś potrzebowaliśmy. On nie kradł ze względu na nas, prawda? Myśli pan, że to przeze mnie? Zastanawiałam się nad tym wiele razy i jednak nie wierzę, że on w ogóle coś ukradł. On nie był taki. Był dla nas taki dobry... Danny też — dodała po chwili wykładając na talerz pikle i oliwki. — Razem z kolegą zaoszczędzili trochę pieniędzy, żeby założyć własną firmę, a Craig pożyczył im resztę, chociaż go o to nie prosili. Po prostu słyszał, że rozmawiają o zaciągnięciu pożyczki, i zaproponował, że się tym zajmie. Craig lubił pomagać ludziom.

— Lubiał pokazywać ludziom, jak wiele może dla nich zrobić.

— To chyba na jedno wychodzi. Nawet nie powiedział Danny'emu, kiedy ma mu spłacić ten dług, ale Danny sam zaczął to robić; zdążył oddać dwie albo trzy raty, zanim Craig zniknął. Niedobrze, że uciekał, zawsze kiedy sprawy zaczynały się komplikować; zdaje sobie sprawę, że nie powinien wydawać pieniędzy na nas zamiast na swoją rodzinę, ale zachowywał się, jakby miał ich całą masę, a kiedy mówił, że nie może zwierzać się Katherine, i uśmiechał się tak strasznie smutno... No cóż, kochałam go i chciałam, żeby dobrze się czuł. A niech to wszyscy diabli, ciągle

się zastanawiam, gdzie teraz jest, czy nic mu się nie stało i co złego zrobiłam, że ode mnie odszedł. Wszędzie, na każdym kroku, czuję go przy sobie... choć nie ma go naprawdę... i tak bardzo za nim tęsknię.

Podchodząc do Elissy i obejmując ją, Ross przeklinał w myślach swego kuzyna, że znalazłszy w życiu dwie wspaniałe kobiety, obydwie skrzywdził.

Znalazłem się w ślepej uliczce, pomyślał Ross. Którego Craiga mam teraz szukać — Craiga Frasera czy tego, którego znali sąsiedzi Elissy?

Odnalazłem tylko kolejny cień.

Trzy znajome pomieszczenia wydały się jeszcze mniejsze, niż się Katherine spodziewała, a Jennifer i Todd chodzili z kąta w kąt marudząc, jak to było wspaniałe mieć oddzielne pokoje.

— Jesteśmy już za duzi, by mieć wspólny pokój — oświadczył Todd po kolacji.
— Zwłaszcza mam na myśli Jennifer. Dziewczyny potrzebują swego kąta na różne intymne sprawy.

Katherine roześmiała się.

— Kto ci to powiedział?

— Carrie. A Jon mówił, że ja też powinienem mieć własny pokój.

— I mają rację; wszyscy potrzebujemy trochę prywatności. Ja śpię w salonie, zapomnieliście? Ale na razie nie możemy sobie pozwolić na większe mieszkanie.

— A kiedy będziemy mogli?

— Może już niedługo. Jeśli w tym miesiącu zrobię trochę biżuterii, a klienci Mettlera ją kupią... wtedy chyba będziemy mogli rozejrzeć się za większym mieszkaniem.

— Gdzie będzie dużo pokoi — dodał z uśmiechem Todd.

— Owszem. — Katherine zaczęła przeglądać listy, które po drodze odebrali z poczty. — Jest tu coś ze szkoły do ciebie i Jennifer.

— Tylko tyle? Nie ma żadnych listów?

— Trzeba pisać listy, żeby je dostawać.

— Napisałbym, gdybym wiedział dokąd wysłać.

— Och. — Katherine objęła Todda i przytuliła. — Przykro mi, kochanie. Chyba już dawno przestałam oczekiwać listu od tatusia.

— Ja chyba też — odparł Todd. — Tak tylko pytałem. Będę przed domem z Jennifer, dobrze? Mamo? Dobrze?

— Co? A, tak, dobrze. Ale nie odchodźcie nigdzie. Już niedługo powinniście iść spać. — Katherine popatrzyła na Ust z nadrukiem „Sklep Mettlera”, który właśnie otworzyła. Zaczęła czytać:

„Droga pani Fraser, kiedy omawialiśmy pani prace, miałem nadzieję, że zawieramy bardzo korzystny układ. Niestety, panująca recesja zmusiła mnie do zmiany planów. Podobnie jak inni zapobiegliwi handlowcy, ja również muszę zredukować swój asortyment, a ponieważ nie mogę zmienić kontraktów z moimi zaufanymi stałymi dostawcami, dlatego zmuszony jestem, aczkolwiek niechętnie, wycofać ofertę, jaką ustnie złożyłem pani w czerwcu. Biżuterię zwrócę pani przez specjalnego posłańca. Proszę nie myśleć o mnie źle. Może pewnego dnia będziemy mogli współpracować. Życzę pani sukcesów w pracy, Z poważaniem...”

On nie może tego zrobić, pomyślała. Zgniotła list w dłoni. Byłam taka pewna, że zrobiłam dobry początek... On nie może... Oczywiście że może; to jego sklep. Cisnęła list w róg pokoju. A to drań. Kłamie, w gospodarce nic się nie zmieniło przez ostatnie dwa miesiące. A zresztą Leslie mówiła kiedyś, że Marc powiedział, iż tacy jak Mettler mają klientów nawet w ciężkich czasach.

Jedna myśl gonila drugą, Katherine złapała się za głowę. Uznał, że jednak nie podoba mu się moja biżuteria. To nie jest dokładnie to, czego oczekiwał... nie jest tak niezwykła albo tak dobra jakościowo, jak początkowo myślał.

To nieprawda!

Zerwała się z krzesła, poszła do kuchni i z wściekłością zaczęła zmywać naczynia.

— To nieprawda — powtórzyła na głos.

Pamiętała wyraz twarzy Mettlera, gdy oglądał jej biżuterię. Jest bardzo dobra. Wiem, że jest dobra, powtarzała z uporem.

Ale Mettler lepiej zna się na biżuterii, szepnął jakiś głosik w jej myślach. Może miał powody... Katherine potrząsnęła przecząco głową. Zdaję sobie sprawę, powiedziała sobie, jak bardzo się zmieniłam; wiem, na co mnie stać. Bez względu na to, co zaszło w czasie mojego pobytu we Francji, wiem, że moja biżuteria jest bardzo dobra.

Nie powinnam była jechać do Francji — to była kolejna refleksja. Może gdybym tu była, mogłabym sprawdzić, dlaczego Mettler tak postąpił, i coś bym zaradziła.

Ale wtedy nie spędziłabym miesiąca z Rossem.

Zadzwonił telefon, a gdy podniosła słuchawkę, usłyszała jego głos, który dobiegał z daleka, przebijając się przez zakłócenia na linii.

— Dzwoniłem do ciebie po południu — powiedział Ross.

— Poszliśmy zrobić zakupy i na pocztę. Nie ma cię w mieście? Twój głos dobiega jakby z daleka.

— Bo jestem daleko. Mam ci dużo do powiedzenia. Właśnie wróciłem z kolacji z...

— Ross, czy długo cię nie będzie?

— Wracam jutro. Co się stało, Katherine?

— Nic...

— Coś się stało; poznaję po twoim głosie.

— Nic takiego, co nie mogłoby poczekać do jutra. Mówiłeś, że gdzie jesteś?

— Chcę wiedzieć, co cię tak zmartwiło.

Katherine popatrzyła na swoją pokrytą mydlinami dłoń, w której trzymała słuchawkę.

— Herman Mettler wycofał zamówienie.

— Wycofał?! Dlaczego?

— Twierdzi, że z powodu recesji. Myślę, że chodzi o coś innego, ale nie mam pojęcia o co... — Głos jej się załamał.

— Katherine, on nie może tak po prostu wycofać zamówienia. Przecież masz kontrakt.

— Tylko ustny, co zresztą przezornie zaznaczył w liście. Nie upominałam się o pisemną umowę.

— I nie poradziłaś się Claude'a? Albo jakiegoś innego prawnika?

— Miałam taki zamiar, ale myślałam, że to nic pilnego. Mettler był taki zachwycony, ciągle mówił, gdzie będzie reklamował moją biżuterię i gdzie ją wystawi, więc nawet mi przez myśl nie przeszło, że coś może nie wyjść. A potem Victoria zaprosiła nas do Francji i całkiem o tym zapomniałam. Ale przecież nie pracowałabym przez cały miesiąc nad nową kolekcją, gdybym nie sądziła, że umowa stoi.

— A to sukinsyn. Co w niego wstąpiło? Mój Boże, zaraz po powrocie coś takiego... Katherine, najdroższa Katherine... cholera, powinienem być przy tobie i pomóc ci.

Najdroższa Catherine, tak powiedział.

— Wystarczyłoby, żebyś zwyczajnie mnie przytulił.

Jego ciepły śmiech zdawał się rozbrzmiewać w całym pokoju.

— Jutro. Jak tylko złapię samolot.

— Ross, właściwie nawet nie dopuściłam cię do głosu. Chciałeś mi coś powiedzieć. Jadłeś z kimś kolację. Mówiłeś mi, gdzie jesteś?

Znów się roześmiał.

— Nie. Powiem, jak tylko wrócę. Masz teraz wystarczająco dużo spraw na głowie. Katherine, czy mogłabyś załatwić opiekę dla Jennifer i Todda na najbliższy weekend? Chciałbym spędzić go z tobą. Rodzinnych weekendów jeszcze przed nami całe mnóstwo; teraz chciałbym mieć cię tylko dla siebie.

— Dobrze — powiedziała. — Ja też bym tego chciała. Zobaczę, co da się zrobić.

— Zapytaj Victorię — podpowiedział. — Dobrze się bawili razem we Francji. Przez jeden weekend ona z Tobiaszem chyba ich za bardzo nie rozpieszczą.

Katherine poczuła, że nastrój zaczyna jej się poprawiać, a rano poszła do Victorii i Tobiasza. Zastała ich przy śniadaniu w pokoju wypoczynkowym.

— O, Katherine — powiedział Tobiasz całując ją w oba policzki. — „Podróżę prowadzą do spotkania kochanków.” Rozumiem, że twoja właśnie tym się skończyła. Usiądź, napij się z nami kawy i wszystko mi opowiedz.

Katherine zarumieniła się i zerknęła na Victorię.

— Wygląda na to, że nie zostało mi już nic do opowiadania. Na Victorii słowa te nie zrobiły żadnego wrażenia.

— Tobiasz nie zna szczegółów, bo przecież ty rozmawiając ze mną nie wdawałaś się w detale. Ale wspomniałam mu, że przez cały prawie czas naszego pobytu we Francji twoja cudownie odzwierciedlająca wszelkie uczucia twarz promieniała radością. — Przyjrzała się Katherine uważnie. — Ale już nie jest promienna. O co chodzi, kochanie?

Katherine w paru słowach opowiedziała o liście Mettlera. Tobiasz zdenerwował się,

— Ale., przecież... ale... — bełkotał.

— Łajdak! — krzyknęła Victoria. — Gadzina! — Nerwowo kręciła się na krześle. — Kanalia!

Katherine roześmiała się.

— Masz znacznie więcej inwencji niż ja, — Pochyliła się w stronę Victorii i pocałowała ją w policzek. — Mnie przyszedł do głowy tylko drań.

— To też, oczywiście — zgodziła się Victoria. — Ale to za mało.

— „Kiedy się złościsz, policz do czterech — zaczął cytować Tobiasz przez zaciśnięte zęby. — A kiedy się bardzo złościsz, przeklinaj.” Mark Twain. — Westchnął. — Nie potrafię kląć w obecności kobiet. Moja matka byłaby dumna, że udało się jej wpoić mi tę zasadę, ale to bardzo frustrujące. Dlaczego on zrobił coś takiego? Przecież chyba żadne z nas nie wierzy, że z powodu recesji, prawda?

— Naturalnie — przyznała Katherine. — Coś sprawiło, że zmienił zdanie. Może w końcu uznał, że mimo wszystko moja biżuteria nie spełnia jego oczekiwań...

— Bzdury! — ucięła Victoria. — Zaraz do niego zadzwonię. Już na zawsze stracił we mnie klientkę... i w moich przyjaciółach też!

— Moja droga... — zaczął ostrzegawczym tonem Tobiasz spoglądając na Katherine. — Na pewno powinnaś przestać u niego kupować, ale jeśli chodzi o coś więcej... może należałoby zapytać Katherine, co sądzi na ten temat.

— Katherine! — Victoria rzuciła Tobiaszowi piorunujące spojrzenie. — Nie sądzę, by Katherine chciała mnie powstrzymywać!

— Chyba jednak tak — odparła z wahaniem w głosie. — Przynajmniej na razie. Myślę, że najpierw powinnam sama z nim porozmawiać, a potem robić swoje. Wierzę w to, co robię, jeszcze bardziej niż przedtem, chcę w to wierzyć, chcę wierzyć w siebie. Ale wciąż usiłuję się przekonać, co potrafię osiągnąć własnymi siłami. Jeśli poddam się z powodu niepowodzenia...

— Niepowodzenia! — wykrzyknęła Victoria. — To zdrada! Już ja z nim porozmawiam... ten łotr nie zazna więcej spokoju.

Z ust Tobiasza wyrwało się przeciągłe, głębokie westchnienie. Victoria zmarszczyła czoło.

— No cóż — powiedziała. — Uważasz, że Katherine sama powinna zdecydować. — Tobiasz z powagą pokiwał głową. — Katherine? — spytała. — Jesteś pewna?

— Niemal w stu procentach — odparła. — Widzisz... nawet gdyby ci uległ, żeby nie stracić w tobie klientki, nie byłby zbyt

zadowolony ze współpracy ze mną. Mógłby wyłożyć moją biżuterię w jakiejś mało widocznej gablocie i całkiem o niej zapomnieć, a to wcale nie polepszyłyby mojej sytuacji. Bez względu na to, jak bardzo jesteś na niego zła, nie możesz zmusić go, by okazywał wobec mnie entuzjazm.

— Mądra z ciebie dziewczyna — przyznał Tobiasz.

Ta pochwała sprawiła Katherine wielką radość, ale i oburzenie Victorii bardzo ją ujęło.

— Zobaczą, czy uda mi się odkryć prawdę — dodała. — A potem udam się do mniejszych sklepów. Może w ogóle nie powinnam była zaczynać od najlepszych.

— Nie, nie, nie! — Każde słowo Victoria przypieczętowała uderzeniem pięścią w stół. — Tylko najlepsze sklepy, inne nie wchodzi w grę! Nie będę nic robić, skoro ty i Tobiasz jesteście pewni, że tak jest dla ciebie lepiej, ale nie wolno ci mierzyć nisko; nie możesz dać się pokonać temu osłu! Gdzie jest Ross? — spytała nagle. — Dzwoniłam do niego, ale sekretarka powiedziała, że wyjechał.

— Wróci dzisiaj — powiedziała Katherine.

— A gdzie jest?

— Nie wiem; powiedział, że opowie mi po powrocie. — Katherine zawahała się, po czym poruszyła kwestię weekendu. — Nie mogę zostawić Jennifer i Todda samych, nawet jeśli Annie będzie u siebie po drugiej stronie korytarza.

— Sami! — krzyknął Tobiasz. — Oczywiście, że muszą przyjść do nas; będziemy się razem doskonale bawić... mogliby ułożyć mi według alfabetu kartotekę rodziny Haywardów.

— O nie — zaprzeczyła stanowczo Victoria. — Potem nie chcieliby już nigdy do nas przyjść. Ale oczywiście zaopiekujemy się nimi, Katherine; rozweselą nas. A tobie dobrze zrobi zajęcie się czymś przyjemnym. — Poglądziła Katherine po policzku. — Chciałabym pójść z tobą do Mettlera. — Uśmiechnęła się szeroko jak mała dziewczynka. — Urządź mu piekło, kochanie.

Idąc w dół stromego wzgórza obok ogródków pełnych kwiatów w kolorze soczystej purpury i rózu, stonowanych lekko srebrno-niebieskawą trawą, Katherine powtarzała sobie w myślach: „Urządź mu piekło, kochanie”, i uśmiechała się do siebie, żeby nie dać się ponieść nerwom. Dlatego ten uśmiech wciąż miała na ustach, gdy wchodziła po kręconych schodach na galerijkę w sklepie Mettlera.

Wyglądało na to, że sekretarka o niczym nie wie.

— Jak to miło panią widzieć, pani Fraser — powiedziała na jej widok. — Pan Mettler jest wolny; powiem mu, że pani przyszła.

— Nie trzeba — odparła Katherine i szybko sięgnęła ręką do klamki, otworzyła drzwi i weszła do biura Mettlera.

Przeglądał właśnie folder o Riwierze Francuskiej i podniósł wzrok marszcząc brwi.

— Pani Fraser! — W ciągu paru chwil na jego twarzy odbiły się różne uczucia. — Co za przyjemna niespodzianka! Co mogę dla pani zrobić? Jestem do usług, choć nie mam zbyt wiele czasu; właśnie spodziewam się kilku klientów... a spodziewanych klientów zawsze lepiej oczekiwać, prawda? — Zachichotał, ale zaraz spoważniał. — A więc?

Katherine stanęła obok jego biurka.

— Wczoraj po powrocie z Francji zastałam pański list.

— Z Francji! — Pomachał folderem. — W najbliższy weekend wyjeżdżam do Monte Carlo; nie potrafię oprzeć się pokusom hazardu. Skoro dopiero co pani stamtąd wróciła, może poradzi mi pani, co jeszcze można by tam robić.

Chętnie bym to uczyniła, pomyślała Katherine, uśmiechając się z goryczą, ale na głos powiedziała:

— Wolałabym, żeby to pan mi wyjaśnił, co oznacza pański list.

— Chyba jasno się w nim wyraziłem! Mamy ciężkie czasy, droga pani! Rośnie bezrobocie, stopy procentowe idą w górę, coraz więcej bankrutów. A sprzedaż maleje. Przyszłość jest niepewna. Cóż więcej mogę pani powiedzieć?

— Monte Carlo jest bardzo drogie.

— Cóż, ale trzeba trochę zadbać o swoje zdrowie! — Zakaszłał. — Pani Fraser, sądziłem, że treść listu jest jednoznaczna. Jeśli nie ma pani innych pytań...

— Oczywiście, że mam; chcę, żeby powiedział mi pan prawdę. — Katherine podeszła jeszcze bliżej i stanęła tuż przy jubilerze; miała na sobie biały słomkowy kapelusz z szerokim rondem i wąską bawełnianą sukienkę w kolorze niebieskim, z białym paskiem w talii; kupiła ją w Paryżu po obniżonej cenie w sklepie z modelami znanych projektantów mody. — Kiedy byłam tu poprzednim razem, zwracał się pan do mnie per Katherine i zapowiadał reklamy w „Vogue”. Dwa miesiące później wycofuje pan zamówienie

i nazywa mnie panią Fraser. Coś się w tym czasie stało i na pewno nie chodzi o recesję. Chcę wiedzieć, o co chodzi.

— Pani Fraser, jestem bardzo zajęтым człowiekiem — powiedział odsuwając krzesło. — Nie mogę marnować czasu...

— Ale mój czas pan zmarnował — odcięła się spoglądając na niego spod kapelusza. — Poświęciłam cały lipiec na przygotowanie projektów, które pan zamówił.

— Przecież nie podpisaliśmy kontraktu!

— Zawarliśmy ustną umowę, jak dwoje profesjonalistów, a pan zachował się bardzo nieładnie i nieuczciwie.

— Zawsze jestem uczciwy! A gdyby pani wiedziała, co się pani opłaci, to nie obrażałaby pani Hermana Mettlera!

— Opłaci mi się sprzedaż mojej biżuterii. Poświęciłam wiele cennego czasu na przygotowanie projektów, o które pan prosił, a teraz zmuszona jestem poświęcać go dodatkowo na wizyty u pańskiej konkurencji.

— Niewiele pani osiągnie! Oni też już o pani wiedzą! Katherine oszołomiona patrzyła na niego. Mettler spuścił wzrok.

— Co wiedzą? — spytała.

Po chwili jubiler wzruszył ramionami.

— Do diabła, pani Fraser, nad pani głową gromadzą się chmury.

Katherine przeszedł dreszcz.

— Chmury — powtórzyła.

— Przede mną nie musi pani udawać. Wiem o pani mężu; wiem, że się ukrywa; wiem, że pani też uciekła: sprzedała dom nawet na tym tracąc i wyjechała z Kanady.

— Westchnął. — Dla mnie to za dużo, pani Fraser. Sama pani wie, jak wymagający są nasi klienci, jak bardzo zależy im, żeby to, co mają, było oryginalne. Nie mogę ryzykować zatrudniając projektantów, których przeszłość jest dwuznaczna; nie zaryzykuję kupna biżuterii, która może okazać się... skopiowana.

— Chce pan powiedzieć skradziona — powiedziała spokojnie. — Nie ma pan żadnych powodów, żeby mnie o to podejrzewać. Jeśli się pan martwił, bo ktoś naopowiadał panu o moim mężu, to dlaczego nie zapytał pan mnie?

— Pytałem! Pytałem, czy pani projekty są oryginalne!

— A ja udzieliłam panu odpowiedzi.

— Mnie ona nie zadowoliła.

— Wówczas był pan zadowolony.

— Pani Fraser, proszę mnie posłuchać. Bogacze mają swój własny mały świat. Spotykają się na tych samych przyjęciach, kolacjach, weselach, wszystko jedno, w jakim kraju akurat się znajdują. A jaką mają pamięć! Mój Boże, pamiętają, jak była ubrana każda kobieta na kolacji przed dziewięćmioma laty... a nawet kto był wtedy jej mężem. Naturalnie pamiętają też i biżuterię. Jak pani myśli, czy przyszliby do Mettlera ponownie, gdyby wydali trzy tysiące czy trzysta tysięcy dolarów na naszyjnik, a potem zobaczyli u kogoś innego taki sam? — Znów westchnął. — Nie ma we mnie ani odrobiny złośliwości; jest pani atrakcyjną młodą kobietą, ale ja muszę dbać o siebie i swoje interesy. Nie będę ryzykował, skoro wisi nad panią taka ciemna chmura. A teraz, pani Fraser, spodziewam się klientów... — Otworzył przed nią drzwi. — Miło, że pani przyszła; naprawdę życzę pani wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że pani i mąż zdołacie rozwiązać wszelkie problemy i będzie pani mogła wrócić do Kanady.

Katherine popatrzyła na niego.

— Jest pan tchórzem, Hermanie.

— To prawda — zgodził się. — Gdybym zdecydował się podjąć ryzyko, pani Fraser, to jedynie dla kogoś znacznie ważniejszego niż pani. Czy byłaby pani uprzejma już sobie pójść?

Katherine bez słowa przeszła przez sekretariat i zeszła na parter. W sklepie połyskiwały klejnoty, złoto i srebro, ale ona widziała je jak przez mgłę, zupełnie jakby przesłaniał jej wszystko jakiś cień.

Od Craiga nie ma ucieczki.

W gęstej mgle łódź połyskiwała śnieżną bielą, a warkot silnika odbijał się od mlecznej ściany i zalegał im w uszach, gdy wypływali z przystani. O siódmej rano byli jedynymi żeglarzami, dzięki czemu unikali weekendowych korków w porcie. Przepływając obok upiornie wyglądających innych łodzi, opuścili przystań i znaleźli się całkowicie we mgle — widoczność zmalała do minimum. Ross zwolnił obroty silnika.

— Teraz ty kierujesz jachtem — powiedział do Katherine. — Trzymaj prosty kurs, a ja rozwinę żagle.

— Dobre sobie, prosty kurs — odparła starając się, by głos jej brzmiał spokojnie.
— Ledwie mogę dostrzec ląd za nami.

Ross otoczył ją ramieniem.

— Masz kompas. A mgła nie jest taka straszna. Popatrz. — Wskazał jej coś ręką i wyteżając wzrok Katherine zobaczyła przed sobą jakiś kształt. — To Wyspa Skarbów — powiedział. — Byłem już na morzu w takie dni, kiedy nie było jej widać, dopóki niemalże nie wpłynęło się na nią. Obserwuj wskazania kompasu i trzymaj kurs zachodnio-północno-zachodni na wyspę. To duży cel. Raczej trudno go ominąć.

— Wolałabym raczej w porę go ominąć — stwierdziła Katherine.

Ross zachichotał.

— Myślę, że nam się to uda; przejmę stery, zanim zbliżymy się do wyspy. Teraz dasz sobie radę; ufam ci. — Pocałował ją leciutko i odszedł od steru.

Katherine zajęła jego miejsce patrząc, jak swobodnie zeskakuje z mostka na pokład, zanim jeszcze ona zdążyła sprawdzić "wskazania kompasu i nastawić go na słaby zarys wyspy. Odpręż się, powiedziała sobie. Wszystko będzie dobrze. Przebiegł ją dreszcz i zapięła kurtkę, by ochronić się przed wilgotną mgłą. Ale drżała też z innego powodu. Niepokoiła się o wiele spraw — o to, jak poradzi sobie z łodzią, jak powie Rossowi o rozmowie z Mettlerem i dlaczego Ross tak niechętnie wypowiada się o swej podróży.

— Masz wystarczająco dużo spraw na głowie — powiedział, gdy poprzedniego wieczora zadzwonił do niej zaraz po powrocie do domu. A potem przedstawił jej kilka pomysłów na spędzenie weekendu; proponował wycieczkę do Big Sur, pozostanie u niego w domu albo rejs łódką. — Moglibyśmy popłynąć wzdłuż wybrzeża w sobotę i wrócić w niedzielę. Pogoda jest świetna i chociaż warunki na łodzi wydadzą ci się pewnie prymitywne, myślę, że ci się to spodoba.

Katherine była zdenerwowana, ale wiedziała, co dla Rossa oznacza żeglowanie.

— Myślę, że mi się spodoba — odparła.

Prowadząc łódź zerkła to na kompas i mglisty zarys Wyspy Skarbów, to znów na Rossa, który zapierał się mocno stopami, by rozwinąć fał głównego żagla, a potem kręcił korbą, wciągając wielki

żagiel na sam szczyt masztu; czuła, że zdenerwowanie stopniowo mija. Pewnie trzymała w rekach ster, a kompas pokazywał, że kurs jest właściwy. Popatrzyła na schody prowadzące w dół do kabiny, na ławeczki z niebieskimi poduszkami i ciągnące się wzdłuż trzech ścian pomieszczenia na mostku, na boczne pokłady z balustradą z cienkiej stali, której naturalny połysk tłumiała teraz mgła, na maszt z jasnego aluminium, przy którym stał Ross wiążąc fał, i zaczęła się odprężyć. Zanim jeszcze wypłynęli z portu, Ross wszystko jej objaśnił — pokazał, co do czego służy na pokładzie, zręcznie i pewnie skacząc pomiędzy linami, poręczami i wystającymi przeszkodami, które zdawały się zagradzać Katherine drogę akurat w chwili, gdy się do nich zbliżała. Czuła się wtedy spięta i podenerwowana.

— Łódź Craiga sprzedać? — Uśmieł się zaraz po wypadku — powiedział spokojnie. — Ta jest zupełnie inna.

— Jeśli nigdy się nie żeglowało... — zaczęła Katherine.

— To wszystkie łódzie wydają się takie same — dokończył za nią Ross. — Ale staraj się pamiętać, że ta należy do mnie. Była zupełnie nowa, gdy ją kupowałem, tak więc ja sam tworzę jej historię. Ty i ja ją tworzymy — poprawił się zaraz.

„Ty i ja.” Gdy Ross stanął przy maszcie, patrząc w górę na wielki biały żagiel wzdęty przez wiatr, Katherine przyjrzała się jego twarzy — skupionej, poważnej, uśmiechniętej. Wiatr rozwiewał jego ciemnoblonde włosy, a sylwetka była tak wyprężona i pełna wdzięku jak żagiel, na który patrzył. Katherine miała wrażenie, że Ross stał się jakby częścią swej łodzi, i sama zapragnęła też się tak poczuć.

— ...silnik! — krzyknął.

— Co?

— Wyłącz silnik! — Wskazał przy tym kluczyk w stacyjce, a ona sięgnęła ręką i przekręciła go. W jednej chwili motor ucichł i pograżyli się w przejrzystej szklanej powłoce ciszy. Ross uśmiechnął się szeroko. — Zawsze czekam na tę chwilę — powiedział. — Można niemal poczuć tę ciszę.

Katherine ją czuła. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami były szum wiatru wzdymającego żagiel i cichy plusk fal.

— Rozwinę kliwer — zdecydował Ross. — Przydałoby mi się pomoc. Zablokuj ster, kiedy ci powiem, a potem chodź tutaj i pociągnij tę linę.

Ruszył do przodu i przymocował kliwer do ukośnej liny przy dziobie.

— Teraz — powiedział.

Katherine zablokowała ster, wdrapała się na pokład i zaczęła ciągnąć linę. Kiedy zorientowała się, że wciąga kliwer po linie, gdzie zaraz chwycił wiatr i wybrzuszył się, poczuła przyływ radości. Lina zaczęła trzeć o jej dłonie, więc pochwyciła ją mocniej, żeby zrównoważyć siłę wiatru w żaglu, a wtedy Ross przyszedł jej z pomocą — ściągnął żagiel i umocował linę. Płynąc z dwoma rozwiniętymi żaglami łódź zaczęła nabierać prędkości.

— Cztery węzły — oznajmił Ross. — Chcesz potrzymać ster?

— Tak.

Otoczył ją ramieniem i uśmiechnęli się do siebie.

— Kieruj się na północny zachód, dopóki nie wyminiemy Wyspy Skarbów; potem okrążymy Alcatraz i wypłyniemy wprost na most Golden Gate. — Przysiadł na ławce za nią. — Przypatrzę się, jak ci idzie.

Katherine roześmiała się. Płynęli we mgle zupełnie sami. Wszystko, co pozostało na łodzi, wydawało się nierealne... Herman Mettler stał się zaledwie aktorem na scenie, a Craig postacią na płótnie. Nawet fakt, że Ross nie chciał mówić o swej podróży, przestał być ważny w tej niesamowitej ciszy ogarniającej zawoalowany świat. Liczyło się tylko to, że odcięta zupełnie od lądu czuje się z Rossem szczęśliwa.

Kiedy przepływali pod mostem, Ross przejął ster starając się trzymać środka kanału, dopóki nie ominęli cypla. A potem znów byli na oceanie, kierując się wzdłuż wybrzeża. Wkrótce mgła zaczęła się podnosić i wyglądało to tak, jakby ktoś podarł ją na kawałki. Przeciskali się więc przez te postrzępione korytarze, a drugie frędzle mgły oplatały łódź; nagle wyjrzało słońce zalewając ich złotym blaskiem. Katherine aż dech zapało, tak zachwyciło ją piękno tego zjawiska. Ross otoczył ją ramionami. Stała przytulona do niego, patrząc prosto przed siebie, a on nie puszczać steru dotykał ustami jej włosów.

— Dziękuję ci — rzekł — że chcesz dzielić to ze mną.

Pod bezchmurnym niebem fale połyskiwały złotymi iskierkami, a samotna łódź ślizgała się po nich w przepelnionym słońcem, pachnącym morzem powietrzu. Katherine obróciła się w kręgu ramion Rossa i pocałowała go.

— Dziękuję, że pozwoliłeś mi to ze sobą dzielić. Jego usta uśmiechały się tuż przy jej wargach.

— Dzielisz ze mną wszystko, co robię. Nie mówiłem ci o tym? Ale teraz jest pewien problem, bo nie widzę, dokąd zmierzamy...

— Och. — Śmiejąc się wymknęła się z jego ramion. — Co mogę zrobić? Może zawiązać jakąś linę albo odwiązać albo coś zaczepić?... Jak mam się nauczyć, skoro nie stawiasz przede mną żadnych zadań?

Ujął jej dłoń.

— Przychodzi taka chwila, kiedy wiatr, morze i łódź tworzą doskonałą, harmonijną całość. Mądry żeglarz nigdy tego nie psuje. Lekcji udzielę ci innym razem. Jak już będziesz miała ochotę na lunch, to w lodówce znajdziesz kanapki i piwo; a na razie jedyne, co mamy robić, to relaksować się. I rozmawiać. Chcesz opowiedzieć mi, co zaszło u Mettlera?

— Później, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Oczywiście, że nie. — Zdjął marynarkę. — Mogłabyś wrzucić ją do kabiny?

Patrzył, jak zdejmuje również swój zakiet i przechyla się w dół, by rzucić ubrania na jedną z koi.

— Katherine. — Zwróciła się w jego stronę. — Czy wiesz już, kiedy my będziemy mogli stworzyć doskonałą harmonijną całość?

— Nie — odparła szybko. — Jeśli będziemy mogli być razem od czasu do czasu... — Próbowwała znaleźć jakieś inne słowa, w końcu powiedziała po prostu: — Jest doskonale. Teraz.

W czasie tego weekendu dokładniej nie omawiali spraw, które absorbowwały ich na lądzie. Katherine nie pozwoliła, by Mettler zburzył ich spokój, a ilekroć Ross wspomniał Elisę, odsuwał natychmiast tę myśl na bok. W końcu istniała przez te dwa lata, kiedy Craig się z nią spotykał, i przez ostatni rok, odkąd zniknął, więc równie dobrze może jeszcze poczekać, zanim Katherine się o niej dowie.

Lunch zjedli na mostku, a ich głosy mieszały się z szumem wiatru i fal i nawoływaniem ciekawskich, latających wokół mew. Przez całe popołudnie, zmieniając się przy sterze, płynęli wzdłuż sięgających głęboko w morze klifów. Czasami przepływali obok jakiejś małej plaży albo skał, na których foki wygrzewały się w słońcu. Gdy słońce zeszło już nisko, wodę przecięła ognisto-pomarańczowa smuga, a wiatr przybrał na sile. Katherine odchyliła

głowę do tyłu — blask słońca nadał jej skórze morelowożłoty odcień, a chłodny powiew pieścił ją delikatnie. Usłyszała, jak Ross wciąga głęboki oddech, i niemal się zachwiała, tak silne ogarnęło ją pożądanie. Wyciągnęła rękę, żeby się czegoś chwycić.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

— Świetnie. — Uśmiechnęła się do niego. — Myślałam właśnie o tym, jak byłoby cudownie kochać się teraz z tobą.

Twarz jego rozpromienił uśmiech. Wyciągnął ramię, a Katherine przytuliła się do niego.

— Zakotwiczymy w Drake's Bay — szepnął tuląc ją do siebie. — Jest tam zatoczka; pamiętam ją jeszcze sprzed lat.

Zmierzchało już, kiedy zarzucili kotwicę i zwinęli żagle. Robili wszystko wspólnie: Ross wydawał polecenia, a Katherine starała się zapamiętać każdą czynność — i to krzątanie się po łodzi i dzielenie pracą było jak miłosa pieczyta.

W kabinie Katherine zapaliła lampy naftowe i zaciągnęła niebiesko-czerwone zasłonki nad małymi okienkami przy kojach, a Ross wziął się do przygotowania kolacji, wkładając produkty z lodówki do piekarnika. Potem wspólnie nakryli -stolik między kojami i ustawili na nim gliniane naczynia; Ross nalał wina i podał maleńkie ciasteczka z krabów i nadziewane grzyby. Stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Katherine.

— Za życie w prymitywnych warunkach. Roześmiała się.

— Gdyby Pielgrzymi mieli takie prymitywne warunki, to żadna siła nie zmusiłaby ich do opuszczenia „Mayflower”.

— A wtedy nas nie byłoby tutaj —podsumował Ross wyjmując jedzenie z piekarnika. Podał Katherine jej porcję. — To pierś kurczęcia w sosie Dijon z ciemnym ryżem i karotkami. Ostrzegam: zrobiłem to wszystko sam; Carrie nie pomagała mi ani nie doradzała. Jeśli wyda ci się to niejadalne, wyjdziemy na pokład i spróbujemy coś złowić.

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Jedzenie jest wspaniałe. Rozpieszczasz mnie.

— Taki mam zamiar.

Zasłonięte okienka i delikatne, migoczące lekko światło lamp odbijające się w mahoniowej boazerii na ścianach sprawiły, że w małej kabinie zrobiło się przytulnie. Gdy wypili już kawę, Ross zapytał:

— Masz ochotę posłuchać muzyki? W naszym prymitywnym domu jest radio...

— Nie — odparła. — Wolę ciszę.

Ross ujął jej twarz w swoje dłonie i ucałował jej oczy, potem czubek nosa, kąciki ust i małe zagłębienie na szyi, do którego przyłgął ustami na dłużej, by czuć, jak bije serce. Katherine objęła go i przytuliła, a po chwili odsunęła lekko i roześmiała się patrząc mu w oczy.

— Trochę tu ciasno. Wprawdzie dobrze mieć stół, ale...

— To właśnie podstawowa wada tego pomieszczenia — odparł. — Trzeba najpierw sprzątnąć po kolacji, żeby móc się kochać.

Zebrali wszystkie naczynia i przenieśli je do zlewu, po czym złożyli stolik i na jego miejsce rozsunęli podwójną koję.

— Tak już lepiej — powiedziała Katherine.

Przytulili się do siebie i rozebrali jedno drugie, a gdy już położyli się na łóżku całując głęboko i namiętnie, dłonie ich zaczęły sunąć powolutku po ciepłutkich zagłębieniach, twardych mięśniach i miękkich włosach.

— Katherine, najdroższa, kocham cię — powiedział Ross z ustami tuż przy jej piersiach.

Powtórzył „kocham cię” najpierw jednemu, potem drugiemu sutkowi, chwytając je delikatnie wargami. Potem wsunął dłonie pod pośladki Katherine, a ona obróciła się tak, że prawie się nie ruszając Ross przyłgął do niej i wszedł w nią. Złączone ciała falowały jednym rytmem, aż z ust Katherine wyrwał się krzyk, a w chwilę później wtulony w jej jedwabiste, pulsujące ciepłem ciało Ross wytrysnął i jego krzyk zlał się z głosem Katherine.

Leżeli nieruchomo muskając się ustami; w końcu Katherine spytała leniwie:

— Czy łódź płynie?

— Kołysze się.

— Ale nie odpływa?

— Nie. Nie martw się; nigdzie nie popłyniemy.

— Szkoda. Chciałabym znaleźć się gdzieś, gdzie nikt i nic by nas nie dogoniło.

— Może któregoś dnia.

Powiedział to tak cicho, że Katherine nie dosłyszała.

— Co mówiłeś?

Ross oparł się na łokciu i w słabym świetle popatrzył na nią.

— Będzie z ciebie wspaniały żeglarz. Po chwili milczenia spytała:

— A co potem?

— Potem, mając żagle jak należy, możemy popłynąć wszędzie. Uśmiechnęła się do niego.

— Cudowne marzenie.

— Katherine, powiedz, że mnie kochasz. Dotknęła palcem jego ust.

— Boję się. Boję się nawet o tym myśleć. Wszystko miałam poukładane; nigdy nie myślałam, że mogłabym się jeszcze zakochać. Kiedy myślę o tobie, czuję się tak, jakbym stawała się kimś innym, jakbym oddalała się od tej osoby, którą byłam. I zaczynam się bać — nie wiem, kim teraz jestem, czego chcę i jak to możliwe, że marzę o tobie i tęsknię za tobą, a wciąż czuję się w jakiś sposób związana z Craigiem. Poza tym — dodała starając się, by zabrzmiało to pogodnie — nie kochałam, to znaczy, nie zakochałam się od dziesięciu lat. Już zapomniałam, jak to jest, kiedy dusza rwie się do drugiej osoby. Podoba mi się to uczucie, tak myślę, ale czuję się jednocześnie zagubiona. To wszystko jest takie nowe i takie wszechogarniające...

Ross pochylił się nad nią.

— Dziękuję. — Pocałował ją powoli, nie spiesząc się. — Ważne, że to czujesz, słowa mogą poczekać.

Katherine przesunęła palcem po jego szyi i torsie.

— Uwielbiam dotyk twojego ciała. — Koniuszkami palców muskała skórę płaskiego, silnego brzucha i miękkiej pachwiny. — Masz takie cudowne ciało; na łodzi poruszasz się jak lew: spokojny, pełen wdzięku, nigdy nie spoglądasz pod nogi...

— Bo chcę się popisać. I czasami wywijam wtedy orła. A skoro mówimy o cudownych ciałach...

— Nie będziemy mówić — oświadczyła Katherine. Wsunęła się spod niego, pocałowała go, po czym ustami

odbyła tę samą drogą co wcześniej palcem — po szyi, przez jasne włoski na jego piersi, w dół wąskich bioder, po gładkiej skórze brzucha aż do pachwiny. Przywarła ustami do ciepłego zagłębienia, a dłonie wsunęła mu pod pośladki; poczuła, jak ujmuje jej piersi, a sama zaczęła sunąć czubkiem języka przez jego poskręcane włoski

i wzdłuż ciepłego penisa, włożyła go sobie do ust, głęboko, tak że znów ją wypełnił. Ross cicho jęknął, a Katherine z radością go podniecała, dawała mu rozkosz i w końcu sama zapomniała o wszystkim, uświadamiając sobie tylko zmysłową przyjemność jego dotyku i wyczuwając językiem nabrzmiałe żyły jego twardego, gorącego, pulsującego życiem penisa. Rękoma trzymała jego pośladki i przyciągała go do siebie, wciskając głębiej w swoje gardło, a całe jej ciało zalewała fala rozkoszy. Nagle Ross przesunął się w dół na łóżku i wszedł w nią dziko, natarczywie, i stali się jednym ciałem, które połączył błysk namiętności — niczym przecinająca niebo błyskawica porwała ich na szczyty, gdzie zatrzymali się na moment uwzniośleni, a potem spadli w cichą słoneczną dolinę, by spocząć nieruchomo i patrzeć sobie w oczy z pełnym zdumienia uśmiechem na ustach.

— Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że od tak dawna się nie kochałem — przerwał milczenie Ross. — Ponad rok... Byłem żonaty, a jednak samotny.

— Ja także — odparła Katherine. — Choć w troszkę inny sposób... Ross — zaczęła sennym głosem. Dotknęła ustami jego ust. — Kocham cię.

Ross objął ją i tak wtuleni w siebie zasnęli.

Obudzili się spleceni ramionami, zaplątani w prześcieradła.

— Udajesz dziewczynę nie do zdobycia — burczał Ross. — Najpierw mówisz, że mnie kochasz, a zaraz potem rzucasz mi kłody pod nogi.

— Miłość wszystko zwycięża — powiedziała Katherine posyłając mu promienne spojrzenie i wspólnie ściągnęli z łóżka prześcieradła. Potem wyciągnęła się na plecach, ofiarowując mu swe smukłe ciało, by położył się na nim i zaczął dzień miłością. — Ale czy jakaś kłoda zagraża nam drogę do śniadania? — spytała po chwili. — I nie pozwala wyruszyć w morze?

— Wiedziałem, że będzie z ciebie dobry żeglarz — powiedział Ross z rezygnacją w głosie. — Bo interesuje cię wyłącznie łódź i jedzenie.

— Kiedy ktoś mnie kusi — sprostowała — znajduję czas na inne jeszcze rzeczy.

Ale zanim zabrali się do śniadania, uruchomili najpierw silniki, wypłynęli z mgły, która wiecznie spowijała zatokę Drake's Bay,

i rozwinęli żagle. Potem, kierując się na południe, zasiedli spokojnie w kabinie na mostku, podzielili między siebie pomarańcze oraz bułeczki, nalali sobie kawy i obserwowali cienie przesuwające się po wysokim skalistym brzegu i baraszkujące foki połyskujące szaro-biało na tle pogłębiającego się błękitu nieba. Żeglowali przez cały dzień, pogrążeni w bezkresnej, kojącej ciszy przerywanej leniwą rozmową.

Urok prysł, kiedy wpłynęli do kanału prowadzącego do mostu Golden Gate. Za nimi została pustka oceanu i otoczyły ich nagle inne łodzie — dziesiątki unoszących się na wodzie i krążących wokół nich białych żagli. Ross skierował łódź pod północny koniec mostu, płynąc tam, gdzie było najmniej tłoczno. Katherine patrzyła, jak przybijają do brzegu w pobliżu grupki skałek wznoszących się strzeliście niczym wieżyczki, tuż obok małego skrawka lądu z latarnią morską i rozciągającą się za nią maleńką plażą. Nie wiadomo dlaczego Katherine poczuła się niespokojna. Odezwało się w niej jakieś wspomnienie; spojrzała na Rossa pytającym wzrokiem i zauważyła, że ją obserwuje.

— To Lime Point — powiedział cicho. Weekend się skończył; wróciła codzienność.

Carrie znalazła matkę na tarasie; leżała na słońcu osłoniwszy oczy maseczką ochronną.

— Mamusiu — zaczęła dziewczynka.

— Tak, kochanie.

— Potrzebuję dwóch kart do klubu.

Melania uniosła nieco maseczkę i zerknęła na córkę.

— Czy ty i Jon zgubiliście karty?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— Potrzebujemy ich dla Jennifer i Todda.

Melania usiadła i zdjęła maseczkę, wkładając na jej miejsce ciemne okulary.

— Dla kogo?

— Wiesz dobrze, o kogo chodzi! O Jennifer i Todda Fraserów.

— Dlaczego mielibyście dawać karty Fraserom?

— Bo nie należą do klubu, a przed nami jeszcze cały miesiąc wakacji i chcemy chodzić tam z nimi. Przyjaźnimy się.

Melania uważnie przyglądała się córce.

— Oni nie są z naszej sfery, Carrie. Źle czuliby się w klubie.

— Och, mamo!

— Nie wykrzykuj do mnie „Och, mamo!” To są skomplikowane sprawy i dzieci ich nie rozumieją. Ale przyjdzie dzień, kiedy to pojmiecie.

— Na razie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz — upierała się Carrie.

— Właśnie o tym mówiłam. Jeszcze nie pojmujesz tych spraw. — No to czy mogę dostać jeszcze dwie karty?

— Carrie, co ja przed chwilą powiedziałam?

— Nie wiem, bo nic z tego nie zrozumiałam.

— O mój Boże. — Melania podeszła do stolika, na którym na tacy stał dzbanek i wysokie szklanki.

— Czy ja też mogłabym dostać trochę? — spytała Carrie.

— To dżin z tonikiem; tego też jeszcze nie możesz pić. Carrie, w klubie nie lubią obcych.

— Mnóstwo ludzi przyprowadza tam swoich znajomych spoza miasta.

— Wasi przyjaciele nie są spoza miasta.

— Mieszkają w San Francisco, a klub jest w Mili Valley. Melania wypłała pół szklanki i naląła sobie nowego drinka.

— Dlaczego mnie o to prosisz? Wasz ojciec też jest członkiem klubu i może ich tam wprowadzić.

— Zrezygnował z członkostwa, kiedy ty zmusiłaś go do rezygnacji z mieszkania z nami.

— To wcale nie jest zabawne — ucięła Melania. — Przypuszczam, że to jego pomysł, żebyście zabrali tam te dzieciaki.

— To mój pomysł! Mój i Jona! To nie nasza wina, że nie lubisz Katherine.

— Katherine? Carrie tupnęła.

— Powiedziała, że możemy tak się do niej zwracać. Jesteśmy przyjaciółmi! I nie rozumiem, co cię obchodzi, że tata ją lubi; w końcu ty lubisz Guy Walkera, prawda? Ciągle z nim sypiasz, więc musisz go lubić...

— Carrie!

— A co, nie sypiasz z nim? Wtedy gdy zamykasz drzwi? Ale nie

ma sprawy; wszyscy rodzice to robią; nic nas to nie obchodzi, lecz czemu się na nas wściekasz, tylko dlatego że jesteś zła na tatę czy kogokolwiek innego? Nie możesz zostawić nas w spokoju? Ty chcesz, żebyśmy my dali ci spokój i nie wtrącali się w twoje sprawy; przeważnie robimy, co nam każesz, i nie czepiamy się ciebie, jak masz jakieś kłopoty — w końcu wszystkie dzieci mają rozwiedzionych rodziców; mogłabyś więc pozwolić nam bawić się, jak chcemy, z naszymi przyjaciółmi, to przecież nie ma nic wspólnego z twoimi sprawami; dlatego chcę dostać jeszcze dwie karty do klubu!

Ręka ze szklanką zawisała w powietrzu, a sama Melania gapiła się na córkę. Dlaczego zrobiła się taka porywcza, zastanawiała się. I skąd ona aż tyle wie? Kiedyś była taką miłą pieszczoszką, co to zarzucając mi ramionka na szyję mówiła, że jestem jej śliczną mamusią. Co się z nią stało?

— No więc jak? — domagała się odpowiedzi Carrie.

— Czy ich matka wie, jak daleko jest do klubu?

— Oni nie mają samochodu, ale mikrobus klubu zabiera ludzi z przystanku na Union Square. Wiesz przecież o tym. Mamo, proszę.

— Po raz pierwszy dzisiaj usłyszałam od ciebie to słowo. — Melania wzruszyła ramionami. — Zadzwoń do kierownika; sądzę, że nie będą mieli nic przeciwko przyjęciu dwójki dzieciaków. Ale pilnujcie, żeby wasi przyjaciele zachowywali się jak należy. Pewnie nie wiedzą, jak to jest w prywatnych klubach.

Carrie pospiesznie podziękowała.

— Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony. Zaraz przyniosę ci telefon.

— A jak to się stało, że nie spędzacie tego weekendu z ojcem? — spytała Melania, gdy dziewczynka wróciła z aparatem.

— Bo wypłynął w morze z Katherine. Wybieramy się do niego w przyszły weekend. No, mamo, zadzwoń. Chciałabym zaraz powiedzieć Jennifer, że jutro idziemy popływać.

— Dobrze — zgodziła się Melania.

Ale kiedy znów wyciągnęła się na leżance, zaczęła się zastanawiać, co zresztą często jej się ostatnio zdarzało, dlaczego wszystko wydaje się takie trudne, chociaż była pewna, że teraz będzie już zawsze szczęśliwa.

W szkicowniku pełno było rysunków z Riwiery, w teczce spoczywało dwanaście projektów gotowych do wykonania, a w wyłożonym filcem pudełku leżało dwanaście klejnotów, które zwrócił Mettler. Obok pudełka znajdował się notatnik z listą sklepów jubilerskich.

Katherine odwiedziła dwa z nich. Właściciele obydwu powiedzieli, że owszem, słyszeli o jej ciekawej biżuterii, ale na razie nie zamierzają zatrudniać nowych projektantów.

— Recesja — mówili. — Sama pani rozumie...

Katherine rozumiała. Siedziała teraz na stołku przy swoim warsztacie i bezmyślnie bawiła się klejnotami, które zrobiła dla Mettlera. Połyskiwały przyćmionym blaskiem w szarym świetle wstającego zamglonego poranka — bardzo drogie, niezwykle oryginalne, przykuwające uwagę doskonałą harmonią kształtu, materiału i koloru. Ale Katherine nie mogła ich sprzedać.

Tak więc, jakby wbrew Victorii — która uważała, że w grę wchodzi tylko najlepsze sklepy, będzie musiała zejść poniżej tego poziomu i udać się do mniejszych, nie tak bardzo eleganckich. Ale nie z tą biżuterią. Potrzebowała teraz czegoś, co Mettler nazwałby ładnymi zwyczajnymi klejnotami.

Przez dwa tygodnie pracowała od rana do północy. Kilka razy zjadła z Rossem późną kolację, a z Victorią i Tobiaszem spotkała się tylko raz. Leslie wyjechała z miasta na otwarcie nowego sklepu „Heatha”, a — jakimś cudem — Jennifer i Todd wciąż byli zajęci. Przyjaźń z dziećmi Rossa trwała także po powrocie z Francji, a Carrie i Jon zdołali jakoś zdobyć dla nich karty wstępu do prywatnego klubu. Codziennie o ósmej rano klubowy mikrobus zabierał ich z Union Square i odstawiał po południu w to samo miejsce. Resztę drogi odbywali autobusem i przyjeżdżali do domu szczęśliwi i zmęczeni prześcigając się w opowiadaniu wrażeń. Dzięki temu Katherine miała dużo wolnego czasu i wykorzystując szkice z Riwiery, przez dwa tygodnie ciężko pracowała, by przygotować nową kolekcję. Rezultatem było dziesięć klejnotów gotowych do sprzedania.

Jeżdżąc po San Francisco od jednego sklepu do drugiego, z biżuterią w małej wiszącej na ramieniu torebce, Katherine trzymała się z daleka od połyskujących okien wystawowych u „Mettlera”, w „Laykin Et Cie”, „Saks Fifth Avenue”, „Xaviera”, omijała

również inne ekskluzywne salony, o których kiedyś marzyła. Rozglądała się jedynie za małymi sklepami, które specjalizowały się w biżuterii produkowanej masowo, ale oferowały też klientom niewielką kolekcję oryginalnych klejnotów. W ciągu następnego tygodnia Katherine odwiedziła dziewięć takich sklepów.

Właściciele trzech z nich kupili jej biżuterię i złożyli zamówienia na następne sztuki.

Niezbyt wielki to sukces, pomyślała pod koniec tygodnia, wysiadając z autobusu. W pewnym sensie cofnęła się — nie znajdowała się teraz dalej na drodze kariery niż osiem miesięcy temu, kiedy to Mettler po raz pierwszy kupił jej klejnoty. Sprzedała przecież swą biżuterię w nie tak ekskluzywnych sklepach jak jego salon.

Ale z kolei trochę ponad rok temu była w Vancouver i wtedy dała za wygraną. Pamiętała jeszcze to uczucie klęski, które ją ogarnęło, gdy otrzymała ostatnią odpowiedź odmowną i zwrot szkieł. Była wówczas przekonana, że niczego nie potrafi, że ma tylko przyjemne hobby, ale żadna z niej profesjonalistka.

Wszystko to miała już za sobą. Nauczyła się zawodu i wykonując go zaczęła zarabiać na życie. Wprawdzie nie sięgnęła szczytu, ale trzy dobre sklepy i trzy pisemne kontrakty to też coś. Może nie udało jej się jeszcze uciec od Craiga, ale jednak trochę się od niego odsunęła. Poradzę sobie sama, pomyślała idąc różnym krokiem do domu. Trzech jubilerów we mnie wierzy; a oprócz nich Ross, Tobiasz i Victoria. I ja sama w siebie uwierzyłam.

Rozdział siedemnasty

Ross zadzwonił, gdy jedli śniadanie.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin — powiedział. — Chciałem się upewnić, że na pewno jesteśmy dzisiaj umówieni na kolację.

— Oczywiście — odparła Katherine. — Jak mogłabym zapomnieć?

— Sam nie wiem, ale pomyślałem, że skoro ostatnio byłaś taka zapracowana, nie jest to wykluczone. Planowałem, jeśli naturalnie się zgodzisz, że zabierzemy na kolację Jennifer i Todda, by mogli z nami świętować urodziny swojej mamy. Potem podrzucimy ich do domu, a sami pojedziemy do mnie na deser.

— Deser — powtórzyła Katherine i zaczęła się śmiać.

— Często jest to najlepsza część całej kolacji, ale należy delektować się nią bardzo powoli. Sprawiasz wrażenie szczęśliwej. Czy może sprzedałaś coś wczoraj w jakimś nowym sklepie? Przepraszam, że nie zadzwoniłem, ale zebranie bardzo się przedłużyło.

— Miałam udany dzień. Opowiem ci wieczorem.

— O szóstej trzydzieści?

— Będziemy gotowi,

— My? — powtórzyła Jennifer. Katherine powiedziała im o kolacji.

— Ale co z całym dzisiejszym dniem? — spytał Todd. — Czy nie będziemy świętować tylko we trójkę?

— Oczywiście, że będziemy — uspokoiła syna Katherine porzucając w myślach zamiar pracy. — Co chcielibyście robić?

Dzień upłynął im na jeździe wypożyczonymi rowerami po parku Golden Gate, urządzili też sobie piknik na wysepce na jeziorze Stow.

— Fajnie jest tak we trójkę — stwierdziła Jennifer, gdy wracali do domu. — Przeważnie pracujesz albo wychodzisz gdzieś z Rossem, a my spotykamy się z Carrie i Jonem. Od dawna już nie byliśmy tak naprawdę rodziną.

Naprawdę rodziną, pomyślała Katherine. We trójkę. Jennifer powiedziała to tak naturalnie.

— Masz rację — odparła cicho. — Jest nam bardzo dobrze razem; mam wspaniałe urodziny.

Gdy otwierała drzwi, wybiegła myślami ku temu, co jeszcze czeka ją tego dnia — ku kolacji z Rossem i wspólnemu wieczorowi.

— Co tak pachnie? — spytała Jennifer pociągając nosem.

— Perfumy? — zgadywała Katherine. — Nie, to kwiaty. — Ich zapach wypełniał całe mieszkanie.

Annie wyjrzała zza drzwi.

— Przyniesiono je, kiedy was nie było. Włożyłam je do...

— Spójrzcie! — krzyknął Todd wychodząc z kuchni niepewnym krokiem, niemal zupełnie zasłonięty wazonem pełnym białych róż. Palcami przytrzymał małą białą kopertę.

— O rety — westchnęła oszołomiona Jennifer. Zaczęła liczyć kwiaty. — Trzydzieści sześć. Dokładnie tyle, ile masz lat, mamo. Czy to od Rossa? A może... — Zauważyła wyraz twarzy Katherine. — Och...

Katherine patrzyła na znajomy charakter pisma: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie. Z wyrazami miłości”. Podpisał tak samo jak zawsze — inicjałem.

— To od tatusia, prawda? — spytała cicho Jennifer. Katherine skinęła głową.

— Co pisze? — dopytywał się Todd. — Czy jest coś do nas?

— Nie ma nic, głuptasie — odparła Jennifer, ponieważ Katherine milczała. — W końcu to nie nasze urodziny.

— Tak, ale przecież...

Rozległ się dzwonek i Todd podbiegł do okna.

— To Ross — obwieścił otwierając drzwi.

Ross popatrzył na osłupiałą twarz Katherine, a potem na ogromny bukiet białych róż i kartkę w jej dłoni. Wezbrał w nim gniew, bo domyślił się kto jest nadawcą, ale zwracając się do Jennifer i Todda starał się mówić spokojnie.

— W samochodzie czeka na was niespodzianka. Chcecie ją teraz zobaczyć?

— Pewnie — odparła Jennifer. — I mamy tam zostać?

— Byłbym wam za to wdzięczny. A ja tymczasem porozmawiam z mamusią. Potem pójdziemy na kolację. W porządku?

— Pewnie — powtórzyła Jennifer. — Chociaż prawdę mówiąc, chciałabym zrozumieć, co się dzieje.

— Ja też — odparł Ross. — No to zmykajcie.

Todd, jakoś dziwnie milczący, ruszył za Jennifer. Ross najpierw wyniósł róże do kuchni, jakby chciał je schować, po czym usiadł obok Katherine i przytulił ją. Ukryła twarz na jego ramieniu i wybuchnęła płaczem.

— Żeby go piekło pochłonęło — wyjąkała przez łzy. — Żeby go diabli wzięli za te gierki w chowanym i za to... że nie chce się ode mnie odczepić. Niech go diabli wezmą, że nie jest wobec mnie uczciwy. Niech go diabli wezmą, że istnieje.

Ross tulił ją, dopóki się nie uspokoiła. Nareszcie jest wściekła, pomyślał. Już czas, żeby była. Zastanawiał się, podobnie jak przy każdym spotkaniu, czy powiedzieć jej o Elissie. Ale i teraz uznał, że nie jest to odpowiednia pora, by stawiać ją w obliczu kolejnej szokującej prawdy o mężu.

— Katherine — powiedział mocnym głosem. — Przyniosłem ci urodzinowy prezent i zarezerwowałem stół na kolację. Jeśli czujesz się za bardzo rozbita, możemy darować sobie deser u mnie w domu, ale reszta nie powinna stanowić dla ciebie problemu. Poza tym chciałbym posłuchać, jakie w tym tygodniu odniosłaś sukcesy w sklepach jubilerskich.

Katherine podniosła głowę i popatrzyła na niego.

— Skąd wiesz, że odniosłam sukces?

— Bo na niego zasługujesz. Przebierzesz się do kolacji? Chciałbym, żeby było uroczyście.

— Tak... przepraszam, wróciliśmy do domu tuż przed twoim przyjściem.

— Przyjechałem trochę wcześniej. No idź już i przebierz się. Ja poczekam. — Wziął do ręki książkę. — Czytasz ją? Zamierzałem to kupić. Przejrzę ją teraz; nie musisz się spieszyć. Stolik mamy rezerwowany na siódmą trzydzieści w „Rybackim Nabrzeżu”.

— Och, Jennifer i Todd będą pod wrażeniem. — Przy drzwiach do łazienki odwróciła się do niego. — A co mi kupiłeś na urodziny?

Ross roześmiał się. Szybko dochodzi do siebie, pomyślał.

— Chcesz upominek teraz czy później?

— Teraz poproszę.

Podał jej papierową torbę, którą wchodząc zostawił przy drzwiach. Katherine wyciągnęła z niej opakowane w srebrny papier pudełko; to chyba pudełko na buty, pomyślała, odwijając elegancką paczuszkę. Rzuciła Rossowi zaciekawione spojrzenie, zdjęła pokrywkę i wyjęła najpierw jeden but, a zaraz potem drugi. Były ręcznie szyte, ze skóry, z białymi skórzanymi podeszwami; przeciągnięte przez wzmocnione mosiądzem dziurki rzemyki zawiązane były na kokardki. W jednym z butów znajdowała się karteczka: „Dziewczyno o nieugiętym sercu, która pewnie kroczy przez życie — kocham cię”.

— Buty żeglarskie! — wykrzyknęła Katherine i roześmiała się rozradowana. — Do chodzenia na łodzi!

— Są bezpieczniejsze niż tenisówki, które wtedy miałaś — powiedział. — Nie jesteś rozczarowana? Myślałem o perfumach, jedwabiach i innych luksusowych drobiazgach, ale będziesz spędzać ze mną mnóstwo czasu na łodzi i jeśli masz poruszać się po niej bez obawy, że się poślizgniesz...

— Och, Ross, tak cię kocham — powiedziała i trzymając po jednym bucie w każdej dłoni zarzuciła mu ręce na szyję. — Nikt nigdy nie podarował mi na urodziny butów żeglarskich; w ogóle nikt dotąd nie dał mi butów. Dziękuję ci, dziękuję...

Pocałowała go, a Ross pomyślał, że jej słowa brzmią tak naturalnie w tym małym mieszkanku, które urządziła dla siebie i dzieci. Przechyliła głowę na bok.

— Włożę je na dzisiejszy wieczór do mojej paryskiej sukni z żółtego jedwabiu, co ty na to? I wprowadzę tym sposobem nową modę?

— Dlaczego nie? Pasowałyby jak ulał na kolację w „Rybackim Nabrzeżu”.

— Nie kuś mnie — powiedziała śmiejąc się i zniknęła w łazience. Gdy po szybkim prysznicu wycierała się ręcznikiem, przebiegła

w myślach cały miniony tydzień i uznała, że ma wszystko: pracę, Rossa, dzieci, miłość Tobiasza i Victorii, przyjaźń Leslie. Uchyliła lekko drzwi, żeby wywietrzyć zaparowane wnętrza, i wtedy uderzył ją intensywny zapach białych róż.

Nie, pomyślała. Niezupełnie. Mam wszystko oprócz wolności.

— Wszedł za kaucją — rzekła Leslie w odpowiedzi na pytanie Katherine o Listera, dokładając sobie jednocześnie makaronu. — Pracuje w hurtowni w Oakland.

— W hurtowni? — zdziwiła się Katherine.

— Chyba instruuje roboty, co mają ściągać z półek. A może roboty instruują jego. Kiedy przyjdzie czas na proces, wszyscy zostaniemy powołani na świadków, ale na razie nie obchodzi mnie za bardzo, co się z nim dzieje.

— Czy on pójdzie do więzienia? — zaniepokoił się Todd.

— Mam taką nadzieję — odparła Leslie wesoło. — To on wyrzucił waszą mamę z pracy, wiecie przecież. Życzymy mu wszystkiego najgorszego.

Katherine podsunęła półmisek Bruce'owi.

— A co z tobą? — spytała.

— Zostałem szefem działu informatycznego — odrzekł szybko. — Dokładnie dzisiaj, pierwszego września, pamiętna data. Moja siostrzyczka ma w firmie jeszcze większe wpływy niż kiedyś, więc mój zasłużony awans przeszedł bez oporów — tak jak to przewidywałem, oczywiście, no i mam fantastyczną pracę; muszę przyznać, że zewsząd napływają zamówienia na moje wyjątkowe usługi.

— Ale nie wyjeżdżasz, prawda? — dopytywał się Todd.

— Aha, widzę, że boisz się stracić swego prywatnego instruktora.

— Nie o to chodzi — odparł Todd. — Albo tylko częściowo. Ale przede wszystkim brakowałoby mi ciebie.

Bruce nie krył zdumienia.

— Cóż, ja też bym za tobą tęsknił. Ale nie, nigdzie nie wyjeżdżam, przynajmniej na razie. Siostrzyczka potrzebuje mojej opieki, dopóki nie zdecyduje się wyjść za mąż.

— Bruce — zaczęła Leslie wzdychając.

— A zresztą prawda jest taka, że nie chcę nigdzie wyjeżdżać; nie zamierzam zostawiać mojej rodziny.

— Twojej rodziny? — zdziwiła się Jennifer. — Masz jeszcze kogoś oprócz Leslie?

— Nikogo. Leslie całkowicie mi wystarcza. Rodzina to ta jedyna osoba, która cię kocha i troszczy się o ciebie, i przemienia twoje prywatne życie w bujny, kwitnący ogród. Naturalnie im więcej jest takich osób, tym weselej, ale jeśli ma się choćby jedną, to trzeba być za to wdzięcznym. Czy ktoś ma coś przeciwko, żebym skończył spaghetti?

— Owszem, ja — oznajmił Todd, więc podzielili makaron między siebie. — Nasza rodzina jest dziwniejsza niż twoja — stwierdził wciągając dyndające mu z ust nitki. — Bo jest mama, Jennifer i ja, i tata, którego nie ma, jeśli nie liczyć sylwestra i zeszłego tygodnia, kiedy przysłał mamie na urodziny chyba ze sto róż, co pachniały w całym domu, i jest jeszcze Victoria i Tobiasz, trochę śmieszni, ale fajni, Carrie i Jon, którzy są wspaniali, i Derek, którego nikt nie lubi, i Ross, w którym mama się zakochała, i pewnie rozwiedzie się z tatą, żeby za niego wyjść.

Widząc, że Katherine milczy, Leslie spytała obojętnie:

— Kiedy?

— Co? — chciał wiedzieć Todd.

— Kiedy wasza mama zamierza rozwieść się z tatą i wyjść za Rossa?

— A skąd my mamy to wiedzieć? — rzekł Todd obruszony. — Nie rozmawia się z nami na takie tematy!

— To skąd wiesz, że mama w ogóle ma taki zamiar? Nastąpiła chwila ciszy.

— Carrie i Jon mówią, że tak robią rodzice wszystkich dzieci w ich klasie.

— Większość — wtrąciła Jennifer.

— No dobrze, większość. Ale tak robią.

— A mnie się wydaje — stwierdziła poważnie Leslie — że wasza mama nie zamierza tego zrobić.

— Dlaczego? — zainteresowała się Jennifer.

Wszyscy, łącznie z Katherine, spojrzeli na Leslie czekając, co odpowie. Do diabła, pomyślała Leslie. Patrzą na mnie jak na guru, a ja nawet sobie nie umiem odpowiedzieć na pytanie mnie samej dotyczące.

— Ponieważ — zaczęła z namysłem — kiedy jest się w samym środku cyklonu, żeby nie zostać zmiecionym z powierzchni ziemi, trzeba siedzieć cicho i czekać, aż burza dokoła się uspokoi.

— Cyklon — powtarzał zadumany Bruce. — Cyklon, siostrzyczko, ale sprytnie to wyjaśniłaś.

— Nie ma żadnego cyklonu — oświadczył Todd, choć niezbyt pewnym głosem, bo Bruce'owi porównanie się podobało.

— Cyklon — oznajmiła Leslie — to taka burza, w której wiatr porywa wszystko i unosi w różnych kierunkach. Wasz tata jest w Kanadzie albo na Alasce, albo jeszcze gdzie indziej; wy jesteście w San Francisco w Sunset; wasza prababcia i Tobiasz mieszkają na Pacific Heights, a przecież do zeszłego roku nie wiedzieliście nawet, że macie prababcie...

— Ale — zaczął Todd.

— Nie przerywaj; nie skończyłam. Jeździecie do klubu w Mili Valley po drugiej stronie zatoki; niedawno wróciliście z Francji, zza oceanu; wasza mama pracowała w domu towarowym, potem miała kontrakt z draniem o nazwisku Mettler, a teraz ma umowy z trzema innymi sklepami; Carrie i Jon mieszkają ze swoją matką w Tiburon, ale większość weekendów spędzają z ojcem w jego domu w Berkeley; Ross i wasza mama zostali bardzo dobrymi przyjaciółmi jeszcze we Francji, może nawet się w sobie zakochali, ale wasza mama wciąż jest żoną waszego taty... Boże święty, czy waszym zdaniem przez wasze życie nie przetoczył się cyklon? Mądry człowiek nie przepowiada przyszłości. Wszystko może się zmienić jutro albo w przyszłym tygodniu, albo dopiero za rok. Najlepsze, co można zrobić, to być przygotowanym na każdą ewentualność, nie martwić się i pamiętać, żeby się schować, jak tylko na horyzoncie pokaże się jakiś nie zidentyfikowany obiekt latający.

Początkowo Katherine uśmiechała się słuchając Leslie, ale w miarę jak przyjaciółka ciągnęła swój wywód, popadała w zamyślenie. Wszystko może się zmienić, powtórzyła sobie w myśli. Pamiętaj, żeby się schować. Bez względu na to, co się zdarzy, ktoś zostanie zraniony.

Jennifer i Todd chichotali.

— Siostrzyczko — odezwał się Bruce. — Jesteś genialna. Dumny jestem, że jesteś moją siostrą.

— A ja jestem dumna, że mam ciebie — powiedziała zerkając na niego porozumiewawczo.

— Zaraz, zaraz — Bruce jakby sobie coś przypomniał. Odwrócił się do Jennifer i Todda. — Chcecie porozmawiać o mamach, ojcach i burzy? Mógłbym wam powiedzieć na ten temat słówko albo dwa, jednocześnie rozkładając was na łopatki w rzucie dyskiem.

— Nie wygrasz z nami — oświadczył Todd.

— Wygram i gotów jestem się o to założyć, a ten, kto przegra, stawia wszystkim lody; no tak jak: idziemy do parku czy nie?

Po chwili już ich nie było.

— Zaplanowaliście to? — spytała Katherine.

— Oczywiście. Czy on nie jest wspaniały? Powiedziałam mu, że chciałam z tobą spokojnie porozmawiać, a on zaaranżował to jak profesjonalista. Jest nim zresztą. Najlepszym, jaki trafił się sekcji informatyki „Heatha”.

— Nic lepszego niż ty nie mogło mi się dzisiaj trafić. Dziękuję ci, Leslie. Ilekroć mi się wydaje, że już daję sobie radę z nieoczekiwanymi sytuacjami, coś szokującego spada mi na głowę.

— Rzeczywiście. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Pisałam ci o tym, a w zeszłym tygodniu mówiłam przez telefon.

— Tak, ale nie o tym, co czujesz. Nie o swoich myślach. Gdyby nie to, że musiałam wyjechać z miasta, wiedziałabym o wszystkim. Kochasz go? No dobrze, widzę, że tak. Czy Todd miał rację w kwestii rozwodu i tak dalej?

— Nie.

— Nie zamierzasz rozwieść się z Craigiem?

— Nie. A ty nie powiedziałaś mi nic o was, mam na myśli ciebie i Claude'a.

— Mój brat o długim jęzorze zrobił to za mnie.

— A więc to prawda? Wychodzisz za niego?

— Mam wrażenie, że wróciły studenckie czasy. Znow porównujemy swoje romanse. Brakuje nam tylko akademika i pudełka cukierków. Czy mam zamiar wyjść za Claude'a? Czasami tak. Ale zmieniam zamiary parę razy w tygodniu. Domyślałam się, że Todd przesadził z tą liczbą róż, jakie dotarły z Kanady?

— Zmieniasz temat.

— Ty zrobiłaś to samo. Zresztą, obie rozmawiamy o mężach, prawda? Jeden dopiero kandyduje, drugi już wagaruje.

Katherine roześmiała się.

— Mówisz jak Tobiasz.

— Gdzie mi do niego; nie czytam poezji. Katherine, kochasz Craiga?

— Craiga?

— To twój mąż, pamiętasz?

— Chyba nie. To znaczy, oczywiście pamiętam, ale chyba już go nie kocham. Nie jestem już tą samą osobą, którą byłam kiedyś, i on pewnie też nie. Bez względu na to, jak się teraz nazywa: Craig Fraser, Craig Hayward. W ciągu minionego roku dowiedziałam się o nim więcej niż przez te wszystkie lata, kiedy byłam jego żoną.

— Byłaś jego żoną?

— Kiedy byliśmy razem; wciąż jestem jego żoną.

— Ale nie ma go już od prawie piętnastu miesięcy. Katherine, na co ty, u diabła, czekasz? Dopiero co obchodziłaś, czy raczej opłakiwałaś, swoje trzydzieste szóste urodziny. Kiedy ma się na karku już tyle, nie można marnować czasu, trzeba się szybko decydować. Nie zauważyłaś, jak czas przecieka ci przez palce? Ledwie rok zdąży się zacząć, a już się kończy.

— A ty? Kiedy wychodzisz za mąż?

— Mówiłam ci, zmieniam zdanie...

— A co z dzieckiem? Przecież chciałaś je mieć.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji. Obie wybuchnęły śmiechem.

— No dobrze — zgodziła się w końcu Leslie. — Chyba nie jestem najodpowiedniejszą osobą do udzielania rad na temat szybkich decyzji. Ale na co ty czekasz?

Katherine przestała się śmiać.

— Aż burza przycichnie — odparła.

— Przycichnie? Aha. Moja bajeczka o cyklonie. Ale ja chciałam tylko odwrócić uwagę dzieciaków; nie mówiłam tego poważnie.

— Ja potraktowałam to poważnie; naprawdę czuję się, jakby huraganowy wichur miotał nami na wszystkie strony. Wciąż nami rzuca; kiedy przysłało te róże, tak właśnie się czułam. Przypomnij sobie, mówiłaś, że trzeba być przygotowanym na wszystko i pamiętać, żeby się w porę schować. To była dobra rada. Cyklon to nie najlepsza pora na podejmowanie decyzji.

— A więc nie zamierzasz nic zrobić?

— Zamierzam pracować, spędzać czas z Jennifer i Toddem, czekać na Craiga...

— Bez Rossa?

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Nie potrafię przestać się z nim widywać. Kocham go... już od tak dawna nie czułam czegoś podobnego... to tak jakbym miała jakąś cudowną tajemnicę, która cały czas jest w moich myślach, w każdej chwili... Miłość do Rossa wszystko komplikuje, ale jednocześnie czyni życie cudownym... Nie potrafię go odepchnąć.

— Brzmi to jak postanowienie, droga pani.

— Połowiczne. Ross uważa, że powinnam rozwieść się z Craigiem.

— Rozsądny z niego człowiek. Katherine, czym się martwisz? Że ktoś będzie cierpiał? Zawsze ktoś cierpi. Nawet kiedy najmniej się tego spodziewasz. Pozwól, że ci opowiem co było z Markiem, kiedy wyciągnął ze mnie, że spotykam się z Claude'em...

Skulona w roku kanapy Leslie opowiedziała przyjaciółce całą historię.

— Powiedz mi — poprosiła na koniec. — Czy jestem coś winna Marcowi za te wszystkie lata, kiedy wydawał na mnie pieniądze, oprowadzał po najrozmaitszych lokalach w mieście, obwoził po Europie i był cały czas wspaniałym kochankiem?

— Na pewno nie małżeństwo — odpowiedziała sucho Katherine. — Nie utrzymywał cię, nie miałaś z nim dwójki dzieci ani wspólnego domu i nigdy nie zobowiązywałaś się, że spędzisz z nim resztę swego życia.

— To prawda. Wiec ty winna jesteś Craigowi lojalność po grób, a ja Marcowi zupełnie nic?

— Nie wiem, co kto komu jest winien — powiedziała Katherine przygnębiona. — Ważne jest to, co czujemy.

— A nie czujesz, że chcesz być wolna?

Katherine popatrzyła na nią w milczeniu. W końcu spytała:

— Dlaczego nie możesz się zdecydować, czy poślubić Claude'a?

— Bo nie jestem pewna, czy mogę zaufać własnym uczuciom, a to oznacza, że nie wiem, co jest dla nas najlepsze... och, no dobrze. — Uśmiechnęła się do Katherine. — Rozumiem, o co ci chodzi. W porządku, nie powinnam była przypierać cię do muru. Ale, Katherine...

— Tak?

— Myśl najpierw o sobie. Wiem, że musisz mieć na uwadze dzieci i tych wszystkich ludzi, którzy liczą się w twoim życiu, ale i wobec samej siebie masz obowiązki. I jesteś jedyną osobą, której z pełnym zaufaniem możesz powierzyć to zadanie.

Po chwili namysłu Katherine powiedziała:

— W dobrym małżeństwie czy prawdziwej przyjaźni ludzie troszczą się o siebie nawzajem.

— Nie ma zbyt wielu dobrych małżeństw czy prawdziwych przyjaźni. Jeśli kobiety same stawiają siebie na ostatnim miejscu, a tak zwykle jest, to mężczyźni i dzieci także stawiają je na ostatnim miejscu.

Z iskierką w oku Katherine spytała:

— Czy nie zwalniając Bruce¹ a myślałaś przede wszystkim o sobie?

— Cóż, czasami... Och, niech to diabli — przyznała Leslie niechętnie. — Miłość wszystko komplikuje. Zaczynasz pragnąć kogoś chronić czy pomagać, czy choćby robić coś dla...

— A czy Claude nie chce ci pomagać, wyręczać cię?

— Chce. Ale ja nie jestem do tego przyzwyczajona. Jakoś do końca przekonana... W końcu ty myślałaś, że Craig chce cię ochraniać i wyręczać... cholera, przepraszam, Katherine.

— Nic się nie stało. To prawda. Ale opiekował się mną bardzo długo, a ja wciąż nie wiem, co sprawiło, że przestał to robić. A nawet jeśli pomyliłam się co do niego, czy znaczy to, że nie powinnam zaufać nikomu innemu?

— Nie, oczywiście że nie.

— Więc dlaczego nie spróbujesz zaufać Claude'owi?

— Teraz, kiedy tak to ujęłaś... cholera, sama nie wiem. Ale dość już dywagacji na temat Claude'a. Chcę porozmawiać o tobie.

— Nie, o mnie też już wystarczy. Opowiedz o swojej pracy.

— Dobrze, jeśli ty opowiesz mi o Francji. Listy były cudowne, ale chcę usłyszeć coś więcej. Wszystkie szczegóły. O co chodzi? — spytała, gdy Katherine zaczęła się śmiać.

— Mówisz jak Victoria.

— Cóż, nie wiem, co masz na myśli, ale opowiedz to, co twoim zdaniem powinnam usłyszeć. Bruce obiecał, że zabawa i lody zabiorą im co najmniej dwie godziny. O Boże, dziewczyno, strasznie za tobą tęskniłam; odkąd wyjechałaś, nie miałam z kim pogadać.

Ross tyle już razy opowiadał o projekcie BayBridge, że Katherine uznała, iż ma o nim jasne pojęcie. Lecz kiedy w sobotę rano zjawiała się z Rossem na miejscu i przemierzyła wzdłuż i wszerz przeznaczony pod BayBridge obszar, na którym stało dwadzieścia pięć budynków — wprawdzie tylko gołe mury, ale jednak tam były — i zobaczyła dźwigi, które niczym wielkie żółte owady stały pomiędzy wykopami oraz świeżo wylanymi fundamentami, dech zaparło jej w piersi.

— To przeszło wszelkie moje wyobrażenia. Pamiętam, jak mówiłam, że brzmi to wszystko tak, jakbyś zamierzał budować małe miasta, ale... nigdy nie sądziłam, że któregoś dnia zobaczę, jak jedno z nich powstaje i to niemalże całe od razu.

— Nie jest zupełnie tak, jak być powinno — stwierdził Ross. — Chciałem, żeby park był większy, a deptaki między domami szersze, ale oznaczałoby to, że zostanie mniej działek do sprzedaży, i planiści nie zgodzili się. Następnym razem, gdy będę miał więcej do powiedzenia, w takim osiedlu będzie więcej przestrzeni i światła, parków i fontann, budynki będą niższe... — Urwał, jakby przyłapał się na gorącym uczynku. — Dlaczego nie zakneblujesz mi ust albo jeszcze lepiej nie pocałujesz, jak tylko zaczynam wygłaszać wykład?

— Bo lubię słuchać.

— Tato! — krzyknął Jon. — Co to takiego? Ross rozejrzył się, ale nic nie dostrzegł.

— Gdzie jesteś?

— Tutaj! — Cztery roześmiane twarzyczki wychyliły się zza czegoś, co wyglądało jak miniaturowa platforma wiertniczaosadzona na żółtej ciężarówce. Z boków to coś miało przyłączone wiertła, przypominające ogromne korkociągi, i długie giętke rury.

— Zejdźcie stamtąd — polecił Ross. — To nie plac zabaw. Dzieci posłuchały.

— Ale co to jest?

— Maszyna do wierceń. Korzystają z niej inżynierowie zajmujący się fundamentami: wiercą dziury, żeby wlewać w nie beton wokół kolumn nośnych.

— W tym budynku? — spytał Todd. Patrząc w zamyśleniu na Macklin Building Ross przytaknął skinieniem głowy. — Ale po co? — dopytywał się Todd. — Czy pod tym blokiem nie ma jeszcze betonu?

— Myślę, że przyda mu się więcej — odparł Ross. — Na razie nie mogę ręczyć za jego bezpieczeństwo w przypadku jakiegoś wstrząsu.

— Wstrząsu? — powtórzyła Carrie. — Chodzi o trzęsienie ziemi?

— Kiedy wstrząs jest bardzo silny, nazywa się trzęsieniem ziemi. Todd przesunął palcem, po jednym z wiertel.

— Czy to wbija się w ziemię jak korkociąg?

— Dokładnie tak. A potem w dziurę wsuwa się jedną z tych rur.

— Jak węża — stwierdził Jon.

— Właśnie. Przez rurę pompuje się beton pod ogromnym ciśnieniem. To trochę jak zastrzyk wtryskujący beton wokół podpór pod kolumnami, które podtrzymują budynek, żeby były mocniejsze.

Jennifer i Carrie podeszły bliżej.

— I wytrzymują nawet trzęsienie ziemi? — spytała Carrie.

— Większość trzęsień.

— To dlaczego od razu tak nie zrobiono? Ross zawahał się przez chwilę.

— Nie wiadomo. Ale teraz trzeba to zrobić, zanim znów urządzi się tu biura; w przeciwnym wypadku będzie to wisieć nad naszymi głowami niczym katowski miecz.

Todd odezwał się pełnym dramatyzmu głosem:

— Chirurdzy są już gotowi do zaszczepienia Macklin Building. Czy operacja się uda? Czy może jednak budynek zawali się, odcinając nam głowy jak katowski miecz?

— Czy coś takiego drogo kosztuje? — zaciekała się Carrie.

— Tak — odparł Ross.

— Ile?

— Blisko ćwierć miliona dolarów. Todd zagwizdał.

Katherine cały czas przyglądała się Rossowi.

— Kto za to płaci? — spytała.

— Ja — odrzekł Ross. — To mój budynek.

— Ale przecież nie ty... — Przerwała, bo Ross ostrzegawczo potrząsała głową. — Czy nie byłoby taniej zburzyć go? — spytała.

— Nie, Prawie zawsze taniej jest remontować. Pokażę wam, co tu robimy.

Wprowadził ich do budynku.

— To nowe drzwi frontowe — powiedział, po czym opisał im arkadę, która miała zostać przeprowadzona poprzez budynek od ulicy Mission Street do centrum handlowego po drugiej stronie. — Pośrodku będzie atrium biegnące przez wszystkie dziesięć pięter aż po szklaną kopułę na dachu. Robotnicy doszli do drugiego piętra, zanim przerwaliśmy prace. Podejmiemy je na nowo, jak tylko wpompuje się beton.

Todd i Jon podeszli do płataniny belek wspierających sufit i zadzierając głowy do góry popatrzyli na wyszczerbioną dziurę.

— Jeśli zrobi się dziurę w środku piętra, to co powoduje, że reszta się nie wali?

— To. — Ross wskazał palcem belki podporowe.

— Są na każdym piętrze? Ross przytaknął.

— I tak już zostaną?

— Tylko do czasu ukończenia atrium — odparł uśmiechając się. — Popatrz, zaraz ci to wyjaśnię.

Ross przykucnął i na piasku pokrywającym podłogę nakreślił palcem pobeżny szkic budynku. Czwórka dzieci pochyliła się nad nim, a on przedstawił im problemy, które wraz ze swymi ludźmi napotkał w trakcie pracy, ale starał się prezentować je w formie zagadek, zachęcając dzieci do samodzielnego znalezienia rozwiązań. Katherine zauważyła, że najwyraźniej odpowiadało mu to audytorium, a powaga, z jaką rozważał propozycje dzieci i sugerował własne pomysły, przyciągała ich uwagę niczym magnes. Katherine

przenosiła wzrok z jednej twarzyczki na drugą — wszystkie były bardzo skupione. Chciałabym, żeby Jennifer i Todd mieli ojca, pomyślała.

— Tak więc szkielet atrium podtrzymuje również wszystkie dziesięć pięt — podsumował Ross. — Przyjdzie moment, kiedy będziemy mogli już usunąć belki podporowe.

Podniósł się, rozprostował nogi i pochylając się lekko w stronę Katherine, szepnął:

— Kocham cię. — A na głos dodał: — Dzisiaj ja przygotowuję kolację. Mam też w domu parę modeli tego budynku, na wypadek gdyby któreś z was miało ochotę rozebrać go na części i złożyć według własnego pomysłu.

Gdy wyszli na zewnątrz, dzieci natychmiast pobiegly przodem do samochodu, a Katherine z wahaniem w głosie zapytała:

— Ross, czy Derek nie powinien pokryć kosztów tych prac? Przynajmniej częściowo?

— Nie powiedziałem mu nawet, że podjąłem te prace.

— Ale... dlaczego nie? Skoro uważasz, że to on ponosi odpowiedzialność za niewłaściwą konstrukcję tego budynku...

Zbliżając się do samochodu, zwolnili nieco kroku i zaczęli mówić ciszej. Oczywiście spotkały się i Ross odczuł przyływ miłości i wdzięczności.

— Cieszę się, że tu jesteś — powiedział.

Odruchowo splekli dłonie, ale zaraz zauważyli, że dzieci patrzą na nich, i szybko rozluźnili uścisk.

— Powiem ci, dlaczego nie wspomniałem o tym Derekowi — ciągnął Ross. — Gdybym mu zaproponował podział kosztów, on z uśmiechem na ustach powiedziałby, że nie wie, o czym mówię. Niczego nie mogę udowodnić, a on w jednej chwili zorientowałby się, że zatuszowałem tę sprawę, bo nie chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, iż Hayward Corporation ma na sumieniu przekupienie inspektora i postawienie budynku nie spełniającego podstawowych parametrów. — Roześmiał się. — Spuścizna po Dereku. Zrobię, co będę mógł, żeby udźwignąć te koszty, ale nie wydaje mi się, żebym miał jakiś wybór. Victoria ma osiemdziesiąt dwa lata; zrobiłbym o wiele więcej, niż tylko wydał pewną sumę pieniędzy, żeby uniknąć skandalu, który zburzyłby spokój tych lat, jakie jeszcze jej pozostały.

Katherine milczała.

Doszli do samochodu i Ross otworzył przed nią drzwi.

Czy wydaje ci się to niemądre? — spytał.

— Nie — odparła. — Jest w tym tyle miłości.

Do połowy września ułożyli sobie w miarę stały program tygodnia: trzy lub cztery wieczory spędzali zawsze wspólnie, sami albo z dziećmi. Któregoś dnia po kolacji w domu Rossa czwórka dzieci przeglądała szkicownik Katherine, dzięki jej rysunkom przeżywając na nowo spędzony we Francji miesiąc.

— Czy mogłabym dostać ten obrazek? — spytała Carrie przyglądając się barwnej akwareli przedstawiającej ogród kaktusów w Eze.

— Proszę bardzo — odparła Katherine.

— A ja ten? — poprosił Jon wyciągając wykonany węglem szkic rzymskiej maszyny do tłoczenia oleju z oliwek.

Katherine z rozpromienioną twarzą wzięła do ręki obydwie rysunki i opatrzyła dedykacją „Kochanej Carrie, Kochanemu Jonowi, Katherine”.

Powieszę go na ścianie — powiedziała Carrie wyciągając szkic przed siebie i patrząc na niego z podziwem. — Nie w domu oczywiście — dodała wzruszając ramionami. — Wiecie dlaczego. Ale...

— Może tutaj — zaproponował Jon. — W domu taty.

— W którym domu? — zapytała Katherine.

— W naszym — sprostował z uśmiechem Jon. — Chciałem powiedzieć, że w naszym domu.

Ross spojrział na Katherine z taką miłością, że aż ją to zaszokowało.

— Dziękuję — powiedział cicho. — Że stworzyłaś z nas rodzinę. Spoglądając na całą zgromadzoną przy stole szóstkę Katherine pomyślała, że nigdy dotąd nie była taka szczęśliwa.

Czasem zabierali dzieci na koncerty w Stern Grove albo na wieczorny rejs żaglówką, ale przeważnie spędzali czas we dwójkę — pływali na łodzi, chodzili do teatru, urządzali wycieczki do winnic i kochali się. Katherine pamiętała, że cały ten wielki świat, który oferował Derek, wydawał się zaczarowany, ale teraz wiedziała, że

prawdziwie czarodziejska jest miłość, która coraz bardziej wypełniała jej serce, wszechogarniająca, ogromna. A Ross nie umiał już przeżyć dnia bez tego, żeby z nią nie porozmawiać przez telefon, nie przysyłać kwiatka, liściku czy artykułu z gazety, który go rozbawił albo dostarczył wrażeń, jakimi chciał się z nią podzielić.

Od czasu do czasu dzwonił, żeby zaprosić ją na lunch, ale Katherine niechętnie robiła sobie przerwy w ciągu dnia. Kiedy Jennifer i Todd wrócili do szkoły, skupiła się na pracy, chcąc zrobić i sprzedać jak najwięcej klejnotów, bo bała się, że opowiadka Mettlera dotrze także do innych sklepów i już nikt nie będzie chciał korzystać z jej usług.

— To ci nie grozi — zapewniała ją Leslie. — Tylko kilka sklepów specjalizuje się w sprzedaży dzieł autorskich, więc nie musisz się martwić.

Mimo to każdego ranka gdy siadała do pracy i zaczynała szkicować albo formować bransoletki, klamerki, wisiorki i kolczyki, w uszach brzmiał jej głos Mettlera wytykający jej konszachty z Craigem.

— Rozwiedź się z nim — powiedziała kiedyś Victoria przy kolacji. — Wtedy będziesz mogła sprzedawać w najlepszych sklepach. Jak inaczej zamierzasz wyrobić sobie markę? Musisz się z nim rozwieść. Może ciasta, kochanie?

— Tak, poproszę. Rozwód niewiele by zmienił. Wciąż mówiono by o mnie jak o kobiecie, która była jego żoną, w czasie gdy oskarżono go o defraudację, kobiecie, która, zdaniem Mettlera, uciekła z Kanady i która wciąż co miesiąc dostaje od niego pieniądze...

— Ale rozwód mógłby ci pomóc odnaleźć siebie — powiedział Tobiasz odkrajając spory kawałek ciasta i przenosząc go na talerz. — Łatwiej byłoby ci oderwać się od przeszłości i popatrzeć w przyszłość. „Niech na serca twego pustynię lecznicze źródło wypłyne.”

Słowa te przykuły uwagę Katherine i pogrążona w milczeniu powtarzała je sobie w myśli.

— Sama nie wiem — odezwała się w końcu. — Wydaje mi się, że im czuję się szczęśliwsza, tym trudniej jest mi... go zostawić. Bo nie wierzę, że jemu jest dobrze; a jeśli musiał uciekać, bo ktoś go zrobił...

— Mógł zostać — stwierdził Tobiasz. — I walczyć. Victoria pokręciła przecząco głową.

— Nigdy nie staraliśmy się go tego nauczyć.

— Dlatego wydaje mi się—powiedziała delikatnie Katherine — że nie powinniście namawiać mnie do rozwodu.

Jednakże te namowy wciąż pobrzmiwały w jej myślach. Nie opuszczały jej też wspomnienia, które nawiedzały ją ni stąd, ni zowąd i przynosiły obrazy tego, co w Craigu i ich małżeństwie było najlepsze, ale także tych chwil pełnego zadumy milczenia, które ich dzieliły, nie pozwalając się do siebie zbliżyć. Słyszała też poirytowany głos Dereka: „Czy ty zawsze musisz czuć się winna?” I oskarżycielski ton Mettlera, gdy łączył jej osobę z postępkami Craiga. I głęboki, ciepły głos Rossa: „Katherine, najdroższa, kocham cię”.

— Nie mogę zdecydować za ciebie — powiedział, gdy leżeli w łóżku po kolacji u Victorii i Tobiasza.

Zjedli coś wspólnie na tarasie u Rossa i kochali się pod gwiazdami, a potem, w świetle księżyca w pełni, wślizgnęli się nadzy do jacuzzi pozwalając, by strumienie gorącej wody masowały im mięśnie aż do całkowitego rozluźnienia; w końcu wyskoczyli z wanny i z chłodnego tarasu pobiegli do ciepłego łóżka Rossa.

— Jak po czymś takim można w ogóle podejmować decyzje? — powiedziała Katherine ospałym głosem, oparłszy głowę na ramieniu Rossa. Nie miała ochoty zmieniać pozycji. — Wszystkie siły mnie opuściły.

— Czy wiesz — mruknął Ross — że Todd zapytał mnie dzisiaj, czy staram się, by on i Jennifer zapomnieli o ojcu?

Katherine natychmiast oprzytomniała.

— Co mu odpowiedziałeś?

— Że chcę, aby pamiętali o swym ojcu i kochali go, ale niezależnie od tego faktem jest, że jego tu nie ma i raczej nie spodziewamy się, by w ogóle wrócił; że kocham ich oboje i chciałbym się o nich troszczyć; i że bardzo kocham ciebie i pragnę się z tobą ożenić.

Katherine leżała nieruchomo.

— Todd nic mi o tym nie powiedział.

— Bo go o to prosiłem. Mężczyzna powinien oświadczać się sam.

Katherine zachichotała.

— Czy to właśnie były oświadczyzny?

— Nie. — Odsunął się nieco, by móc na nią spojrzeć. — Na pewno się zorientujesz, kiedy będę się oświadczał. Na razie czekam, aż zdecydujesz coś w sprawie Craiga. Przy nim albo bez niego.

— Przy nim — odparła. — Nie mogę tego zrobić za jego plecami. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie rozumiesz, że chciałabym postąpić uczciwie, że chcę, byśmy rozstali się jak partnerzy? Tak zaczęliśmy i chcę, żebyśmy w ten sam sposób skończyli.

Ross pomyślał o Elissie, o lojalności Katherine i o własnym poczuciu odpowiedzialności. Powinienem jej powiedzieć, przyszło mu na myśl; powinna o tym wiedzieć. Ale kłamstwa Craiga i stwarzane przez niego pozory już wystarczająco ją zraniły. Poznanie prawdy o Elissie niczego by nie zmieniło; już i tak miała wystarczająco dużo powodów, by rozwieść się z Craigiem.

— On nie traktował cię jak partnerki — powiedział w końcu.

— Może właśnie dlatego ja chcę go tak potraktować. — Odwróciła się do niego i zaczęła go leciutko całować. — Kocham cię. Może nawet kiedyś sama ci się oświadczę. Ale nie teraz. Jeszcze nie. — Po chwili westchnęła. — Teraz muszę wracać do domu.

— Jest wcześniej.

— A która godzina?

— Tuż po północy.

— Ile po północy?

Roześmiał się i niechętnie odpowiedział:

— Półtorej godziny. No dobrze. Ubieraj się, szczęście ty moje; odwiozę cię.

Trochę później w samochodzie Ross powiedział:

— Zauważyłaś, mam nadzieję, że nie powiedziałem, iż odwiozę cię do domu. Dom jest tylko tam, gdzie jesteśmy razem. Ty też tak uważasz?

— Tak — odparła po prostu.

W ciszy, szczęśliwi, że są razem, przejechali przez most i pomknęli w głąb miasta; przed drzwiami mieszkania Katherine również w ciszy pożegnali się pocałunkiem na dobranoc.

Ale to nie wystarczy, myślał Ross wracając do siebie. Radość nie wystarczy. Nawet miłość nie jest wystarczająca. Musimy coś

razem tworzyć, a nie możemy tego robić, kiedy umawiamy się tylko na randki, jak nastolatki, i odsuwamy od siebie jak oparzeni, gdy dzieci zobaczą nas przytulonych, kochamy się też niemal ukradkiem rozstając o wpół do drugiej nad ranem, by dzieci nie zorientowały się, że spaliśmy ze sobą.

Kiedy w domu rozbierał się już drugi raz tej nocy, patrząc na puste łóżko i pragnąc, by leżała w nim Katherine z oczyma błyszczącymi namiętnością, pomyślał, jak bardzo śmieszni są obydwój. Przecież dzieci doskonale wiedzą, co jest między nimi. Któregoś dnia, a im wcześniej tym lepiej, powinni wszyscy razem usiąść i uczciwie porozmawiać... Zadzwonił telefon i Ross rzucił się do aparatu. Pewnie Katherine ma jakieś kłopoty...

— Słucham — powiedział głośno. — Co się stało?

— Ross? — odezwał się znajomy głos. — Czy mogę z tobą porozmawiać? Mówi Craig.

CZĘŚĆ 4

Rozdział osiemnasty

Wszystkie te lata odeszły w niepamięć. Głos Craiga nie zmienił się i przez chwilę Ross miał wrażenie, że znów obaj są chłopcami i Craig dzwoni do niego, by ustalić plan dnia, pytając: „Ross, czy mogę z tobą porozmawiać?”

— Pewnie — odpowiedział jak gdyby nigdy nic, jakby naprawdę cofnęli się w przeszłość, lecz nerwy miał napięte jak postronki i starał się jasno myśleć, chociaż czuł się oszołomiony słysząc głos, który od dawna istniał już tylko w jego wyobraźni. — Oczywiście, że możemy porozmawiać. Chcesz przyjechać do mnie czy spotkamy się na mieście?

— Nie, chciałem pomówić teraz. Przez telefon.

— Craig, po szesnastu latach chyba stać nas na to, by spotkać się twarzą w twarz.

— Nie jestem w San Francisco.

— A gdzie?

— Nieważne. Ross, potrzebuję pomocy i nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym zadzwonić. Jeśli nie zechcesz teraz ze mną pomówić...

— Ależ możemy porozmawiać; o wszystkim. Dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Craig roześmiał się. — Nieźle, co? Mam się świetnie. Wszystko straciłem, ale mam się świetnie.

Od wszystkiego uciekłem, poprawił go w myślach Ross. Teraz zauważał w głosie Craiga zmiany, których wcześniej nie dostrzegł — miał głębsze i silniejsze brzmienie niż za dawnych lat.

— Jakiego rodzaju pomocy potrzebujesz?

— Rady. I pieniędzy. Nie prosiłbym... nigdy nie myślałem, że jeszcze kiedyś się do ciebie zwrócę po tym, jak was zostawiłem... z Jenny... — Przerwał. — Nie jestem w stanie o tym mówić. Tyle razy próbowałem do ciebie napisać albo zadzwonić, ale jakoś nie mogłem i ciągle mi to nie wychodzi. Któregoś dnia porozmawiamy o tym, przysięgam, ale teraz mam ważniejszą sprawę... Ross, muszę odzyskać żonę i dzieci. Chcę zacząć wszystko od początku. Ten cały bałagan z Carlem wymknął mi się spod kontroli; mogłem to jakoś załatwić... już nieraz mieliśmy nieporozumienia... ale spanikowałem. No a potem...

— Chcesz powiedzieć, że ty nie...

— Katherine — ciągnął Craig. — Muszę jej to wyjaśnić, nadrobić.. — Głos mu się załamał.

— Craig? — powiedział Ross głośno.

— Przepraszam. Nie mogę się na to zdobyć, żeby powiedzieć Katherine. Nie mam pojęcia, jak u diabła ja jej to wyjaśnię... Już w zeszłym roku, kiedy odszedłem, było wystarczająco źle, a teraz...

— Ona jest twoją żoną — przerwał mu ostro Ross.

— To o niczym nie świadczy; na tym częściowo polega problem. Muszę obmyślić jakiś sposób, żeby jej o tym powiedzieć, bo w przeciwnym razie ona nie... Ross, czy możesz pożyczyć mi trochę pieniędzy? W Vancouver jest bardzo wpływowy prawnik, ale chce zaliczki. Możesz to dla mnie zrobić?

— Oczywiście. Ile potrzebujesz?

— Nie wiem. Pewnie jakieś pięć tysięcy na początek. Ale może się okazać, że dużo więcej.

— Postaram się przesłać ci, ile będziesz potrzebował. Craig...

— Byłem idiotą, że uciekłem. Wiem o tym. Mogłem jakoś pokierować sprawami i znaleźć taki sposób, żeby trzymać cały ten bałagan z dala od Katherine...

— Trzymać od niej z dala? Powinieneś był jej o wszystkim powiedzieć!

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją znał. Ale widzisz ją czasem, prawda? Nie wiesz, czy dostała róże, które wysłałem jej na urodziny?

— Dostała...

— Dzieci mówiły, że pracuje w domu towarowym, ale tam nie zarabia chyba zbyt dużo... mój Boże, widziałeś jej mieszkanie? Z tych pieniędzy, które jej wysłałem, powinno być ją stać na coś lepszego. Przynajmniej to jedno,, niezależnie od tego, jak ciężko będzie mi uporządkować wszystkie sprawy, Katherine widzi przynajmniej to, że pomagam jej finansowo przez cały ten czas.

Ross przeszedł przez pokój tak daleko, jak pozwalał mu kabel telefoniczny, po czym ruszył z powrotem. Zadzwoń do niej, wróć, ona chce z tobą porozmawiać, myślał.

Nic, trzymaj się od niej z daleka.

Nieugięta Katherine. Co by zrobiła, słysząc błaganie w głosie Craiga, współczując mu z powodu samotności i widząc, jak dzieci go witają i wołają „tatusiu”?

— Ross, jesteś tam? Muszę wiedzieć, jak się sprawy mają, zanim do niej zadzwonię. Czy ona ciągle spotyka się z tym sukinsynem? Kiedy przyjechałem ostatnio w grudniu, żeby zabrać ją do Kanady, dzieci powiedziały mi, że jest z nim i to u niego w domu... mówiły, że często się z nim widuje. Chryste!, myślałem, że mam z głowy tego sukinsyna, że już nigdy nie zrani mnie tak do żywego, a tu zaraz na samym początku dzieci zaczęły mówić o nim... Nie zamierzam jeszcze raz przez to przechodzić. Nie chcę wracać po to, by się przekonać, że ona ciągle się z nim spotyka. Albo z kimś innym.

Ross milczał.

— No więc jak? Czy ona ciągle się z nim widuje? Do jasnej cholery, on ją tylko wykorzysta, zniszczy; Katherine jest taka naiwna... nie rozumie...

— Katherine zerwała z nim — odezwał się Ross. Rozległo się westchnienie.

— Miałem nadzieję, że to zrobi. Katherine jest zbyt inteligentna, żeby się na nim nie poznać. Zresztą i tak pewnie nie poświęcała mu za wiele czasu. W końcu nie jest młodą panienką, którą można zauroczyć, omamić... Ale czy jest sama? A może spotyka się z kimś innym? — Przerwał na chwilę. — Zadałem ci pytanie, Ross. Czy moja żona czeka na mnie, czy znalazła sobie innego?

Biedny Craig, pomyślał Ross mimowolnie, Nic się nie zmienił. Nie potrafi zaryzykować telefonu do własnej żony nie upewniwszy się wpierw, czego może się spodziewać.

Ross, słyszałeś? To proste pytanie. A może nie? Czy ty kogoś osłaniasz?

— Nie.

— No to o co, u diabła, chodzi? — Czekał jakiś czas. — Do jasnej cholery, Ross, proszę cię o pomoc! Liczyłem na ciebie; kiedyś byliśmy przyjaciółmi. A przynajmniej tak mi się wydawało... No więc, jak jest z Katherine? Kogo ty osłaniasz?

— Craig, ona na ciebie czeka...

— Kim on jest? Kiepski z ciebie kłamca, Ross; coś się stało, a ty nie chcesz mi o tym powiedzieć. Przecież mówimy o mojej żonie... a my dwaj zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy. Nie dziwiłbym się, gdybym pytał tego sukinsyna... spodziewałbym się, że mnie okłamie, że coś ukryje, żebym skręcał się z bólu... ale ty?! Na rany Chrystusa, nie jesteś lepszy od niego. Od kiedy zacząłeś zachowywać się jak twój brat?

— Ty cholerny głupcze — wybuchnął Ross. — Katherine i ja kochamy się. Chcę się z nią ożenić, ale ona nie zamierza się z tobą rozwieść. Ty nawet nie potrafisz zrozumieć jej lojalności, lecz ona nie wyjdzie za mnie ani nawet ze mną nie zamieszka, dopóki nie zrozumie, dlaczego od niej odszedłeś, dopóki nie skończy z przeszłością i waszym małżeństwem.

— Tak powiedziała?

— Niech to diabli, myślisz, że wszystko sobie wymyśliłem? Katherine chce zakończyć związek z tobą, ale twarzą w twarz, po partnersku, tak właśnie to ujęła, a to jest o całe niebo bardziej wartościowe niż wszystko, co kiedykolwiek jej dałeś... — Ten potok słów przerwało ciche kliknięcie. — Craig? CRAIG? — krzyczał Ross, ale odpowiedziała mu głucha cisza.

Ross wybiegł z domu, ruszył przed siebie pogrążonymi w ciemności uliczkami, przetrawiając w myśli rozmowę z Craigiem i przeklinając własną niezręczność. Spartaczył sprawę. Mógł wreszcie nawiązać kontakt z Craigiem, a pozwolił mu odejść.

Przed świtem wrócił do domu i myśląc o Katherine zaczął się przygotowywać do opowiedzenia jej o telefonie, raz po raz powtarzając sobie w czasie tej ciężkiej próby całą rozmowę. A ona

przyjdzie za kilka godzin, by wspólnie z nim spędzić popołudnie, tak właśnie to sobie w nocy zaplanowali: że piątek, a więc koniec tygodnia, jest dobrą okazją, by beztrudno pobyć ze sobą jeszcze za dnia i bez dzieci.

— Ale tym razem — zapowiedziała Katherine — to ja po ciebie przyjadę; Leslie pożyczyła mi swój samochód, bo sama wyjechała z Claude'em do Nowego Jorku. Będę w samo południe.

Czekając na Katherine Ross chodził z pokoju do pokoju i stał akurat na tarasie, tyłem do okna, gdy usłyszał jej kroki.

— Cześć — przywitała się wesoło podchodząc do niego. — Nad czym tak się głęboko zamyśliłeś, że nie możesz... — Ross odwrócił się do niej i wtedy zobaczyła wyraz jego oczu. — Ross, o co chodzi? Co się stało?

Wyciągnął ręce, by ująć jej dłonie.

— Craig dzwonił do mnie w nocy.

Słońce jakby przygasło. Wszystko wokół nich, od tarasu, na którym stali, aż po wielki most w dole, przestało na chwilę istnieć, po czym powoli wróciło na swoje miejsce. Cały świat zamarł. Ciszę zburzyła tylko jakaś samotna pszczoła, której bzyczenie wydawało się ogłuszającym hukiem. Katherine delikatnie wysunęła dłonie z jego rąk i przeszła na drugi koniec tarasu.

— Kiedy wraca?

— Nie wiem. Może w ogóle.

— W ogóle! — Obróciła się na pięcie. — Musi wrócić! Po cóż by dzwonił? Właśnie, po co dzwonił? I dlaczego nie zatelefonował do mnie?

— Chciał wiedzieć, czy wciąż widzisz się z Derekiem.

— Mógł mnie o to zapytać... Och. Nie chciał ryzykować?...

— Potrzebuje mojej pomocy. A ja zabałaganiałem sprawę.

— Ale kazałeś mu wrócić. Nastąpiła chwila ciszy.

— Nie — odparł Ross.

— Nie?! Ross, wiesz przecież, że muszę się z nim zobaczyć!

— Bałem się! Możesz to zrozumieć? Oczywiście wiem, że musisz się z nim spotkać, ale kiedy usłyszałem jego głos, wyobraziłem sobie, co mogłoby się stać, gdybyście znów byli razem, całą rodziną...

— Ale... zdefraudował te pieniądze? Wrobili go? Co powiedział?

— Nie doszliśmy do tego.

— Ross!

— Cholera, chciałem go zapytać, ale on ciągle zmieniał temat...

— Nie zapytałeś go o sprawę tych pieniędzy i uznałeś, że lepiej nie mówić mu, by wrócił.

— Niczego nie uznałem. W tym właśnie problem, Katherine. Już tyle razy przypominałem sobie tę rozmowę, że mogę ci ją powtórzyć słowo w słowo. Usiądź, proszę...

Podeszła do niego powoli. Usiedli z dala od siebie i w blasku słońca wśród kwiatów Ross powtórzył Katherine rozmowę z Craigiem.

Gdy skończył, ona utkwiała wzrok gdzieś za nim i zaciskając dłonie kręciła głową.

— Jak mogłeś powiedzieć mu o nas? Ja powinnam to zrobić.

— Wiem, nie zamierzałem...

— Nie miałaś prawa mu o nas mówić! Miałam zamiar...

— Wiem! Nie zamierzałem czegokolwiek mu mówić!

— To dlaczego to zrobiłeś? Och, Ross, mieć go tak blisko i nakłonić do ucieczki!...

— Katherine, nikt nie nakłania Craiga do ucieczki; on robi to sam z siebie.

— Ale ty o tym wiedziałeś; zawsze to wiedziałeś. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, jak z nim rozmawiać.

— Racja. Powinieneś być wiedzieć. — Po chwili dodał: — On mnie sprowokował. Ale może i tak bym mu powiedział. Pamiętam, że był taki moment, kiedy pomyślałem, że może sama tego nie zrobisz.

— Wiedziałaś, że czekałam tylko, aż wróci...

— Tak powiedziałaś. Może nie wierzyłem w to do końca.

— Nie wierzyłeś!

— Katherine. Przypatrz się sobie. Mąż opuścił cię ponad rok temu; kochasz mnie i ja ciebie kocham. A mimo to wciąż trzymasz się kogoś, kto cię zdradził...

— Uważasz, że powinnam odplacić mu tym samym. A nie przyszło ci do głowy, że jedyne, co zostało z mojego małżeństwa, to świadomość, że to nie ja je zrujnowałam, że to nie ja odsunęłam go od siebie i dzieci?

— On nie zasługuje ani na ciebie, ani na dzieci!

— Nie w tym rzecz! Nie chodzi mi o Craiga; myślę o sobie, chcę

wiedzieć, jakiego rodzaju człowiekiem jestem. Czy ja też uciekam od rzeczywistości tak jak on? Czy może czekam na niego, żeby...

— Żebyś mogła być lepsza niż on.

— A dlaczego nie? Co złego w tym, że chciałabym być lepsza niż ten, kto mnie zranił? Czy mamy być lojalni tylko wtedy, gdy ktoś jest lojalny wobec nas?

— To wcale nie jest zły pomysł. — Ross wbił wzrok w swoje dłonie. — Chciałem cię zapytać... kiedy powiedziałem, że powinnaś przyjrzeć się samej sobie... czy pomyślałaś, że może to wcale nie jest lojalność?

— O czym ty mówisz?

— O kobiecie, która tak bardzo boi się małżeństwa, że woli zasłaniać się mężem, którego nie ma, niż zaryzykować kolejny nieudany związek.

— To idiotyczne!

— Zastanów się nad tym, a ja przyniosę coś do picia. — Zniknął we wnętrzu domu i po chwili wrócił z dzbankiem i dwiema szklankami. — Mrożona herbata. Zmiętą z domowego ogródka. — Napełnił szklanki. — Co o tym myślisz?

— O herbacie?

— Katherine!

— Nie zasłaniam się Craigiem. Może boję się... troszkę. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie jestem pewna, na czym właściwie stoję... jak daleko zaszłam. Ciągle nie wiem, jak dalece potrafię sobie poradzić w życiu: nie wiem, czy jestem w stanie sama utrzymać naszą trójkę ani jak silna jestem bez mężczyzny. Może właśnie dlatego nie mam pewności, czy chcę zdać się już na miłość. Ale nie zasłaniam się Craigiem; myUsz się w tym względzie. Jestem mu coś winna.

— Cokolwiek to było, już spłaciłaś dług.

— To nie jest takie proste; muszę myśleć o dzieciach, zastanowić się, co jest najlepsze dla nich.

— Dla nich najlepsza jest stabilna rodzina. — Przerwał nagle. — Czy to znaczy, że ty bierzesz pod uwagę powrót do Craiga? Żeby zapewnić im stabilną rodzinę? Jezu Chryste, przecież on cię porzucił!

— Wiem! Od dawna już nie myślę o powrocie do Craiga. Mówiłam ci, że po prostu czekam... I że wciąż nie rozumiem, co właściwie się z nami stało. Kochaliśmy się i razem szliśmy przez

życie, i byliśmy szczęśliwi, tak mi się wydaje, że byliśmy szczęśliwi, a potem wszystko się zawaliło... a ja nie wiem dlaczego! I dopóki się tego nie dowiem, nie zamierzam zakładać nowej rodziny. W oczach Katherine malował się gniew i uraza.

— Wyjaśniałam ci to wszystko i myślałam, że mnie rozumiesz, a kiedy on wreszcie zadzwonił, ty go przepędziłeś! Ross, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Mogłam z nim porozmawiać, zadać tyle pytań... a teraz jestem dokładnie w punkcie wyjścia — mogę się tylko zastanawiać, wyobrazać sobie, czekać i dalej nic nie wiedzieć. I nie wiadomo, ile czasu upłynie, zanim on znów spróbuje skontaktować się ze mną, zanim zbierze się na odwagę, jak po tym, kiedy od dzieci dowiedział się o Dereku. — Zaczęła drżeć. — Nie mam pojęcia, co on sobie teraz myśli; nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy znów go zobaczę — jeśli w ogóle ponownie zadzwoni. Nie wiem, co sobie wtedy powiemy ani jak będę się czuła, ani jak mu powiem... — Mokra od skroplonej pary szklanka wyslizgnęła się jej z ręki i rozbiła o podłogę. Katherine wybuchnęła płaczem. — Przepraszam, bardzo cię przepraszam, ale po prostu nie wiem, jak to wszystko się skończy... nie wiem, co naprawdę jest najlepsze dla dzieci... i martwię się o Craiga... on jest zupełnie sam, a ja mam ciebie, Jennifer i Todda, i Victorię, i Tobiasza... Ja mam rodzinę, a on nie ma nikogo i teraz już wie o tym, bo powiedziałaś mu o nas... Ross, tobie się wydaje, że powinienes wciąż przypominać mi, że on nas porzucił, a to wcale nie jest takie proste... — Po chwili otarła łzy wierzchem dłoni i wyprostowała się. — Lepiej przyniosę jakąś szmatę i sprzątnę ten bałagan.

— Daj spokój. Zajmę się tym później. — Ross nie ruszał się, choć bardzo pragnął ją przytulić; siedział z dala od niej i patrzył, jak płacze czując, że wzbiera w nim gniew. — On nie jest wart twoich łez. On nawet nie wie, co to jest miłość, lojalność czy prawość...

— Nie mów tak, Ross. Nie można powiedzieć, że go jeszcze znasz, nic teraz o nim nie wiesz. Nie bardzo mi się podoba, że tak go atakujesz.

— Nie podoba! Dobry Boże, przez dwa lata waszego małżeństwa Craig utrzymywał inną kobietę! Czy to ci się podoba? Dlatego właśnie potrzebował tak dużo pieniędzy, że aż musiał kraść!

— To nieprawda! Nie wiem, od kogo to słyszałeś, ale to nieprawda! Craig nigdy by... powiedział mi, że nigdy nie chciał... wiedziałabym!

Ross patrzył na nią w milczeniu.

— Fakt, nie wiedziałam o nim wszystkiego, ale coś takiego bym wyczuła! Dwa lata? — mówiła płacząc. — I spodziewasz się, że w to uwierzę... dwa lata? To niemożliwe, cały wolny czas spędzał w domu. — Zamilkła na moment, po czym wpatrując się w dłonie, spytała: — Gdzie miał... gdzie niby miał tę drugą?

— W Calgary.

— Bardzo często tam jeździł w interesach. I zawsze zostawiał mi telefon do motelu. — Nagle przyszła jej do głowy jakaś myśl. — Czy on ci powiedział... chyba sam nie powiedział ci tego!

— Oczywiście że nie. Craig nigdy się do niczego nie przyznaje, chyba że coś czy ktoś go do tego zmusi. Dowiedziałem się o tym przypadkiem.

— A więc ten, kto ci to powiedział, kłamał.

— Katherine, posłuchaj. Pojechałem go szukać; chciałem go odnaleźć, żebyśmy, ty i ja, mogli być razem, sami, żeby ten jego cholerny cień nie prześladował nas ciągle. A znalazłem...

— I opowiedział jej wszystko o Elissie.

Z początku Katherine kręciła głową i słuchając relacji Rossa powtarzała: „Nie, nie, nie”. Potem umilkła i przyknęła oczy. A więc był jeszcze jeden Craig. Znowu o innym nazwisku. Jeszcze jedna tajemnica oddzielająca ich od siebie. Ale nie tylko to niepokoiło Katherine... Ross powiedział, że... W końcu sobie przypomniała.

— W sierpniu. Wtedy tam pojechałeś... dzwoniłeś do mnie stamtąd tego dnia, kiedy wróciłam z Francji.

— I nic ci nie powiedziałem — dokończył Ross pragnąc ją uprzedzić. — Zamierzałem to zrobić, ale dostałaś wówczas list od Mettlera z zawiadomieniem o zerwanym kontrakcie i miałaś wystarczająco dużo zmartwień na głowie.

— Ale to było w sierpniu. Teraz mamy środek września. Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

— Katherine, miałaś tyle spraw na głowie...

— Ross, Craig miał swoje tajemnice, a między nami ma ich nie być! Chcę znać prawdę o świecie, na jakim żyję!

— Całą naraz? Czekalem, aż sprawy trochę się ułożą; myślałem, że lepiej będzie, byś nie musiała zmagać się ze wszystkim jednocześnie.

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Nic mi nie mówiąc postanowiłeś poszukać Craiga, a potem zdecydowałeś, że nie powiesz mi o Elissie; postanowiłeś nawet powiedzieć o nas Craigowi... i wszystko to sam. Czyja nie mam nic do powiedzenia przy podejmowaniu decyzji, które mnie dotyczą?*

Rozłożył bezradnie ręce.

— Oczywiście, że masz. Lecz mylisz się, bo nie zdecydowałem powiedzieć o nas Craigowi. To był przypadek. Ale co do reszty — szukania go i znalezienia Elissy — masz rację; prowadziłem to na własną rękę i chyba powinienem był ci o tym powiedzieć, Ale robiłem to z miłości...

— Ross, cały ten rok próbowałam się przekonać, kim właściwie jestem, na co mnie stać, gdy jestem zdana na siebie, gdy nikt mnie nie ochrania i nie trzyma pod sztłem... Przeszłam przez to wszystko z Craigiem!

— Dlatego nigdy więcej nie chcesz być chroniona, czy tak? Wydaje ci się, że to wiąże się ze słabością. Gdybyś nie była ciągle jeszcze zaplątana w sprawy Craiga, w te jego sekrety, jaśniej byś to widziała. To wcale nie jest albo czarne, albo białe.

— Dobrze, może masz rację. Może przesadzam trochę, bo boję się powtórzenia tego, co było, ale...

— I to naprawdę szczęście — ciągnął Ross — że spotkałaś kogoś, komu zależy na tobie tak bardzo, że próbuje cię ochraniać. Pomyśl, ilu ludzi szuka kogoś takiego przez całe życie? I ilu z nich, mężczyzn czy kobiet, znajduje drugiego człowieka, który chciałby chronić ich od bólu?

— Sama już nie wiem, co to znaczy. Katherine wykręciła splecione dłonie.

— To znaczy... przynajmniej w tym wypadku... że odkładałem powiedzenie ci o tym, co zrobiłem, bo nie sądziłem, że w jakikolwiek sposób zmieniłoby to twoje odczucia co do Craiga; poczułabyś się jedynie bardziej nieszczęśliwa odkrywszy jeszcze jedną jego tajemnicę, kolejne kłamstwo...

— Ale ja muszę poznać je wszystkie! Każde jego kłamstwo! I ty dobrze o tym wiesz! — Katherine popatrzyła w dal na rysujące się

na tle nieba po drugiej stronie zatoki miasto, na dzielnicę ciągnące się wzdłuż półwyspu tak daleko, że ich kontury stawały się niewyraźne. — Skąd mam wiedzieć, ile jeszcze jest tych jego kłamstw! Nie rozumiesz... żyłam z nim przez dziesięć lat i nie miałam o nich pojęcia! Jak mam zrozumieć samą siebie, skoro nie rozumiem jego? A ty pozwoliłeś mu odejść! Przykro mi, że wciąż do tego wracam, ale to jest najgorsze ze wszystkiego... był tak blisko! I nie wiem, kiedy znów coś takiego nastąpi... i kiedy będę mogła uwolnić się i zacząć budować przyszłość...

Łzy spływały jej po twarzy. Nawet nie próbowała ich ocierać, tylko siedziała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń za Rossem i ponad miastem, jakby nie była w stanie spojrzeć na cokolwiek w pobliżu. Patrząc na nią Ross cierpiał, bo ją kochał, bo był wściekły na Craiga i sfrustrowany.

— Rozumiesz go teraz znacznie lepiej niż kiedykolwiek. Katherine, tak bardzo się zmieniłaś, jakie to ma znaczenie, jaka byłaś z nim, skoro wiesz już, jaka potrafisz być bez niego?

— Ciągłe próbuję się o tym przekonać — powiedziała z uporem. — Ty zawsze upraszczasz sprawy, które nie są proste.

— Wiem, że nie są. Ale może któregoś dnia będziesz musiała powiedzieć sobie, że czas z tym skończyć.

Katherine popatrzyła na niego.

— Chcesz powiedzieć, że on może nie wrócić. Ale próbował już dwa razy; nie wierzę, że nie podejmie jeszcze jednej próby.

— A na razie cały czas jest przy nas. — Ross roześmiał się gorzko. — Źle zidentyfikowałem miecz, który wisi nad naszymi głowami: to nie Macklin Building, a twój mąż. Nie możemy robić żadnych planów; nie możemy nawet myśleć o przyszłości. Sprzeczymy się zamiast cieszyć sobą nawzajem i dzielić miłością, jakiej nigdy przedtem nie zazналиśmy... — Wstał i zaczął chodzić po tarasie, z wściekłością kopiąc leżące przy krawędzi kamyczki. — Nie możemy nawet spokojnie pomyśleć o przeszłości. Zwykle Craig żył gdzieś w tle; teraz wszedł między nas.

— Tak — zgodziła się Katherine ledwie słyszalnym głosem. — Jest tak daleko, a jednak... jest tutaj. Patrząc na ciebie i nawet nie potrafisz już myśleć jasno... O Boże, jak mam znaleźć wyjście z tej sytuacji?!

Z przeciwnego końca tarasu dobiegł apatyczny głos Rossa:

— A ja tylko ją utrudniam, prawda? Nic mogę ci pomóc; nie mogę podpowiedzieć, co powinnaś zrobić; nie mogę nawet starać się chronić cię przed bólem, bo dla każdego z nas znaczy to co innego. Wprowadzam tylko zamęt. — Ponieważ Katherine się nie odzywała, Ross ciągnął dalej: — Może lepiej będzie, jak zejdziesz z drogi. Będziesz mogła wtedy skupić się na myślach o swoim mężu i małżeństwie. Może nawet uznasz, że jednak wiesz już wszystko, co powinnaś wiedzieć o nim i o sobie, i o nas.

Katherine patrzyła na niego z bijącym sercem.

— Może i mnie przyda się trochę czasu — kontynuował zamyślony. — Zastanowię się, jak właściwie widzę nasze wspólne bycie razem. Jeśli rzeczywiście zbyt wiele decyzji podejmuję samodzielnie, to powinienem to sobie uświadomić i coś z tym zrobić.

Katherine wzięła głęboki oddech, by uspokoić oszalałe serce. Mam nie widywać Rossa, myślała. Budząc się rano nie będę mogła powiedzieć sobie: „Dziś go zobaczę; dziś będziemy rozmawiać; dziś będziemy się kochać...” Mam nie widywać Rossa. Z trudem przełknęła ślinę czując jak serce wali jej w gardle. Ale, myślała, przez jakiś czas będę sama, nie będą mną targać dzikie namiętności, nie będę musiała decydować, działać, wybierać, cokolwiek robić...

— Dobrze — wydusiła z siebie. — Myślę, że to dobry pomysł. Ross wyrzucił z siebie powietrze; wstrzymywał oddech aż do tej pory.

— Skoro uważasz, że tak jest najlepiej. — Podszedł do niej szybko i wziął w ręce jej dłonie. — Kocham cię. Zrobię wszystko, co zechcesz. — Ucałował wnętrze jej dłoni, najpierw jednej, potem drugiej czując ustami, że jej skóra jest chłodna i miękka i drży lekko, tak jak całe jej ciało.

Nie chcę cię opuszczać; pragnę być blisko ciebie, krzyczało jej serce.

— Nie chcę — mruknęła pod nosem.

Ross przyciągał ją do siebie obejmując ramionami. Ale ona nawet nie drgnęła — trzymała ręce opuszczone po bokach, jakby już zaczęła oddalać się od niego. W pewnej chwili Ross przeraził się tym, do czego doprowadził. Miał zostać bez Katherine, miał spędzać całe dni bez jej uśmiechu nie widząc tych światełek w jej oczach, które zapalały się czasem w odpowiedzi na jego słowa, i nie czując jej ciała tuż przy swoim... Do czegoż on, u diabła, do-

prowadził? A co będzie, jeśli Katherine rzeczywiście znajdzie Craiga i wspólnie z dziećmi na nowo odkryje więzi, które łączyły ich przez dziesięć lat?

Nie dojdzie do tego. Oni zaszli już za daleko. I my też zaszliśmy już za daleko.

Katherine poruszyła się w jego objęciach i Ross natychmiast cofnął ręce. Nie będzie zmuszać jej, by została.

— Jeśli mógłbym coś zrobić, żeby ci pomóc — powiedział. Uśmiechnęła się niepewnie. Na jej ciemnych rzęsach błyszczały łzy.

— Chyba pobędę teraz trochę sama... pomyślę o naszej trójce... i o tym wszystkim, co się zdarzyło... — Wyciągnęła rękę i palcami dotknęła jego twarzy. — Kocham cię, Ross.

Po chwili odwróciła się i szybko przeszła przez taras w kierunku szklanych drzwi prowadzących do salonu. Nieco później Ross usłyszał, jak otwiera frontowe drzwi i energicznie zamyka je za sobą.

Nie ruszył się z miejsca. Trzymaj się, moja najdroższa Katherine, powiedział cicho. Zaczekam na ciebie.

Elissa zauważyła, że taksówkarz rozgląda się szukając właściwego numeru, po czym zatrzymuje samochód przed jej domem. To nie Craig, pomyślała; on pokazałby kierowcy, który to dom. Zobaczyła, że z samochodu wysiada kobieta i płaci kierowcy, i jeszcze zanim dostrzegła jej twarz, wiedziała, że to Katherine.

Do diabła, pomyślała czując, że żołądek jej się ściska, przecież nie ma się czego bać. Otworzyła drzwi i patrzyła, jak wiatr porywa z ulicy tumany kurzu i unosi je na kształt wirujących bączków. Po chwili zauważyła, że Katherine odwróciła się i obrzuciła dom taksującym spojrzeniem — wiem, że on nie lubi takich domów, odpowiedziała jej w myśli Elissa; Craig nie chciał, żebym malowała drzwi na czerwono, ale zrobiłam to, kiedy uznałam, że odszedł na dobre. Katherine ruszyła w stronę drzwi. Była piękniejsza, niż Elissa myślała; zdjęcia nie oddawały w pełni jej urody.

— Jestem Katherine Fraser — powiedziała wyciągając rękę.

— Wiem — odparła Elissa. — Widziałam pani zdjęcie. Ja nazywam się Elissa Nielsen. — Z powagą na twarzach uściśnęły

sobie dłonie. — Proszę, niech pani wejdzie. — Poprowadziła ją do środka. — Ciekawa byłam, czy Ross opowie pani o mnie.

— Powiedział mi dopiero wczoraj. — Katherine szybko obrzuciła wzrokiem salon.

— Może chce pani obejrzeć dom? — spytała Elissa. — Na pewno się nie obrażę. Pewnie chce pani wiedzieć, gdzie czasami mieszkał Craig; ja na pani miejscu bym chciała. A więc Ross powiedział pani wczoraj? Nie spieszył się.

— Nie chciał mnie zranić — odparła Katherine.

Spojrzała na Elissę i oczy ich spotkały się. Ale w tej samej chwili Elissa odwróciła wzrok i więcej nie zdradzała spojrzeniem swoich uczuć.

Gdy Katherine wzięła do ręki wyrzeźbionego z drewna żółwia i gładziła palcem przymocowaną do niego figurkę małego chłopca, Elissa nerwowo przekładała z ręki do ręki miseczkę z cukierkami.

— Craig nie jest jego ojcem — wyjaśniła. — Domyślam się, że Ross powiedział to pani. I o tym, że Craig pomagał mi, kiedy byłam w ciąży. Bez Craiga.., cóż, po prostu nie wiem, co by się stało bez niego.

Katherine obeszła zagracony pokój, dostrzegając w nim identyczne drobiazgi jak te, które znajdowały się w ich domu w Vancouver. Poczuli się zupełnie zdezorientowana, jakby obydwie te domy zlały się w jeden, a ona zagubiła się wśród przedmiotów, które były jej obce, ale jakoś dziwnie swojskie.

— Napije się pani czegoś? — spytała Elissa. — Kawy czy herbaty? Mam też szkocką i sherry, ale pomyślałam, że przed lunchem... wiadomo.

— Chętnie napiję się kawy. — Katherine podążyła za Elissą do kuchni. — Czy to prawda, że nie widziała pani Craiga od czerwca, to znaczy od zeszłego roku?

— Prawda, Nie widziałam go ani nie miałam od niego wiadomości. — Zaczęła wlewać wodę do ekspresu wyglądając przy tym przez okno, aż w końcu woda przelała się i opryskała jej sukienkę. — A niech to licho. Chyba jestem trochę zdenerwowana. — Ostrożnie włączyła ekspres do sieci. — Ross kocha panią.

— Powiedział pani o tym?

— Nie, ale widać to po nim, tak jak krosty zdradzają chorego na ospę. Tyle że to znacznie ładniejszy widok. — Mimowolnie

uśmiechnęły się do siebie. — Zakochany mężczyzna to prawdziwa przyjemność dla oczu. Zastanawiałam się tylko, czy pani też go kocha.

— Dlaczego?

Elissa zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

— Bez żadnego powodu. Ze śmietanką? Z cukrem?

— Nie, poproszę czarną.

Patrzyła, jak Elissa ustawia kubki na tacy i układa pączki na talerzu; jeden spadł na podłogę, a ona wzdychając poirytowana podniosła go i wyrzuciła.

— Pomogę pani — zaproponowała Katherine. Ostrożnie wyjęła jej torebkę z rąk i wyłożyła resztę pączków. — Gdzie usiadziemy?

— W salonie; gdzie indziej nie ma miejsca. Craig zamierzał dobudować małe pomieszczenie do kuchni, taki pokójk śniadaniowy, wie pani; już nawet wyrysował plany, ale... więcej się nie pokazał.

Katherine czuła, że za tymi prostymi słowami kryje się ból, i wiedziała, że Elissie wciąż brakuje Craiga, że ona ciągle za nim tęskni i na niego czeka. To dlatego właśnie zapytała ją, czy kocha Rossa; chciała wiedzieć, czy Craig będzie wolny, gdy wróci.

— Ja zaniosę tacę — zaofiarowała się Katherine i tym razem to ona poprowadziła Elissę do salonu. Sama także miała do niej kilka pytań.

— Czy Craig naprawdę ukradł pieniądze firmy? — spytała prosto z mostu, gdy już usiadły.

— To pani nie wie? — zdziwiła się Elissa.

— Wiem tylko to, czego dowiedziałam się od jego wspólnika. Elissa zastanowiła się.

— Nie wydaje mi się, żeby to zrobił.

— Ale nie wie pani na pewno.

— Nie mówił mi. Poza tą jedną sprawą właściwie o wszystkim mi opowiadał. Ale nie wierzę, żeby Craig był 'złodziejem. On by niczego nie wziął.

Nie chcesz czuć się winna, że potrzebował dużo pieniędzy, pomyślała Katherine przypominając sobie słowa Rossa.

— To dlaczego zniknął? — spytała. Elissa popatrzyła jej w twarz.

— Chyba to pani powinna umieć odpowiedzieć na to pytanie, nie ja.

— Ja nie wiem, kim Craig jest naprawdę. Nie byłam świadoma pani istnienia. Skąd więc mam wiedzieć, dlaczego odszedł?

— Musiała pani coś jednak wiedzieć. Gdybym żyła z człowiekiem przez dziesięć lat, to znalazłabym go diabelnie dobrze.

Tak, ty byś go знаła. A ja nie.

Jakby przywołane słowami Elissy, wszystkie dręczące ją od dawna pytania osaczyły teraz Katherine. Dlaczego tak mało wiedziała o Craigu? Dlaczego nie pytała o jego przeszłość, o ich wspólny dom, o rachunki, o finanse? Dlaczego przywykła do jego milczenia?

Może dlatego, że tak naprawdę nie chciałam pytać, powiedziała sobie. Albo nie chciałam wystarczająco mocno. Może przyjemniej było nie wiedzieć. Nie martwić się. Być, jak mała dziewczynka.

Milczenie przedłużało się.

— Proszę opowiedzieć mi o Craigu — poprosiła. — Pani zna go znacznie lepiej niż ja.

— To prawda — odparła szczerze Elissa. — Czuł się tutaj swobodnie i na luzie. Jak ktoś, kto przez cały dzień chodzi spętany w garniturze pod krawatem i zachowuje jak należy, a kiedy przychodzi do domu, wkłada od razu bawełnianą koszulkę, džinsy i na przykład zaczyna siorbać zupę.

— Spętany — powtórzyła jak echo Katherine.

— Właściwie to bardziej sprawiał wrażenie obciążonego ciężarem. Mówił, że pani potrzebuje kogoś, kogo może szanować i kto by ją ochronił przed wszystkim, co brzydkie czy straszne, a on nie zawsze był w stanie sprostać temu zadaniu. Chociaż muszę przyznać, że wygląda pani na bardziej zaradną, niż on panią przedstawiał. Mogłam się domyślić, że przesadza. Ale nieważne, powiedział, że kiedy panią poznał, była pani taka niewinna i pragnęła jedynie miłości. Nie pytała pani o jego zarobki ani o to, co zamierza robić w przyszłości — ani o jego przeszłość, skoro już o tym mowa; nie zadawała pani żadnych wnikliwych pytań o jego tak zwane sieroctwo; pani była po prostu szczęśliwa, że go kocha i że on kocha panią. Na Craigu robiło to wrażenie, wydawała mu się pani taka wrażliwa. I ta niewinność ogromnie go do pani przyciągała, dlatego właśnie kochał tylko panią.

Elissa mówiła zupełnie bez ogródek i Katherine poczuła się zażenowana.

— Nie kochał mnie na tyle mocno, żeby być wobec mnie szczerym.

— On kochał panią zbyt mocno, żeby być wobec pani szczerym. Czy mogę panią o coś zapytać?

— Oczywiście.

— Czy była pani dziewicą, kiedy się poznaliście?

— Tak.

— To częściowo wyjaśnia jego do pani stosunek. Craig zawsze mówił o pani tak, jakby była pani dziewicą we wszystkim: nie tylko w seksie, ale w każdej dziedzinie życia.

— Ależ to nonsens — powiedziała Katherine. — Studiowałam, miałam pracę i przyjaciół...

— Nic mi o tym nie mówił. Opowiadał tylko, czego panią nauczył i co pani w życiu zapewnił. Czasem miałam idiotyczne wrażenie, że myślał o pani jak o siostrze, wie pani, co mam na myśli, jakby dziewczynka zatrzymała się w rozwoju... Dlatego — tak mi się wydaje — musiał sobie udowadniać, że jest najlepszy we wszystkim, nie tylko w pani łóżku. A jednocześnie bał się cały czas, że popełni jakiś błąd i pani się co do niego rozczaruje, i przestanie go kochać.

— Błąd w czym?

— W sposobie bycia. Że zacznie zachowywać się jak głowa domu i okaże gniew.

— Ale Craig się nie złościł. Czasami, kiedy zaczynał się denerwować, umiał nad tym zapanować i zaraz mu przechodziło.

— Nie przechodziło. Dusił to w sobie. Mówił, że wszyscy mężczyźni w jego rodzinie są popędliwi. Pamiętał, jak jego dziadek Hugh wydzierał się na niego z jakiegoś całkiem bzdurnego powodu, chodziło chyba o pocztówki czy coś takiego, no a Derek to mistrz wszechczasów w kategorii choleryków. Craig był dokładnie taki jak oni, tylko że on jednocześnie bał się takich ludzi. Hugh, Derek i ojciec Dereka, Curt, przerażali go śmiertelnie; nawet siebie samego się bał, swoich napadów złości.

Elissa niespokojnie poruszyła się, wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Wie pani, że mogłabym wiele opowiedzieć o wszystkich członkach rodziny Haywardów, począwszy od dziadka Hugh'a? Wiem dokładnie, jakie klejnoty Hugh kupił Victorii, wiem, jakiego

koloru sukienkę miała na sobie Jennifer w dniu ukończenia szkoły średniej i wiem... O Boże, przepraszam... nie chciałam pani zranić.

— Nic się nie stało. Tylko tak się zastanawiam: — Craig mówił pani o tym wszystkim, czego mu brakowało, i o ludziach, których kochał i o których nie potrafił zapomnieć. Chociaż minęło piętnaście lat.

— Nie kochał ich wszystkich i oni też niekoniecznie się nawzajem kochali. Opowiadał mi o dziewczynach Dereka i jak Jennifer płakała...

— O dziewczynach Dereka? O Jennifer?

— To się zdarzyło w czasie ich ostatniego pobytu w Menton. Mieli tam jakby własny apartament; każdy miał swoją sypialnię, a pośrodku znajdował się wspólny pokój zabaw; był też ogród otoczony murem, w którym były małe drzewczki i właśnie tą drogą Derek wprowadzał po kryjomu dziewczyny do swego pokoju. Ross nie mówił pani o tym? Wiedział, że tak było. Ale Jennifer nie miała o tym pojęcia, w końcu pewnej nocy zobaczyła, co się dzieje; wybiegła wtedy do ogrodu i tak płakała, że nikt, nawet Craig, nie mógł jej uspokoić. A kiedy następnego dnia wracali do San Francisco, zostawiła w willi naszyjnik, który Derek kupił jej w Monte Carlo. Zresztą Craig mówił, że i tak jej się nie podobał, bo był czarny. Jennifer mówiła o nim: śmierć wokół szyi. I zostawiła go tam. Derek był wściekły, bo zapłacił za niego masę pieniędzy, ale nie zamierzał go zabierać, więc naszyjnik został w willi. To wydarzyło się chyba na tydzień przed śmiercią Jennifer. Okropne, prawda?

Katherine przypomniała sobie czarny naszyjnik w kasetce na biżuterię stojącej w pokoju zabaw. Wszystko to przypomina zamykający się powoli krąg, który zamknie się, kiedy Craig wróci, pomyślała.

Elissa ciągnęła swoje opowiadanie często cytując słowa Craiga; pokazała Katherine półkę z jego rzeźbami z drewna w swojej sypialni i projekt pokoju śniadaniowego. Nie przestając mówić o Craigu, Elissa przygotowała lunch, który zjadły w salonie, a potem wyjęła album ze zdjęciami przedstawiającymi ich oboje. Oni zawarli swego rodzaju małżeństwo, uświadomiła sobie Katherine i słuchając w tym małym, zagraconym pokoju przepojonego

miłością głosu Elissy rozumiała, dlaczego Craig nie był w stanie zrezygnować z tego związku. W końcu zwróciła się do niej:

— Muszę już iść; mam samolot o piątej. Ale chciałabym jeszcze o coś panią prosić. — Zawahała się na chwilę. — Jestem pani bardzo wdzięczna za wszystko, co mi pani powiedziała, i wierzę, że nie widziała pani Craiga, ale myślę, że musiała pani dostać od niego jakąś wiadomość. Wydaje mi się, że za bardzo pani potrzebował, żeby tak zupełnie się od pani odciąć, jak to zrobił w moim przypadku.

Oczy Elissy zaszyły łzami.

— Dziękuję pani za te słowa. Myślałam, że pani uzna, iż chciałam zniszczyć pani małżeństwo, i będzie mnie pani nienawidzić; nie sądziłam, że pani zrozumie, Ale ja też potrzebowałam Craiga, wie pani. I wciąż go potrzebuję. Był mi przyjacielem i synem, i bratem, i kochankiem, i mężem — przepraszam panią, ale tak było. Był dla mnie wszystkim jednocześnie i bardzo mi go brak... och, co za życie! — Otarła łzy z oczu. — Nieważne, przysięgam, że nie dostałam od niego żadnej wiadomości. Miałam nadzieję, że się odezwie; bywało już, że nie mógł do mnie przyjechać przez kilka tygodni, więc mówiłam sobie, że i teraz w końcu się pokaże i znów wszystko będzie jak dawniej, ale nie pojawił się. Ciągle na niego czekam. Może to głupie, ale tak właśnie jest. A pani?

— Ja co?

— Czy wciąż pani czeka?

— Oczywiście.

— Żeby dalej być z nim razem?

— Nie wiem. Ale chyba już nie moglibyśmy żyć ze sobą.

— Ale ciągle pani czeka. Chociaż pani też nie miała od niego żadnej wiadomości.

— Owszem, miałam... — Katherine urwała widząc wyraz twarzy Elissy.

Malowało się na niej przerażenie. Do tej pory Elissa cały czas sama mówiła, nie dając Katherine sposobności powiedzenia, że Craig się z nią kontaktował. A teraz widząc tę przestraszoną twarz, Katherine nie mogła się zdobyć, by powiedzieć Elissie, że Craig dzwonił do Rossa i mówił o tym, że pragnie zabrać do siebie swoją żonę. — Przysłał mi róże — wyjaśniła krótko. — Na urodziny.

Twarz Elissy rozpuściła się.

— Założę się, że białe. Craig mówił mi, że pani lubi białe róże.

— Naprawdę? — spytała zdawkowo. — Czy nigdy nie mówił o niczym innym jak tylko o swojej rodzinie, czy raczej o obu rodzinach?

— Opowiadał dużo o Eskimosach. A z panią nie rozmawiał o nich? Fascynowało go, jak żyją ci ludzie: w surowych warunkach, blisko ze sobą związani prostymi, nieskomplikowanymi uczuciami. Tak właśnie ich widział. Razem z Hankiem często o nich rozmawiali.

— Z Hankiem?

— Z Hankiem Aylmerem. On często jeździ do wiosek eskimoskich na Alasce i w Kanadzie i kupuje tam rzeźby ze steatytu, żeby sprzedawać je potem w Stanach. Poznała go pani; Craig mówił mi o tym.

Katherine patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

— Zapomniałam — powiedziała powoli.

Hank Ayhner. Kiedyś dawno temu Craig mówił, że Hank Aylmer zaproponował, by towarzyszyli mu w jednej z jego podróży do wiosek eskimoskich. Są porzrucane po całym kraju, powiedział; to będzie prawdziwie krajoznawcza wycieczka. Porzrucane po całym kraju. Hank Aylmer mógłby jeździć od wioski do wioski, z jednej prowincji do drugiej i za każdym razem z innej miejscowości wysyłać pieniądze do rodziny Craiga.

— Gdzie mogę go znaleźć? — spytała. — Gdzie mogę znaleźć Hanka?

— W domu, z tego, co ostatnio słyszałam — odparła Elissa. — Ale on nic nie wie o Craigu. Już go pytałam.

— W domu? Gdzie to jest?

— W Calgary — odrzekła Elissa. — To na drugim końcu miasta. Chce pani do niego zadzwonić?

— Tak! — krzyknęła podekscytowana. Oczywiście że Hank wie, gdzie jest Craig. Nie powiedział nic Elissie, bo na pewno Craig prosił go o to. Ale musi powiedzieć Katherine; musi powiedzieć żonie Craiga. — Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Tu ma pani jego numer. Będę w kuchni, gdyby mnie pani potrzebowała.

— Dziękuję — odrzekła Katherine wykręcając numer, a gdy Hank odezwał się, mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce.

— Hank Aylmer, słucham.

— Mówi Katherine Fraser. Poznaliśmy się parę lat temu, Hank, pamiętasz? Przedstawił nas sobie mój mąż, Craig Fraser.

Po drugiej stronie panowała cisza.

— Hank?

— Tak, słucham. Powiedziała pani: Katherine Fraser?

— Hank, nie udawaj. Pamiętasz to nazwisko, tak jak pamiętasz nazwę każdego szczepu eskimoskiego od Alaski aż po Zatokę Hudsona; i mnie też pamiętasz.

W słuchawce zadudnił śmiech.

— Pewnie, że pamiętam. I dwójkę dzieciaków. Jennifer i Todd, prawda? Jak się mają?

— Świetnie. Chciałyby zobaczyć swego ojca.

— Tak, tak. Czasem traci się kontakt z przyjaciółmi, Katherine. Nie widziałem Craiga już całe wieki.

— Gdzie on jest, Hank?

— Trudno powiedzieć. Z tego, co wiem, wyjechał z Vancouver jakiś czas temu...

— Dokładnie piętnaście miesięcy.

— No tak, to już tyle czasu. Ale nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest. Nie jestem przecież jego aniołem stróżem.

— Widujesz się z nim co miesiąc. Daje ci pieniądze, które wysyłasz do mnie za każdym razem z innego miasta.

— Cóż, widzę, że masz... bogatą wyobraźnię, Katherine. Chciałbym ci pomóc, ale naprawdę nie potrafię.

— Hank, chcę się z nim zobaczyć. Chcę z nim porozmawiać. Powtórzysz mu to?

— Katherine, wyciągasz bardzo pochopne wnioski.

— W porządku, nie musisz odpowiadać. Po prostu mnie wysłuchaj. Powiedz mu, że dostałam róże, które mi przysłał na urodziny, i podziękuj mu ode mnie. Powiedz mu, że chcę, żeby przyjechał do San Francisco. On wie, gdzie mieszkam; powiedz, że czekam na niego. Słyszysz?

— Tak, ale nie powinnaś się łudzić, Katherine.

— Wysłuchaj mnie tylko. Powiedz mu, że wszyscy troje na niego czekamy. Tylko my troje. Zapamiętaj to, Hank; to bardzo ważne. Powiedz mu, że tylko ja i dzieci. Nikt inny.

— Chcesz powiedzieć, że nie związałaś się z nikim, tak?

Westchnęła ciężko.

— Właśnie to. Przekarzesz mu?

— Tego nie powiedziałem. Chciałem tylko dobrze cię zrozumieć.

— Chcę, żeby przyjechał do San Francisco! Powtórzysz mu? Proszę cię, Hank. Skoro on nie chce powiedzieć, gdzie mam go szukać, to musi przyjechać do mnie.

— Dobrze.

— Powiesz mu to?

— Jeśli się z nim spotkam, to mu powiem.

— Kiedy?

— Katherine, jeśli go zobaczę, powtórzę mu wszystko, co mówiłaś. To ci obiecuję. Nic ponadto nie mogę zrobić. W porządku?

— W porządku — odparła.

— A więc do widzenia i pozdrów ode mnie te śliczne dzieciaki.

— Pozdrowię. — Odłożyła słuchawkę patrząc przed siebie. W drzwiach pojawiła się Elissa.

— Niczego nie wiedział?

— Nie chciał nic powiedzieć. Zostawiłam u niego wiadomość.

— Żeby Craig zadzwonił do pani?

— Żeby przyjechał do San Francisco. Muszę się z nim zobaczyć. Elissa wyciągnęła rękę.

— Jeśli przyjedzie do pani... i jeśli zdecydujecie, że nie chcecie dalej być razem...

— Wtedy powiem mu, że pani na niego czeka. Przez długą chwilę patrzyły na siebie.

— Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami — powiedziała Elissa.

Katherine uśmiechnęła się do niej.

— Myślę, że już rumi jesteśmy, nie sądzi pani?

Katherine szybko przeszła przez pokój, ucałowała Elissę w policzek, po czym ruszyła w stronę drzwi frontowych.

— Dziękuję — powiedziała.

Później, już w samolocie, jeszcze raz w myślach podziękowała Elissie za to, że dzięki niej po dziesięciu latach małżeństwa zdołała poznać swojego męża.

I znów Katherine spędzała całe dni i wieczory przy swoim warsztacie. Nabywała coraz więcej pewności siebie i pracowała coraz szybciej, a kiedy przychodził jej do głowy jakiś pomysł i zaczynała przenosić go na papier, od razu wiedziała, czy pasuje do tego rodzaju biżuterii, którą aktualnie sprzedawała, czy też jest tak niezwykle i oryginalny, że musi na razie trafić do teczki na półce nad stolikiem opatrzonej napisem „Henri Flambeau”.

— Nigdy nie uda mi się sprzedawać w najlepszych sklepach San Francisco — powiedziała do Victorii przy kolacji jakiś tydzień po wizycie u Elissy. — Nie będą chcieli ryzykować. A małe sklepiki, z którymi teraz współpracuję, nie zechcą kupić moich tak zwanych „ambitnych” projektów. Kiedy więc nazbieram ich odpowiednio dużo, spróbuję swoich sił w Paryżu.

— Nie potrzebujesz jechać do Paryża — odparła cierpkim głosem Victoria. — Chciałam, żeby Henri wprowadził cię na obcy rynek, ale markę powinnaś wyrobić sobie tutaj.

— Nie w sytuacji, kiedy Herman Mettler roznosi o mnie plotki.

— Nie będzie tego robił wiecznie; jest zbyt leniwy i egocentryczny, żeby przez dłuższy czas zawracać sobie głowę kimś innym.

— Ale ja nie mogę czekać wiecznie; ledwie starcza mi na utrzymanie, a obiecałam dzieciom, że rozejrzemy się za większym mieszkaniem. Poza tym chciałabym, żebyśmy wyjechali gdzieś na Święto Dziękczynienia, tylko we trójkę.

— Żeby uniknąć rodzinnej kolacji — dokończyła Victoria. — Dlaczego jesteś taka niemądra? Dlaczego nie możesz rozwiązać swego dylematu będąc jednocześnie z Rossem?

— Nie jesteśmy na to przygotowani — odrzekła Katherine.

— Nonsens! Miłość to nie pieczony indyk, który już jest albo jeszcze nie jest gotowy. Ona po prostu istnieje i powinnaś dać jej się ponieść. Może zadzwoniłabyś teraz do Rossa? Zdażyłby jeszcze na deser.

— Nie — odparła Katherine.

Ale w myśli uśmiechała się planując, że któregoś dnia powie Rossowi, iż Victoria porównała ich miłość do pieczonego indyka.

Ciągle nie było żadnej wiadomości od Craiga ani od Hanka Aylmera. Ross nie dzwonił, a i ona nie dzwoniła do niego. Victoria uległa prośbie Katherine, aczkolwiek niechętnie, i nie zapraszała jej i Rossa w te same dni, więc nie było możliwości, by spotkali się

niespodziewanie. Bez Rossa dni wydawały się jakieś zubożone, spłycone: nie mogła się z nim podzielić ani jakimś ciekawym artykułem w gazecie, ani jedną z niesamowitych fantazji Todda, ani niezwykle pięknym klejnotem. Ogarniała ją wtedy ogromna tęsknota, a zaraz potem frustracja, że Ross pozwolił Craigowi odejść. Później przychodziło zniecierpliwienie, bo Craig ciągle nie dzwonił, i w końcu w głowie miała zupełny mętlik, całe mnóstwo spraw wymagało przemyślenia.

Jednak ręce wciąż z tą samą prezycją tworzyły coraz to nowe klejnoty, które w osobnych pudełeczkach, opatrzone karteczką z ceną, leżały na półce. W ramach eksperymentu Katherine zrobiła dwie klamerki do pasków, o nieregularnym kształcie, ze srebra uformowanego w delikatne koronkowe wzory i przypadkowo rozrzucone płatki kwiatów. Aby odpowiednio je zaprezentować, kupiła do jednej ciemnoniebieski aksamit, a do drugiej jedwab w kolorze czerwonego wina; zrobiła dwa szerokie paski i umocowała na nich klamerki. Jeden z pasków — na szczęście, jak powiedziała do siebie — włożyła, gdy szła do banku, by porozmawiać o kredycie.

Przez długi czas starała się nie myśleć o tej ewentualności, ale gdy pod koniec września zsumowała wszystkie nie zapłacone jeszcze rachunki i porównała tę kwotę z sumą, którą spodziewała się dostać za biżuterię, liczby nie zgadzały się. Zresztą rzadko kiedy się zgadzają, pomyślała z kwaśną miną. Ale jeśli rozłożę spłatę kredytu na rok, raty będą niższe. I będziemy wtedy mogli pojechać gdzieś na Święto Dziękczynienia.

W banku wypełniła odpowiedni formularz i wręczyła go urzędnikowi, spodziewając się wnikliwych pytań — tak jak wtedy gdy pierwszy raz starała się o kredyt. Ale tym razem było inaczej. Urzędnik szybko przejrzał formularz, wystukał coś na klawiaturze komputera i po chwili odczytał z ekranu jej nazwisko i adres.

— Otrzymała pani kredyt w czerwcu — powiedział. — Raty spłaciła pani w terminie w lipcu, sierpniu i wrześniu. Niedawno za kredyt poręczono... — czytał dalej cicho. — Cóż, pani Fraser, nie widzę żadnego problemu. Liczymy od przyszłego poniedziałku, czwartego października. Kredyt na dwanaście miesięcy. Umowa będzie gotowa za kilka minut; komputer ją wydrukuje, to prawdziwy cud techniki, prawda? — Odwrócił się do komputera i zaczął coś pisać.

— Chwileczkę — zaczęła Katherine. — Chyba wkradł się jakiś błąd. Nikt nie poręczał mojego kredytu; właśnie dlatego przyniosłam kontrakty, jakie zawarłam z trzema sklepami jubilerskimi...

— Zgodnie z naszą dokumentacją za kredyt poręczył Ross Hayward dwudziestego piątego września. Dokładnie trzy dni temu. Dlatego oczywiście nie ma żadnych przeszkód, żeby zaciągnęła pani nowy. — Znów zajął się pisaniem.

Katherine otworzyła usta ze zdziwienia, ale opanowała się. Ross wiedział, że nie przyjmie od mego pieniędzy, więc znalazł inny sposób, by jej pomóc. Sprytnie posunięcie, pomyślała; nikt przy zdrowych zmysłach nie odmówiłby przyjęcia poręczenia.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniła do niego do biura.

— Właśnie byłam w banku — wyrzucała z siebie słowa jedno za drugim, by w ten sposób stłumić tęsknotę, jaka nią owładnęła na dźwięk jego głosu, nie słysząc zaskoczenia i radości, z jaką ją przywitał. — Dowiedziałam się, że poręczyłeś za mój kredyt. To wspaniały gest z twojej strony. Dziękuję ci.

— Nie ma za co — odparł. — Jak się masz, Katherine? Victoria mówiła mi, że ciężko pracujesz.

— Owszem. To samo zresztą mówi mi o tobie.

— A zatem ma rację w obydwu przypadkach. Sprzedałaś coś do jakichś nowych sklepów?

— Nie. Pracuję nad kolekcją dla Henriego. A czy ciągle trwają prace nad Macklin Building?

— Musiały zostać odłożone na dwa, trzy tygodnie.

— Och, to niedobrze. — Zrobiła krótką przerwę. — Byłam w Calgary — powiedziała nagle. — Spędziłam cały dzień z Elissą.

— Byłaś w Calgary! To musiało być dla ciebie trudne.

— Okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam. Elissa jest bardzo przystępną osobą. Powiedziała mi o wielu rzeczach, o których nie miałam pojęcia...

— Polubiłaś ją?

— Tak. I rozumiem, dlaczego Craig do niej jeździł. Ona tak bardzo go kocha i ciągle na niego czeka...

— Nawet teraz, skoro wie o telefonie Craiga?

— Nie powiedziałam jej o tym — wyznała Katherine ze smutkiem w głosie. — Nie mogłam tego zrobić; bardzo bym ją tym

unieszczęśliwiła, a i tak niczego by to nie zmieniło, przynajmniej na razie, dopóki ja i Craig... — głos jej się załamał. — ...nie porozmawiamy.

Zapanowało długie milczenie, bo obydwójce przypomnieli sobie, jak bardzo Katherine była wściekła na Rossa za to, że nie powiedział jej o Elissie.

— Cóż — przerwał milczenie Ross. — Chyba sam kiedyś coś takiego zrobiłem.

— Nie powinnam była zatajać tego przed nią — stwierdziła Katherine niepewnym głosem.

— Być może. Ale obchodziło cię to, co ona czuje. Szczęściara z niej, że trafiła na kogoś takiego jak ty.

Nie dokuczaj mi z powodu tamtej sprawy, powiedziała do niego w myśli. A po chwili na głos oznajmiła:

— Chyba muszę się nad tym zastanowić.

— To dobrze. — Jego głos emanował ciepłem.

— Chciałam ci jeszcze o czymś powiedzieć. Rozmawiałam z przyjacielem Craiga, z tym, który co miesiąc wysyła pieniądze.

— Przyznał się do tego?

— Nie. Ale i nie zaprzeczył. Jestem pewna, że on utrzymuje kontakt z Craigem, i prosiłam, by mu przekazał, że chcę, by przyjechał do mnie.

— Żeby wrócił do ciebie?

— Powiedziałam, że chcę z nim porozmawiać. Miałam nadzieję szybciej otrzymać od mego jakąś wiadomość, ale może Hank potrzebuje więcej czasu, żeby się z nim skontaktować. Jeśli w ogóle to zrobi. Myślę jednak, że Craig niedługo się tu zjawi.

— Wiesz już, co mu powiesz?

— Ciągłe się nad tym zastanawiam.

— To dobrze — stwierdził znowu.

— Ross, Victorii i Tobiaszowi nie wspominałam nic o Elissie.

— Oczywiście, że nie.

Katherine usłyszała, że drzwi się otwierają; Jennifer i Todd wrócili ze szkoły.

— Muszę już kończyć — powiedziała. — I jeszcze raz dziękuję. Jestem ci wdzięczna za pomoc.

— Cieszę się, że mogłem to dla ciebie zrobić. Uważaj na siebie, Katherine.

Odłożyła słuchawkę, odwróciła się i zobaczyła dwie niezadowolone twarzyczki.

— O co chodzi? — spytała.

— O nic — odparł Todd i ruszył w stronę lodówki.

— Jennifer?

— W szkole zapowiedzieli Kolację z Tatusiem; ma się odbyć za dwa tygodnie.

— Kolację z Tatusiem?

Todd trzasnął drzwiami od lodówki.

— Wymyślił to jakiś durny nauczyciel; w zeszłym roku nie było nic takiego.

Trzeba przyjść z tatą i będzie uroczysta kolacja na sali gimnastycznej, a potem niektórzy ojcowie razem z dziećmi wezmą udział w przedstawieniu.

— To na cześć ojców — dodała Jennifer. — Cokolwiek to znaczy.

— Myśleliśmy, że wypożyczymy Rossa — ciągnął Todd bezceremonialnie, odkrajając kawałek sera. — Ale ostatnio się tu nie pojawia.

— To prawda — odparła Katherine. — Chcesz krakersy? — zapytała.

— Pewnie. A co się dzieje z Rossem?

— Nic szczególnego. Po prostu jest bardzo zajęty...

— Aha.

Katherine wyjęła paczkę krakersów i podała ją Toddowi.

— Czasami ludzie przestają się widywać. Wciąż są przyjaciółmi, ale nie są ze sobą cały czas.

— Bywa, że nie są ze sobą wcale — wtrąciła Jennifer. — Pokłóciliście się?

— Mieliliśmy pewne nieporozumienie. I uznaliśmy, że tylko wchodzimy sobie w drogę, akurat wtedy gdy musimy przemyśleć parę ważnych spraw.

— Na przykład jakich? — zaciekawiał się Todd.

— Na przykład czy powinniśmy spędzać ze sobą tyle czasu, kiedy ja czekam na powrót waszego taty.

Todd wytrzeszczył oczy, po czym spytał prosto z mostu:

— Czy kochasz Rossa bardziej niż tatę?

Katherine poczuła, że ścisną ją w gardle. Powinnam była się tego spodziewać, pomyślała.

— Kocham obu, ale każdego inaczej — odrzekła w końcu. — A was kocham jeszcze inaczej. I Victorię, i Tobiasza też.

— To dlaczego nie możesz być z Rossem i jednocześnie myśleć o czekaniu na tatę?

— Bo się rozpraszam — odparła nieco podenerwowana. — To trudno wyjaśnić...
Todd ponuro pokręcił głową.

— Kiepska wymówka — oznajmił i popatrzył na Katherine z ukosa. — Dlaczego nie możesz znaleźć sobie faceta, który chciałby z tobą zostać?

— Todd! — krzyknęła Jennifer. — Jesteś podły!

— To prawda — zgodziła się Katherine czując się zraniona. Ile można im wybaczać, zastanawiała się, tylko dlatego że są dziećmi, są zdezorientowani i nie mają wielkiego wpływu na swoje życie? Niewiele. Ale ja też mam zamęt w głowie i nie bardzo umiałam panować nad sytuacją, kiedy Craig nas opuścił. — To był chwyt poniżej pasa i myślę, że należą mi się przeprosiny.

Todd zerknął spode łba.

— Przepraszam. Po prostu bardzo bym chciał, żebyśmy mieli ojca.

— Nie tylko ty byś chciał — stwierdziła Katherine.

— A wujek Tobiasz? — zachichotała Jennifer. — Może jego byśmy wypożyczyli?

— Myślę, że razem świetnie byście się bawili — odparła Katherine.

— Poważnie?

— Poważnie. On nigdy nie był ojcem; to byłoby dla niego coś nowego.

— Ja jestem za! — krzyknął Todd. — Jest lepszy od Rossa! — Zerknął na pozbawioną wyrazu twarz Katherine. — Chciałem powiedzieć, że nikt nie będzie miał takiego ojca.

— Mogę do niego zadzwonić? — spytała Jennifer.

— Dlaczego nie? — odparła Katherine. — A potem pomożecie mi w kuchni. Mamy gości na kolacji.

— A smaczni będą? — spytał Todd prowokując Katherine do uśmiechu.

Nie tylko się uśmiechnęła, ale i przytuliła go.

— Ciężko strawni, ale słodcy. To Leslie i Claude.

Roześmieli się wszyscy. Gdy Jennifer poszła do telefonu, a Todd kończył krakersy z serem, Katherine westchnęła. Udało się ominąć kolejny kryzys, przynajmniej na jakiś czas.

Jennifer stała cały czas obok Claude'a, gdy otwierał przyniesioną przez siebie butelkę hiszpańskiej sherry i napełniał trzy kieliszki. Prawnik popatrzył na jej poważną twarzyczkę.

— Czy ty i Todd chcecie troszkę spróbować?

— Nie, dziękuję. Nie chciałabym zranić pańskich uczuć, ale naszym zdaniem to smakuje obrzydliwie.

Claude uśmiechnął się.

— Nie czuję się zraniony. Chcesz mnie o coś zapytać?

— Todd i ja chcielibyśmy wypożyczyć pana na jeden wieczór, żeby wystąpił pan w roli naszego ojca.

Na twarzy Claude'a odmalowało się osłupienie, Katherine oniemiała, a Leslie była wyraźnie zaintrygowana.

— Zaplanowaliście to z kimś wspólnie? — spytał Claude.

— Nie, tylko my — odparła Jennifer. — Potrzebujemy ojca na Kolację z Tatusiem w szkole, a naszego własnego nie ma i nie możemy też poprosić Rossa, bo on i mama wchodzą sobie w drogę, kiedy muszą myśleć o ważnych rzeczach, więc Ross już do nas nie przychodzi i prosiłam też wujka Tobiasza, ale on ma tego wieczoru kolację na uniwersytecie, a pan akurat jest u nas.

— No tak — przyznał Claude. Jennifer i Todd wpatrywali się w niego. — To dla mnie zaszczyt wystąpić w roli waszego ojca. Ale jeszcze nigdy nie byłem ojcem i nie jestem pewien, czy potrafię zachowywać się tak, jakbyście sobie tego życzyli.

— Po prostu niech pan będzie z nami jakiś czas — mruknął Todd.

— Dłużej niż jeden wieczór? — upewniał się Claude.

— Nie — odparła Jennifer. — Jeden wieczór wystarczy. To równo za dwa tygodnie licząc od jutra, w środę, odpowiada panu? — Claude skinął twierdząco głową. — Czy mógłby pan przyjść o wpół do szóstej? Moglibyśmy iść do szkoły razem. Wszystko powinno się skończyć przed ósmą, więc jeśli będzie pan miał jakieś ważniejsze sprawy, to jeszcze zdąży je pan załatwić.

— To będzie dla mnie najważniejsza sprawa tego dnia — zapewnił ich Claude. — Czy będę musiał coś robić? Śpiewać albo tańczyć?

— A czy na co dzień śpiewa pan albo tańczy? — zapytała Jennifer.

— Nie. Zdecydowanie nie.

— No to nie będzie pan musiał. Niech pan tylko będzie z nami.

— Z przyjemnością. A teraz jeśli pozwolicie...

Podszedł z tacą do Katherine i Leslie, które przestały szeptać i patrzyły teraz na niego, uśmiechając się pod nosem.

— Zdumiewasz mnie — powiedziała Leslie, gdy Claude usiadł obok niej na sofie.

— Gdzie nauczyłeś się rozmawiać z dziećmi?

— Nie rozmawiam z dziećmi. Rozmawiam z ludźmi. Leslie, czy ty i Katherine zaplanowałyście to wspólnie?

— Do licha, oczywiście, że nie. Wiesz, że nie jestem aż tak przebiegła.

— Co to znaczy? — zainteresowała się Katherine. Leslie trzymała kieliszek za nóżkę.

— Katherine, czy wypijesz za naszą doniosłą decyzję o zawarciu małżeństwa?

Uśmiech rozjaśnił twarz Katherine.

— To cudownie! Oczywiście, że wypiję. Za szczęście, które was czeka. — Gdy spełnili już toast, zapytała: — Ale wciąż nie rozumiem...

— Widzisz, odbyliśmy poważną dyskusję. Ja chcę mieć dziecko. Claude, jako pięćdziesięciolatek, nie uważa...

— Mam pięćdziesiąt jeden lat.

— ...prawie pięćdziesięciojedynolatek, nie uważa, że jest w najlepszym wieku do zostania ojcem. Kiedy więc przychodzimy do was i niemal natychmiast dzieci proszą go, by został ich ojcem, nawet jeśli tylko na jedną noc, to on naturalnie, albo nienaturalnie, robi się podejrzliwy. A ja, w przeciwieństwie do niego, uważam to za cudowny zbieg okoliczności. To jak próba generalna.

— A co tu ma do rzeczy pięćdziesiąt jeden lat? — zwróciła się Katherine do Claude'a.

— Mam już ustalone nawyki, a planując swój rozkład dnia czy nocy nigdy nie musiałem naginać go do niemowlaka, już dawno zapomniałem, jakie problemy miewa małe dziecko, a w dodatku

będę miał sześćdziesiąt jeden lat, kiedy ono zechce grać w baseball. Powiedz, co ze mnie za ojciec?

— Może trochę wolno biegający za paką — odparła Katherine. — Ale jeśli nauczysz się dobrze atakować, a prawnikom często się to udaje, to reszta nie ma znaczenia. — Claude zachichotał. — Poza tym — ciągnęła Katherine — powiedziałaś przed chwilą, że nie rozmawiasz z dziećmi, tylko z ludźmi. Jeśli chcesz wiedzieć, jakie problemy miewa małe dziecko, pomyśl, jakie mają dorośli; zapewniam cię, że niewiele się one różnią.

— Bezbłędne rozumowanie — stwierdził z podziwem Claude. — Czy twoim zdaniem Leslie będzie szczęśliwa jako gospodyni domowa?

Katherine spojrzała na przyjaciółkę.

— Zrezygnujesz z pracy?

— Skąd mam to wiedzieć? — odrzekła Leslie zdenerwowana. — Claude twierdzi, że jeśli powalczę, to mogę zostać prezesem „Heatha”. Ale może ja nie mam ochoty walczyć. Albo mam, ale jeszcze nie teraz. Może przez jakiś czas chcę posiedzieć w domu. A może zdecyduję robić jedno i drugie jak mogąca wszystko czarodziejka z bajki. Czy muszę podejmować decyzję w tej chwili?

— Nie — odrzekł Claude. — I przepraszam, że naciskałem. — Dotknął ręką jej głowy i zaczął głaskać jej skręcone rude włosy i kark. — Uwielbiam tę dziewczynę — powiedział do Katherine. — Chcę ją zabrać na wakacje do Włoch i w rejs przy świetle księżycy po skandynawskich rzekach i przelecieć się z nią balonem nad Himalajami, ale ona na razie mówi tylko o dziecku. Podejrzewam też, że tak naprawdę chodzi jej o dwójkę, ale jak dotąd udało mi się uniknąć poruszania tej kwestii. No cóż, moja kochana Leslie, myślę, że powinniśmy mieć dziecko, wtedy przekonamy się, jak nam z tym będzie. Jeśli nie bardzo nam się z nim ułoży, to oddamy je Jennifer i Toddowi.

— Co zrobicie? — krzyknęła Jennifer z drugiego końca pokoju. Leslie pocałowała Claude'a.

— Wychodzę za mąż za błazna. Wszystko się ułoży. W razie czego zawsze możemy przyjść do Katherine po mądrą radę.

Katherine poderwała się na równe nogi.

— Zapomniałam o ryżu — krzyknęła i pobiegła do kuchni. Leslie poszła za nią.

— Co się dzieje?

— Nic. — Zmniejszyła troszkę płomień. — Wy dwoje sprawiacie wrażenie takich szczęśliwych. I spokojnych.

— Ale ty nie. O co chodzi z Rossem? Czy nie mogę wyjechać na parę dni, żebyś nie wpakowała się w jakieś kłopoty?

Katherine uśmiechnęła się.

— Postanowiliśmy na razie się nie spotykać. A Jennifer i Todd traktują to jak rozwód.

— Bardzo lubią Rossa.

— Wiem. On umie z nimi postępować.

— Więc jeśli o niego chodzi, co zamierzasz zrobić?

— Nic. Dopóki nie rozwiążę sprawy Craiga.

— Na przykład nie rozwiedziesz się z nim?

— Może.

— Alternatywą jest powrót do niego.

— Wiem.

— Słuchaj, dziewczyno, chyba nie masz zamiaru tego zrobić.

— Chyba nie.

— Czego ty właściwie chcesz, Katherine?

— Myślę, że chcę być z Rossem. Ciągłe próbuję jakoś to sobie ułożyć; jeszcze wszystkiego nie rozumiem. Nawet nie potrafię o tym rozmawiać, Leslie. Pomówmy o czymś innym.

Leslie milczała przez chwilę.

— Dobrze. — O czymś wesołym, dodała w myśli. — I tak zamierzałam cię o to zapytać. Gdzie kupiłaś ten pasek? Zrobiłaś go sama?

Katherine zerknęła na pasek.

— Tak. Zapomniałam, że mam go na sobie. Włożyłam go na szczęście.

— I poskutkowało?

— Tak.

— Czy mogłabyś zrobić taki dla mnie?

— Żeby przynosił ci szczęście?

— Bo jest fantastyczny i też chcę taki mieć.

— Mogę ci dać już teraz. Który wolisz: jedwabny w kolorze burgunda czy ciemnoniebieski aksamitny; możesz zmieniać materiał i za każdym razem będziesz miała inny pasek.

— A ile ich masz?

— Dwa.

— Ile czasu potrzebujesz na zrobienie jednego?

— Nie wiem. Nie patrzyłam na zegarek. A dlaczego pytasz?

— Bo chciałabym sprzedawać je u siebie. Mogłabyś zrobić mi tuzin takich pasków?

— Ile tylko zechcesz. Naprawdę myślisz, że będą się sprzedawały?

— Jasne; w dziale biżuterii albo w Empire Room. Może nawet suknię ślubną wybiorę tak, by pasowała do tego paska.

— Kiedy? — spytała Katherine. — Leslie, bardzo cię przepraszam; trochę się zamyśliłam i nawet nie spytałam, kiedy odbędzie się ślub.

— I tak byśmy ci powiedzieli; w końcu będziesz w to włączona. Chyba na Boże Narodzenie. Do tego czasu ty i Ross rozwiążecie już swoje problemy i będziecie naszymi świadkami. Będziecie, prawda?

Katherine zapaliła świece i wyłączyła światło.

— Bardzo się cieszę, że zostanę twoim świadkiem. Ale nie mogę wypowiadać się za Rossa. Leslie, czy mogę cię prosić o przysługę?

— O co zechcesz.

— Chciałabym zrobić wam obrączki.

— To ma być przysługa? Miałam zamiar prosić cię na kolanach, żebyś znalazła na to trochę czasu! Dlaczego ma to być przysługa?

— Bo będę mogła zaangażować się w to całą duszą — odparła Katherine. — Zawsze tak robię, gdy tworzę moje najlepsze klejnoty; wyobrażam sobie, że to ja sama włożę je na jakąś szczególną okazję.

— W takim razie coś ci zaproponuję. — Leslie otoczyła przyjaciółkę ramieniem. — Zrób dwa komplety. Twoja wyobraźnia będzie pracować dwa razy wydajniej, a w rezultacie będziesz miała dodatkową parę, gdyby trafiła się jakaś szczególna okazja.

Katherine roześmiała się.

— Właściwie mogę zrobić dwa. Dlaczego nie? Ale teraz zaprosimy już do stołu dzieci razem z ich wypożyczonym ojcem. Zjemy rodzinną kolację.

Rozdział dziewiętnasty

W piątek pierwszego października o 9.34 rano nastąpiło trzęsienie ziemi i całe San Francisco oraz tereny wokół miasta zatrzęsły się w posadach. Epicentrum znajdowało się pod wodami zatoki. Siłę trzęsienia oceniono na 4.7 w skali Richtera. Nikt nie uważał go za potężne, a zwłaszcza ci, którzy pamiętali znacznie groźniejsze w skutkach wstrząsy przed piętnastoma laty; było jednak na tyle silne, że meble się poprzesuwały, naczynia pospadały z półek, trzaskały drzwi i z tysięcy filiżanek wylewała się kawa. Ross siedział akurat na koźle do cięcia desek w magazynie na BayBridge Plaża i wspólnie z kierownikiem budowy przeglądał plany, gdy nagle odczuł wstrząsy. Koziół zachwiał się pod nim i Ross spadł na ziemię. — Ross! — krzyknął ktoś. — Uważaj!

Ross instynktownie przeturlał się na bok i w tej samej chwili stos drewna zachwiał się i zwałił na ziemię, zasypując go chmurą kurzu.

Przez dziesięć sekund ziemia się trzęsła. Budynki trzeszczały, a w powietrzu unosiła się brązowa mgiełka z tynku i drewnianych wiórów. Wkrótce odezwały się wszystkie walkie-talkie, bo robotnicy z różnych części placu budowy nawzajem informowali się o sytuacji.

„Sektor pierwszy w porządku...” „Kupa cegieł na dole w sektorze drugim”, „Sektor dziesiąty: zmiażdżyło paczkę ciasteczek” — Ross zachichotał wstając i otrzepując się. Chwilę potem zamarł w bezruchu. „Dwóch ludzi jest rannych w Macklin Building! Przyślijcie pomoc!”

Ross rzucił się naprzód przeskakując sterty drewna i ominąwszy prowizoryczną windę wpadł na schody. Na zewnątrz mgiełka kurzu przesłaniała budynki, sprzęt i robotników rozglądających się za narzędziami, które pospadały i poturlały się między porozrzucane wszędzie cegły i drewno. Ross przebiegi obok nich i pognął do Macklin Building, gdzie przy drzwiach stała grupka robotników i głośno się o coś sprzeczała. Podłoga zawalona była gruzem, a w rogu sufitu ziała wielka dziura.

— Przepuście mnie — krzyknął Ross przeciskając się między nimi.

— A za kogo ty się, u diabła, masz? — spytał jeden z nich.

— Jestem właścicielem tego budynku. Przestańcie wreszcie wrzeszczeć i niech ktoś mi powie, co tu się stało.

— Sufit się oberwał — rzucił ktoś ze złością. — Spadł na dwóch ludzi.

Jakiś mężczyzna leżał na podłodze. Ross przyklęknął przy nim. Ranny miał otwarte oczy i usta.

— Cholera — mruknął Ross. — Pieprzony sufit...

— Z nim nie jest najgorzej — wtrącił ktoś inny. — Ale Bud... Ross popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył kupę

rozwalonego betonu, spod którego wystawała ludzka noga. O Chryste, przemknęło Rossowi przez myśl. Żeby tylko żył; proszę cię Boże, żeby żył.

— Czy ruszał się? Robotnik przytaknął.

— Odsunęliśmy trochę tego gruzu, ale nie możemy się do mego dokopać. Ale poruszył się i coś powiedział...

— Nic nie mówił! — wrzasnął inny robotnik. — Nie powiedział ani...

— Czy ktoś zadzwonił po straż pożarną? — dopytywał się Ross.

— Pewnie — odparł korpulentny mężczyzna. Wtedy uszu wszystkich dobiegł dźwięk syreny. — Mają tempo — zażartował nerwowo. Wyciągnął z tylnej kieszeni flaszkę i przyklęknął obok Rossa. — Lekarstwo dla mojego przyjaciela — dodał.

Ranny podciągnął się nieco na łokciach i oparł o ścianę. Zauważył butelkę i sięgnął po nią. Nic mu nie będzie, pomyślał Ross. Ale noga drugiego mężczyzny ani drgnęła.

Teraz, znacznie bliżej, słychać było drugą syrenę; jej wycie przenikało ściany budynku, po czym nagle ucichło. Przybyły dwa wozy strażackie i karetka pogotowia. W parę chwil budynek zaroił się od strażaków i sanitariuszy.

— Nożyce! — wrzasnął ktoś i natychmiast przystąpiono do cięcia stalowych sztab wzmacniających betonowy sufit.

— Kołowrót szybko! Cholera, nie można podnieść tego betonu!

— Chcecie linę?

— Pewnie! Przerzućcie ją przez tę belkę...

— Trzeba podłożyć coś pod ten beton, żeby go podnieść...

— Pas...

— Może być; i haki z ciężarówki...

— No przywiążże tę pieprzoną linę do haków! Myślisz, że mamy na to cały dzień?

Ross przy pomocy robotników wsunął prowizoryczny temblak pod największą płytę betonu, a strażacy z bloku i wyciągu przymocowanych do górnej belki zmontowali kołowrót.

— Wszyscy mają pilnować, żeby ta płyta nie bujała się na boki, kiedy będziemy ciągnąć linę — polecił szef strażaków. — Rozumiecie?

— Zaczynajcie — powiedział Ross i razem z robotnikami przygotował się do zabezpieczania płyty, gdy ta drgnęła i zaczęła unosić się do góry.

— Jeszcze trochę! Jeszcze trochę! — komenderował szef strażaków. Ciągnął linę razem ze swoimi ludźmi. — Jeszcze! Teraz trzymajcie!... — Powoli płyta uniosła się do góry na kilkanaście centymetrów, odsłaniając nieruchomą sylwetkę. — Wyciągnijcie go! — wrzasnął strażak, a Ross i jeden z robotników już zaczęli usuwać odłamki gruzu i wyciągać rannego spod płyty.

— W porządku — wydusił z siebie Ross. Gdy puszczono linę, płyta z hukiem upadła na ziemię.

Dwóch sanitariuszy ułożyło bezwładną postać na noszach. Kiedy podłączyli go pod kroplówkę, Ross ujął drugą rękę rannego, by sprawdzić puls. Wyczuł go — silny i równomierny — i z ulgą przymknął oczy, licząc tętno przez pełną minutę.

— W porządku — powiedział znowu i wstał. — Zaraz, chwileczkę — zwrócił się do mężczyzny z butelką. — Dlaczego tu weszliście? Wszystkie prace w tym budynku zostały wstrzymane.

— Zostawiliśmy tu drut i wróciliśmy po niego. — Robotnik rozcierał sobie głowę. — Tylko na minutkę. I właśnie wtedy zatrzęśło.

Tylko na minutkę, powtórzył sobie w myśli Ross. To tyle w kwestii bezpieczeństwa. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął notes.

— Czy możesz mi podać nazwisko i adres tego człowieka? I telefon; trzeba zawiadomić jego rodzinę.

— Pewnie. Nic mu nie będzie?

— Na to wygląda — odparł jeden z sanitariuszy. Trzymał w ręku kroplówkę, a jego kolega przypinał rannego pasami do noszy. — Mniejsze kawałki betonu przytrzymały tę dużą płytę i dlatego go nie przywaliła. Ma szczęście facet — dodał podnosząc z kolegą nosze i ruszając w stronę karetki.

Ross przykucnął obok drugiego poszkodowanego.

— Poproszę nazwiska i adresy — powiedział. — Was obu.

— Mój kuzyn jest prawnikiem — odparł robotnik. — Muszę do niego zadzwonić.

— Nazwiska — powtórzył Ross, a gdy je notował, podszedł do niego kierownik budowy. Ross podał mu kartkę. — Greg, czy mógłbyś załatwić te telefony?

— Jasne. — Przez chwilę stał obok Rossa wpatrując się w ziejącą nad nimi dziurę w suficie. — Jeśli ktoś to spieprzył... — mruknął.

— Tak uważasz?

— Coś panu powiem: nie wiem. Myślałem, że pański inżynier zatwierdził plany zamocowania tych tymczasowych belek wspornikowych; mówił, że stado słoni mogłoby odtańczyć na nich polkę i przyznam się, że ja też tak myślałem. Pewnie że nie braliśmy pod uwagę trzęsienia, ale wszystko jedno, nie przyszłoby mi do głowy, że takie drobne drganko narobi takiego bałaganu. Cholera, teraz będą nam się tu kręcić prawnicy.

— Prawdopodobnie — zgodził się Ross. — Może załatwiłbyś teraz te telefony?

— Pewnie. Zaraz wracam.

Ross stał wśród gruzów. W gardle mu zaschło. Miał nadzieję,

że uda mu się naprawić budynek i zachować jego historię w tajemnicy, ale teraz wszystko wyjdzie na jaw. Dobrze wiedział, że jak na tak słaby wstrząs szkody są zbyt wielkie; musiał być jakiś inny powód: na pewno to, czego obawiał się od czasu przeczytania raportu inżynierów — niektóre kolumny nośne osiadły akurat na tyle, by spowodować pęknięcie sufitu. A ponieważ tymczasowe belki nie były na tyle wyporne, by dźwigać całą masę sufitu — a musiały ją udźwignąć, gdy kolumny osiadły — runęły i kawał sufitu spadł na ziemię.

A dwóch robotników było akurat pod nim.

Jeśli ci ludzie wniosą skargę przeciwko BayBridge, zostanie wszczęte dochodzenie... i na jaw wyjdzie ukrywana przez ojca i brata przez szesnaście lat sprawa nielegalnej zmiany w dokumentacji i przekupienia inspektora; sprawa, którą przez następne dwa miesiące po tym, jak w lipcu kazał sprawdzić budynek i nie mógł już dłużej twierdzić, że tylko podejrzewa nieprawidłowości, ukrywał nadal Ross Hayward.

Hayward Corporation jakoś to przeżyje, ale firmie Ross Hayward Associates może się to nie udać. Gdyby musiał wypłacić tym ludziom odszkodowanie, mogłoby go to zrujnować. I Victoria musiałaby patrzeć, jak jej marzenie zostaje zniweczone i staje się skandalem.

Chyba że uda się zatuszować sprawę.

Ross tak bardzo potrzebował teraz Katherine, że jej brak odczuwał niemal jak fizyczny ból. Nie zatajałbym tego przed nią, mówił sobie; podzieliłbym się z nią, poprosiłbym o pomoc. Będę musiał jej o tym powiedzieć.

Tylko że od pewnego już czasu o niczym z nią nie rozmawiał. Czekał, aż podejmie decyzję w sprawie swego męża.

Tak więc będzie musiał poradzić sobie sam. Właściwie rozwiązanie było bardzo proste: to tylko kwestia pieniędzy.

Katherine pytała kiedyś, czy Derek zamierzał zapłacić za naprawę fundamentów. Ross odpowiedział wtedy, że nie. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nadszedł czas, by po szesnastu latach Derek i ojciec ponieśli odpowiedzialność za Macklin Building.

Ross wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy trzęsienie wyrządziło szkody w jakichś innych budynkach. Wtedy właśnie do BayBridge przyjechała telewizja.

Wszyscy ci zapaleni dziennikarze biegali jak szaleni po terenie budowy w poszukiwaniu historyjek o trzęsieniu do wieczornych wiadomości i późniejszego programu specjalnego.

— Dzięki Bogu, że to się stało rano — mówili jeden do drugiego. — Nie ma nic gorszego niż wieczorne katastrofy; człowiek nawet nie ma czasu, żeby przygotować materiał filmowy.

Gdy Ross wrócił do Macklin Building, zastał przed nim Grega Thorpe'a, kierownika budowy, ze wstrętem patrzącego na dwie kamery i wycelowane prosto w jego twarz mikrofony. Na jego widok pomachał z ulgą.

— To Ross Hayward — powiedział do reporterów. — Twórca projektu BayBridge i właściciel Macklin Building.

Wszyscy natychmiast podbiegli do Rossa — reporterzy z dwu stacji telewizyjnych i ludzie z minikamerami na ramionach. Strzelając pytaniami jak z karabinu reporterzy zerkali jednocześnie na zegarki; w końcu mogli przedstawić tylko niewielką liczbę materiałów z trzęsienia, a w Macklin Building nie doszło tak naprawdę do żadnej sensacji — nikt nie zginął. Nawet nie trudziliby się, żeby tu przyjeżdżać, gdyby BayBridge nie było takie ważne.

— Te belki — zaczął jeden z nich. — Są tymczasowe?

— Dopóki nie zrobimy atrium — odrzekł Ross. — Musieliśmy.,.

— Dobrze, proszę pana, ale chodziło mi o to, czy one są bezpieczne?

— Oczywiście. — I szybko, nie pozwalając sobie przerwać, wyjaśnił, jak podparty jest sufit. — Nie pozwoliłbym na rozpoczęcie prac, gdybym nie uważał, że jest tu bezpiecznie. Nikt nie powinien wpuszczać robotników do budynku, który nie spełnia wymogów bezpieczeństwa.

— A więc broni pan swego inżyniera twierdząc, że jedyną przyczyną wypadku było trzęsienie ziemi, czy tak?

— Przejrzemy plany ponownie, ale nie mam żadnych wątpliwości, że zawalenie spowodowały wstrząsy.

— Dziękuję panu. Czy nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy zrobili kilka zdjęć wewnątrz?

Siedząc w bibliotece Victorii Ross oglądał relację telewizyjną skróconą do zaledwie trzydziestu sekund.

— Podczas dzisiejszego trzęsienia ziemi obrażenia odniosło dwóch robotników w Macklin Building — powiedział reporter. —

Jest on częścią kompleksu BayBridge Plaża usytuowanego na południe od Market.

Kamera przesunęła się po placu budowy, pokazała Macklin Building, a potem jego wnętrze — dziurę w suficie i gruz na podłodze. Następnie na ekranie pojawiła się ponura twarz Grega Thorpe'a.

— Belki tymczasowe zbudowaliśmy dokładnie według planów — powiedział Thorpe. — Chociaż myślę, że sam zrobiłbym mocniejsze.

Ross zerwał się na równe nogi.

— Kłamca! — rzucił.

— AJe to nie należało do mnie — ciągnął Thorpe. — Decydował inżynier pana Haywarda.

— Firma Ross Hayward Associates — wtrącił reporter, gdy na ekranie pojawiła się twarz Rossa — zatrudnia architektów zajmujących się projektem BayBridge Plaża i renowacją Macklin Building.

Patrząc na siebie w telewizji Ross pomyślał, że wygląda bardzo niekorzystnie i sprawia wrażenie, jakby poczuwał się do winy.

— Nikt nie powinien wpuszczać robotników do budynku, który nie spełnia wymogów bezpieczeństwa — powiedział. — Przejrzemy plany ponownie...

Teraz na ekranie pojawił się reporter mówiąc:

— Wydział Kontroli na razie pozostawił sprawę bez komentarza. Poza tym trzęsienie ziemi...

— A to sukinsyn! — krzyknął Ross, a Tobiasz wyłączył odbiornik. — Nie to miałem na myśli i on dobrze o tym wiedział.

— Napij się jeszcze trochę szkockiej — zaproponował Tobiasz. — Dobrze ci zrobi.

— Dobrze by mi zrobiła zmiana kierownika budowy. Jeśli w ogóle mam tam coś do powiedzenia, to kontrahent wyrzuci Grega jutro z samego rana. A na razie zadowolę się szkocką. Dzięki ci.

— Ross — odezwała się zaniepokojona Vicotria. — Nie będziesz się tym chyba zamartwiał, prawda? Ludzie zapomną o tym w natłoku innych relacji z trzęsienia. Zdarzyły się przecież znacznie poważniejsze wypadki niż u ciebie.

Ross pocałował Yictorię w policzek.

— Ja się tym przejmuję, ale ty nie powinnaś. Zajmę się tą sprawą. I niestety nie zostanę na kolacji; wrócę jeszcze na chwilę do biura.

— Panie Hayward — powiedział lokaj przy drzwiach. — Telefon do pana.

Ross pomyślał zaraz o reporterach i odrzekł:

— Nie ma mnie tu.

— To pani Fraser — dodał lokaj.

— Odbierz tutaj — powiedziała szybko Victoria. — My będziemy w jadalni.

Ross chwycił słuchawkę.

— Widziałam wiadomości w telewizji — zaczęła Katherine. — Martwiłam się o ciebie. Dzwoniłam do domu i do biura... Dlaczego nie wspomniano ani słowem o pracach przy fundamentach?

— Bo jeszcze się nie zaczęły. — Słuchając jej cichego głosu tak bardzo za nią zatęsknił, że prawie zaczął się jąkać. — Przełożono je na przyszły tydzień.

— Więc może ta sprawa wcale nie wypłynie. Ale jeśli będą próbowali doszukiwać się przyczyn wypadku, to czy będziesz musiał obarczyć winą inżyniera, żeby nie wnikali w to głębiej i nie natknęli się na sprawę fundamentów?

Ona widzi ten problem w całej rozciągłości, pomyślał Ross; ten wielki dylemat. Ochronić Victorię i korporację poprzez nieujawnianie sprawy fundamentów, czy przeciwnie, opowiedzieć o nich i w ten sposób nie dopuścić do oskarżenia jego własnej firmy o zastosowanie słabych belek.

— Może uda się zwalić całą winę na trzęsienie. Zwłaszcza że na całym terenie odnotowano różne szkody.

— Ten reporter przedstawił to tak, jakbyś ty ponosił odpowiedzialność.

— Chciał mieć sensacyjną relację i wypaczył moją wypowiedź. Victoria uważa, że to zbyt drobny wypadek, żeby długo o nim pamiętano. I może ma rację.

— Ale ona nie wie o fundamentach. Ross, czy mogłabym ci jakoś pomóc?

— Przyjedź do mnie. Pomożesz mi przebrnąć przez cały ten bałagan i wszelkie jego konsekwencje. Nikt inny nie wie o mnie

tyle, żeby tak w lot zrozumieć, co czuję, a ty rozumiałaś. Potrzebuję takiego zrozumienia. I potrzebuję ciebie. Kocham cię, chcę, żebyś była przy mnie, żebyś była częścią mnie samego. Usłyszał w słuchawce jej przeciągłe westchnienie.

— Mogłabym teraz przyjść. Ale byłoby tak jak kiedyś.

— To nie wystarczy. Powiedziałem, że chcę, byś była częścią mnie.

— Nie miałam wiadomości od Craiga ani od Hanka. Ciągłe czekam.

— Ale jednak do mnie zadzwoniłaś.

— Martwiłam się o ciebie. A nie mogę tak po prostu zapomnieć o tym, co czuję.

— Katherine, musi nadejść taka chwila, kiedy podejmiesz decyzję sama, bez Craiga. Nie możesz czekać w nieskończoność.

— Nie...

— No więc kiedy to nastąpi? Kiedy powiesz sobie, że już wystraszająco długo czekałaś?

— Nie wiem. Nad tym też się zastanawiam. Ross, proszę, zaufaj mi. Muszę tak postąpić. Jeśli nie chcesz, żebym do ciebie dzwoniła, to więcej nie będę.

— Oczywiście, że chcę, żebyś dzwoniła. Kilkanaście razy dziennie chwytam za słuchawkę chcąc wykrecić twój numer. Gdy tylko coś się zdarza, dobrego czy złego, pragnę zaraz podzielić się tym z tobą, a ciebie nie ma przy mnie.

— Ale nie dzwonisz.

— Nie. Bo wtedy zacząłbym cię popędzać z podejmowaniem decyzji, tak jak teraz to zrobiłem. A ty byś mi odpowiedziała, tak jak przed chwilą, że musisz tak postąpić. I ja to rozumiem. Katherine, jesteś wspaniałą kobietą; na gruzach, które zostawił za sobą twój mąż, zbudowałaś całkiem nowe życie zachowując przy tym dumę i godność; stawiasz czoło wszystkiemu, co cię spotyka, nie chowając się i nie uciekając; jesteś uczciwa wobec samej siebie. A ja nie chcę zmuszać cię, byś spróbowała zobaczyć wszystko tak, jak ja to widzę. Nie chcę stać ci na drodze i przeszkadzać w doprowadzeniu do końca tego, co zaczęłaś. Czy rozumiesz coś z tego?

— Tak — odparła miękko. — Wiesz, że im więcej mówisz mi o tym, czego dla mnie pragniesz, tym bardziej za tobą tęsknię?

— Mam taką nadzieję — odrzekł, a Katherine usłyszała uśmiech w jego głosie.

Gdy powiedzieli sobie do widzenia, nic się właściwie nie zmieniło; powrót Katherine nie wydawał się wcale bliższy, ale gdy Ross wstąpił do jadalni, by pożegnać się z Victorią i Tobiaszem, wciąż miał uśmiech na ustach, a słowa Katherine: „Tęsknię za tobą”, towarzyszyły mu w drodze do biura, gdzie zamierzał przygotować strategię działania w sprawie Macklin Building.

— Usiądź — powiedział Derek wskazując mu krzesło, ale nie przerywając rozmowy przez telefon. Ross zajął miejsce na sofie w przeciwnym końcu gabinetu i zaczął przeglądać pismo „International Architect” czekając, aż brat skończy pogawędkę. Gabinet Dereka, ze szkła, chromu i skóry w kolorze wiśniowym, dzielił się jakby na dwie części. W jednej stało biurko, krzesła i stół konferencyjny, druga przypominała salon. Na ścianach wisiały powiększone, podświetlone zdjęcia mostów, ulic handlowych, akweduktów, biurowców i autostrad, które zbudowała Hayward Corporation od czasów jej założenia w roku 1918. W rogu, niemal zupełnie przysłonięta przez ogromny fikus, wisiała fotografia przedstawiająca Macklin Building.

— Cóż, miło cię widzieć — powiedział Derek obracając się na krześle w stronę Rossa. — Nieczęsto składasz nam wizyty. Właściwie to nie widziałem cię od twojego wyjazdu do Paryża. Byłeś na Place des Vosges, tak?

Ross odłożył czasopismo.

— I w Menton.

— Tak słyszałem. Melania wspominała mi, że dzieciaki świetnie się bawiły.

— Wszyscy świetnie się bawiliśmy.

— A czy Katherine nauczyła się w końcu czytać francuskie menu? Zawsze czuła się wtedy bezradna.

— Katherine uczy się wszystkiego, na co ma ochotę — odparł Ross spokojnie. — I niełatwo ją przestraszyć. Przyszedłem porozmawiać z tobą o szkodach wyrządzonych przez trzęsienie w Macklin Building.

Lekki uśmiech pozostał na twarzy Dereka.

— Słyszałem o tym. My też mieliśmy trochę szkód, przesunęły nam się podkłady drogowe w Dały City, ale to nic poważnego. A więc? O czym chcesz porozmawiać?

— Spadający beton zranił dwóch robotników. Dziś rano dostałem list od ich prawnika: zamierzają podać do sądu mnie i moją firmę za niedopatrzenia. Żądają pięciu milionów dolarów.

— Chyba nie są przy zdrowych zmysłach. Czy to trwałe okaleczenia?

— Nie rozmawiałem z lekarzami. Ale wątpię w to, a ich prawnik nie domaga się odszkodowania z tego właśnie powodu, przynajmniej na razie. Wspomniał natomiast o przerwie w pracy, kosztach leczenia, terapii rehabilitacyjnej, szkodach moralnych, cierpieniu rannych i ich rodzin i jeszcze jednej czy dwóch rzeczach. Wszystko jest w tym Uście; przyniosłem ci kopię, bo ciebie też to dotyczy.

Derek potrząsnął przecząco głową.

— Nie mam z tym nic wspólnego. — Nie uśmiechał się już. — Nie mam też zbyt wiele czasu; czy chciałeś mi jeszcze o czymś powiedzieć?

— Wiesz, że tak. — Ross wyjął z teczki zdjęcia, które zrobił w piątek i wywołał w służbowej ciemni w sobotę rano. Po kolei wykładał je na stoliczek. — To południowa ściana Macklin Building z pęknięciami spowodowanymi osiadaniem... Tu jest wewnątrz pierwszego piętra, gdzie powstała szpara między ścianą a sufitem; a tu zawalony sufit... i podłoga w piwnicy... widać jak bardzo siadły kolumny. Poza tym masz tu jeszcze raport specjalistów od fundamentów, którzy w lipcu dokładnie zbadali podpory i podłoże. Możesz go zachować. Ale nie zwracaj sobie głowy czytaniem go teraz; i tak wiesz, co zawiera.

Derek patrzył na brata obojętnie. Nawet nie spojrzął na fotografie.

— Nie mam pojęcia, co jest w raporcie. I nic mnie to nie obchodzi.

Ross zamknął teczkę.

— Podjąłem prace mające na celu wzmocnienie fundamentów poprzez wpompowanie betonu pod i wokół kolumn nośnych; powinny zostać skończone do połowy października. Ja pokrywam koszty. Zapłacę również za naprawę szkód powstałych przy trzęsie-

niu. Ale zamierzam nie dopuścić, by ta sprawa trafiła do sądu, a połowę tych kosztów, jakiegokolwiek one będą, pokryjesz ty. Możesz podzielić się nimi z ojcem, jeśli zdołasz coś od niego wyciągnąć.

— Co ty pleciesz, do cholery? — Głos Dereka brzmiał pogardliwie, ale, jak Ross zauważył, brat nie przynaglał go do wyjścia. — Mam zapłacić? Niech mnie diabli, jeśli coś zapłacę. Sam czyść swoje brudy.

— To także twój brud i pomożesz mi go wyczyścić. Te kolumny nośne nigdy by nie osiadły, gdybyś zbudował je według oryginalnych planów.

Derek odsunął krzesło, wstał i przeszedł przez gabinet w stronę fotografii. Przejrzał je pobieżnie. Kącik ust drgnął mu lekko, ale Derek szybko się opanował.

— Czy byłbyś uprzejmy wyjaśnić, co to wszystko ma wspólnego ze mną? Chcesz, żebym wyłożył parę milionów, ale na co? Żeby opłacić dwóch kretynów, którzy widzą przed sobą drogę wybrukowaną dolarami, bo ich pieprzony prawnik twierdzi, że mają cię w potrzasku? Dlaczego, u diabła, miałbym się pakować w to bagno? Z braterskiej miłości?

Ross podniósł się; stali teraz twarzą w twarz.

— Żeby sprawa nie trafiła do sądu.

— A co mnie to, do cholery, obchodzi, czy trafi, czy nie? I po co ty się tym przejmujesz? Niech idą do sądu; i tak wygrasz. Było trzęsienie ziemi, mnóstwo budynków uległo uszkodzeniom, kilka osób zginęło, jeszcze kitka zostało rannych. I co z tego? To całkiem normalne. Teraz cały tłum prawników podsuwa tępym robotnikom wizje złotych gór, a i inżynierom i architektom zdrowo się oberwie, jeśli nie wykażą się sprytem. Poszukaj więc sobie bystrego prawnika — ale nie Claude'a, on jest zbyt uczciwy — a jeśli nadal cię to nie uspokoi, to znajdź inspektora, którego żona marzy o wczasach w Sainte Croix, i zafunduj im wyjazd. Będzie wtedy przysięgał, że twoje belki wspornikowe były w najlepszym porządku, i nie przyjdzie mu do głowy zagłębiać się w sprawę; zwali wszystko na trzęsienie. Chryste, czy ja ci muszę wyjaśniać takie rzeczy? To pierwsza lekcja w tym biznesie.

— Ja nie pracuję w taki sposób. A komu zafundowałeś wakacje za zmianę dokumentacji Macklin Building?

Derek rzucił fotografie na stolik.

— Posłuchaj, ty świętoszkowaty ośle, Hayward Corporation nie zbudowano modlitwą i pracą; wątpię, żeby było inaczej w przypadku twojej małej firmy. Tylko że ja cię nie pytam, co robisz z pieniędzmi; i to nie twój interes, co ja robię z moimi. Pilnuj swojego nosa, braciszku, i nie martw się o rodzinną korporację. Twojemu kapitałowi nic nie zagraża.

— Dopóki inspektorzy nie zaczną sprawdzać budynków, a zaczną je sprawdzać, gdy rozpoczną się sprawy sądowe. Na miłość boską, jak ci się wydaje, czego na pierwszej lekcji uczą się inspektorzy? Uczą się wykrywania oszustw i jeśli je znajdą, to szesnaście lat niema dla nich żadnego znaczenia; nie ma możliwości, żeby Hayward Corporation wyszła z tego czysta. To znaczy żebyście ty i ojciec wyszli z tego cało. Hugh nie żył już wtedy od dwóch lat i wy dwaj kierowaliście firmą. A urzędników nie pozbędziesz się tak łatwo jak mnie, kiedy pytałem cię o tę sprawę.

— Powiedzieliśmy ci wtedy, że nie ma się o co martwić. I sami byliśmy o tym przekonani.

— Kłamaliście. Obydwaj.

— Nie nazywaj mnie kłamcą! — wybuchnął Derek, ale rozwój wypadków wyraźnie go zaniepokoił; zaczął rozważać, co powinien zrobić. Oczywiście, że trzeba trzymać sprawę z dala od sądu; nikt nie ma więcej do stracenia niż Derek Hayward, bo to on zbudował ten cholerny budynek, więc ponosi odpowiedzialność za wypadek; w dodatku może zostać wydziedziczony, jeśli Victoria dowie się o wszystkim. Lecz Derek wiedział, że Ross martwi się Victorią z zupełnie innego powodu — on, jak jakiś błędny rycerz, chce trzymać cały ten bałagan z dala od niej. I to dlatego właśnie, tak jak i Derekowi, a może jeszcze bardziej, zależy mu na tym, by sprawa nie trafiła do sądu. Dobrze i to, podsumował swe rozmyślenia Derek i niemal obojętnym tonem, bo nie wierzył w spełnienie ponurych przewidywań Rossa, zablefował:

— To była taka gierka Craiga; my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Jeśli chcesz spłacić tych robotników, to proszę bardzo. Ale to wyłącznie twoja rzecz. Jeśli chodzi o mnie, to sprawa może trafić do sądu.

— Craig nie miał nic wspólnego ze sfałszowaniem dokumentacji.

— Czy z góry zstąpiło na ciebie jakieś objawienie? Może Craig przybył do ciebie na słonecznym promieniu i wyszeptał ci to do ucha?

— Nie, do cholery, sam dałeś to do zrozumienia; opowiedziałeś Katherine cały stek bzdur o wypadku na łodzi. Według twojej wybielonej wersji bójki Craigowi nie podobał się sposób, w jaki zarządzałeś budową Macklin Building. Dlaczego nie powiedziałaś Katherine, że oskarżyłeś Craiga o to, iż jest oszustem? Dlaczego nie wspomniałaś jej o tej historyjce, którą ty i ojciec przygotowaliście następnego dnia na mój użytek? Przez wiele miesięcy robiłeś co mogłeś, żeby patrzyła na Craiga twoimi oczami i nienawidziła go tak jak ty. Miałaś swoją wielką szansę, żeby całkowicie go oczernić, i przepuściłaś ją. Ty nigdy nie wypuszczasz z rąk takich okazji, dlaczego więc zrobiłaś to tym razem? Bo nie mogłeś ryzykować, że Katherine opowie o tym Victorii. Albo mnie.

— Gówno prawda. To jedna z bajeczek Katherine. Powiedziałem jej, że Craig stracił panowanie nad sobą, bo zdemaskowałem go przed Jennifer.

— To kłamstwo.

— Już ci mówiłem, nie nazywaj mnie kłamcą! Czy masz takiego bzika na jej punkcie, że nie widzisz, iż ona cały czas zmyśla różne historyjki? Kłamię, kiedy jej wygodnie, żeby zdobyć to, czego chce, ale teraz chce odegrać się na mnie i dlatego przekręca to, co powiedziałem na temat tego bezjajowca jej męża. Musi bardziej żałować nie spełnionej namiętności, niż mi się wydawało... te jej pełne uwielbienia oczy, wspaniałe ciało zapraszające do...

W Rossie obudziła się wściekłość; pokój wirował mu przed oczyma.

— Ty sukinsynu! — Chwytał brata za kłapy i szarpnął, ale Derek oswobodził się i z napięciem na twarzy, ciężko dysząc, cofnął się nieco.

— Nie dotykaj mnie... niech cię diabli wezmą... jeśli jeszcze raz się do mnie zbliżysz!...

Ross opanował się. Ciężko oddychając zacisnął ręce. Nie wolno ci go uderzyć, mówił sobie; nie daj się sprowokować.

— Wszyscy kłamią — wychrypiął Derek. — Craig na jednym wielkim kłamstwie zbudował sobie nowe życie. A i wcześniej, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi, wy dwaj kłamaliście, żeby nastawić Victorię przeciwko mnie... dlatego nigdy nie musieliście o nic zabiegać... — Przerwał na chwilę, oczy mu pociemniały. — Same bajeczki — dodał charcząc. — A jedną z nich właśnie mi dzisiaj opowiedziałeś. Ja nie wierzę w bajki.

Odwrócił się od Rossa i podszedł do biurka. Ross nie ruszał się z miejsca, w głosie miał zamęt. „Nastawialiście Victorię przeciwko mnie... nigdy nie musieliście o nic zabiegać.” Pokój przestał już wirować, a Ross odzyskiwał powoli spokój. Rozluźnił się i poczuł tę samą lekkość, jaka ogarniała go, gdy wyłączał silnik łodzi i zapadała cisza. Popatrzył na Dereka, na jego sztywną sylwetkę, napiętą, pociągłą twarz i pogardliwy uśmiezek, za którym kryły się przemieszane ze sobą gniew, urażona duma i strach.

Bajeczki, powtarzał sobie słysząc jeszcze wściekłość w głosie brata. Ale to życie Dereka jest prawdziwym zmyśleniem, uświadomił sobie Ross, to jedna wielka gmatwanina marzeń i wymysłów mających na celu przyciągnięcie uwagi, zdobycie miłości, podziwu, szacunku ojca i dziadków, klientów, współpracowników, kobiet, a nawet — czego Ross ani trochę nie podejrzewał — kuzyna i brata.

Ross cofnął się pamięcią tak daleko, jak potrafił. Derek doprowadził do perfekcji umiejętność manipulowania ludźmi, ćwicząc na swojej rodzinie; wytwarzał w Rossie i Craigu poczucie, że z nim współzawodniczą i przegrywają. Dlatego od czasów chłopięcych Ross bał się brata i zazdrościł mu — marzył, by tak jak on przyciągać do siebie i zniewalać ludzi, a nawet czasami zachowywać się z tą otwartą bezwzględnością, która zdawała się usuwać z drogi wszelkie przeszkody. Jednocześnie w miarę upływu lat niechęć do Dereka stawała się coraz silniejsza i Ross starał się zachować między nimi dystans; właśnie dlatego odmówił nawet przyjęcia posady w rodzinnej firmie, bo oznaczałoby to współpracę z Derekiem. Ten dystans jednak nigdy nie był wystarczająco duży, nawet kiedy Ross przeprowadził się do Nowego Jorku. Przez całe życie łączyła Rossa z bratem silna więź utkana z zazdrości i nienawiści.

A teraz Ross po raz pierwszy zrozumiał, że pod magnetyczną siłą Dereka kryje się rozpacz i że brat, którego bał się i któremu zazdrościł, jest tylko kameleonem — zawziętym intrygantem, oszustem, co zmienia kolory tak, by omamić ludzi i wyrzucić na nich wrażenie. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu Ross uświadomił sobie, jak bardzo Derek podobny jest do Craiga. Nic dziwnego, że tak się nienawidzili; przecież rozumieli się nawzajem zbyt dobrze.

— No więc? — przynaglał Derek. Zwykle używał milczenia w charakterze broni, starając się tak zdenerwować rozmówcę, że

mówił on cokolwiek, byle tylko przerwać ciszę. Ale Ross przetrzymał go. — No wiec? — powtórzył Derek. Ross podniósł walizeczkę.

— Myślę, że skończyliśmy na dzisiaj. Czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy.

Zauważył, że na moment w oczach brata pojawiła się niepewność. Nigdy wcześniej nie widział jej u niego i zrozumiał, że Derek stara się odzyskać równowagę — pozbierać się po tej krótkiej chwili, kiedy stracił czujność, by ponownie przejąć kontrolę nad rozmową. Ale Ross nie pozwolił mu na to. Tym razem on udał, iż wierzy, że brat nie ma nic przeciwko oddaniu sprawy do sądu, i zakończył rozmowę sam z własnej woli.

Derek patrzył, jak Ross idzie w stronę drzwi.

— Co, u diabła, zamierzasz zrobić? — wybuchnął. Zatrzymując się przy drzwiach Ross popatrzył na niego uważnie, ale nic nie powiedział.

— Chyba nie zamierzasz dopuścić, żeby ta sprawa trafiła do sądu!

— Nie jestem pewien. Muszę zastanowić się nad paroma rzeczami. Odezwę się. — Otworzył drzwi. — Życzę powodzenia w naprawie drogi. Zawsze lepiej kroczyć prostą ścieżką, prawda?

Ruszył wzdłuż korytarza. Gdy doszedł do windy, znów poczuł się jak na łodzi — gdy odbijał od nabrzeża wolny od wszelkich więzów i ograniczeń. Cokolwiek przyjdzie mu zrobić i bez względu na środki, których użyje, ograniczające go współzawodnictwo i zazdrość ma już za sobą.

Derek nie miał już na niego żadnego wpływu; Ross był wolny.

Victoria podała Katherine obwolutę zawierającą litografię Picassa. Siedziały obie w bibliotece na obitej jedwabiem sofie, a na kominku, mimo iż wieczór był ciepły, płonął niewielki ogień.

— To wspaniała kolekcja — powiedziała. — Kupiliśmy je razem z Hugh'em w Paryżu, ale tak dawno, że nawet nie pamiętam. Będzie mi ich brakowało.

— To dlaczego chcesz je oddać? — spytał Tobiasz podsycając ogień w kominku. — Zapisz je w testamencie. Muzeum może poczekać.

— Po członkach rady oczekuje się, że wniosą darowizny, żeby dać dobry przykład. A poza tym chciałabym zobaczyć, jak ludzie cieszą się tymi litografiami.

Katherine popatrzyła na rysunek przedstawiający byka i młodą kobietę, który zostałby okrzyknięty obscenicznym, gdyby jego autorem był kto inny niż Picasso.

— Ale dlaczego oddajesz je akurat teraz? — spytała Katherine.

— Bo starzeję się, lata mijają tak szybko, a jeszcze tyle chciałabym zrobić. Naszą dziewiętnastowieczną kolekcję postanowiłam ofiarować Pałacowi Legii Honorowej, a resztę Muzeum Sztuki Nowoczesnej i chcę te darowizny tak rozłożyć w czasie, by móc zobaczyć je wszystkie wystawione i usłyszeć, jak eksperci śpiewają hymny na cześć kolekcji Haywardów i mojej hojności.

— Chodziło mi o to, dlaczego myślisz o śmierci? Przez to czuję się tak, jakbym zaraz miała cię stracić.

— Moja kochana Katherine, jestem skandalicznie zdrowa; zamierzam pożyć jeszcze wiele lat. Chociaż muszę przyznać, że zmartwienia z powodu ciebie i Rossa bardzo mnie postarzają.

— To szantaż — stwierdziła Katherine.

— Im jest się starszym, moja droga, tym większego arsenału broni się używa, żeby dostać to, czego się chce.

— Właściwie — wtrącił Tobiasz — to najbardziej martwimy się teraz o Rossa — i płaczącym tonem zacytował: „... pomarszczone, podskakujące, bzyżące i nieznośne komary niepokoją nas teraz”. To pewnie poszkodowani robotnicy i ich adwokaci.

— Ci z Macklin Building? — spytała Katherine. — A o co chodzi?

— Chcą zaskarżyć Rossa — odrzekła gorzko Victoria. — Żądają pięciu milionów dolarów.

Katherine przeraziła się.

— A czy Ross mówił, co zamierza? Tobiasz uważnie popatrzył na Katherine.

— Jeśli sprawa rzeczywiście trafi do sądu, Ross powie, że belki wspornikowe były wystarczająco mocne i prawidłowo osadzone, a zawalenie spowodowało trzęsienie ziemi. Czy może być jakieś inne wytłumaczenie?

Pięć milionów dolarów, myślała Katherine. A jemu nie ma kto pomóc. Odłożyła litografię na stolik i wpatrzyła się w ogień. Co

mam teraz zrobić?, myślała, Ross chce chronić Victorię... ale ja chcę ochronić Rossa, Albo przynajmniej zrobić, co się da, żeby mu pomóc.

A to oznacza, że powinnam powiedzieć o wszystkim Victorii i Tobiaszowi, bo tylko oni mogą mu jakoś pomóc.

A zresztą dlaczego nie mieliby o tym wiedzieć? Victoria jest silną kobietą. Ross sam mi to powiedział — we Francji. „Błędem byłoby myśleć o niej jak o bezradnej staruszce, która całe dni tylko leży i patrzy, jak życie toczy się obok.” Ale mimo to Ross uważa, że należy ją chronić.

Mnie też chciał chronić, kiedy dowiedział się o Elissie.

Nie docenił nas obu. Jesteśmy silniejsze, niż mu się wydaje. I rodzina powinna wiedzieć, kiedy jednemu z jej członków grozi niebezpieczeństwo; nie można nikomu odbierać możliwości udzielenia pomocy.

Ale kim ja właściwie jestem, żeby podejmować taką decyzję? Może Ross miał jakieś inne powody, żeby milczeć w tej sprawie; skąd mam wiedzieć, czy nie zrobię czegoś niewłaściwego? Po raz pierwszy od wielu miesięcy Katherine czuła się nieswojo, znów prawie jak obca w tej rodzinie, zamieszana w sprawy, o których nie powinna wiedzieć; opowiadając historię, której nie miała prawa ujawniać, zdradziłaby zaufanie nie mając przy tym pojęcia, jakie niesie to ze sobą następstwa.

Nie wiem, co zrobić!

— Katherine, moja droga — zaczął łagodnie Tobiasz. — Czy możemy ci jakoś pomóc rozwiązać ten dylemat, z którym sama się borykasz?

— Przepraszam. Zachowuję się niegrzecznie — powiedziała.

— Ależ nie. Coś cię niepokoi i nie jesteś pewna, czy powinnaś nam o tym powiedzieć. My naturalnie uważamy, że powinnaś, bo cię kochamy. Ale musisz postąpić tak, jak sama uważasz, że będzie najlepiej dla nas wszystkich. Dla całej twojej rodziny.

Nagle Katherine poczuła ogromną ulgę; uśmiechnęła się. Dla całej twojej rodziny, powtórzyła sobie. Wcale nie jest tu obca; już od dawna nie jest. Przykro mi, Ross, pomyślała. Mam nadzieję, że to zrozumiesz. Kocham cię i chcę ci pomóc; i chcę, żeby Victoria i Tobiasz też mogli ci pomóc.

— Ross ma jeszcze coś na swoją obronę — rzekła w końcu. — Ale nie zechce tego wykorzystać.

— Tak? — nadstawił uszu Tobiasz.

— Co to takiego?... — dopytywała się Victoria.

— Budynek ma słabą konstrukcję — powiedziała Katherine starannie dobierając słowa. — Kolumny nośne, albo raczej fundamenty pod nimi, nie są tak mocne albo tak głęboko wpuszczone, jak powinny być. Ross podejrzewał to, a kiedy w lipcu zlecił sprawdzenie budynku, przekonał się, że miał rację. Ale prace naprawcze wciąż były odkładane i zdarzyło się trzęsienie ziemi. Problem tkwi nie w belkach wspornikowych, ale w samym budynku.

— To dlatego go kupił! — krzyknął Tobiasz. — Podejrzewał...

— Chwileczkę! — przerwała stanowczo Victoria podnosząc rękę. — Katherine, czy chcesz powiedzieć, że Macklin Building nie spełnia podstawowych wymogów? Zbudowała go Hayward Corporation!

— Wiem. Lecz dokumentację sfałszowano, żeby obniżyć koszty.

— Ale inspektorzy budowlani?... — zaczął Tobiasz.

— Ross uważa, że zostali przekupieni.

— Bzdury — oświadczyła Victoria. — Curt albo Jason wiedzieliby o tym.

Katherine przytaknęła skinieniem głowy.

— Curt — odezwała się Victoria obojętnie. Katherine znów przytaknęła.

Zapadło milczenie; każdy pogrążony był w swoich myślach. Wtedy pojawił się lokaj i oznajmił, że podano do stołu, Victoria podniosła się z sofy, a gdy szli do jadalni, położyła rękę na ramieniu Katherine.

— To było trudne dla ciebie. Ross powiedział ci pewnie, że jego zdaniem uda się zachować sprawę w tajemnicy?

— Miał zamiar naprawić ten budynek w ramach prac renowacyjnych. Nie chciał, żebyś była świadkiem skandalu...

— U schyłku moich dni — dokończyła Victoria drwiąco. — Oczywiście nie jestem ani w połowie tak delikatna, jak wydaje się mojemu wnukowi; na szczęście ty o tym wiedziałaś. Miałaś prawdziwy dylemat, moja kochana, dochować tajemnicy Rossa albo powierzyć ją mnie! Dziękuję, że wybrałaś to drugie, kochanie. Obiecuję, że nie będziesz tego żałować. No ale teraz, skoro już wiesz, że nie zemdleję, musisz opowiedzieć nam wszystko z detalami. Chcemy poznać całą prawdę, bez względu na to, jak jest bolesna.

Katherine uśmiechnęła się z wdzięcznością, a Tobiasz zapytał:

— Od jak dawna Ross wiedział o tym albo coś podejrzewał? Katherine nie od razu odpowiedziała:

— Podejrzewał od szesnastu lat.

— Od szesnastu!... — krzyknęła Victoria. — I nikomu o tym nie powiedział! Powinien się wstydzić!

— Nie, to krzywdzące. On nie mógł wam wtedy powiedzieć, bo...

— Wypadek na żaglówce — wtrącił Tobiasz. — To wtedy zaczął coś podejrzewać? Powiedziałaś mi, Victorio, że Craig i Derek pokłócili się o Macklin Building.

— Boże święty! — wykrzyknęła Victoria. Rozłożyła serwetkę i przykryła nią kolana. — Czy byłam jedyną osobą, która o niczym nie wiedziała?

— Ja wiem tyle samo — powiedział uspokajająco Tobiasz. — Katherine, proszę, mów dalej.

— Craig zarzucił Derekowi, że sfałszował dokumentację fundamentów w Macklin Building; Derek odgryzł się twierdząc, że zrobił to Craig, przekupując inspektora, żeby zatwierdził projekt.

— Ale bardziej prawdopodobne jest, że to sprawka Dereka. — Nadziewając kawałek mango na widelec Tobiasz odezwał się z iskierką zrozumienia w oku. — Zawsze był niecierpliwy; jemu się wydaje, że stoi ponad prawem.

Victoria tylko dziobała widelcem potrawę.

— A Curt naturalnie wiedział o wszystkim. Wtedy on i Derek bardzo blisko współpracowali ze sobą. Pamiętam, jak czułam się wówczas spokojna; wprawdzie Hugh już nie żył, ale był jeszcze mój syn i mój wnuk... Mój syn i mój wnuk! — powtórzyła pogardliwie.

Twarz miała ściągniętą i patrzyła gdzieś w przestrzeń.

— Hugh zawsze na pierwszym miejscu stawiał dbałość o wymogi bezpieczeństwa. To nasza reputacja, mawiał; to życie ludzi, którzy zawierzyli naszym budowniczym... On nigdy nie zawiódł tego zaufania. Bardzo skrupulatnie przestrzegał przepisów w tej kwestii i zabezpieczeń na wypadek trzęsienia ziemi — był nawet autorem niektórych z nich! A teraz... mój syn i mój wnuk... omijają przepisy... przekupują... To niktzemne! Podłe! Wykorzystywać rozpacz czy chciwość ludzką... Do wszystkich diabłów! — wybuchnęła. — Stara kobieta powinna odpoczywać, powinna móc spokojnie

powierzyć swym dziedzicom ochronę swego nazwiska i firmy, którą ona i jej mąż stworzyli z niczego i uczynili sławną i szanowaną!...

— Ta stara kobieta — rzekł Tobiasz uszczypliwie — bardzo by chciała przewodniczyć radzie nadzorczej Hayward Corporation.

Victoria spojrzała na niego z góry.

— Posiadam pakiet kontrolny w tej korporacji.

— Wiec może nie czas jeszcze, żebyś zaczęła odpoczywać.

— Aha. — Victoria zachichotała. — Punkt dla ciebie. — Lokaj wniósł srebrną tacę z cielęciną i maleńkimi kopczykami ziemniaków, podsuwając ją każdemu po kolei. Nakładając sobie Victoria usilnie nad czymś myślała, po czym powiedziała: — Naturalnie to oskarżenie przeciwko Rossowi nie może trafić do sądu. Nie możemy dopuścić, żeby obcy grzebali w naszych sprawach. Dlatego musimy załatwić to sami, co oznacza, że... Tobiaszu, Ross mówił, że ci robotnicy byli ranni, ale nie zostali kalekami. Jaką twoim zdaniem rozsądną sumę byłby w stanie zaakceptować ich prawnik?

— Może jakieś ćwierć miliona.

— Winę za to ponosi Derek. Co do tego chyba wszyscy się zgadzamy? Katherine? Czy nie powiedziałaś nam o tym po to, żebyśmy mogli obciążyć odpowiedzialnością Dereka?

— Obciążyć kosztami zarówno załagodzenia sporu — dodał szybko Tobiasz — jak i naprawy budynku.

Czując się trochę nieswojo, Katherine odparła:

— Nie jestem pewna, czego oczekiwałam. Po prostu pomyślałam, że powinniście o tym wiedzieć, żeby Ross nie był sam.

— Aha — odrzekła Victoria z zadowoleniem. — W takim razie trzeba ustalić sposób postępowania. Oczywiście Derek musi wziąć na siebie pokrycie wszelkich kosztów. Czy można by go czymś szantażować?

— Wielkie nieba! — krzyknął Tobiasz. — Żeby po siedemdziesięciu pięciu latach przekonał się, że wciąż nie znam własnej siostry...

— Dopóki można kogoś zaskoczyć, dopóty jest się młodym — oznajmiła Victoria. — Dzięki temu ludzie trzymają się razem. — Uśmiechnęła się do niego z taką czułością, że Katherine poczuła ukłucie zazdrości. Przez tyle lat mieszkali osobno, pomyślała; szczęśliwcy z nich, że mogą się teraz cieszyć swoim towarzystwem i miłością.

— „Na głos aniołów jest głuchy niczym pień” — zacytował Tobiasz. — Jak można dopaść kogoś, kto nikogo nie kocha, kto pieniędzy ma więcej niż człowiekowi potrzeba i dla kogo moralność to śmiertelna nuda? Naprawdę zależało mu zawsze tylko na władzy. Może tu uderzyć?

— Derek świetnie prowadzi firmę — zauważyła Victoria. — Zarabia masę pieniędzy dla nas wszystkich.

— Tak, tak, to fakt. Ale...

— W zasadzie — oświadczyła nagle Victoria — gdybym bardziej interesowała się tym, co robią on i Jason, może do niczego takiego by nie doszło, A ja żyłam sobie błogo, zadowolona, że oni prowadzą firmę...

— Przestań! — krzyknął Tobiasz. — Nie możesz winić siebie. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni; żaden z członków rady, łącznie ze mną, nie wnikał zbyt w szczegóły. Teraz będziemy. Swoim szefowaniem Derek naraził nas wszystkich na skandal, prawdopodobnie na duże wydatki i zszarganie naszego dobrego imienia, a może nawet na zrujnowanie reputacji Rossa. Muszę przyznać, że jak już Derek się do czegoś weźmie, to następstwa nie są zbyt błahe. Ale przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Bo skąd mamy wiedzieć, że Derek nie zmniejszył sobie kosztów przy jakichś innych okazjach? Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki nas czekają? Może trzeba by trochę przyciąć naszemu Derekowi skrzydeł.

— Może przydałby mu się jakiś anioł stróż — zaproponowała Victoria.

— Aha — rozmyślał Tobiasz. — Byłoby lepiej, gdybyśmy mieli jakiś dowód. Katherine powiedziała, że Derek oskarżał Craiga, ale Craiga nie ma tu, żeby mógł temu zaprzeczyć.

Katherine obserwowała Victorię i Tobiasza. Teraz, trochę z wahaniem w głosie, zapytała:

— A czy inspektorzy nie mają jakichś formularzy, na których podpisują zgodę na realizację planów, które sprawdzali?

— Faktycznie! — Tobiasz aż odchylił się w krześle, a bródka kiwała mu się do przodu i do tyłu. — W aktach Urzędu Miejskiego. Faktycznie. — Zmarszczył czoło. — Ale dlaczego Ross nie wygrzebał tych akt, żeby zmusić Dereka do pokrycia kosztów?

— Ross nie zamierzał zwracać się o to do niego — powiedziała

Katherine. — Nie chciał robić zamieszania, bo myślał, że naprawi budynek w ramach renowacji. Tobiasz potrząsnął głową.

— Uparciuch.

— Zajmiemy się tym — oświadczyła spokojnie Victoria. — Tobiaszu, mój drogi, czy mógłbyś zadzwonić do Claude'a i Rossa i zwołać naradę? Nadszedł czas, by prezes rady nadzorczej podjął pewne decyzje.

Leslie zadzwoniła w czasie weekendu.

— Ponieważ ja nie mam już żadnych problemów, więc ty opowiedz mi o swoich. Chyba że i ty rozwiązałaś już wszystkie, co do jednego?...

— Raczej nie — roześmiała się Katherine. — Ale nie mam żadnych nowych.

— No to pogadamy o przyjemnych rzeczach. Dostałam dzisiaj zaproszenie od twojej babki na bal z okazji święta Halloween; zapowiada się na jedno z tych przyjęć, które wspomina się latami. Co zamierzasz na siebie włożyć?

— Nie wiem. Nie bardzo lubię bale maskowe.

— Wcale nie jest maskowy i na pewno ci się spodoba. Claude mówił mi, że kiedyś Victoria i Hugh wydawali takie przyjęcie co roku i ci, którzy nie zostali zaproszeni, popełniali samobójstwo, wdziewali żałobę albo palili się ze wstydu i poniżenia. Ale ponieważ my znalazłyśmy się w tym uprzywilejowanym gronie, musimy zatroszczyć się tylko o wystrzałowy wygląd.

— Leslie, gdzie mogę kupić wystrzałową sukienkę za niezbyt wystrzałową cenę?

— A byłaś u „Vaia”?

— Ostatnio nie. Ceny u nich podskoczyły trzykrotnie.

— Mam najświeższe informacje. Ceny potroił jakiś nowy kierownik, który ledwie rzucił okiem na modele drugiej jakości i poszedł na całość, żeby zarobić. Ale już go wywalili. Ten, kto przyszedł teraz na jego miejsce, obniża wszystkie ceny. Pojedź tam w poniedziałek rano, zanim zwałą się tłumy. Muszę już kończyć; idę na kolację z Claude'em. Aha, rozumiem, że w dalszym ciągu nie masz wiadomości od Craiga?

— Zgadza się. Dowiedziałabyś się o tym w pierwszej kolejności.

— Mam nadzieję. Do zobaczenia.

Żadnej wiadomości od Craiga. Katherine była taka pewna, że odezwie się do niej w ciągu kilku dni od jej wizyty w Calgary, że siedziała przy telefonie skacząc za każdym razem, kiedy dzwonił — zupełnie jak przed półtora rokiem w Vancouver. Ale Craig wciąż milczał. Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia, pomyślała.

Chociaż nie, nie w punkcie wyjścia, poprawiła się w myśli. Wiedziała przecież od Rossa, że Craig chciał wrócić. Nieważne czy ukradł te pieniądze, czy go wrobiono, chciał wrócić i wynagrodzić jej to, że ją opuścił.

Czyż to nie miło z jego strony?, szczydził wewnętrzny głos.

W głowie miała kłębowisko sprzecznych myśli; odezwały się wszystkie te głosy, które namawiały ją, żeby sama podjęła decyzję, żeby coś zrobiła, żeby rozwiodła się z Craigiem, żeby zerwała z przeszłością. A jeśli resztki tej przeszłości ciągle gdzieś się płaczą; jeśli jej małżeństwo nie jest jeszcze zakończone; jeśli?...

Po co ten pośpiech?

Dlaczego wszyscy tak ją popędzają? Craig odszedł trochę ponad rok temu. Ona i Ross są razem od niecałych czterech miesięcy, a przez ostatnie trzy tygodnie w ogóle się nie widują.

Jeśli chcę spokojnie się nad tym zastanowić, myślała, jeśli chcę zrozumieć, kim jestem i do czego zmierzam, to co w tym złego? Dlaczego wszyscy mnie popędzają?

— Mamo? — odezwał się Todd. — Moglibyśmy już zacząć? Powiedziałaś, że nam pomożesz, a mamy zrobić to na poniedziałek.

— Już — odparła Katherine. — Daj mi tylko minutkę, żebym mogła tu sprzątnąć.

Zastała dzieci w kuchni, gdzie na stole rozłożyły rozmaite części glinianych modeli, które na ochotnika zobowiązały się przygotować na szkolne przedstawienie cieni.

— Właściwie to zgłosiliśmy się tylko dlatego, że wiedzieliśmy, że nam pomożesz — przyznała się Jennifer patrząc, jak zręczne palce matki formują z plasteliny model Voyagera II. — Myśleliśmy, że nie będziesz się bardzo gniewała.

— Nie gniewam się wcale — zapewniła Katherine. — Świetnie się przy tym bawię.

— Naprawdę? — spytała Jennifer. — To dlaczego ja nie uważam tego za dobrą zabawę?

— Bo dla was jest to zadanie szkolne. Ale dla mnie to jak powrót do dzieciństwa i zamków z piasku.

— Aha. — Jennifer zamyśliła się. — Ja nie chciałabym znowu być dzieckiem. Dlaczego ty chcesz?

Katherine z trudem zachowała powagę.

— Bo miałam wtedy mniej zmartwień.

— My mamy ich całe mnóstwo — odparł Todd. A przyglądając się uważnie nieco zniekształconemu modelowi wahadłowca Columbia, dodał: — Carrie i Jon przyprowadzili dziś do klubu Rossa; popływał z nami, a potem kupił nam lemoniadę.

Serce Katherine zamarło na moment,

— Mam nadzieję, że mu podziękowaliście.

— Pytał, jak się masz.

— I co powiedzieliście?

— Że za nim tęsknisz.

— Todd!

— On powiedział, że też za tobą tęskni — dodała Jennifer.

— Carrie i Jon także — ciągnął Todd. — Chcieli wiedzieć, gdzie się podziewasz.

Oni cię lubią.

— Przyzwyczaili się, że wszyscy jesteśmy razem — wyjaśniła Jennifer.

— Tak samo jak my — stwierdził Todd.

— Lubię Rossa — oznajmiła Jennifer.

— Ja też — zawtórował jej Todd. — Miło jest być razem z nim. I tak kolejno dorzucali coś nowego, jakby odbijali do siebie piłeczkę.

— Czy wyreżyserowaliście tę rozmowę? — spytała Katherine.

— Tak tylko rozmawialiśmy — przyznała Jennifer. — Powiedzieliśmy Rossowi o programie komputerowym, który aktualnie piszemy.

Katherine wyobraziła się, jak sobie we trójkę dyskutują, i pozazdrościła dzieciom.

— Tym z matematyki? — spytała.

— Nie. — Todd zerknął na Jennifer. — Tym, który ma pokazać, czy wyjdiesz za Rossa, czy zejdziesz się z tatą.

Plastelinowy model wyślizgnął się jej z rąk; podniosła go szybko.

— O czym wy mówicie?

— Ułożyliśmy wzór. Tata to X, Ross to Y, ilość miesięcy, jaka upłynęła od odejścia taty, to N, a liczba pytań o Carrie i Jona, kiedy naprawdę chcesz usłyszeć coś o Rossie, równa się R, ale na razie nie wiemy jeszcze, jaki jest wynik.

— Wcale się nie dziwię. — Katherine podeszła do zlewu i umyła ręce. — Może wy to skończycie? Chyba jestem już za stara na lepienie z plasteliny przez całe popołudnie.

— Mówiłaś, że świetnie się bawisz — przypomniała matce Jennifer. — Że to jak zamki z piasku...

— Właśnie mi się przypomniało, że już mnóstwo czasu upłynęło od zamków z piasku. — Stojąc przy zlewie Katherine przyglądała się dzieciom. — Co, waszym zdaniem, powinnam zrobić? — spytała ni stąd, ni zowąd.

Zaskoczeni gapili się na nią przez chwilę.

— Chciałbym, żeby tata wrócił do domu — odrzekł w końcu Todd. — Żeby wszystko było jak dawniej.

— Ja chyba też — dodała powoli Jennifer. — Tylko że coś mi się wydaje, że nie byłoby jak dawniej. Już nigdy.

— A właśnie że by było — sprzeciwił się Todd. — Och, masz na myśli dom? Zbudowalibyśmy nowy. To łatwe.

— Nie. — Jennifer spojrzała matce w oczy. — Wydaje mi się, że mama i tata nie są już tacy jak kiedyś. My też nie.

— I co z tego? — sprzeciwiał się dalej Todd. — Jesteśmy starsi. Jennifer z wściekłością cisnęła kawałkiem plasteliny o ścianę.

— Ja już mu nie ufam! — krzyknęła i wybuchnęła płaczem. Katherine objęła ją i przytuliła.

— Jennifer — szeptała. — Moja kochana Jennifer...

— Przepraszam! — łkała dziewczynka. — Jestem okropna, że tak mówię! Nawet nie powinnam tak pomyśleć!...

— Nie jesteś okropna. Jeśli ktoś raz zrobi ci przykrość, to całkiem normalne, że obawiasz się, iż może zrobić to ponownie. To wcale nie znaczy, że jesteś okropna. Oznacza tylko, że martwisz się o to, co może się stać, że nie jesteś pewna jutra. A kiedyś czułaś się pewna... — Katherine odsunęła nieco Jennifer i powiedziała poważnie: — Na tym właśnie polega dzieciństwo: to czas, kiedy czujemy się pewni jutra. I w tym sensie chyba już nie jesteś dzieckiem.

Ani żadne z nas, pomyślała później siadając przy swoim warsztacie. Wszyscy dojrzeliliśmy, odkąd Craig nas opuścił. I Jennifer ma rację: nic już nie będzie takie samo.

Pochyliła się nad pracą, uważnie łącząc ogniwa ametystowej bransoletki. Robiła teraz biżuterię dla czterech małych sklepów i paski dla „Heatha”. Zarabiała już prawie tyle, że mogła sobie pozwolić na wynajęcie większego mieszkania, ale jeszcze nie wystarczająco dużo, by każdego dnia poświęcić trochę czasu na wykonanie odpowiedniej ilości klejnotów dla Henriego, a także innych rzeczy, jak zegarki na rękę, zestawy piór i ołówków, komplety materiałów piśmiennych na biurko, a nawet świeczniki i pierścienie na serwetki. Palce aż ją świerzbily, żeby to wszystko zrobić. Chociaż wciąż czuła się wplątana w sidła Craiga, to wieczorami, kiedy już uporała się z różnymi obowiązkami i ołówek zaczynał sam sunąć po pustej kartce, czuła też, że coraz bardziej się uniezależnia, i w marzeniach poruszała się po świecie, którzy sama stworzyła i który nie miał granic. Któregoś dnia zrobi wszystkie te przedmioty. Na razie nie mogła sobie pozwolić na to ani czasowo, ani finansowo.

Tymczasem Victoria wydaje przyjęcie. Katherine przesunęła palcem po białym prostokącie koperty z papieru czerpanego zaadresowanej gotyckim pismem i powtórnie przeczytała zaproszenie.

„Dlatego święcony i łaskawy to czas”, brzmiał cytat z Szekspira i Katherine uśmiechnęła się, jakby słyszała Tobiasza. „Wigilia Wszystkich Świętych... to czas na uczczenie marzeń... na biesiadowanie i zabawę w Sali Balowej Fairmont i ogrodzie — w sobotę, 30 października o 21.30.”

Katherine pomyślała, że na przyjęcie u Victorii mogłaby zrobić sobie jakiś klejnocik. Później mogłaby go sprzedać, może w Paryżu. Jeszcze nigdy dotąd nie zrobiła czegoś specjalnie dla siebie. A jeśli znajdzie jakąś fantastyczną suknię... to dlaczego by nie?

Zadzwonił telefon i myśląc wciąż o biżuterii Katherine podniosła słuchawkę.

— Kochanie — odezwał się głos Victorii. — Dzwonię, żeby zaprosić cię...

— Właśnie dostałam zaproszenie — wtrąciła Katherine. — Przyjdę, oczywiście na przyjęcie; jak mogłabym odmówić sobie tej przyjemności?

— Przyjęcie? A, tak; na Wszystkich Świętych. Zaproszenia rozesłała sekretarka Tobiasza; my byliśmy zajęci innymi sprawami. Katherine, jest czas na zabawę i czas na interesy. Dzwonię w sprawie interesów. W przyszły czwartek odbędzie się nadzwyczajne zebranie rady nadzorczej Hayward Corporation. Chciałabym, żebyś na nie przyszła.

— Ale... ja nie jestem członkiem. Nie orientuję się w tych sprawach. Po cóż miałabym... dlaczego chcesz, żebym przyszła?

— Bo należysz do rodziny. Bo gdyby nie ty i informacje, które nam niedawno przekazałaś, nie byłoby tego zebrania. Bo chcę, żebyś była przy mnie. Wcale nie zapomniałam o zabawie z okazji Halloween. Na to też przyjdzie odpowiednia pora. Ale to jest znacznie ważniejsze. I może okazać się niezwykle ważne również dla ciebie. Proszę cię, Katherine. O dziesiątej trzydzieści w czwartek rano, dwudziestego ósmego. I nie spóźnij się, proszę.

Odkładając słuchawkę Katherine popatrzyła w przestrzeń. Na zebraniu będzie Ross. I Derek. I cień Craiga. I Katherine Fraser wciąż próbująca znaleźć swoje miejsce wśród nich wszystkich, teraz i na przyszłość.

Rozdział dwudziesty

Po raz pierwszy od Bożego Narodzenia mieli się zebrać wszyscy razem. Jason i Anna przylecieli z Maine, a Curt z Palm Springs; Ross przespacerował się jakiś kilometr ze swego biura na Telegraph Hill do siedziby Hayward Corporation w Embarcadero Centre, gdzie na trzydziestym piętrze Derek przeszedł pięćdziesiąt metrów ze swojego gabinetu do sali konferencyjnej; Tobiasz i Victoria podjechali limuzyną z Pacific Heights, po drodze zabierając Claude'a z dzielnicy bankowej; a Katherine dojechała z domu autobusem.

Zebrali się wszyscy w siedzibie firmy, bo zwołała ich Victoria jako dyrektorów i udziałowców Hayward Corporation. Odmawiając podania powodu czy planu obrad zażądała po prostu ich obecności. Tak więc przybyli, a przywitawszy się, zdziwieni naleli sobie kawy z dużego dzbanka stojącego na wyłożonym łupkiem stoliku („Wystarczy tej kawy na cały dzień”, mruknął Derek do ojca) i zajęli miejsca przy długim konferencyjnym stole z drzewa różanego, na którym dla każdego przygotowany był notes, zatemperowany ołówek i szklanka wody.

Ross napełnił filiżankę kawą i podał ją Katherine, która siedziała w rogu sali. Gdy mu podziękowała, potrząsnął przecząco głową.

— To ja powinienem ci dziękować. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale wydawało mi się, że lepiej poczekać z tym do dzisiejszego dnia. Myliłem się co do Victorii i ty o tym wiedziałaś; zrobiłaś to, co ja powinienem był zrobić dawno temu.

— Cieszę się, że wszystko jest w porządku — odparła. Starła się zapanować nad swoimi uczuciami, ale krew w niej wrzała, a filiżanka trzęsła się w dłoni. — Bałam się, że będziesz na mnie zły. No i nie byłam pewna, czy nie wyniknie z tego jakaś afera... dla całej rodziny.

— Wynikła, i to całkiem niezła. Ale nie byłem na ciebie zły; jak mógłbym? Zdjęłaś mi ciężar z piersi. Tak naprawdę to najbardziej pragnę wziąć cię teraz w ramiona. — Dojrzał zaskoczenie w jej oczach i uśmiechnął się. — Ale chyba nie tylko ja tak czuję.

— Podeszedł do nich Tobiasz i niemal przeproszającym tonem poprosił Rossa, by już usiadł.

— Claude i Victoria zjawią się tu za chwilę — powiedział. Ross dotknął przelotnie dłoni Katherine, po czym zajął swe miejsce przy stole, gdzie wszyscy mówili naraz.

— ...miała wieści od Craiga — zasugerowała niepewnie Anna. — Inaczej po co by nas tu ściągnęła?

— Pewnie zadzwonił do babci, żeby przetała mu szlak powrotny do firmy — burknął szorstko Jason. — Ale myli się, jeśli sądzi, że tak po prostu zapomnę o wszystkim, jak gdyby nigdy nie uciekł...

— Wątpię, żeby chciał wrócić — stwierdził Curt. — Derek prowadzi firmę i Craig domyśliłby się, że nie ma tu dla mego miejsca. Chociaż Victoria może próbować nas zmusić, żebyśmy go przyjęli... A może po prostu chce zmienić testament.

Po prostu!, pomyślał Derek. Anna załamała rękę.

— Nie podoba mi się, że tak o nim, mówicie. Musimy powitać go wśród nas...

— Powitać — warknął Curt. — A czymże on zasłużył sobie na powitanie?

— Nie musi niczego w tym celu robić — rzekła żywo Anna. — Nie trzeba przecież wkupywać się do własnej rodziny.

— Wszędzie trzeba się wkupić — stwierdził pogardliwym tonem Derek. Czuł wyraźny niepokój, nerwy miał napięte jak postronki — gotów był i do ataku, i do obrony. Nie wiedział, o co chodzi;

sytuacja rozwijała się w sposób nieoczekiwany i niepokojący, więc musiał przygotować się na każdą ewentualność — może będzie musiał spłacić Craiga, zanim ten umniejszy jego wpływy w firmie, / załatwić jakoś problem z Macklin Building, jeśli okaże się, że Ross poleciał do Victorii na skargę, uniemożliwić wszelkie zmiany w testamencie Victorii, jeśli by miały one stanąć na przeszkodzie objęciu przez niego pełnej kontroli nad firmą po śmierci babki. Jego wzrok napotkał spojrzenie Tobiasza.

— Gdybym tylko był dramat opis arzem — powiedział z uciechą w głosie starsuszek — ale bym napisał o was sztukę! Oj napisałbym — dodał po chwili ze skruchą i umilkł, ale przy stole nie zrobiło się ani trochę spokojniej.

Katherine, czujna i pełna obaw, miała wrażenie, że w świetle lamp oświetlających wyłożone boazerią ściany i drogi różany stół połyskują ostrza setek maleńkich noży. Choć siedziała z dala od stołu, napięta atmosfera jej się udzielała, bo wszyscy zerkali w jej stronę snując rozmaite domysły na temat Craiga. Ross patrzył na nią, a gdy ich oczy spotkały się, Katherine poruszyła się niespokojnie na krześle, bo przypomniały jej się wspólnie z nim spędzone chwile. Derek siedział niedaleko niej; czuła na sobie jego spojrzenia nie tylko dlatego, że w obecności Rossa wprawiała ją w zakłopotanie, ale że czujność Dereka była bardzo denerwująca. Nie widziała go już od wielu miesięcy i gdy tak pisał coś na kartce, przypominał jej człowieka chodzącego po linie. Był szczuplejszy, niż go pamiętała, zamknięty w sobie i całkowicie opanowany.

Wreszcie do sali weszła Victoria, a za nią Claude. Zajął miejsce u szczytu stołu. Ubrana w czarny jedwabny kostium i kremową bluzkę z delikatną srebrną spinką z koralem, którą zrobiła dla niej Katherine, stała dumna jak królowa, a jej oczy — poważne i przeszywające na wskroś — spoczęły na chwilę na każdym z zebranych.

Surowym, oficjalnym tonem, jakby ostrzegała o planowanych rewolucyjnych zmianach, Victoria powiedziała:

— Nadzwyczajne zebranie rady nadzorczej Hayward Corporation uważam za rozpoczęte. Tobiasz będzie notował. Zwołałam to zebranie, ponieważ dowiedziałam się ostatnio o czymś, co jest niebezpieczne, nikczemne i podłe. Wymaga też natychmiastowego działania. Naszym zadaniem jest teraz zajęcie się tą sprawą, bo

dotyczy dobrego imienia korporacji i jej odpowiedzialności za popełnione przestępstwa. — Derek zacisnął usta. — Będzie miała też wpływ na przyszły kształt firmy i jej kierownictwo.

— Kształt firmy i jej kierownictwo? — powtórzył zdziwiony Curt. — Chyba nie będziemy omawiać tego na jednym zebraniu, zwłaszcza że nie zostaliśmy uprzedzeni, więc nie przygotowaliśmy żadnych propozycji.

— Widzę — powiedziała Victoria dobitnie — że chyba nie zostałam zrozumiana. Dopiero niedawno dowiedziałam się o tej sprawie. To, co się stało, jest absolutnie niedopuszczalne. A póki żyję i póki posiadam pięćdziesiąt procent akcji tej firmy, jeśli znajdę w niej coś, co jest niedopuszczalne, naprawię to. Natychmiast.

Nikt się nie odezwał. Sztywno wyprostowana, z dłońmi splecionymi z przodu, Victoria wyglądała władczo i groźnie. Katherine kochała ją i bała się jej jednocześnie. Powiodła wzrokiem po zebranych przy stole: Anna i Jason mieli zaintrygowane miny, Curt coś podejrzewał, Derek nie zdradzał swych myśli, a Ross, Tobiasz i Claude uważnie słuchali — oni wiedzą, pomyślała Katherine; wiedzą, o co chodzi.

— Claude? — zwróciła się do prawnika Victoria. — Proszę bardzo.

Usiadła w dużym skórzanym fotelu u szczytu stołu i obserwowała zebranych.

Claude siedział naprzeciwko niej.

— Szesnaście lat temu — zaczął swym donośnym głosem, który przypominał Katherine pierwsze spotkanie z prawnikiem na kolacji u Victorii — Hayward Corporation zbudowała Macklin Building na Mission Street. Wystąpiły wtedy pewne opóźnienia spowodowane strajkiem i żeby odrobić straty czasu i pieniędzy, sfałszowano dokumentację w taki sposób, że wzniesiony budynek nie odpowiada normom ustanowionym przez radę miejską.

— Co takiego? — krzyknął Jason. — Nigdy coś podobnego...

— To wysoce nieprawdopodobne — huknął Curt. — Claude, chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiałeś...

— W miarę upływu lat — ciągnął Claude — budynek osiadał powodując pęknięcie ścian, ale nie stwarzał bezpośredniego zagrożenia aż do pierwszego października, kiedy to miało miejsce trzęsienie ziemi i część drugiego piętra zapadła się raniąc dwóch robotników.

Występujący w ich imieniu prawnik żąda od nas odszkodowania w wysokości pięciu milionów dolarów. — Podniósł głos, bo Curt i Jason zasypali go pytaniami. — Chcą zaskarżyć Rossa, który kupił ten budynek kilka lat temu, oraz jego firmę, która wykonywała prace renowacyjne. Jednakże śledztwo — a dojdzie do niego, jeśli sprawa trafi do sądu — wykaże, iż podłoga zapadła się, ponieważ fundamenty zbyt osiadły, a osiadły dlatego, że Hayward Corporation pod kierownictwem Curta i Dereka świadomie i bezprawnie zbudowała budynek nie spełniający podstawowych norm.

— Ty kłamliwy draniu! — wrzasnął Curt. Jason uderzył w stół.

— Dlaczego, u diabła, ja nic o tym nie wiedziałem?

— Jason — odezwała się Anna. — To było w roku 1966.

— Do cholery, wiem, który to był rok. Ale kiedy to się zdarzyło? Przed czy po wypadku na żaglówce? Przed czy po naszym wyjeździe do Maine?

Derek zdawał się w ogóle nie zainteresowany sprawą. Od czasu do czasu coś notował, ale właściwie siedział zupełnie nieruchomo.

Curt wstał odsuwając krzesło i pochylił się lekko w stronę Claude'a.

— Nie będziesz mógł być prawnikiem nawet na największym zadupiu, kiedy dobiórę ci się do skóry. Wiem, jak rozpoznać spisek; Derek ostrzegał mnie, że coś się święci...

— Curt! — rzuciła ostro Victoria. — Jak śmiesz mówić takim tonem w mojej obecności? Siadaj i zachowuj się jak należy! Jestem gotowa przyjąć twoje przeprosiny.

Niemal natychmiast Curt powiedział uprzejmym głosem:

— Przepraszam. Zapomniałem się.

Usiadł przysuwając krzesło do stołu i przeklinając się w myśli za to, że w wieku sześćdziesięciu czterech lat okazał słabość i zachował się jak dzieciak wobec ganiącej go matki.

— Ale swoją drogą to dziwne — zaczął swobodnie Derek odwracając kartkę notesu — że ktoś sfabrykował taką historyjkę akurat teraz — podniósł wzrok — kiedy od Rossa prawnik żąda odszkodowania. Czy to możliwe, żeby tym kimś okazała się jego mała przyjaciółka i towarzyszka, która chce mieć pewność, że wszyscy zrzucimy się na odszkodowanie, i dlatego rozpuszcza stek kłamstw, zmuszając nas tym samym, żebyśmy zapłacili i siedzieli cicho?

— Ty parszywy sukinsynu! — wrzasnął zawsze cichy, rozważny, nie okazujący uczuć Claude podnosząc się gwałtownie, tylko o ułamek sekundy wyprzedzając Rossa i wprawiając wszystkich w osłupienie.

Milczenie, które na moment zapadło, przerwał donośny głos Tobiasza:

— „Zazdrość to rozżarzony do czerwoności węgielek, który wypadł z piekła!”*

Wokół stołu rozległ się nerwowy śmiech. Victoria, która aż przymknęła oczy, otworzyła je i utkwiała wzrok w Dereku. Po czym powiedziała:

— Dziękuję ci, drogi Tobiaszu. I tobie, mój drogi prawniku. Czy możemy kontynuować?

Błąd, przyznał przed sobą Derek. Nie był pewien, do czego zmierza Claude, więc chciał zmusić go, by przyznał, że nagłośnienie sprawy Macklin Building zaszkodzi korporacji. Ale nie wiedział, że prawnik, podobnie jak Victoria, uległ czarom Katherine. Pieprzona wiedźma. Ilekroć wydawało mu się, że wie już, do czego ona jest zdolna, odkrywał, że jej nie doceniał.

Claude usiadł rezygnując z pierwszej i chyba ostatniej okazji, by dać w zęby Derekowi.

— Nie będę tracił czasu na taki stek bzdur — rzucił Derek krótko. — Historia tego budynku przestała być tajemnicą.

Uderzał ołówkiem w notes, zostawiając na białej kartce drobne znaczki przypominające chmurę owadów. Głowa mu pękała; czuł się tak sfrustrowany, że nie wie, co jeszcze może się zdarzyć, iż czym prędzej przystąpił do ataku, chcąc uratować dla siebie, co tylko się da.

— Nie czas na osobiste wycieczki — zwrócił się do Victorii, jak gdyby byli sami na sali. — Myślę przede wszystkim o korporacji. Z tego, co słyszałem, inżynier Rossa okazał się niekompetentny w prowadzeniu prac renowacyjnych i na jego nieszczęście trzęsienie ziemi to wykazało. Pech, ale nie nas on spotkał; to nie był ani nasz projekt, ani nasz inżynier. Nie możemy ryzykować reputacji firmy, ponosząc odpowiedzialność za niekompetencję innych.

Jason rzucił mu wściekle spojrzenie.

— Niekompetencję innych? A co z twoją i — spojrzał na Curta— mojego brata, szesnaście lat temu, o której nikt nie potrudził się mnie poinformować?

Ołówek Dereka prześlizgnął się po papierze.

— Do jasnej cholery, byłeś wiceprezesem i nie zdążyłeś jeszcze wtedy uciec w lasy Maine. Nie pilnowałeś interesów? Ślepy byłeś? A może oni kłamią?

— Ty i Curt — mruknął Jason z twarzą poszarzałą z zażenowania i gniewu — pracowaliście razem i odsunęliście mnie.

— My tylko zapełniliśmy pustkę, wujku — odparował Derek czując się pewniej, w miarę jak Jason spuszczał z tonu. — Nic cię nie obchodziło.

— Byłem zajęty innymi projektami! A poza tym martwiłem się o córkę, bo wymykała się nocami z domu, chociaż ja i matka kazaliśmy jej trzymać się od ciebie z daleka!

Derek wpatrywał się w Jasona wykrzywiając usta w nerwowym uśmiechu.

Przerwał im donośny głos Claude'a.

— Mam do przeczytania oświadczenie, które wyjaśni wątpliwości i przyspieszy obrady. — Podniósł ze stołu kartkę papieru. — W zeszłym tygodniu udało mi się odnaleźć i przesłuchać ówczesnego inspektora. To jest jego oświadczenie z jedenastego października, podpisane nazwiskiem Frank Beecher.

Derek gwałtownie podniósł głowę, a maleńki nerw tuż przy oku zaczął mu drgać.

— „W dniach 11 i 12 lipca 1966 roku — czytał Claude — wykonując zlecenia rady miejskiej San Francisco, skontrolowałem kolumny nośne i fundamenty w Macklin Building wznoszonym przy ulicy Mission Street w San Francisco. Podpisałem wówczas cztery raporty stwierdzające, że budynek spełnia normy inżynierskie oraz jego konstrukcja zgodna jest z planami zatwierdzonymi wcześniej przez radę miejską i Państwową Komisję Sejsmiczną. Faktem jednak jest, iż uznałem wtedy, kierując się własnym doświadczeniem, że — biorąc pod uwagę rodzaj gruntu — kolumny nie są wpuszczone w ziemię wystarczająco głęboko, a ilość stali wzmacniająca fundamenty jest zbyt mała. Sprawdziłem więc ponownie dokumentację, ale zarówno kolumny, jak i fundamenty wykonane były zgodnie z nią, dlatego pomyślałem, że dokumentacja mogła zostać sfalszowana po tym, jak została zatwierdzona przez radę miejską. Przedstawiłem tę sprawę kierownikowi budowy, Derekowi Haywardowi. Zaproponował mi, żebym zatwierdził

wykonane prace w zamian za dziesięć tysięcy dolarów gotówką, a ja zgodziłem się. Był to jedyny przypadek, kiedy miałem do czynienia z Macklin Building."

Nikt się nie poruszył. Twarz Jasona pociemniała z wściekłości.

— Czy to oświadczenie zostało podane do wiadomości publicznej?

— Na razie nie — odrzekł Claude.

— A skąd wiedziałeś, że trzeba szukać tego faceta?

— Katherine przedstawiła nam sytuację w zarysach...

— Katherine? — zdziwił się Derek. — A więc myślałem o właściwej kobiecie, ale nie o tym facecie co trzeba. — Twarz znów wykrzywił mu nerwowy uśmiech i Katherine dostrzegła zmianę w jego głosie; Derek zaczynał tracić panowanie nad sobą. — To swojego męża chciała ochronić, nie Rossa. Ależ Ross musiał się rozczarować dowiadując się, że Katherine wciąż lojalnie waruje przy zbiegu.

— Derek! — odezwała się lodowato Victoria. Derek jednak nie mógł się pohamować.

— Nikt z was nie powinien wierzyć w te bzdury! Chryste, przecież tylko prawnik mógłby przeczytać to coś z powagą na twarzy. Nawet dziecko przejrzy to na wylot. Kim, u diabła, jest Frank Beecher? To postać ze świata fantazji wymyślona przez Craiga i tę jego wierną żoneczkę przy pomocy Claude'a, a wszystko po to, żeby mnie zrujnować i w blasku chwały sprowadzić z powrotem złotego chłopaczka. To Craig sfalszował dokumentację Macklin Building i opłacił tego kłamcę spod budki z piwem, żeby zatwierdził prace; to właśnie każdy z nas wiedział od szesnastu lat!

Wszyscy w pokoju milczeli osłupiali. Nikt się nie poruszył. Ale w tej chwili, jak pod wpływem trzęsienia ziemi, w rodzinie Haywardów przesunął się zakres wpływów — lojalność wobec jednych zniknęła, a pojawiła się w stosunku do drugich i wszyscy zebrani to odczuli.

Victoria westchnęła.

— Katherine — powiedziała nie odwracając się. — Usiądź przy mnie, proszę.

Katherine przysunęła swoje krzesło do stołu. Victoria wciąż była tak samo królewska, ale oczy zaszyły jej łzami, a ręka trzęsła się, gdy piła wodę ze szklanki. Po chwili ujęła dłoń Katherine i mocno trzymała ją w swojej.

— A teraz — ogłosiła chłodnym, spokojnym głosem — przedstawię przyszłą strukturę Hayward Corporation.

Cisza w pokoju ciążyła niczym ołów. Katherine zauważyła, że Derek i Curt wymienili krótkie spojrzenie, po czym odwrócili wzrok i wpatrzyli się w przestrzeń.

— Zbudowali ją Hugh i jego ojciec — ciągnęła Victoria. — Hugh wyrobił jej znakomitą markę. A Derek, przez długi czas, doskonale nią kierował, rozbudowując do dzisiejszych rozmiarów i powiększając majątek każdego z nas.

Znów upiła nieco ze szklanki.

— Kiedyś przez kilka lat prowadziłam Hayward Corporation. Od tamtej pory czułam, że należy do mnie. A kiedy Hugh zmarł i połowę swych udziałów zostawił mnie, chciał mi w ten sposób powiedzieć, że mam troszczyć się zarówno o firmę, jak i o rodzinę.

Popatrzyła na wszystkich uważnie.

— Czekałam prawie pięćdziesiąt lat, żeby odcisnąć na tej firmie jakieś własne piętno. Nawet po tym, jak zmarł Hugh, ja czekałam. Firmę przejął Curt; gdy zmarła Jennifer, straciłam zainteresowanie... potem Curt przeszedł na emeryturę i Derek zajął jego miejsce... i wszystko układało się dobrze... — Ton jej głosu mówił, że myślami sięgnęła w przeszłość, ale zaraz się opanowała. — Ale teraz starzeję się. Nie mogę pozostawić przypadkowi ani nawet odłożyć do jutra, spraw firmy i rodziny, którą kocham.

Odstawiła szklankę pewną już ręką.

— Zawsze wszyscy zakładali, że po mojej śmierci Derek przejmie pełną kontrolę nad firmą, że podzielę moje udziały pomiędzy niego a Rossa, a ponieważ odchodząc na emeryturę Curt oddał Derekowi część swych udziałów i popiera go w każdym głosowaniu, dlatego Derek będzie miał zdecydowaną większość akcji. Jednak obecnie nie jest to już takie oczywiste. — Zrobiła krótką przerwę. Żeby zwiększyć napięcie, pomyślała Katherine; zupełnie jak Tobiasz. — Po tym, czego się dowiedzieliśmy, zdecydowałam, że firma zostanie zorganizowana w całkiem inny sposób.

Curt jęknął, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

— Namówiono cię do tego — mruknął.

— Zdecydowałam! — powtórzyła z naciskiem. — Czy to jasne? To moja własna decyzja wypracowana wspólnie z naszym prawnikiem w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Claude przedstawi wam

ją. I nic życzę sobie żadnych pytań ani komentarzy, dopóki nie skończy. Czy to jasne? — Oddychała bardzo szybko i mocno ścisnęła dłoń Katherine, ale trzymała się dzielnie. — Spodziewam się, że będziecie słuchać w milczeniu i z uwagą; jestem już zmęczona waszymi dziecięcymi kłótniami i brzydzę się tymi plugawymi odzywkami, które świadczą jedynie o ogromnej niedojrzałości i ograniczeniu. — Znów zrobiła przerwę. — Claude? Bardzo proszę. Claude rozwinął jakiś wykres i przypiął go do tablicy.

— Hayward Corporation będzie firmą macierzystą składającą się z trzech zależnych od niej spółek: Hayward Construction, Hayward Development i Hayward Associates. Victoria przekazuje osiemdziesiąt dwa procent swych udziałów w Hayward Corporation Rossowi, a osiemnaście Derekowi. Razem z udziałami, które już posiadają, Ross będzie miał pięćdziesiąt jeden procent Hayward Corporation, a Derek dwadzieścia dziewięć procent. Curt zachowa swoje dziesięć procent, a Jason i Anna po pięć.

Przez salę przebiegł szmer, ale nikt się nie odezwał.

— Hayward Corporation będzie właścicielem pięćdziesięciu jeden procent każdej z trzech spółek. Pozostałe udziały zostaną rozdzielone następująco:

Derek dostanie czterdzieści dziewięć procent Hayward Construction. Nadal pozostanie jej prezesem i jak do tej pory będzie kierował firmą, realizując budowy na wielką skalę.

Ross i Derek podzielą równo między siebie czterdzieści dziewięć procent udziałów w Hayward Development, całkowicie nowej firmie, która zajmie się najważniejszymi projektami związanymi z przebudową miasta.

Ross włączy do korporacji swą firmę architektoniczną, Ross Hayward Associates, jako trzecią spółkę i będzie właścicielem czterdziestu dziewięciu procent jej akcji.

Wszelkie szczegóły łącznie z tymi, które dotyczą podatków, znajdziecie w specjalnych broszurkach: rozdram wam je później.

— Dostał wszystko — wycedził przez zęby Curt.

— Wcale nie — syknął Derek, który szybciej niż ojciec pojął, jak mistrzowsko zorganizowana została korporacja. Niech ich cholera weźmie, kłął pod nosem. Do diabła z tymi ich sprytnymi sztuczkami. Różne myśli kotłowały mu się w głowie i rozsadały ją. Czuł, że potrzask się zamyka. Zerwał się z krzesła i wybiegł z sali.

Claude ciągnął dalej.

— Mówiąc najprościej Ross jest głównym udziałowcem i ma kontrolę nad firmą macierzystą, czyli Hayward Corporation, która z kolei kontroluje każdą z trzech spółek. Mogę jeszcze dodać, że dzięki tej reorganizacji wszyscy udziałowcy Hayward Corporation odniosą korzyści finansowe.

Ross ma kontrolę nad firmą, pomyślała Katherine rozumiejąc wściekłość malującą się na twarzy Dereka. Odebrano mu jedyną rzecz, która ma dla niego znaczenie — władzę. Pieniądzy będzie miał jeszcze więcej niż do tej pory, dalej może sobie budować mosty, autostrady i wodociągi i wciąż będzie miał powodzenie jako bogaty, czarujący kawaler. Zewnętrznie jego życie nie ulegnie żadnej zmianie. Z wyjątkiem tego, że u szczytu władzy będzie teraz jego brat.

Tylko że Ross nie chciał tego. On nie chciał wejść do Hayward Corporation.

Katherine przypomniała sobie, jak Victoria i Tobiasz wymienili spojrzenia. „Może Derekowi przydałoby się skrzepować trochę skrzydła.” Wciągnęli w to Rossa. Bo nie było nikogo innego. Ale właściwie czyż nie tego chciał zawsze Ross? Bogatej firmy, która dysponowałaby wystarczającymi zasobami, by budować to, co on sobie wymarzy, by przekształcać ogromne przestrzenie, by zmieniać wygląd miast...

— To nie zda egzaminu — zaczął Curt zjadając końcówki słów. — Nie pozwolę ci przerobić tej firmy z dnia na dzień ani oddać jej Rossowi. On nie ma doświadczenia w prowadzeniu tego całego interesu. Sam pomysł spółki Hayward Development nie jest zły, a jeśli chcesz połączyć firmę Rossa z naszą, to też się zgadzam. Ale nie wyrażę zgody na realizację reszty tego planu, który we trójkę spłodziliście. — Odsunął się od stołu. — To tak zwane oświadczenie Beechera nie jest warte funta kłaków. Nie dopuściłabyś, żeby trafiło do sądu; za wiele szkody wyrządziłoby korporacji. Jak znam Claude'a, to już pracuje nad załatwieniem tej sprawy polubownie i oczywiście dołożymy się, jeśli Ross potrzebuje pomocy w spłaceniu tych ludzi. Ale jeżeli chodzi o plany względem firmy, to posunęłaś się za daleko. Głosuję przeciw. A żeby przeprowadzić reorganizację firmy na taką skalę, potrzebna ci zgoda wszystkich udziałowców. Claude przypomni ci regulamin, jeśli o nim zapomniałaś.

Victoria popatrzyła w stronę Curta.

— Byłeś takim miłym dzieckiem, Curt. Hugh i ja cieszyliśmy się tobą przez dwanaście lat, dopóki nie stałeś się agresywny i niesympatyczny. A teraz dowiedziałam się, że okłamałeś Rossa po wypadku na żaglówce mówiąc mu, że z Macklin Building nie ma żadnych problemów; przez wszystkie te lata trzymałeś to w tajemnicy przed nami i razem z Derekiem próbowałeś zrzucić winę na Craiga. Jesteś nieodpowiedzialny i skorumpowany, wstyd mi za ciebie jako mego syna i udziałowca tej korporacji. Patrz na mnie, kiedy mówię do ciebie! I słuchaj uważnie, bo to, co zamierzam teraz powiedzieć, jest dla ciebie istotne. — Rzuciła wzrokiem na puste krzesło Dereka. — Czy ktoś mógłby odszukać Dereka i sprowadzić go tutaj?

Tobiasz wymknął się z sali i po chwili wrócił.

— Przyjdzie...

Po chwili zjawił się Derek i zajął swoje miejsce. Wzrok miał zachmurzony, a twarz zubożniała.

— Po pierwsze — zaczęła Victoria — Derek i Curt pokryją koszty sprawy związanej z zaskarżeniem Rossa. Miałeś rację, Curt; zamierzamy nie dopuścić, by trafiła ona do sądu. Pokryjesz wszelkie łączące się z tym wydatki. Ponadto — obwieściła spokojnie — będziesz głosował za reorganizacją korporacji. Głosowanie będzie jednomyślne. A jeśli nie, to odbiorę Derekowi prezesurę Hayward Construction i mianuję na jego miejsce Rossa, któremu przepiszę też swoje pięćdziesiąt procent udziałów. Wtedy Derek w ogóle zostanie wykluczony z firmy. Czy mam wyjaśnić szczegółowo to, co powiedziałam, czy zrozumiałeś wszystko?

Derek siedział nieruchomo. Jeszcze przez chwilę miał zamęt w głowie, w końcu jednak się uspokoił. Nie było żadnego wyjścia. A przynajmniej on nie widział ani jednego. Może w przyszłym roku albo za dwa lata. Albo za pięć. Ale jeszcze nie teraz.

Curt przygłądał się Victorii przez dłuższą chwilę.

— Wiesz — zaczął w końcu — jesteś niebezpieczna. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego ojciec był z tobą. Teraz rozumiem.

— Nie uważam tego za pochlebstwo — powiedziała i odwróciła od niego wzrok.

— A więc czy głosowanie będzie jednomyślne? — spytała Anna.

— Oczywiście — odrzekł Jason. — Zresztą to całkiem niezły projekt.

— Naprawdę? — odcięła się Anna. — To powiedz mi, gdzie w tym projekcie jest miejsce dla Craiga?

— „Wieczorem twój cień wznosi się na spotkanie z tobą” — zacytował miękko Tobiasz.

— Jestem już tym zmęczona — mruknęła Victoria. Katherine czuła jej lodowatą dłoń.

— Powinnaś się położyć — powiedziała.

— Zrobię to zaraz po głosowaniu. Zbyt wiele tu emocji; to dość wyczerpujące. Anno — powiedziała podnosząc głos. — Rada nadzorcza omówi miejsce Craiga w Hayward Corporation. Ja już nie będę jej członkiem i nie będę w tej sprawie wywierać na nikogo żadnego nacisku. Jednakże mam jeszcze mój majątek osobisty. I sporo o nim myślałam. Moje uczucie do Craiga było nie zmienione przez wiele lat, ale ostatnio zbyt wiele się o nim dowiedziałam i w końcu czas też zrobił swoje. Craig wszystko zaprzepaścił.

— Nie! — zaczęła Anna, lecz Victoria powstrzymała ją podnosząc dłoń.

Dziwne, pomyślała Katherine, że te dwie kobiety, najbardziej obciążające Craiga swymi wymaganiami, które on z kolei chciał spełnić, żeby wybić się i dorosnąć do ich wyobrażenia o złotym chłopcu, miały teraz tak bardzo różny stosunek do niego.

— Craig wszystko zaprzepaścił — powtórzyła Victoria. — Jego żona i dzieci... och, to absurd nazywać Katherine „jego żoną”! Katherine sama wypracowała sobie miejsce w tej rodzinie i jeszcze więcej zajęła go w moim sercu, zarówno ona, jak i Jennifer i Todd należą do moich głównych spadkobierców. Co ty i Jason zrobicie z własnymi akcjami, to wasza prywatna sprawa, lecz naturalnie macie ich zbyt mało, żeby wprowadzić jakieś zmiany w strukturze nowej Firmy.

— Chcesz go zupełnie wykluczyć! — krzyknęła Anna. — Katherine, mogłabyś ją przekonać...

— Katherine nie może mnie przekonać — przerwała jej Victoria zniecierpliwiona. — Czy wciąż muszę się powtarzać? Decyzje podejmuję samodzielnie. Życzę sobie, żeby korporacja miała dokładnie taki kształt, jak to opisał Claude. A teraz chcę, żeby odbyło się głosowanie. Czy sama muszę wystąpić z wnioskiem?

— Stawiam wniosek — odezwał się Derek stanowczym głosem, po raz drugi tego dnia wprawiając wszystkich w osłupienie — by

reorganizację korporacji, tak jak to przed chwilą przedstawiono, przyjęto jednogłośnie.

— Popieram — rzekł Claude szybko. Victoria podniosła się.

— Wszystkich, którzy są za, proszę o podniesienie ręki.

W górę poszły ręce Rossa, Claude'a, Tobiasza, Jasona, Anny i Dereka. Victoria też podniosła swoją. Spojrzała na Curta. Powoli jego ręka również się uniosła.

Victoria odetchnęła.

— Wniosek przyjęto. — Odwracając się powiedziała: — Anno, czy mogłabym zamienić z tobą kilka słów?

Derek odepchnął swe krzesło od stołu. Mimo wszystko potrzask nie zatrzasnął się całkowicie; możliwości wciąż były ogromne. Przy odpowiednim zarządzaniu korporacja może się zupełnie przeobrazić i być bogata, wszechstronna, potężna, międzynarodowa. Jeśli połączy się to, co już zdołał osiągnąć w budownictwie, z — bo musiał to przyznać — geniuszem Rossa w architekturze i doda do tego przeogromne zapotrzebowanie na przebudowę miast... o taką korporację można powalczyć. Będę pracował jak dziki osioł, myślał, żeby pomóc mu zbudować taką firmę, a potem znajdę sposób, by mu ją odebrać. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Rossa.

Zbierając swe papiery Ross wstał i zerknął w kąt sali, dając Derekowi do zrozumienia, że chce z nim pomówić. A to sukinsyn, myślał Ross. Nie dopuścił do większych strat i już pewnie planuje, jak mi odebrać firmę. Cóż, walka będzie zażarta. Przypomniawszy sobie tę chwilę zebrania, kiedy Derek tak się wystraszył, że stracił panowanie nad sobą. Gdyby nie to, pomyślał Ross, nie przyjąłby oferty Victorii. Ale teraz kiedy firma należy już do mnie i mam szansę robić to, czego zawsze chciałem, i tak, jak chciałem, warte jest to nawet potyczek z Derekiem, które czekają mnie w przyszłości. Zresztą będę mógł odpowiednio wykorzystać Dereka — to cholernie dobry fachowiec, tylko trzeba go pilnować.

W kącie sali, gdzie stały dwa fotele i stolik z ekspressem, Ross nalał sobie kawy i czekał. Na razie nie widział przed sobą żadnego powodu do zmartwienia — nie była to nawet walka z bratem, byle tylko on, Ross, miał przy sobie Katherine. Tym bardziej cieszyłyby go wygrane z Derekiem, gdyby mógł się z nią dzielić swymi sukcesami.

Spojrzał w stronę Katherine, ale rozmawiała z Victorią i Anną. Zobaczą ją na przyjęciu, przypomniał sobie. Będę mógł jej opowiedzieć o pierwszej naradzie prezesa Hayward Corporation z prezesem Hayward Construction. Po raz pierwszy w życiu poprowadzę firmę. Mamy sporo do omówienia i dogadania.

Derek właśnie wstał i powoli podszedł do Rossa.

— Chciałeś ze mną rozmawiać — powiedział spokojnie. Przysuwając fotele usiedli i zaczęli rozmowę jak dwaj biznesmeni

omawiający w zacisznym kąciку sprawy związane z przyszłością firmy.

— ...chcę, żebyś to zrozumiała — mówiła Victoria do Anny. — Od dawna już potrzebowaliśmy czegoś nowego, w firmie. W rodzinie. — Wzrok jej zatrzymał się na moment na wnukach. — Może ci dwaj nauczą się dogadywać ze sobą. Albo przynajmniej walczyć konstruktywnie. A zresztą klamka zapadła. Nie będę już zajmować się firmą; tylko bym wchodziła im w drogę. — Zrobiła krok do tyłu. — Ross zasiądzie za biurkiem Hugh'a i spełni jego i moje marzenia. No a teraz, Katherine, ty też musisz się włączyć w to wszystko...

Katherine uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Zorganizowałaś nową firmę. Czy to nie wystarczy jak na jeden dzień?

— No dobrze, możemy pomówić o tym jutro. Och, zapomniałam... Ross! Jeśli ty i Derek omawiacie kompetencje prezesów spółek, powinniście uwzględnić Claude'a, podatki...

— Pomyśleliśmy o tym — wtrącił łagodnie Ross. — Chcesz się do nas przyłączyć?

— Nie — roześmiała się ze smutkiem, — Starej kobiecie trudno jest tak wypuścić wszystko z rąk. To nieodwołalny koniec... jakbym oddawała komuś zbiory sztuki gromadzone przez całe życie. Najpierw jedną rzecz, potem drugą... za każdym razem umierając trochę więcej. Gdybym tak znów mogła mieć siedemdziesiąt lat! No, nie przeszkadzajcie sobie. Katherine odprowadzi mnie do samochodu. Dlaczego nie prowadzisz zebrania? W końcu to ty teraz rządzisz!

Podeszła bliżej do wnuków.

— Derek, cieszę się, że zostałeś. Bałam się, że będziesz rozgoryczony i zrezygnujesz, a to byłoby bardzo niedobre.

Derek skinął lekko głową nie zdradzając przy tym żadnych myśli. Victoria położyła dłoń na ramieniu Rossa, a on wstał i odprowadził ją do drzwi.

— Mój drogi Rossie — powiedziała. — Jesteś bardzo podobny do Hugh'a. Dbaj o to, co on zbudował. Dbaj o to, co razem stworzyliśmy.

Ross przytulił ją i pocałował w policzek.

— Niech cię Bóg błogosławi — szepnęła Victoria i wsparta na ramieniu Katherine, skinieniem żegnając rodzinę, opuściła salę konferencyjną Hayward Corporation — po raz ostatni.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W sobotę po południu Victoria zadzwoniła do Katherine z prośbą, by czyniła honory domu w czasie jej przyjęcia w wigilię Wszystkich Świętych.

— Wszystko przygotowałam — powiedziała. — Trzeba tylko dopilnować, by każda rzecz była jak należy. Oczywiście na miejscu będzie Tobiasz, ale on czasem gubi się w tych swoich cytatach.

— Ale przecież ty też będziesz — sprzeciwiła się Katherine. — To twoje przyjęcie!

— Naturalnie, że będę; nie opuściłabym takiej okazji. Zamierzam siedzieć na połączanym tronie, łaskawie przyjmować pozdrowienia, pozwalać gościom dotykać rąbka mej sukni i posyłać do nich ciebie jako moje drugie ja. Czy mogłabyś przyjść wcześniej, żeby sprawdzić nakrycia stołów?

— Tak, ale...

— Nie bój się, Katherine; nie czeka cię zbyt dużo do roboty. A jeśli będziesz potrzebowała pomocy, to Tobiasz i ja będziemy przy tobie. No i Ross.

Gdy się pożegnały, Katherine pokręciła głową w zadumie. Victoria robi wszystko, by ona i Ross zajęli miejsce dziadków. My

dwoje, pomyślała, i czwórka naszych dzieci mamy zacząć nową dynastię Haywardów. Victoria zapomniała o Craigu.

Nie, nie zapomniała; po prostu zignorowała przeszkody starając się jedynie siłą woli nadać wydarzeniom bieg taki, jakiego sobie życzyła. W przypadku Victorii Katherine nigdy nie była pewna, co właściwie jest pozorne, a co prawdziwe. A może to nie miało znaczenia, skoro i tak babka zawsze osiągała to, co chciała, jak na zebraniu rady nadzorczej.

— Mamo, idziemy już — powiedział Todd. — Mamy pomóc Annie przygotować hamburgery na kolację.

Uścisnęła ich.

— Bawcie się dobrze.

— Ty baw się dobrze — życzyła Jennifer. — Czy Ross tam będzie?

— Oczywiście. Przecież jego babka wydaje to przyjęcie.

— Pozdrów go od nas.

— Dobrze.

— Możesz go nawet od nas ucałować — dodał wesoło Todd.

— Dobrze.

— Możesz go nawet zaprosić na kolację — dorzuciła Jennifer. — Zrobimy hamburgery.

— Zobaczymy. Moglibyście kiedyś przygotować je dla Leslie i Claude'a.

— Pewnie. — Jennifer i Todd wymienili spojrzenia. — Ale obiecaliśmy Rossowi kolację tego dnia, kiedy poszedł z nami popływać.

— Nie mówiliście mi o tym.

— Lubimy go — oznajmił Todd. — No i fajnie jest chodzić razem w różne miejsca. Po prostu go lubimy, ale myśleliśmy, że po tym, co wcześniej powiedzieliśmy o tacie, mogłabyś nie zrozumieć. To wszystko.

— Nie zrozumieć czego? — spytała Katherine.

— Że potrzebujesz seksu i towarzystwa — wygadał się Todd. — Carrie nam powiedziała. Widzisz, oni naprawdę nie znoszą tego faceta ich mamy... on ma na imię Guy, strasznie dziwnie... a my naprawdę lubimy Rossa, więc wymyśliliśmy sobie, że jeśli już musisz kogoś mieć... Zresztą, tak tylko sobie pomyśleliśmy.

— Dziękuję wam — odrzekła Katherine.

— No i baw się dzisiaj wspaniale — dodała Jennifer. — I nie spiesz się do domu. Możesz wrócić tak późno, jak będziesz miała ochotę.

— Dziękuję — powtórzyła Katherine.

Teraz już wszyscy udzielili mi swego pozwolenia, pomyślała wyjmując z szafy nową suknię. Przynajmniej na seks i towarzystwo.

— Jeszcze nie jesteś ubrana! — zauważyła Leslie wbiegając do pokoju pół godziny później. — Przyszłam ci pomóc; Claude wpadnie po nas za parę minut. Opowiedział mi o zebraniu rady nadzorczej; chciałabym móc pokłonić się nisko Victorii i ucałować jej stopy. O Boże, czy to nowa suknia? Będiesz królową balu. Odwróć się; zasunę ci suwak.

Stały przed lustrem.

— Przyjrzyj się sobie — powiedziała cicho Leslie. Katherine cała spowita była w złoto: odkrywająca ramiona

i opinająca sylwetkę suknia, z jedwabiu w kolorze starego złota, tworzyła komplet z koronkowym bladozłotym zakieczkiem z długimi rękawami. Głęboki brąz opadających na ramiona włosów odcinał się od delikatnej, złotej koronki i bladej skóry zaledwie muśniętej różem.

Zamiast na guzik, który wcześniej odpruła, Katherine spięła zakieczek w talii broszką w kształcie małego konika morskiego ze złota, z oczkiem z opalu i smukłym ogonkiem owiniętym wokół małej muszelki. Ale wzrok Leslie przykuły tworzące komplet z broszką naszyjnik i bransoletka.

— Nieprawdopodobne. To nie jest zwykła biżuteria, to dzieło sztuki. Dlaczego, u diabła, tracisz czas w tych małych sklepikach?

— Wiesz dlaczego.

— Twoje paski dobrze się sprzedają. Będę musiała jeszcze raz pomówić z szefem działu biżuterii. — Rozległ się dzwonek do drzwi. — To Claude, przyjechał zabrać swoje panie na bal. Czy mogę przymierzyć ten naszyjnik?

— Proszę. — Katherine poszła otworzyć drzwi, a gdy wróciła z Claude'em do pokoju, zastała Leslie wzdychającą do swego odbicia w lustrze. Przyjaciółka miała na sobie odkrywającą jedno ramię suknię z tafty w kolorze czerwonego wina, a szyję otaczał jej naszyjnik z delikatnych, łukowatych, złotych ogniwek połączonych ze sobą niewielkimi bryłkami w kształcie łezek, trójkątów i kółek

z drobnutkich ukośnie osadzonych klejnocików w kolorze bursztynu, bladego błękitu, ciemnej zieleni i czerni. Leslie ponownie westchnęła.

— Wygląda jak jakaś koronowana głowa podczas uroczystości pałacowych w siedemnastowiecznych Włoszech lub Francji.

— Czy jest na sprzedaż? — szeptem spytał Claude.

— Nie — uśmiechnęła się Katherine. — Zrobiłam go w prezencie dla samej siebie. Ale mogłabym wykonać podobny.

— Kupię go.

— Nie wiedząc nawet, jaki będzie?

— Oczywiście; wierzę w ciebie.

— Jest bardzo drogi.

— Wcale w to nie wątpię. Ale chcę taki mieć bez względu na cenę. To będzie prezent ślubny dla mojej narzeczonej. Gratuluję ci, Katherine; jest cudowny. — Stał obok Leslie. — Sama mogłabyś pokazać się w pałacu. Ale nie dzisiaj. Victoria prosiła Katherine, żeby przyszła wcześniej; musimy już wychodzić.

— Jestem gotowa. Wiesz, Katherine, Tobiasz powiedziałby „Rzecz piękna to radość wieczna”, i miałyby rację. O Boże, na widok twojej biżuterii zaczynam cytować poezję. Masz, zabierz go z powrotem, zanim wyrecytuję cały wiersz.

— Nim dojechali do Fairmont, Katherine myślała już tylko o przyjęciu. Od czasu szalonych wypadów z Derekiem miał to być jej pierwszy bal, a w dodatku nie bardzo wiedziała, czego oczekuje od niej Victoria, co rozumie przez pełnienie honorów domu. Pewnie należy sprawdzić nakrycie stołów i co tam jeszcze trzeba, żeby czterystu gości świetnie się bawiło. Na mur beton właśnie to, powiedziała by Leslie. To tylko małe spotkanie towarzyskie podobne do tego, które zorganizowałam w Vancouver dla Leslie, powiedziała sobie Katherine.

Zatrzymała się na środku wspaniałego holu z marmurowymi filarami, kwiecistym dywanem i aksamitnymi fotelami, wspominając tamtą przyjemną letnią noc, gdy na tarasie swego domu w Vancouver żałowała, że Leslie nie może zostać dłużej, by spotkać się z Craigiem. Czekałam na niego tamtego dnia, pomyślała. I czekam na niego teraz. Ale to dwa różne przyjęcia. Zerknęła w lustro. I dwie różne kobiety.

— Katherine — wyrwała ją z zadumy Leslie. — Chyba chciałaś być wcześniej?

— Tak — odrzekła.

Być może jeszcze na niego czekam, pomyślała, ale tylko to pozostało z tamtego przyjęcia. Odejdź, poleciła cieniowi Craiga. Mam teraz na głowie mnóstwo innych spraw.

Ruszyła wraz z Leslie i Claude'em wzdłuż nie kończących zdawałoby się korytarzy ku szklanym drzwiom prowadzącym do sali balowej. Byli na niej tylko barmani, ale w przyległej jadalni kelnerzy i kelnerki ustawiali już kieliszki do wina na czterdziestu okrągłych stołach nakrytych adamaszkowymi obrusami koloru kości słoniowej, na których stała białozłota porcelana, pływające świece i stroiki ze złotych i białych chryzantem w wiklinowych koszyczkach. Wzdłuż ścian, w rogach sali i poniżej podium dla orkiestry umieszczono grupki sosen tworzących miniaturowy las. Żyrandole jaśniały bursztynowym światłem. Jadalnia w Fairmont przeobraziła się w jesienny las jakby przeniesiony z Nowej Anglii.

— To pomysł Tobiasza — powiedział Claude oglądając salę. — Tęskni za Bostonem jesienią, więc odtworzył go sobie w San Francisco.

Podszedł do nich postawny mężczyzna w smokingu i zerkał pytająco to na Katherine, to na Leslie.

— Pani Fraser? Jestem Arvin Wallace, starszy kelner. Pani Hayward powiedziała, że z panią mam omawiać wszelkie problemy.

— Będziemy w ogrodzie — powiedziała Leslie. Zdrajczyni, pomyślała Katherine.

— A czy jest jakiś problem? — spytała Wallace'a.

— Mus kawiorowy, madame. Szef kuchni użył do niego bielugi zamiast American Golden, który zamówiła pani Hayward.

Katherine patrzyła na niego nie dając nic po sobie poznać. Bieluga zamiast American Golden... Kiedy kobieta wkłada na siebie nową suknię i najelegantszą biżuterię, nie spodziewa się lekcji na temat gatunków kawioru.

— A czy próbował pan mus? — spytała. Zrobił obrażoną minę.

— Ależ oczywiście, madame. Jakże inaczej miałbym wiedzieć, którego kawioru użyto?

— Mógł pan zapytać — odparła łagodnie. — I jak smakował?

— Doskonale, oczywiście — zapewnił. — Kawior z bielugi jest najlepszy na świecie.

— A więc w czym problem? — dopytywała się Katherine.

— Ależ, madame, to jasne... Pani Hayward najpierw zamawiała bielugę, ale wydawało nam się, że ten kawior jest niedostępny na rynku, dlatego przedstawiony przez nas kosztorys nie uwzględniał tego wydatku. Sądziłem, że madame natychmiast to sprawdzi.

A to snob, pomyślała Katherine. Martwi się, bo w grę wchodzi dodatkowe koszty. Ale co tam, nie pozwolę, żeby poczuł się lepszy tylko dlatego, że udało mu się sprawić, iż ja czuję się nieobyta, chociaż rzeczywiście jestem niedoświadczona. Uniosła wysoko głowę i bacznie, ale spokojnie patrzyła na Wallace'a, aż zaczął mrugać.

— Panie Wallace, co jest w tej chwili ważniejsze, koszty czy perfekcyjne przyrządzenie potraw?

— Madame, nie ulega wątpliwości...

— To dobrze. Wydaje mi się co najmniej niewłaściwe poruszanie sprawy kosztów na dwie godziny przed przyjęciem. Jestem pewna, że mus będzie tak doskonały, jak pan twierdzi, a jutro zajmiemy się finansami. Naturalnie omówię tę sprawę z panią Hayward.

Wallace spuścił wzrok.

— Oczywiście, madame. — Odwrócił się, żeby odejść.

— Panie Wallace, jeśli chodzi o stroiki...

Zwrócił się ku niej i Katherine zauważyła błysk w jego oku.

— Tak, madame. Czy pani Hayward?...

— Pani Hayward nic o nich nie mówiła. Ale są za małe. A te dwa kolory nie wyglądają zbyt żywo na białym tle. Moim zdaniem w stroikach brakuje trochę kwiatów.

Popatrzył na nią z pełnym niechęci szacunkiem.

— Tak, madame. Kwiaciarka się pomyliła i przysłała czerwone dalie zamiast żółtych astrów. Były raczej nieodpowiednie, więc nie kazałem ich układać.

— Chciałabym je zobaczyć.

Wallace westchnął i po chwili wrócił z naręczem czerwonych niczym rubiny dalii o środkach żółtych jak maleńkie słońca.

Katherine ułożyła cztery z nich pomiędzy chryzantemami w jednym z wiklinowych koszyczków. Stroik od razu ożył, rozweselając cały stół. W milczeniu popatrzyła na Wallace'a.

— Wygląda naprawdę ładnie — powiedział.

— Proszę zająć się pozostałymi stroikami. Po cztery dalie do koszyczka, a jeśli wystarczy, to po pięć. Czy to wszystko?

— Tak, madame. — Zawahał się. — Dziękuję. Rozpromieniona odniesionym sukcesem Katherine przechadzała

się po jadalni podziwiając stoły. Kelnerce zwróciła uwagę na nakrycie, przy którym brakowało kieliszka do wina; gdzie indziej poprawiła stroik, który stał dokładnie tak jak trzeba; a z kierownikiem zespołu muzycznego omówiła repertuar i poprosiła, by uwzględnił *Jesień* Vivaldiego z *Czterech pór roku*. W końcu poczuła się dobrze w tym pięknym pokoju i przeszła do sali balowej pewna siebie, świadoma, że to ona sprawuje tu kontrolę i ona pełni honory domu, ale w chwili gdy pojawili się pierwsi goście, ogarnął ją lęk. Nie poradzę sobie sama, pomyślała i ruszyła na poszukiwanie Leslie i Claude'a.

— Musicie stać obok mnie — błagała. — Nie dam rady przywitać czterystu obcych ludzi, nie mając nikogo przy sobie. Dlaczego nie ma tu Victorii?

— Planuje wielkie wejście na dziesiątą — wyjaśnił Claude. — Chodźmy; powiem ci, kto jest kto.

Stał cały czas tuż obok niej, mając Leslie po drugiej stronie, i szeptem podawał Katherine skrótowe charakterystyki nadchodzących gości. „Dopiero co wrócili z Majorki...” „Jak było na Majorce?”, pytała Katherine z uśmiechem podając dłoń. „Ma staw z flamingami...” — „Czy flamingi dobrze się chowają?”, i znów się uśmiechała. Zaczynała się nawet dobrze przy tym bawić. „Gromadzi wypchane łosie w swoim domku myśliwskim”, szepnął Claude. „Całe łosie?”, spytała Katherine zaskoczona. Goście zrobili nieco zdziwione miny, gdy ona, Claude i Leslie wybuchnęli śmiechem.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziała Katherine do dostojnie wyglądającego mężczyzny, który stanął przed nią. — Cieszę się, że pana poznałam; tyle słyszałam o pańskich łosiach.

Gdy zjawił się Ross, Claude szepnął Katherine do ucha: „Zakochany w znakomitej projektantce biżuterii”, więc uśmiechała się podając rękę Rossowi. On mocno ją uściskał.

— Czy Victoria zachorowała? — spytał. Katherine zaprzeczyła ruchem głowy.

— Claude mówi, że planuje wielkie wejście o dziesiątej.

— A tobie zostawiła najcięższą robotę?

— Tak.

— Ale będziemy mogli... — Zawahał się, bo inni już tłoczyli się za jego plecami.
— Później — dodał. Zamienił jeszcze parę słów z Claude'em i Leslie i odszedł.

Wreszcie Claude powiedział:

— Właściwie mamy to już za sobą. Chodźcie, zaschło mi w gardle. Wszyscy troje zasłużyliśmy sobie na szampana.

Zanim wybiła dziesiąta, czterystu gości w smokingach i połyskujących sukniach przechadzało się po sali balowej i ogrodzie. Kelnerzy krążyli wśród nich z wypolerowanymi jak lustra tacami, roznosząc szampana i przekąski, orkiestra przygrywała, aż wreszcie w przerwie między kolejnymi utworami pojawiła się w drzwiach Victoria ubrana w białą aksamitną suknię zdobioną jedwabiem. Wsparta na ramieniu Tobiasza podeszła do wysokiego fotela ustawionego na niewielkim podwyższeniu między salą balową a ogrodem; stąd mogła widzieć wszystkich.

Zaledwie parę metrów od niej po drugiej stronie szklanych drzwi rozciągał się ogród — bujna zielona oaza z wysokimi palmami przypominającymi gęste pierzaste parasole, z wypielęgowanymi klombami kwiatów poprzedzielanymi trawnikami i alejkami, z oświetloną fontanną, latarniami o kulistych kloszach, z których sączyło się delikatne światło, i z dwumetrowymi krzewami obsypanymi jasnoniebieskimi i pomarańczowymi kwiatami podobnymi do ptaków w locie. Goście podchodzili do Victorii, by się z nią przywitać, ale zdążyła już wypatrzeć Katherine stojącą w głębi ogrodu razem z Leslie i Claude'em, Markiem Landauem i jego nową partnerką i członkami rady nadzorczej Orkiestry Symfonicznej San Francisco. Stali przy jednym z kwitnących krzewów, ale w oczach Victorii Katherine przyćmiewała swą urodą wszystkie kwiaty i swobodnie mogła rywalizować z kobietami kręcącymi się wokół.

To byli zupełnie inni goście niż ci, których spotykała bywając z Derekiem. Victoria zgromadziła tu swoją elitę — bogaczy obdarowujących miejskie muzea, orkiestry, zespoły baletowe, uniwersytety. Wielu z nich miało po kilka domów w największych miastach na świecie albo w ich pobliżu, większość posiadała majątek przekazywany z pokolenia na pokolenie, a wszyscy wydawali naraz więcej niż przeciętni ludzie zarabiają przez całe życie. Katherine stała wśród nich śmiejąc się i rozmawiając, a uszy miała na wszystko otwarte.

— Popatrz na nią — powiedziała Victoria do Tobiasza. — Powiedziałbyś, że wychowała się w mieszkanku nad sklepem spożywczym?

— Powiedziałbym — odrzekł zamyślony Tobiasz — że jest wystraszona i rozradowana w równej mierze.

— Nonsens. Chociaż, może tak. Ale jak świetnie sobie radzi! — Patrzyła na rozpromienioną twarz Katherine, która właśnie wybuchnęła śmiechem. — Ona jest taka pełna życia! Wiesz, Tobiaszu, bardzo ją kocham.

— Tak, tak, masz rację — zgodził się Tobiasz myśląc, jak niesamowicie potoczyły się wydarzenia: Craig swoim tchórzostwem doprowadził do wielkiej przyjaźni między dwiema kobietami, które nawzajem siebie potrzebowały.

— Gdzie jest Ross? — spytała Victoria. — Nigdzie go nie widzę. Tobiasz zachichotał.

— A co sprawiło, że akurat o nim pomyślałaś?

— Kiedy widzę Katherine, myślę o nim, dobrze o tym wiesz. Tobiaszu, czy mógłbyś przyprowadzić ją do mnie? Jeszcze się z nią nie przywitałam i chciałabym się przyjrzeć jej biżuterii; już od kilku osób o niej słyszałam. No proszę cię, mój drogi.

Tobiasz zaczął przeciskać się przez tłum, kłaniając się i uśmiechając do eleganckich, bogatych gości, którzy traktowali go z szacunkiem, ponieważ był bratem Victorii i napisał kilka prac naukowych, a poza tym intrygował ich ten zabawny ekscentryk, bo wystarczała mu w życiu profesura, a nie interesowało go robienie dużych pieniędzy.

Interesują mnie za to książki, mawiał Tobiasz, a gromadził je z taką zachłannością, jak inni gromadzą pieniądze. Może bardziej by mnie podziwiali, gdyby wiedzieli, że na swój sposób jestem tak samo chciwy jak oni, zachichotał.

Nagle zauważył obok siebie Rossa.

— Z czego się tak śmiejesz? Ja też chciałbym się pośmiać.

— O nie, mój chłopcze; żartowałem z samego siebie, więc lepiej nie będę ci opowiadał. Widziałaś Katherine?

Ross spojrział w stronę grupki stojącej pod kwitnącym krzewem.

— Tak. Czy mógłbyś mnie przedstawić? Jeśli będziemy udawać, że dopiero co się poznaliśmy i nie mamy żadnej wspólnej przeszłości, to mógłbym zaprosić ją do tańca.

— Zaproś i tak. Powiedz jej, że nie robisz tego dla siebie, ale żeby sprawić przyjemność Victorii. — Ross roześmiał się. — Bo zrobiłbyś tym przyjemność Victorii — dodał Tobiasz i cicho, chyba tylko dla siebie zacytował: „Nieważne, jak długo nas kochano, i tak za krótko”.

— Możesz to powtórzyć? — poprosił Ross. Tobiasz spełnił jego prośbę.

— Zawsze powinieneś słuchać mądrości poetów, Ross. I ludzi starych. Nigdy nie mamy wystarczająco dużo czasu. Do licha, chłopcze, poproś ją do tańca!

— A czy znasz jakiś cytat o lojalności i zdradzie? — spytał cicho Ross. — I o strachu, że przeszłość się powtórzy? I o cieniu, który przysłania wszystko. Oczywiście, że zaproszę ją do tańca. Ale potem... — Wzruszył lekko ramionami.

Przez ostatnią godzinę, kiedy kręcił się między gośćmi odnawiając stare znajomości, zawierając nowe i broniąc się przed okazywanym mu współczuciem i wścibskimi pytaniami na temat rozstania z Melanią, stale widział niedaleko siebie Katherine. Jak to się działo, sam nie wiedział, ale gdziekolwiek się odwrócił, jej olśniewająca postać była tuż niedaleko otoczona barczystymi smokingami, połyskującymi sukniami i klejnotami. Była jak wiotki, złoty płomyk kołyszący się lekko w powiewach tłumu i swym blaskiem, śpiewnym głosem i uśmiechem przyciągała do siebie innych, tak jak przyciągała jego.

Gdy zbliżali się do niej z Tobiaszem, nagle przyszła mu do głowy pewna myśl: Katherine nie potrzebuje nikogo z nas. Zaszła już tak daleko bez Craiga, beze mnie, bez Victorii. Wszystko, co ma, osiągnęła sama. I również sama może zdobyć, co tylko jeszcze zechce. Ross poczuł taką pustkę, jaką się odczuwa po stracie. Wydawało mu się, że chronił Katherine zachowując sprawę Elissy dla siebie, ale zamiast tego dał jej tylko okazję zrobienia kolejnego samodzielnego kroku; Katherine mogła się bez niego obejść.

Wtedy właśnie ona odwróciła się w jego stronę i przez moment widział w jej jasnych piwnych oczach radość, miłość, a zaraz potem zaleknienie i pomyślał, że może jednak wszystko dobrze się ułoży. Katherine nie musi opierać się na nim, by przeżyć, by dać sobie radę, tak samo jak on nie jest w niczym zależny od niej, lecz jeśli ona potrzebuje jego miłości, by cieszyć się pełnią życia, podobnie

jak on potrzebuje jej, to jest to więcej niż wystarczający fundament, by zbudować na nim przyszłość.

— Czy mógłbym ci przedstawić Rossa Haywarda? — zaczął Tobiasz. — Ross, to jest Catherine Fraser; myślę, że powinniście się poznać. Ale najpierw — dodał dotykając ramienia Katherine — Victoria chciałaby zamienić z tobą kilka słów. Może mógłbym jakoś przemycić cię do niej na chwilę...

— Tobiaszu — zwróciła się do niego Katherine, gdy szli w stronę sali balowej. — Czy to był jakiś żarcik?

— Ross chciałby zacząć od początku — wyjaśnił wesoło. — Dobry pomysł. Kiedy poprosi cię do tańca, powiedz, że zgadzasz się, ale nie dlatego że sama chcesz, tylko żeby zrobić przyjemność Victorii.

Katherine popatrzyła na niego uważnie.

— Zdaje się, że Rossowi kazałeś powiedzieć dokładnie to samo.

— Wielkie nieba! — obruszył się Tobiasz. — Czy na całe życie skazany jestem na towarzystwo inteligentnych kobiet, które potafiają mnie przejrzeć? Victorio, masz tu swoją wnuczkę. Zostawiam ci ją. Pójdę teraz poszukać jakichś naiwnych gości.

Rozmowy stały się już tak głośne, że niemal przygłuszały orkiestrę i Katherine musiała się nachylić, żeby słyszeć, co Victoria do niej mówi.

— Dalie prezentują się doskonale — zaczęła Victoria całując ją w policzek. — Wally próbował mi wmówić, że to jego pomysł, ale ja wiem lepiej. Najwyraźniej pokazałaś mu, gdzie jest jego miejsce. To snob w najgorszym wydaniu, strasznie małostkowy i tępy człowiek, który patrzy na innych z góry tylko dlatego, że kręci się między ludźmi, którzy akurat mają pieniądze. Sprzedawcy w niektórych ekskluzywnych sklepach są dokładnie tacy sami; unikam ich.

— Ach, muszę ci o czymś powiedzieć — zaczęła Katherine. — Ten kawior... — I szybko wyjaśniła, o co chodzi. — Nie mam pojęcia, ile to będzie kosztowało...

Victoria machnęła ręką.

— Sami będą musieli pokryć te wydatki; to ich wina. I dobrze o tym wiedzą, ale Wally próbował cię zastraszyć, bo nie zrobiłaś na nim wrażenia arogancją. Świetnie sobie poradziłaś, moja droga; szkoda że tego nie widziałam. Spotkałaś gdzieś tu Rossa?

Katherine przytaknęła.

— Zatańczysz z nim?

— Oczywiście.

— Doskonale. Pozwól, niech się przyjrzę twojej biżuterii. Znajomi pytają, gdzie ją kupiłaś. — Katherine zdjęła z ręki bransoletkę, dokładnie taką samą jak naszyjnik, tyle że mniejszą. — Och, moja droga, jakież to cudowne w dotyku; zupełnie jakby żyło. Chyba nigdy jeszcze nie zrobiłaś czegoś równie pięknego? Nie aż tak pięknego. Ani nikt inny przed tobą. Wiesz, niemal opanowała mnie żądza posiadania tej bransoletki!

Katherine roześmiała się i ucałowała babkę w policzek.

— Jest twoja — powiedziała.

— Nie, nie. Ale może zrobiłabyś mi coś podobnego...

— Wiesz, że zrobię.

Od strony orkiestry odezwała się trąbka obwieszczająca kolację i tłum ruszył w stronę jadalni. Z podwyższenia, na którym siedziała Victoria, Katherine mogła obserwować barwną mozaikę różnokolorowych sukien przemieszanych z czarnymi i białymi smokingami, tworzącą rozmaite wzory — zmieniające się, przesuujące i odpływające coraz węższym strumieniem, aż ostatni goście zniknęli za drzwiami i Katherine została sama z Victorią.

— Powinnaś była zabrać ze sobą szkicownik — mruknęła.

— Zapamiętasz — odparła poważnie Victoria. — Masz oko artysty. — A gdy szły w stronę jadalni, powiedziała: — Katherine, kochanie, czy kiedy będziesz robić dla mnie naszyjnik i bransoletkę, to zrobisz także konika morskiego? To taka lekkość stylu, niemal florencka. Jak się tego nauczyłaś?

— Nie wiem.

— Pomysły po prostu przychodzą ci do głowy? Ależ to musi być ekscytujące. I satysfakcjonujące.

— I absorbujące — uzupełniła Katherine. — Zapominam o bożym świecie, przynajmniej wtedy, kiedy pracuję w skupieniu.

Victoria przytaknęła.

— Wyobrażam sobie czasem ciebie pracującą przy twoim stoliku, tak jak ja kiedyś zajęta byłam za biurkiem Hugh'a. Sprawia mi to ogromną przyjemność: myśleć, jak pracujesz.

Ross siedział przy stole na środku jadalni razem z siedmioma innymi osobami, których Katherine nie знаła. Dwa krzesła były puste.

— Zarezerwowane są nas — powiedziała Victoria, a Ross wysunął dla niej to, które stało obok niego.

Jakiś tęgi mężczyzna o gęstej falistej czuprynie i takichż wąsach pomógł Katherine usiąść na drugim krześle. Ross dokonał prezentacji:

— To Brock Galvez, a to Victoria Hayward i Katherine Fraser. Katherine, Brock jest jednym z planistów projektu BayBridge Płaza; opowiada o nim tak dużo jak ja.

— Jeszcze więcej — sprostował Galvez. — Moja żona Brenda zaczyna się już tym denerwować; mówi, że z kochanką jakoś by sobie poradziła, ale z BayBridge nie potrafi.

Gdy wszyscy wybuchnęli śmiechem, a kelner serwował mus kawiorowy, Galvez powiedział do Katherine:

— My się już spotkaliśmy. W sylwestra, prawda? Na jakimś idiotycznym balu, gdzie psy wyszczekiwały kolędy. Była pani z Derekiem. Nie widziałem go tu dzisiaj. Czy może wyjechał z miasta?

— Nie wiem — odparła Katherine. — Ostatnio jest bardzo zajęty.

— Porządny facet z tego Dereka; wie, jak kierować ekipą budowlaną. Zbudował nam diabelnie wielki, proszę mi wybaczyć wyrażenie, biurowiec przy ulicy Cupertino. On nie umie tworzyć, no brakuje mi słowa, wizji, jak Ross, ale wczoraj spotkałem się z Curtem na drinka — a znam go od lat — i mówił, że zakładają razem nową firmę. Znosi się na niezły zespół. Gdzie pani kupiła ten naszyjnik?

— Sama go zrobiłam.

— Z r o b i ł a go paru?

— Zajmuję się projektowaniem i robieniem biżuterii.

— Niech mnie diabli wezmą. Czy mogłaby pani zrobić mi taki? I — zerknął na jej talię — proszę nie uważać mnie za impertynenta, ale czy mógłbym zobaczyć to cudeńko?

Katherine odpięła konika morskiego i podała mu go. Brenda Galvez też chciała obejrzeć klejnot i w rezultacie konik podawany był z rąk do rąk. Ross obserwował tę scenę zastanawiając się nad czymś, a gdy jakaś kobieta na wprost niego powiedziała: „Chętnie kupiłabym taką broszkę dla mojej córki”, Ross zaczął szeptać o czymś z Victorią.

— Gdzie można takie kupić? — spytała kobieta.

— To jedyny egzemplarz — odparła Katherine. — I nie sprzedaję ich... — Ross uniósł właśnie dłoń, więc nieco zakłopotana przerwała.

— Jedyny egzemplarz bardzo by mi odpowiadał — ciągnęła kobieta. — To byłoby nie do zniesienia, gdybym wydałszy fortunę, żeby mieć oryginalny drobiazg, zobaczyła potem taki sam u innych. Czy mam zamawiać u pani?

Na twarzy Victorii pojawił się figlarny uśmiezek, a Ross niemal obojętnym tonem oznajmił:

— Kolekq"ę pani Fraser będzie można dostać u „Xaviera” mniej więcej za miesiąc.

Katherine popatrzyła na niego oniemiała, a Victoria posłała jej rozbawione spojrzenie.

— Skosztuj musu kawiorowego — zachęciła. — Już dawno nie jadłam tak doskonałego.

Wprawdzie i mus, i zupa z rzeżuchy wodnej, a potem kotlet z kaczki zapiekany w calvadosie i na deser krem karmelowy oraz krem migdałowy były wyśmienite, Katherine ledwie tego spróbowała. U „Xaviera”? — myślała. O czym ten Ross mówi?

Gdy na sali balowej orkiestra zaczęła grać walca, podano koniak i porto. Stopniowo jadalnia opustoszała. Brock Galvez poprosił Katherine do tańca. Po nim uczynił to Marc Landau, i cały sznurek mężczyzn, których Katherine nie знаła, a wszyscy ożywieni, nadskakujący, bogaci, ale nie było wśród nich Rossa. Minęła godzina, potem druga. Katherine usiadła przy Victorii. Kitka minut później dołączył do nich Ross.

— Zatańczysz ze mną? I to wyłącznie dla mojej własnej przyjemności. No i twojej, mam nadzieję.

Roześmiała się cicho, bo tak cudownie czuły był dotyk jego dłoni na jej talii, jeszcze zanim zaczęli tańczyć.

— Chcę cię stąd porwać — powiedział. — Trzymać cię w ramionach i powtarzać, że cię kocham, nie pozwalając, by ktokolwiek nam przeszkodził, aż wreszcie powiesz, że należymy do siebie i nie wyobrażasz sobie życia beze mnie.

— Ross, proszę cię...

— Katherine, twoja biżuteria — przerwała im jakaś wysoka kobieta, której Katherine nie znała. — ...będzie u „Xaviera”? W listopadzie?

— Nie jestem pewna...

— W grudniu też będzie dobrze... byle tylko przed Gwiazdką. — Kobieta i jej partner odpłynęli gdzieś po parkiecie.

— Piękny naszyjnik — orzekł prezes Banku Kalifornijskiego przerywając taniec z żoną.

Rozbłysł flesz, bo właśnie jakiś reporter zrobił zdjęcie Katherine w objęciach Rossa rozmawiającej z prezesem Banku. Przez następne pół godziny po sali krążyli reporterzy z „Chronicie” i „Examinera” przygotowując dla swych czytelników relację z balu Victorii Hay-ward w wigilię Wszystkich Świętych, a dziennikarze kroniki towarzyskiej nadstawiali uszu i spisywali ploteczki.

Victoria obserwowała to wszystko z uśmiechem na ustach.

— Ross, o co tu chodzi? Przecież to nieprawda... — spytała Katherine.

— Na razie. Ale jak myślisz, co się stanie, kiedy w przyszłym tygodniu ci wszyscy ludzie zaczną dzwonić do „Xaviera”, pytając o kolekcję Katherine Fraser?

— Dowiedzą się, że taka nie istnieje.

— Moje ty kochanie — powiedział z uśmiechem. — Bardziej prawdopodobne jest to, że przebiegli jubilerzy u „Xaviera” z największą przyjemnością zanotują nazwiska telefonujących, obiecując powiadomić ich, gdy tylko kolekcja znajdzie się w sprzedaży, a kiedy już na liście zbierze się paru potencjalnych klientów, zadzwonią do ciebie.

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Tak bywa tylko w bajkach.

— Biznes niewiele różni się od bajki; i tu, i tu występują różne przeciwności i nagrody, zbiegi okoliczności i dobre wróżki, zwycięzcy i pokonani...

— Ale bajki mają szczęśliwe zakończenia.

— Pracuję nad tym.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu.

— U ciebie wszystko szczęśliwie się zakończyło — przerwała ciszę Katherine. — Chciałam pogratulować ci po zebraniu rady.

— To nie zakończenie — odparł Ross — a dopiero początek. Przede mną długa i wyboista droga. Gdybym był mądrzejszy, tobym się jej bał.

Katherine przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

— Ale się nie boisz. Jesteś pełen nadziei i nie możesz się doczekać, kiedy zaczniesz działać.

Ross pocałował ją w czoło.

— Czy ty wiesz, ile to dla mnie znaczy, że rozumiesz mnie bez słów? Nagle zjawił się przy nich Tobiasz.

— Katherine, moja droga, znów dostałem polecenie sprowadzenia cię do Victorii. Chce powiedzieć ci dobranoc.

— Dobranoc? — zdziwiła się Katherine. — Jest dopiero... — Spojrzała na zegarek nie wierząc własnym oczom. — Trzecia?

— Na to wygląda. Ja też wybieram się już do łóżka. Victoria zawiązywała akurat czepek pod szyją, gdy weszli do jej pokoju.

— To był nadzwyczaj udany wieczór — powiedziała. — Doskonale się spisałaś, Katherine. A teraz ucałuj mnie na dobranoc i wracaj na parkiet.

— Ja chyba też powinnam już pójść do domu. W salonie na sofie nie mam szans pospać sobie do późna.

— Zostań jeszcze chwilę — poprosił Ross. — Odwiozę cię do domu, kiedy tylko będziesz chciała.

— Bardzo rozsądne podejście — osądziła Victoria. — Moja droga — zwróciła się do Katherine — obiecaj mi coś. Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji w sprawie swojej biżuterii. Przemyśl to.

— Dobrze — zgodziła się.

— Obiecaj mi to.

— Obiecuję.

— I powiesz mi, co zdecydowałaś.

— To też obiecuję.

— Doskonale. Dobranoc, moi kochani. Porozmawiamy jutę. W takt cichych, powolnych rytmów sunęli po parkiecie kołysząc się łagodnie. Katherine dotknęła ramienia Rossa.

— Wiesz, że nigdy nie widziałam cię w smokingu? Prezentujesz się nadzwyczaj przystojnie.

— A ty jesteś cudownie piękna — powiedział cicho. — Ale nie powiedziałaś, co myślisz o tym, o czym wcześniej mówiłem.

— Masz na myśli to, że bym stała się częścią ciebie. Ross, ja już nią jestem, tak całkowicie jak to *tylko* możliwe. Tęsknię za tobą i pragnę cię, ciągle łapię się na tym, że chciałabym podzielić się z tobą...

— Katherine!

— Ale mówiłaś, że pozwolisz mi dokończyć to, co zaczęłam. Dlatego właśnie nie dzwoniś do mnie, tak twierdziłaś. A teraz mówisz, że chcesz, bym stała się częścią ciebie...

— To nielogiczne.

— To nie *fair*.

— Byłoby znacznie łatwiej postępować logicznie i *fair*, gdybym nie musiał martwić się cały czas o to, co zrobisz, jak wróci Craig.

— Nie przyszło ci do głowy, że może martwisz się o to bardziej, niż ja sama? Zastanowił się chwilę.

— Nie. Myślę, że tak samo jak ja nie wiesz, jak zareagujesz, kiedy on zacznie odwoływać się do wspomnień i współczucia, zacznie mówić o swoich potrzebach i o dzieciach... Katherine, wcale nie musimy zachowywać takiego dystansu; skoro się kochamy, możemy znaleźć jakiś sposób...

— Ross, proszę, staram się tylko robić to, co jest właściwe. Podziałało to na niego jak uderzenie obuchem w głowę. „Staram się tylko robić to, co jest właściwe.” Jeśli ona uważa, że wie, co jest właściwe, to jak on może wmawiać jej, że się myli?

Powtórzył to sobie odwożąc ją do domu. „Staram się tylko robić to, co jest właściwe.” W bajkach takie postępowanie zawsze jest nagradzane, pomyślał; Katherine mówiła, że bajki szczęśliwie się kończą. Podeszli do frontowych drzwi i Ross objął ją na chwilę, jak w tańcu.

— Mam nadzieję, że sprawy potoczą się tak, jak tego chcesz, cokolwiek by to było — powiedział.

Zaczekał, aż Katherine zamknie za sobą drzwi, wrócił do samochodu i odjechał do domu.

W poniedziałek sofa na tarasie zasłana była porannymi gazetami, a Victoria przeglądała rubryki towarzyskie.

— Bardzo dobre — stwierdziła pomrukując z zadowolenia, gdy akurat Katherine weszła na taras. — Zwłaszcza to zdjęcie przedstawiające ciebie i Rossa w czasie rozmowy z prezesem banku... — Ucałowała Katherine w policzek, po czym przyjrzała jej się uważnie. — Coś się stało? No powiedz, o co chodzi.

Oczy Katherine błyszczały.

— Dziś rano odebrałam telefon. Od Hermana Mettlera.

— Aha. — Victoria uśmiechnęła się szeroko. — Przeczytał gazety. Założę się, że popsuło mu to śniadanie, gdy zobaczył zdjęcie Katherine Fraser i dowiedział się, że obraca się w najlepszym towarzystwie wśród ludzi, którzy będą kupować jej biżuterię. Ale ode mnie nie doczeka się współczucia; nie zasłużył na nie. I co powiedział?

— Nazwał mnie Katherine...

— Po przyjacielsku — zauważyła Victoria pogardliwie,

— I chciał kupić klejnoty, które mi wcześniej zwrócił, i wszystkie inne, jakie mam. Powiedział też, że sprawa mojego męża nie ma żadnego wpływu na nasze interesy.

Victoria roześmiała się uradowana.

— I co mu odpowiedziałas?

— Że muszę to przemyśleć.

— Słusznie — przytaknęła zdecydowanie Victoria. — To takie przyjemne, kiedy ludzie dostają to, na co zasłużyli! Dobrze zrobiłaś.

— Posłuchałam twojej rady.

— Rada była dobra, więc postąpiłaś dobrze.

Katherine uśmiechnęła się. Bijąc się z myślami podeszła do okna i popatrzyła w dół na Park Lafayette, na słońce połyskujące na ciemnozielonych liściach i białe fartuchy pielęgniarek pchających wózki. Zastanawiała się, czy powtórzyć Victorii resztę rozmowy z Mettlerem — o tym, jak wymknęło mu się, że to Derek podsunął mu myśl, że Katherine Fraser może być złodziejką. Ale co by to dało? Victoria wie przecież, jaki jest Derek, i już go ukarała na zebraniu rady, właściwie odbierając mu władzę i narzucając zwierzchnictwo Rossa. Bardziej nie można Dereka ukarać. Zresztą to już nie ma znaczenia, pomyślała Katherine. Mam to już za sobą. Nawet nie potrafię się na niego złościć. Właściwie przestał już dla mnie istnieć.

Odwróciła się od okna i spytała Victorię:

— Dlaczego chciałaś, żebym wszystko przemyślała, zanim zdecyduję coś w sprawie biżuterii?

— Ross wytłumaczył ci dlaczego. Żeby dać „Xavierowi” szansę na zebranie zamówień klientów.

— Victorio, czy ty i Ross mówicie sobie wszystko?

— Z pewnością nie. Jest bardzo wiele rzeczy, z których babka i wnuk nie zwierzają się sobie nawzajem. Ale o innych sprawach

rozmawiamy. On uczyniłby cię bardzo szczęśliwą, Katherine. I wcale nie próbuję ci niczego narzucać; po prostu stwierdzam, że dałby ci szczęście. A i on ciebie potrzebuje; niełatwy przed nim okres, biorąc pod uwagę fakt, że wcisnęłam mu tę firmę. Mogłabyś mu bardzo pomóc; byłoby wam dobrze razem.

— A Craig? — spytała Katherine.

— Craig jest idiotą! — wybuchnęła Victoria. — A Ross jest romantykiem. Jak możesz choćby przez chwilę się wahać, którego masz wybrać?

Katherine roześmiała się z goryczą.

— Tak łatwo zapominasz, że jestem żoną jednego z nich.

— Już nie, głuptasku. Craig położył kres temu małżeństwu dawno temu. Tylko ty ciągle jeszcze się go trzymasz.

Katherine nie mówiła Victorii o telefonie Craiga i najwyraźniej Ross też o tym nie wspominał. Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić, pomyślała, a na głos powiedziała:

— A więc jestem głupia. Czy mogę cię o coś zapytać? Victoria spojrzała na nią z zaciekawiona.

— Dlaczego wydałaś to przyjęcie?

— Hugh i ja urządzaliśmy podobne co roku. To była nasza tradycja. A poza tym chciałam popatrzeć, jak zajmujesz moje miejsce.

— A więc to była moja inicjacja?

— Dość dziwnie to ujęłaś, kochanie.

— A gdyby mi się nie udało?

— Gdybym sądziła, że ci się nie uda, to nie urządziłabym żadnego przyjęcia. Wiedziałam, że dasz sobie radę.

— Ale nie wiesz, co będzie z Craigiem.

— Przez szesnaście lat myślałam, że Craig nie żyje; a od półtora roku nie mam pojęcia, jak potoczą się jego losy. Ale ufam ci. Cokolwiek zdecydujesz: czy będziesz chciała być z Rossem, czy z Craigiem, czy z kimś innym, czy sama — ufam ci. Gdy umrę, Katherine, dostaniesz to mieszkanie łącznie z Tobiaszem, jeżeli mnie przyżyje; musi mieć możliwość mieszkać tu na górze, dopóki będzie sobie tego życzył. Ale poza tym dom będzie twój, a do tego pieniądze, więcej nawet niż trzeba, żeby skończyły się twoje zmartwienia. Nie, nic nie mów; nie zmienię zdania. Po prostu słuchaj.

Wyciągnęła rękę, a Katherine ujęła jej dłoń.

— Na przyszłość, kiedy mnie już tu nie będzie, postarasz się

trzymać całą rodzinę razem? Nawet jeśli będą się między sobą kłócić i rywalizować, i uciekać do Maine czy Bóg wie gdzie... przypilnuj, żeby utrzymywali wzajemny kontakt, żeby czuli się rodziną. A dzieci, żeby miały w rodzinie bezpieczne schronienie, sama rozumiesz. Życie biegnie jak szalone, rozrzuca nas po świecie, przestajemy być sobie bliscy, chyba że jest coś silnego i stałego, czego można się trzymać. Nikt nie wie tego lepiej od ciebie, moja ty nieugięta Katherine; ty nie poddajesz się łatwo i bez walki. Dotknęła jej policzka.

— Kiedy Craig i Jennifer umarli, odeszli, myślałam, że przestało mi na tym zależeć. Ale dzięki tobie uwierzyłam, że znów możemy być rodziną. To mnie doprowadza do szału! — wybuchnęła — że nie mogę pożyć jeszcze jakies pięćdziesiąt lat, żeby zobaczyć, jak ta czwórka dzieci zakłada własne rodziny... żeby zobaczyć, co stanie się z Haywardami. To tak, jakby wyjść z kina w połowie filmu. Nie potrafię nawet wmówić sobie, że po śmierci będę gdzieś tam siedziała i patrzyła na was wszystkich...

— Nie zniosłabyś tego — stwierdziła Katherine. — Tylko patrzeć na nas nie mogąc doradzać ani układać nam życia...

— Wielki Boże, masz rację; oszalałabym. Muszę więc zrobić jak najwięcej, póki żyję. Obiecuj mi to, Katherine. Nikogo innego nie mogę o to prosić. Utrzymuj więzy rodzinne dla dzieci i ich dzieci. Nie pozwól, żeby wszyscy wpadli w kierat własnych codziennych spraw i rozproszyli się po świecie.

Katherine otoczyła Victorię ramionami, uświadamiając sobie, że jej własna młodość, żywo pulsująca w żyłach krew żąda od niej, by biegała i tańczyła, by zdobywała szczyty i kochała. Ucałowała chłodną pergaminową skórę na policzku Victorii.

— Zrobię co w mojej mocy — powiedziała i uśmiechnęła się. — A nawet jeśli nie będziesz sobie gdzieś tam siedzieć i patrzeć na nas, to i tak zawsze będziesz we mnie podpowiadając mi, jak powinnam postąpić.

— Oczywiście — odparła Victoria poważnie. — Liczę na to.

Dochodziła piąta po południu, gdy sprawdziła się przepowiednia Rossa i dyrektor „Xaviera” zadzwonił do Katherine.

— Zostałem zasypany prośbami o biżuterię Katherine Fraser —

powiedział. — Rozmawiam z właściwą osobą? Victoria Hayward dała mi ten numer.

— Dzwonił pan do niej? — zainteresowała się Katherine.

— Kilka minut temu. Pytała, dlaczego tak długo zwlekałem.

— Nie mogła powiedzieć czegoś takiego.

— Znamy się od wielu lat i użyła dokładnie takich słów. Pani Fraser, moi klienci mają doskonały gust i do wyboru sklepy na całym świecie. Skoro pani biżuteria zrobiła na nich takie wrażenie, to chciałbym ją zobaczyć, wszystko, co pani ma, łącznie z projektami i szkicami. Niestety jutro jestem zajęty, ale czy moglibyśmy spotkać się we środę? Zbliża się Boże Narodzenie i powinniśmy zacząć najszybciej jak to możliwe.

Podeksycytowana Katherine poczuła, że robi jej się gorąco, a krew pulsuje i uderza do głowy jak wino; ledwie mogła usiedzieć spokojnie.

— Środa mi pasuje. Rano?

— O dziesiątej, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

— Świetnie.

Każdy termin byłby świetny, pomyślała Katherine odkładając słuchawkę; nawet w nocy o północy. Zaraz zadzwoniła do Victorii i opowiedziała jej o rozmowie; Victoria poprosiła do telefonu Tobiasza i Katherine powtórzyła mu najświeższe wiadomości. A przy kolacji podzieliła się wieściami z Jennifer i Toddem i była tak podniecona, że nawet nie próbowała burzyć zamków na lodzie, które dzieci zaczęły budować.

Przez cały wieczór emocje nie opadały ani trochę. Próbowała się uspokoić oglądając biżuterię i szkice, ale gdy pomyślała, że wreszcie uwolni się od cienia Craiga, zrobiła się taka niespokojna, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Zadzwoniła do Leslie, ale to nie bardzo pomogło, i w końcu musiała sama przed sobą przyznać, że najbardziej chciała podzielić się swoją radością z Rossem. Nie wahając się już dłużej wykręciła jego numer, ale w słuchawce powtarzał się tylko dzwonek, na który nikt nie odpowiadał. Spróbowała później ponownie i jeszcze raz, a gdy o północy znów usiłowała się połączyć, ktoś zadzwonił do drzwi. To nie może być Ross, pomyślała; powiedział, że nawet nie będzie telefonować. Mimo wszystko serce jej waliło, gdy biegła do drzwi, a kiedy je otworzyła, w progu zobaczyła Craiga.

Rozdział dwudziesty drugi

Nie podali sobie rąk. Craig wprawdzie uniósł lekko dłoń, lecz zaraz ją opuścił i stał na progu wyczekująco, dopóki Katherine nie cofnęła się i nie wpuściła go do środka. — Jesteś taka piękna — powiedział zdumiony. — I masz taką królewską postawę... Pamiętam, że tamtej nocy, kiedy tu byłem, Jennifer i Todd mówili mi, że się zmieniłaś.

Wyglodniałymi, niespokojnymi oczyma wpatrywał się w twarz Katherine, po czym omiół spojrzeniem mały pokój i znów zaczął się przyglądać jej twarzy i szczupłej sylwetce odzianej w biały aksamitny szlafrok — który Ross przywiózł jej do Menton z Paryża — a potem powiódł wzrokiem niżej aż do gołych stóp. Katherine patrzyła na niego, a w głowie miała mętlik. Tak długo czekałam, a teraz nie czuję się gotowa... myślała.

— Ale nie sądziłem, że aż tak się zmieniłaś — dodał i uśmiechnął się tym swoim delikatnym uśmiechem, który przywołał w Katherine wszystkie wspomnienia, tak jakby Craig nigdy nie wyjeżdżał.

— Czy nie sprawiłoby ci kłopotu zrobienie mi kawy? — spytał. — Czuję się tak, jakbym był w podróży przez parę tygodni.

— Oczywiście — odparła Katherine. Głos jej brzmiał jakoś obco. — To znaczy, oczywiście nie sprawi mi to kłopotu. Możemy posiedzieć w kuchni.

Stał tam ten sam dębowy stół, którego używali przez dziesięć lat. Craig usiadł przysuwając swoje krzesło blisko do stołu, dokładnie tak jak zawsze to robił, i patrzył, jak Katherine parzy kawę, co również było jego zwyczajem. A kiedy postawiła na stole kubki oraz talerzyk z ciastem kawowym i usiadła, Craig wyglądał tak samo jak kiedyś — ciemna, gęsta broda, ożywione spojrzenie i nieśmiały uśmiech oczekujący akceptacji i miłości.

— Dziękuję — powiedział i upił nieco gorącej kawy, jak to miał w zwyczaju.

Katherine oszołomiona odwróciła wzrok. To mój mąż, mówiła sobie. Siedziała w kuchni pijąc kawę ze swoim mężem — jakby nic się nie zmieniło.

Wszystko się zmieniło. Pamiętaj o tym, powiedziała sobie.

— Katherine — odezwał się Craig. — Kocham cię. Musisz mi uwierzyć: kocham cię. — Pochylił się nieco do przodu. — Nigdy nie przestałem o tobie myśleć i wciąż cię potrzebuję... Nawet kiedy nie mogłem zdobyć się na to, żeby wrócić, ty zawsze byłaś najważniejsza w moim życiu; nigdy nie przestałem cię kochać i ciebie pragnąć.

Katherine spojrzała na niego. To mój mąż, powtórzyła sobie. Znow owładnęły nią uczucia, których doświadczała będąc jego żoną — miłość, uczucie bliskości, swojskości — ale teraz towarzyszyła im świadomość, że ten drugi człowiek to obcy. Jaki on właściwie jest?, zastanawiała się Katherine spanikowana. Nie wiem, kim on jest ani jak mam z nim rozmawiać.

— Powtarzałem ci to każdej nocy przez ostatnie szesnaście miesięcy — ciągnął Craig. — Mówiłem ci, że cię kocham, rozmawiałem z tobą, opowiadałem ci o swoich myślach... Katherine, przepraszam za to, co ci zrobiłem; przepraszam, że zabałaganiałem tyle spraw i że cię zawiodłem... Chryste, jedyne, czego zawsze chciałem, to móc się tobą opiekować. Ale wszystko ci to wynagrodzę, obiecuję. Tylko daj mi szansę. Wiem, ile zniszczyłem, ale chciałbym...

— Dlaczego odszedłeś? — spytała Katherine.

— Dlaczego?... To nie wiesz?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Na pewno wiesz. Hank przysyłał mi wycinki z gazet; mówił też, że reporterzy cię zadreczęli, a policja bez przerwy kręciła się po domu... no i Carl na pewno o mnie wypytywał, ten dwulicowy sukinsyn co to wrzeszcząc i wygrażając wygłaszał świętoszkowate pogadanki o zaufaniu... Nie powiedział ci? Nie powiedział ci, co się wydarzyło?

— Powiedział, że w ciągu dwóch lat zdefraudowałeś siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i przyznałeś się do tego, gdy to odkrył, oraz że powiedziałaś mu, że jedziesz do Toronto pożyczyć pieniądze na spłatę długu.

Craig patrzył spokojnie na Katherine.

— Wyraził się jasno i wyraźnie. I wciąż nie wiesz, dlaczego odszedłem?

Nieco zaskoczona Katherine uświadomiła sobie, że myliła się co do niego — jednak się zmienił. Ten szczupły i opalony mężczyzna o zniszczonych dłoniach, ubrany w luźne spodnie, białą rozpiętą pod szyją koszulę i sztruksową kurtkę był przystojniejszy, niż ten, którego pamiętała i bardziej pewny siebie. Bo czyż kiedykolwiek Craig mówił o czymś tak bezpośrednio, zwłaszcza jeśli chodziło o coś nieprzyjemnego?

— Craig, czy ty naprawdę ukradłeś te pieniądze? — wyrzuciła z siebie Katherine.

— Mój Boże — zaczął Craig wpatrując się w nią. — Nie uwierzyłaś Carlowi?

— Ukradłeś je?

— Tak. I Carl miał na to dowody. — I niemal ze smutkiem dodał: — Nie sądziłem, że tak bardzo mi ufasz...

— Wiem — odparła krótko. — Początkowo, kiedy nie wróciłeś, uwierzyłam Carlowi. Ale potem, w lecie, stało się coś takiego... to długa historia. W każdym razie pomyślałam, że może ktoś cię wrobił.

Craig wyglądał na zaskoczonego.

— Wrobił. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Pytałaś Carla?

— Nie chciałam pytać Carla. Chciałam zapytać ciebie. Chciałam móc w ciebie wierzyć.

— Dlaczego? — spytał wprost. — Przecież cię opuściłem. Katherine patrzyła na niego zdziwiona. Craig nigdy nie mówił w taki sposób.

— Kochałam cię — powiedziała.

— Kochałaś.

— Ale wciąż nie wyjaśniłeś mi, dlaczego nas opuściłeś.

— Myślałem, że to oczywiste. — Wypił kawę do dna. — Masz jeszcze trochę? — Katherine dołała mu kawy i na wszelki wypadek zaparzyła świeży dzbanek. Craig przyglądał się jej, gdy stała przy kuchennym blacie. — Wszystko zaczęło się walić. Carl zarzucał mi, że go zdradziłem, groził że wpakuje mnie za kratki i dopilnuje, by wszyscy się dowiedzieli, jaki ze mnie niewdzięczny sukinsyn. Bałem się, że w czasie dochodzenia odgrzebią moją przeszłość i że mnie wtedy znienawidzisz, jeśli nie dojdzie do tego już wcześniej, kiedy dowiesz się o kradzieży... Nie było sposobu, żeby ta historia dobrze się zakończyła! Czy ty wiesz, ile setek listów napisałem do ciebie próbując ci wszystko wyjaśnić?

— Nie dostałam żadnych listów — stwierdziła.

— Bo nigdy ich nie wysłałem. Do diabła, nawet ich nie dokończyłem. Bo jak tu powiedzieć ukochanej kobiecie, że ją opuściłem, gdyż wszystko waliło mi się na głowę i czułem się bezradny, jak w potrzasku? Tego ranka, kiedy odjeżdżałem, nawet nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, co robię, dopóki nie kazałem kierowcy taksówki zatrzymać się przed bankiem po drodze na lotnisko. Wtedy sobie uświadomiłem. Kazałem mu odjechać, zdeponowałem dla ciebie pieniądze, a potem spacerowałem chyba ze dwie albo trzy godziny, aż w końcu zabrał mnie kierowca ciężarówki.

— Dwie albo trzy godziny!... Craig wzruszył ramionami.

— Masz rację; miałem czas na zmianę decyzji. Ale jak mogłem? Im dłużej chodziłem, im więcej o tym myślałem, tym bardziej pętla zaciskała mi się na szyi, dusząc mnie. Nie mogłem powiedzieć ci, że ukradłem pieniądze; nie mogłem ci powiedzieć o mojej przeszłości; nie mogłem nikogo prosić o pomoc. Nic nie mogłem zrobić — tylko uciec. A jak już raz zacząłem, to musiałem uciekać cały czas, ciągle być w ruchu, bo gdybym się zatrzymał, nie zniósłbym samotności, wróciłbym do ciebie i wtedy wszystko też by wróciło — wszystkie te rzeczy, o których nie mogłem ci powiedzieć zwałyby się na mnie, tak że nie mógłbym złapać tchu... Katherine, gdybym mógł jakoś sprawić, żebyś to zrozumiała... ilekroć próbowałem wrócić, serce we mnie zamierało. Musiałem ciągle uciekać...

Zamilkł. Katherine nic odzywała się wyczuwając, jak bardzo jest przerażony.

— Ale w końcu zdobyłem się na ten wysiłek. Bo musiałem cię zobaczyć.

Katherine, chcę, żebyś wróciła ze mną do Kanady. Zdobędę pieniądze, żeby spłacić Carla, i zaczniemy wszystko od nowa, znów będziemy rodziną... Wiem, że sprzedałaś dom; ale zbudujemy nowy, lepszy, i zaczniemy wszystko...

— Craig, poczekaj...

— Chyba cię to nie dziwi. Jak myślisz, po co wróciłem? Jak myślisz, po co dzwoniłem do Rossa? Bo Ross powiedział ci, że telefonowałem, prawda?

— Tak.

— Powiedziałem mu, że cię kocham. I że chcę, żebyś do mnie wróciła. Powtórzył ci to?

— Tak.

— Cóż. — Jego głos stał się apatyczny. — Mówił mi, że cię kocha. Wcale się temu nie dziwię; jesteś taka śliczna i taka dumna, chodzisz z podniesionym czołem... no i to normalne, że szukałaś czyjejś pomocy i bliskości. Wiem, że było ci bardzo ciężko; nie masz się czego wstydzić. A Ross to bardzo porządny człowiek, godny zaufania... a przynajmniej tak mi się wydawało. — Zrobił krótką przerwę. — O czym myślisz?

— A co z twoją rodziną? — spytała Katherine. — Jeśli wrócisz do Kanady...

— Ty jesteś moją rodziną! Ty, Jennifer i Todd!

— I Victoria, i Tobiasz, Anna i Jason, Derek i...

— Tylko nie Derek, do jasnej cholery; on nie jest częścią mojej rodziny i nigdy nie będzie!

Katherine skuliła się w sobie słysząc wściekłość w jego głosie i instynktownie położyła palec na ustach.

— Todd i Jennifer...

— Przepraszam. — Wstał. — Chciałbym ich zobaczyć. Masz coś przeciwko?

— Oczywiście że nie.

Katherine patrzyła, jak przechodzi przez salon i uchyla nieco drzwi do sypialni. Na widok jego sztywnej sylwetki poczuła przypływ współczucia. Przez chwilę Craig stał w drzwiach, po czym ostrożnie je zamknął i wrócił do kuchni.

— Wyglądają cudownie.

— I są cudowne. Czują się zdradzone, gdy tak zniknąłeś w sylwestra.

Na twarzy Craiga pojawiło się zażenowanie i gniew.

— Byłaś wtedy z Derekiem. Nie mogłem tego znieść. Myślałem tylko o tym, że gdybym ci o nim opowiedział, to byłabyś ostrożniejsza.

Katherine zmarszczyła czoło nie rozumiejąc.

— O czym ty mówisz? Nigdy nie opowiadałeś mi o nikim z twojej rodziny. Skłamałeś mówiąc, że jesteś sierotą; zamknąłeś się w sobie zatrzymując dla siebie wszystkie sekrety. Przez dziesięć lat... Co takiego straszego się wydarzyło, że nie mogłeś mi o nich opowiedzieć?

— Coś... bardzo dawno temu. Zastanawiałem się, czy ci nie powiedzieć, ale później nie wydało mi się to ważne. Nie musiałem mówić o Haywardach...

Katherine, ja nawet o nich nie myślałem, dopóki miałem ciebie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że możesz ich spotkać. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak dziwnie się czuję, gdy ty mówisz o Victorii i Tobiaszu, i o moich rodzicach... tak nie powinno być; nigdy nie miałaś się o nich dowiedzieć. — Powoli pokręcił głową. — Oddzieliłem się od nich czasem i przestrzenią. Jak ich odnalazłaś?

— Ross mnie znalazł. — Katherine postawiła na stole dzbanek świeżej kawy. — Chodziło o Jennifer, prawda? Ten straszny wypadek, dawno temu. Na żaglówce. Wtedy zginęła.

Craig drgnął jak oparzony.

— Kto ci o tym powiedział?

— Derek. I Ross. Ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Ujął kubek obiema dłońmi, wpatrując się w drżącą powierzchnię kawy.

— Nie sądziłem, że będą o tym mówić.

Pokój pogrążony był w ciszy. Spał cały budynek; spała cała ulica. Byli tylko oni dwoje siedzący na wprost siebie przy dębowym stole; w końcu Craig zaczął mówić — początkowo powoli, a potem coraz szybciej wyrzucał z siebie dawną historię.

— Płynęliśmy do domu przez zatokę. Byliśmy zaproszeni na jakieś cholerne przyjęcie w Sausalito i Jenny poprosiła Rossa i Dereka, by popłynęli z nami. To było jedno z tych nudnych

przyjęć, na których zająć można się tylko pić, tak że kiedy wychodziliśmy, czułem się paskudnie. Wszyscy potrzebowaliśmy otrzeźwienia, a morze było takie spokojne, że chciałem zostać na powietrzu jak najdłużej, dlatego postanowiłem płynąć pod mostem Golden Gate, a później zawrócić i skierować jacht do portu. Ale Derek stwierdził, że się spieszy, i głądził o tym bez końca, więc rozwinąłem spinaker. Zwykle w taki czy inny sposób Derek dostawał to, czego chciał, lenny była zachwycona spinakerem. Odchyliła głowę do tyłu, wiatr uderzał ją w twarz, a ona śmiała się, rozłożyła szeroko ramiona i krzyknęła: „Kocham was wszystkich — bardzo”. Była taka śliczna i taka szczęśliwa. O Boże...

Popatrzył gdzieś poza Katherine w ciemną noc.

— Niedaleko mostu prądy były silne i wiatr tak się wzmógł, że kazałem Jenny i Derekowi włożyć kamizelki ratunkowe i posłałem Jenny na dół, by przekazała polecenie Rossowi. Nie powinienem był tego robić, bo zostaliśmy wtedy sami. Zwykle dbałem o to, żeby nie zostawać z Derekiem sam na sam. Przeważnie walczyliśmy ze sobą — chyba głównie o władzę, ale nie tylko. Chodziło jeszcze o miłość, sympatię, pieniądze... Byłem rok starszy od Dereka, ale obydwaj byliśmy pierworodnymi synami i Derek rozpętał z tego powodu wojnę — zostaliśmy wrogami i rywalami od samego początku. I zawsze potrafił mi dogryźć, sprawić, że traciłem panowanie nad sobą, dlatego zwasze się starałem, żeby ktoś z nami był. Ale tamtego dnia nie wiedzieć dlaczego Jenny została z Rossem kilka minut, a ja powiedziałem coś na temat wiatru i zwinięcia spinakera; wtedy Derek nazwał mnie tchórzem; powiedział, że jak tylko zaczynamy płynąć trochę szybciej, to ja już umieram ze strachu i że... że jak nie mam koło siebie mamusi i babci, to nawet wyszczać się nie potrafię. Cholerny sukinsyn, potrafił być taki... ale i miły, kiedy chciał...

Przez chwilę Craig wpatrywał się w kubek kawy,

— Masz whisky?

Katherine potrząsnęła przecząco głową.

— Tylko wino.

— A czy mógłbym?... — Przyniosła butelkę i korkociąg i wyciągnęła korek. — To zawsze należało do moich obowiązków, pamiętasz? Dziękuję. — Napełnił sobie kieliszek, który mu podała. — Kazałem Derekowi zamknąć się; spinaker trzeba było zwinać. Jak

na taki wiatr, płynęliśmy za szybko; silniejszy powiew mógł rozerwać żagiel, a nawet przewrócić łódź. Wtedy właśnie z kabiny wyszła Jenny z Rossem. Derek złapał Jenny za rękę i przyciągnął ją do siebie... objął ją... stali z boku, tak żebym mógł widzieć... Ross nie widział... że Derek położył rękę na jej piersi... Chryste, nie mogę o tym zapomnieć!... ciągle mam to przed oczami, w nocy, kiedy nie mogę zasnąć... jego szczupłe palce obejmujące pierś Jenny i te jego zimne oczy prowokujące mnie... „Jennifer i ja lubimy ryzyko — powiedział. — Jedynym człowiekiem tutaj, który się boi jest kapitan.”

Zrobiło mi się niedobrze — wtedy upewniłem się, że jest coś między nimi. Wrzasnąłem na Dereka — bo nie mogłem odejść od steru — żeby zabrał te swoje cholerne łapy od Jenny i jej też kazałem, żeby odeszła od niego. Wyglądało to tak, jakby ona próbowała mu się wyrwać, ale on ją trzymał — sprawiała wrażenie wystraszonego ptaszka złapanego w klatkę...

Bóg jeden wie, jak ja sam wtedy wyglądałem, ale Ross się piekielnie wystraszył. Odciągnął Jenny na bok i spytał mnie, czy ma zwinąć spinaker, a ja chyba powiedziałem tak, ale cały czas wrzeszczałem na Dereka, w ogóle nie mogłem się opanować, kazałem mu zejść pod pokład albo wynieść się z łodzi; krzyknąłem, że może sobie płynąć do brzegu wpław, jeśli w ogóle starczy mu odwagi, żeby skoczyć do takiej wody...

Derek nie pozostał mi dłużny, zaczął wrzeszczeć takim piskliwym tonem, jakby ktoś drapał szkolną tablicę — zawsze w taki sposób na nas krzyczał — i nazwał mnie marionetką, lalką, babciną zabaweczką... i krzyczał, że staje mi tylko wtedy, gdy babcia mi go głaszcze... Wiatr dał jak szalony i wszyscy byliśmy przemoczeni, bo fale przewalały się przez łódź i rozpryskiwały o mostek, a ten cholerny sukinsyn stał idealnie wyprostowany, jak żołnierz, i tym swoim ostrym jak nóż głosem krzyczał i krzyczał, ja też coś odkrzykiwałem i Jenny zaczęła płakać. „Przestańcie — prosiła. — Kocham was obu; nie kłóćcie się.”

Chyba dostałem szału. Najpierw widziałem, jak Derek ją obejmuje i dogryza mi przy tym, a potem usłyszałem, jak Jenny mówi, że obu nas kocha... musiałem jakoś ją powstrzymać, sprawić, żeby nim pogardzała, żeby zobaczyła, jaki jest naprawdę bez tego obłudnego czaru... więc nazwałem go wtedy oszustem, krzyknąłem

to tak głośno, żeby Jenny na pewno usłyszała; oskarżyłem go, że sfalszował dokumentację budynku, nad którym akurat pracujemy, już po zatwierdzeniu planów przez radę miejską... że pogwałcił mnóstwo praw i nic go nie obchodzi, że budynek będzie zagrażał życiu. Twarz Dereka była jak z kamienia. Akurat parę dni wcześniej widziałem tę sfalszowaną dokumentację i ani rusz nie mogłem pojąć, jak nie zauważył tego inspektor: postanowiłem więc strzelać i oskarżyłem Dereka, że przekupił inspektora, by ten zatwierdził plany budynku.

Kiedy Ross zapytał, o czym ja, u diabła, mówię, Derek wszystko przekreślił — on potrafił się otrząsnąć i ruszyć do ataku szybciej niż ktokolwiek inny — i tym swoim ostrym głosem powiedział: „Złoty chłopiec sfalszował dokumentację Macklin Building, żeby stać się bohaterem w oczach swojej babci, nawet przekupił inspektora, a teraz obleciał go strach i próbuje zwalić winę na mnie. Jak zwykle daje drapaka”. Wtedy upewniłem się, że mam rację, i parsknąłem śmiechem. Pamiętam, jak przyjemnie było śmiać się w twarz Derekowi, bo sam się zdradził. Powiedziałem, że mnie zależy na reputacji firmy, więc powiem o wszystkim ojcu i sprawie, że on, Derek, wyleci z firmy, zanim narobi nam poważnych kłopotów.

Wtedy też kazałem Rossowi zwinąć spinaker, a sam śmiałem się z Dereka. A kiedy Ross odszedł... a Jenny skuliła się w rogu, bo fale przewalały się nad nami i wiatr huczał... Derek podszedł do mnie... tak blisko i powiedział... takim cholernie ciepłym, przyjacielskim tonem... że Jenny go kocha i że... jest z nim w ciąży... w ciąży z Derekiem.

Katherine zaskoczona, gwałtownie wciągnęła powietrze, ale Craig tego nie zauważył.

— ...i powiedział, że jeszcze nie zdecydowali, co zrobią, ale jeśli będę mu wchodził w drogę, to powie rodzinie... i każdemu, kogo by to interesowało...

Byłem zupełnie roztrzęsiony. Przeżywałem prawdziwe tortury. Widziałem wpatrujące się we mnie oczy Dereka i wiedziałem, że muszę je zamknąć... zniszczyć... więc złapałem go za szyję. Czuję, że Jenny ciągnie mnie za rękę, a mnie aż mdliło: dziecko Dereka, Derek w ciele Jenny, dziecko Dereka, tylko o tym myślałem i w końcu wybuchnąłem: „Jenny, ty suko! Ty cholerna suko; niech cię diabli wezmą!”... i nagle ona zniknęła. Wszystko przestało istnieć...

Nie widziałem tego, ale czuję, że kiedy puściłem ster, łódź zesła z kursu i zaczęła podskakiwać na falach, a bom przesunął się

i uderzył Jenny. Słyszałem to — okropny głuchy odgłos — i zobaczyłem, że Jenny się zachwiała, głowę miała zakrwawioną — wielka czerwona plama tuż koło jej oka — a zaraz potem wypadła za burtę. Nawet nie krzyknęła. Po prostu... wypadła. Puściłem Dereka i rzuciłem się po koło ratunkowe i boję i cisnąłem je Jenny... unosiła się na wodzie twarzą do dołu, a ja krzyczałem, żeby złapała koło... JENNY! JENNY! JENNY!... ciągle mam w uszach ten krzyk. Wrzeszcząc wskoczyłem do wody i podpłynąłem do niej, ale kiedy wyciągnąłem jej głowę na powierzchnię i zobaczyłem jej oczy... gapiała się na mnie pustym wzrokiem, niczego nie widziała i nie miała już zobaczyć... ponieważ nie żyła. Craig rozplakał się.

— Łódź odpłynęła. Była tylko Jenny, ja i woda, ciemna, wzburzona i strasznie zimna... i ta okropna cisza.

Dociągnąłem Jenny do koła ratunkowego, wepchnąłem ją do środka, żeby głowę miała nad wodą, i zostałem przy niej. Było strasznie zimno, ale czułem potrzebę mówienia do niej... Utrzymałem się w wodzie koło niej i płakałem, i przepraszałem ją. Chciałem, żeby zrozumiała, że tak naprawdę nie myślałem tego, co mówiłem, że byłem wściekły, bo nienawidziłem Dereka, a on wykorzystał ją tak, jak wszystkich innych... I ciągle powtarzałem „Proszę cię, Jenny, wybac mi, proszę cię, proszę...”

Łzy spływały Craigowi po twarzy i jak krople deszczu wsiąkały mu w brodę.

— Potem dojrzałem powracającą łódź i słyszałem, że Ross mnie woła; wyobraziłem sobie, jak to będzie, kiedy znów znajdę się na łodzi razem z nim i z Derekiem wioząc Jenny do domu, a jej oczy będą tak wpatrywać się w nas niewidzącym wzrokiem, i czułem, że tego nie zniosę. Zniszczyłem wszystko; nie mogłem do nich wrócić. Gdybym nie rzucił się na Dereka, Jenny by nie zginęła. A rodzice i babka prosili, żebym się nią opiekował, odkąd zaczęła spotykać się z Derekiem. „Craig, powstrzymaj ją, mówili; ona się ciebie słucha.” A ja ich zawiodłem. Nie bardzo się starałem powstrzymać ją od widywania Dereka, bo samemu trudno było mi uwierzyć, że to coś poważnego. Wszystkich zawiodłem i jeszcze zabiłem Jenny. Tak bardzo nienawidziłem Dereka, że stał się dla mnie ważniejszy niż moja własna siostra. No i Jenny umarła.

Nawet wtedy gdy błagałem, by mi przebaczyła, wściekły byłem

na Dereka za to, że ją posiadał. Raz nawet, ale tylko raz, przemknęło mi przez myśl: „Dobrze, że dziecko Dereka nie żyje”. Po tym co się stało, sam sobie nie mogłem spojrzeć w twarz, ani nikomu innemu, dlatego gdy usłyszałem wołanie Rossa, odpłynąłem. Nie miałem pojęcia, w jakim kierunku płynę; było mi wszystko jedno. Myślałem, że w końcu utonę. Ale po jakimś czasie, nie wiem jak długim, dopłynąłem do skrawka lądu z migającym światłem...

— Lime Point — szepnęła Katherine, a Craig drgnął. Zapomniał o niej, zapomniał, gdzie sam jest, i teraz przez łzy przyglądał się Katherine.

— Płaczesz — powiedział. — Nad Jenny?

— I nad tobą — odparła Katherine.

Już kiedyś opłakiwała Jennifer, a teraz płakała nad całą czwórką — nad Jenny i Craigiem, nad Rossem wołającym w ciemność, a nawet nad Derekiem przez całe życie cierpiącym męki z powodu zazdrości. Fragment po fragmencie Katherine przypomniała sobie wszystkie słyszane do tej pory wersje tej historii, a gdy ułożyła z nich całość, ogarnęło ją współczucie dla Craiga — silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

— Przykro mi, że tak się rozkleiłem — powiedział Craig. — Nigdy wcześniej nie opowiadałem tego ze szczegółami. — Otarł twarz chustką. — Skąd wiesz o Lime Point?

— Od Rossa i Dereka. Gdy dowiedzieli się, że żyjesz...

— Kiedy to było?

— W zeszłym roku, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy. Domyślili się, że musiałeś dopłynąć do Lime Point. Wszyscy mówili, że byłeś bardzo silny. Anna wciąż trzyma twoje puchary z czasów studenckich. Za bieganie.

Craig skinął potakująco.

— Zawsze była z nich bardzo dumna.

— A tyje zostawiłeś. Jak zresztą wszystko inne. I przeobraziłeś się w innego człowieka...

Wzruszył ramionami.

To nie takie trudne, sama wiesz. Legitymacja ubezpieczeniowa, prawo jazdy, praca... każdy może je dostać. A Vancouver jest bardzo duże; mogłem zachować anonimowość.

— Nie to miałam na myśli — sprostowała Katherine. — Chodziło mi o wnętrze...

— Na to potrzeba więcej czasu. — Znów wzruszył ramionami. — Pozbywasz się siebie stopniowo, po troszku; cierpisz przy tym, ale nie ustajesz. Zaczynasz prowadzić zupełnie inne życie i po jakimś czasie postrzegasz siebie jako kogoś innego. Jeśli robisz to dostatecznie długo, to pewnego dnia budzisz się i czujesz, że nie potrafisz wrócić już do poprzedniego życia. Za późno na to.

Katherine wpatrywała się w mego. O kim on teraz mówi — O mnie czy o sobie?, myślała.

Butelka była już pusta. Katherine zaparzyła kolejny dzbanek kawy, a Craig machinalnie napełnił nią oba kubki, zerkając przy tym na zegarek, zupełnie jakby byli zwyczajną parą małżeńską zastanawiającą się, czy przed wyjściem do pracy starczy im czasu na jeszcze jedną kawę.

— O Boże, wpół do trzeciej. Przeze mnie nie możesz się położyć. Zabrzmiało to tak absurdalnie, że popatrzyli na siebie i obydwójce

roześmieli się cicho — po raz pierwszy razem. Katherine ośwładnęły wspomnienia, powróciły wyobrażenia, słowa, śmiech, nadzieja, a jasne światło nostalgicznej miłości przyćmiło wszystkie złe chwile wydobywając z mroku jedynie te szczęśliwe.

Katherine zmusiła się, by wstać od stołu, jakby chciała uciec od tego złudnego ciepła.

— Gdybyś powiedział mi to wszystko... dawno temu...

— Po co? Z początku nawet chciałem to zrobić, ale potem uświadomiłem sobie, że bardziej pragnę uciec od tych wspomnień i nigdy już nie musieć myśleć o Craigu Haywardzie. Po co miałem ci o nim mówić skoro, byłem szczęśliwy jako Craig Fraser? Obydwójce byliśmy szczęśliwi; żyliśmy pełnią życia; do czego była nam potrzebna ta długa spowiedź?

— Do tego, żebym mogła dzielić z tobą tę część twojego życia.

— Część, której nienawidziłem i którą chciałem wymazać z pamięci.

— Ale nigdy ci się to nie udało! Po prostu trzymałeś ją przede mną w tajemnicy. Podobnie jak sprawy finansowe i inne...

— Nigdy cię nie interesowały — odparł zimno. — Podobał ci się nasz styl życia i nie pytałaś, czy naprawdę nas na taki stać i skąd bierzemy pieniądze...

— Wiem. — Katherine paliła się ze wstydu. — Myślałam o tym. Masz rację; powinnam była pytać; powinnam była wiedzieć.

jaka jest sytuacja. Ale ty właśnie tego chciałeś, Craig, potrzebowaleś kogoś, kto nie kwestionowałby twoich decyzji, kto nie zadawałby żadnych pytań.

Potrząsnął przecząco głową.

— To ty chciałaś kogoś, kto nie obarczałby cię odpowiedziami. Zamilkli oboje na chwilę.

— Cóż — odezwał się w końcu śmiejąc się cicho. — Znaleźliśmy się w impasie.

— Zawsze byliśmy — odparła Katherine. — Ale powinnam była nalegać. Teraz o tym wiem. Bylibyśmy wtedy parą dorosłych ludzi, a nie mężem i chronioną przez niego dziecinną żoną.

Craig odchylił się do tyłu i popatrzył na Katherine. W końcu uśmiechnął się zadumany.

— Wiesz, Katherine, nawet gdybyś zachowywała się i postępowała inaczej wątpię, by to cokolwiek zmieniło. Chyba i tak nic bym ci nie powiedział. Nigdy nie potrafiłem odkryć swoich słabości przed ludźmi, których kocham.

Powoli Katherine podeszła do stołu i stanęła obok Craiga. Niemal ze strachem wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

— Po raz pierwszy w życiu wyznałeś mi coś o sobie samym — powiedziała.

— Tylko że to już nie jest prawda. — Ujął dłońmi jej rękę. — Miałem szesnaście miesięcy na przemyślenie naszego życia; zdaję sobie sprawę z tego, co ci zrobiłem, co zrobiłem nam obojgu, i możesz być pewna, że to już nigdy się nie powtórzy. Zmieniłem się, Katherine; teraz wszystko będzie inaczej. — Wstał i patrzył jej w twarz ciągle ściskając jej dłoń. — Bardzo wiele nas ze sobą łączy: dziesięć lat, dziesięć cudownych lat, i dzieci, nie możemy tak po prostu o tym zapomnieć.

— Ale ty właśnie to zrobiłeś opuszczając nas. — Zmieszana nieco z powodu czułości, jaka ją ogarnęła, Katherine cofnęła rękę i odeszła kilka kroków do tyłu, aż oparła się o blat kuchenny. — Odwróciłeś się plecami do mnie i do dzieci.

Craig przecząco potrząsnął głową.

— Postąpiłem najlepiej, jak umiałem. Paskudnie, to fakt, ale nigdy nie odwróciłem się do was plecami. Przysyłałem ci pieniądze; próbowałem zobaczyć się z tobą w grudniu. I myślałem dużo o nas, jak obydwójce moglibyśmy się zmienić i zacząć wszystko od nowa...

Katherine, posłuchaj mnie. Ja cię kocham. Przecież kiedyś wiele nas łączyło, dbaliśmy o siebie nawzajem... nie mogłaś o tym zapomnieć,

— Nie — odparła.

Obserwując jego twarz Katherine pomyślała, że naprawdę się zmienił. Stał się silniejszy, bardziej otwarty i bezpośredni nie tracąc przy tym tej delikatności, którą tak w nim kochała. I tak bardzo przypominał jej Todda, że miała ochotę go pocieszyć.

— Proszę cię o jeszcze jedną szansę — ciągnął Craig. — Ze względu na dzieci, na to wszystko, co przez lata nas łączyło, przez wzgląd na dobro, którym nawzajem się obdarzaliśmy. Razem możemy zbudować coś, co mogliśmy mieć od samego początku, gdybym ja nie był takim idiotą i gdybyś ty trochę bardziej się angażowała...

Katherine miała mętlik w głowie — Craig wytaczał argumenty ciężkiego kalibru. I zrodziło się w niej pytanie: dlaczego by nie? On się wiele nauczył, zmienił się, jest jej mężem i ojcem Jennifer i Todda i na pewno ta czułość, jaka ją ogarnęła, to coś więcej niż współczucie... czyż nie ozywają w niej wspomnienia, czyż w taki właśnie sposób nie odradza się miłość, może to właśnie jest pierwszy krok na drodze, by znów go pokochać?

— Jeszcze jedną szansę — powtarzał Craig wpatrując się w nią uważnie. — Żebym mógł wynagrodzić tobie i dzieciom, co wam zrobiłem...

— Craig — przerwała mu Katherine niepewnie. — Daj mi chwilę pomyśleć. Zarzucasz mnie wszystkim naraz.

— Ja walczę o życie! — odrzekł. — Nie widzisz tego?

— Nie — powiedziała i coś sobie przypominała. — Początkowo wydawało mi się, że tak. Wierzyłam ci. Ale... cały czas mówisz o zmianie, a nawet teraz nie jesteś ze mną szczery.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Po tym, jak przebrnąłem przez całą tę historię... rozdzierając stare rany... opowiedziałem ci o wszystkim...

— Tylko nie o Elissie.

Craig zamarł i skulił się w sobie. Twarz miał spokojną i obojętną, jak głuchy przeciskający się przez uliczny tłum. W końcu odezwał się:

— O czym ty mówisz? Jeśli ktoś naopowiadał ci kłamstw na mój temat...

— Przestań! — krzyknęła. — Nie uciekaj!

Minęła kolejna minuta. Patrząc w przestrzeń za Katherine, Craig stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — powiedział.

— Och, Craig!

Katherine podeszła do niego i próbowała zmusić go, by spojrzął na nią, ale on odwrócił głowę. Czas mijał, a oni tak stali; twarz Craiga wyrażała nieugiętość i gotowość do obrony. Biedny, wystraszony Craig, pomyślała Katherine. I wtedy ogarnęło ją takie samo uczucie, jakiego doznała, gdy zerwała z Derekiem na Ghirar-delli Square. Była wolna, poczuła się, jakby ktoś przyprawił jej skrzydła.

Teraz знаła już całą prawdę; i wszystkie kręactwa. Wiedziała, że miała w nich swój udział, lecz zrozumiała też, że nauczyła się wystarczająco dużo i dojrzała na tyle, by na zawsze przestać być tą bierną dziecinną żoną. Ale Craig wciąż kręcił, wymyślał kłamstwa albo coś przemilczał, żeby w ten sposób odciąć się od rzeczywistości, której nie był w stanie stawić czoła.

— Spędziłam cały dzień z Elissą w Calgary — powiedziała. Padała już ze zmęczenia, więc nawet nie próbowała być delikatna. — Polubiłam ją; obie się polubiłyśmy. Ona wciąż cię kocha. Twoja rzeźba żółwia z chłopczykiem ciągle stoi na stoliku przy sofie. I wszystkie pamiątki waszych wspólnie spędzonych dni wciąż są na miejscu. Jej synek był bardzo nieszczęśliwy, po tym jak odszedłeś. Tęsknił za tobą. Pewnie tak samo jak Jennifer i Todd.

Craig przygarbił się. Z powrotem usiadł na stołku i zaczął obracać kubek w dłoniach.

— Obiecała mi, że nigdy do ciebie nie zadzwoni.

— Dotrzymała obietnicy. Nie telefonowała do nikogo z nas. Ross ją odnalazł.

— Ross ją odnalazł — powtórzył tępo Craig. — Nie telefonowała do nikogo z nas. Do nikogo z nas. — Podniósł głowę i popatrzył na Katherine z wyrzutem. — Przeszłaś na ich stronę.

— To nie wojna — odcięła się. — Oni są moją rodziną. I twoją, gdybyś im na to pozwolił.

Craig potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę należeć do tej rodziny.

— Przecież nie wiesz nawet, co się w niej teraz dzieje; zaszło wiele zmian...

— I nie chcę wiedzieć! Nie rozumiesz tego? Wykreślę ich ze swojego życia; nie chcę nic o nich wiedzieć! Nie istnieją już dla mnie! Zabrało mi to całe lata, ale przezwyciężyłem to uczucie pustki i tęsknoty za nimi głównie dzięki temu, że miałem ciebie, a ty mnie kochałaś i pomagałaś mi zbudować nową rodzinę. Katherine, jesteś wszystkim czego pragnę: ty i dzieci...

— I Elissa.

— Chryste, nie możesz dać temu spokoju? Ty naprawdę się zmieniłaś. Nie chodzi tylko o fryzurę i sposób poruszania się, zrobiłaś się twarda. Kiedyś byłaś taka delikatna, kochająca i miła, ale nic z tego nie zostało.

— Czyżby?

— Zachowujesz się, jakbyś nie chciała niczyjej opieki; nie potrzebujesz nikogo... Potrzebuję Rossa, pomyślała.

— Hank przekazał mi twoją wiadomość; powiedział, że czekasz na mnie. Co to miało znaczyć?

— Musiałam z tobą porozmawiać.

— Żeby zakończyć nasze małżeństwo. Czy tak? Ross tak to właśnie ujął.

— Żeby skończyć z przeszłością. Co do małżeństwa nie byłam całkowicie pewna.

— Zawahała się. — Craig — zwróciła się do niego łagodnie. — Kiedy nas opuściłeś, dlaczego nie poszedłeś do Elissy?

Pokręcił tylko głową.

— Ponieważ ją kochasz. Mam rację, prawda? Nie mogłeś do niej pojechać, bo nie potrafiłbyś jej wyznać, co zrobiłeś. — Craig siedział nieruchomo; Katherine westchnęła. — Powiedziałeś mi dzisiaj, że nie odczuwałeś potrzeby rozmawiania o swojej rodzinie, że nawet nie myślałeś o nich, dopóki miałeś mnie. A to nieprawda. Nigdy nie przestałeś o nich myśleć; musiałeś o nich mówić i dlatego jeździłeś do Elissy. A po jakimś czasie zakochałeś się w niej. Dlaczego nie chcesz przyznać się do tego przed samym sobą?

— Kocham ciebie — odparł. — Wróciłem, bo powiedziałaś Hankowi, że czekasz na mnie. A teraz proszę cię o pomoc. Ciągle wszystko psuję; przed chwilą też to zrobiłem, prawda? Mówiąc, że nie znam Elissy. Ty już byłaś skłonna do mnie wrócić, widziałem to w twoich oczach... ale ja... znów uciekłem. Katherine, chcę

naprawić choć część tych szkód, które wyrządziłem, ale nie mogę zrobić tego sam. Nie zmuszaj mnie, żebym robił to sam. Zostań ze mną i pomóż mi.

— Nie mogę. Przykro mi, Craig.

Katherine poczuła, że łzy ponownie napływają jej do oczu. Craig nie był zły ani okrutny, ani nawet niedobry; był zupełnie przyzwoitym człowiekiem, który zbyt łatwo ugina się pod ciężarem okoliczności. I takiego go już nie kochała.

— Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc. Dostaniesz od nas wszystko, czego będziesz potrzebował...

— Mówisz w imieniu całej rodziny?

— Tak.

— To znaczy, że wybrałaś Rossa.

— To znaczy, że nie mogę pojechać z tobą; nie potrafię żyć z tobą.

Craig odsunął się od stołu i wstał.

— Zaraz wracam.

Katherine patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi łazienki. Bolały ją mięśnie i głowa; podeszła do drzwi i uchyliła je trochę, żeby poczuć na twarzy powiew chłodnego, wilgotnego powietrza. Niebo już pojaśniało. Spojrzała na zegarek. Była szósta. Powiedzieliśmy sobie więcej przez te sześć godzin niż przez wszystkie lata naszego małżeństwa, pomyślała.

Craig wyszedł z łazienki i podeszedł do niej.

— A dzieci? — spytał.

— Kochają cię. Gdziekolwiek będziesz, pojedą, żeby z tobą побыć, tak często jak będziesz chciał.

— W odwiedziny.

Po chwili Katherine dodała:

— Teraz wiele dzieci jest w podobnej sytuacji.

— Ale będą mnie tylko odwiedzać. Ja chciałem, żeby ze mną mieszkały.

Katherine zaczęła się niecierpliwić.

— Na pewno będziesz widywał je częściej niż przez ostatnie półtora roku.

— To prawda — odparł. — Masz rację. Zasłużyłem sobie na to. — Podeszedł do sypialni. — Jeszcze tylko zerknę na pożegnanie. Nie obudzę ich; nie jestem jeszcze gotów, żeby z nimi rozmawiać;

musze się zastanowić, co im powiedzieć. Ale jak już zdecyduję się, gdzie zamieszkać, i jakoś się urządę, to pozwolisz im do mnie przyjechać?

— Tak często jak to będzie możliwe. Craig skinął głową.

— Tak, już to mówiłaś. — Przez chwilę stał w drzwiach jak przed paroma godzinami. — Zwijają się w kłębek w czasie snu. Zapamiętałem. Ależ szybko rosną. Jenny zapowiada się na równie piękną dziewczynę jak jej matka. A Todd... podobny jest do mnie, prawda?

Gdzieś w dali rozległ się dźwięk syreny mgłowej.

— Tata! — krzyknął Todd. — Tata!

Katherine patrzyła, jak Craig przykuca i przytula odzianą w pizamkę postać, która się na niego rzuciła.

— Tatusz? — zdziwiła się Jennifer.

Głos miała zaspany i niepewny. Nie rzuciła się do ojca, jak Todd, ale spokojnie podeszła bliżej i wpatrując się w niego uważnie, dotknęła ręką jego ramienia, jakby chciała sprawdzić, że to nie sen.

— Witaj, Jenny, kochanie — rzekł miękko Craig.

Bez słowa wyciągnęła do niego ręce. Craig przyklęknął i przytulił obydwójce, znad ich potarganych główek spoglądając z wyrzutem na Katherine. One mnie kochają, mówiły jego oczy. A ty chcesz nasz rozdzielić.

— Gdzie twoja walizka? — spytał Todd, gdy usiedli na sofie. — Gdzie rozpakujesz swoje rzeczy? Teraz będziemy musieli się przeprowadzić, prawda, mamo? Czy wrócimy do Kanady?

Jennifer popatrzyła najpierw na matkę, potem na ojca.

— Ty nie zostajesz z nami — stwierdziła.

— Ależ tak! — krzyczał Todd. — Zostajesz, tato, prawda?

— Nie — odrzekł Craig. — Chciałbym, ale nie mogę. Wasza mama...

Katherine wstrzymała oddech. Nie uciekaj, błagała Craiga w myślach. Nie zrzucaj całej winy na mnie. Staw temu czoło, Craig. Proszę.

— Dlaczego nie zostajesz? — domagał się odpowiedzi Todd.

— Czy zamierzacie się rozwieść? — spytała Jennifer.

— Jeszcze nie rozmawialiśmy o tym. — Skóra na twarzy Craiga była napięta, przypominała sztywną maskę; tylko jego usta się

poruszały. Po chwili odetchnął głęboko i powiedział: — Ale sami wiecie, opuściłem was, co już samo w sobie było straszne, a potem zbyt długo nie wracałem. A teraz i mama, i ja zmieniliśmy się. Ludzie się zmieniają, wiecie o tym — dodał patrząc przy tym na Katherine. — Nie jesteśmy już tacy sami. Nie ma w tym niczyjej winy, ale taka jest prawda. Dlatego zamierzamy tak właśnie zrobić, rozwieść się.

— Cholera — zaklął Todd, ale nikt go nie skarcił. Po chwili milczenia Jennifer zapytała:

— Dlaczego od nas odszedłeś?

— Bo wpakowałem się w wielkie kłopoty i nie wiedziałem, jak sobie z nimi poradzić. Bałem się. Tak bardzo, że nawet nie umiałem poprosić o pomoc waszą mamę. Nie postąpiłem zbyt mądrze. Właściwie to bardzo głupio. Pamiętajcie, jeśli macie to szczęście, że ktoś was kocha, to powinniście być na tyle mądrzy, żeby pozwolić, by wam pomógł, gdy tego potrzebujecie.

Katherine przysiadła na poręczy sofy i dotknęła policzka Craiga.

— Dziękuję ci — powiedziała miękko. — Chciałabym... Craig szybko podniósł na nią wzrok, ale ona nie dokończyła

myśli. Dla nich było już za późno. Splotła dłonie na kolanach.

Todd patrzył na nich spode łba, mrugając jak oszalały, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

— Co będzie z nami wszystkimi?

— Ja wracam do Kanady — odrzekł Craig. — I jak tylko znajdę sobie jakiś dom z pokojem gościnnym, przyjedziecie do mnie w odwiedziny. Będziecie często mnie odwiedzać. Wystarczy, że powiecie mi, że chcecie przyjechać, a ja będę na was czekał.

— Całkiem jak Carrie i Jon — skomentowała Jennifer. — Często widują się z Rossem.

— Ross ma dzieci — mruknął Craig. — To zabawne; ja pamiętam go ciągle jako dwudziestoletniego chłopaka. Często się z nimi spotykacie? — spytał Jennifer.

— W pewnym sensie. Uśmiechnął się do niej.

— To dobrze, jeśli lubicie Rossa, Jenny. Widzisz, my dwaj razem dorastaliśmy. Zawsze uważałem, że jest... Kochałem Rossa i moją siostrę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ale to było dawno temu.

Nagle Katherine odwróciła głowę. Nic w życiu nie jest proste, pomyślała.

— My też go kochamy — powiedziała Jennifer. — Ale nie tak jak ciebie. Inaczej. Craig przytaknął skinieniem.

— Założę się, że on również was kocha. Trzymajcie się. — Puścił dzieci i podniósł się ocierając łzy chusteczką. Nikt się nie poruszył. Nagle Craig zrobił taki ruch, jak ktoś kto się spieszy. — Jeśli mam znaleźć jakieś mieszkanie, to lepiej zabrać się do tego jak najszybciej. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Zadzwoń do was niedługo...

— Kiedy? — dopytywał się Todd.

— Za dzień lub dwa, jak tylko będę wiedział, co zamierzam dalej robić.

— Dziś wieczorem — nalegał Todd.

Craig uśmiechnął się i pochylił, by ucałować dzieci.

— Już więcej nie zniknę. Ale zadzwonię dzisiaj, jeśli tego chcecie. I jutro też. Tak często, jak będziecie chcieli. Napiszę nawet do was list, jeśli obiecacie, że mi odpiszecie.

Jennifer i Todd wymienili spojrzenia.

— Nie za dobrze idzie nam pisanie listów — oznajmił Todd.

— Więc musicie poćwiczyć — oświadczył Craig. — Powiedzcie, czy zrobicie coś dla mnie? — Oboje skinęli patrząc na niego. — Idźcie teraz do swojego pokoju. Chciałbym pożegnać się z waszą mamą.

Todd podskoczył i zarzucił ojcu ręce na szyję.

— Zadzwoń dzisiaj?

— Obiecuję — zapewnił Craig przytulając go do siebie. — Kocham cię, Todd. — Puścił chłopca i objął Jennifer. — Do widzenia, moja śliczna Jenny. Zobaczymy się wkrótce.

Gdy dzieci wyszły, Craig powiedział:

— One są cudowne. Podobnie jak ich matka. — Odchrząknął i próbował nawet się uśmiechnąć, gdy Katherine odprowadzała go do drzwi. — Żaden mężczyzna nie mógłby sobie życzyć lepszej rodziny. A ja ją odrzuciłem. Mój Boże, Katherine — wziął ją w ramiona — czy nie ma żadnej możliwości?...

— Nie. — Podniosła rękę i odsunęła włosy spadające mu na czoło, tak jak robiła to niezliczoną ilość razy w czasie ich wspólnego życia. — Zachowałeś się wobec nich cudownie. Dziękuję.

Skrzywił się.

— A jakie to ma znaczenie? Już za późno.

— Będzie mieć znaczenie w twoim nowym życiu. A ja pomogę ci, jak tylko będę mogła. — Uśmiechnęła się. — Teraz możesz już powiedzieć mi wszystko. Możesz przyjść, gdy będziesz potrzebował z kimś porozmawiać...

— I to wszystko.

— To wszystko. Ale obchodzi mnie, co się z tobą dzieje. I zawsze będzie.

Craig przytulił ją mocniej do siebie, a Katherine objęła go przyciskając twarz do jego policzka. Stali tak w milczeniu. Za oknem rozjaśniało się i znad oceanu napływała mgła. Po chwili rozluźnili uścisk i... Craiga już nie było.

Rozdział dwudziesty trzeci

Noc była tak cicha, że Ross słyszał odgłos swoich kroków w domu i na pograżonym w ciszy tarasie. Bezskutecznie próbował zasnąć i w końcu zrezygnował; raz bywało gorzej, raz lepiej, ale ta noc, nie wiadomo z jakiego powodu, wydała mu się jak dotąd najcięższa: całkowicie owładnęły nim wspomnienia i tęsknota.

W salonie nalał sobie drinka, a potem chodził z pokoju do pokoju, zapalając i gasząc światła, i wszędzie dostrzegał Katherine.

W sypialni na stoliku miał powiększoną, oprawioną w ramki fotografię Katherine na łodzi — wiatr rozwiewał jej włosy, a oczy się śmiały. Obok niej stało drugie zdjęcie zrobione ukradkiem przez Carrie na tarasie w Menton; był na nim Ross i Katherine zajęci rozmową, pochłonięci sobą, uśmiechnięci, zakochani. Ross przesunął palcem po szkłe, pod którym widniały ich twarze. Katherine.

Na biurku w salonie stał przycisk do papieru w kształcie wzdętego żagla; Katherine zrobiła go z lucytu; wyryty był na nim zarys łodzi Rossa i unosząca się nad nią mewa. Biorąc do ręki wypolerowany przycisk Ross usiadł na sofie i wbił wzrok w ścianę. Zająła w moim życiu tak ważne miejsce i to w tak krótkim czasie, myślał.

Telefon miał tuż pod ręką. Położył na nim dłoń, lecz szybko ją cofnął. To idiotyczne; jest przecież wpół do trzeciej w nocy; Katherine śpi. A poza tym obiecał jej, że nie będzie dzwonił. Wtedy na przyjęciu chyba trochę za daleko się posunął, bo tak był niecierpliwy.

Na stoliku dojrzał książkę, którą kupił poprzedniego dnia; położył się na sofie i zaczął czytać. A potem nagle przez szklane drzwi przeniknęło zamglone światło wczesnego poranka — Ross obudził się wciąż trzymając książkę w dłoni i myśląc o Katherine, tak jakby w ogóle nie zasypiał.

Minęła właśnie szósta rano. Mosty spowijała mgła i widać było tylko ich wieże przypominające miniaturowe iglice. Ross zabrał się do wykonywania codziennych porannych czynności; ubierał się słuchając wiadomości i pił kawę czytając gazetę. Potem wyszedł z domu.

Właśnie wyjeżdżał z podjazdu, gdy nadjechała taksówka. Zatrzymał się, żeby ją przepuścić, i zaczął bębnić palcami po kierownicy, bo szofer zwolnił, i wtedy go olśniło: to była Katherine. I zaraz ją zobaczył; otworzyła drzwi taksówki i wyskoczyła z niej, jeszcze zanim kierowca zatrzymał samochód.

Przez tyle godzin Ross wyobrażał sobie, że ją widzi, iż teraz nie był w stanie się poruszyć. Ale zauważył, że ona się uśmiecha. Zaczerpnął głęboki oddech i z bijącym sercem wysiadł z samochodu i wielkimi krokami, wpatrzony w jej twarz, ruszył przez trawnik.

— Proszę pani?! — wołał coraz głośniejszym głosem kierowca. — Proszę pani, czy pani słyszała? Należy mi się...

— Już, już — powiedział Ross wyjmując portfel.

— Nie — sprzeciwiła się Katherine, — Zaczekaj. Mam pieniądze, ja zaraz... przez moment w ogóle go nie słyszałam.

Ross podał kierowcy kilka banknotów.

— Proszę zatrzymać resztę. Oczy taksówkarza pojaśniały.

— To nie żarty? Chce pan może rachunek?

— Nie. To szczególna okazja.

— Więc to nie żarty. Ta pani też tak mówiła.

— Naprawdę? — mruknął Ross. Otoczył Katherine ramieniem i poprowadził ją do domu. — Wyglądasz, jakbyś się nie wyspała.

— Bo wcale nie spałam.

Ross stanął i kładąc dłonie na jej ramionach przyjrzał się jej uważnie.

— Dzwonił? Czy może przyjechał?

— Przyszedł koło północy. Przegadaliśmy całą noc.

— I wyjechał już?

— Tak.

Serce Rossa zaczęło się uspokajać; z ulgą zaczerpnął głęboki oddech; poczuł się lekki jak piórko. Miłość. Obejmując się przeszli przez dom na taras. Patrząc na jej bladą twarz, Ross zapytał:

— Jadłaś śniadanie? Potrząsnęła przecząco głową.

— Jennifer i Todd musieli jechać do szkoły na jakąś próbę, więc zrobiłam im coś naprędce, ale sama nie byłam głodna. Zresztą spieszyłam się, bo chciałam zdążyć, zanim wyjdiesz.

— Zaczekałbym, gdybyś dała mi znać, że przyjedziesz.

— Wolałam nie uprzedzać cię o tym. Chciałam zrobić ci niespodziankę.

Ross roześmiał się.

— I zrobiłaś. Poczekaj tu; przyniosę ci coś do zjedzenia.

— Wystarczy mi kawa. — Gdy wyszedł, Katherine położyła się na leżance. — Nie rób tego, bo zaśniesz — powiedziała sobie na głos.

Zmusiła się, by usiąść, i przymknęła lekko oczy przed rażącym słońcem rozkoszując się jego złotym blaskiem i poranną wonią róż i goździków. Zdjęła żakiet, bo upał zdawał się przenikać całe jej ciało i rozmiękczać kości. Głowa zaczęła jej opadać na piersi i wtedy usłyszała kroki Rossa, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że na stoliku stawia tacę.

— Sok pomarańczowy i kawa. Szkoda mi było tracić czas na coś wystrzałowego w rodzaju gofrów. Dobrze się czujesz?

— Przyszłam ci się oświadczyć — powiedziała.

— Tak.

— Domyśliłeś się?

— Chciałem powiedzieć, że moja odpowiedź brzmi tak. Katherine roześmiała się i oparła głowę na jego ramieniu.

— Miałam taką nadzieję.

Ross pocałował ją w czubek głowy.

— Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

— Bardzo dużo. Ta jedna noc była jak całe życie. — Ogarnęła

ją ogromna senność; oparła się o Rossa. — Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo się zmieniłam, dopóki nie porozmawiałam z Craigiem, dopóki nie usłyszałam, jak mówi o sobie i o nas.

— Wszyscy się zmieniliśmy — rzekł Ross. — Ale ty bardziej niż ktokolwiek inny. Próbowałam ci to powiedzieć.

— Wiem. Ale ja nie umiałam sobie tego poskładać: jaka byłam, jaka się stałam i dlaczego nie umiałam być taka wcześniej. A kiedy przyszedł Craig, patrzyłam na niego i widziałam siebie taką, jaką byłam kiedyś. Pamiętasz? — ciągnęła sennym głosem. — Powiedziałam ci któregoś dnia, że bardzo mi brakuje poczucia bezpiecznego jutra. Czułam się tak, ponieważ się bałam.

— A teraz już się nie boisz?

— Nie. Wczoraj w nocy w pewnej chwili uświadomiłam sobie, ile osiągnęłam własnymi siłami, i przestałam się bać. I wtedy wiedziałam już, że chcę być z tobą. — Uśmiechnęła się do Rossa patrząc na niego znad filiżanki. — Zrozumiałam, że potrafię być w życiu samodzielna, ale z tobą moje życie będzie bogatsze. Chcę, żebyś pozwolił mi stawiać czoło problemom, tak jak to zrobiłeś, kiedy powiedziałeś, że na jakiś czas powinniśmy przestać się spotykać, ale chcę też, żebyś troszczył się o mnie i chronił mnie, i ja także pragnę ci pomagać, kiedy będziesz tego potrzebował... chciałabym, żebyśmy dzielili się radościami i wzajemnie pomagali sobie przetrwać trudne chwile... Ross, tak strasznie chce mi się spać... czy ty coś z tego rozumiesz?

— Obiecujesz — powiedział poważnie — że nie będziesz tak zaciekle obstawać przy swojej niezależności, jeśli będę ci pomagał nie ograniczając jej przy tym i pozwolę ci postępować tak samo w stosunku do mnie? Jeśli uda nam się to pogodzić.

— Nie będzie to łatwe — mruknęła Katherine.

— Pewnie poradzimy sobie w połowie spornych kwestii, a nad pozostałymi popracujemy. Może tak być?

— Cudownie.

Katherine roześmiała się. Przepelniająca ją miłość kazała na chwilę zapomnieć o śnie i sprawiała, że wszystko wydawało się możliwe. Popatrzyła na rozplywającą się w promieniach gorącego słońca mgłę i na drapacze chmur po drugiej stronie zatoki, połyskujące jak zaczarowane miasto z bajki kończącej się happy endem.

— Jeśli macie to szczęście, że ktoś was kocha — powiedziała łagodnie — to powinniście być na tyle mądrzy, żeby pozwolić mu, by wam pomógł, gdy tego potrzebujecie. Craig to powiedział, gdy wyjaśniał Jennifer i Toddowi, dlaczego odszedł.

— Więc nauczył się więcej, niż myślałem. Czy zamierza pojechać do Elissy?

— Nie wiem. Mam taką nadzieję.

— A Jennifer i Todd?

— Powiedzieli mi, że kochają cię. Wprawdzie nie tak, jak kochają jego, ale... A niech to diabli, chciałabym, żeby można było zbudować szczęście bez czyjegoś nieszczęścia.

Ross wziął Katherine w ramiona; przytulili się do siebie.

— Katherine, kocham cię — powiedział muskając wargami jej usta. Pocałował jej oczy, które same jej się zamykały. — Moje ty śpiące kochanie, obiecuję, że będę dzielił z tobą wszystko, czym jestem i o czym zamierzę, jeśli ty obiecasz mi to samo.

Katherine uniosła powieki.

— Zapomniałam ci coś powiedzieć. Dzwonili do mnie od „Xaviera”. Jestem umówiona na jutro.

— A więc kolejny początek. — Uśmiechnął się. — Uczcimy to. Będzie orkiestra, fajerwerki i szampan. A później, jak tylko dopełnimy formalności wymaganych przez stan Kalifornia, pobierzemy się. A nasze pociechy będą druhami i przyjaciółmi.

Katherine objęła go i przywarła ustami do jego ust. Ich ciała przylgnęły do siebie. Kiedy uświadomili sobie, gdzie są, wstali i tuląc się do siebie weszli do domu, do chłodnej, pogrążonej w półmroku sypialni Rossa. Ale ledwie łóżko ugięło się pod ich ciężarem, Katherine opadła całkiem z sił.

— Ross, nie będzie ci przykro?... — spytała. — Przepraszam, ale czy byłoby ci bardzo przykro, gdybym po prostu zasnęła?

Nie wypuszczając jej z objęć roześmiał się wesoło.

— Kochanie moje — powiedział. — Przecież mamy przed sobą całe życie. — Zdjął jej buty i ułożył ją na łóżku, wsuwając poduszkę pod głowę.

— Ale obudź mnie później — mruknęła sennie. — Obiecałam Jennifer i Toddowi, że wyjdę po nich o trzeciej...

— Ja po nich pójdę. Chcę wstąpić na chwilę do biura; potem zabiorę dzieci i przywiozę je tutaj.

— Musimy też zadzwonić do Victorii i Tobiasza. — Jej głos przeszedł już w szept. — Poczują się urażeni, jeśli od razu ich nie powiadomimy...

— Wprosimy się do nich na dzisiejszą kolację. Co ty na to? Będzie nasza czwórka, Carrie i Jon, i Victoria z Tobiaszem. Rodzinna kolacja.

Katherine uśmiechnęła się.

— Rodzinna kolacja. Kocham cię, Ross.

Przykrył Katherine lekkim koczykiem, zasunął kotary i przez chwilę stał przy łóżku. Wyciągnęła ręce. Ross pochylił się i ucałował jej zamknięte oczy.

— Śpij dobrze, najdroższa. Jesteś już w domu.